

CZARNA SERIA

KRYMINAL

LEIF GW  
PERSSON

---

CZY MOŻNA UMRZEĆ DWA RAZY?



LEIF GW  
PERSSON

---

CZY MOŻNA UMRZEĆ DWA RAZY?

Przekład Iwona Jędrzejewska

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2018

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Strona redakcyjna](#)

[I](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

## II

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

50.

51.

52.

53.

III

54.

55.

56.

57.

58.

59.

60.

61.

62.

63.

64.

65.

66.

67.

68.

69.

70.

71.

72.

73.

74.

75.

76.

77.

78.

79.

80.

81.

82.

IV

83.

84.

85.

86.

87.

88.

89.

90.

91.

92.

93.

94.

95.

V

96.

97.

VI

98.

99.

100.

Epilog

Przypisy końcowe



Tytuł oryginału: *KAN MAN DÖ TVÅ GÅNGER?*

Redakcja językowa: Agnieszka Niegowska

Projekt okładki: Magda Kuc

Zdjęcia na okładce © Robsonphoto / Shutterstock © czaszka / Magda Kuc

Korekta: Joanna Kucharska, Beata Wójcik

Redaktor prowadzący: Małgorzata Hlal

Copyright © Leif GW Persson 2016

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

ISBN 978-83-8015-698-2

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*To straszna bajka dla dorosłych dzieci, jednak tym razem tak się składa, że jedną z głównych postaci jest dziecko, a mianowicie sąsiad Everta Bäckströma, mały, zaledwie dziesięcioletni Edvin.*

*Właściwie to można go potraktować jako współczesny odpowiednik urwisów z Baker Street, których spotykamy w historiach o Sherlocku Holmesie, albo, jak kto woli, Emila Tischbeina z powieści „Emil i detektywi” Ericha Kästnera. A nawet – najbardziej znanego szwedzkiemu czytelnikowi – małego detektywa Kalle Blomkvista, bohatera trzech książek Astrid Lindgren.*

*Między Bäckströmem a Edvinem nie ma żadnego zewnętrznego podobieństwa, istnieje natomiast silny wewnętrzny związek. Edvin jest oddanym giermkim Bäckströma i jego gońcem w wielu prostych sprawach, głównie natury prywatnej, domowej. Za to Bäckströma – jak to woli widzieć Edvin – można by postrzegać jako mentora chłopca i jego męski wzór do naśladowania.*

*Kiedy podczas letniego obozu skautów Edvin przypadkiem odkrywa coś przerażającego, coś natury wybitnie kryminalnej, idzie z tym, oczywiście, prosto do Bäckströma.*

*Jest pełen nadziei, że wreszcie ma szansę przysłużyć się komisarzowi, dla którego owo odkrycie już od pierwszej chwili jawi się jako niezwykle obiecujące śledztwo. Można oczywiście dyskutować, czy ów legendarny komisarz kryminalny po pięćdziesiątce może być dla dziesięcioletniego chłopca duchowym pierwowzorem ojca...*

*Niemniej jednak, jeśli nie zważając na wszystko, otworzymy serca i spojrzymy głębiej, zobaczymy, że to opowieść o szlachetnej, męskiej przyjaźni, gdzie duchowa wspólnota waży więcej niż różnice zewnętrzne. Poza wszystkim to również opowieść przerażająca. Złe siły, które toczą*

*swoją grę, czarne chmury, które gromadzą się nad głową zarówno Bäckströma, jak i małego Edvina.*

*Ale nie będę uprzedzał wypadków. Pozwólcie mi zatem zacząć od początku i opowiedzieć po kolei, aż do samego bolesnego końca, co się stało.*

Leif GW Persson  
willa profesorska, Elghammar  
Lato 2016

# I

„Dość makabryczne” odkrycie o policyjnym  
zabarwieniu

# 1.

Dziewiętnastego lipca, we wtorek po południu, tuż po godzinie szóstej, ktoś zadzwonił do drzwi mieszkania komisarza kryminalnego Everta Bäckströma na Kungsholmen w Sztokholmie. Dźwięk był dyskretny, a zarazem wyrazisty, i stał się wstępem do jeszcze jednego śledztwa Bäckströma, które zazwyczaj nigdy nie zaczynały się w taki sposób.

Dotychczas wszystko odbywało się według wcześniej ustanowionych reguł. Komisarz kryminalny Evert Bäckström był szefem grupy dochodzeniowej komisariatu policji w Solnej, która zajmowała się poważnymi sprawami. Były to najgroźniejsze przestępstwa, zwykle ze skutkiem śmiertelnym, a Bäckström odpowiadał za uporządkowanie tego, co dało się uporządkować, to znaczy wykrycie sprawcy przestępstwa, złapanie go i dopilnowanie, żeby poniósł karę, co dawałoby krewnym ofiary możliwość spokojnego przeżycia żałoby.

Jeśli chodzi o Bäckströma, prawie zawsze każda sprawa zaczynała się od telefonu. Dzwonił któryś z jego szefów, współpracownik czy dyżurny – jeśli wszystko zdarzyło się w godzinach pracy, co raczej należało do rzadkości – i prosił, aby Bäckström zajął się sprawą.

Bäckström nie miał nic przeciwko temu, nikt inny też nie. Bo niby dlaczego? Kilka lat wcześniej, zanim Bäckström pojawił się w komendzie policji w Solnej, był szefem grupy dochodzeniowej w ponad dwudziestu

śledztwach, z których rozwiązał wszystkie oprócz jednego. W pewnym momencie miał na swoim koncie tyle sukcesów, iż faktem, że liczba przestępstw w rejonie zmalała do niebezpiecznego poziomu, naraził własną egzystencję. Na szczęście sprawa się rozwiązała i Bäckström mógł odnotować w społeczeństwie wysoce zadowalający wzrost przypadków przemocy ze skutkiem śmiertelnym, a w szczególności morderstw wymagających śledztwa. Telefon od dyżurnego i kolejny trup, który przy udziale osób trzecich lądował na biurku Bäckströma, a zatem wszystko tak jak powinno być.

Jednak tym razem zaczęło się od tego, że ktoś zadzwonił do jego drzwi, a trudno o bardziej prywatny i osobisty początek śledztwa niż dzwonek do drzwi mieszkania śledczego. Jak się wkrótce okazało, było to jedno z najbardziej skomplikowanych dochodzeń w karierze komisarza kryminalnego Everta Bäckströma.

Taki dyskretny, a zarazem wyrazisty dźwięk dzwonka do jego własnych drzwi już sam w sobie był zagadką, ponieważ ten sam dźwięk Bäckström słyszał niezliczenie wiele razy i doskonale wiedział, kto dzwonił w ten sposób. Mały Edvin, pomyślał. Dziwne, przecież kiedy go ostatnio widział tydzień przed nocą świętojańską, chłopak powiedział mu, że jedzie na obóz i wróci dopiero po miesiącu, pod koniec lipca.

## 2.

Do chwili kiedy zabrzmiał dzwonek do drzwi, toczył się zupełnie normalny dzień pracy w życiu komisarza Bäckströma. A ponieważ pogoda była wyśmienita, Bäckström zatelefonował do komendy i poinformował, że przedpołudnie spędzi w domu. W Komendzie Głównej Policji pilnie potrzebują jego pomocy, więc najprościej będzie popracować przy domowym komputerze, żeby niepotrzebnie nie biegać tam i z powrotem.

Bäckström usadowił się na balkonie i w spokoju, przy lekturze porannej gazety, rozkoszował się śniadaniem. Potem wziął prysznic, ubrał się ze szczególną dbałością, stosownie do pogody, i zadzwonił po taksówkę, która miała go zawieźć do komisariatu w Solnej. Oto jeszcze jeden piękny letni dzień w wygodnym życiu komisarza Bäckströma. Już godzinę przed lunchem był na miejscu w swoim prawie pustym biurze. Połowa działu była na urlopie, bo nikomu nie przyszło do głowy, że o tej porze roku najlepiej można odpocząć właśnie w godzinach pracy, i jeszcze brać za to pensję. A ponieważ w komendzie panowały pustki, więc nie było sensu zabierać się do jakichś pracochłonnych spraw, chyba że na specjalne życzenie komendanta. Pozostawało więc tylko przerzucanie papierów i umarzanie starych dochodzeń. Krótko mówiąc, należało unikać spraw cięższego kalibru i niecierpiących zwłoki.

Najpierw jednak wypadało zrobić rundę kontrolną i upewnić się, że nikt ze współpracowników nie zajmuje się sprawą, która miałyby dać powód do jej głębszego zbadania. Ogólnie mówiąc, panował spokój, pokoje, korytarze i biurka były w przeważającej części puste, jedynie w policyjnej kawiarence siedziały jakieś leniwe osły i rozprawiwały o wszystkim, tylko nie o pracy. Po skontrolowaniu sytuacji Bäckström nagrał wiadomość na automatycznej sekretarce z informacją, że całe popołudnie uczestniczy w spotkaniu i będzie osiągalny dopiero następnego dnia.

Wtedy też po raz kolejny wziął taksówkę, do Djurgården, i pojechał na lunch do swojej ulubionej, dobrze położonej knajpy, gdzie prawdopodobieństwo spotkania kogoś z pracy było znikome. Na początek śledzik, schłodzony czeski pilzner i kieliszek rosyjskiej wódki na dobre trawienie. Następnie stek z grilla, kolejny pilzner i jeszcze solidniejszy kieliszeczek czystej dla zwalczania nieprzyjemnych skutków smażonej cebuli serwowanej do steku. A wszystko zakończone filiżanką kawy i koniakiem. Potem taksówka, już po raz trzeci tego dnia, aby udać się na zasłużoną poobiednią drzemkę.

Bäckström obudził się kwadrans przed tym, jak Edvin zadzwonił do drzwi. Wypoczęty, w dobrym humorze, ze świeżym jak kryształ umysłem. Zdążył zaledwie nalać sobie kieliszek orzeźwiającego koniaku, gdy jego spokój zakłócił tenże właśnie dzwonek do drzwi. Było to mniej więcej wtedy, kiedy planował, w jaki sposób zakończy ten jeszcze jeden jakże pracowity dzień.

Dziwne, pomyślał. Z jednej strony to typowy dźwięk dla małego Edvina. Z drugiej – coś w nim było nie tak. Przecież Edvin mówił, zresztą jego mama też, kiedy Backström spotkał ją przypadkiem na schodach kilka dni wcześniej, że jedzie na obóz skautów do Ekerö nad Mälaren, jakieś sześć



kilometrów od domu. I wrócić miał dopiero pod koniec następnego tygodnia.

Backström to jeden z najbardziej znanych i szanowanych policjantów w kraju. Żywy symbol tego, co zwykły obywatel uważa za swoje niezbywalne prawo, jakim jest poczucie bezpieczeństwa. Skała, za którą można znaleźć schronienie w niebezpiecznych czasach. Tak właśnie – i nie bez powodu – postrzegali go porządni i zacni obywatele, i mieli rację. Jednocześnie sporo – i zdecydowanie za dużo – było też takich, którzy nie zgadzali się z tym jego obrazem i ani przez chwilę nie zawahaliby się, by wykorzystując sygnał dzwonka Edvina, przyprzeć go do muru i zrobić mu krzywdę, a nawet go zabić. Uświadomił to sobie nawet jego lekko nierozgarnięty pracodawca i dał mu pozwolenie na posiadanie broni również wtedy, kiedy nie był na służbie.

Przez wszystkie dni tygodnia, całą dobę na okrągło, niezależnie od tego, gdzie się znajdował i co robił, Bäckström miał przy sobie swojego najlepszego przyjaciela. Swojego małego siggego, służbowy pistolet marki Sig Sauer z magazynkiem, który mógł pomieścić piętnaście kul. Aż trudno sobie wyobrazić, że musiało to zająć tyle czasu i wymagało interwencji na najwyższym szczeblu kogoś ze związków zawodowych, zanim któryś z jego szefów gryzipiórków odważył się wydać mu zgodę na posiadanie broni.

Głupio byłoby ryzykować, pomyślał Bäckström, wyjął siggego z kieszeni szlafroka, poszedł do przedpokoju i spojrział przez judasz, żeby zobaczyć kto to.

### 3.

Bäckström był ostrożny niczym generał. Wróg nie spał. Bandyci cały czas kręcili się koło domu, i gdyby choć na chwilę spuścił most zwodzony do swej twierdzy, tylko on jeden musiałby wówczas podjąć decyzję i sam sobie ze wszystkim poradzić.

Rzucić okiem przez judasz to nie do pomyślenia. Tak robi tylko ktoś niespełna rozumu, z kategorii samobójców, którzy chcieliby mieć przestrelony łeb w ten właśnie sposób. Ale judasz w drzwiach Bäckströma był tylko po to, żeby zmylić przeciwnika. To, co się liczyło, to kamera, którą Bäckström zainstalował kilka miesięcy wcześniej i z czysto praktycznych względów podłączył do swojego komputera oraz komórki.

Zdecydowanie Edvin, pomyślał Bäckström. Przełączył komórkę, żeby zobaczyć klatkę schodową i upewnić się, że chłopak jest sam. Tak, to był Edvin. Sam.

Zanim otworzył drzwi, schował małego siggego do kieszeni szlafroka, żeby niepotrzebnie nie przestraszyć swojego gościa.

– Edvin – powiedział Bäckström. – Miło cię widzieć. Mów! Co mogę dla ciebie zrobić, młody człowieku?

– Z całym szacunkiem dla pana komisarza – odparł Edvin i grzecznie się uklonił – ale tym razem to ja mogę coś zrobić dla pana komisarza.

– Co ty powiesz. Brzmi obiecująco. Wejdz.

Dziwny chłopak, pomyślał Bäckström. Nie wspominając już o jego dziwnym ubraniu.

Edvin był mały i chudy. Cienki jak nić dentystyczna, nieznacznie dłuższy niż ta, której Bäckström rano i wieczorem używał do czyszczenia swoich insygniów królewskich, obecnie zastępujących mu jego prawdziwy garnitur zębów. Edvin nosił okrągłe okulary o szklach grubych niczym denka butelek i mówił językiem jak z książki dla dorosłych. Mały przemądrzały okularnik, który przeprowadził się tu kilka lat temu. Był dobrze wychowany, na swój sposób po staroświecku, i na szczęście był jedynym dzieckiem zarówno w swojej rodzinie, jak i w całym domu, w którym mieszkał Bäckström.

A Bäckström nie przepadał za dziećmi. W gruncie rzeczy to nie takie dziwne, bo w ogóle ludzi nie lubił, oprócz siebie oczywiście. To samo dotyczyło wszystkich zwierząt i roślin. Jednak dla Edvina zrobił wyjątek. Bo okazało się, że Edvin był cichy jak myszka, niezachwianie lojalny, no i użyteczny, gdy trzeba było pobiec do tego chciwca-zdziercy do delikatesów przy Sankt Eriksgatan po gazetę, coś na ząb do piwa czy inne wiktuały. Co prawda trzeba będzie jeszcze trochę poczekać, zanim Bäckström będzie mógł wysłać Edvina do sklepu po coś mocniejszego... Ale dobre i to.

Dzisiaj Edvin ubrany był w mundurek skauta. W niebieską koszulę z długimi rękawami, żółtą chustę związaną skórzanym rzemykiem splecionym w warkocz, niebieskie szorty do kolan i niebieskie trampki. W koszulę wpięte miał metalowe odznaki i naszywki, a przy pasku zwisały mała finka i trzy różnej wielkości napaśniki. Na plecach Edvin miał mały skórzany plecak w kolorze brązowym.

Prawdopodobnie zwiął z obozu, pomyślał Bäckström, nie wychodząc z roli policjanta. Komisarz i jego gość usiedli w pokoju – on w swoim

przypominającym tron fotelu z podnóżkiem, a Edvin, kiedy tylko odłożył na stolik brązowy plecak, w rogu sofy. Był wyprostowany jak ołowiany żołnierz.

– Zdaje się, że miałeś do mnie jakąś sprawę – przypomniał mu Bäckström, sącząc grog i uśmiechając się do Edvina przyjaźnie.

– Tak – odparł chłopak. – Kilka godzin temu coś znalazłem na wyspie, tam gdzie mamy obóz. Myślę, że to może zainteresować pana komisarza.

– Zamieniam się w słuch – powiedział Bäckström i uśmiechnął się jowialnie. – Opowiadaj.

Edvin po raz kolejny skinął głową. Otworzył plecak, wyjął plastikową torbę i podał ją Bäckströmowi. Kiedy komisarz wziął torbę do ręki, od razu zrozumiał, co w niej jest.

A niech to szlag, pomyślał.

– Ma pan komisarz rację, dość makabryczne – zgodził się Edvin i pokiwał poważnie głową.

## 4.

Tego samego dnia rano Edvin pływał żaglówką ze skautami z obozu. Po lunchu przydzielono mu zadanie specjalne. Miał wysiąść na pobliskiej wysepce i nazbierać kurek, innych grzybów i wszystkiego, co nadaje się do jedzenia i pozwoli obniżyć koszty, oczywiście bez ofiar śmiertelnych.

Grzybów nie znalazł, co go wcale nie zdziwiło, zważywszy na trwającą już od miesiąca suszę. Innego runa leśnego też nie. Ale dokonał pewnego odkrycia.

– Kiedy to zobaczyłem, pomyślałem najpierw, że to jakaś ogromna purchawka – relacjonował, wskazując na białą czaszkę leżącą na stoliku. – Czaszka była oblepiona mchem, więc wystawał tylko jej czubek.

– I co zrobiłeś? – zapytał Bäckström.

Oj, trochę pobladłeś, bracie, pomyślał.

– Nadepnąłem na nią. Tak jak się robi z purchawką. Żeby pękła i żeby się z niej kurzyło. Wtedy zorientowałem się, co to jest. Leżała przy samym wejściu do lisiej nory.

Bäckström pokiwał głową ze zrozumieniem. Wziął długopis, włożył go do oczodołu i podniósł czaszkę, żeby jej się lepiej przyjrzeć, nie zostawiając odcisków palców.

– Zrobiłem tak jak pan komisarz. Żeby nie zostawić śladów – powiedział Edvin. – Nie dotykałem jej – dodał.

– Jasne, że nie. Przecież obaj jesteście profesjonalistami, a nie jakimiś szalonymi prywatnymi detektywami.

Ten chłopak daleko zajdzie, pomyślał Bäckström, oglądając przyniesione przez Edvina znalezisko.

To była ludzka czaszka. Brakowało w niej dolnej szczęki, co nie było niczym szczególnym, biorąc pod uwagę, że czaszka już jakiś czas leżała na powietrzu. Poza tym była w świetnym stanie. Biała, bez resztek tkanki. Żadnych śladów narzędzi, które za pomocą ludzkiej ręki majstrowałyby przy niej. Również bez żadnych śladów zwierzęcych zębów. Jedyne ślady to, jak powiedział Edvin, mech i trawa, dłuższe źdźbło między przednimi zębami górnej szczęki i trochę ziemi. A więc nic nadzwyczajnego, zważywszy na okoliczności. Przez ostatnich dwieście lat w dolinie jeziora Mälaren całe rzesze szwedzkich archeologów dokonywały setek odkryć z okresu brązu, a nawet jeszcze starszych. Nie było zatem żadnego powodu, by osobnik z tak dużym doświadczeniem jak Bäckström miał się tym ekscytować. Gdyby nie mały okrągły otwór po kuli w prawej kości skroniowej na wysokości oczodołu.

– Kula wciąż tu jest – oświadczył Edvin i podał Bäckströmowi małą latarkę. – Słyszałem, jak brzęczy, kiedy wziąłem czaszkę do ręki, więc poświeciłem sobie latarką, żeby ją zobaczyć.

– Ach tak – odrzekł Bäckström.

Ostrożnie odwrócił czaszkę, przechylił ją na prawą stronę i też poświecił latarką. Kula tkwiła w czaszce, tak jak powiedział Edvin. Był to ołowiany pocisk bez łuski, prawdopodobnie kaliber .22. Otwór po wejściu kuli zakończony ostrymi kantami, ale żadnego śladu po wyjściu. Kula spłaszczyła się natychmiast po przebiciu kości skroniowej i teraz miała dwa razy większą średnicę niż przed wystrzeleniem. Była za duża, żeby wypaść z przestrzelonej dziury, została więc w czaszce osoby, którą uśmierciła. I to

był wystarczająco dobry powód, by znalazła się u Bäckströma. W dodatku na jego własnym prywatnym stole.

– Tak, no tak – powiedział Bäckström i odłożył czaszkę na stół. – Jak się do tego zabrać? Jako że to ty ją znalazłeś, Edvin, zaczynaj. Co ty na to?

Edvin skinął głową i z mniejszego napaśnika przymocowanego do paska wyjął mały czarny notes, a z kieszeni koszuli długopis. Poprawił okulary na nosie, dyskretnie odchrząknął i zaczął:

– Dziękuję, panie komisarzu. Myślę, że to była kobieta. Dorosła. Wiek między dwadzieścia a czterdzieści lat. Kiedy zmarła, oczywiście. Jestem prawie pewien.

– Skąd ta pewność?

Ten smarkacz trochę za bardzo się mądrzy, pomyślał Bäckström.

– Trochę googlowałem w autobusie, w drodze do pana komisarza – wyjaśnił Edvin, nie kryjąc zdziwienia, i na dowód pokazał swój iPhone.

– Nie chcę być namolny – odparł Bäckström – ale co spowodowało u ciebie tę pewność?

Wszystko, dosłownie wszystko przemawiało za tym, że było tak, jak powiedział Edvin. W pełni ukształtowana czaszka, z wyraźnymi szwami. Tak jak u dorosłego człowieka. Stałe zęby jak u osoby dorosłej. Żadnych mleczaków, które spotyka się u dzieci do trzynastego roku życia. To zdecydowanie była osoba dorosła.

– Skąd wiesz, że to kobieta? – zapytał Bäckström.

– Po pierwsze, rozmiar – odpowiedział Edvin. – Kobiety mają zazwyczaj mniejszą głowę niż mężczyźni, oczywiście przeciętnie. A ta byłaby za mała w stosunku do ciała mężczyzny. Chociaż zdarzają się różnice, nawet u mężczyzn.

To prawda, święta prawda, pomyślał Bäckström i zachęcająco pokiwał głową.

– Ale są też inne rzeczy – kontynuował Edvin. – Wysokie, zaokrąglone czoło. U mężczyzn często bardziej cofnięte i kanciaste. No i łuki brwiowe. U nas są bardziej wyraźne, u kobiet małe albo ich nie ma w ogóle. Kobiety mają okrągłe oczodoły. Jeśli pan komisarz dobrze się przyjrzy, to zobaczy, że górny brzeg oczodołu jest cienki i ostry. U mężczyzn jest znacznie szerszy i bardziej zaokrąglony. O brodzie nie możemy nic powiedzieć, bo brakuje dolnej szczęki.

– Jesteś tego zupełnie pewny?

Po co komu to Laboratorium Kryminalistyki, pomyślał Bäckström, gdzie całe tabuny idiotów łażą tam i z powrotem, nic nie robiąc, kiedy z powodzeniem mógłby ich zastąpić jego własny Edvin.

– Najzupełniej.

– Coś jeszcze ci przyszło do głowy?

– Nic nie wskazuje na to, żeby była alkoholiczką, kryminalistką czy coś w tym rodzaju. Myślę, że to porządna osoba, która prowadziła zwykłe życie. Ma, na przykład, białe i zupełnie zdrowe zęby. Ani jednej plomby. Żadnych dziur, ani śladu kamienia czy próchnicy. Nie ma też żadnych uszkodzeń na głowie. Chodzi mi o to, że nie wygląda, jakby ktoś ją pobił albo jakby uległa wypadkowi.

– I do tego wszystkiego doszedłeś w autobusie, googlując – skwitował Bäckström.

– Tak – potwierdził Edvin. – Nikogo prawie nie było, usiadłem z tyłu i nikt nawet nie widział, co robię. Poza tym droga do Kungsholmen zajęła mi ponad godzinę.

Na przodzie autobusu siedzieli pewnie jacyś dorośli idioci i nie myśleli o niczym innym, tylko o tym, co będą jeść na obiad, pizzę czy makaron, albo czy zdążą do monopolowego przed zamknięciem, pomyślał Bäckström. I podczas gdy oni zaprzętali sobie głowę głupotami, mały



Edvin siedział z tyłu autobusu i w spokoju, zgodnie z regułami sztuki, badał czaszkę, którą znalazł kilka godzin wcześniej. Dokładnie tak, jak ja bym to zrobił, pomyślał Bäckström. Jeszcze jest jakaś nadzieja dla ludzkości. Mimo że, jak nakazuje zdrowy rozsądek, już dawno nie powinno jej być.

– Czy jest jeszcze coś, o co zapomniałem cię zapytać? – dodał Bäckström.

Chyba jedna rzecz, zdaniem Edvina, ale tu nie miał pewności, a raczej tylko się domyślał. To była bardziej intuicja.

– Co to takiego? – zapytał Bäckström.

– Wygląda na to, że nie urodziła się w Szwecji ani w Europie. To nie jest też czaszka typu kaukaskiego, jak to się nazywa w antropologii. Że pochodziła z Laponii też mało prawdopodobne.

– Zgadza się z tobą – powiedział Bäckström.

Częstotliwość występowania tych cholernych Lapończyków w dolinie Mälaren też na to nie wskazuje, na szczęście, pomyślał Bäckström.

– W takim razie skąd pochodzi? – spytał.

– Wydaje mi się, że z Azji – odpowiedział Edvin. – Tajlandia, Wietnam, Filipiny, może Chiny albo nawet Japonia. Ale to tylko moje domysły.

– Tę część zagadki – rzekł Bäckström – rozwiążemy, kiedy wyślemy do zbadania jej DNA.

– Tkanka zębowa. – Edvin pokiwał głową. – Zważywszy na to, w jakim jest stanie, powinno się udać.

– Masz rację – zauważył Bäckström.

A czegoż innego mogłem się spodziewać? – pomyślał.

– Pozostaje najważniejsze pytanie – rzekł Edvin, stawiając krzyżyk w notesie.

– Co takiego? – zapytał Bäckström.

– Morderstwo czy samobójstwo?

– Tak, właśnie miałem cię o to zapytać. – Co tak naprawdę było czystym kłamstwem, bo jedyne, o czym myślał komisarz przez ostatnie kilka minut, to to, że najwyższy czas dolać sobie grogu. – I co o tym myślisz?

Prawdopodobnie samobójstwo. Sądząc po otworze, przez który weszła kula, i po kącie oddania strzału w kość skroniową. Może nawet lufa była przystawiona do samej głowy, jeżeli bronią, jakiej użyto, był pistolet lub rewolwer, a nie karabin. Poza tym samobójstwo przy użyciu broni jest częstsze niż morderstwo, choć to mężczyźni z reguły odbierają sobie życie w ten sposób. Jeżeli otwór po strzale byłby w podniebieniu górnej szczęki, Edvin byłby raczej pewien, że nie chodzi o morderstwo.

– A jak tobie się wydaje – nalegał Bäckström. – Jak? Gdzie? Kiedy? Zapewne wiesz, że wszystkich o to zamięczam.

Trzeba skorzystać z okazji, pomyślał Bäckström, zanim mały Edvin wróci gdzieś do swojej galaktyki w przestworzach. Do miejsca, gdzie się już wie to, nad czym inni, włączając, niestety, jego samego, muszą się nieźle nagłowić.

Zdaniem Edvina to było morderstwo. Kierując się policyjną regułą, która zakłada, że tak jest, kiedy sprawa wydaje się niejasna lub gdy bez cienia wątpliwości udowodniono, że jest wręcz przeciwnie.

– Jak to pan komisarz lubi powtarzać: zakładaj morderstwo, dopóki nie zostanie udowodnione jego przeciwieństwo – powiedział Edvin i skinął głową.

Edvin nie miał już nic więcej do dodania. Oprócz tego, że miejsce, w którym znalazł czaszkę, nie było miejscem zbrodni. Czaszka została tam po prostu znaleziona. A ponieważ leżała przy lisiej norze, Edvin sądził, że ciało początkowo było zakopane lub schowane gdzie indziej na wyspie. Do najbliższego brzegu było najwyżej sto metrów, sporo miejsc, gdzie można

ukryć ciało, po co więc taszczyć je dalej bez potrzeby? Tak, to miejsce znalezienia czaszki, nie miejsce zbrodni.

– Znam to miejsce – wyjaśnił Edvin. – Rosną tam głównie krzaki i zarośla. Prawie jak w dżungli. Nikt by nie taszczył tam ciała.

– A miejsce zbrodni? – zapytał Bäckström.

– Może łódka – zasugerował Edvin. – W każdym razie uważam, że to się stało latem, kiedy dużo się żegluje po Mälaren.

Też tak uważam, pomyślał Bäckström, zadowolając się skinięciem głowy. Co trzeba zrobić, żeby się pozbyć ciała z łódki? W nocy trzeba zarzucić kotwicę w jakiejś odpowiedniej zatoczce. Pewnie podczas łowienia śledzi i popijania wina baba, którą zabrał z sobą, zaczęła się wyklócać. Więc wziął pistolet, który miał na łódce, i strzelił jej prosto w łeb, definitywnie kończąc wszelkie dyskusje. Po co sobie komplikować życie bez potrzeby? – zastanawiał się Evert Bäckström.

– Kiedy to się stało? – zapytał.

W tej jednej kwestii – dotyczącej czasu, kiedy ów śmiertelny strzał został oddany – Edvin nie był do końca pewien. Pociski kaliber .22 istnieją od prawie stu trzydziestu lat, przeczytał to, kiedy googlował w autobusie, a takie informacje na ogół się zgadzają. Oprócz tego można znaleźć czaszki, które są w równie dobrym stanie, mimo że przeleżały w ziemi ponad sto lat. Ale jeśli Edvin miałby wybierać, to obstawałby przy tym, że chodzi tutaj o zabójstwo, do którego doszło, kiedy on już był na świecie. A więc w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– Jeśli miałbyś wybierać... – powtórzył Bäckström. – Co masz na myśli?

– No bo to ja ją znalazłem – powiedział Edvin. – Tak jest sprawiedliwie. Pan komisarz na pewno mnie rozumie.

## 5.

– Wielkie dzięki, Edvin – powiedział Bäckström i skinął uprzejmie głową swojemu gościowi. – Czy jest jeszcze coś, co mogę dla ciebie zrobić?

– Czy mógłbym dostać kanapkę? – zapytał Edvin. – Jestem trochę głodny.

– Ma się rozumieć – odpowiedział Bäckström z wyraźną życzliwością. – Mam szynkę, kiełbasę, pasztet i pewnie jeszcze coś się znajdzie. Śledzie, pastę z krewetkami i majonezem, kawior, wędzonego węgorza i łososa. Co tylko zechcesz.

– Dziękuję – odparł Edvin. – Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałbym zapytać.

– Słucham – zainteresował się Bäckström.

– Może powinniśmy porozmawiać z Furuhjelmem – rzekł Edvin.

– Furuhjelmem?

– To nasz komendant. Jest strasznie pedantyczny. Nic mu nie powiedziałem, że więcej. Nikomu nie mówiłem. O tym też nie – dodał Edvin i pokazał głową na torbę na stole.

– Dobrze zrobiłeś – stwierdził Bäckström. – Ludzie lubią dużo gadać, a to niech zostanie między nami. Nie martw się. Wszystko z nim załatwię.

– Co zrobimy z mamą i tatą? – zapytał Edvin.

– To też załatwię.

– O, to super – ucieszył się Edvin i wyraźnie się rozpromienił.

– A teraz już o tym nie myśl – odparł Bäckström. – I weź sobie coś do jedzenia.

Problemy, problemy, problemy, pomyślał Bäckström, kiedy tylko Edvin wyszedł z kuchni. Bez większego zagłębiania się w sprawę Bäckström widział mnóstwo kłopotów natury praktycznej, związanych z odkryciem, jakiego dokonał jego mały sąsiad, a które obecnie leżało na stole w jego pokoju i wymagało natychmiastowego podjęcia stosownych kroków. Zaletą tego typu problemów było to, że miały one ścisły związek z jego służbą. A ponieważ Bäckström był szefem, wystarczyło jedynie wskazać nie tylko palcem, ale i całą ręką, który z jego współpracowników wszystkim się zajmie.

Będę musiał to komuś oddelegować, pomyślał Bäckström. Zadzwonię do Anki.

Annika Carlsson była świeżo upieczonym inspektorem kryminalnym i „najbliższym człowiekiem Bäckströma” w Wydziale do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. Wśród kolegów nazywana była „Anką”<sup>1</sup>, a czy było to przezwisko, czy zdrobnienie, zależało od tego, kto je wymawiał. Niezależnie od wszystkiego, nazywając ją tak, rozsądniej było upewnić się, że nie ma jej w pobliżu i że nie słyszy.

Jak powiedział, tak też zrobił. Bäckström zadzwonił do Anniki i skrótowo wyjaśnił jej, co trzeba zrobić. Sporządzić zgłoszenie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, dopilnować, żeby ktoś przesłuchał dziesięcioletniego świadka, przekazać dyżurnemu technikowi przestreloną czaszkę i nabój. Plus to wszystko, co potrzebne do wszczęcia śledztwa w sprawie morderstwa.

– Edvin – powiedziała Anka. – Czy to ten twój mały sąsiad, którego wykorzystujesz jako chłopca na posyłki? Ten, który jest niewiele większy niż przynęta? Miły chłopak. Prawdziwy naiwniaczek.

– Nie rozumiem, jaki to ma związek ze sprawą – odparł Bäckström. – Chcę, żebyś się tym zajęła.

– To oczywiste. Wszyscy tego chcemy. Czy to wszystko? – zapytała Annika Carlsson, jak tylko Bäckström skończył.

– Tak. Plus to, że Edvin uciekł z tego swojego cholernego obozu skautów gdzieś w Ekerö. Więc trzeba też porozmawiać z nimi i z rodzicami chłopaka, żeby bez potrzeby nie zgłaszali jego zaginięcia.

– O wszystkim pomyślałaś, Bäckström – skonstatowała.

– A czy to jakiś problem?

O co jej chodzi, pomyślał.

– Więc pewnie teraz chcesz, żebym pojechała do ciebie i go przywiozła?

– Byłoby to praktyczne, nie przeczę.

– Tak, rzeczywiście – odpowiedziała Annika Carlsson. – Ty na dzisiaj wieczór masz już jakieś plany, które oczywiście nie obejmują twojego małego sąsiada.

– A co to ma do rzeczy – bronił się Bäckström. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że to ty masz dzisiaj dyżur?

– Masz rację, Bäckström. To ja dzisiaj jestem odpowiedzialna. Poza tym ty masz zawsze rację. Nawet jeśli jej nie masz.

– Świetnie. Więc na co czekamy?

– Widzimy się za pół godziny.

Leniwe osły, pomyślał Bäckström i odłożył słuchawkę. Zawsze muszą się odszczeknąć. Skąd oni się biorą? Chociaż w wypadku Anniki nie próbował znaleźć odpowiedzi na swoje pytanie. Dlaczego wszyscy muszą być policjantami, pomyślał i westchnął głęboko. Postanowił być wyrozumiały,

wziąć kilka głębokich oddechów i w tej sytuacji zrobić coś konstruktywnego. Nie pędzić do przodu, tylko powoli i spokojnie zrobić sobie porcję grogu. Potem na pewno wszystko się rozwiąże. Wiedział to z wieloletniego doświadczenia.

Najpierw jakiś lekki obiad w ukochanej knajpie w ścisłym odosobnieniu, a później do centrum, żeby oficjalną część wieczoru zakończyć w Jaskini Rozwodników, w barze Richie. Bäckström i jego Supersalami... To była od dawna sprawdzona marka, a ponieważ plotka roznosi się z szybkością światła, nie potrzeba było żadnej reklamy. Klientela zawsze spora, więc do woli można przebierać w kobietach, które przychodzą do baru, żeby ugasić swoje wewnętrzne pragnienie.

Ugasić pragnienie nie tylko w jednym aspekcie, pomyślał Bäckström.

## 6.

Pół godziny później, kiedy Annika Carlsson dotarła do domu Everta Bäckströma, udało jej się rozwiązać dwa problemy natury praktycznej i stworzyć kolejny.

Po pierwsze, zadzwoniła na komórkę komendanta obozu, Furuhjelma, zanim jeszcze wyszła z komisariatu, na wypadek gdyby był z tych, którzy lubią kontrolnie oddzwonić.

Nie zgłosił jeszcze zaginięcia Edvina. Wysłał natomiast paru starszych chłopców, żeby go szukali. Wcześniejsze doświadczenia nauczyły go, że uciekinierzy na ogół wracają, kiedy zgłodnieją. Furuhjelm miał do dyspozycji środki dyscyplinujące, które zamierzał zastosować dopiero wtedy, kiedy policja dostarczy Edvina na miejsce. Surowo traktował uciekinierów. Sprzeniewierzali się oni podstawowym wartościom ruchu skautowskiego: absolutnemu posłuszeństwu i niesieniu pomocy bliźniemu.

– Rozumie pani, że będę musiał zadzwonić do jego rodziców – powiedział Furuhjelm. – Zero tolerancji dla uciekinierów.

– A kto twierdzi, że on uciekł? – odrzekła Annika. – Przyjechał do nas, żeby złożyć zeznania. W ważnej sprawie. I jesteśmy mu bardzo wdzięczni, że zechciał nam pomóc. Niestety, niewielu dorosłych by tak postąpiło, ale Edvin to odważny młody człowiek.



– Składał zeznania? – zapytał Furuhjelm. – A w jakiej to sprawie, jeśli mogę zapytać?

– Oczywiście, że pan może zapytać – odparła Annika aksamitnym głosem. – Ale proszę nie liczyć, że otrzyma pan odpowiedź. Edvin pomaga policji w śledztwie, które właśnie rozpoczynamy. Dotyczy ono bardzo poważnego przestępstwa, więc proszę, aby te informacje zatrzymał pan dla siebie. Śledztwo jest objęte tajemnicą. Zrozumiano?

– Oczywiście. Ja tylko...

– Świetnie – przerwała mu Annika. – W takim razie zobaczy się pan z Edvinem jutro przed południem. Spotka się też pan ze mną i paroma kolegami z policji, żeby między innymi podpisać oświadczenie o nieujawnianiu tajemnicy śledztwa, gdyż będzie pan przesłuchiwany.

– Ale co ja powiem kolegom Edvina?

– Na pewno coś pan wymyśli. To chyba nie pierwszy raz, kiedy ktoś daje nogę z obozu. Prawdopodobnie wcześniej zdarzały się już takie przypadki.

– Na szczęście nie tak często.

– Tym lepiej – powiedziała Annika. – A teraz pozwoli pan, że skończę. Porozmawiamy jutro.

– Jutro będzie mi trudno – rzekł Furuhjelm. – Idziemy oglądać wykopaliska. I nie będzie mnie cały dzień.

– Okej – zgodziła się Annika. – Zakładam więc, że zajrzy pan do kalendarza i sam zaproponuje jakąś datę. Oby jak najszybciej.

– Oczywiście, oczywiście – odparł Furuhjelm. – Odezwę się. Obiecuję.

– Fantastycznie. Jesteśmy więc umówieni.

Niezły krętacz, pomyślała i zakończyła rozmowę.

## 7.

Już w służbowym samochodzie, w drodze do domu swojego szefa, Everta Bäckströma, Annika Carlsson, na jego polecenie, zabrała się do rozwiązywania problemów natury praktycznej, które spowodował mały Edvin. Musiała zadzwonić do rodziców chłopca i poinformować ich, co się przydarzyło ich synowi.

Rodzice Edvina byli na wakacjach u krewnych w Skanii, a ponieważ ich niepełnoletni syn miał być przesłuchiwany w charakterze świadka w sprawie o morderstwo, trzeba było zastosować się do kilku konkretnych reguł. Sam Bäckström – jak można się było spodziewać – zaproponował inne rozwiązanie, jeszcze bardziej praktyczne. A gdyby tak nakłonić Edvina, żeby co wieczór wysyłał rodzicom emotikon z uśmiechniętym słoneczkiem i w ten sposób zapewniał, że u niego wszystko w porządku, a całą sprawę wyjaśnić za tydzień, kiedy będą odbierali go z obozu...

– Nie ma co ich denerwować bez potrzeby – wyjaśnił Bäckström.

– Tak, oczywiście – zgodziła się Annika. – Świetny pomysł. To ty mu powiedz, żeby wysłał uśmiezek. I potem go przesłuchuj, żebym nie miała na karku Rzecznika Praw Dziecka.

– Coś ty taka wrażliwa. To tylko propozycja. Zrobisz, jak zechcesz. Ja się w to nie wtrącam.

– Świetnie, że się dogadaliśmy – skostatowała Annika i zakończyła rozmowę.

To dziwne. W jaki sposób ten facet, po trzydziestu latach w policji, wciąż tu jeszcze siedzi? Po tym wszystkim, co tu wyrabiał i czego nie zrobił, a powinien był...

Potem zadzwoniła do taty Edvina.

Wprawdzie Edvin nosił typowo szwedzkie imię, ale jego tata nazywał się Slobodan, a mama Duszanka. Byli imigrantami z Chorwacji. Przyjechali do Szwecji na początku lat dziewięćdziesiątych – byli wtedy niewiele starsi niż obecnie ich syn – w samym środku wojny, razem z krewnymi, którzy jeszcze mieli na tyle siły, by uciec. Osiedlili się tu i od dawna są obywatelami szwedzkimi.

Zważywszy na to, co ojciec Edvina przeżył w swojej starej ojczyźnie, to że w samym środku pięknego szwedzkiego lata jego syn znalazł na wyspie na Mälaren ludzką czaszkę, nie powinno na nim robić wrażenia. Nawet jeśli czaszka miała dziurę po kuli.

Annika w skrócie opowiedziała ojcu Edvina, co się stało. Slobodan słuchał w milczeniu. Pochrząkiwał przytakująco od czasu do czasu, nie wiadomo jednak dlaczego.

– I to by było tyle – podsumowała Annika.

– Ale z synem wszystko w porządku? – zapytał Slobodan.

– Ależ oczywiście – zapewniła Annika. – Chyba mu się to nawet spodobało. Teraz jest u Bäckströma i je kanapkę.

– Proszę go uściskać od taty – poprosił Slobodan. – I proszę mu powiedzieć, że myślę o nim.

– Obiecuję – odparła Annika.

Poza tym tata Edvina miał tylko jedną prośbę. Żeby Annika i Bäckström rozmawiali tylko z nim, nie z jego żoną.

– Po co ma się niepotrzebnie denerwować. Wie pani, tak dla świętego spokoju – wyjaśnił.

Jeszcze jeden troskliwy mężulek, pomyślała Annika.

## 8.

Annika zabrała Edvina, jego mały skórzany plecak w kolorze brązowym i plastikową torbę, która zawierała czaszkę martwej kobiety, i pojechała do komisariatu w Solnej, żeby przesłuchać chłopca. Zgodnie z zasadami postępowania przy przesłuchaniach nieletnich i według wszelkich prawideł sztuki. Wprawdzie bez obecności rodziców, ale za zgodą taty Edvina. Jako świadka przesłuchania pod nieobecność rodziców Annika powołała pracownika socjalnego, który pełnił w tym czasie dyżur.

Aby bez potrzeby nie przerywał rozmowy z Edvinem, Annika umieściła pracownika socjalnego w pokoju obok, gdzie na monitorze mógł obserwować przebieg przesłuchania. Przesłuchanie miało zostać przeprowadzone w formie dialogu nagrywanego na kasetę wideo. Odbyć się miało w specjalnym pokoju, przeznaczonym wyłącznie do przesłuchań dzieci. Annika skrupulatnie posprzątała wszystkie pluszaki i zabawki dla maluchów, żeby nie zawstydząć Edvina. Chłopak skończył już dziesięć lat i Annika doskonale pamiętała, że nie jest to bez znaczenia, kiedy jest się w tym wieku.

Edvin opowiedział o swoim znalezisku, a potem skupił się na tym, co najwyraźniej było najbliższe jego sercu, czyli na spostrzeżeniach i opiniach dotyczących ludzkiej czaszki, których zasięgnął za pośrednictwem

wyszukiwarki Google. Po wysłuchaniu ponadpięciominutowego wykładu Annika już nie mogła się dłużej powstrzymać. Co powiedział Bäckström, kiedy Edvin mu wszystko opowiedział? Kim była ofiara, kiedy jeszcze żyła?

Nie było w tym nic dziwnego, według Edvina. I on, i komisarz mieli na ten temat takie samo zdanie.

– Pan komisarz i ja najczęściej się zgadzamy – skonstatował Edvin.

– Pewnie chciałbyś w przyszłości zostać policjantem? – zapytała Annika.

– Tak, ale nie takim jak pan komisarz. Bardziej takim jak ci w *CSI*, które leci w telewizji – powiedział Edvin. – Bardzo mnie to interesuje.

– Brzmi nieźle – odparła Annika bez wgłębiania się w to, co by to konkretnie miało znaczyć.

Kiedy już omówili samo znalezisko, zabrali się do tego, o co Annika miała zapytać już na samym początku. A mianowicie gdzie dokładnie Edvin znalazł czaszkę i jak to się stało, że był sam na wysepce, na której dokonał swojego odkrycia. Dopiero teraz, przynajmniej przelotnie, Edvin zaczął przypominać zwykłego dziesięcioletniego chłopca.

„To okropne miejsce”. Na mapie nazwano ją Przeklętą Wyspą, chociaż w rzeczywistości to mała wysepka. Dużo mniejsza niż ta, na której Robinson Crusoe spotkał Piętaszka. Choć nie jest wcale skalista. Skaliste wysepki są z reguły bardzo małe. „Takie tyci, tyci”.

– Rozumiem – przytaknęła Annika. – Ale skąd ta nazwa? Przeklęta Wyspa. Wiesz może?

– Bo przynosi pecha. Tym, którzy się na niej znajdują – odparł Edvin ściszone głosem. – Poza tym tam straszy. Przynajmniej kiedyś straszło.

– Wierzysz w duchy? – zapytała Annika.

– Właściwie to nie wiem – zastanowił się Edvin i pokręcił przecząco głową. – Ale jeśli duchy istnieją, to większość z nich jest miła. Po prostu są nieszczęśliwe i dlatego tak krążą w kółko, mimo że są martwe.

– Też tak mi się wydaje – zgodziła się Annika. – Większość duchów jest miła. A ta wyspa, gdzie ona leży? Jeśliby się popłynęło łódką od obozu skautów?

– Pięć mil morskich na zachód od północno-zachodniej strony obozu – wyjaśnił Edvin i nagle zabrzmiał jak prawdziwy skaut.

– Musisz mi to pokazać na mapie – powiedziała Annika i się uśmiechnęła. – Nie jestem w tym dobra.

Według Edvina to wcale nie było trudne. Mila morska, czy też mila nautyczna, bo tak się właściwie nazywa, ma 1852 metry. A więc odległość od Przeklętej Wyspy do obozu to jakieś dziesięć kilometrów.

– Wyobraź sobie, że płyniesz łódką z prędkością pięciu węzłów na godzinę...

– To na miejscu jestem po pięciu minutach – odparła Annika.

– Neee – zaprotestował Edvin z nieskrywanym zdziwieniem. – To zajmuje godzinę.

– No tak, masz rację... Więc to musi być...

– A chcesz się nauczyć rozpoznawać kierunki? Zachód, północny zachód i tak dalej? – spytał Edvin, który wcale nie był pewien, czy Annika rozumie, o czym on w ogóle mówi.

– Jeśli o to chodzi, to trochę się orientuję. Wszyscy policjanci muszą umieć czytać kompas. Ale tylko na lądzie.

– Pan komisarz – stwierdził Edvin – na pewno jest w tym świetny.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytała Annika.

– Jest mistrzem świata w strzelaniu – pochwalił go Edvin. – Kiedyś zastrzelił gościa w naszym domu, który próbował go zabić.

– Tak, wiem – odpowiedziała Annika, która wtedy była na miejscu zdarzenia już pół godziny później. – Tak, w kierunkach też się dobrze orientuje. Pewne miejsca potrafi znaleźć nawet bez kompasu, z zamkniętymi oczami.

– Naprawdę? – Edvin zdziwił się i aż wytrzeszczył oczy. – Ale ty to chyba jesteś typowym szcurem lądowym, prawda?

– No tak – przytaknęła Annika. – Typowym. Ale teraz ty opowiadaj. W jaki sposób znalazłeś się na Przeklętej Wyspie?

Edvin poczuł się dość niekomfortowo z tym pytaniem, jednak coś z siebie wydusił. Komendant obozu, Gustav Haqvin Furuhjelm, który zdaniem Edvina nie tylko „dziwacznie się nazywał”, ale też „był dziwaczny”, powołał Edvina jako majtka na swoją żaglówkę. Wyprodukowana w Stanach, marki Sparkman & Stevens, długa na trzydzieści siedem stóp.

– Zaprojektowana przez firmę Sparkman & Stevens – wyjaśnił Edvin. – To drogie żaglówki – dodał i przewrócił oczami. – Kosztują miliony.

Razem z kilkoma kolegami z obozu Edvin miał się nauczyć żeglować na łodzi większej niż łupiny, w których spędzali zazwyczaj dni, pływając po zatoczce, podczas gdy Furuhjelm i jego współpracownicy, stojąc na pomoście, wydawali im instrukcje przez megafon. Edwinowi pomysł się spodobał. Wypłynąć na długą wycieczkę większą łodzią. Innymi słowy – mała odmiana w codziennej obozowej monotonii.

Niestety, wycieczka skończyła się nieco gorzej. Łódź Furuhjelma, długa na całe trzydzieści siedem stóp, według Edvina zaczęła się zachowywać w dość nieoczekiwany sposób, mimo że w porównaniu ze zwykłą łajbą była jak parowiec transatlantycki. Zaczęła się kołysać, podskakiwać, aż Edvin dostał choroby morskiej.

Po tym jak dwa razy zwymiotował na pokład, został wysadzony na wysepce i dostał zadanie specjalne: nazbierać grzybów, jagód i czego się



jeszcze da, żeby wzbogacić obozową dietę. W drodze powrotnej Łódź miała go zabrać z powrotem.

– Mimo że tam straszy... – zauważyła Annika. – To nie było miłe z ich strony.

– Nie – zgodził się Edvin. – Ale Furuhjelm jest dość surowy.

– Możesz mi o tym opowiedzieć? – zapytała Annika.

W najgorszym razie złożę na niego doniesienie, pomyślała.

Powody wątpliwości Edvina co do komendanta obozu były trzy.

Po pierwsze, z tego co szeptali jego koledzy w łózkach przed zaśnięciem, Furuhjelm miał mnóstwo pieniędzy, na co dowodem była jego żaglówka. Według jednego ze starszych kolegów Furuhjelm dostał te pieniądze od ojca, starego nazisty, który wzbogacił się podczas drugiej wojny światowej, kradnąc tysiące złotych zębów zamordowanym Żydom.

– A skąd on to wie, ten twój kolega? – dociekała Annika. – Muszę przyznać, że to brzmi dość dziwnie.

– Jego tata mówił – odparł Edvin z niezachwianą wiarą. – Pracuje w „Svenska Dagbladet”, więc myślę, że mówi prawdę. Mój tata twierdzi, że to jedyna gazeta godna zaufania. Inne gazety piszą same kłamstwa.

– A ja mimo wszystko myślę, że to nieprawda – wątpiła Annika. – Zastanów się, Edvin. Jaki ojciec wysłałby swoje dziecko na taki obóz? Z takim opiekunem? Czy coś jeszcze chcesz mi opowiedzieć? – dodała.

Jeszcze dwie rzeczy. Po drugie, Furuhjelm zachowywał się trochę dziwnie, a po trzecie, mówił też dziwne rzeczy.

– Czy możesz dać mi jakiś przykład? – zapytała Annika.

– Właściwie to on jest bardzo surowy – powiedział Edvin.

– Daj mi jakiś przykład – powtórzyła.

Po wieczornym pływaniu, na przykład, kiedy stali pod ciepłym prysznicem, żeby spłukać z siebie słoną wodę i żeby umyć się przed

pójściem spać, Furuhjelm chodził między Edvinem a jego kolegami i smagał ich po tyłkach mokrym ręcznikiem. Żeby nie marnowali tyle ciepłej wody.

– Może dba o środowisko – zauważyła Annika.

Albo lubi smagać chłopców po tyłkach, pomyślała.

– Tak, może, tyle że on też mówi bardzo dziwne rzeczy – rzekł Edvin, choć niechętnie.

– Pewnie nie chcesz o tym mówić, bo to dla ciebie trudne – powiedziała Annika.

– Najchętniej nie – odparł Edvin.

– To zupełnie w porządku, Edvin – zapewniała Annika. – I tak już mi dużo powiedziałaś... Wygląda na to, że ten Furuhjelm nie jest taki znów fajny.

– No tak...

– Co powiesz na to, żeby dzisiaj u mnie przenocować, a jutro ty, ja i jeszcze inni policjanci pojedziemy na tę wyspę i pokażesz nam, gdzie znalazłeś czaszkę?

– Super – ucieszył się Edvin. – Mega super.

– Świetnie – odpowiedziała Annika. – Ale mam jeszcze do ciebie jedno pytanie. Jeślibyśmy chcieli popłynąć na tę Przeklętą Wyspę z obozu, to ile czasu zajęłaby nam droga?

– Dziesięć minut – odparł Edvin. – Najwyżej.

– W takim razie jutro nam pokażesz – powiedziała Annika. – Weźmiemy policyjną łódź i razem z innymi policjantami tam popłyniemy.

– Na pewno? – zapytał Edvin i zrobił wielkie oczy.

– Na pewno. Zabierzemy też psa policyjnego. A może nawet dwa. Zobaczymy.

– Jeden pies wystarczy – zgodził się Edvin i pokiwał głową. – Wie pani, że nasz nos i nasz węch jest wielkości znaczka pocztowego? A niech pani zgadnie, jak duży jest zmysł węchu u psa?

– Nie wiem – odpowiedziała Annika i pokręciła głową. – Jak duży?

– Jak boisko do piłki nożnej – oznajmił Edvin. – Mimo że nos człowieka może być większy niż nos psa.

– To fantastyczne – stwierdziła Annika.

– Tak – zgodził się Edvin. – Aż trudno uwierzyć.

## 9.

Po zakończonym przesłuchaniu Annika i Edvin poszli do laboratorium, by zostawić czaszkę młodszemu aspirantowi Jorge Hernandezowi, który tego wieczoru miał dyżur. Pochodził z Chile i wśród kolegów nazywany był Chico. Zresztą bez najmniejszej złośliwości, mimo że po hiszpańsku to taki jakby „smarkacz”.

– Kula jest w środku – powiedziała Annika. – Jeśli ją wydłubiesz i dasz mi na razie chociaż pobieżną ekspertyzę, będę uszczęśliwiona. A to jest właśnie Edvin. To on znalazł czaszkę, kiedy zbierał grzyby.

– *Nemas problemas* – odpowiedział aspirant. – To nie po hiszpańsku, tylko po serbsku, jeśli jesteś ciekawa. Tak czy owak, nie ma problemu. Będziesz to miała w swoim komputerze w ciągu godziny. Dzisiaj przez cały wieczór spokój. Żadnych umarłaków ani postrzelonych. Nawet łuski po kuli do zbadania. Nic. – Chico skinął głową na Edvina, poklepał go po ramieniu i podziękował za pomoc.

– Dzięki – odpowiedział Edvin i spuścił wzrok onieśmielony.

– Czy to przypadkiem nie ty jesteś sąsiadem Bäckströma? – zapytał Hernandez.

– Tak – odrzekł Edvin. – Komisarz i ja mieszkamy po sąsiedzku.

– Dużo o tobie opowiadał. Mówił, że fajny z ciebie gość. Jak będziesz szukał miejsca na praktyki, daj znać – powiedział Hernandez i uśmiechnął

się do Edvina. – Załatwimy ci coś bez trudu.

Annika skinęła głową. Podziękowała, zabrała Edvina i wróciła do swojego biura. Podczas gdy Edvin na wpół leżał w fotelu przeznaczonym dla gości i bawił się swoim iPhone'em, Annika zabrała się do załatwiania przez telefon spraw związanych z nowym śledztwem, które wspólnie z Bäckströmem mieli rozpocząć następnego dnia rano.

Najpierw sporządziła doniesienie o „możliwym popełnieniu przestępstwa”. Następnie do szefa wydziału kryminalnego komendy w Solnej, komisarza Toivonena, wysłała mailem prośbę o więcej personelu. To będzie trudne śledztwo: niezidentyfikowana ofiara, a identyfikacja często wymaga dużych nakładów. Dlatego w trybie pilnym będą potrzebować posiłków.

Potem zadzwoniła do Petera Niemiego, szefa pionu technicznego komisariatu w Solnej, i wyjaśniła, o co chodzi.

– Zajmę się tym – przerwał jej Niemi, zanim zdążyła dokończyć. – Potrzebuję się trochę ruszyć po urlopie, pooddychać świeżym powietrzem. Pozbyć się komarów, których pełno u nas w Tornedalen.

– Dziękuję – odpowiedziała Annika. – Jesteś prawdziwą opoką.

Na końcu zadzwoniła do policji wodnej, która miała zorganizować transport na Przeklętą Wyspę. Z tym też nie było problemu. Jedna z ich łodzi stała zakotwiczona w Mariefred po tym, jak koledzy z Sörmlandii poprosili o pomoc w poszukiwaniu topielca pod Strängnäs. Annika dostała numer telefonu do kapitana łodzi.

– Najprościej będzie, jak sama z nim uzgodnisz wszystkie szczegóły. Dam ci jego komórkę.

– Szczerze mówiąc, jesteśmy już na miejscu – powiedział kapitan. – Co ty na to, żebyśmy zabrali was spod obozu od strony Ekerö? Powiedz tylko o której godzinie.

– Może jutro o dziewiątej rano? – zapytała Annika, mając na względzie Edvina i jego zapotrzebowanie na sen.

– Będzie można dłużej pospać – odpowiedział kapitan. – Nie mam nic przeciwko temu.

Dziewiąta rano to środek nocy dla Everta Bäckströma, pomyślała Annika, kończąc pracę.

Nareszcie koniec, pomyślała, spojrzała na Edvina i się uśmiechnęła.

Chłopak wydawał się zaskakująco ożywiony, mimo że dochodziło wpół do dziesiątej, a on od wczesnego ranka był na nogach.

– W porządku, Edvin? – zapytała. – To co, pojedziemy do mnie i wyśpimy się porządnie na jutro rano?

– W porządku – zgodził się Edvin. – Ale jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałem zapytać.

– Szczoteczka do zębów, piżama – zgadywała Annika. – O to się nie martw. Coś załatwię.

– Nie, nie o to chodzi – sprostował Edvin i pokręcił głową. – Piżamę i szczoteczkę wziąłem z obozu. Mam w plecaku.

– Więc co to takiego? – zapytała Annika. Edvin to bezsprzecznie przezorny młody człowiek.

– Ciekawy jestem, czy możemy po drodze kupić hamburgera. Jestem trochę głodny.

– Oczywiście – powiedziała Annika z uśmiechem. – Ja stawiam. Jedziemy do McDonalda czy do Maxa?

– Do Maxa – zawyrokował Edvin. – Mają tam najlepsze hamburgery na świecie. Wie pani dlaczego?

– Nie, powiesz mi?

– Dzięki tajemnej recepturze – powiedział Edvin ściszonego głosem. – To wielka tajemnica, ale jeśli pani chce, to powiem, pod warunkiem że

nikomu jej pani nie zdradzi. Tata mi powiedział.

– Obiecuję – rzekła Annika.

– Właściciel Maxa jest Lapończykiem czy raczej Saamem, jak to się poprawnie mówi – poinformował Edvin.

– Lapończykiem? A raczej Saamem?

– Teraz nie mówi się Lapończyk – wyjaśnił Edvin.

– Tak, wiem – odpowiedziała Annika. – Więc co z tym Saamem, właścicielem Maxa?

– Hoduje mnóstwo reniferów. Ogromną liczbę. Więc kiedy miele mięso na hamburgery, zawsze dodaje trochę mięsa reniferów. I dlatego jego hamburgery są takie dobre. Ale to wielka tajemnica.

– Obiecuję, że nie pisnę ani słowa – powiedziała Annika.

Tata Edvina raczej nie przeczytał tego w „Svenska Dagbladet”, pomyślała.

Edvin pochłoniął swojego hamburgera zaraz po wejściu do samochodu, a ostatnią czynnością, jaką wykonał, było dokładne zlizanie majonezu z palców. Annika w tym czasie parkowała samochód pod domem.

Ciekawe gdzie on to wszystko mieści, pomyślała. Kanapka, którą zjadł u Bäckströma, też była niczego sobie. Prawie ten sam rodzaj i rozmiar jak te, które zabiły Elvisa Presleya. No i teraz, kilka godzin później, ogromny hamburger... A on wciąż chudy jak nitka, mimo że pożarł całą kozę. Czy raczej renifera.

Podczas gdy Annika ścieliła sofę w dużym pokoju, Edvin zniknął w łazience. Z dochodzących odgłosów można było wywnioskować, że bierze prysznic i myje zęby. Pięć minut później był gotowy. Ubrany w piżamę, na którą ktoś, prawdopodobnie mama, naszył godło obozu

skautów. Za stary na misia, pomyślała Annika, która była już ciotką i nie narzekała na brak propozycji zajmowania się siostrzeńcami i bratankami.

Edvin podziękował za koc, który mu zaproponowała. Samo prześcieradło wystarczy. Wyłączył swój telefon i położył na stoliku przy sofie.

– Ja śpię tam. – Annika pokazała na otwarte drzwi sypialni. – Jeśli będziesz czegoś potrzebował, wołaj.

Znalazł czaszkę zastrzelonej osoby, a przecież ma dopiero dziesięć lat, pomyślała.

– Okej – odparł Edvin, zamrugał oczami i przekręcił głowę na poduszce.

– Obiecuję, że nie będę chrapać – rzekła Annika, uśmiechnęła się i pochyliła nad łóżkiem Edvina.

Bez odpowiedzi. Już spał. Zasnął szybko, jakby zdmuchnąć świecę. Zamyśliła się.

Tej nocy to ona miała problem z zaśnięciem. Prawie nigdy jej się to nie zdarzało, niezależnie od tego, co robiła w ciągu dnia. Najpierw trochę drzemała, krążąc między jawą a snem. Po godzinie wstała i cicho weszła do pokoju gościnnego. Panowała ogłuszająca cisza. Edvin spał. Nieruchomo, na boku, prześcieradło do połowy ściągnięte, poduszka pod brzuchem. Nawet nie było widać, czy oddycha.

Do diabła, pomyślała, patrząc na Edvina. Weź się w garść. Żadnych dzieci. *Remember.*

Potem wróciła do łóżka. W końcu zasnęła i obudziła się dopiero sześć godzin później. Edvin jeszcze spał. Spocony na czole, prześcieradło na podłodze, poduszka wciąż pod brzuchem. Najwyższy czas zrobić jakieś porządne śniadanie, pomyślała.



## 10.

Podczas gdy Annika zajmowała się sprawami natury zawodowej, Bäckström szedł spacerem do swojej ukochanej knajpy, aby spożyć jakąś prostą kolację. Knajpa – od dawna część jego codziennej rutyny – leżała w dogodnej odległości od domu, ale czy trafiłby tam z zamkniętymi oczami, nie był pewien.

Bez szaleństw, to przecież normalny dzień w środku tygodnia. Na początek jedynie kanapka z kawiozem i sałatką z krewetek, następnie dobrze zamarynowany kotlet wieprzowy z grilla, z grubym płatem tłuszczu, do tego, zamiast warzyw, młode ziemniaki z wody obficie polane masłem czosnkowym. Do picia, jak zwykle, czeski pilzner i rosyjska wódka. Skromna wieczerza pod koniec kolejnego dnia w życiu komisarza kryminalnego.

Podczas posiłku Bäckström oddawał się wzniosłym rozmyśleniom o dzieciństwie, najprawdopodobniej przywołanym przez spotkanie z Edvinem. Nawet on mógł się pochwalić przeszłością w ruchu skautowskim. Zadbał o to jego tata, alkoholizowany starszy posterunkowy. To było ważne ogniwo w wychowaniu doskonalącym charakter młodego Everta, jedyna droga do kształtowania cnót i obowiązków, które według taty, powinny być nieodzowne w życiu każdego młodego szwedzkiego obywatela.

Bäckström – wtedy niewiele starszy niż Edvin teraz – nie miał wyboru. Gdyby miał, najchętniej zostałby w domu na Söder. I chuliganił, kradł w pobliskim sklepiku należącym do prawie zupełnie ślepego właściciela, palił po kryjomu i jeździł motorynką, mimo że był wtedy na to za mały.

Wakacje to był czas, kiedy nie musiał chodzić na wagary ani w ogóle myśleć o szkole, zazwyczaj. Jednak nie tego lata, kiedy tata zmusił go do zapisania się do skautów i już tydzień po zakończeniu roku szkolnego zadbał o to, żeby mały Evert pojechał na obóz do Tyresö. Dziura zabita dechami, przynajmniej w tamtych czasach.

Jeszcze przed wyjazdem, ubrany w niebieski mundur, musiał złożyć przysięgę skauta. I przysiąc wierność wobec Boga, Króla i Ojczyzny. Że będzie nieść pomoc bliźnim i niewolniczo podporządkuje się regulaminowi skautowskiemu. Ojciec małego Everta odpowiadał za dostarczenie syna na miejsce i oddanie w ręce komendanta obozu. I jeśli Evert Bäckström byłby innym człowiekiem, niż był, mogłoby się to dla niego naprawdę źle skończyć. Na szczęście zrobił wszystko, żeby już po tygodniu zostać relegowany z obozu, co było rekordem nawet w drużynie z Tyresö, której wysokie morale, jeszcze przed przybyciem Bäckströma, było co najmniej dyskusyjne.

Kiedy Bäckström został dostarczony na obóz, miał z sobą sporą ilość kontrabandy, między innymi procę, okarynę, finkę, najnowszy model pułapki na szczury, tabakę i papierosy, a nawet pokaźny plik gazetek pornograficznych, które zwędził ze sklepiku ślepego właściciela. Krótko mówiąc, miał wszystko, co trzeba, żeby oswoić nowe otoczenie, a oprócz tego trochę zarobić, skoro i tak musiał tam siedzieć.

Już pierwszego dnia pobytu otworzył klub czytelnika. Za niewielką opłatą koledzy mogli posmakować owoców literatury, które Bäckström przywiózł, i na przekór wszelkim obietnicom służenia jedynie Bogu,

Królowi i Ojczyźnie spotkał się z takim popytem, że przekraczało to jego najbliższe ekonomiczne oczekiwania.

Jeden z kolegów, kilka lat starszy, w ciągu zaledwie paru dni wydał wszystkie pieniądze, które dostał od rodziców. Miały wystarczyć na całe wakacje, ale skończyły się już po trzech dniach intensywnej przynależności do klubu czytelnika. Zupełnie spłukany, nie mógł liczyć na żadną pomoc.

Nie ma gotówki, nie ma czytania, powiedział Bäckström i pokręcił swoją okrągłą głową, na które to słowa jego najwierniejszy klient się załamał. Poszedł do komendanta obozu, doniósł na Bäckströma i płacząc, zwierzył się, jak to Bäckström wykorzystał jego uzależnienie.

Komendant, który miał już go na oku, nie tracił czasu. Bäckström został usunięty z drużyny z powodu demoralizacji i wykroczenia przeciw regulaminowi skauta, i już w weekend ojciec musiał zabrać swojego pierworodnego do domu na Söder. Gazetki zarekwirował, prawdopodobnie wylądowały w kawiarence na komendzie policji w Marii, procę i inne rzeczy Evert mógł zatrzymać, jeśli obieca, że zajmie się kotem sąsiadów, który przeszkadza ojcu w nocnym wypoczynku.

Zakaz czytania gazetek to z pewnością właściwy krok zapobiegawczy dla przyszłego seksoholika, pomyślał Evert Bäckström pięćdziesiąt lat później, westchnął z samozadowoleniem i opróżnił kieliszek. Wspomnienia, dobre, stare wspomnienia, pomyślał, ale najwyższy czas zamówić kawę i mały koniaczek przed wizytą w bardziej centralnych częściach Królewskiej Stolicy.

Kiedy miał płacić rachunek, dostał od Anniki Carlsson wiadomość, która tak bardzo zakłóciła jego błogi spokój, że przed wyjściem zmuszony był zamówić jeszcze jeden mały koniak.

Zbiórka o ósmej rano... Przecież to środek nocy. Jeśli ma zdążyć ze śniadaniem, higieną osobistą i ubraniem się, będzie musiał wyskoczyć

z łóżka już przed szóstą. Zapomnij, pomyślał i pokręcił głową. Dopił reszkę koniaku, zapłacił rachunek, zamówił taksówkę i pojechał do barów przy Stureplan.

## 11.

Potem wszystko potoczyło się tak jak zwykle dla komisarza Bäckströma.

Najpierw, przed portem docelowym tego wieczoru, zahaczył o Sturehof. Lokal był wypełniony najwyżej do połowy. Głównie buraki w średnim wieku, które przyjechały do Sztokholmu na wakacje. Po drodze zatrzymali się pewnie w jakimś centrum handlowym, żeby się obkupić przed wizytą w stolicy. Długo tu nie zabawię, pomyślał. Zamówił piwo, za które zapłacił od ręki, i wyszedł, zanim jeszcze je wypił.

Tragedia, pomyślał, kiedy już był na ulicy. Czy to taki problem włożyć dobrze skrojony lniany garnitur czy ręcznie robione włoskie buty i najzwyklejszy rolex?

Pięć minut później – mniej więcej wtedy, kiedy Annika Carlsson szykowała Edwinowi spanie i wreszcie sama mogła się położyć w swoim łóżku w Råsundzie – Bäckström zajął miejsce w Jaskini Rozwodników, w Richiem, i wreszcie wszystko było po staremu.

Tam pozwalał, by damska publika adorowała go i zapraszała na orzeźwiające drinki.

Bäckströmowe Supersalami – oto odpowiedź na wszystkie najskrytsze marzenia kobiet. To sprawdzona marka. Volvo może się schować. No bo kto chciałby kotłować się na tylnym siedzeniu tego chińskiego samochodu,

kiedy wygodnie leżąc we wspianym Bäckströmowym łożu, może za pomocą jego Supersalami znaleźć się w siódmym niebie?

Niewiele z tych tutaj, pomyślał Bäckström, otoczony tłumem żądnych przygód kandydatek, które mężów i dzieci wysłały na wieś, by móc znaleźć się w siódmym niebie, tam gdzie jeszcze nie były.

À propos znaku firmowego, pomyślał Bäckström. Taka Ikea, na przykład, też się może schować, mimo że zarobiła górę pieniędzy na regałach, które trzeba samemu składać. Zresztą, chyba tylko idioci czytają książki. Człowiek z krwi i kości, jak on sam, żyje siłą własnych doświadczeń. A jeśli nie podoba mu się to, co przeżył, wystarczy po prostu zapomnieć.

Dobrego życia nie nauczymy się z książek, które stoją na regale Billy z Ikei. Z poradników, jak schudnąć, jak pomóc sobie samemu, jak założyć własną firmę, jak kupić psa i jak stać się w pełni człowiekiem, czy kryminalów i innego badziewia. Takie półki kupuje tylko splukany idiota, którego nie stać na porządne angielskie regały z drewna cedrowego czy palisandru.

Bäckström, wręcz przeciwnie, ma u siebie w gabinecie plastikowy angielski regał, na którym trzyma szybko powiększającą się kolekcję miniaturowych buteleczek z wódką z całego świata. Książki to przereklamowany towar dla życiowych nieudaczników. Bäckström sam przestał czytać, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że jego ulubionego pisarza, jedyne go godnego przepustki na parnas szwedzkiej literatury, dopadł najwyraźniej kryzys życiowy i zaczął pisać książki dla gejów.

Co się stało temu Hamiltonowi? – zastanawiał się. Walka o wyższą sprawiedliwość, nie wspominając już o bezpieczeństwie kraju, wymaga wielu wyrzeczeń, a już ganień z kodeksem prawa pod pachą, kiedy toczy

się taką walkę, to przecież czyste samobójstwo. Bäckström zna to z własnego doświadczenia.

To prawda, że jego były kolega Hamilton<sup>2</sup> przypadkiem pozbawił życia swoją przyjaciółkę, co najwyraźniej stanowi skutek doznania uszczerbku na zdrowiu w czasie służby, ale to się zdarza nawet najlepszym, a sam Bäckström w swoim codziennym życiu doświadczył gorszych rzeczy.

Tyle że to już głębsze przemyślenia, które lepiej zostawić osobnikom usposobionym filozoficznie, pomyślał Bäckström i pokiwał głową, sącząc wódkę z tonikiem i słuchając jednym uchem błagalnych szeptów otaczających go młodych kandydatek.

Bäckström opuścił Richie tuż przed zamknięciem, i to w zupełnie dobrym stanie. Wprawdzie wieczór był jeszcze młody, ale za kilka godzin zacznie się nowy dzień pracy, pełen wyzwań i niespodzianek. Bäckström to mężczyzna dbający o swoją reputację, niemniej jednak postanowił wypróbować coś nowego. Mianowicie niedużą prawniczkę o żywym spojrzeniu i z uroczą przerwą między przednimi zębami, pracownicę urzędu podatkowego. A jeśli zdarzyłoby się, że nie dałaby rady szaleńczemu galopowi jego Supersalami, zawsze może ją wykorzystać w innym kontekście. Na przykład poprosić o poradę, w jaki sposób uniknąć działalności konfiskacyjnej, której oddaje się jego pracodawca.

Godzinę później, po zaliczeniu tego towaru, Bäckström postawił jej taksówkę do domu na przedmieściu. W dziesięciostopniowej skali to była mocna szóstka, jednak nie na tyle, żeby ją odwozić. Być może w przyszłości, jeśli nadarzy się okazja, możliwa byłaby ponowna wizyta u właściciela tego superłoża, ale wtedy z własnym transportem. Mały całus w policzek, tylko w policzek, żeby w tej małej główce nie robiła sobie

żadnych nadziei, potem szybkie cześć, cześć, bo Bäckström miał na głowie nowe śledztwo, które na niego czekało.

Obowiązek wzywa, pomyślał, i kiedy tylko zamknął za nią drzwi, wrócił do łóżka i natychmiast zasnął.



## 12.

Obudził się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Annika Carlsson przysłała mu drugi esemes. Tym razem za kwadrans ósma, w środę rano. „I co, jedziesz z nami? Wyruszamy za piętnaście minut”.

Bäckström westchnął, pokręcił głową i wysłał jej krótką odpowiedź. „Własny transport. Widzimy się na miejscu”. Powinna to zrozumieć nawet ona, i nie zaszkodziłoby trochę staroświeckiej uprzejmości, pomyślał. W końcu to on jest szefem. Następnie wykonał telefon do jednego ze swoich starych kontaktów, obiecał wynagrodzenie, takie jak zwykle, i umówił się na spotkanie za mniej więcej godzinę.

Spożył solidne śniadanie, przygotował sobie wałówkę i inne niezbędne na tę okoliczność wyposażenie, po czym udał się do łazienki w celu zadbania o higienę osobistą. Potem spakował kanapki, kalosze i odzież na zmianę, tak na wszelki wypadek. I olejek przeciw komarom, oczywiście. To absolutna konieczność, kiedy przebywa się poza miastem. No i dodatkowe kanapki, i oranżadę dla małego Edvina. Jeśli Anka zapomni swojego prowiantu, to najwyżej tylko ona padnie z głodu. Poza tym jeszcze parę innych rzeczy, które Bäckström zawsze zabierał, gdy opuszczał mieszkanie: mały czarny notes, w którym robił notatki, metalowy rolex, którego używał na służbie i w terenie, pieniądze, karty, dwie komórki, pastylki do ssania i małą piersiówkę, którą przechowywał w specjalnej kieszeni marynarki.

I w końcu swojego wiernego przyjaciela siggego w towarzystwie zapasowego magazynku.

Kiedy wyszedł na ulicę, taksówka już czekała. Usiadł na tylnym siedzeniu. Zawsze tak robił, żeby nie prowokować kierowcy do wyznań i gadania bez sensu.

– To zaszczyt wieść pana komisarza – powiedział kierowca, który widocznie nie zrozumiał przekazu. – Dokąd pan komisarz sobie życzy?

– Do Karolinskiej – odpowiedział Bäckström.

– Mam nadzieję, że nic poważnego się nie stało, panie komisarzu?

Skurczybyk, nawet się obejrzał, żeby zobaczyć.

– Teraz absolutna cisza – oznajmił Bäckström.

Idioci, pomyślał. Skąd się biorą tacy pomyleńcy i dlaczego wszędzie ich pełno?

Annika miała ręce pełne roboty i mimo że wydawało jej się, że wszystko zaplanowała w najmniejszym szczególe, to z komisariatu w Solnej wyjechali trzema samochodami z Edvinem i tuzinem współpracowników pół godziny po umówionej godzinie. Ona była wściekła, za to Edvin zadowolony i pełen wyczekiwania. Aż mu oczy błyszczały. Jedyne, co go martwiło, to „gdzie się podział pan komisarz”.

– Dojedzie sam – wyjaśniła Annika. – Niedługo się z nim spotkasz.

– Super, bo już się nie mogę doczekać.

Kto cię dzisiaj nakarmił i dał ci czyste ubranie, pomyślała Annika, która poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Jak to możliwe, że jeszcze nikt nie ukatrupił tego grubasa? – dodała w myślach.

Korki po drodze zajęły im następne pół godziny i kiedy w końcu dotarli, mieli już godzinę opóźnienia. W obozie było pusto. Komendant i jego podopieczni pojechali na wycieczkę autokarową na wyspę Helgö do dawnej

wioski wikingów. Na miejscu zostało tylko dwóch nastolatków, żeby pilnować obozu i naprawić żaglówkę, w której podczas wczorajszego żeglowania popsuł się ster.

Chociaż pękali z ciekawości, żaden o nic nie zapytał, mimo że Edvin był ich kolegą, i to najmłodszym na obozie. Edvin był bardzo oficjalny. Zanim odmaszerował w kierunku łodzi policyjnej, kciukiem i małym palcem prawej ręki zrobił znak skautowski.

Po odczepieniu łodzi od pomostu Annika przeprosiła kapitana.

Drobnostka, jeśli nic ważnego się nie wydarzy, łódź wraz z załogą będzie do jej dyspozycji, poza tym transport do domu też będzie miała zapewniony, więc nie musi się martwić.

– Jak rozumiem, chodzi o to znalezisko? – zapytał ściszym głosem kapitan i z jakiegoś powodu zerknął na Edvina.

– To czaszka – potwierdziła Annika. – I to nie żadne historyczne wykopalisko.

Tyle przecież mogę mu powiedzieć, pomyślała.

– Czaszka, którą znalazł ten chłopak, kiedy zbierał grzyby?

– Zgadza się. I zupełnie dobrze sobie radzi. Uważa, że to świetna przygoda.

– I to akurat tam, na Przeklętej Wyspie... – Kapitan pokiwał głową. – Wiesz, dlaczego tak się nazywa?

– Edvin opowiadał, że tam straszy – wyjaśniła Annika z uśmiechem.

– To jeszcze nie wszystko.

– No to mów – poprosiła Annika.

Pod koniec dziewiętnastego wieku, latem, kiedy wyspa na dobre się zazieleniła, okoliczni chłopcy wypasali tu na łąkach swoje bydło. Krowy, owce, kozy, czasami konie, żeby odpoczęły po odpięciu od pługów. To mała wyspa, a raczej wysepka, jakieś sto hektarów, ale wystarczająca dla

kilkudziesięciu krów i trochę większej liczby owiec i kóz. Do tego piękny krajobraz gratis. Zanim wyspa dostała swoją nazwę, przez kilka stuleci mówiono o niej po prostu „pastwisko”. Dopiero jakieś sto lat temu zaczęły się tam dziać dziwne rzeczy. I wtedy została nazwana Przeklętą Wyspą.

– Pod koniec dziewiętnastego wieku, o ile się nie mylę w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku, piorun uderzył w zagrodę i dwie dziewczki, które pomagały przy zwierzętach, spłonęły. Rok później wszystkie krowy i cielaki zachorowały na jakąś tajemniczą chorobę jelit. Padały jak muchy, jedna po drugiej. Legenda głosi, że zjadły coś trującego. Ale to jeszcze nie koniec...

– Co było potem? – zapytała Annika.

– Zwierzęta, które przeżyły, zostały załadowane na prom bydlęcy i wywiezione z wyspy.

– Prom bydlęcy... – przerwała Annika. – Co to takiego? Pamiętaj, że rozmawiasz z typowym szczurem lądowym.

– Okej – powiedział kapitan i życzliwie pokiwał głową. – Takiego promu nigdzie już dzisiaj nie znajdziesz. Najprościej mówiąc, była to głęboka drewniana łódź z płaskim dnem. Wprawdzie miała wysoki kadłub, ale nie można powiedzieć, że była bezpieczna.

– Wiem, co to jest kadłub – wtrąciła Annika.

– To świetnie. Była na tyle duża, że mogła pomieścić kilkadziesiąt krów i cielaków. W każdym razie, kiedy już była na środku jeziora, nadszedł sztorm. I wszyscy utonęli. Gospodarz, parobek, krowy i cielaki. Legenda głosi, że woda wyrzucała ich wzdłuż brzegu, na odcinku kilku kilometrów w kierunku Ekerö. Wtedy ludzie zrozumieli, że nie są tu mile widziani. Wyspą zawładnęły jakieś złe moce i dlatego zaczęto ją nazywać Przeklętą Wyspą. Tak głosi legenda. Ja osobiście uważam, że coś w tym musi być – zakończył kapitan, uśmiechając się półgębkiem.

– Dzisiaj mamy kamizelki ratunkowe – powiedziała Annika.

– Ale wtedy jeszcze ich nie było. Kiedyś ludzie nie umieli pływać, mimo że przez całe życie mieszkali nad jeziorem. Pływanie to wynalazek bogaczy spędzających lato w swoich domkach letniskowych. A jak zapewne wiesz, z Mälaren nie ma żartów.

– Jak ta Przeklęta Wyspa teraz wygląda?

– To nieprzyjazne miejsce, nie ma plaży ani kąpieliska, które by przyciągnęły ludzi. Po prostu dżungla. Można ją stąd zobaczyć – odrzekł kapitan i pokazał ręką na wysepkę, jakiś kilometr od nich.

Krzaki i zarośla, wchodzące aż do wody, w wyższych partiach wystające z ziemi pojedyncze sosny i świerki. Same chaszczki, jak okiem sięgnąć.

Dlaczego dorosły mężczyzna zostawił w takim miejscu dziesięcioletniego chłopca, pomyślała Annika. Bo zdarzyło mu się obrzygać jego piękną żaglówkę...

– Musi pan opłynąć cypelek, żeby dobić do brzegu – powiedział Edvin, który nagle pojawił się jakby znikąd.

– Aj, aj, sir – odpowiedział kapitan i uśmiechnął się do Edvina.

– Drogę do miejsca, gdzie znalazłem czaszkę, zaznaczyłem patykami – rzekł Edvin.

– Rozumny z ciebie gość – stwierdził kapitan.

– Zawsze gotowy – podkreślił Edvin i prawą ręką zrobił znak skauta, przykładając kciuk do małego palca.

Po opłynięciu cypelka dobili do brzegu i zacumowali.

A on już tam był.

## 13.

Bäckström miał problem z wodą, we wszystkich jej formach, więc jak ognia unikał łódki. Pływać nauczył się dopiero jako dorosły, i to tylko dlatego, że musiał, by dostać się do szkoły policyjnej. Bolesne doświadczenie, które starał się wyrzucić z pamięci i nigdy o nim nie wspominać. Taksówka dowiozła go na lądowisko przy szpitalu Karolinska, a helikopter już czekał. Po chwili unosili się w obłokach. Kiedy Bäckström spojrział w dół i zobaczył serpentyny wijące się wokół Ekerö, był szczęśliwy. Dziwne, że takim jak Anka w ogóle udaje się zwlec z łóżka tak rano, pomyślał. Dwadzieścia minut później wylądował na Przeklętej Wyspie, podziękował swojemu kontaktowi z dywizji lotniczej i obiecał natychmiast przesłać mu zapłatę w formie szkockiej twardej waluty.

Po wylądowaniu rozłożył składane krzesło w nieco zacienionym miejscu, żeby nie smażyć się na słońcu, a jednocześnie czuć lekką bryzę wiejącą od jeziora. Następnie, zanim jeszcze zrobił pierwsze notatki w swoim czarnym notesie, otworzył zimny tonik, który wzmocnił odpowiednio wyważoną dozą z piersiówki.

„Środa, 20 lipca, godzina 09:45. Podejrzenie morderstwa. Przybycie na Przekłątą Wyspę na Mälaren”. Potem rozłożył „Dagens Industri”, żeby w spokoju prześledzić swoje inwestycje giełdowe.

Szczególnie nowe zakłady bukmacherskie, których akcje nabył z pomocą przyjaciela GeGurry, a które wystrzeliły w górę jak rakietę. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że ich działalność oparta jest na podobnych pryncypiach jak jego własny klub czytelnika, który założył podczas tamtych wakacji pięćdziesiąt lat temu, na zesłaniu, na obozie skautów w Tyresö. A nie ma bardziej oddanych klientów niż nałogowcy. I żeby to wiedzieć, nie trzeba być Kolumbijczykiem, pomyślał Bäckström.

Tam, gdzie normalni ludzie mają głowy, nałogowcy muszą mieć chyba czarną dziurę, zastanawiał się Evert Bäckström i jednocześnie ze współczuciem pokiwał własną. Mają gdzieś, że ich żony i dzieci umierają z głodu, po prostu przepuszczają cały dobytek, a nawet ubrania i zabawki własnych dzieci.

Wszyscy zobaczyli Bäckströma mniej więcej w tej samej chwili. I wszyscy, z jednym wyjątkiem, ucieszyli się na ten widok jak dzieci. Najbardziej zadowolony był Edvin, który nareszcie zachował się jak prawdziwe dziecko.

– Pan komisarz! – zawołał i pokazał na Bäckströma, dosłownie promieniejąc z zachwyty.

Bäckström siedział z taką miną, jakby nie zauważył, że ma towarzystwo, mimo że powinien był ich usłyszeć już z daleka. Wygodnie rozparty na rozkładanym krześle, czytał gazetę. Zdjął buty i skarpetki, żeby w falach jeziora ochłodzić sobie stopy. Komisarz Evert Bäckström, w niebieskiej lnianej marynarce, żeglarskich spodniach, słomkowym kapeluszu typu panama i okularach przeciwsłonecznych.

Chyba utopię tego skurczybyka, pomyślała Annika. Jeśli nikt inny nie chce, to ja to zrobię. Na Niemiego nie można liczyć. Nawet on się podśmiewa i kręci głową z zachwyty.

## 14.

– Już się zacząłem o was niepokoić – powiedział Bäckström, spojrzął na zegarek i uśmiechnął się do Anniki. – Na przykład, że utonęliście po drodze.

– A ty tu przypłynąłeś wpław, prawda? – zadrwiła Annika, mimo iż doskonale wiedziała, że takie pytanie to strata czasu.

– Przyleciałem helikopterem – odpowiedział Bäckström. – Myślałem, że wiesz. Nie chciałem się spóźnić, chyba rozumiesz. Przecież tu chodzi o morderstwo. À propos, jak się ma Edvin? – zapytał i skinął głową na chłopaka, który głaskał ogromnego psa policyjnego.

– Jak do tej pory, nieźle. Sprawia wrażenie, jakby uważał to wszystko za świetną przygodę. W każdym razie w nocy nie miał żadnych koszmarów.

– Spał u ciebie? – rzucił Bäckström, a zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie faktu niż pytanie.

– A co? – odrzekła Annika. – Myślałeś, że spędził noc w areszcie w Solnej albo że w środku nocy wiozłam go na obóz?

– Po prostu niepokoję się o niego – odparł Bäckström. – Chłopak ma dopiero dziesięć lat i najgorsze jeszcze przed nim.

– Sprawia wrażenie, jakby nie chciał tam wracać. Rozmawialiśmy o tym przy śniadaniu – powiedziała Annika.

Jakby cię to w ogóle obchodziło, grubasie, pomyślała.



– Przecież ten obóz i tak się kończy za parę dni – powiedział Bäckström, zupełnie nie na temat. – Pytanie tylko, gdzie on...

– Dziś w nocy może spać u mnie – przerwała mu Carlsson. – Zresztą i tak zaplanowaliśmy, że wieczorem pójdziemy do Gröna Lund. Edvin wyzwiał mnie na pojedynek. Poza tym niedługo przyjadą jego rodzice i go zabiorą.

– Brzmi rozsądnie – zgodził się Bäckström. – Ty do nich zadzwonisz czy ja mam to zrobić?

– Możesz być zupełnie spokojny, Bäckström. Tym też się zajmę.

O co mu chodzi? – pomyślała.

– Teraz zupełnie inna sprawa. – Bäckström zmienił temat. – Zanim wczoraj przyjechałaś po niego... siedział i jadł kanapkę... i opowiadał o tym komendantce. Tym z takim dziwnym nazwiskiem...

– Haqvin Furuhjelm – odparła Annika. – Wczoraj do niego dzwoniłam i powiedziałam mu, żeby nie szukał chłopaka bez potrzeby. A co z nim?

– Chciałbym, żebyś go przesłuchała – oznajmił Bäckström. – I nie musisz być dla niego szczególnie miła.

– Myślisz, że ma z tym coś wspólnego?

– Nie sądzę – powiedział Bäckström i kiwnął głową. – Nie z naszą czaszką.

– Więc dlaczego mam go przesłuchiwać?

– Mam jakiś problem z komendantami obozów – odpowiedział Bäckström stanowczo, znów kiwając przy tym głową. – Duży problem.

– Czy Edvin opowiadał ci o złotych zębach?

– Jakich złotych zębach? – zdziwił się Bäckström.

– Zapomnij – powiedziała Annika, do słów dodając przeczący gest.

– Mój problem z komendantami obozów wziął się z własnych doświadczeń z dzieciństwa.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytała Annika.

– Nie – odparł Bäckström. – Traumatyczna historia. Nic, co ty byś chciała usłyszeć. I nic, co ja bym chciał opowiadać.

Czy to naprawdę o to chodzi? – pomyślała Annika, zadowolając się kiwnięciem głową.

## 15.

Peter Niemi przejął inicjatywę. Najpierw rozmawiał z Edvinem, który na mapie pokazał miejsce, gdzie znalazł czaszkę.

– W tamtym kierunku – powiedział i pokazał palcem. – Najwyżej sto metrów stąd. Kiedy ją znalazłem... tę drogę... która tam prowadzi, oznaczyłem ją kawałkami sznurka. Mieli mnie zabrać stąd, gdzie teraz jesteśmy, więc pomyślałem, że potem będzie mi łatwiej trafić.

– Mądrze zrobiłeś – pochwalił go Niemi.

Chociaż jeszcze z ciebie taki smarkacz, pomyślał.

– Miejsce, gdzie leżała czaszka, obłożyłem gałązkami świerku.

– Bardzo dobrze, Edvin – powiedział Niemi. – Też bym tak zrobił. Ludzie nie rozumieją, jak potem trudno trafić w takie miejsce.

– Fajnie – odrzekł Edvin z ulgą w głosie.

– Kiedy tam byłeś... rozejrzałeś się może dookoła? Żeby sprawdzić, czy nie ma tam czegoś interesującego?

– Zajrzałem do lisiej nory, bo była w pobliżu, ale żadnego szkieletu ani czegoś w tym rodzaju nie znalazłem. Potem trochę rozejrzałem się jeszcze dookoła, ale tam też niczego nie było.

– I później wróciłeś tutaj – kontynuował Niemi. – I zaznaczyłeś ścieżkę.

– Tak – odparł Edvin. – Ale najpierw schowałem czaszkę do plecaka, nie chciałem, żeby ktoś oprócz pana komisarza ją zobaczył.

– Mądrze – powiedział Niemi i poklepał Edvina po ramieniu. – Co ty na to, żebyśmy teraz ja, ty i kilku policjantów poszli i obejrżeli jeszcze raz to miejsce? Dasz radę?

– Pewnie – odpowiedział Edvin. – Ale to było dosyć okropne. Zanim mnie zabrali z wyspy.

– Teraz nie musisz się już niczego obawiać – zapewnił Niemi i znów poklepał Edvina po ramieniu. – We dwóch damy radę.

– Okej – przytaknął Edvin.

Następnie Niemi rozdał policjantom mapy, a dwóm młodszym aspirantom, których wypożyczył z posterunku w Solnej, kazał pilnować miejsca, gdzie stała łódź.

Potem poprosił kolegów z policji wodnej, żeby skontrolowali całą linię brzegową wyspy.

– No dobrze – odezwał się Niemi i zwrócił się do wszystkich zebranych. – Zrobimy tak... Edvin, ja, technicy i pies pójdziemy na pierwszy zwiad. Ci, którzy mają już przydzielone zadania, niech zabierają się do roboty. Ty, Bäckström, i ty, Annika, poczekacie tutaj, dopóki was nie zawołam. Potem pójdziecie śladem czerwonego sznurka na brzozie. Edvin go zawiązał, kiedy był tu wczoraj.

– A my tu czekamy – powiedział Bäckström i skinął głową w kierunku policjantów, którzy zniknęli w zaroślach.

– Wytłumacz mi, jak to możliwe, że jest tu tyle tych cholernych komarów. Są duże jak wróble – narzekała Annika i pacnęła piątego z kolei komara, który sądząc po plamce krwi na jej ramieniu, już się dostatecznie zaopatrzył.

– A będzie jeszcze gorzej, jak się wejdzie głębiej w tę dżunglę. – Bäckström skinął głową w kierunku ścieżki. – Chodzić zgiętymi wpół

w takim miejscu, w dodatku w krótkich spodniach i z krótkimi rękawami, to czysty masochizm – dodał przeproszającym tonem, spojrzawszy na Annikę, jej niebieskie szorty i bluzkę z krótkim rękawem.

– Co ty powiesz – odparła Annika i zabiła kolejnego komara, który opijał się na jej opalonym udzie.

– Powinnaś była o tym pomyśleć – zawyrokował i z troską pokiwał głową.

– Masz rację, powinnam. Ale tego nie zrobiłam.

– Nic na komary też oczywiście nie wzięłaś, co – stwierdził bardziej, niż zapytał Bäckström z niewinną miną i włożył rękę do swojej torby kempingowej.

– Nie, też nie.

No, miej się na baczności, draniu, pomyślała Annika. Żadnych świadków, więc nic jej nie może przeszkodzić.

– Możesz pożyczyć od mnie – zaproponował Bäckström i podał jej zieloną plastikową buteleczkę. – To specjalny olejek. Najlepszy na takie wyprawy. Bardzo skuteczny, a oprócz tego w jakiś zadziwiający sposób idealnie pasuje zapachem do mojej wody po goleniu.

– Dziękuję – powiedziała Annika i wzięła olejek.

Właśnie uratowałaś sobie życie, pomyślała.

– Nie ma za co – odpowiedział Bäckström z lekkim westchnieniem. – Powiedz, jak będziesz chciała coś do picia. Mam wodę mineralną, tonik i colę. Niestety, nic mocniejszego, obawiam się.

Niemi wraz z innymi policjantami szli za Edvinem oznakowaną przez niego ścieżką. Sądząc po innych starych śladach, była to dróżka, którą chodziła dzika zwierzyna. Wszystko zgadzało się dokładnie z tym, co dzień wcześniej opowiadał Edvin. Według niego na wyspie były dziki.

A wnioskując po licznych śladach, jakie znalazł, kiedy szukał grzybów i jagód, było ich sporo.

Niemi skinął tylko głową, obserwując otoczenie. Prawdziwa dżungla. To nie będzie łatwe, pomyślał. Gęste krzewy, zarośla, brzozy, leszczyna i topole, ogromne świerki i sosny, których dolne gałęzie pokrywały ziemię, gęsto porośniętą jagodami. Podmokłe partie przeplatane zbutwiałą ziemią w miejscach, gdzie nie dochodziło światło.

– Jeszcze tylko dwadzieścia metrów – wyszeptał Edvin, chwytając Niemiego za ramię. – Chciał pan, żebym informował – dodał.

– Świetnie, Edvin – odparł Niemi i skinął na policjanta z psem.

Wystarczyło, aby policjant zrobił ruch ręką, a jego owczarek ruszył wzdłuż ścieżki, by po chwili zniknąć w zaroślach. Już po kilku sekundach usłyszeli szczekanie. Głuche i rytmiczne. Najwyżej dwadzieścia metrów dalej, gdyż wciąż widzieli czerwoną smycz, którą policjant przypiął na szyi psa, kiedy go puszczał w drogę.

– Tak właśnie brzmi mój Sacco, kiedy znajdzie trupa – orzekł policjant.

Sacco położył się na ziemi, pół metra od gałęzi świerku, która wystawała z leśnego poszycia.

Kilka metrów dalej znajdowała się lisia nora, o której mówił Edvin. Miękkie, okrągłe wybrzuszenie, pokryte krzaczkami jagód i krzewami, które wznosiło się na prawie metr od ziemi.

– Mądry pies – powiedział policjant i pogłaskał owczarka. – Teraz masz dwóch świadków – stwierdził i skinął głową w kierunku Niemiego. – Edvina i mojego Sacco, który potwierdza to, co mówił Edvin.

– Brzmi, jakby był zadowolony – odrzekł Edvin. – Teraz, kiedy szczeka.

– Pewnie, że jest zadowolony – potwierdził jego pan i położył rękę na ramieniu Edvina. – Psy nie myślą w ten sam sposób co ty, ja czy inni ludzie.

– Wiem – odparł Edvin i skinął głową.

Po trzydziestu minutach Niemi skontaktował się przez radio z Anniką. Jeśli chcą zobaczyć miejsce, gdzie leżała czaszka, to mogą przyjść.

– Jesteśmy w drodze, odbiór – potwierdziła Annika i znacząco spojrzała na swojego szefa, którego mina nie wskazywała na to, że zamierza podnieść się ze swojego składanego krzesła.

– Idę, idę – mruknął Bäckström, z niechęcią machnął ręką i nie bez pewnego wysiłku się podniósł.

Bäckström miał na sobie parę zielonych kaloszy, klasyczny myśliwski model, podczas gdy Annika przeklinała w myśli swoje przemoczone trampki. Po pięćdziesięciu metrach Bäckström zatrzymał się i pokazał na czerwony sznurek, który Edvin zawiązał na brzoście na wysokości najwyższego guzika jego niebieskiej marynarki.

– Pomyśl tylko... – powiedział i pokazał na sznurek.

– O czym ty mówisz? – zapytała Annika.

Co on kombinuje, pomyślała.

– Jaki ten Edvin to przezorny młody człowiek. Jest nie tylko mądry jak na swój wiek, ale to również mały człowiek o wielkim sercu. Myśli o nas, dorosłych.

– Nie rozumiem?

O co mu chodzi?

– Musiał stanąć na palcach z rękami w górze, kiedy wieszał te sznurki... a przecież nie jest wysoki... żebyśmy my, dorośli, nie musieli się zwijać w górę, by je zobaczyć. Bardzo przezorny. Moim skromnym zdaniem, oczywiście.

Annika nic nie powiedziała. Skinęła tylko głową.

Pięć minut później Bäckström i Carlsson stali przy lisiej norze. Niemi rozmawiał z chłopcem, podczas gdy dwaj policjanci wypożyczeni z Wydziału Wsparcia Technicznego uważnie badali teren. Po policjancie i jego czworonożnym pomocniku nie było śladu.

– A gdzie kundel i jego pan? – zapytał Bäckström.

– Przeszukują teren – odparł Niemi. – Na wszelki wypadek. Ale jeśli mam być szczerzy, to nie sądzę, żeby cokolwiek znaleźli. Takie przeszukanie będzie wymagało nie lada wysiłku. Jeśli ktoś zakopał ciało tu, na wyspie, to pewnie bliżej miejsca, gdzie zacumowaliśmy łódź.

– Też tak mi się wydaje – zgodził się Bäckström. – Po co bez potrzeby ciągnąć gdzieś ciało.

– Ze względu na to latające obrzydlistwo nie mam nic przeciwko temu, żebyście wracali, ty, Edvin i Annika – powiedział Niemi, odganiając najbardziej natarczywe komary.

– Tak będzie najlepiej – przyznał Bäckström.

– Tak będzie najlepiej – powtórzył Niemi. – I tak nie ma tu z was żadnego pożytku. Szczerze mówiąc, bardziej przeszkadzacie, niż pomagacie. Obiecuję, że najpóźniej wieczorem się odezwę.

– A ta lisia nora... – zagadnął Bäckström i odwrócił się do Edvina – ... powiesz coś o niej?

– Okej – zgodził się Edvin. – Ta jest z piasku. Ale lisy mieszkają też w starych kopcach z kamieni. Można to też nazwać legowiskiem, jeśli oczywiście mieszkają w nim lisy.

– A ten mały otwór między krzakami to jest wejście? – zapytał Bäckström, wskazując palcem.

– Albo wyjście. Tak jak drzwi – powiedział Edvin. – Ale bez drzwi. To znaczy otwór do wchodzenia i wychodzenia.

– Czy w takiej norze może być wiele otworów?



– W tej naliczyłem sześć. Mój rekord to piętnaście. Ale to była nora z kamieni.

– Czy lisia nora zawsze ma kilka wejść i wyjść? Po co aż tyle?

– Nie ma w tym nic dziwnego – odparł zaskoczony Edvin. – Niech pan komisarz sobie wyobrazi, że na przykład przychodzą myśliwi i chcą zastrzelić lisy, które są w norze. Najpierw wypuszczą psa, żeby je wygonił na zewnątrz. A sami ustawią się dookoła nory i będą do nich strzelać, kiedy wyjdą. Jeśli nora ma wiele otworów, lisy mają większe szanse na przeżycie. To bardzo przebiegłe zwierzęta.

– Zatem jedna nora ma wiele otworów. Żeby lisy mogły uciec, zgadza się?

– Tak – potwierdził Edvin. – Ja to nigdy nie mógłbym tego zrobić. Jestem przeciwny wszelkim polowaniom.

– Jedna nora ma kilka wyjść... – powtórzył Bäckström i pokiwał głową.

Bäckström, Annika i Edvin wrócili nad brzeg, żeby poczekać na łódź, która miała ich zabrać z powrotem do obozu. Bäckström, przed zapakowaniem swoich rzeczy, zaproponował Edwinowi kanapkę i oranżadę.

– Pewnie już zadzwoniłeś po ten swój helikopter – powiedziała Annika.

Może to było niepotrzebne, pomyślała po chwili. Przecież w ciągu ostatniej godziny zachowywał się jak normalny człowiek.

– Nie – odparł Bäckström. – Pomyślałem, że wrócę łodzią, z tobą i Edwinem. Mała wycieczka łódką dobrze mi zrobi. Świeci słońce, niezmacony spokój, więc nie tak znów najgorzej.

Plus to, że na łodzi na pewno mają jakiś kibelek, gdzie w spokoju, przed spóźnionym lunchem, będę mógł sobie golnąć najlepszej wódki świata, pomyślał Bäckström, który już teraz zaczął planować resztę dnia.

– Ty to nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać, Bäckström – powiedziała Annika.

– Wiem, wiem – przytaknął Bäckström.

Piętnaście minut później byli już w obozie skautów. Pomimo tego co Bäckström mówił przed odpłynięciem, prawie całą drogę spędził w toalecie, co było trochę dziwne, przynajmniej według Anniki.

Obóz wyglądał na opustoszały. Po Furuhjelmie i jego skautach nie było ani śladu. Najprościej by było zadzwonić do niego, żeby pojawił się w komendzie na przesłuchanie.

Do miasta wrócili samochodem Anniki. Bäckström nigdy nie prowadził samochodu, w sumie nie wiadomo dlaczego, bo przecież każdy policjant musi mieć prawo jazdy. Droga do domu przebiegła spokojnie, bez korków, i zajęła połowę czasu mniej niż zwykle. Kiedy zbliżali się do posterunku w Solnej, Bäckström wyjął komórkę i zadzwonił po taksówkę.

– Słyszałem, że dziś wieczorem wybieracie się z Anniką do Gröna Lund – powiedział i skinął głową w kierunku Edvina.

– Tak – odparł Edvin. – Czy pan komisarz chciałby się z nami zabrać?

– Niestety, nie mogę – odpowiedział Bäckström i przeprasząco potrząsnął głową. – Mam dużo do roboty, sam rozumiesz. Ale jutro rano zobaczymy się na komendzie.

Zanim się rozeszli, Bäckström wyjął gruby plik banknotów i dał Edwinowi pięćsetkę.

– Weź, Edvin – powiedział i pogłaskał go po głowie. – Postawisz Annice przejazdówkę kolejką.

– Dziękuję – rzekł Edvin i nawet się uklonił. – To zdecydowanie za dużo, panie komisarzu.

Bäckström udał, że nie usłyszał. Najpierw ciężko westchnął, a potem, jakby po głębokim zastanowieniu, wysupłał jeszcze jedną pięćsetkę i włożył Edwinowi do kieszonki koszuli.

– Weź – powtórzył. – Na wypadek gdybyście chcieli wrócić taksówką.  
Nie zapomnij dać mi potem pokwitowania, jak zwykle.

## 16.

Komisarz Toivonen był szefem Wydziału do spraw Kryminalnych Komendy Policji w Solnej. Był bezpośrednim przełożonym Bäckströma, jednak definitywnie nie jego wielbicielem. Na jego biurku leżała otwarta teczka, do której włożył kopię zgłoszenia o podejrzeniu morderstwa, które dzień wcześniej Annika Carlsson wysłała mu mailem wraz z krótkim podaniem o dodatkowy personel przy identyfikacji ofiary.

Toivonen wolał mieć wszystko na papierze, w teczce, do której w każdej chwili mógł zajrzeć i gdzie przechowywał notatki. Było to lepsze niż ślęczenie przed komputerem, od którego po jakimś czasie migotało mu przed oczami, a ból głowy nie pozwalał się skupić.

To nie może być jakieś zwykłe znalezisko z dawnych czasów, pomyślał Toivonen. Kula, która tkwiła w czaszce, mocno przemawiała za tym, że to musiało się wydarzyć współcześnie. Nie można też wykluczyć, że to jakaś przedawniona sprawa lub że w ogóle nie ma nic wspólnego z przestępstwem. Większość ofiar, która zginęła od strzału, to samobójcy.

Niezależnie od tego, z której strony by na to spojrzeć, on i jego koledzy zmuszeni byli się dowiedzieć, co się stało, ale dopóki ofiara nie zostanie zidentyfikowana, dopóty śledztwo nie mogło ruszyć z miejsca, westchnął Toivonen. Wiedział to bardzo dobrze, podobnie jak Bäckström i Carlsson.

Nie była to sprawa, którą można włożyć do archiwum i udawać, że nigdy się nie wydarzyła.

Zbadanie stanu uzębienia ofiary i założenie odpowiedniej karty oraz zabezpieczenie DNA to stosunkowo proste czynności, które nie wymagają jakichś szczególnych nakładów pracy. Poza tym to robota dla techników z nowo otwartego Centralnego Laboratorium Kryminalistyki w Linköping.

Oprócz tego jest jeszcze cała reszta. Odszukanie ofiary wśród setek zaginionych i nigdy nieodnalezionych. Nie mówiąc już o tych, którzy zaginęli, a których nie ma w rejestrach policyjnych. To wymaga więcej personelu. Którym Toivonen, niestety, nie dysponował.

Pogadam z Gunsan, pomyślał. Jakie to szczęście, że nie poszła na urlop.

Gunsan to właściwie Gun Nilsson, sekretarka z pionu administracyjnego. Jednak najważniejsze było to, że miała pod kontrolą wszystkie sprawy natury praktycznej i organizacyjnej. Szanowana i lubiana przez swoich współpracowników. Gunsan było zdrobnieniem, które wyrażało sympatię. W tej jednej sprawie wszyscy byli wzruszająco zgodni.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Bäckström i inni szli po śladach, które Edvin z taką troską im zostawił, Toivonen siedział na krześle w gabinecie Gunsan.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale dzisiaj, w środę dwudziestego lipca, w środku wakacji, kiedy to połowa personelu jest na urlopie, chcesz, żebym załatwiła ci ludzi do identyfikacji starej czaszki, która równie dobrze może mieć choćby i sto lat – powiedziała Gunsan i uśmiechnęła się do Toivonena.

– Właśnie tak – odparł.

– Tak z ciekawości, o ilu myślałeś? – zapytała.

– Będę szczęśliwy, jeśli dostanę kogokolwiek – odparł Toivonen.

– Mogę ci przydzielić dwóch – stwierdziła Gunsan.

– Dwóch – powtórzył Toivonen. – Dwóch doświadczonych policjantów?

Ciekawe, czy potrafi też chodzić po powierzchni wody, pomyślał.

– Jako że pewnie głównie chodzi o grzebanie w bazie danych i notowanie, to nie mogę sobie wyobrazić lepszych ludzi.

– Ale jak ty to, do diabła, załatwisz?

– Przy pomocy zwichniętej stopy i kolana w gipsie – powiedziała Gunsan. – Te części ciała nie są potrzebne, kiedy siedzisz przy komputerze.

## 17.

W czwartek, 21 lipca, o dziesiątej rano odbyło się pierwsze spotkanie grupy śledczej, które Bäckström zwołał dzień wcześniej, wysyłając esemes do Anniki.

Annika przysłała do pracy przed czasem, żeby z wszystkim zdążyć, zanim pojawi się Bäckström i zacznie wtrącać się w jej skrupulatnie zaplanowany harmonogram dnia. Głównie kwestie praktyczne. Jeśli chodzi o samą sprawę, to właściwie jeszcze nic nie wiadomo, ale nawet takie zebrania zajmują czas.

Zazwyczaj, a raczej w najlepszym wypadku Bäckström pojawiał się w ostatniej chwili, jednak tym razem wkroczył nagle do gabinetu Anniki pół godziny przed zebraniem.

– Gdzie Edvin? – zapytał i dla pewności rozejrzał się po pokoju.

– Witaj, Bäckström – powiedziała Annika i uśmiechnęła się przyjaźnie.

Wyglądasz na wypoczętego i pełnego energii, dodała w myślach. Chyba nie jesteś chory?

– Edvin – powtórzył Bäckström i skinął głową w kierunku Anniki.

Edvin był ze swoim tatą, który wcześniej rano przyleciał ze Skanii i zabrał go od Anniki jeszcze przed śniadaniem.

Mama Edvina została u swojej siostry w Helsingborgu dzień dłużej i do Sztokholmu wróci przed weekendem. Z Edvinem wszystko w porządku.

Jego tata, Slobodan, przekazał zresztą pozdrowienia Bäckströmowi i prosił, żeby mu podziękować za wszystko, co zrobił dla jego syna.

– Co jeszcze chciałbyś wiedzieć? – spytała Annika i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Nic – odpowiedział Bäckström, pokręcił głową i wyszedł.

Pięć minut przed rozpoczęciem zebrania Annika weszła do gabinetu Bäckströma i bez zbędnych ceregieli rozsiadła się w fotelu po drugiej stronie biurka. Bäckström musiał słyszeć, jak wchodzi, bo kiedy usiadła, schował do kieszeni kluczyk od biurka.

– W czym ci mogę pomóc, Annika? – zapytał, wkładając do ust pastylkę miętową.

– W niczym, jak zwykle – odpowiedziała. – Ale mam kilka rzeczy, o których może chciałbyś się dowiedzieć przed spotkaniem. Dwie sprawy dotyczące śledztwa i trochę ogólnych, o Edvinie i tym podobne. Od czego zacząć?

– Zacznij od śledztwa – zdecydował Bäckström, ssąc pastylkę. – Najpierw zła wiadomość.

– Obie są dobre – odparła Annika.

– Więc zacznij od lepszej.

– Rozmawiałam z Nadią dzisiaj rano – odpowiedziała Annika. – Zadzwoniła do mnie. Nadia Högberg, wiesz, o kim mówię... Twoja jedyna współpracownica warta tego określenia, jak lubisz podkreślać innym pracującym tu nieszczęśnikom. Na pewno bardzo im wszystkim wtedy miło.

– Chrzają to teraz – odrzekł Bäckström, wykonując zniecierpliwiony ruch rękami. – Co to, jakiś kurs dla szefów czy co?

– Nawet mi to do głowy nie przyszło – odpowiedziała Annika. – Przecież zawsze, kiedy coś takiego organizują, idziesz na zwolnienie, o ile



się nie mylę...

– Nadia jest na urlopie i wyjechała do siebie, do swojej ukochanej Rosji – przerwał jej Bäckström. – Ma wrócić w pierwszym tygodniu sierpnia.

Czy coś się stało, że zadzwoniła?

– Nic, poza tym, że przerywa urlop i wraca do pracy po weekendzie. Rozmawiała już o tym z Toivonenem.

Przynajmniej jedna, która go cokolwiek obchodzi, pomyślała Annika.

To pewnie dzięki tej wódce, którą mu zawsze przywozi.

– Świetnie – podsumował Bäckström i aż się rozpromienił. – Nareszcie może będzie trochę porządku.

– Jeśli chodzi o drugą sprawę, to... – zaczęła Annika.

– Powiesz mi później – przerwał jej Bäckström, potrząsając głową, spojrzał na zegarek i wstał z krzesła.

– Toivonen załatwił nam dwie dodatkowe osoby z prewencyjnego – kontynuowała Annika, która tym razem nie pozwoliła sobie przerwać. – Oboje wyglądają w porządku. Rozmawiałam z nimi przed chwilą.

– Słyszę – powiedział Bäckström. – Zajmiesz się tym.

Zresztą, mam to gdzieś. Wkrótce pojawi się Nadia i na pewno wszystko się jakoś ułoży. Niezależnie od tego, jak beznadziejni są ci nowi, pomyślał.

– Ale pewnie chciałbyś wiedzieć, jak wczoraj było w Gröna Lund, prawda?

– Nie – odpowiedział Bäckström.

– Byliśmy tam do późnego wieczora – ciągnęła niezrażona Annika i uśmiechnęła się szeroko. – A na koniec przejechaliśmy się jeszcze tunelem miłości.

– Co? – odparł Bäckström i z powrotem opadł na krzesło.

Co ona gada? Przecież chłopak ma dopiero dziesięć lat, pomyślał.

Nie, Annika i Edvin nie jechali tunelem miłości. Kiedy mu to dla żartu zaproponowała, poczerwieniał i pokręcił głową. Natomiast robili wszystko inne, co się robi w Gröna Lund. Edvin jadł popcorn, lody, watę cukrową, hamburgera, hot doga i wypił jedną butelkę napoju gazowanego oraz dwie butelki soku. Annika zrezygnowała z węglowodanów na rzecz białka i warzyw. Z jednym wyjątkiem. Pod koniec nie odmówiła sobie dużego piwa. Poza tym jeździli na diabelskim młynie, na karuzeli łańcuchowej i brali udział w pięcioboju. Gwoździem wieczoru dla Edvina była przejażdżka kolejką górską, którą jechał po raz pierwszy w życiu. Zazwyczaj obsługa kiwała tylko przecząco głową, że jest jeszcze za mały, ale nie tym razem... Nie teraz, kiedy był z Anniką.

– Edvin to bardzo dziwny młody człowiek – oznajmiła Annika. – Jeśli nie jesteś nim zachwycony, to masz jakiś problem. Nigdy nie myślałeś o tym, żeby mieć dzieci, Bäckström?

– Nie – odpowiedział Bäckström, wstał gwałtownie i pokręcił głową. – Nie nadaję się do tego.

## 18.

Usiedli w najmniejszym pokoju zebrania – Bäckström na swoim stałym miejscu, u szczytu stołu – a ponieważ było tylko sześć osób, dla wszystkich starczyło miejsca. Annika rozdała ogólne informacje na temat śledztwa – każdy dostał po plastikowej teczce, w której było około dziesięciu zapisanych stron. Potem skinęła głową w kierunku swojego szefa i usiadła naprzeciwko niego.

– Witam wszystkich – powiedział Bäckström. Wyglądał na rozbawionego. – Jak wynika z raportu, który sporządziła Annika, na razie mamy tylko podejrzenie o popełnienie morderstwa. Jeśli nie uda nam się zidentyfikować ofiary, będziemy mieć twarde orzechy do zgryzienia. Niech zacznie Hernandez – zdecydował Bäckström i skinął głową w jego kierunku. – Masz już coś?

Jak zwykle, banda idiotów, pomyślał Bäckström. Jedyne pocieszenie, że tym razem było ich znacznie mniej niż zwykle. Anka Carlsson, która zawsze za dużo pyskuje, ich własny Chilijczyk, mały Chico Hernandez, który nie grzeszy inteligencją, inspektor kryminalny Jan Stigson z Dalarny, na pewno z jakiejś miejsciny zaprzyjaźnionej z chilijskim Valparaíso, zresztą też stuprocentowy idiota.

I jeszcze ten fiński pajac Toivonen, szef całej tej miernoty, która go otacza, wepchnął im, tak na wszelki wypadek, jakichś dwoje młodocianych

inwalidów z prewencyjnego, przeniesionych tymczasowo do papierkowej roboty z powodu obrażeń, jakich się nabawili na służbie. Kobieta w wieku dwudziestu siedmiu lat, blondynka, krótko ostrzyżona, wytrenowana, bez cienia kobiecości, typowy babochłop, pomyślał Bäckström. Za pomocą dwóch kul, skacząc na jednej nodze, doczłapała do krzesła.

W przeciwieństwie do swojego kolegi, w tym samym wieku co ona, który wyglądał, jakby urwał się wprost z reality show *Paradise Hotel*. On też kuśtykał, ale doskonale dawał sobie radę z jedną kulą.

To będzie świetny team, pomyślał Bäckström i skinął na Hernandeza.

– Zaczynaj! Nie mamy za dużo czasu.

– Może nasi nowi koledzy najpierw by się przedstawili, zanim Chico zacznie – wtrąciła Annika i skinęła głową na blondynkę z kulami.

Oczywiście, zawsze musi wtrącić swoje trzy grosze, pomyślał Bäckström, próbując zdusić głębokie westchnienie.

– Nazywam się Kristin Olsson. Olsson, normalna wymowa, z dwoma s, Kristin przez K – powiedziała blondynka i uśmiechnęła się do Bäckströma.  
– Zwykle pracuję na radiowozach.

Olsson przez dwa s. To zawsze coś, trzeba się cieszyć tym, co się ma, pomyślał Bäckström.

– Jeśli jesteście ciekawi – mówiła dalej, unosząc w górę jedną kulę – to w zeszły poniedziałek rozgrywaliśmy mecz z kolegami z Söderort. Zmiażdżyliśmy ich pięć do dwóch, więc nie jest źle. Siedzenie przy komputerze to żaden problem.

Samo siedzenie to może nie, pomyślał Bäckström. Ale są jeszcze inne rzeczy, które będziesz robić.

– A ty? – Bäckström skinął głową na jej kolegę. – Unihokej czy coś innego?

– Nie – odpowiedział. – Mała potyczka z bandziorem. Skręcona stopa. Nic, co by szef chciał usłyszeć.

– Siedzi chociaż w kiciu? – spytał Bäckström.

– Raczej leży, w celi szpitalnej – uściślił pytany.

– Świetnie – powiedział Bäckström. – Masz może jakieś imię?

W końcu, pomyślał. Wcześniej czy później musi pojawić się ktoś, kto da jakąś nadzieję.

– Adam. Adam Oleszkiewicz. Przez dwa z.

– Nie będzie łatwo – skwitował Bäckström i pokiwał głową.

– Co szef ma na myśli? – zapytał Oleszkiewicz z nieśmiałym uśmiechem.

– Te wszystkie spółgłoski...

– Siedem – odparł Oleszkiewicz. – Nie, to niełatwe. Właściwie to tyle samo, ile w nazwisku Bäckström – dodał, tym razem z dużo śmielszym uśmiechem.

I nadzieja znikła, pomyślał Bäckström. Zamiast tego człowiek ma na karku błazna.

– Może wreszcie pozwolimy Chico zacząć – powiedziała Annika, zmieniając temat.

Jacy oni wszyscy nagle zadowoleni, pomyślał Bäckström. Może powinienem zacząć szukać innego zajęcia. Pytanie tylko jakiego.

Hernandez pokazał zdjęcia w PowerPoincie. Najpierw czaszkę, którą znalazł Edvin, a potem kulę, która tkwiła w czaszce i którą własnoręcznie wydłubał.

Brakowało dolnej szczęki, ale poza tym czaszka była w dobrym stanie. Żadnych śladów narzędzi ani zwierząt. Brak też jakichkolwiek starszych uszkodzeń, spowodowanych chorobą, nałogami, przemocą czy wypadkiem. Jedyne wyjątek stanowiła dziura po kuli, usadowiona w centralnej części

prawej kości skroniowej. Reasumując, stan czaszki wskazywał na to, że mogła przeżyć na wyspie wiele lat.

Prawdopodobnie to czaszka kobiety, twierdził Hernandez. Nie był wprawdzie osteologiem, ale widział już wiele szkieletów i płeć potrafił rozpoznać. Dorosła kobieta. Najpewniej między dwudziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, jednak więcej nie był w stanie stwierdzić.

Natomiast o kuli i wystrzale mógł już powiedzieć sporo. Pocisk ołowiany, kaliber .22, najzwyklejszy model. Tak zwana broń małowalibrowa. Pocisk prawdopodobnie wystrzelony z lufy karabinu, mimo że rodzaj amunicji i inne ślady, które zabezpieczył, nie wykluczają ani rewolweru, ani pistoletu, oczywiście tego samego kalibru.

W jednym punkcie Hernandez miał większą pewność. Mianowicie strzał był oddany z bliska, najwyżej z odległości pół metra, a niewykluczone że nawet bliższej. Jeśli miałby wybierać, to obstawiałby, że w momencie wystrzału broń była przyłożona do skroni.

Podczas dokładniejszych oględzin czaszki pod mikroskopem znalazł resztki masy zapłonowej i prochu, które znajdowały się wokół kości przy wlocie kuli. Bardzo wyraźny otwór wlotowy, co wskazywałoby na dużą siłę wystrzału.

– To tak jakby uderzyć w dziurkacz przy robieniu dziurek w papierze, brzegi dziurki są wtedy wyraźnie zarysowane. Prędkość pocisku drastycznie maleje wraz ze zwiększającą się odległością od wylotu lufy. W gruncie rzeczy pocisk z pewnością może spenetrować czaszkę z odległości dwudziestu metrów i więcej, jeśli użyto by karabinu, jednak im większa odległość od głowy, tym większe prawdopodobieństwo, że wokół wlotu kuli powstaną pęknięcia.

– Morderstwo czy samobójstwo? – zapytał Bäckström.

– Wydaje mi się, że morderstwo – odpowiedział Hernandez. – Dopóki ktoś mnie nie przekona, że było inaczej.

– Masz jakiś pomysł, jak to mogło wyglądać? – spytał Stigson. – To znaczy zanim pocisk wypalił.

– Ktoś musiał przyłożyć broń do głowy ofiary – odpowiedział Hernandez. – Ofiara podnosi ręce do góry, w geście obrony, przekręca głowę, jest przerażona. To takie ruchy, które wykonuje się mimowolnie... Bandyta przykłada lufę i strzela. Ale oczywiście nie możemy też wykluczyć samobójstwa.

Strzelający był praworęczny, zresztą jak większość, gdyż strzał został oddany w prawą skroń. Jeśli myślimy o karabinie, to odległość od spustu do lewej skroni jest zbyt duża. Dla samobójcy najprościej byłoby przyłożyć broń do czoła albo włożyć lufę do ust. Wtedy położenie wlotu kuli przemawiałoby za samobójstwem.

– Dużo częściej ludzie sami do siebie strzelają, niż ktoś strzela do nich – wtrąciła Kristin Olsson.

– Tak, prawie pięć razy częściej – powiedział Hernandez. – Jednak nie wśród kobiet. Prawie wszyscy, którzy do siebie strzelają, to mężczyźni.

– Kiedy to się stało? – zapytała Annika.

– Nie wiem – odparł Hernandez. – To się mogło zdarzyć rok temu, ale równie dobrze i pięćdziesiąt lat temu, mimo że czaszka jest w pierwszorzędnym stanie. Mucha nie siada.

– Myślę, że to się stało jakieś pięć lat temu, tak pi razy oko – odezwał się Bäckström i odchylił z krzesłem do tyłu. – Poza tym prawdopodobnie nasza ofiara spała, kiedy padł strzał. Na lewym boku. Zabójca podchodzi do niej, przykłada jej lufę do skroni i naciska spust.

To się zawsze sprawdza, pomyślał. Nagle wszyscy, nawet ta pyskata Anka Carlsson, siedzieli i w milczeniu patrzyli na Bäckströma.

– Dlaczego tak uważasz? – spytała Carlsson.

– Widzę to oczami wyobraźni – odparł Bäckström i dla wzmocnienia efektu z na wpół przymkniętymi oczami złożył dłonie jak do modlitwy. – Mam to przed oczami... jeśli wiecie, o co mi chodzi.

W najlepszym wypadku zapytam o to tego skurczybyka, kiedy już będzie siedział w kiciu, pomyślał.

– Z całym szacunkiem, szefie, ale jeśli chodzi o czas – wtrącił Hernandez – to jest pewna okoliczność, która przemawia za tym, że to starsza historia. Starsza niż pięć lat.

– Co takiego? – zapytał Bäckström z niewielkim zainteresowaniem.

– A to ciekawe... – powiedziała Annika. – Możesz to rozwinąć?

Zdaniem Hernandeza były dwie okoliczności, które przemawiały za tym, że to starsza sprawa.

Po pierwsze, był prawie pewien, że broń, której użyto, to karabin. Zresztą, jeden z najczęstszych rodzajów broni występującej w kraju, broń małokalibrowa. Pocisk nie grzybkował, a tak się dzieje, kiedy zostanie wystrzelony z broni krótkolufowej, jak na przykład rewolwer czy pistolet. Im dłuższa lufa, tym większa szansa, że dolna część kuli podczas trafienia celu zachowa swój pierwotny kształt.

– To tak zwane grzybkowanie – wyjaśnił Hernandez. – Takie pociski wyglądają mniej więcej jak małe borowiki. Grubszy dół zakończony u góry spłaszczonym kapeluszem. Oczywiście po trafieniu w cel.

– A jaki to ma związek z wiekiem – odchrząknął Bäckström, który już się domyślał, o co chodzi Hernandezowi.

– Żadnego – zgodził się Hernandez. – Jednak broń, której użyto, to tak zwana broń gładkolufowa.

Wewnątrz lufy znajdują się rowki i bruzdy, które wykonują pewien obrót, coś na kształt szyn, po których prowadzony jest pocisk. Jako że



bruzdy wykonują obrót, to i pocisk musi się obracać wraz z nimi. W ten sposób pocisk nabiera bardzo dużej prędkości. Starsze modele to właśnie broń gładkolufowa, w której pocisk nie wykonuje ruchu obrotowego i przez to ma mniejszą celność.

– Przypuszczalnie broń ta została wyprodukowana jakieś sto lat temu – powiedział Hernandez. – Remington, Husqvarna i inni producenci przestali produkować kaliber dwadzieścia dwa już na początku stulecia.

– Ale w użyciu jest jeszcze dobrych parę tysięcy i z powodzeniem można nią zabijać – dokończył Bäckström.

– Oczywiście – odpowiedział Hernandez. – Odziedziczona stara broń dziadka. Szef ma zupełną rację. Chociaż dzisiaj nie jest już tak popularna.

– Okej. – Bäckström położył ręce za głowę i odchylił się z krzesłem do tyłu. – Zanim śledztwo ruszy z miejsca, musimy się dowiedzieć, kim była ofiara. Kiedy możemy się spodziewać jakichś informacji z Linköping, z tego ich nowego laboratorium?

– Zarówno czaszka, jak i pocisk zostały wysłane wczoraj – odpowiedział Hernandez, który miał tam swój kontakt, więc mimo urlopów pierwszych, zupełnie wstępnych wyników spodziewał się już w połowie przyszłego tygodnia.

– W połowie przyszłego tygodnia... – prychnął Bäckström.

– Mówimy o badaniach pocisku – uściślił Hernandez. – Na wyniki badań czaszki pewnie będziemy musieli jeszcze poczekać. Otworzyli tam nowe laboratorium osteologiczne. Poprosiłem, żeby spojrzeli też na czaszkę. Niewykluczone, że będą mogli powiedzieć coś więcej niż tylko to, że należała do kobiety. Jeśli chodzi o DNA, to również będziemy musieli poczekać. O ile w ogóle będzie możliwe uzyskanie wyniku.

– Laboratorium osteologiczne... – zachnął się Bäckström. – Możesz im od mnie powiedzieć, że to kobieta pochodzenia azjatyckiego,

prawdopodobnie z Tajlandii, ewentualnie z Filipin. Około trzydziestki w chwili śmierci. Zupełnie zdrowa do momentu, kiedy to jej stary się nią zmęczył i strzelił jej w łeb podczas wakacji na łódce, jakieś pięć lat temu. Szwed, jeśli kogoś to interesuje. Z tych, co to przywożą sobie kobiety z Azji.

– Czy jest jeszcze coś, czego szef chciałby się dowiedzieć – zapytała Annika i uśmiechając się, na wszelki wypadek odchyliła głowę na bok.

– Chcę mieć jej DNA – powiedział Bäckström. – Najpóźniej w poniedziałek. Przecież to nie żadna filozofia wyrwać jeden ząb z górnej szczęki. To pestka w porównaniu z wyrwaniem zęba żywej osobie. Jeśli nie wiecie, to wystarczy go przepołowić, ze środka wyjąć trochę miękkiej tkanki i wyodrębnić DNA. Zajmie to... najwyżej godzinę, i to w najzwyczajniejszym aparacie.

– Jeszcze coś? – zapytała Annika.

– Tak – odpowiedział Bäckström. – Dopilnuj, żeby cokolwiek było zrobione. Chcę mieć listę wszystkich kobiet w tym kraju, które zniknęły w ciągu ostatnich dziesięciu lat i się nie odnalazły. Na oddzielnej liście chcę mieć te, które pasują do mojego opisu. Będę bardzo zdziwiony, jeśli znajdzie się na niej więcej niż dziesięć nazwisk.

Po czym się podniósł, skinął wszystkim głową i po prostu wyszedł.

## 19.

Peter Niemi był technikiem kryminalistyki i szefem laboratorium policyjnego w Solnej. Lubiany jako osoba i szanowany jako współpracownik. Najbardziej znany był ze swojej dokładności, co nie było takie złe w przypadku pracy polegającej na szukaniu rzeczy, i to takich, których znalezienie było ważne.

Kiedy prowadził wykłady dla przyszłych techników kryminalistyki, swoich młodszych kolegów, lubił podkreślać, że w tej pracy najważniejsze jest systematyczne myślenie. Najpierw trzeba mieć wyobrażenie całości badanego obszaru, zanim na czworakach zacznie się oglądać rysę w listwie podłogowej czy z wysokości drabiny badać tajemnicze ślady, które znalazły się na suficie tuż nad głową ofiary.

Systematyczne myślenie, ale nie zafiksowanie się na jednej rzeczy. Trzeba wsłuchać się w historię, którą opowiadają zabezpieczone ślady. W ten właśnie sposób Niemi zaczął oględziny miejsc na Przeklętej Wyspie w poszukiwaniu ludzkich szczątków i innych pozostałości po zmarłej kobiecie. Miejsce znaleziska to prawie osiemset tysięcy metrów kwadratowych, pełne krzaków i zarośli, przez które trzeba było się przedzierać niemal jak w dżungli.

Na Przeklętej Wyspie Peter Niemi spędził łącznie osiem dni roboczych. Do pomocy miał czterech techników, których wypożyczył z pionu

technicznego z innego komisariatu. Oprócz tego miał do dyspozycji dwa psy policyjne ze swoimi opiekunami oraz kolegów z policji wodnej, którzy pomogli mu w transporcie na wyspę. No i oczywiście całe niezbędne wyposażenie. Na brzegu jeziora zbudowali mały obóz, rozstawili stół i krzesła, żeby mieć gdzie zjeść kanapki, wypić kawę czy po prostu odpocząć. Na wypadek deszczu rozbili namiot, w którym mogli przechowywać to, co ewentualnie by znaleźli. Było to zresztą zupełnie niepotrzebne, bo i tak nie znaleźli niczego interesującego, a poza tym codziennie świeciło słońce.

Opiekun jednego z psów policyjnych miał nawet na to wytłumaczenie. Na wyspie było dużo dzików i zdaniem jednego z okolicznych myśliwych żyły one tam już od dwudziestu lat. Zjadały wszystko, nawet padlinę, i nie zostawiały wiele resztek.

– Dziki mają silne szczęki. Są jak młynek do odpadów. Kość udową człowieka mogą zmiażdżyć w mgnieniu oka. Nie tak jak lisy. Lisy są smakoszami, i to właśnie dzięki nim znaleźliśmy chociaż tę czaszkę.

– To pocieszające – powiedział Niemi. – Słyszę, co mówisz, i znam problem. Dziki oczyszczają środowisko.

Przeklęta Wyspa to niegościnne miejsce, jednak nie brakowało tu śladów człowieka. Setki plastikowych butelek i starych opakowań leżały wzdłuż brzegu, a głębiej na wyspie stał nawet szkielet domu, który najprawdopodobniej pochodził z czasów, kiedy wyspa służyła jeszcze okolicznym chłopom za pastwisko. Być może był to dom, o którym opowiadał Annice kolega z policji wodnej. Latem 1895 roku uderzył w niego piorun i zabił dwie dziewczki. W tamtych czasach wyspa nie była tak zarośnięta jak teraz, pełno tam było pastwisk i kwiecistych łąk.

Stary szkielet domu to jedyne, co zostało, oprócz dwóch szałasów podobnych do tych, które Peter Niemi budował z kolegami, kiedy był

dzieckiem. W czasach, kiedy jeszcze nie było gier komputerowych i telefonów komórkowych, pomyślał. Więc mają już trochę lat na karku.

W sumie osiem dni roboczych, z czego trzy pierwsze bez żadnych rezultatów. Dopiero pod koniec trzeciego dnia, gdy Niemi zarządził przerwę na weekend, żeby się zastanowić, czy jest sens zostawać tu dłużej, jeden z kolegów z policji wodnej odmienił sytuację.

– Wziąłem ze sobą kopię starej broszury o tym, skąd się wzięła nazwa Przekłeta Wyspa – powiedział policjant, podając Niemiemu brązową kopertę.

– Pamiętam, mówiłeś o tym w zeszłą środę, kiedy tu przyjechaliśmy – odparł Niemi.

– Nie sądzę, żeby to ci w czymś pomogło, ale to po prostu ciekawa historia. Mówi się, że nad tym miejscem wisi jakaś klątwa. Dziewki, które giną w pożarze, bydło, które pada jak muchy, i chłopci, którzy toną. A teraz zdaje się, że klątwa dosięga nawet was. Najmniejszego śladu. Ani jednej choćby kurki na lunch. Tylko komary, stare butelki i inne dziadostwo. Przynajmniej będziesz miał co czytać w weekend, smarując miejsca po ugryzieniach komarów.

– Już się nie mogę doczekać – powiedział Niemi i nawet nie mógł przypuszczać, jak od tej chwili zmieni się bieg śledztwa.

## 20.

Godzinę po zakończeniu pierwszego zebrania grupy śledczej Haqvin Furuhjelm, komendant obozu skautów, zadzwonił do Anniki Carlsson i powiedział, że po południu wybiera się do miasta załatwić kilka spraw, więc jeśli Annika wciąż chciałaby z nim porozmawiać, to ma czas.

– Po południu pasuje mi świetnie – odpowiedziała Annika.

– Mogę być u pani za godzinę – odparł Furuhjelm. – O tej porze nie powinno być korków. W każdym razie nie przy wjeździe do miasta.

– Niech pomyślę... – zastanawiała się Annika.

Tutaj będzie szybciej, pomyślała.

– Ale może woli pani, żebyśmy się spotkali w obozie? – zapytał Furuhjelm, wyczuwając wahanie w głosie Anniki. – W takiej sytuacji obawiam się, że najwcześniej będziemy mogli się spotkać dopiero jutro rano. Dzisiaj zostaję w mieście i nocuję w domu.

– Jeśli może pan przyjechać do komisariatu w Solnej, będę ogromnie wdzięczna – powiedziała Annika. – Mam sporo do zrobienia.

– Dobrze – zgodził się Furuhjelm. – W takim razie do zobaczenia za godzinę.

– Z tym może być mały problem – dodała Annika. – Za moment mam spotkanie. Pasuje panu za dwie godziny?

Małe białe kłamstewko, żebyś zdążyła sprawdzić, co z ciebie za ziółko, pomyślała Annika.

– Świetnie. Zatem o drugiej, komisariat w Solnej. Chyba wiem, gdzie to jest. W tym dużym budynku przy torach, tam, gdzie jest sąd, prawda?

– Zgadza się – powiedziała Annika. – Proszę zapytać o mnie w recepcji, to zejdę po pana.

– Nie chcę być marudny, ale wciąż mi pani nie mówi, o czym będziemy rozmawiać?

– Chcę się od pana dowiedzieć paru rzeczy – odparła Annika. – Nie jest pan o nic podejrzany. Rozpoczęliśmy śledztwo i przyszło mi do głowy, że może nam pan pomóc.

– Mam nadzieję, że Edvin nie wpakował się w coś niedobrego? – zapytał Furuhjelm z niepokojem w głosie.

– Nie, nie. Nie chodzi ani o niego, ani o pana, jak już powiedziałam.

Mam nadzieję, pomyślała.

– Dobrze wiedzieć – odrzekł Furuhjelm głosem takim jak zwykle. – Myślałem...

– Wie pan co – przerwała mu Annika. – Porozmawiamy, jak się spotkamy. Tak będzie prościej.

– Ma pani rację – zgodził się Furuhjelm.

Ziółko czy nie ziółko, zastanawiała się Annika.

Po rozmowie natychmiast udała się do swojej nowej współpracownicy, „Olsson przez dwa s”, i podała jej pełne imię, nazwisko i numer osobowy Furuhjelma.

– Potrzebuję twojej pomocy, Kristin – oznajmiła Annika. – Czy możesz trochę powęszyć? Będę go przesłuchiwać za kilka godzin.

– Furuhjelm, Gustav Haqvin Furuhjelm, urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym – powiedziała Kristin, czytając kartkę, którą podała jej

Annika.

– To on.

– Jakie arystokratyczne nazwisko – stwierdziła Kristin. – Co takiego zbroił?

– Prawdopodobnie nic – odpowiedziała Annika i uśmiechnęła się. – Jest komendantem obozu naszego grzybiarza.

– Ojoj – zaniepokoiła się Kristin i pokiwała głową. – Mężczyzna, czterdzieści pięć lat, zapewne nieżonaty, bezdzietny. Pracuje jako komendant obozu dla małych skautów. Nie najlepiej. A tak się cieszyłam, że będę miała do czynienia z prawdziwym morderstwem.

– Bądźmy dobrej myśli – powiedziała Annika. – Znajdź tylko to, co najważniejsze.

Miła dziewczyna, pomyślała Annika. Teraz przyda się krótki trening i coś do jedzenia, żeby nie mieć spadku cukru, kiedy będzie rozmawiać z takim mężczyzną jak Haqvin Furuhjelm.

Gotowa na wyzwania, pomyślała Annika pół godziny później, kiedy stała w windzie na parterze w drodze ze stołówki do swojego gabinetu na najwyższym piętrze. Teraz tylko mały trening, prysznic, świeża bielizna, wyprasowany T-shirt, proteiny, warzywa, woda na lunch i więcej nie trzeba, żeby stawić czoła światu. Ciekawe, co porabia Bäckström.

Po drodze do swojego pokoju Annika wstąpiła do Kristin.

– Masz go w mailu. Gustav Haqvin Furuhjelm jest w twojej poczcie.

– Mów – poprosiła Annika, skinęła głową i usiadła na krześle.

– Okej – zgodziła się Kristin. – Mniej więcej tak jak powiedziałam. Czterdzieści pięć lat, nieżonaty, bezdzietny, niekarany, zupełnie czysty, nic więcej nie znalazłam. Ma mieszkanie na Östermalmie, na Ulrikagatan, i o ile się nie mylę, dom należy do niego albo do jego rodziny. Wydaje się, że ma dużo pieniędzy, mimo że jego dochody w deklaracji podatkowej nie



są imponujące. Jedyne sześćset tysięcy, co można uznać za „jedyne”, jeśli jest się właścicielem jachtu wartego mniej więcej dziesięć milionów.

– Gdzie pracuje?

– Jest prawnikiem. Skończył studia na uniwersytecie w Uppsali w dziewięćdziesiątym piątym. Potem głównie zarządzał nieruchomościami, w biurze o nazwie Furuhjelm Förvaltning AB. Właścicielami firmy są on i jego starsza siostra. On jest dyrektorem naczelnym, siostra prezesem. Jeśli chcesz znać jego świadectwa szkolne, to musisz trochę poczekać.

– Nie, daj spokój – powiedziała Annika i się uśmiechnęła. – Kogo to obchodzi? Gdybyś widziała moje? Jaki jest jako człowiek? Jakie jest twoje wrażenie?

– Nie sądzę, żeby był gejem – stwierdziła Kristin z jakiegoś powodu. – To trochę taki duży chłopiec. Tylko wyrośnięty.

– Duży chłopiec?

– Taki, co to nigdy nie wyrasta z wieku chłopięcego – uściśliła Kristin. – Który najchętniej spędza czas ze starymi kumplami. Ale nie gej. Nie leci też za bardzo na dziewczyny.

– Skąd taki wniosek?

– Sprawdziłam go w internecie – oznajmiła Kristin. – Jest na Facebooku, na Twitterze, na LinkedIn i w kilku innych miejscach. Ale nie na portalach randkowych. Ani dla straight, ani dla nie całkiem straight. Nie ma go też na Tinderze. Mimo iż to taki lżejszy wariant portalu randkowego.

– Nieźle – podsumowała Annika. – I to wszystko sprawdziłaś w ciągu godziny. Jak to zrobiłaś?

– Nie chcesz wiedzieć – odparła Kristin i uśmiechnęła się życzliwie.

– Nie, lepiej nie – przyznała Annika. – Jakieś zainteresowania?

Nie ma żadnych zainteresowań?

– Ma, dwa duże. I jedynie o nich mówi w mediach społecznościowych.

- Czyli?
- Żeglarstwo i skauting. Znalazłam jego zdjęcie w mundurze skautowskim. Krótkie spodnie i cała reszta.
- Duży chłopiec. Żeglarstwo i skauting – powtórzyła Annika.
- Zgadza się – potwierdziła Kristin i zachichotała zadowolona. – Sama słyszysz, jak to brzmi.
- Mam pomysł – odparła Annika. – Wiem, że trudno ci chodzić... – Pokazała głową na kule, które stały za krzesłem Kristin. No tak... – Czy mimo to mogłabyś zejść do recepcji i przyprowadzić go do mnie? Chętnie bym poznała twoje wrażenie. Potem mogłybyśmy je porównać.
- Jasne, nie ma sprawy – zgodziła się Kristin. – A, i zapomniałam o jednym. Jest bardzo przystojny, w każdym razie na zdjęciach, które opublikował w internecie. Typowy bogaty przystojniak, wiesz, co mam na myśli.
- Na tego typu zdjęciach wszyscy tak wyglądają – odrzekła Annika i wstała z krzesła. – Gdybyś widziała moje... – dodała.
- Pewnie masz rację – przyznała Kristin. – Te jego zdjęcia z siłowni...
- Nic dziwnego, pomyślała Annika i tylko pokiwała głową. Dlatego swoje mam już w komputerze.

Przesłuchując Haqvina Furuhjelma, Annika nie posłuchała rady Bäckströma. Dlatego starannie unikała tematu skradzionych złotych zębów i mokrych ręczników. Furuhjelm zrobił na niej dobre wrażenie i wyglądał tak samo jak na zdjęciach w sieci, które znajdowały się też w jej własnym komputerze. Oprócz jednego, w mundurze skautowskim, bo tego Kristin jej nie przysłała.

Nie tylko duży chłopiec, pomyślała Annika, gdy zauważyła błysk ciekawości w jego spojrzeniu, kiedy wszedł do pokoju.

Niebieska marynarka, białe spodnie, niebieskie buty żeglarskie, biała koszula rozpięta przy szyi. Dobrze ubrany, a jednocześnie na luzie, z opalenizną na płaskim brzuchu. Dokładnie taki, jak go opisała Kristin i taki jak na zdjęciach, które wrzucił do sieci. Przystojniak, bogaty, a oprócz tego wyglądający o dziesięć lat młodziej. Jednym słowem marzenie teściowej, jeśli chciałoby się wydać za męża córkę o podobnym pochodzeniu co Haqvin Furuhjelm.

Annika zaczęła przesłuchanie tak jak zwykle. Najpierw wyjaśniła, że będzie przesłuchany w celu złożenia wyjaśnień w związku z rozpoczętym śledztwem w sprawie o dokonanie przestępstwa. I że będzie musiał podpisać dokument o nieujawnianiu zeznań oraz żadnych informacji ze śledztwa.

Nie ma problemu. Furuhjelm pokiwał głową z uśmiechem, kiedy zobaczył papier do podpisania. Był prawnikiem, więc doskonale wiedział, o czym mówi Annika.

– To tylko formalność – powiedziała i też się uśmiechnęła. – Czy mogę zwracać się do pana po imieniu?

Zdaniem przesłuchiwanego było to zupełnie w porządku. Jego właściwe imię to Gustav, Haqvin to drugie imię, po ojcu chrzestnym, jednak już jako mały chłopiec zyskał przydomek Hacke, a nawet Hacke Dzieciół, jeśli ktoś chciał się z nim podrażnić.

– Więc będę mówić Haqvin – uznała Annika. – Bardzo ładne imię. Może ciut staroświeckie. Po raz pierwszy rozmawiam z osobą o takim imieniu – dodała i znów się uśmiechnęła. – Mimo iż jestem policjantką już od piętnastu lat.

– Rozumiem – odparł Furuhjelm i skinął głową, tym razem poważnie. – To właściwie trochę smutne. Nie dlatego, żeby przestępcy nie mogli mieć imienia Haqvin. Nie o to mi chodzi...

– Wiem, o co ci chodzi – powiedziała Annika. – Powód, dla którego chcę z tobą rozmawiać, to twoja świetna znajomość Mälaren i wyspy, na której leży obóz skautów.

„Świetna znajomość” to lekka przesada, zdaniem Furuhjelma. Choć faktycznie żeglował od dziecka, a pierwszą łódkę dostał od ojca, kiedy miał dziesięć lat. Haqvin był dzieckiem miasta, ale jego rodzina od trzech pokoleń miała posiadłość w Stallarholmen, po południowej stronie Mälaren, i to właśnie tam Haqvin spędzał wakacje jako dziecko, a potem jako nastolatek.

– Znam Mälaren – powiedział Haqvin z uśmiechem. – Inne jeziora i morza też nieźle. Według moich obliczeń na wodzie, na różnych żaglówkach, spędziłem prawie trzy tysiące dni. Dwa razy przepłynąłem świat dookoła, sam Atlantyk dziewiętnaście razy, do Stanów, na Karaiby, do Meksyku, do Ameryki Południowej, tam i z powrotem.

– Więc jak wróciłeś z ostatniej podróży? – zapytała Annika.

– Nie rozumiem? – zdziwił się Furuhjelm, który naprawdę nie zrozumiał pytania.

– Dziewiętnaście razy – powtórzyła Annika.

– Aaa, o to ci chodzi – rzucił Furuhjelm, najwyraźniej tym rozbawiony.

– Za dwudziestym razem wziąłem samolot.

– Rozbiliście się, złamaliście maszt czy coś w tym rodzaju?

– Nie – odpowiedział Furuhjelm, już z poważną miną. – Tak dobrze nie było. Mój tata. Miał wtedy pierwszy zawał. Wziąłem samolot z Florydy i przyleciałem prosto do Sztokholmu. To było dziesięć lat temu. Przeżył go, ale drugiego już nie. Właśnie mija pięć lat.

– Przykro mi – powiedziała Annika.

– Kiedy zmarł, miał osiemdziesiąt lat, więc nie było to jakieś wielkie zaskoczenie, ale wciąż o nim myślę – skonstatował.

Najwyższy czas zmienić temat, pomyślała Annika.

– Jak to godziłeś z pracą? – zapytała. – Skoro tyle czasu spędzałeś na żeglowaniu...

– Dość kiepsko – wyznał Furuhjelm i obojętnie wzruszył ramionami. – My, ludzie, rodzimy się różnie wyposażeni, część z nas jest w czepku urodzonych. I ja właśnie do nich należę.

– Żeglowanie to twoja największa pasja?

– Tak – odparł Furuhjelm i skinął głową z naciskiem. – A ty żeglujesz?

– Próbowałam parę razy – odpowiedziała Annika. – Szczerze mówiąc, to nie moja działka.

– Nie mów tak – rzekł Haqvin. – To fantastyczna sprawa. Po prostu uczucie nie do opisania. Siedzisz, wiatr dmucha w żagle, chwytasz rumpel i nagle twoja łódź zaczyna żyć. Daj znać, jak zmienisz zdanie – dodał z uśmiechem.

– Obiecuję – zapewniła Annika. – Skauci wodni... – kontynuowała. – Rozumiem, że to twoja druga wielka pasja.

Oczywiste następstwo pierwszej, zdaniem Haqvina. Pierwsza to żaglówka, kiedy miał dziesięć lat. Członkostwo w drużynie skautów wodnych rok później. Wciąż ta sama drużyna, w Ekerö nad Mälaren. Skaut od prawie trzydziestu pięciu lat. Najpierw jako szeregowiec, potem drużynowy, a przez ostatnich dziesięć lat jako komendant.

– Wyjeżdżam ze skautami w każde wakacje, co najmniej na miesiąc – powiedział. – Tyle od nich dostałem, że jestem im to winien.

– A Przekłeta Wyspa... – rzekła Annika. – Co o niej wiesz?

– Wszystko – odparł Haqvin. – Przekłeta Wyspa to kraina przygód mojego dzieciństwa. Od pierwszych wakacji w Ekerö aż do czasu, kiedy jako nastolatek zostałem drużynowym, byłem tu przynajmniej ze sto razy. Razem z najlepszymi kumplami z obozu dużo tutaj żeglowaliśmy. Dorosli

nam ufali. Dawali nam dużo wolności. Nie tak jak teraz... Jak tylko się obudzisz i wyjdiesz przed namiot, już stoi przed tobą opiekun z kamizelką ratunkową. Dawniej sami musieliśmy sobie dawać radę. Ja i moi kumple tworzyliśmy zgraną paczkę. Trzech chłopaków w tym samym wieku, zawsze trzymaliśmy się razem. Przygotowywaliśmy prowiant, zabieraliśmy przenośny grill, namiot i płynęliśmy na Przekłętą Wyspę. Niekiedy dołączali też inni kumple, jeśli tylko chcieli z nami płynąć. Czasami było nas piętnastu, a nawet dwudziestu skautów, płynęliśmy w pięć, sześć łodzi. Udawaliśmy, że jesteśmy piratami, budowaliśmy koje na drzewie, żeby obserwować, czy nie zbliża się jakiś nieproszony gość. Uczestniczyliśmy w bitwach morskich... i... tak, to było po prostu fantastyczne. Raz powiesiliśmy sznurek na drzewie na brzegu i huśtając się, skakaliśmy do jeziora, robiliśmy nawet zawody, kto dalej skoczy. Wyposażeni w łuki, krążyliśmy po wyspie, żeby zorganizować coś do jedzenia. Łuki i strzały robiliśmy sami.

– I jak wam szło? To polowanie?

– Niespecjalnie – odpowiedział Haqvin i szeroko się uśmiechnął. – Spudłowałem chyba ze sto razy, kiedy próbowałem upolować mysz na grilla. Ale nie było problemu, bo mieliśmy ze sobą hot dogi, hamburgery, pastę z tuńczyka i wszystko, co potrzebne do przeżycia.

– Brzmi sensownie – powiedziała Annika.

Prawie jak Bäckström, pomyślała.

– To było po prostu fantastyczne – powtórzył Haqvin. – To nie tylko najlepsze wakacje w moim życiu, ale też każdy dzień z osobna... tak, po prostu fantastyczny. Kiedy się jest w tym wieku, nikt nie chce, żeby wakacje kiedykolwiek się skończyły...

– Dlaczego akurat Przekłętą Wyspę? – zapytała Annika. – Byłam tam i uważam, że to dość nieprzyjemne miejsce. Poza tym ma złą reputację.

Edvin twierdzi, że tam straszy.

– Zgadza się. Straszycie już wtedy – odparł Haqvin. – I o to właśnie chodziło. Było to bardzo ekscytujące. Na Przeklętej Wyspie mieliśmy święty spokój.

– Nie jest to miejsce, gdzie ludzie chętnie przyplływają na swoich żaglówkach, prawda?

– Zgadza się – potwierdził Furuhjelm i skinął głową. – Wtedy też nie. Na całej wyspie jest tylko jedno miejsce do zacumowania łódki, wokół brzegu pełno ostrych skał. Więc nie wygląda to zachęcająco. Teraz żeglarze lubią wygodę, poza tym nad Mälaren jest sporo innych miejsc, gdzie można zacumować żaglówkę. Bardzo nam to odpowiadało.

Najwyraźniej nie tylko wam, pomyślała Annika i pokiwała głową.

– Ostatnie pytanie – powiedziała. – Czy komuś coś się kiedyś stało na wyspie? Nikt nie utonął, nie topił się? Albo przypadkiem nie trafił kolegi strzałą z łuku?

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczył Haqvin. – Wszyscy umieliśmy pływać. Czuliśmy się jak ryby w wodzie. Czasami może komuś poleciała krew z nosa, kiedy zabawa przybrała poważniejszy obrót. Albo ktoś po prostu upadł. Ale nie, nic poważnego. Tylko jeden raz kumpel spadł z drzewa i złamał nogę. Kiedy budowaliśmy na drzewie koję, która służyła nam za punkt obserwacyjny.

– I co zrobiliście?

– Oczywiście przerwaliście budowanie. I odstawiliście go łódką do obozu. Ale następnego dnia był już z powrotem, zagipsowany od kolana w dół. To jedyna poważniejsza rzecz.

– To już chyba wszystko – powiedziała Annika dziesięć minut później. – Dziękuję za pomoc. Jeśli będę miała jeszcze jakieś pytania, odezwę się.

– Oczywiście. Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń.

– Zdanie co do czego?

– Jeśli będziesz chciała doświadczyć tego specyficznego uczucia – przypomniał Haqvin – kiedy wiatr dmucha w żagle, a łódź pod twoimi stopami nagle ożywa i zaczyna żyć własnym życiem.



## 21.

Pod kierownictwem inspektora kryminalnego Jana Stigsona Kristin Olsson i Adam Oleszkiewicz pracowali nad sporządzeniem listy zaginionych kobiet. Zdaniem Stigsona mieli ogrom pracy, więc przekopanie się przez bazę danych mogło im zająć kilka tygodni.

– Wobec tego mam pewną propozycję – powiedziała Kristin.

– Co takiego? – zapytał Stigson.

Sposób na zaoszczędzenie czasu. Miejmy nadzieję, że to droga na skróty do naszego celu, a tym samym naturalny początek śledztwa.

– W Komendzie Głównej jest specjalna komórka do spraw zaginięć. Ogólnokrajowa baza danych, do której spływają na bieżąco informacje ze wszystkich komisariatów. Co myślisz o tym, żeby na początek z nimi pogadać?

– Warto spróbować – zgodził się Stigson.

Zwłaszcza że na weekend chciałby wyjechać do Dalarny, a przedtem załatwić jeszcze kilka spraw, między innymi zdążyć do monopolowego.

– Ty zadzwonisz czy ja mam to zrobić? – zapytał Stigson, bo poczuł, że już czas na lunch, i na wszelki wypadek spojrzął na zegarek, by pokazać, że co innego ma teraz w głowie.

– Ja zadzwonię – zdecydowała Olsson. – Spokojnie.

– Chociaż pewnie większość i tak jest teraz na urlopie – stwierdził Stigson z grymasem niezadowolenia. – Ale spróbuj.

Kwadrans później wszystko było załatwione. Koleżanka z Komendy Głównej nie tylko była w pracy, ale też najwyraźniej należała do tych, co to odpowiadają na telefony. Kristin Olsson wyjaśniła, o co chodzi, i zanim zdążyła dokończyć, głos w słuchawce przerwał jej:

– Spróbuję to dla was zrobić. Dajcie mi parę godzin. Jeśli później wpadniecie, razem przejrzymy to, co uda mi się znaleźć. Z tego typu danymi mogą być pewne problemy, więc lepiej, żebyśmy to omówili w cztery oczy.

– Fantastycznie – ucieszył się Kristin.

– Niezupełnie – zaprzeczyła policjantka. – To nie takie proste, jak się wydaje. Ale pogadamy, jak się spotkamy.

Trzy godziny później Stigson, Olsson i Oleszkiewicz siedzieli w małym pokoju zebrań w Komendzie Głównej na Kungsholmen i pili kawę. Koleżanka z Wydziału do spraw Zaginięć próbowała im wyjaśniać, na czym polega problem z tego typu danymi.

Każdego roku w całym kraju zgłaszanych jest ponad pięć tysięcy zaginięć. Dorosłych kobiet i mężczyzn, młodzieży i dzieci, którzy w dziewięćdziesięciu procentach sami postanowili zniknąć, dlatego na ogół po około kilku dniach albo tygodniu wracają do domu, i wtedy wykreśla się ich z bazy.

Jednak w przypadku mniej więcej setki zaginionych sprawa jest bardziej skomplikowana, gdyż zaginionym osobom mogło się przydarzyć coś złego. Nagła choroba, wypadek, samobójstwo, a nawet morderstwo. To ostatnie stanowi, oczywiście, najmniejszy odsetek wypadków.

Większość zaginionych odnajduje się po kilku miesiącach, góra roku. Pozostały więc tylko te osoby, które się nie odnalazły.

– Jeśli weźmiemy pod uwagę ostatnie dziesięć lat, to mówimy tutaj o trzystu takich przypadkach, a więc trzydziestu osobach rocznie – wyjaśniła policjantka – z czego ponad setka to kobiety. Wprawdzie mamy dane tych kobiet i możemy zdobyć wszystkie informacje dotyczące ich zaginięć, ale i tutaj jest problem.

– Jaki? – zapytał Stigson.

– Po pierwsze, wielu osób nie ma w statystykach, bo ich zaginięcia nie zostały zgłoszone. Prawdopodobieństwo rośnie w przypadku osób o obcym pochodzeniu albo takich, które w Szwecji przebywały tylko czasowo. To pierwszy problem, i wydaje mi się, że to może być całkiem spora grupa.

– Jaki jest drugi problem? – spytał Stigson.

– Często to osoby o obcym pochodzeniu. Zaginęły, ich zaginięcie zostało zgłoszone, wróciły do swojego kraju i słuch po nich zaginął. Mimo że żyją i mają się dobrze. Taka grupa też jest spora.

– Co powoduje, że statystyki są zawyżone – skonstatowała Olsson.

– Tak, ale niestety nie możemy ich wykreślić. To nie takie proste. Z jednej więc strony mamy osoby, które faktycznie zaginęły, ale o tym nie wiemy, z drugiej zaś osoby, które widnieją w rejestrach i których nie możemy wykreślić, mimo że powinniśmy, bo mamy o nich niepełne informacje.

– W takim razie co robimy? – zapytał Stigson.

– Obawiam się, że niewiele tu możemy zrobić – powiedziała policjantka z uśmiechem. – Ale jeśli masz jakąś ciekawą propozycję, to chętnie posłucham. Dostaniecie wszystko, co mam. Cała lista będzie na was czekała w mailu, zanim wrócicie do Solnej... Choć właściwie listę mogę wam dać już teraz – zdecydowała, trzymając w ręku wydruk z komputera. – Mam już gotową. Kobiety z Tajlandii i Filipin, które zaginęły w Szwecji

w ciągu ostatnich dziesięciu lat i nie zostały odnalezione. Siedem z Tajlandii i dwie z Filipin.

– Czasami trzeba się zadowolić tym, co się ma – rzekł Stigson z uśmiechem.

– Chociaż nie wykluczyłabym tego, że wszystkie miały już dosyć facetów, którzy je tu przywieźli, wróciły do swoich krajów i ślad po nich zaginął. Albo odwrotnie: może trafiły na jakichś szaleńców, którzy je zabili i zakopali, o czym, z oczywistego powodu, nie raczyli nam powiedzieć.

– Ponura sprawa – powiedział Stigson i uśmiech znikł z jego twarzy.

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Na waszym miejscu zacząłabym od przejrzenia zgłoszeń o ich zaginięciach. Kto wie, może przy odrobinie szczęścia okaże się, że to któraś z nich.

Piątek minął na studiowaniu dziewięciu zgłoszeń o zaginionych kobietach z Tajlandii i Filipin, które się nie odnalazły. W siedmiu przypadkach zgłoszenie zostało złożone przez mężczyznę, z którym kobieta była związana. W jednym wypadku zaginięcie zgłosiła przyjaciółka, w kolejnym – współpracownica z firmy sprzątającej, w której kobieta pracowała. Żaden z dokumentów nie był szczególnie obszerny, największy liczył około dwustu stron i był to głównie zapis przesłuchań osób, które znały zaginioną. Jednak żadne zgłoszenie nie zawierało informacji, która mogłaby wstrząsnąć policjantem.

Podczas przesłuchania partner najczęściej tłumaczył, że związek przeżywał kryzys, kłócili się, więc kobieta spakowała się i wyjechała.

Poza tym rutynowo skontrolowano paszporty, karty kredytowe i telefony komórkowe. Kilku paszportów brakowało, część kobiet opróżniła swoje konto bankowe albo przynajmniej wypłaciła jakąś sumę, kilka kupiło bilet lotniczy, a trzech komórek używano już po zaginięciu – rozmowy były i ze Szwecji, i z zagranicy. Jednak żadna z kobiet nie dzwoniła do swojego

byłego partnera. Śledztwa więc zostały zamknięte, ale zaginięć wciąż nie skreślono z bazy danych. W większości przypadków tak to wyglądało.

W piątek po południu Oleszkiewicz zreferował wszystko Annice. A dostąpił tego zaszczytu dlatego, że Stigson wyszedł jeszcze przed lunchem, żeby przed weekendem zdążyć załatwić kilka spraw, a Kristin miała po południu umówioną wizytę u lekarza.

– I co robimy? – zapytał Oleszkiewicz.

– Wgryzamy się głębiej w to, co mamy – powiedziała Annika. – Sprawdzamy, czy są gdzieś ich karty dentystyczne, DNA, cokolwiek, co może się przydać. Może powinniśmy się też skontaktować z policją z zagranicy. Ale ty, o ile się nie mylę, wybierasz się na chorobowe?

– Skądże znowu. Chętnie nad tym popracuję.

– Dobrze. – Annika kiwnęła głową. – Od poniedziałku ty i Kristin będziecie mieć szefa, który zna się na rzeczy. Więc się nie martw, będziesz miał mnóstwo roboty.

– Mam jeszcze jedno pytanie – rzekł Oleszkiewicz. – Ten Bäckström... czy on jest w porządku?

Annika odsunęła się z krzesłem do tyłu i uśmiechnęła szeroko.

– Jest okej.

– To prawie jasnowidz – kontynuował Oleszkiewicz i pokręcił głową. – Pamiętam, jak mówił, że to najwyżej dziesięć nazwisk. I co, okazało się, że dziewięć... Skąd on to wiedział?

– Wiem, co masz na myśli. Ale nie jest żadnym jasnowidzem – zapewniła Annika. – I na twoim miejscu bardzo bym się pilnowała, żeby mu tego nie powiedzieć. Bäckström nie znosi jasnowidzów. Ma na nich całą masę przezwisk. Szarlatani, wieszczki, kabalarze... Poza tym żyje w przekonaniu, że nawet jeśli uda się takiemu rozwiązać coś, co jemu się nie udało, to tylko dlatego, że taki szarlatan musi być w całą sprawę

zamieszany. To, że udaje mu się rozwiązać sprawy, których nikt inny nie potrafi, ma zupełnie inne wytłumaczenie. Jego zdaniem, oczywiście.

– Jakie?

– Że jest jedynym inspektorem śledczym wartym tej nazwy. Nie tylko w Szwecji i na świecie, ale i w całej historii policji międzynarodowej. Wszyscy inni to idioci, a nawet jeszcze gorzej. Jeśli chcesz się wkraść w jego łaski, to coś ci doradzę...

– Co?

– Zaproponuj mu, żeby cię nazywał Olsson, tylko przez dwa z, te, które faktycznie masz w nazwisku. Taki już jest. Komisarz Evert Bäckström w dużym skrócie.

– Rozumiem – powiedział Oleszkiewicz.

– To świetnie – odparła Annika. – Widzimy się w poniedziałek.

## 22.

Fredrik Lindström, z licencjatem z teologii, to pastor starej daty. Ponad sto lat temu, w 1910 roku, został wyświęcony na księdza w arcybiskupstwie w Uppsali, a siedem lat później dostał swoją pierwszą parafię.

Lindström był dużym, postawnym mężczyzną. Blondynem o niebieskich oczach, z okazałym brzuszkiem i donośnym barytonem, odpowiednim zarówno do śpiewania psalmów, jak i do wygłaszania kazań. Był praktycznym mężczyzną, któremu przyszło żyć w czasach, kiedy to prawdziwy wiejski proboszcz musiał umieć nie tylko pocieszyć wdowę czy podkuć konia, ale także zaszlachtować świnie. Był mężczyzną o wszechstronnych zainteresowaniach, a szczególnie bliskie jego sercu były historia i badania dziejów lokalnej społeczności.

W 1915 roku, kiedy w Europie szalała pierwsza wojna światowa, Lindström został powołany na proboszcza na Helgö, jednej z wysepek na Mälaren, na zachód od Sztokholmu, a zaledwie po dwóch latach opublikował małą pracę o tym, skąd Przeklęta Wyspa wzięła swoją nazwę. Zaszczyt jej wydania przypadł lokalnemu Związkowi Miłośników Stron Rodzinnych w 1917 roku, tuż przed Bożym Narodzeniem, a czasy były takie, że pisemko rozeszło się jak świeże bułeczki. Po raz pierwszy w pięćdziesięcioletniej historii Związku Miłośników Stron Rodzinnych trzeba było robić dodruk *Krótkich rozważań o tym, skąd się wzięła nazwa*

*Przekłeta Wyspa*, autorstwa Fredrika Lindströma, licencjata teologii i proboszcza parafii na Helgö. Z pewnością jednak autor owych krótkich rozważań nie mógł mieć bladego pojęcia, że sto lat później jego dzieło będzie miało decydujące znaczenie dla pewnego śledztwa w sprawie o morderstwo.

Kiedy komisarz Peter Niemi wrócił z pracy do swojego bliźniaka w Spåndze, najpierw zjadł obiad, w samotności, bo żona z dziećmi wyjechała do ich domku letniego w Tornedalen. Potem rozmawiał z nimi przez telefon i oglądał telewizję, jednak bez jakiegoś szczególnego zainteresowania. Z braku lepszego zajęcia zakończył wieczór lekturą krótkich rozważań Lindströma, które wziął ze sobą do łóżka. Było to ponad trzydzieści zadrukowanych stron historii, którą sto lat później pewien szwedzki policjant z patrolu wodnego – z dużym i żywym zainteresowaniem wysepkami na Mälaren – opowiedział mu zadziwiająco szczegółowo.

Pisemko miało również dołączoną mapę, która pokazywała wyspę, zanim jeszcze „zawładnęły ją złe moce”. Mimo braku dowodów, jakie daje dzisiejsza technika kryminalistyczna, pastorem Lindströmem nie targały wątpliwości, kto ponosi winę za taki stan rzeczy. To, co wydarzyło się na Przekłetej Wyspie, było z pewnością „sprawką Szatana” i nie miało nic wspólnego ze zwykłą ludzką słabością. Jednocześnie było to niezbędne przypomnienie, że zło zawsze czai się blisko człowieka i nigdy nie przepuści okazji, żeby się ujawnić.

Jednak w tym wszystkim bardziej interesujące niż ziejące siarką teologiczne wykłady pastora Lindströma było kilka krótkich linijek o czymś, czego Peter Niemi i jego koledzy z jakiegoś powodu nie odnaleźli, choć powinni byli. Jeśli nawet prawdą było to, co pastor Lindström napisał w swoich *Krótkich rozważaniach*, to ani im to nie ucieknie, ani nie ukryje



się przed zdobyczą współczesnej techniki kryminalistycznej i z powodzeniem może poczekać do poniedziałku, po weekendzie, pomyślał Niemi, ziewnął i zgasił lampkę nocną.

Zresztą ciekawe, co pastor Lindström sądziłby o kobietach pastorach, pomyślał i natychmiast zapadł w sen.

Komisarz Toivonen nigdy nie przypuszczał, że będzie mu brakować Anny Holt. W związku z przekształceniem szwedzkiej policji w organ władzy państwowej Anna Holt zrezygnowała ze stanowiska szefa policji w Västerort i awansowała na znacznie wyższe stanowisko we władzach Komendy Głównej Policji. Już po tygodniu współpracy z jej następcą Toivonen dotkliwie odczuł jej brak.

W czwartek po południu, w czasie kiedy Annika Carlsson przesłuchiwała Haqvina Furuhjelma, Toivonen, idąc na weekendowe zakupy, po karton piwa i kilka butelek wódki do śledzika, natknął się przed sklepem monopolowym w Solnej na swojego nowego szefa.

Jego nowy szef, Carl Borgström, z wykształcenia pracownik socjalny, zanim powołano go na stanowisko szefa policji w Solnej, pracował jako szef kadr w kasie ubezpieczeniowej w Sztokholmie. Logiczna nominacja, biorąc pod uwagę fakt, że politycy i wyżsi rangą biurokraci, którzy tworzyli tę nową organizację – „największa reforma w dziejach szwedzkiej policji” – żyli w błogim przekonaniu, że głównym brakiem starej struktury było to, iż nie spełniała swej funkcji jako „organ służby obywatelskiej”. A więc taka osoba jak Borgström, niemająca zielonego pojęcia o pracy w policji, pasowała jak ulał na to stanowisko.

Toivonen, którego w największym skrócie można by opisać jako prawdziwego policjanta starej daty, dzielącego ludzkość na tych już aresztowanych i tych jeszcze niearesztowanych, miał zupełnie inne zdanie na ten temat i od pierwszej chwili czuł wewnętrzną niechęć do Carla

Borgströma. Dotychczas udawało mu się rozwiązać problem poprzez unikanie go. Aż do teraz, kiedy natknął się na niego zupełnie nieoczekiwanie. I to w najgorszym możliwym miejscu.

– Toivonen! – zawołał Borgström i wesoło pomachał ręką. – Miło cię spotkać, bracie.

Zamiast zmyć się stamtąd i udać, że go nie widzi ani nie słyszy, Toivonen zatrzymał się i zaczął z nim rozmawiać. Na dodatek pozwolił się zaprosić na kawę do pobliskiej kafejki.

– Opowiadaj – powiedział Borgström i pochylił się w kierunku Toivonena. – Czy stało się coś, o czym powinienem wiedzieć?

To wtedy najwyraźniej musiała go dopaść chwilowa słabość, a to nieszczęsne spotkanie prawdopodobnie również się do tego przyczyniło, i zamiast jedynie zaprzeczyć głową i zmienić temat, mówiąc, jaką to mamy tego lata wspaniałą pogodę, zaczął opowiadać o czasce, którą znalazł Edvin i która od kilku dni jest przedmiotem śledztwa.

Borgström natychmiast próbował mu wcisnąć prokuratora, który by nadzorował dochodzenie Bäckströma. Toivonenowi udało się jakoś wymigać, twierdząc, że wszystko przemawia za tym, że chodzi o samobójstwo, a nie morderstwo.

Jednak potem zdarzyło się coś znacznie gorszego. Tak fatalnego, że Toivonen zaczął się nawet zastanawiać, czy nie powinien przeprosić Bäckströma. Mimo że nie lubił go jeszcze bardziej niż Carla Borgströma.

## 23.

W czwartek po zebraniu Bäckström wziął Annikę na bok, żeby rozładować swoją irytację. Ten szurnięty Finol zrobił mu najwyraźniej na złość, podsyłając tych inwalidów, Olsson przez dwa s i tego drugiego przez dwa z. Teraz to już jej głowa w tym, żeby dostał taką pomoc, która będzie funkcjonować.

– Damy radę – zapewniła Annika, nie wchodząc w szczegóły.

– Muszę już pędzić – odparł Bäckström i na wszelki wypadek spojrzął na zegarek. – Mam spotkanie z grupą dochodzeniową w Komendzie Głównej i obawiam się, że to może zająć cały dzień. Ale zobaczymy się jutro.

– Tak, teraz mnóstwo roboty po tej reformie – powiedziała Annika i uśmiechnęła się życzliwie do Bäckströma. – Ale obiecaj mi, że zjesz porządnie.

– Nie rozumiem – odpowiedział Bäckström i spojrzął na nią podejrzliwie.

– Regularne posiłki. Czyż nie to jest najważniejsze... – wyjaśniła Annika z niewinną miną. – Niezależnie od wszystkiego – dodała.

Cholerny stres, pomyślał Bäckström, kiedy wreszcie znalazł się w taksówce w drodze do restauracji na Strandvägen, w której najczęściej jadał lunch

w czwartek, dzień, kiedy rzeczywiście potrzebował naładować baterie przed końcówką ciężkiego tygodnia pracy i zbliżającym się weekendem.

Po kilku kanapkach z chleba razowego z mnóstwem dodatków, bez masła, bo chleb służył tylko za podstawę dla całego bogactwa piętrzących się smakołyków: śledzi z cebulką i kaparami, wędzonego węgorka z omletem, pasztetu z wątróbek na ciepło z marynowanym ogórkiem i steku cielęcego z galaretką z jarzębiny. Dopiero po kilku poprawiających trawienie kieliszeczkach i po schłodzonym pilznerze Bäckström poczuł, jak znów wraca w nim spokój, który pomaga mu uporać się z codzienną rutyną. Popołudniową drzemką, wzmacniającym spacerem do pobliskiej knajpy, by potem, jak co czwartek, w domowym zaciszu zająć się obszerną korespondencją mailową i szerokimi kontaktami w internecie.

Czas na rozpoczęcie wieczoru, pomyślał Bäckström, dokończył resztę wieczornego grogu i poszedł do łazienki umyć zęby.

Piątek był dla Bäckströma gorączkowym dniem. Najpierw krótka wizyta w biurze, by upewnić się, że jego współpracownicy robią, co do nich należy, i że nie będzie kłopotów. Następnie usunąć do kosza nieotwartą korespondencję mailową, zanim wystawi na próbę swoją dobrą wolę i zrobi wyjątek dla nowego szefa, który najwyraźniej tak pilnie chciał się z nim spotkać, że w ciągu godziny wysłał mu dwie wiadomości o tej samej treści.

„Bracie, przepraszam, ale cały dzień mam spotkania z grupą dochodzeniową, a w poniedziałek i wtorek jestem na zebraniu Rady do spraw Reformy. A jak u Ciebie z czasem pod koniec przyszłego tygodnia?”, zakończył Bäckström, wysłał odpowiedź i zamknął komputer na weekend.

Kto chciałby być bratem dla kogoś takiego, pomyślał Bäckström. Pół życia spędził na przyznawaniu milionów inwalidom na wózkach, którzy potem wydawali je na podróże dookoła świata, drinki z parasolkami, zwiedzanie piramid, połowy głębokomorskie na Karaibach, zanim został

szeffem komendy w Solnej, gdzie najwyraźniej zamierzał spędzić drugie pół życia.

Nasza poczciwa stara Szwecja chyli się ku upadkowi, pomyślał Bäckström, dla którego jedynym ratunkiem było wierne trzymanie się swoich starych zwyczajów.

W piątki dodatkowym punktem w programie Bäckströma było zadbanie o zdrowie ciała i spójność duszy. Godzina masażu i ogólnego relaksu u jego polskiej fizjoterapeutki pani Piątek, tradycyjnie zaraz po lunchu w tapas-barze przy Fridhemsgatan.

W drodze do domu na popołudniową drzemkę Bäckström natknął się na schodach na Edvina. Chłopak wyglądał na zmartwionego, więc Bäckström zaprosił go na rozmowę. Wódkę z tonikiem, lodem i limonką zaserwował sobie, a fantę z rurką Edwinowi.

– Jesteś nie w formie, Edvin – stwierdził Bäckström. – Czy mogę ci jakoś pomóc?

Kilka dni wcześniej Edvin zaczął miewać koszmary senne. Zaczęły mu się śnić trupie czaszki. Mama Duszanka tak się zaniepokoiła, że zapisała Edvina do psychologa, z którym mieli się spotkać już w poniedziałek. Tyle że Edvin nie chciał tam iść.

Bäckström zmobilizował całe swoje współczucie, żeby pocieszyć Edvina. Praca śledczego z pewnością niesie pewne ryzyko, ale żeby akurat trupie czaszki przysparzały kłopotów, to już najmniej prawdopodobne. Raczej odwrotnie, czaszka, którą znalazł Edvin, była po ich stronie, niespokojny powinien być ten, kto wsadził jej kulę i głowę zamienił w trupa czaszkę.

– Uwierz mi, Edvin – zapewnił Bäckström i skinął głową. – Nieprzypadkowo to ty ją znalazłeś. Jestem przekonany, że to właśnie ty

masz być tym, który zadba o to, by sprawiedliwości stało się zadość, a ten, kto to zrobił, wylądował w więzieniu i zapłacił za to.

– Wiem, panie komisarzu – odparł Edvin już trochę żywszym głosem. – Ale głupio zrobiłem, że ją kopnąłem.

– Chwila – powiedział Bäckström. – Opanuj się. Ty nie kopnąłeś czaszki. Ty kopnąłeś purchawkę.

– No tak, ale czy czaszka też tak uważa? – spytał Edvin.

– Jasne, że tak – odpowiedział Bäckström. – Możesz być pewien, że ci wybaczyła. Gdyby chodziła żywa po tej ziemi, też by kopnęła purchawkę. Przecież wszyscy to robią.

– Ma pan rację – zgodził się Edvin i wyraźnie się ożywił. – A co z tym przestępcą? Czy pan komisarz myśli, że go dorwiemy?

– Oczywiście – odpowiedział Bäckström. – I to dzięki tobie, Edvin, żebyś wiedział. Ty, ja i czaszka jesteśmy po tej samej stronie. Niech morderca się martwi i ma koszmary senne, nie ty.

– Dobrze – zgodził się Edvin.

– A teraz zupełnie inna sprawa – zaczął Bäckström, wyjął z kieszeni gruby zwitek banknotów i odliczył kilka. – Rozumiesz chyba, że należy ci się zapłata, więc już teraz dam ci zaliczkę na nową grę komputerową.

– Wow – ucieszył się Edvin, teraz już całkiem ożywiony.

Trzeba przemówić do rozsądku matce chłopaka, pomyślał Bäckström, kiedy zamknął drzwi za Edvinem. Jeśli chłopak dostanie się w szpony tych uzdrowicieli dusz, to jest zgubiony. Zresztą nie tylko on, Bäckström też, bo straci swojego oddanego pomocnika. Wprawdzie jeszcze nie w pełni profesjonalnego i dojrzałego, lecz to tylko kwestia czasu. Wciąż jeszcze jest trochę mizerny i słaby. Na przykład ostatnio, kiedy Bäckström miał kupić grog na wakacje, biedny Edvin musiał obrócić cztery razy, tam i z powrotem, bo dał radę przynieść tylko dwie torby naraz. Ale to tylko

doczesny problem, bo już niedługo chłopak podrośnie, w najgorszym wypadku nakarmi się go hormonem wzrostu, i zdobędzie prawo jazdy, a wtedy będzie mógł robić zakupy w monopolowym i być jego kamerdynerem, kiedy on, Bäckström, będzie w jesieni wieku, pomyślał zadowolony.

A teraz już najwyższy czas na popołudniową drzemkę, bo wieczorem będzie jadł kolację ze swoim starym przyjacielem GeGurą. Po drzemce orzeźwiający prysznic i z powrotem w siodle, pomyślał Bäckström i skierował się do sypialni. I wtedy usłyszał dzwonek do drzwi.

## 24.

Bäckström ostrożnie na palcach wyszedł do przedpokoju, z małym siggem w prawej ręce i z komórką w lewej.

Dzwonek nie brzmi tak, jakby to był Edvin, który wrócił, bo zapomniał mi czegoś powiedzieć, pomyślał Bäckström i włączył kamerkę w komórce.

To nie był Edvin, tylko Anka Carlsson, ta sama Anka, która spędzała mu sen z powiek, kiedy tylko przypominał sobie, jak to ostatnio pojawiła się u niego niezapowiedziana. Najpierw stał cicho jak mysz pod miotłą, w nadziei że Anka pomyśli, że go nie ma w domu, ale po chwili zaczęła walić pięścią w drzwi, aż zadrżały ściany.

– Przestań się zgrywać – powiedziała. – Wiem, że jesteś w domu. Widziałam, jak Edvin wychodził od ciebie.

– Jestem zajęty – odpowiedział Bäckström. – Coś ważnego?

Ona jest jak stalker, pomyślał.

– Muszę z tobą porozmawiać, więc jeśli nie otworzysz, to przestrelę tę twoją cholerną kamerkę, którą ukryłeś pod sufitem na klatce schodowej.

– Powiedz, o co chodzi – nalegał Bäckström.

– Najpierw musimy pogadać o tym wariacie Borgströmie. Łazi po ścianach, bo nie może cię złapać. Mam też propozycję, w jaki sposób mogę ci oddać pieniądze.



– W takim razie słucham – powiedział Bäckström, który pożyczył Carlsson milion koron na zakup mieszkania i do tej pory nie zobaczył ani korony odsetek i ani korony spłaty kapitału. Najwyższy czas. Teraz to przynajmniej zaczyna mieć ręce i nogi.

– Obiecuję, że nie będę ci wiercić dziury w brzuchu, jeśli tego się obawiasz.

– Dobrze, już dobrze – wymamrotał Bäckström. – Daj mi minutę.

Włożył szlafrok, zawiązał ciasno pasek, na wszelki wypadek na podwójny supeł, i otworzył drzwi.

Anka rzuciła kurtkę na krzesło w korytarzu, skierowała się prosto do salonu i usiadła na sofie. Bäckström starał się nie siadać w swoim fotelu. Gdyby przyszło jej do głowy próbować zbliżenia, bezpieczniej będzie usiąść na starodawnym krześle z oparciem, tuż przy wyjściu do przedpokoju. Kiedy zorientował się, że nie jest uzbrojona, nie ma ani pistoletu, ani kajdanek, pomyślał, że to dobry znak. Poza tym wyglądała tak samo groźnie jak zwykle. Na dodatek na jego sofie zrobiła kilka jakichś tajemniczych ćwiczeń rozciągających. Zdecydowanie przerażająca, same mięśnie, pomyślał Bäckström.

– Jak tu ładnie po remoncie – powiedziała, uśmiechnęła się i skinęła głową z podziwem. – Ile masz pokoi? Cztery czy pięć?

– Cztery – odpowiedział Bäckström.

Piąty przerobił na schron, a Anka jest ostatnią osobą, którą by tam wpuścił.

– Ładnie tu – powtórzyła i znów skinęła głową. – Mogę się trochę rozejrzeć?

– Nie – odparł Bäckström i pokręcił głową. – Nie możesz. Chciałaś o czymś rozmawiać – przypomniał jej.

Czy ona sobie wyobraża, że jestem głupi? – pomyślał.

– Ten lizus Borgström ściga cię – oznajmiła. – Był u mnie parę godzin temu. Myślałam, że się go nie pozbędę.

– Czego chciał?

– Pytał, czy to prawda, że zajmujemy się jakimś tajemniczym morderstwem. Zastrzelonej kobiety, którą znaleziono na wysepce na Mälaren.

– I co powiedziałaś?

– Powiedziałam, jak jest – odparła Carlsson. – A co się mówi w takiej sytuacji?

– To zależy, z kim się rozmawia – odpowiedział Bäckström.

Jak głupim można być, pomyślał.

– To też wiem – dodała Anka. – Powiedziałam, że dostaliśmy część starej czaszki, która miała kulę w skroni. Że to prawdopodobnie kobieta i że czaszka równie dobrze może mieć sto pięćdziesiąt lat, no i że wszystko wskazuje na samobójstwo.

Zawsze coś, pomyślał Bäckström i skinął głową. Nie taka głupia, jak myślałem.

– Chciał nam wcisnąć prokuratora, który by pokierował śledztwem. Mówił coś o nowych przepisach, że sprawę natychmiast musi przejąć prokurator, jeśli to poważne przestępstwo. Ale co były pracownik socjalny może wiedzieć o przepisach...

– Wygląda na to, że ta wiedza nagle spadła mu z nieba – stwierdził Bäckström. – Możesz mu to powiedzieć. Jeszcze coś? Mówiłaś, że chciałabyś mi oddać pieniądze?

– Tak – potwierdziła Anka z uśmiechem. – Mam propozycję, która ci się spodoba. Pozwolisz, że się obsłużę?

A mam jakieś wyjście, pomyślał Bäckström i wskazał głową na kuchnię.

– Tobie też coś przynieść? – zapytała. – Może wódki z tonikiem?

– Już mam – odpowiedział Bäckström i uniósł szklanę.

Wydaje się jej, że mnie przechytry, pomyślał Bäckström. Jej własny przepis, pół wódki, pół proszku nasennego i odrobina toniku na wierzchu. Zapomnij.

Po kilku minutach Anka, wracając z kuchni Bäckströma, niosła na tacy piwo, przekąskę, butelkę jego najdroższej wódki i coś, co podejrzenie przypominało wódkę z tonikiem, limonką i lodem.

– W razie gdybyś zmienił zdanie – powiedziała i pokazała na drink. – Zgłodniałam i wzięłam trochę oliwek i szynki wędzonej. To w zupełności wystarczy. Dobrze, że nie kupujesz chipsów. To czysta trucizna.

Ale smaczna, pomyślał Bäckström, który w spiżarni miał pełen karton chipsów i wcale nie myślał wkładać ich do lodówki.

– Czy mogę sobie wziąć trochę wódki? – zapytała Anka, lejąc do kieliszka porządną porcję. – W końcu już weekend.

– Jasne, że możesz – zgodził się Bäckström, który nagle poczuł się bardzo zmęczony. – Miałaś dla mnie jakąś propozycję...

– Za chwilę, wszystko w swoim czasie. Na zdrowie, Bäckström – rzekła Anka, podniosła kieliszek i wypła do dna.

Następnie wypłukała usta porządnym łykiem pilznera, westchnęła z zadowoleniem i grzbietem dłoni starła pianę z ust.

Jakaż ona jest kobieca, pomyślał Bäckström ironicznie i wypił kilka łyków wódki.

– Twoja propozycja – powtórzył.

Według obliczeń Anka była winna Bäckströmowi prawie milion koron. Jakieś odsetki i trochę kapitału już mu zwróciła, choć nie w comiesięcznych ratach, jak obiecała. Pomyślała, że to się zbyt wlecze, więc wymyśliła sposób, żeby sprawę przyśpieszyć.

– Jak chcesz mi to oddać – zapytał Bäckström.

Nareszcie to zaczyna być do czegoś podobne, pomyślał.

– W naturze – oznajmiła Anka i uśmiechnęła się szeroko. – A ponieważ cię znam i jestem jedyną osobą, która cię lubi, bo pewnie zauważyłeś, że choć między nami jest dużo nienawiści, to i miłości, pomyślałam więc, że udzielenie ci rabatu. Tysiąc koron za każdy raz, Bäckström. Plus, a to już ekstrabonus ode mnie, wszystkie role, jakie zechcesz. Cały pakiet, od niegrzecznej uczennicy z dwoma kucykami, w białej bluzce, kraciastej spódnicy i podkolanówkach, po pielęgniarkę i surową władczynię, skóra, lateks, łańcuchy, bicze i tym podobne. Mogę ci nawet zrobić masaż prostaty, jeśli chcesz. Tysiąc razy. Jak się dogadamy, a jestem pewna, że to kupisz, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy od razu przeszli do bardziej osobistej umowy.

Ta wariatka przekracza wszelkie granice, pomyślał Bäckström. Tam, gdzie normalni i porządni ludzie z resztkami sumienia przechowują swoje morale, ona ma głęboką czarną dziurę z taką duchową zawartością, której by się nie powstydział nawet ten szalony francuski markiz, który wymyślił wszystkie te brudne i poniżające zabawy.

– Tysiąc koron... – powtórzył Bäckström.

Zastanawiał się, co ma jej odpowiedzieć. Swojego drinka już wypił, więc nie miał wymówki.

– Cena po znajomości – dodała Anka i zamrugała. – Gdybyś wiedział, jakie dostałam propozycje, kiedy wrzuciłam do sieci moje zdjęcia z treningu...

Tysiąc dni i tysiąc nocy z Anką Carlsson, pomyślał Bäckström. Co mi zależy spędzić tysiąc dni i tysiąc nocy w kopalni soli, z kulą u nogi i siekierką za pasem?

– Dlaczego nie można się pieprzyć jak normalni ludzie? – zapytał Bäckström.

– Dobra – powiedziała Anka. – Trochę słodczy też nie zaszkodzi. Co mi zależy. Jak już powiedziałam, ty decydujesz.

Po czym podniosła się z sofy, ściągnęła T-shirt i w ciągu kilku sekund, naga, siedziała na nim okrakiem, na jego antycznym krześle, które dostał na ostatnie urodziny od swojego dobrego przyjaciela GeGurry.

Jego wierne Supersalami... To ono pierwsze skapitulowało. Czuł, że między nogami twardnieje jak beton, podczas gdy on sam, z zupełnie pustą głową, nie mógł ani myśleć, ani się bronić przed tym, co właśnie się działo. Kilka minut później Anka odrzuciła głowę i krzyknęła, kiedy kończyła. Podczas gdy on był już bezpowrotnie zgubiony.

– Przemyśl to, Bäckström – powiedziała, kiedy wychodziła kilka godzin później. – Mogę nawet pomyśleć o jakiejś obniżce – oznajmiła i znacząco kiwnęła głową w kierunku jego rozchylonego szlafroka. – Chcesz buzi na do widzenia?

– Jest okej i bez tego – odpowiedział Bäckström.

Ona musiała zupełnie postradać zmysły, pomyślał.

## 25.

Wieczorem Bäckström zjadł kolację ze swoim starym przyjacielem GeGurra. Już dawno się nie widzieli i mieli do omówienia kilka spraw. GeGurra naprawdę nazywał się Gustaf Gustafsson Henning i był świetnie prosperującym handlarzem sztuką. Znali się z Bäckströmem prawie trzydzieści lat, z obopólną korzyścią. Nie jakieś wielkie interesy, jedynie małe przysługi, jednak w związku z pewnym śledztwem w sprawie przestępstwa parę lat temu Bäckström pomógł GeGurze w znalezieniu bezcennego dzieła sztuki. Chodziło o pozytywkę przedstawiającą Pinokia, postać z włoskiej bajki, którego nos wydłużał się, kiedy chłopiec kłamał.

Pozytywka została wyprodukowana w Sankt Petersburgu na początku dwudziestego wieku przez słynną firmę jubilerską Fabergé. Ostatni car Rosji, Mikołaj II, podarował pozytywkę jako prezent wielkanocny swojemu choremu na hemofilię synowi i przyszłemu carowi, Aleksemu. Pozytywka zaginęła i dopiero sto lat później została odnaleziona przez Bäckströma w związku z prowadzonym przez niego śledztwem. GeGurra dopilnował, aby pozytywka została zwrócona nowej Rosji, w której Związek Radziecki obecnie traktowany jest jako historyczny nawias.

Bäckström nie został z gołymi rękami. Dochód jego całego życia znieckała się podwoił, a fiskus też nie musiał się niczym martwić – co z oczu, to z serca.

Wszyscy byli zadowoleni, ale najbardziej tajemniczy rosyjski kupiec, który pod koniec roku, w związku z dwudziestą piątą rocznicą powstania nowej Rosji, zdecydował się podać do publicznej wiadomości ten historyczny interes. I to również, między innymi, było powodem, dla którego Bäckström i GeGurra spotkali się na kolacji.

Bäckström spóźnił się, a ponieważ nie zamierzał tłumaczyć powodu, więc przed wyjściem z domu zadzwonił do GeGurry. Nic się nie stało, GeGurra siedział na sofie w holu restauracji i czekał na niego. Kiedy go zobaczył, odstawił kieliszek z szampanem, podniósł się i w południowym geście wyciągnął w jego kierunku oba ramiona.

– Bäckström! – zawołał. – Wyglądasz kwitnąco. Opowiadaj, co się wydarzyło?

– Ty, bracie, też nie wyglądasz na cierpiącego – zrewanżował się Bäckström i skinął przyjaźnie głową.

Nic, co byś chciał usłyszeć, ty stary fagocie, pomyślał.

– Co za sprężystość ruchów – powiedział GeGurra i cofnął się pół metra, żeby dokładnie się przyjrzeć przyjacielowi. – Zaczynam być zazdrosny, kiedy cię widzę, Bäckström.

Ty też wcale nie przypominasz zwykłego króla cyganów, pomyślał Bäckström, kiedy nadmiernie przymilny szef kelnerów zapraszającym gestem prowadził ich przez restaurację do ich stałego stolika. Raczej jak włoski arystokrata z dawnych czasów. Perfekcyjny w najmniejszym detalu, począwszy od białej puszystej czupryny, poprzez lśniącą białą lnianą koszulę i szyty na miarę czarny jedwabny garnitur, skończywszy na ręcznie robionych włoskich butach, które odbijały przytłumione światło z wiszących na ścianach kinkietów.

W związku z tematem, jaki miał być omawiany tego wieczoru, GeGurra, który zawsze zapraszał, kiedy spotykał się z Bäckströmem, zaproponował

rosyjską kuchnię. Najpierw aperitif, przy którym GeGurra zrezygnował ze swojego zwyczajowego martini z oliwką na rzecz kieliszka wódki i szklanki wody mineralnej. Dla Bäckströma wręcz przeciwnie, było to stare przyzwyczajenie: porządny kieliszek wódki i pilzner dla przepłukania żołądka.

Na przystawkę kawior i bliny z roztopionym masłem, śmietanką i drobno pokrojoną cebulką. Prawdziwy rosyjski kawior, imperialny, najwyższej jakości, który GeGurra zdobył przy użyciu swoich rosyjskich kontaktów. Do tego, aby uczcić ten dzień, wypili po małym kieliszku wódki, zanim rosyjskim zwyczajem przeszli dalej. Pierogi z wieprzowiną i cebulą, kurczak po kijowsku, ser kozi i gotowana gruszka. GeGurra pił gruzińskie wino i nawet ośmielił się po kryjomu zamienić kończący posiłek koniak Bäckströma na odpowiednik armeński i dopiero kiedy Bäckström wyraził swój zachwyt, GeGurra zdradził jego pochodzenie.

– Jeśli chodzi o jedzenie i picie, to znają się na rzeczy – skonstatował Bäckström, nie wchodząc w szczegóły, jak na przykład tajemnicze łodzie podwodne przepływające między wysepkami u wybrzeża Szwecji czy bombowce, które regularnie raz w tygodniu przelatują nad Gotlandią.

– Nie tylko na tym, drogi bracie – powiedział GeGurra i poklepał Bäckströma lekko po ramieniu. – Jest jeszcze coś, na czym się poznali, a mianowicie to, ile dla nich znaczysz. Lista sposobów, w jakie chcą cię uczcić, nie ma końca...

– Opowiadaj – poprosił Bäckström i rozsiadł się wygodnie.

W końcu ktoś to zrozumiał, pomyślał. Nie tak jak cała reszta tych zazdrosnych skurczybyków, którzy zatruwają mi codzienność.

GeGurra pochylił się nad stołem i dla pewności zaczął wyliczać na palcach, co czeka Bäckströma w związku z obchodami rocznicy nowej Rosji.



Po pierwsze, z rąk własnych rosyjskiego prezydenta odbierze order Aleksandra Puszkina, najwyższe odznaczenie państwa rosyjskiego dla obywateli obcego kraju. Zresztą Bäckström będzie pierwszą osobą, która dostąpi tego zaszczytu.

A któż by inny, pomyślał Bäckström i skinął głową zachęcająco.

Po drugie, kontynuował GeGurra, chwytając się za palec wskazujący lewej ręki, będą kręcić dokument dla telewizji i prawdopodobnie też film fabularny o tym historycznym wydarzeniu.

Zostaną również wydane przynajmniej dwie książki. Częściowo w formie albumu, częściowo jako opowieść o tym, w jaki sposób pozytywka powróciła do Rosji. Komisarz Bäckström wystąpi w roli głównego bohatera. Liczni historycy sztuki, pisarze i producenci telewizyjni już nad tym pracują.

Najwyższy czas, pomyślał znów Bäckström i odchrząknął z aprobatą.

– Po trzecie – ciągnął GeGurra i jeszcze bardziej się pochylił do przodu – ...najciekawsze zachowałem na koniec...

– Co takiego? – zapytał Bäckström.

W związku z tymi obchodami rosyjski prezydent wręczy Bäckströmowi osobisty prezent, a mianowicie butelkę wódki własnej produkcji. GeGurra dowiedział się o tym w zaufaniu od swojego rosyjskiego kontaktu.

– To musi być szczególnie wódka – zauważył Bäckström.

On sam w domu miał już parę kartonów i były nawet niczego sobie. Więc jeszcze jeden złoty medal nie zaszkodzi.

– To litrowa butelka – oznajmił GeGurra. – Wiesz, ile trzeba zapłacić za butelkę prezydenckiej wódki?

– Nie mam pojęcia – powiedział Bäckström i pokręcił głową. – Wiem, że ta, którą ja lubię, kosztuje pięć stów. Za trzy czwarte litra. To ile może kosztować litr takiej?

- Ponad milion koron... – odparł GeGurra i skinął głową.
- Ile? – spytał Bäckström z niedowierzaniem. – Milion? Dlaczego aż tyle?
- Może po wypiciu łyka będzie można fruwać, pomyślał.
- Butelka... – GeGurra ściszył głos. – Ona waży ponad dwa kilo i jest zrobiona ze szczerego złota.
- Co ty powiesz... – zdziwił się Bäckström.
- No, teraz to wszystko zaczyna być do czegoś podobne, pomyślał.
- Poza tym jest praktyczna. Kiedy już wszystko wypijesz, będziesz mógł ją na nowo napełnić. Dzięki takiej butelce nikt nie zauważy, że nalałeś do niej na przykład zwykłej wódki.
- Już się nie mogę doczekać – powiedział Bäckström i uniósł kieliszek.
- Na zdarowje! – GeGurra odpowiedział na toast, podnosząc do góry trzeci już tego wieczoru kieliszek wódki.

Dzień przed spotkaniem z GeGurra Bäckström zaplanował, że jak tylko się od niego uwolni, zakończy wieczór w Jaskini Rozwodników w Richiem. Kto by chciał ryzykować swoje dobre imię i opinię, żeby zabierać tego koniotrzepca w takie miejsce? Bäckström zaplanował to, jeszcze zanim Carlsson dokonała tego nieoczekiwanego napadu na niego i pokrzyżowała mu plany. Dlatego teraz wziął taksówkę i wrócił do domu. Nawet Supersalami musi kiedyś naładować baterie. Postanowił więc, że resztę wieczoru spędzi w domu, w ciszy i spokoju, oddając się przyjemnym rozmyśleniom.

Butelka wódki za milion, którą potem można napełnić, pomyślał Bäckström.

## 26.

Stuletni skrypt pastora z parafii na Helgö zmienił plany weekendowe Petera Niemiego. Zamiast w sobotę pójść na trening czy po prostu odprężyć się przy książce, czy też obejrzeć sport w telewizji, pojechał do biura, żeby w ciszy i spokoju popracować nad śledztwem.

Najpierw skopiował starą mapę ze skryptu Lindströma, by porównać ją z mapą, której obecnie używał z kolegami. Topograficznie się zgadzały. Żadnych wzniesień czy obniżen terenu, które by komplikowały sprawę. Powierzchnia wyspy też była mniej więcej taka sama jak przed laty. Różnica dotyczyła jedynie biosfery wyspy. Otwarta przestrzeń, która w czasach pastora Lindströma służyła okolicznym chłopom za pastwisko, obecnie była zarośnięta jak dżungla krzewami, chaszczami i resztkami lasu. Raczej nie do użytku. W tamtych czasach natychmiast byśmy ją znaleźli, pomyślał Niemi.

Następnie dawne zabudowania porównał z tymi, które widział teraz. Znalezione resztki szkieletu zabudowania były najwyraźniej pozostałością po domu, który sto lat temu spłonął wraz z dwiema dziewczkami po uderzeniu pioruna. Natomiast na mapie Lindströma nie było dwóch dużych drewnianych szalasów, które Niemi znalazł wraz z innymi policjantami, a które służyły prawdopodobnie za coś w rodzaju wieży myśliwskiej. A to

z pewnością z tego prostego powodu, że szalasy zostały zbite z desek dużo później.

Na starej mapie był też budynek, którego Niemi nie znalazł, co trochę go zaniepokoiło, choć nie wiązał z nim jakichś szczególnych nadziei.

W czasach, kiedy wyspa służyła za pastwisko, była tam ziemianka, która według mapy Lindströma stała tuż obok miejsca, gdzie Niemi i jego koledzy zacumowali łódź. Dawniej też tam cumowano łodzie. Była to mała zatoczka po północnej stronie wyspy, właściwie jedyne miejsce dostępne dla większych łodzi. Takich jak na przykład łódź patrolu wodnego albo tak zwany prom bydlęcy z czasów, kiedy Szwecja była społeczeństwem chłopskim.

To właśnie do tej ziemianki dziewczki nosiły codziennie mleko, prawdopodobnie w takich samych blaszanych kanach, jakie Niemi pamięta z czasów swojego dzieciństwa z zagrody w Tornedalen. Kany o pojemności do dwudziestu litrów, z grubą zakręcaną pokrywą na górze, żeby mleko się nie rozlewało, kiedy ścieżką niosły je z domu, gdzie mieszkały i doiły krowy, do ziemianki znajdującej się obok miejsca, gdzie przyplływali chłopcy albo ich parobkowie, by zabrać mleko.

Wspomnienia z odległych czasów, pomyślał Niemi.

Jeśli ziemianka była tam, gdzie mu się wydawało, to szalasy, służący za wieżę myśliwską, powinien znajdować się gdzieś w pobliżu. Dobry jako punkt orientacyjny, pomyślał Niemi i narysował krzyżyk na mapie, z którą pracowali. Potem pojechał do domu. Obejrzał coś w telewizji, zjadł kolację i porozmawiał przez telefon z żoną i dziećmi.

Następnego dnia po lunchu znów pojechał do biura, żeby oddać się swojemu ulubionemu zajęciu. Wczuć się w rolę sprawcy, myśleć jak on, robić to co on.

Zamordowałeś kobietę, wcale tego nie planując, to się stało nagle. Zaczęliście się kłócić, ale straciłeś kontrolę i skończyło się na tym, że ją zastrześliłeś.

Zważywszy na miejsce, w jakim znaleziono czaszkę, mogło się to zdarzyć na przykład podczas wakacji spędzanych na łódce na Mälaren. Późną wiosną, latem, ewentualnie wczesną jesienią. Jednak najprawdopodobniej latem, kiedy większość ludzi bierze urlop. Wszyscy doskonale wiemy, ile się wtedy może wydarzyć.

Stoisz na pomoście z martwym ciałem, które postanowiłeś dobrze ukryć, żeby uniknąć kary. Sposób, w jaki zamierzasz zrobić to, co zaplanowałeś, zależy w dużej mierze od tego, kim jesteś, oraz od przesłanek natury praktycznej, bo to one będą tobą kierowały.

Kiedy ktoś się chce pozbyć ciała, a to prawie zawsze jest on, trzeba je najpierw jakoś przetransportować. To ułatwia ukrycie, poza tym unika się dźwigania. Najczęściej jest to samochód, czasami łódka, niekiedy inne środki lokomocji. Niemi coś o tym wiedział, bo miał doświadczenie w tej materii – przestępca skorzysta z czegokolwiek: taczki, wózka dziecięcego, a nawet zwykłego wózka sklepowego, jeśli ten przypadkiem znajdzie się między miejscem przestępstwa a miejscem, w którym delikwent chce ukryć ciało. Jednym słowem, nada się wszystko, co ma koła, pomyślał Niemi. Wszystko, co jest na tyle duże, żeby pomieścić ciało, w całości lub poćwiartowane i zapakowane w paczki.

Teraz pozostaje już tylko przenieść ciało na ostateczne miejsce jego spoczynku, pokonać ostatni kawałek drogi. Odcinek, który próbuje się skrócić, jak to tylko możliwe. Jeśli sprawca działa sam, a ofiara jest dorosła, rzadko przekracza to pięćdziesiąt metrów od miejsca zaparkowania pojazdu. Mniej więcej tyle, ile wynosi odległość od zatoczki, gdzie się

cumuje łódki na wysepce, do miejsca, które Niemi zakreślił na mapie, żeby oznaczyć ziemiankę, której on i jego koledzy nie znaleźli.

Gdzie w takim razie ukryto zwłoki, zastanawiał się Niemi. Na ogół robi się to w miejscu dobrze znanym. W zarośniętej studni na odludnej działce w pobliżu domku letniskowego, do którego przyjeżdżało się na wakacje dwadzieścia lat temu, w starym szybie zalanym wodą, odkrytym podczas zbierania grzybów, albo w zwykłym rowie, który łatwo zamaskować krzakami i chrustem. I dlatego Przekłęta Wyspa była zbyt dobrą kryjówką, żeby sprawca trafił tu przypadkowo. Musiał tu być już wcześniej, zastanawiał się Niemi. Musiał tu być, jeszcze zanim Przekłęta Wyspa zamieniła się w prawdziwą dżunglę.

W swoich rozmyślaniach doszedł już prawie do końca, kiedy nagle zadzwonił telefon. To był kolega z pionu technicznego. Zadzwonił, by powiedzieć, że odebrano im dodatkowych ludzi, zostali wysłani do Haninge, miejsca podwójnego morderstwa, gdzie za starym magazynem znaleziono pięćdziesiąt łusek po nabojach z różnego rodzaju broni. Żadnych świadków, jedynie liczne ślady, ale jako że dobry policjant da sobie radę nawet w pojedynkę, to nie te kłopoty były teraz najwyższym priorytetem Niemiego.

– W porządku – powiedział. – Podziękuj im za pomoc.

Po czym zadzwonił do Hernandeza z pytaniem, czy miałby ochotę pojechać z nim na Przekłętą Wyspę, mimo że ma wolne.

– Czego szukamy? – zapytał Hernandez.

– Starej ziemianki z dziewiętnastego wieku – odpowiedział Niemi.

– Okej – zgodził się Hernandez. – Pierwsza ziemianka w mojej karierze. Nie chcę tego stracić. Za żadne skarby.

## 27.

Poniedziałek, 25 lipca, był szczęśliwym dniem dla Bäckströma, ponieważ jego jedyny współpracownik z prawdziwego zdarzenia, Nadia Högberg z domu Iwanowna, przerwała urlop, żeby mu pomóc w śledztwie. Dzięki temu łatwiej mu było wytrzymać z tymi, którzy go otaczali. Jak Anka Carlsson, Niemi, Hernandez, Stigson czy tych dwoje Olssonów, przez s i z. Jeśli jest ktoś, kto może pogonić do roboty tych skończonych idiotów, to tylko Nadia, pomyślał Bäckström.

Do pracy przyszedł już o ósmej rano, żeby spotkać się z Nadią, ale najpierw musiał jeszcze coś zrobić, żeby potem w spokoju z nią usiąść i porozmawiać. Miał wyjaśnić swojemu nowemu szefowi oczywistości, o których tamten nie miał zielonego pojęcia.

– Chciałeś ze mną porozmawiać – zaczął Bäckström, wchodząc do pokoju szefa.

Nie musiał nawet pukać, bo Borgström był z tych, co to pracują przy otwartych drzwiach.

– Bäckström – powiedział Borgström i uśmiechnął się z zachwytem. – Miło cię widzieć, bracie. Siadaj, siadaj.

– Dzięki – odrzekł Bäckström i usiadł.

Skurczybyk, nie nauczył się jeszcze, do czego służą drzwi, pomyślał Bäckström. Czytać w myślach najwyraźniej też nie potrafi, bo wciąż

wygląda na zadowolonego.

– Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego chciałem z tobą rozmawiać – zapytał Borgström.

– Nie – odpowiedział Bäckström. – Domyślam się. Chcesz, żebyśmy włączyli prokuratora do śledztwa, które rozpoczęliśmy w zeszłym tygodniu.

– Z twoich słów wnioskuję, że nie podzielasz mojej opinii.

– Nie tylko ja jej nie dzielam – oznajmił Bäckström. – Zważywszy, że na każde morderstwo przypada piętnaście innych dochodzeń, myślę, że zarówno prokurator generalny, jak i nasz szef pękną ze śmiechu, jak się o tym dowiedzą.

Ty też nie wyglądasz na zadowolonego z siebie, pomyślał.

– O ile dobrze zrozumiałem, jesteś całkiem pewien, że to samobójstwo, mimo że... tak... chodzi mi o tę dziurę po kuli...

– Teraz nie jestem już niczego pewien – powiedział Bäckström. – Takie rzeczy my, policjanci, rozstrzygamy podczas śledztwa. Ale jeśli chcesz trochę liczb i domysłów, proszę bardzo.

– Zamieniam się w słuch, Bäckström.

– Prawdopodobnie samobójstwo – oznajmił Bäckström. – Gdyby to było morderstwo, pewnie uległoby już przedawnieniu. Kula, którą znaleźliśmy w głowie ofiary, równie dobrze mogła być wystrzelona sto lat temu. Ślad po kuli wskazuje na to, że pochodziła z dawnej broni. Poza tym nie mamy zielonego pojęcia, kim była ofiara. I nim się tego nie dowiemy, śledztwo nie ruszy z miejsca.

– A co sądzisz o tym, żeby to podać do wiadomości publicznej?

– Ani przez moment nie uwierzę, że to cokolwiek da – stwierdził Bäckström. – Tylko w ciągu ostatnich dziesięciu lat mieliśmy trzysta zaginionych osób, które się nigdy nie odnalazły. Mają one w sumie parę tysięcy krewnych, więc można sobie wyobrazić, jak ci się będą czuli. Nie



chcę niszczyć im życia bez potrzeby. Dopóki nie poznamy tożsamości ofiary, utrzymujemy śledztwo w tajemnicy.

– Kupuję twój argument, naprawdę. Nie warto niepokoić bez potrzeby dziewięćdziesięciu procent rodzin.

– Stu procent, jeśli chcesz wiedzieć. Prawdopodobieństwo, że z ich pomocą dowiemy się, kim jest ofiara, na obecnym etapie śledztwa jest znikome.

– Tak, słyszę, co mówisz, Bäckström. Ale przecież musi być DNA, dokumentacja dentystyczna, dokumentacja medyczna i inne tego typu dokumenty?

– Zapewne – powiedział Bäckström i ściskając w palcach swoje nienagannie wyprasowane kanty spodni, dał do zrozumienia, co o tym sądzi. – W naszej bazie danych mamy prawie jeden procent ludności. Porównanie DNA ich wszystkich z DNA ofiary to kawał roboty, a rezultat niepewny.

– A zęby? Co, jeśli sprawdzimy karty dentystyczne?

– Już to zrobiliśmy. Wysłaliśmy ją do Linköping. Tyle że zęby górnej szczęki są w świetnym stanie. Bardzo możliwe, że ofiara w całym swoim dorosłym życiu nigdy nie była u dentysty. Dolnej szczęki w ogóle nie znaleźliśmy.

– Brzmisz dość pesymistycznie, Bäckström.

– Absolutnie nie – odpowiedział Bäckström. – Nie jestem pesymistą. Po prostu nie chcę bez potrzeby zawracać głowy prokuratorowi i budzić płonnych nadziei u ludzi, którzy i tak już przeżywają piekło.

– Doskonale to rozumiem.

– To dobrze, że się zgadzamy – stwierdził Bäckström. – Jeśli tylko dowiem się czegoś więcej, natychmiast dam ci znać.

– Będę ci naprawdę wdzięczny.

– Drobiazg. – Bäckström podniósł się. – A teraz wybacz, ale mam sporo roboty.

– Powodzenia, Bäckström. Powodzenia, naprawdę.

Dlaczego ma mnie to obchodzić, pomyślał Bäckström.

Nareszcie, człowiek z krwi i kości, pomyślał Bäckström już po wszystkich rosyjskich ceremoniach powitalnych, kiedy usadowił się wygodnie na krześle w pokoju Nadii Högberg.

– Opowiadaj, Nadia. Jak ci się udał urlop?

– Tak sobie – powiedziała i potrząsnęła głową. – Naprawdę chce ci się słuchać?

– Opowiadaj – powtórzył.

Nadia planowała spędzić cały miesiąc w swoim rodzinnym Sankt Petersburgu, ale już po dwóch tygodniach miała dość. W Rosji od jakiegoś czasu nie działo się dobrze, a teraz było gorzej niż zwykle. Nawet w starych złych czasach wszędzie były pierogi z topionym masłem, a przynajmniej ich zapach. Albo bałajki, muzyka akordeonowa czy choćby pamięć o nich, jeśli posłuchało się własnego serca. No i oczywiście lasy brzozowe, ciągnące się w nieskończoność, prawdziwa dusza Rosji. I one wciąż tam były, a jakże, tyle że nie w Sankt Petersburgu... Więc kiedy Toivonen zadzwonił do niej, żeby się dowiedzieć, co słychać, powiedziała mu, jak sprawy wyglądają. Że tęskni do domu w Solnej i do Szwecji, a to z tego prostego powodu, że właśnie sobie uświadomiła, iż ze swoją starą ojczyznę załatwiła już wszystkie sprawy. Następnym razem pojedzie do Rosji już jako turystka, a nie Rosjanka na wygnaniu. Kiedy zrozumiała, że jest potrzebna w pracy, podjęła błyskawiczną decyzję. I oto teraz tu siedzi.

– Nikt się tak z tego nie cieszy jak ja – powiedział Bäckström.

– I ja – dodała Nadia i się uśmiechnęła. – A tak na marginesie, to mam dla ciebie prezent.

– To miłe – odrzekł Bäckström. – Ja kupiłem dla ciebie kwiaty, ale zapomniałem ich zabrać. Będę musiał tu przyjechać jeszcze raz po południu, więc na pewno je dostaniesz.

Grunt to nie przesadzać z kłamstwem, pomyślał Bäckström.

– To urocze z twojej strony – powiedziała Nadia z dobrze skrywanym zdziwieniem. – Teraz inna sprawa... Pewnie jesteś ciekaw, co o tym wszystkim myślę. Mam na myśli śledztwo.

– Tak – odparł Bäckström. – Teraz, kiedy już tu jesteś, czuję się spokojniejszy.

Chociaż to jest prawdą, pomyślał.

Akceptować sytuację taką, jaka jest, to jedna sprawa. Bujanie w obłokach to już zdaniem Nadii coś zupełnie innego. Ona najpierw zadbałaby o to, by zrobić wszystko, co jest do zrobienia. Choć zidentyfikowanie ofiary przy tej okazji uważa za mało prawdopodobne.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat zaginęło sto kobiet. Jest pewna, że chodzi o kobietę, więc dwustu zaginionych mężczyzn odłożyła na bok. Równie mocno była przekonana, że mają do czynienia z morderstwem.

Zebrała już dane z dochodzeń dotyczących większości zaginionych kobiet. Zaczęła je przeglądać, żeby zobaczyć, czy znajdzie coś, co odstaje od reszty. Była w trakcie kompletowania rysopisów, dokumentacji medycznej, dokumentacji dentystycznej i profilu DNA. To tu prawdopodobnie natkną się na problemy. Tylko około dziesięciu procent ludności znajdowało się w ich bazie danych, zęby ofiary były w świetnym stanie. Jeśli znajdą jeszcze jakieś szczątki, to prawdopodobnie będą w równie dobrym stanie jak czaszka. A zatem znaki szczególne, takie jak

tatuaże, znamiona, wrodzone deformacje czy uszkodzenia szkieletu, które powstają później w życiu, prawdopodobnie nie wchodzą w rachubę.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie tak źle. Masz chociaż kogoś do pomocy? – zapytał Bäckström.

– Dwóch nowych. Na razie świetnie się spisują.

Kiedy Bäckström załatwił to, co leżało mu najbardziej na sercu, poszedł do pozostałych współpracowników. Jednego z nich skrupulatnie unikał z uwagi na to, co wydarzyło się przed weekendem, nie chciał bowiem dawać jej płonnych nadziei, w przeciwnym razie będzie mu wisiała u klamki w tym swoim kostiumie nurka, pomyślał Bäckström, który po przestudiowaniu stron internetowych był na bieżąco z ofertą usług seksualnych.

Nareszcie trochę czasu dla siebie, pomyślał godzinę później. Najpierw kazał taksówce zaczekać przed kwaciarnią przy Sankt Eriksplan. Następnie udał się do pobliskiej miłej włoskiej knajpki, by w końcu znaleźć się we własnym domu i uciąć sobie popołudniową drzemkę. Kwiaty dla Nadii, na wszelki wypadek, położył pod drzwiami, żeby ich nie zapomnieć, kiedy znów będzie jechał do pracy.

Gdy wrócił do biura, około szóstej, zastał tylko Nadię. Swoich pomocników wysłała do domu. Jutro znów jest dzień, a najlepiej pracują ci, którzy mają stałe zwyczaje. Szczególnie jeśli praca wymaga dużej dokładności. Doraźne akcje szybkiej pomocy, zdaniem Nadii, nie prowadzą zwykle do niczego dobrego.

– Co byś powiedział, żebyśmy to uczcili? – zapytała Nadia z uśmiechem. – Poza tym, dziękuję za kwiaty.

– Drobiazg – powiedział Bäckström z udawaną nieśmiałością. – A to drugie to jak miód na moje zmęczone uszy.

Chleb na zakwasie, rosyjska solona kielbasa, ogórek kiszony i nowa wódka, którą Nadia odkryła, a której Bäckström musi koniecznie spróbować. W sam raz na pobudzenie apetytu przed czekającą go kolacją.

– Wódka Bjerezowij ljes, brzozowy las – przetłumaczyła Nadia i przewróciła oczami. – Synteza dobrej Rosji w butelce. À propos, w swoim pokoju w szufladzie znajdziesz jeszcze jedną butelkę – powiedziała i napełniła dwa kieliszki. – Na zdarowje! – wzniosła toast, unosząc kieliszek.

– Na zdarowje! – powtórzył Bäckström i uniósł swój.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka.

## 28.

W poniedziałek rano, tego samego dnia, kiedy Nadia wróciła do pracy, Niemi i Hernandez pojechali samochodem do obozu skautów w Ekerö. Tam mieli się spotkać z kolegą z psem tropiącym i razem popłynąć na Przeklętą Wyspę.

W drodze do obozu Niemi opowiedział Hernandezowi o swoich wnioskach i spostrzeżeniach dotyczących sprawy, a Hernandez słuchał i przytakiwał. To wprawdzie tylko hipoteza, uściślił Niemi, ale warta sprawdzenia. Nieznalezienie ziemianki było porażką. Zazwyczaj były budowane bardzo solidnie: ściany z kamienia, sufit z grubych belek i dwucalowych desek, a wszystko przykryte metrową warstwą żwiru i ziemi. Tak żeby wytrzymały złą pogodę, wiatry i ząb czasu, niezależnie od tego, jak mocno nadgryzał, skonstatował Niemi, który wspominał z dzieciństwa taką samą ziemiankę w zagrodzie w Tornedalen, gdzie dorastał. Legenda rodzinna głosiła, że pobudował ją jego pradziadek na początku dziewiętnastego wieku. Sto pięćdziesiąt lat wcześniej, niż on sam pojawił się na świecie.

– To nie jest coś, co może zdmuchnąć wiatr czy spłukać deszcz – podsumował Niemi.

– Zgadzam się – powiedział Hernandez. – Jeżeli nic w niej nie znajdziemy, to przynajmniej będziemy mogli sobie ją odpuścić. Istnieją

przecież inne możliwości.

– Słucham – zachęcił go Niemi.

– Też pewnie o tym myślałeś – rzekł Hernandez. – Załóżmy, że została wrzucona do rowu w Ekerö...

– No i... – Niemi skinął głową.

– I leżała tam, dopóki nie pojawił się jakiś lis, nie wziął głowy i nie zataszczył kilka kilometrów po lodzie do nory na Przekłątą Wyspę.

– Taak... – powiedział Niemi. – W każdym razie zimą, kiedy wszystko jest oblodzone, a lisy zaczynają łączyć się w pary, mogą zawędrować nawet siedem wsi dalej. Ale jeśli znajdziemy szczątki ciała w ziemiance, jeśli oczywiście uda nam się znaleźć samą ziemiankę, wtedy będziemy musieli odrzucić tę hipotezę.

– Racja – odrzekł Hernandez. – Całego ciała przecież by tam nie ciągnęły.

Godzinę później dotarli na Przekłątą Wyspę. Niemi, Hernandez i policjant ze swoim wiernym psem Sacco, który wobec czekającego go zadania wyglądał na bardziej entuzjastycznego niż jego pan.

– Ja z Hernandezem zaczynamy, a ty będziesz mógł wypić jeszcze jedną kawę – zaproponował Niemi i na wszelki wypadek pokazał na stojący na stole termos.

– Bardziej wierzę w Sacco – powiedział policjant. – Jeśli ziemianka leży tam, gdzie myślisz, to zgodnie z mapą dzieli nas od niej odległość jakichś pięćdziesięciu metrów. To nam zaoszczędzi czasu. Poza tym będziemy mieli psa cały czas na oku, więc jeśli coś mu strzeli do łba, od razu go odwołam z powrotem.

– Okej – zgodził się Niemi i skinął głową. – Zróbmy tak, jak mówisz.

Przynajmniej zyskamy na czasie, pomyślał.

Policjant odwiązał Sacco ze smyczy, przypiął mu czujnik, a potem pokazał ręką kierunek.

– Szukaj – polecił.

Sacco ruszył naprzód, przebiegł jakieś czterdzieści metrów i nagle, mniej więcej trzy metry przed wysokim zboczem, zatrzymał się. Był to łagodnie zaokrąglony pagórek z polaną od północy, po obu stronach równo porośnięty krzakami i jagodami. Przypominał północną stronę ziemianki w Tornedalen. Oczywiście bez piwniczki w środku, pomyślał Niemi w tym samym momencie, kiedy Sacco położył się i zaczął głośno i rytmicznie szczekać.

– No to już wiesz, jak on szczeka, kiedy znajdzie trupa – skonstatował wyraźnie zadowolony policjant.

Reszta była czystą rutyną. Niemi wziął ze sobą kamerę i dla pewności statyw. Hernandez porządną lampę i sondę, którą można było w bardzo praktyczny sposób albo wydłużyć, albo skrócić.

Podczas gdy policjant wiązał psa na smyczy, Niemi robił zdjęcia czemuś, co wyglądało jak zwyczajne wzniesienie porośnięte krzakami, bez żadnego otworu ani nawet śladu po jakiegokolwiek dziurze.

Hernandez ukląkł i próbował wcisnąć sondę w ziemię. Już przy trzeciej próbie sonda zniknęła w głębi. Wyjął ją, wydłużył do maksimum, czyli do dwóch metrów, a potem przeciągał w górę, w dół i na boki.

– Jak duża może być ziemianka? – zapytał Hernandez.

– Najwyżej trzy, cztery metry kwadratowe, tak żeby zmieściło się w niej parę kan z mlekiem – odpowiedział Niemi.

– W takim razie coś znaleźliśmy – stwierdził Hernandez i się uśmiechnął. – Moja pierwsza ziemianka. Kto zacznie kopać, ja czy ty, Peter?

– Proszę bardzo – odparł Niemi i też się uśmiechnął.



Niemi nagrywał wszystko kamerą, podczas gdy Hernandez ostrożnie odsunął na boki zarośla i krzaki, i w ciągu pięciu minut zrobił otwór w ziemi, na tyle duży, żeby wcisnąć do niego górną część ciała i zacząć robić zdjęcia aparatem z włączoną lampą błyskową.

Po chwili wyszedł na powierzchnię. Skinął w kierunku swoich dwóch kolegów. Podniósł się i wyczyścił kolana z piasku.

– O ile się nie mylę, to w ciele człowieka jest około dwustu kości – powiedział Hernandez.

– Nieco ponad – uściślił Niemi.

– W takim razie obawiam się, że ją znaleźliśmy – odpowiedział Hernandez.

## 29.

– Słucham – rzucił do telefonu Bäckström i odstawił pusty kieliszek.

Dzwonił Niemi, więc Bäckström domyślił się, o co chodzi.

To była krótka rozmowa, która zakończyła się po kilku minutach. Bäckström cały czas kiwał głową i pochrząkiwał.

– Znaleźli ją? – powiedziała Nadia, i zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– W jakiejś starej, zarośniętej ziemiance, którą przeoczyli, kiedy byli tam w zeszłym tygodniu – odparł Bäckström.

– Przecież nie weszła tam sama – powątpiewała Nadia.

– Ano nie. – Bäckström znów napełnił swój kieliszek.

Na wzmocnienie, tym razem. Samobójcy wolą jakąś polanę w lesie, najchętniej w wieczornym słońcu. To, że może być kilometr dalej, ma mniejsze znaczenie.

– Ja też bym tak zrobiła – stwierdziła Nadia i napełniła swój kieliszek. – Miałabym wtedy czas na przemyślenia i pewność, że umrę w pięknym miejscu. Miłe wspomnienie, kiedy już człowiek zdecyduje zakończyć swoją wędrówkę po tym łez padole...

– To zawsze jakieś rozwiązanie – podsumował Bäckström. – Liczy się rezultat.

– Sentymentalizm – odparła Nadia z wiele mówiącym wzruszeniem ramion. – Rosyjska przypadłość. W kombinacji to mieszanka wybuchowa – dodała i uniosła kieliszek.

– Pewnie z tego samego powodu często zrzucają buty, zanim się powieszą – powiedział Bäckström, który wyglądał, jakby zatopił się w rozmyślaniach. – Może, żeby poruszać palcami u nóg, zanim zacisną pętlę.

– Czy to, co znaleźli, to szkielet?

– Tak, niezłe puzzle zdaniem Niemiego. Kilkaset kawałków kości, odłamków i większych fragmentów.

– Znaleźli coś więcej? Ubrania, jakieś inne rzeczy?

– Podartą reklamówkę z Lidla – dodał Bäckström. – I tyle. Taka, w jakiej nosisz zakupy. A to zaprzecza podejrzeniu, że to znalezisko z dawnych czasów.

– Do czego jej mógl potrzebować?

– Prawdopodobnie włożył jej na głowę – stwierdził Bäckström. – Żeby się za bardzo nie wykrwawiła. Poza tym nie musiał wtedy oglądać jej twarzy. Na ogół tego unikają.

– Mogę sobie to wyobrazić – odrzekła Nadia. – To staranny typ. Co robimy? Mam na myśli naszego Ciekawskiego George’a.

– Ciekawskiego George’a?

– Noo, naszego Ciekawskiego George’a Papłę... – powiedziała Nadia z uśmiechem. – Mężczyznę o wielu talentach. Naszego nowego szefa. Tego, który lubi wszystko wiedzieć i we wszystko się wtrącać. I to nieustannie, jeśli mam być szczerą. Co mu powiemy?

– Trzymamy język za zębami – oznajmił Bäckström. – Tak długo, jak tylko się da. Co pewnie i tak długo nie potrwa.

## 30.

Ktoś musiał nieźle ich pogonić, tam w Linköping, pomyślała Nadia, kiedy następnego ranka sprawdziła swoją skrzynkę mailową. Dostała dwie wiadomości z Centralnego Laboratorium Kryminalistyki. Pierwsza to profil DNA pozyskany z tkanki zębowej, trzy plus – prawy górny kieł – z czaszki, którą znalazł Edvin. To DNA najwyższej jakości. Jeśli tylko się uda znaleźć właściwą osobę, to identyfikacja będzie prosta, bez najmniejszego pola na jakiegokolwiek wątpliwości. Druga wiadomość zawierała wstępne wyniki badań z Wydziału Osteologii Sądowej. Ostateczna ekspertyza zajmie oczywiście trochę czasu, jednak wstępne wyniki gotowe były już teraz.

Na pewno była to czaszka dorosłej kobiety, co zresztą wcześniej zostało potwierdzone badaniem DNA. Czaszka oraz profil DNA nasunęły pewne podejrzenia co do jej pochodzenia. Najprawdopodobniej pochodziła z północnej części Azji Południowo-Wschodniej – Birma, Tajlandia, Kambodża, Laos, Wietnam. W grę wchodzi również Indonezja, Timor Wschodni, Malezja, Brunei, Singapur i Filipiny. To część świata, która obejmuje cztery i pół miliona kilometrów kwadratowych, czyli dziesięciokrotnie więcej niż powierzchnia Szwecji, z zaludnieniem ponad sześćset milionów mieszkańców...

Teraz pozostaje jedynie znaleźć odpowiednią kandydatkę wśród tych kobiet, które zaginęły w Szwecji, pomyślała Nadia. W sumie to około stu

kobiet, z czego dziesięć z Azji Południowo-Wschodniej. Nadia postanowiła sprawdzić wszystkie, niezależnie od pochodzenia. Przesłanki to jedna sprawa, pomyślała. Druga to zupełna pewność.

Spośród stu zaginionych kobiet profile DNA mamy dla piętnastu, rozmyślała. To dużo w porównaniu z nieco ponad jednym procentem całej populacji. Są dwa powody. Pięć z tych kobiet znalazło się w bazie danych z uwagi na przestępstwa, jakie popełniły albo w których były podejrzane, zanim zgłoszono ich zaginięcie. Pozostałe dziesięć zostawiło swoje DNA w Urzędzie Imigracyjnym, ponieważ starały się o pobyt stały w Szwecji. Spośród zaginionych kobiet z Azji Południowo-Wschodniej, ogółem dziesięciu, tylko trzy mieściły się w tej kategorii.

Piętnaście kobiet, pomyślała Nadia, drukując dane, które zamierzała rozdać swoim współpracownikom. Komputery policji i Urzędu Imigracyjnego powinny się z tym uporać do końca dnia. Jednak do pokonania pozostała pewna przeszkoda. W Azji Południowo-Wschodniej żyje prawdopodobnie sto milionów kobiet, których wiek i pochodzenie może się zgadzać z wiekiem i pochodzeniem ofiary. Tylko jednej z nich szukają.

Nie jest źle, pomyślała Nadia i uśmiechnęła się krzywo. Jeśli porównać ich śledztwo z pociągami, to przynajmniej ten był już na szynach. A czy uda mu się dojechać do celu podróży, to już zobaczymy.

Kilka godzin później Nadia dostała jeszcze jeden mail. Czekał na nią, kiedy wróciła ze stołówki z lunchu. Gotowany dorsz z warzywami, filiżanka czarnej kawy i bułeczka marcepanowa, mimo że z tej ostatniej powinna była zrezygnować. Ludzka słabość, pomyślała z westchnieniem.

Sprawdzanie piętnastu profili DNA zaginionych kobiet się zakończyło. Jednak żaden z nich nie zgadzał się z DNA znalezionej czaszki. Kobiety, której szukali, nie było również wśród pozostałych wyników DNA: ani

w bazach policyjnych, ani w rejestrach Urzędu Imigracyjnego. Raczej niemożliwe, aby jej zaginięcie nie zostało zgłoszone, więc najprawdopodobniej nigdy nie znalazła się w żadnych rejestrach.

Nie można też wykluczyć, że jej zaginięcie zgłoszono, ale po pewnym czasie wycofano. Mogło tak być z kilku powodów. Nadia potrafiła je wszystkie wymienić, nawet gdyby ktoś ją obudził w środku nocy, ale żaden z nich nie wyróżniał się niczym szczególnym. Właściwie to całe śledztwo ciągną dwa pociągi, pomyślała, analizując mail. Jeden to pociąg pośpieszny, który dotarł do celu i dostarczył rezultaty ich analiz. Drugi to starodawna kolejka parowa z Niemim jako maszynistą, która wciąż jeszcze nie opuściła stacji na Przeklętej Wyspie. Najprawdopodobniej nastąpi to dopiero pod koniec tygodnia, jednak niezgodnie z rozkładem jazdy, bo niczego takiego Niemi jej nie dał, kiedy ostatniego wieczoru rozmawiała z nim przez komórkę.

Komputery policyjne dostarczyły jej danych, na które czekała. Teraz do zrobienia pozostało tylko to, o co nie mogłaby ich zapytać. Po pierwsze, trzeba było skontaktować się z władzami policyjnymi za granicą, żeby ustalić, czy przypadkiem nie mają DNA kobiety, której oni tu szukają. Jeśli informacje o jej pochodzeniu są prawdziwe, to istnieje możliwość, że kobieta ta przebywała w Szwecji tylko czasowo, albo jako turystka, albo nawet nielegalnie. Po drugie, należało spróbować pozyskać DNA od pozostałych osiemdziesięciu pięciu zaginionych kobiet. Mniej lub bardziej wiarygodne wyniki można dostać za pomocą DNA bliskich krewnych, ze szczoteczki do zębów, szczotki do włosów, które zostawiły zaginione kobiety.

Jednak to nie przyjedzie pociągiem pośpiesznym, pomyślała Nadia z westchnieniem.

## 31.

Niemu był wciąż na Przeklętej Wyspie i żeby jak najszybciej stąd wyjechać, potrzebował więcej środków. A konkretnie dodatkowych ludzi i sprzętu.

Samo zadanie niczym szczególnym się nie wyróżniało. To była praca czysto archeologiczna: odkopanie starej ziemianki, odrzucenie ziemi, wykopanie krzaków, zarośli i wszystkiego, co nie miało nic wspólnego ze sprawą – dość szybko się okaże, że urośnie z tego spora góra – po to tylko, żeby znaleźć to, co ma ścisły związek z przestępstwem.

Dlatego potrzebne były taczki, szpadle i motyki różnej wielkości, oprócz tego sita do przesypywania ziemi – gęsta siatka osadzona w drewnianej ramie – żeby „oddzielić ziarno od plew”, i inne narzędzia, które ewentualnie mogłyby się przydać. Mocne lampy, żeby dobrze widzieć, kiedy nie będzie światła dziennego, przenośny agregat, który dostarczałby prądu, plandeki i osłony od wiatru do ochrony materiału przed deszczem i niepogodą.

Wszystko to, co miało związek z przestępstwem, a więc zabezpieczenie śladów, które w najlepszym przypadku będzie można wykorzystać jako dowód w śledztwie, wymagało jeszcze więcej. Między innymi namiotu, w którym dla komfortu pracy ustawiliby dwa drewniane kozły, sięgające Niemiemu i jego współpracownikom do pasa. Na kozłach umieszcziliby kilkumetrową, kwadratową drewnianą płytę grubości około dziesięciu

centymetrów. Posłużyłaby im za stół, na którym mogliby kłaść kolejne puzzle, żeby potem odtworzyć ofiarę przy użyciu jej kości i innych szczątków materiału organicznego, które mogły mieć związek z ofiarą. Poza tym to, co przydałoby się do dokumentowania, rejestrowania i zabezpieczania śladów, począwszy od aparatów fotograficznych, komputerów, magnetofonów, a na torebkach i innych opakowaniach z plastiku, papieru i szkła skończywszy. Już w poniedziałek wieczorem Niemi i Hernandez zakończyli tę część pracy.

To, co pozostało do zrobienia, to sama praca, i to do niej właśnie potrzebowali posiłków, by nie spędzić reszty wakacji na Przeklętej Wyspie. Brakowało techników, więc Niemi wypożyczył młodszych kolegów z komisariatu w Västerort, nadających się przynajmniej do wywożenia ziemi na taczkach. Reszta zależała od tego, jak Niemi i Hernandez pokierują pracą.

Niemi dostał również dwóch pomocników z kwalifikacjami, których jemu i jego technikowi brakowało. Była to lekarka sądowa z Solnej ze specjalizacją z osteologii oraz jej doktorantka, również z tą samą specjalizacją. We wtorek rano zaczęli kopać, trzy dni później byli gotowi z tym wszystkim, co mogło mieć jakieś znaczenie w dochodzeniu.

Dopisała im też pogoda. Słoneczna i bezwietrzna. Jedynym problemem, jaki z tego wyniknął, było to, że musieli specjalnie popłynąć do Ekerö, żeby uzupełnić zapasy wody i soków.

Reklamówkę z Lidla, którą znaleźli już pierwszego dnia, wraz ze zdjętymi odciskami palców, próbkami DNA i innym przydatnym materiałem, odesłali do Linköping.

W piątek przed południem w odkopanej ziemiance dokonali jeszcze jednego odkrycia. Nie były to jednak ani fragmenty kości, ani inne szczątki



ofiary. Znaleźko leżało zaledwie kilka centymetrów pod odkopaną warstwą ziemi...

To śledztwo robi się coraz dziwniejsze, pomyślał Niemi i wziął torbę plastikową, do której włożył to, co znalazł. Pierwszy naprowadził go na ten trop stary proboszcz urodzony w dziewiętnastym stuleciu i martwy prawdopodobnie od pół wieku. A teraz znany aktor, zapewne rówieśnik pastora Lindströma, najwyraźniej chciał nawiązać z nim kontakt. Mimo że zszedł z tego świata, prawdopodobnie jeszcze zanim Niemi się urodził.

Głosy z zaświatów mówiły mu, że najwyższy czas ich wygooglować. Żadnego pastora Lindströma nie znalazł. Jednak jeśli wciąż byłby przy życiu lub gdyby zmarł niedawno, na pewno Niemi by go znalazł. Udało mu się natomiast wygooglować słynnego aktora, mimo że zmarł trzy lata przed narodzinami Niemiego.

Prawie trzydzieści tysięcy trafień, chociaż od jego śmierci upłynęło już pięćdziesiąt lat. Ciekawe, co mu wtedy leżało na sercu, zastanawiał się Niemi.

## 32.

Wtorek i środę Nadia poświęciła na przejrzenie starych śledztw w sprawie pozostałych osiemdziesięciu pięciu zaginionych kobiet, których nie skreślono z powodu braku DNA. Teraz ona mogła to zrobić z prawie sześćdziesięcioma, mimo że ani nie miała dostępu do ich DNA, ani nie mogła wykorzystać faktu, że ich ofiara „prawdopodobnie” pochodziła z Azji Południowo-Wschodniej. Po prostu były za młode albo za stare, za niskie albo za wysokie, za bardzo chore albo ze zbyt dużą nadwagą, miały zęby w złym stanie albo niewłaściwy kolor włosów, niepasujący do szczątków, które Niemi i jego koledzy próbowali do siebie dopasować niczym puzzle.

Według opinii lekarza sądowego i osteologa ich ofiara miała w chwili śmierci między dwadzieścia a czterdzieści lat, prawdopodobnie była zupełnie zdrowa, wysportowana i ogólnie w dobrej kondycji. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie rodziła, a sądząc po kościach udowych, które znaleźli w ziemiance, miała między 155 a 165 centymetrów wzrostu, zdrowe zęby i długie czarne włosy, bez śladu siwizny.

– Nie chcę się zakładać – powiedział Niemi, kiedy w środę wieczorem rozmawiał z Nadią – ale jeśli mielibyśmy określić kraj pochodzenia, to z naszych badań na wyspie wynika, że była z Tajlandii. Sądząc po tym,

jakie kobiety przyjeżdżają z tamtej części świata, to całkiem logiczna hipoteza. Gdzieś czytałem, że to właśnie najwięcej Tajek trafia do Szwecji.

– Przyjeżdża jak przyjeżdża – powiedziała Nadia. – Według mnie przywożą je tu szwedzcy faceci.

– Też tak myślę – zgodził się Niemi. – I potem, jak już je tu ściągną, przestają być tak czarujący jak wcześniej.

To nic nie da, pomyślała Nadia w czwartek przed południem, kiedy przeglądała coraz krótszą listę zaginionych kobiet, których nie mogła jeszcze z niej skreślić.

Przecucie, pomyślała. Plus rosnąca irytacja, że zajmuje się czymś, co i tak wkrótce będzie musiała przerwać z braku efektów. I że śledztwo umiera jej na rękach.

Najwyższy czas wymyślić coś innego, rozważała. Może skontaktować się z Europolem, Interpolem... Ale przede wszystkim z policją z jedenastu krajów Azji Południowo-Wschodniej. Czy będą jednak chętni do współpracy w takich krajach jak Birma, Kambodża, Laos, Wietnam czy Timor Wschodni. Nie wspominając już o sułtanacie Brunei, pomyślała z westchnieniem.

Kontakty międzynarodowe to dla niej biała plama. Dlatego też najwyższy czas, żeby porozmawiać z kimś, kto się na tym zna. Może z dawnym znajomym, który dwadzieścia lat temu pracował w Komendzie Głównej Policji i miał ponaddziesięcioletnie doświadczenie we współpracy międzynarodowej. Oprócz tego stacjonował w Bangkoku jako oficer łącznikowy z Tajlandią i sąsiednimi krajami regionu.

Prawdopodobnie kobieta była Tajką, pomyślała Nadia, więc kto inny jej pomoże jak nie stary znajomy? Na pewno da jej parę dobrych wskazówek. Najchętniej nazwiska godnych zaufania policjantów z Azji Południowo-

Wschodniej, do których mogłaby się zwrócić, omijając wszystkie te żmudne i długie formalności.

Więc na co jeszcze czekasz, pomyślała, wzięła komórkę i wykręciła numer.

– W czym ci mogę pomóc, Nadia? – zapytał znajomy po wymianie formułek grzecznościowych.

– Pracuję nad śledztwem w sprawie morderstwa – powiedziała. – Ofiara to niezidentyfikowana kobieta. Według naszych ekspertyz niewykluczone, że pochodziła z Tajlandii lub któregoś z sąsiednich krajów, i dlatego pomyślałam o tobie.

– I bardzo dobrze. Masz już coś?

– Niewiele – skwitowała. – Czaszkę bez dolnej szczęki, jeśli mówimy o szczegółach. I część szkieletu. Mamy też jej DNA, które uzyskaliśmy z uzębienia. Sprawdzaliśmy ją i w naszej bazie DNA, i w rejestrach Urzędu Imigracyjnego, ale bez powodzenia.

– W jaki sposób zmarła?

– Od strzału w głowę – powiedziała Nadia. – Znaleźliśmy ją na wyspie na Mälaren. Sprawca najprawdopodobniej ukrył ciało w starej ziemiance. Sądząc po stanie szczątków, nie stało się to wczoraj. Oczywiście to wszystko jest tylko do twojej wiadomości. Na razie, dopóki jej nie zidentyfikujemy, trzymamy to w ścisłej tajemnicy. Nic o tym nie pisali ani w gazetach, ani w innych mediach.

– Tak z ciekawości... czy to śledztwo Bäckströma?

– Tak – przyznała Nadia. – Wiem, o czym myślisz... – dodała z niewiadomego dla siebie powodu.

– Tak, nasz Bäckström jakoś nie narzeka na brak kontaktu z mediami. Więc pewnie sam chętnie się tym zajmie. Ziarnko do ziarnka, sama wiesz.

– Wiem, wiem – odpowiedziała Nadia.

Niestety, prawdopodobnie ma rację, pomyślała.

– Wiesz co – powiedział kolega – zrobimy tak. Przyślij mi mailem jej DNA i wszystko, co o niej masz, a ja się wtedy zorientuję, jak ci będę mógł pomóc. Stare kontakty i tego typu rzeczy, sama wiesz.

– To miło z twojej strony – ucieszyła się Nadia.

Pozostałą część dnia poświęciła na usuwanie ostatnich zaginionych kobiet z listy leżącej na jej biurku. O tej porze czuła się już lekko zmęczona i miała tylko nadzieję, że to nie jej zmęczenie stało się powodem wykreślenie ich z listy. Była szósta i w biurze zrobiło się już pusto.

Najwyższy czas iść do domu i coś zjeść, pomyślała. I wtedy zadzwoniła jej komórka. To dawny znajomy, z którym rozmawiała kilka godzin wcześniej. Był jakoś dziwnie podekscytowany.

– Już w domu czy jeszcze w pracy? – zapytał.

– Jeszcze w pracy – odpowiedziała Nadia. – Miałam dużo roboty, ale właśnie wychodzę.

– Więc proponuję, żebyś najpierw zamknęła drzwi – poradził.

– Są zamknięte – zapewniła Nadia. – Poza tym oprócz mnie nie ma już nikogo.

– To dobrze – odparł. – Siedzisz wygodnie?

– Tak – odrzekła Nadia.

Co on chce powiedzieć, pomyślała.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale kobieta, której DNA mi przysłałaś...

– Tak?

– Powiedziałaś, że znaleźliście ją na jakiejś wyspie na Mälaren, na początku zeszłego tygodnia. Zabita strzałem w głowę i schowana w starej ziemiance. Dobrze zrozumiałem?

– Zgadza się – odpowiedziała Nadia.

– W takim razie obawiam się, że macie problem – zawyrokował. – To niepojęte. W każdym razie dla mnie.

– O co chodzi? – spytała Nadia.

To niemożliwe, pomyślała Nadia piętnaście minut później, gdy skończyli rozmowę. Z tego prostego powodu, że to nie może być prawda i już.

Potem zadzwoniła do swojego szefa, a ponieważ był to jego zastrzeżony numer, natychmiast odebrał. Brzmiał na wypoczętego i rześkiego. Bez całego tego marudzenia, kiedy się dzwoni na jego służbową komórkę. Ciekawe, kto jeszcze ma ten numer, pomyślała.

– Obawiam się, że będziesz musiał zaraz przyjść do pracy – powiedziała Nadia. – Mamy coś nowego.

– Nie możemy tego załatwić przez telefon?

– Nie – odparła stanowczo. – Bo pomyślisz, że zwariowałam. Powiem tak: jeszcze nigdy się z czymś takim nie zetknęłam. Nawet w najśmielszych snach.

– Interesujące – odrzekł Bäckström. – Wkładam marynarkę i widzimy się za kwadrans.

Może czas pogadać z moim ulubionym dziennikarzem, pomyślał. Nadia nie należy przecież do tych, co to ekscytują się bez powodu.

Ziarnko do ziarnka, pomyślał komisarz Evert Bäckström, kiedy pięć minut później wsiadał do taksówki czekającej na niego przed domem.

## 33.

Nadia zrobiła, co mogła. Najpierw wydrukowała mail, który przysłał jej znajomy z Komendy Głównej. Włożyła go do czerwonej teczki, w razie gdyby Bäckström miał ochotę go przeczytać. Następnie wyłożyła wszystko, co miała. Chleb na zakwasie, ogórki kiszzone, śmietanę, rosyjską soloną kiełbasę i kilka plastrów wędzonego jesiotra, którego kupiła w delikatesach na lotnisku w Sankt Petersburgu. Wyjęła również butelkę wódki, Brzozowy las, a nawet zadała sobie trud, żeby iść do gabinetu Bäckströma i przynieść z jego lodówki schłodzonego pilznera. Nic więcej nie mogę już zrobić, pomyślała i pokręciła głową. Pozostaje tylko mieć nadzieję.

– Opowiadaj, Nadia – powiedział Bäckström, kiedy już rozsiadł się wygodnie na krześle w jej pokoju, nalał sobie porządny kieliszek wódki i zaczął przeżuwać pierwszy plaster rosyjskiej kiełbasy.

– Którą wersję chcesz usłyszeć: długą czy krótką? – zapytała.

– Krótką – odpowiedział Bäckström.

– Okej – odrzekła Nadia i podała mu kartkę.

– Jaidee Johnson Kunchai, urodzona drugiego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku – przeczytał Bäckström. – Kto to?

– To imię, nazwisko i data urodzenia naszej ofiary – odpowiedziała Nadia. – Urodziła się w Tajlandii, rodzice też stamtąd pochodzą. Kunchai to

jej panięskie nazwisko. Później wyszła za mąż na Daniela Johnsona. Stąd podwójne nazwisko. Mąż jest Szwedem, tak na marginesie.

– Dobra robota, Nadia – pochwalił ją Bäckström i skinął głową. – Jak ją znalazłaś?

– Rozmawiałam ze znajomym z Komendy Głównej. Znalazł jej DNA w swojej starej bazie danych. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to jej DNA dostaliśmy z laboratorium. Pozyskali je z jej prawego kła.

– Naprawdę dobra robota – powtórzył Bäckström i podniósł kieliszek. – Najwyższy czas, żebyśmy to wreszcie uczcili...

– Ale jest jeden problem – przerwała mu Nadia. – Niestety. I to dość spory – dodała na wszelki wypadek.

– O co chodzi? – zapytał Bäckström i odstawił kieliszek.

Cholernie dziwnie się zachowuje, pomyślał.

– Już wtedy nie żyła – powiedziała Nadia.

– Już wtedy nie żyła – powtórzył Bäckström. – To jasne, że nie żyła. Możesz wierzyć albo nie, ale nawet ja to zauważyłem, kiedy zobaczyłem kulę w jej głowie.

Ciekawe, czy popija ukradkiem, pomyślał Bäckström. Jeśli tak, to mam alkoholiczkę na karku, rosyjską alkoholiczkę, a gorzej już być nie może.

– Powiem tak... – zaczęła Nadia i na wszelki wypadek wzięła porządny łyk wódki.

Kiedy Bäckström dobrowolnie odstawił pełny kieliszek, to nie jest dobrze, a nawet gorzej, niż gdyby Fantom dostał bólu głowy, pomyślała.

– Słucham cię bardzo uważnie – zapewnił Bäckström i pochylił się na krześle. – Ale nie mów mi głupot, że nie żyje – powtórzył. – Żartujesz sobie ze mnie?

– Nigdy bym się nie odważyła. Problemem nie jest to, że nie żyje – powiedziała Nadia. – Z tym obydwójce się zgadzamy. I ty, i ja.



– To miło z twojej strony – odparł Bäckström.

Baba musiała zwariować, pomyślał.

– A więc tak... – zaczęła znów Nadia.

– No słucham – ponaglił Bäckström. – Może w końcu się dowiem, o co chodzi?

Zupełnie nawalona. Po tych Ruskich w ogóle nie widać, że są pijani, pomyślał.

– Problem jest taki, że umarła dwa razy – westchnęła głęboko Nadia.

## II

Czy naprawdę można umrzeć dwa razy?

## 34.

– Nikt nie umiera dwa razy – odparł Bäckström i zdecydowanie pokręcił głową w kierunku Nadii.

A żeby jeszcze wzmocnić to, co powiedział, wziął do ust plaster kielbasy i wychylił kieliszek, na co i tak już za długo czekał.

Następnie zaczął swój wywód. Egzystencjalne przemyślenia w czystej postaci. Jeśliby podsumować całą dyskusję, to sprowadzała się ona do problemu, który dla Bäckströma był jasny już od dawna. Ludzie żyją tylko raz. Potem umierają i w zależności od tego, jak się sprawowali, wędrują albo na górę, albo na dół, skostatował i na wszelki wypadek pokazał palcem na kierunek czekającej wszystkich ostatniej wędrówki. Zresztą takiej samej, jaką dwa tysiące lat temu odbył Jezus Chrystus.

– Trzeciego dnia zmartwychwstał – powiedział Bäckström mocnym głosem i napełnił kieliszek. – Wstąpił na niebiosa i siedzi po prawicy Boga Ojca Wszechmogącego – dokończył, skinął głową i wypłukał usta jeszcze jednym łykiem tej wyśmienitej wódki. – Przecież nie objawił się na jakiejś cholernej wyspie na Mälaren – dodał, żeby wzmocnić to, co przed chwilą zostało powiedziane.

Zakładając, że człowiek dobrze się sprawował, i pomijając oczywiście miejsce wśród tych, którzy skończyli z honorem, to wędrówka, która czeka nas wszystkich. Nie tylko zresztą nas, ludzi. Wszystkie stworzenia mają tę

wspólną cechę, że żyją i umierają tylko raz. A potem albo niebo, albo piekło. Jeśli chodzi o zwierzęta i rośliny, Bäckström nie miał w tej materii pewności.

– Nawet kot ma tylko jedno życie – prychnął. – Jeśli ktoś jest ukryty z kulą w głowie w ziemiance na zapomnianej przez Boga wyspie, gdzieś na Mälaren, to mówimy tu o dziele człowieka. Nie o uczynkach Boga. Więc weź się w garść, Nadia. I mów! Co to za bajka, którą wcisnął ci ten twój znajomy z Komendy Głównej?

– Wcisnął... nie sądzę... – odezwała się Nadia. – Powiedział, że ona po prostu już nie żyje. Że zmarła prawie dwanaście lat temu.

– Jak umarła? Za pierwszym razem...

To na pewno ta wódka, pomyślał Bäckström.

– Zginęła w Tajlandii podczas tsunami, w drugi dzień świąt, dwudziestego szóstego grudnia dwa tysiące czwartego roku – powiedziała Nadia.

– No to nieźle – odparł Bäckström. – Teraz zacznam rozumieć, o czym mówisz.

– Najpierw została zidentyfikowana na miejscu, w Tajlandii, przez krewnych, swojego szwedzkiego męża i swoją tajską mamę. Potem została przetransportowana do Phuket, gdzie gromadzono zwłoki ofiar katastrofy. Przyczyną zgonu, według orzeczenia, było utonięcie. Jako że była również obywatelką Szwecji, jej ciało zostało zidentyfikowane po raz drugi, przez policjantów, których wysłaliśmy na miejsce, żeby się tym zajęli.

– Jak to zrobili?

– Mieli dostęp do jej DNA – powiedziała Nadia. – Dostali go z Urzędu Imigracyjnego, który pobrał próbki, kiedy starała się o pobyt stały, żeby wyjść za mąż za obywatela Szwecji. Było to w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym. Nie mogliśmy jej znaleźć w bazie danych, bo

wiosną dwa tysiące piątego roku została uznana za zmarłą i usunięta z rejestrów.

– Ale informacje potrzebne do identyfikacji wciąż jeszcze mają w Komendzie Głównej Policji?

– Tak – odpowiedziała Nadia. – Lecz to był szczególny projekt, który kierował się innymi zasadami. Więc nie ma w tym nic dziwnego. Poza tym te rejestry przechowuje się tak na wszelki wypadek – rzekła Nadia i wzruszyła ramionami. – Gdyby sprawa znów była aktualna, no wiesz. Dlatego mój znajomy to sprawdził, jeszcze zanim zaczął szukać policjantów z zagranicy, którzy mogliby mi pomóc. Powiedział, że to czysta loteria. Zresztą wszystkie informacje, które mi przysłał, znajdziesz u siebie w mailu.

– Więc jak się znalazła na Przekłętej Wyspie? Zmartwychwstała, postanowiła, że zostanie wśród żywych, tu na ziemi, lecz ktoś ją zamordował i...

– Nie – przerwała mu Nadia i pokręciła głową. – Nie sądzę. Więc nie musisz się tym martwić. O ile dobrze zrozumiałam, są trzy możliwości. Ale niezależnie od tego, czy są prawdopodobne, czy nie, chciałabym zauważyć, że mamy poważny problem.

– Co to za możliwości? – zapytał Bäckström z uśmiechem.

No, teraz nareszcie poznaję starą dobrą Nadię, pomyślał.

– Pierwsza to taka, że musieli się pomylić przy identyfikacji. Albo w Tajlandii po tsunami, albo u nas, dwanaście lat później.

– A baza danych? Czy mogli się pomylić, kiedy umieszczali jej DNA w bazie danych?

– Nie sądzę – zaprzeczyła Nadia i pokręciła głową. – I my, i ludzie z Komendy Głównej zidentyfikowaliśmy dwa różne ciała przy dwóch różnych okazjach, i miały one to samo DNA. Prawdopodobieństwo

pomyłki, i to w dodatku przy dwóch różnych osobach, jest mniejsze niż jeden do kilku milionów. To nie tak że znaleźliśmy dwa różne dokumenty. Znaleźliśmy dwa różne ciała przy dwóch różnych okazjach. Niemniej jednak to te same ciała, jak wynika z naszych próbek DNA. Najpierw w Tajlandii dwanaście lat temu. A teraz na wyspie na Mälaren dwa tygodnie temu. Tysiące kilometrów i dwanaście godzin lotu od siebie.

– Może miała siostrę bliźniaczkę jednojajową?

– Nic z tych rzeczy – odpowiedziała Nadia. – Miała mamę, tatę i starszego brata. W każdym razie tak wynika z ewidencji ludności. Jak duże jest więc prawdopodobieństwo, że to kolejna z możliwości? Najpierw podczas tsunami ginie Jaidee. Potem jej nieznaną bliźniacza siostra, jednojajowa w dodatku, zostaje zamordowana w Szwecji, a jej ciało schowane na wyspie na Mälaren. No przecież muszą być jakieś granice...

– Pełna zgoda – przyznał Bäckström. – Grubymi nićmi szyte.

– Więc pozostaje trzecia ewentualność. – Nadia napełniła kieliszki. – Chociaż wstydę się o tym mówić.

– Nie mogę się doczekać – odrzekł Bäckström, ale już się domyślał, o co chodzi.

– Jej ciało zostaje zabrane do Szwecji. Kiedy patolodzy robią sekcję zwłok, tu w Szwecji, a robi się tak z każdą ofiarą, nie zauważają kuli w czaszce. W co wątpię, szczerze mówiąc. Najwyraźniej kupują teorię o utonięciu, którą ich koledzy z Tajlandii podają jako powód zgonu. Oddają ciało mężowi, który decyduje się pochować ją na wyspie na Mälaren. Albo... bo tutaj mamy dwie możliwości... najpierw strzela jej w głowę, a potem chowa ją do zarośniętej ziemianki na Przeklętej Wyspie. Oczywiście są tacy szaleńcy, tyle że...

– Istnieje jeszcze jedna możliwość. Albo raczej wariant tej ostatniej. I nie możemy o niej zapominać – przerwał jej Bäckström, wyraźnie

rozbawiony.

– A co by to miało być?

– Jej zaletą jest to, że nie rzuca cienia ani na naszych patologów, ani na jej męża. Wyobraźmy sobie zwyczajny pogrzeb, z trumną, na cmentarzu, gdziekolwiek by to było. Potem hieny cmentarne, najprawdopodobniej więcej niż jedna, zważywszy na ogrom roboty przy wykopywaniu trumny, zabierają ciało na Przeklętą Wyspę, znaną z tego, że jest trudno dostępna. Na wszelki wypadek strzelają jej w głowę, żeby ich potem nie straszyla, i zostawiają ją w ziemiance. Hieny cmentarne, a może nawet sataniści. Kto wie...

– Jak dalece prawdopodobna jest ta możliwość?

– Niespecjalnie – przyznał Bäckström. – Ale mamy już przynajmniej trzy hipotezy. Plus kilka ich wariantów, jeśli się dobrze zastanowimy. Nie tak źle, sama przyznasz, prawda?

– Więc co robimy?

– Dowiemy się, jak naprawdę było – powiedział Bäckström i podniósł kieliszek, dodatkowo podkreślając swoje słowa. – Na zdrowje!

Ja będę kierował, a ty zajmiesz się resztą, pomyślał.

– Na zdrowje – odpowiedziała Nadia.

Jacy my, pomyślała.

## 35.

W niedzielę, 26 grudnia, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, o godzinie 07:59 czasu tajlandzkiego, na północ od Simeulue leżącego około stu węzłów na wschód od zachodniego wybrzeża Sumatry, ponad trzy kilometry pod powierzchnią wody zatrzęsło się dno morza. Siła trzęsienia ziemi wynosiła 9,0 stopni w skali Richtera i była to najwyższa magnituda. Trzęsienie ziemi o takim zasięgu zdarza się raz na dwadzieścia lat.

Nad otwartymi wodami Oceanu Indyjskiego, gdzie średnia głębokość wynosi między trzy a cztery kilometry, pędziła fala tsunami z szybkością sześciuset do siedmiuset kilometrów na godzinę. Fala roznosiła się ruchem pierścieniowym, według tego samego wzoru, który powstaje, kiedy wrzucimy kamień do wody.

Dno morza nagle podniosło się i dziesiątki milionów ton kamieni, błota, piasku i ziemi wypchnęły masy wody. Fale – tsunami właśnie – powstałe na otwartym oceanie, trzy kilometry pod powierzchnią wody, trudno było zauważyć gołym okiem, ponieważ ich wysokość wynosiła mniej niż metr, a długość ponad sto metrów. Po niecałych dwu i pół godzinach te same fale dotarły do długich na dziesięć kilometrów i płaskich plaż na zachodnim wybrzeżu Tajlandii. Tyle że ciągle obniżający się poziom wody zamienił tsunami w innego rodzaju falę... Te cztery, które wdarły się w ląd na odległość kilku kilometrów, można najprościej opisać jako



dziesięciometrową ścianę wody, twardą jak opancerzona pięść wielkoluda, który wali na oślep, niszczy i zmiata wszystko, co mu stoi na drodze. Tak jak w Khao Lak po południu drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, w niedzielę 26 grudnia 2004 roku, kiedy to życie straciło ponad pięć tysięcy ludzi.

Khao Lak leży w prowincji Phang Nga, na zachodnim wybrzeżu Tajlandii, kilkadziesiąt kilometrów na północ od Phuket. To jedno z najpopularniejszych miejsc turystycznych w Tajlandii i jedna z najbardziej malowniczych miejscowości. Ciągące się kilometrami plaże, otoczone tropikalną zielenią, słońce, które nigdy nie zachodzi za chmury, i błękitne niebo...

To tam pojechała Jaidee ze swoim mężem, Danielem Johnsonem, żeby spędzić święta Bożego Narodzenia w 2004 roku. Wynajęli mały bungalow tuż przy plaży. Jaidee Kunchai leżała jeszcze w łóżku, drzemiąc, a jej mąż włożył sandały, spodenki, koszulkę z krótkimi rękawami i wyszedł kupić gazety i zorganizować śniadanie.

Jaidee zginęła. Setki ton wody, tony piasku zmiotły z powierzchni drewniany domek, w którym spała. Jej mąż się uratował. Budynek, w którym akurat się zatrzymał, żeby przejrzeć poranną gazetę i wypić kawę, zanim wróci do żony, leżał wprawdzie tylko sto metrów od plaży, ale za to na trzydziestometrowym wzgórzu, i to z powodzeniem wystarczyło, żeby go uratować.

## 36.

Już w piątek rano, dzień po spotkaniu z Bäckströmem, Nadia wzięła się do sprawdzania trzech niespecjalnie prawdopodobnych hipotez. Bolała ją głowa. Nie z powodu próby znalezienia wytłumaczenia tego, że człowiek umarł dwa razy, o czym rozmawiała z Bäckströmem poprzedniego wieczoru, ale raczej z powodu formy, jaką ich rozmowa przybrała. Tego, że udało im się wypić i zjeść wszystko, co wyłożyła na stół. Jak nakazuje rosyjski zwyczaj, nie zostawili na stole nawet kromki chleba.

Jeszcze tego samego popołudnia Nadia odrzuciła trzecią hipotezę, najogólniej mówiąc, tę najbardziej ekscentryczną, według której zrozpaczony mąż chciał uczcić pamięć zmarłej żony, oraz zanegowała wariant Bäckströma, że to gang hien cmentarnych bądź satanistów najpierw rozkopał grób Jaidee na cmentarzu, potem ukrył ciało w ziemiance na Przeklętej Wyspie i na wszelki wypadek strzelił jej w łeb, żeby nie mogła ich straszyć.

Nadia upiekła dwie pieczenie na jednym ogniu, a że dokonała tego, jeszcze zanim zebrała cały potrzebny materiał, niespecjalnie jej to przeszkadzało. To, co teraz robiła, było w sprzeczności nie tylko z ogólnie przyjętymi w nauce metodami, ale również z logiką i zdrowym rozsądkiem. To się po prostu nie mieściło w głowie.

Większość spośród pięciuset czterdziestu trzech obywateli szwedzkich, którzy zginęli w tsunami, spędzało wakacje w Khao Lak. Pierwsza grupa szwedzkich policjantów przybyła do Tajlandii jeszcze przed Nowym Rokiem, by wraz z tajlandzką policją i kolegami z innych krajów dokonać identyfikacji zwłok. Po wstępnych badaniach, przeprowadzonych w specjalnym centrum identyfikacyjnym, które zorganizowano w Phuket, kilkanaście kilometrów od Khao Lak, ciała przetransportowano do ich rodzinnego kraju. Pierwszy transport wylądował na Arlandzie 3 lutego 2005 roku. Następnie ciała przetransportowano na lotnisko Ärna pod Uppsalą. Tam zaadaptowano stary hangar, żeby raz jeszcze skontrolować zwłoki. Po przeprowadzeniu identyfikacji oraz dodatkowych badaniach sądowych i policyjnych ciała oddano krewnym.

Wciąż jeszcze istniały listy ofiar. Sporządzono je z całą biurokratyczną i urzędową starannością, właściwą ich ojczyźnie. Na listach były ofiary, które udało się zidentyfikować, spis piętnastu przypuszczalnie zaginionych ofiar, które do tej pory nie zostały odnalezione, a także lista ofiar przetransportowanych do Szwecji. Z ostatnią listą był jednak pewien problem. Brakowało na niej Jaidee Johnson. Nie było jej na tej liście, więc tym samym nie mogła wrócić do Szwecji.

Czy powodem mogło być to, że miała podwójne obywatelstwo? – zastanawiała się Nadia. Że była Tajlandką, kiedy się urodziła, a potem, w maju 2004 roku, a więc siedem miesięcy przed tsunami, została obywatelką Szwecji? A może jej krewni postanowili, że zostanie pochowana w swoim rodzinnym kraju? To w każdym razie mogło być jakieś wytłumaczenie, pomyślała.

Chcąc zaoszczędzić czas, zadzwoniła do swojego znajomego z Komendy Głównej, żeby go o to zapytać. On też miał właśnie do niej dzwonić. W swoich dokumentach znalazł kilka informacji o tym, co się

działo po katastrofie. Między innymi o tym, że najbliżsi krewni Jaidee, a więc jej mąż, jej matka i jej starszy brat, zdecydowali, że zmarła zostanie pochowana w swojej ojczyźnie, w Tajlandii.

– Zeskanuję wszystko i i wyślę ci mailem. Trochę tego jest, ale będziesz miała całość u siebie za jakiś kwadrans – powiedział kolega Nadii.

– A więc została pochowana w Tajlandii... – powtórzyła Nadia na wszelki wypadek.

– Na to wygląda. Zaraz po skończonej identyfikacji została przekazana rodzinie.

– Kto zajmował się identyfikacją? – zapytała Nadia. – My czy Tajlandczycy?

– Na pewno my. Każda grupa policjantów odpowiadała za swoich obywateli. Wszystko, co robili, mamy w dokumentacji. Tak się składa, że dokument Jaidee podpisany jest przez kolegę, którego znam już ponad dwadzieścia lat. Był jednym z pierwszych policjantów, którzy przybyli do Tajlandii, żeby się tym zająć, i został tam aż pół roku, nim wrócił do Szwecji. Tak więc tym wszystkim zajmowali się on i jego ekipa. Przesłuchaliśmy też jej męża. Byli przecież razem, kiedy to się stało. Udało mu się wprawdzie uratować, lecz był w kiepskim stanie.

– Nic dziwnego – przyznała Nadia. – Zrozumiałe. To musiało być dla niego straszne.

– W Phuket cała robota została przeprowadzona we współpracy z policją z różnych jednostek – dodał. – Wysłali tam nie tylko zwykłych policjantów, ale też różnej maści specjalistów od identyfikacji, techników kryminalnych, lekarzy sądowych i dentystów. Tajlandczycy ponosili oczywiście formalną odpowiedzialność, stało się to przecież na ich terenie, ale na miejscu byli też policjanci z trzydziestu innych krajów. Prawie natychmiast do Tajlandii zjechali policjanci z całego świata. Wszystkie kraje, których obywatele

zginęli w tsunami, przysłali swoich policjantów. Ze Stanów, z Anglii, Niemiec, Francji, Japonii, Indii, Pakistanu, Rosji, Chin, ze wszystkich tych krajów, skąd ludzie jeżdżą do Tajlandii na wakacje. Każda grupa zajęła się swoimi obywatelami. W każdym razie w pierwszym rzędzie.

– Masz na myśli identyfikację. A co z resztą śledztwa? – zapytała Nadia.  
– Wszystkim, co dotyczyło szwedzkich obywateli, zajmowali się nasi ludzie, tak?

– Zgadza się. Było to bardzo praktyczne, głównie z powodu problemów językowych. Kunchai nie przetransportowano do Szwecji ze względu na to, że była również obywatelką Tajlandii i że tak zdecydowała rodzina. Że zostanie pochowana w Bangkoku. Bo tam się urodziła i wychowała. Jeśli cię to interesuje, jest o tym wzmianka w jej dokumentacji.

– Rozumiem – powiedziała Nadia. – Masz może jakieś adnotacje dotyczące samego pogrzebu?

– Pogrzeb jak pogrzeb. Kunchai była buddystką, tak jak reszta rodziny. Z wyjątkiem męża. Ale uzgodnił to z jej matką i bratem.

– Nie bardzo rozumiem? – odparła Nadia.

– Ciało zostało skremowane. Według tradycji buddyjskiej kremacja musi się odbyć tak szybko, jak to tylko możliwe, a prochy albo się rozsypuje, albo oddaje rodzinie w urnie. Potem mogą zrobić z nimi, co zechcą.

– A więc Jaidee została skremowana?

– Tak, zaraz po identyfikacji ciało oddano rodzinie i, jak wynika z dokumentacji, zostało ono skremowane już w Nowy Rok dwa tysiące piątego. Dopiero po pięciu dniach, ale nie ma w tym nic dziwnego. Przecież najpierw trzeba było ją znaleźć. Potem ciało trzeba było przetransportować do Phuket w celu identyfikacji. Dopiero wtedy rodzina mogła je zabrać do Bangkoku i tam dokonać kremacji.

– I to wszystko jest w dokumentacji?

– Wszystko jest zapisane. Nawet nazwa firmy pogrzebowej, którą rodzina zatrudniła do transportu i samego pochówku.

– Więc Jaidee została skremowana w Nowy Rok dwa tysiące piątego? – powtórzyła Nadia.

Czyli można już zapomnieć o mężu wariacie i satanistach, pomyślała.

– Zgadza się. Wszystko odbyło się zgodnie z tamtejszą tradycją, jak wynika z dokumentacji firmy pogrzebowej.

– A ten twój kolega, który był na miejscu i wypełniał papiery, czy możesz dać mi do niego jakieś namiary? Chętnie bym z nim porozmawiała.

– Obawiam się, że możesz mieć z tym problem – powiedział znajomy Nadii.

– A co, już nie pracuje? – zapytała Nadia.

Albo nie żyje, pomyślała.

– Pięć lat temu przeszedł na emeryturę, a rok później zmarł. Najzwyklejszy zawał, który wcześniej czy później dotknie nas wszystkich, jak tylko uwolnimy się od stresu.

– A więc nie żyje... – powiedziała Nadia.

Typowe, pomyślała.

– Niestety. Stikkan Andersson. Był z niego równy chłop. Nikt, komu byś źle życzyła.

– A może jest ktoś jeszcze, kto tam wtedy był i z kim mogłabym pogadać?

– Wielu z nich żyje, w dobrym zdrowiu, i wciąż pracują. Wiesz co... Najprościej będzie, jak ci przemailuję nazwiska tych, których pamiętam. Wtedy będziesz mogła zadzwonić i pogadać z nimi.

– Dzięki wielkie – ucieszyła się Nadia.

Nikt nie umiera dwa razy, pomyślała.

## 37.

Chaos w głowie. Chaos wokół. Wszędzie trupy. Tysiące trupów w parku wokół hotelu, gdzie Jaidee Kunchai i jej mąż wynajęli bungalow na wakacje. Martwe ciała pływające po powierzchni wody, ciała wyrzucone na brzeg, ciała w budynkach, na ziemi między domami, a nawet ciało wysoko na drzewie, jakieś pięćdziesiąt metrów od plaży. Chaos w głowach wszystkich. A potem wszechogarniający paraliż.

Tak mniej więcej mąż Jaidee Kunchai, Daniel Johnson, opisał to, co się stało rankiem drugiego dnia świąt w 2004 roku.

Przesłuchanie odbyło się w ambasadzie szwedzkiej w Bangkoku 10 stycznia 2005 roku. Przesłuchującym był inspektor kryminalny Stig Andersson z Komendy Głównej Policji. W protokole z przesłuchania Andersson zrobił ręcznie adnotację: „DJ jest na zwolnieniu, stres pourazowy, momentami zupełnie nieobecny podczas przesłuchania”.

Jego żona zostaje znaleziona dzień po tsunami. Wciąż leży w zniszczonym bungalowie. Spłaszczony sufit, zawałony sufity, zmiażdżone drzwi i okna, w środku tony piasku i woda. Daniel Johnson znajduje żonę pod łóżkiem, w którym leżała, kiedy wychodził po śniadanie. Łóżko, przewrócone do góry nogami, przycisnęło Jaidee do podłogi, a wdzierająca się do środka woda po prostu ją utopiła. Miała na sobie

koszulę nocną, którą dostała od męża, na szyi biżuterię z jadeitu, prezent od matki.

Personel hotelowy pomaga Danielowi Johnsonowi przenieść ciało jego zmarłej żony do głównego budynku hotelu. Przez prawie dobę nie ma elektryczności, zanim uda się uruchomić zapasowy agregat i włączyć klimatyzację. Ciało przykryte jest prześcieradłem i leży na podłodze w piwnicy razem z kilkudziesięcioma innymi ciałami. Na zewnątrz jest ponad trzydzieści stopni ciepła. W piwnicy około dwudziestu. Dlatego z braku lepszego miejsca ciało Jaidee oraz innych zmarłych znalezionych wokół hotelu układa się w piwnicy.

Trzy dni po tsunami – jest już 29 grudnia – jej ciało zostaje przetransportowane do centrum identyfikacji zwłok w Phuket. Tam dołącza jej zrozpaczona matka. Na miejscu znajduje się ponad tysiąc innych ciał zwiezionych z okolic Khao Lak i cały czas nadjeżdżają nowe transporty. Ciała układa się w kontenerach albo na ziemi. I to upalne słońce... Z braku lepszej alternatywy ciała próbuje się chłodzić suchym lodem.

Warunki nie do opisania. Zarówno matka Jaidee, jak i jej mąż chcą ją stamtąd jak najszybciej zabrać. Po skończonej identyfikacji i innych oględzinach policja pozwala zabrać zwłoki. Firma pogrzebowa, którą zatrudniła rodzina Jaidee, przejmuje ciało i 31 grudnia wiezie swoim samochodem kilkaset kilometrów do Bangkoku. Na miejsce docierają późnym wieczorem jeszcze tego samego dnia. Już dzień później, w Nowy Rok, 1 stycznia 2005 roku, rodzina może rozpocząć ceremonię. Ciało Jaidee zostaje skremowane, a jej prochy umieszczone w urnie. Tydzień później zostają rozrzucone z wiatrem w górach, na północ od miasta. W tym samym miejscu, gdzie rodzina lubiła jeździć na wycieczki, kiedy Jaidee była małą dziewczynką i nie chodziła jeszcze do szkoły. Kochała to miejsce – zalesione wzgórze, ciągnący się kilometrami widok, orzeźwiający



wiatr od morza. To miejsce, gdzie tata opowiadał jej o zwierzętach żyjących w lesie, w którym siedzieli, jedli i je obserwowali.

Podczas tej podróży mąż Jaidee, Daniel, nie odstępował na krok prochów swojej martwej żony.

Nic dziwnego, że podczas przesłuchania czuł się źle i był nieobecny, pomyślała Nadia, odkładając na bok dokumentację, którą skończyła czytać. A jednak cały czas narastało w niej jakieś dziwne uczucie... Gdzie tu jest przestrzeń na błąd? Że może zamieniono jej ciało z ciałem innej kobiety? Wszystkie informacje, które sprawdziła, wskazywały na jedno: Jaidee Kunchai zginęła podczas tsunami w Tajlandii prawie dwanaście lat temu.

Bäckström nie będzie szczęśliwy, jak się o tym dowie, pomyślała.

Jednak w tym punkcie się myliła. Kiedy w końcu go znalazła w niedzielę przed południem i opowiedziała mu, do jakich wniosków doszła, był w wyjątkowo dobrym humorze.

– Mylisz się, Nadia – powiedział Bäckström i pokręcił głową. – Bardzo się mylisz – powtórzył.

– Więc proponuję, żebyś sam to przejrzał – odparła i położyła mu na biurku plik sprawozdań z przesłuchania. – Jestem przekonana, że sporo cię tu zadziwi.

– Na pewno jedna rzecz – rzekł Bäckström i się uśmiechnął.

– Co takiego? – spytała Nadia.

– Ciekaw jestem, kogo spalili zamiast niej – zachichotał Bäckström.

## 38.

Kiedy Bäckström i Nadia – a raczej Nadia – zmagali się z tym najtrudniejszym egzystencjalnym problemem, jaki być może istnieje, Niemi poświęcił jeszcze jeden weekend na to, żeby w samotności rozwikłać znacznie prostsze zagadnienie, a mianowicie czy w fakcie, że znalazł puszkę, chodziło tylko o puszkę, czy może jejomość, którego nazwisko i portret na niej widniały, chciał przekazać jakąś wiadomość z drugiej strony, po której znajdował się już od blisko pięćdziesięciu lat. Od dzieciństwa głęboko wierzący katolik, a oprócz tego – według jednego ze swoich licznych biografów – „pewnego rodzaju rapsod” w swoich dorosłych uczynkach.

Ze względu na to, że sprawa przybiera coraz dziwniejszy obrót, trzeba być gotowym na wszystko, pomyślał Niemi z westchnieniem.

Niemi urodził się i wychował w prostej rodzinie w gospodarstwie w Tornedalen. Ostatecznie został technikiem kryminalnym, a jego praca polegała na tym, żeby to, co niezrozumiałe, uczynić zrozumiałym. Czyli ocenić i opisać w prostym prawniczym żargonie. W świetle tego ostatniego trudno się dziwić, że puszkę kiełbasek znalezioną w ziemiance razem ze szczątkami martwej kobiety Peter Niemi postanowił potraktować jako zwyczajną blaszaną puszkę kiełbasek. Niestety, był to poważny błąd, jak się wkrótce okaże, ponieważ owa puszka będzie miała decydujące znaczenie

dla ostatecznego rozwiązania sprawy. Sądząc po wyglądzie, musiała już tam leżeć sporo czasu. Jednocześnie była w dość dobrym stanie, pewnie dlatego, że leżała zawinięta w torbę plastikową; zwykłą przezroczystą dziesięciolitrową torebkę, która uchroniła ją przed zardzewieniem w wilgotnej ziemi.

Torba plastikowa i puszka kiełbasek to w znaczeniu sądowym dwa ślady. Niemi włożył torebkę w większą papierową torbę, a puszkę do przezroczystego plastikowego pojemnika. Teraz pozostało tylko się dowiedzieć, kiedy, jak i dlaczego te dwa ślady tam się znalazły. Peter Niemi próbował to uporządkować w sposób logiczny, co z kolei powodowało, że musiał poświęcić sporo czasu na zebranie całego materiału zarówno o puszcze, jak i o jej domniemanym twórcy.

Karl Erik „Buła” Berglund urodził się w czerwcu 1887 roku, a zmarł w kwietniu 1963 roku, trzy lata przed narodzinami Petera Niemiego. Przez ponad pół wieku był jednym z najsłynniejszych aktorów w kraju. Zagrał w ponad pięćdziesięciu filmach. Poza tym był też cenionym artystą rewiowym i kupcem. Lecz to, co zachowało jego imię dla potomności, to nie jego godna szacunku kariera, tylko jego zamiłowanie do jedzenia.

Buła nie dostał swojego przydomka przypadkowo. Jesienią 1952 roku skontaktował się z nim Związek Rzeźników w Alveście w Smalandii z pytaniem, czy mogą nazwać jego imieniem jeden z ich najbardziej cenionych produktów, oczywiście za sowitym wynagrodzeniem. Buła spróbował produktu, wyraził swoje zadowolenie, aż w końcu umówił się na procent od sprzedaży. I już wczesną wiosną 1953 roku konserwowe kiełbaski, które ochrzcił swoim imieniem, zostały wprowadzone na rynek szwedzki jako „kiełbaski piwne Buły”. Bez porównania jeden z najbardziej rozpoznawalnych produktów w historii szwedzkiej kiełbasy, której początki z pewnością sięgają jeszcze wczesnego średniowiecza.

Kiełbaski piwne Buły stały się ogromnym sukcesem rzeźni w Alveście. Sprzedawano je w dwóch opakowaniach: w mniejszej puszcze z ośmioma krótkimi kiełbaskami i w większej, która zawierała czterdzieści, i to nieco dłuższych kiełbasek. Przyrządzenie ich było proste i oczywiste, odgrzewało się je w wywarze własnym, a jeśli działo się to w związku z aktywnością na świeżym powietrzu, kiełbaski można było podgrzewać bezpośrednio w puszcze. Ludzie oszaleli na punkcie kiełbasek piwnych Buły i jeszcze tej samej wiosny szwedzcy obywatele pochłonęli ich ponad milion.

Maszyny do ich produkcji pracowały na trzy zmiany, dostawca puszek zmuszony był zatrudnić więcej personelu, a dyrektor fabryki postanowił pobudować sobie dwa razy większą willę i zamienić swojego starego forda na nowego mercedesa, i to najdroższy model. Wtedy to wydarzyła się katastrofa.

Lato 1953 roku było bardzo gorące. W rzeźni w Alveście mieli duży problem z chłodziarkami, nie zabezpieczono mięsa – ani tego zmielonego, ani w częściach. Już w czerwcu wybuchła największa w Szwecji od niepamiętnych czasów epidemia salmonelli. W całym kraju zachorowali wszyscy, którzy jedli mięso, dziewięć tysięcy osób znalazło się w szpitalu, a blisko setka zmarła. W samym środku upalnego lata – szpitale pełne, a większa część personelu na urloпах – dodatkowo przybyło dziewięć tysięcy pacjentów... I to nie zwyczajnych pacjentów, ale takich, którzy dosłownie przez cały czas srali pod siebie.

Rzeźnię w Alveście natychmiast zamknięto i musiało minąć pół roku, zanim znowu została otwarta. O dziwo, kiełbaski piwne Buły prawie zupełnie na tej katastrofie nie ucierpiały. Częściowo dlatego, że były pasteryzowane, częściowo dlatego, że nie zaraziły ani jednego konsumenta w całym kraju. Zresztą wystarczy tylko popatrzeć na jegomościa na puszcze, by zrozumieć, że z tą smutną historią nie miał nic do czynienia. Buła był

człowiekiem, który troszczył się o zdrowie swoich klientów, a przede wszystkim o ich żołądki.

Ogromne powodzenie jego kiełbasek trwało aż do końca lat sześćdziesiątych, kiedy to firma przetwórstwa mięsnego Scan przejęła całą produkcję, choć nawet wtedy kiełbaski dobrze się sprzedawały. Do dzisiaj znajdują się w asortymencie większych sieci handlowych. Oczywiście również na półkach mniejszych sklepów, które wciąż zaopatrują swoich klientów w niezbędne produkty, jak kawa, masło, chleb czy... no właśnie... kiełbaski piwne Buły.

Sześćdziesiąt dwa lata później kiełbaski piwne Buły wciąż są w sprzedaży. Mają ten sam skład co dawniej, takie same puszki i w większości takie same etykiety z jowialnym uśmiechem pulchnego Buły. Sprzedaż oczywiście znacznie spadła wraz z tym, jak wymierali starzy klienci, jednak wciąż sprzedaje się dziesiątki tysięcy puszek rocznie. Kiełbaski piwne Buły żyją życiem wiecznym.

Teraz pozostała jedynie analiza techniczna, pomyślał Niemi. Postawił puszkę na biurku, zapalił najmocniejszą lampę, wyjął szkło powiększające, lupę i to wszystko, co potrzebne do badania. Jak długo puszka leżała w tej obsuwającej się ziemiance na Przeklętej Wyspie?

Logotyp firmy Scan na etykiecie, pomyślał Niemi, widać gołym okiem. A więc najwcześniej z 1969 roku, bo to wtedy Scan przejął rzeźnię i zmienił nazwę producenta. Kiedy badał puszkę lupą, na dnie znalazł wytłoczone oznakowanie: cyfry i litery, razem osiem znaków, ale ani jeden nie dał prostej wskazówki o roku produkcji.

Najwyższy czas zadzwonić do nich, pomyślał Niemi, i już podczas trzeciej rozmowy jego ryba połknęła haczyk. Był nią stary wierny sługa firmy, który sprzedawał kiełbaski piwne Buły przez całe swoje zawodowe życie.

– Mam tu przed sobą w komputerze cały spis i z tego, co widzę, to ta puszka musiała być wyprodukowana w drugim kwartale tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku – stwierdził wierny sługa firmy.

– Co pan powie – rzekł Niemi. – Może pan mi przesłać mailem ten spis?

– Oczywiście, oczywiście. Tylko jedno pytanie, tak z ciekawości. Powiedział pan, że ma to związek ze śledztwem. Co to za przestępstwo, które badacie?

– Morderstwo, niestety – westchnął Niemi, który już dłużej nie mógł się powstrzymać.

– Jezu Chryste, to przecież okropne. Może pan powiedzieć coś więcej?

– Mogę powiedzieć tyle, że nie wygląda na to, by ofiara zmarła z powodu kiełbasek, które były w tej puszcze.

– Jezu Chryste! – powtórzył wierny sługa firmy. – To straszna historia. Czy to coś, o czym powinienem poinformować nasz dział marketingu?

– Faktycznie, może lepiej, żeby pan to zrobił. Raczej nie wykorzystacie tej informacji w waszej reklamie, że tak powiem.

Najwcześniej drugi kwartał 1982 roku, pomyślał Niemi. Trzydzieści pięć lat później – puszka w świetnym stanie, torba plastikowa, w którą była zawinięta, i miejsce, gdzie leżała... To by się wszystko zgadzało, rozmyślał Niemi, wracając spacerem z biura do swojego bliźniaka.

Ktoś spędza urlop nad Mälaren. Cumuje łódź na Przeklętej Wyspie, rozbija namiot, bo na łodzi może nie ma miejsca do spania. Szuka chłodnego miejsca w cieniu, żeby schować prowiant przed palącym słońcem. Znajduje na wpół walącą się ziemiankę i tam chowa prowiant. Kiedy wraca do domu, zapomina o puszcze kiełbasek piwnych Buły. Gdyby w ziemiance leżały już szczątki ich ofiary, na pewno nie schowałyby tam swojego jedzenia.

Ofiara musiała się tam znaleźć znacznie później, pomyślał Niemi, kiedy otwierał drzwi do domu. Tak więc kiełbaski piwne Buły nie mają z tym nic wspólnego.

I w ten oto sposób Niemi mógł odrzucić myśli na temat informacji z drugiej strony, wysłanej przez najbardziej kochanego artystę Szwecji, nieżyjącego od pięćdziesięciu lat, który w czasie swojej wędrówki po ziemskim padole był zarówno głęboko wierzącym katolikiem, jak i kimś w rodzaju rapsoda.

Pięknie, pomyślał Niemi i wyjął z lodówki zimnego pilznera. Bo to wszystko jednak jest bardzo dziwne.

Tylko ta reklamówka z Lidla..., pomyślał Niemi, kiedy usiadł przed telewizorem i znalazł właściwy kanał sportowy. Lidl wystartował w Szwecji w 2003 roku...

Tak więc pierwsze reklamówki na rynku szwedzkim były dwadzieścia jeden lat młodsze niż jego puszka. A zatem z pewnością musiały mieć coś wspólnego ze sprawą. To takie torebki, które naciąga się na głowę, żeby nie musieć patrzeć na twarze. W każdym razie to podpowiadało mu jego przeczucie, które, jak się potem okaże, było zupełnie słuszne.

## 39.

Szwedzcy policjanci dostali mnóstwo pochwał za swoją pracę przy identyfikacji ofiar tsunami. Jak najbardziej zasłużenie. Jeśli już na coś trzeba się było skarżyć, to raczej na to, że społeczeństwo, któremu policja ma przecież służyć, tak naprawdę nigdy nie poznało ani skali, ani trudów pracy, jaką policjanci wykonali w Tajlandii.

Te pięćset czterdzieści trzy ofiary, które udało się odnaleźć, zostały zidentyfikowane i wszystko przemawiało za tym, że odbyło się to niemal bez pomyłek. Oczywiście, po drodze zdarzały się jakieś błędy, dwa ciała zostały zamienione przy transporcie z Tajlandii do Szwecji, ale powtórne kontrole w ojczyźnie były bardzo rygorystyczne i zamianę natychmiast zauważono.

Jednak piętnastu szwedzkich obywateli dotychczas nie odnaleziono. W związku z tym, co się wydarzyło, prawdopodobieństwo, że nie żyją, jest ogromne. Zabrało ich morze, to samo morze, które stało się miejscem ich ostatniego spoczynku. Jednocześnie nie można również wykluczyć, że ta liczba może być zawyżona lub zaniżona.

Być może byli jacyś szwedzcy obywatele, którzy zamieszkali w Tajlandii na długo przed tsunami i których nigdy nie zgłoszono jako zaginionych, gdyż po prostu nie mieli rodziny w Szwecji i woleli żyć anonimowo w swojej nowej ojczyźnie. Albo odwrotnie. Może któraś z tych



piętnastu osób, które nie zostały odnalezione, ma się całkiem dobrze i po prostu skorzystała z okazji, żeby zmienić tożsamość i zacząć nowe życie.

Jednak większość znanych dotychczas informacji temu przeczy. Z tej zaginionej piętnastki dziesięcioro to dzieci, a pięcioro dorośli, którzy mieli jednego lub więcej krewnych przebywających z nimi w chwili katastrofy. Krewnych, którzy przeżyli. Wszystko razem przemawia za tym, że identyfikacja odnalezionych osób była prawidłowa, a ci, których wciąż nie odnaleziono – relatywnie mała liczba osób – nie żyją.

I jak zawsze w takich sytuacjach, zdarza się oczywiście wyjątek. Wyjątek, któremu szwedzka policja i wymiar sprawiedliwości nawet po latach poświęcą dużo więcej czasu niż wszystkim innym pojedynczym ofiarom tsunami.

Pracę prowadzono w dwóch miejscach. Częściowo w Tajlandii, gdzie zdarzyła się tragedia, częściowo w Szwecji, gdzie trzeba było zebrać informacje o zaginionych, potrzebne policjantom z Tajlandii do identyfikacji ciał.

Gdyby policzyć roboczogodziny dla poszczególnego miejsca, to praca w Szwecji wymagała dużo więcej nakładów niż praca w Tajlandii. Różnica dotyczyła jednak czego innego. Siedzenie przy własnym biurku i przeglądanie papierów to bowiem coś zupełnie innego niż pochylanie się w palącym słońcu w masce na twarzy i gumowych rękawiczkach nad pokiereszowanym ciałem, kolejnym w długim rzędzie, który zdaje się nie mieć końca. W najgorszym wypadku chodziło o wyrwanie zęba martwej osobie albo włożenie palców ofiary do wrzącej wody, aby spuchły, co ułatwia zabezpieczenie odcisków. W najlepszym razie wystarczyło zdjęcie ubrania z ofiary, aby znaleźć ewentualne znaki szczególne lub tatuaże. Jednak to też nie najłatwiejsze zadanie, kiedy słońce, słona woda i proces

rozkładu spowodowały już czernienie i napuchnięcie ciał niemal do podwójnej objętości.

To praca, z której większość z nas chętnie by zrezygnowała. Jednak zrobili to dla nas. Żeby za cenę własnego cierpienia ulżyć cierpieniu innych. Dlatego właśnie ci policjanci zasługują na szacunek, na naszą pamięć. Przejrzenie dokumentów, włożenie ich do odpowiedniej teczki i wysłanie dalej to nic takiego. To potrafi prawie każdy.

Ci, którzy padli ofiarą tsunami, byli zwykłymi, porządnymi ludźmi, którzy z rodzinami spędzali w Tajlandii Boże Narodzenie i Nowy Rok. Poza kilkoma małymi wyjątkami nie byli to ludzie, których można znaleźć w szwedzkich rejestrach policyjnych. Aby pokryć tę białą plamę, należało zebrać o nich informacje. Ogólne, jak płeć, wiek, wzrost, budowa ciała, kolor włosów, ale też wady wrodzone oraz znaki szczególne czy tatuaże. Poza tym informacje o cechach charakterystycznych, które ofiary nabyły w ciągu życia: nowe stawy biodrowe i kolanowe, rozruszniki, implanty piersi, blizny i zabliznienia po wypadkach, choroby, operacje, słowem wszystko to, co zostało odjęte, zastąpione czy dodane.

Dokumentacja stomatologiczna to oczywiście klasyk w tym prawdopodobnie najsmutniejszym kontekście, jakim jest śmierć często związana z niepewnością, kim była zmarła osoba. No i DNA. Kryterium, o którym w takich sytuacjach mówi się obecnie najczęściej, ale które sprawia też najczęściej zawodu. Często nie bierze się pod uwagę faktu, że upał w połączeniu ze słoną wodą niszczy DNA ofiary. W takich przypadkach trzeba używać innych metod, bardziej skomplikowanych niż pobranie wymazu, polegające na tym, że plastikową pałeczką, której jeden koniec pokryty jest bawełną, pociera się wewnętrzną stroną policzka osoby będącej przedmiotem badania.

Nierzadko DNA trzeba szukać w innych miejscach: we włosie, w miazdze zębowej albo w szpiku kości udowej ofiary, a czasami nawet w zwykłej szczoteczce do zębów czy szczotce do włosów, upewniając się jednak najpierw, że mają one związek z badaną ofiarą.

W ciągu kilku godzin na obszarze Khao Lak życie straciło ponad pięć tysięcy ludzi. Ponad dziesięć procent z nich to byli Szwedzi. Kiedy woda po fali powodziowej opadła, ciała były wyeksponowane na ostre promieniowanie słoneczne i trzydziestostopniowy upał. Setki ich leżały w ten sposób kilka dni, zanim zostały zebrane. Wiele ciał unoszących się na wodzie wśród stosów rupieci porwanych przez fale było tak zmasakrowanych, że trudno je było zidentyfikować, a nawet rozróżnić płeć. Była to ważna okoliczność, którą należało brać pod uwagę.

Gromadzony przez wiele dni i tygodni materiał sądowy, jeśli tak to można nazwać, przewożono do prowizorycznego centrum identyfikacji w Phuket. Tak to wtedy wyglądało, jednak w przypadku Jaidee Kunchai identyfikacja wydawała się i prostsza, i bezpieczniejsza niż w przypadku innych ofiar.

I właśnie to Nadia próbowała wyjaśnić zadowolonemu z siebie, a jednocześnie sceptycznie nastawionemu Bäckströmowi, kiedy spotkali się jeszcze raz w niedzielę po południu, aby przedyskutować prawdę aksjomatyczną, wedle której żaden człowiek nie może umrzeć więcej niż raz.

Ciało martwej Jaidee Kunchai znaleziono już w pierwszej dobie po tsunami. Leżała w sypialni pod łóżkiem, w domku, który wynajmowała wraz z mężem. Miała na sobie koszulę nocną, a na szyi charakterystyczny wisiołek, jadeit oprawiony w złoto, który jej matka zamówiła u jubilera w Bangkoku, by następnie podarować go córce jako prezent z okazji ukończenia studiów.

Osoby, które ją znalazły, to mąż i personel hotelowy. Wszyscy byli zgodni, że to właśnie ona. Również jej matka, która dwa dni później przyjechała do centrum identyfikacji zwłok do Phuket. Tam zabezpieczono jej DNA, które okazało się identyczne z tym, które siedem lat wcześniej zostawiła w Urzędzie Imigracyjnym w Szwecji.

– A jej dokumentacja dentystyczna – wtrącił Bäckström. – Dlaczego nikt nie sprawdził jej zębów?

– Czasami zupełnie cię nie rozumiem, Bäckström – powiedziała Nadia z nieukrywaną irytacją. – Jaidee Kunchai nie miała żadnej karty dentystycznej. Od dzieciństwa nie była u dentysty. Dlatego nasi policjanci nie mogli wysłać jej karty do Tajlandii. Czy to tak trudno zrozumieć?

– Ale to w niczym nie przeszkadzało, żeby ci w Tajlandii wzięli jej odciski zębów, mimo wszystko – odparł.

– Teraz to już się zaczynam o ciebie niepokoić, Bäckström – rzekła Nadia. – Co i z czym mieliby porównać?

– Przecież kartę dentystyczną mają wszyscy – powiedział Bäckström i wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej nie Jaidee Kunchai – odparła Nadia. – Lepiej przeczytaj te papiery, które ci dałam. Znajdziesz tam przesłuchanie przeprowadzone przez jednego z naszych policjantów, tu, w Szwecji, z jej koleżanką z pracy. Jaidee Kunchai nie miała ani własnego lekarza, ani żadnej karty dentystycznej. Zdziwiło ich to. W Szwecji na ogół wszyscy mają i jedno, i drugie. Dokładnie tak, jak powiedziałaś.

– A ta jej koleżanka z pracy co powiedziała?

– Że mówiło się o jej perfekcyjnych zębach. Podobno sama Jaidee o tym mówiła, kiedy ją pytali. Że nigdy, jako dorosła osoba, nie musiała iść do dentysty. Że nie miała ani próchnicy, ani nawet kamienia na zębach. A tym bardziej nie musiała nosić aparatu. Jaidee miała białe perfekcyjne zęby.

Dokładnie takie jak na zdjęciach, które dałam ci w teczce. Mam nadzieję, że je widziałeś.

– Tak, tak – powiedział Bäckström. – Obejrzałem je. Nie jestem wprawdzie dentystą, ale wydaje mi się, że jej zęby są dość podobne do tych, które były w naszej czaszce, znalezionej przez mojego małego sąsiada.

– Nigdy się nie poddajesz, prawda?

– Nigdy – odpowiedział Bäckström. – Ale też nie byłem w Khao Lak, więc nie mogłem obejrzeć zębów tej drugiej kobiety. Kimkolwiek była. Natomiast widziałem zdjęcia domku na plaży, który wynajęli. Kupa gruzu.

– Nie wykluczyłabym, że to my tu, w Szwecji, popełniliśmy jakiś błąd. Nie nasi policjanci w Tajlandii. Wszystko, co dotychczas widziałam, wskazuje na to, że to Jaidee skremowano w Tajlandii jedenaście lat temu. I chociażby z tego powodu nie mogła pojawić się na Przekłętej Wyspie.

– Tak. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko zbadać sprawę – odrzekł Bäckström i na wszelki wypadek spojrzął na zegarek. – Widzimy się jutro na zebraniu. Czy to miała być dziesiąta?

– Nie, to miała być dziewiąta.

– Dziewiąta, coś takiego – odparł Bäckström i uśmiechnął się. – Ale wiesz co, Nadia, myślę, że nie powinnaś rezygnować z pomysłu, że miała siostrę bliźniaczkę jednojajową. Faktycznie, im więcej cię słucham, tym bardziej przekonuję się do tej hipotezy. Choć od samego początku wydawała mi się wariacka. Jeśli dłużej będziesz przy niej obstawała, to może będziemy zmuszeni ją kupić... Oczywiście o ile wcześniej nie utoniemy w czystych fantazjach.

Nadia skinęła głową. Neutralne skinienie, które w pełni ją zadowalało, biorąc pod uwagę uczucia, jakie się w niej kotłowały.

Dziwny facet z tego Bäckströma, pomyślała. Pewnych rzeczy w ogóle nie słyszy. Na dobrą sprawę uprzedzenia to jego zdaniem nic innego jak wiedza, którą nie chcesz się dzielić z tymi, co nie znają prawdy. Czyli z tymi idiotami, którzy go otaczają.

Świat, w którym jej kolega, a zarazem szef żyje swoim własnym życiem, jest tak poukładany, że niezależnie od wszystkiego jego uprzedzenia oszczędzają mu drogocenny czas. A kiedy jeszcze udaje mu się je potwierdzić, to na dodatek przydają mu sławy jako wykrywaczowi sprawców morderstw.

Pozostaje jeszcze cała reszta, pomyślała Nadia Högberg z domu Iwanowna. To wszystko, co jest albo prawdą, albo fałszem. Ale czy teraz cokolwiek go to obchodzi?

## 40.

W poniedziałek 1 sierpnia Bäckström zwołał następne spotkanie swojej grupy dochodzeniowej. Teraz śledztwo dotyczyło popełnienia morderstwa, a nie podejrzenia o nie. Ofiara najpierw została zastrzelona, po czym sprawca ukrył ciało. Zwłoki zidentyfikowano, co było niezbędne, by śledztwo mogło ruszyć dalej. Problem z ustaleniem tożsamości był natomiast taki, że wszystko, co było z nią związane, przeczyło zdrowemu rozsądkowi i żeby mimo to móc ów problem rozwiązać, Bäckström zlecił Nadii, aby opowiedziała, na czym on w ogóle polega. Reakcje były dokładnie takie, jakich można się było spodziewać: przeróżne warianty tego samego, a mianowicie że nie można umrzeć więcej niż raz.

– Miło słyszeć, że chociaż w tym się zgadzamy – przerwał Bäckström. – Od czego to zależy, to już inna para kaloszy, ale poprosiłem Nadię, żeby nam to jakoś uporządkowała. Dlatego reszta może się zrelaksować. Spokojnie. Gdzieś popełniono błąd, ale Nadia na pewno go znajdzie.

– Co w takim razie mają teraz robić pozostali? – zapytała Annika.

– Oczywiście dowiedzieć się, kto ją zamordował – odpowiedział Bäckström z udawanym zdziwieniem. – Myślałem, że jesteśmy co do tego zgodni. Poza tym chciałbym, żeby Niemi opowiedział nam, co znaleźli na tej zapomnianej przez Boga wysepce na Mälaren.

– Dziękuję – odparł Peter Niemi, otworzył swój PowerPoint i wyświetlił na ścianie pierwsze zdjęcie. – Jeśli ktoś byłby ciekaw, to zamierzam zacząć w pewnym logicznym porządku. Najpierw zarośnięta ziemianka, potem to, jak wyglądała w środku, następnie zdjęcia tego, co w niej znaleźliśmy. A więc... tak wygląda z zewnątrz to, co kiedyś było ziemianką.

– O ile dobrze rozumiem, to nie wyście ją znaleźli – powiedziała Annika z emocją w głosie, kiedy zobaczyła na ekranie to zarośnięte wzniesienie. – Ja też jej nie widziałam, mimo że musiałam być tuż obok. Zdaje się, że to pies ją znalazł.

– Pomagaliśmy sobie nawzajem – odrzekł Niemi, który nie zamierzał jeszcze wdawać się w szczegóły dotyczące wkładu pastora Lindströma. – Wpadliśmy na pomysł, gdzie mogła leżeć, więc kiedy wysłaliśmy tam psa, dość szybko ją znalazł.

Po zdjęciach przedstawiających ziemiankę z zewnątrz przyszła kolej na te zrobione w środku. Wszystkie ręką Hernandeza.

W sumie Niemi pokazał trzydzieści zdjęć. Sześć przedstawiało ziemiankę na różnych etapach jej odkopywania, reszta – szczątki ofiary. Były jak puzzle, które pieczołowicie układali na rozstawionym stole. Kobieta leżąca na plecach, z rękami rozłożonymi wzdłuż tułowia i wyprostowanymi nogami. Odtworzona z całych kości oraz ich fragmentów.

W miejsce czaszki położono zdjęcie, czaszka bowiem wciąż jeszcze była w Linköping. Nad zdjęciem, tam gdzie powinno być ciemnie, przyczepiono kosmyki włosów i pojedyncze włosy, pod zdjęciem – resztki dolnej szczęki oraz kilka luźnych zębów.

– W ten sposób próbowaliśmy odtworzyć ciało. Nawet najmniejszy fragment kości staraliśmy się ułożyć we właściwym miejscu. Jak na



przykład tę kość żebrową – powiedział Niemi i pokazał ją wskaźnikiem laserowym.

– Wcale nie najgorsze puzzle – odparła Kristin Olsson. – Czy można zapytać, ile mają elementów?

– Oczywiście – odpowiedział Niemi i skinął głową z życzliwością. – Dorosła żyjąca osoba ma ponad dwieście kości. Nasza ofiara też by tyle miała, gdyby nie zwierzęta. Najwięcej tu nabroił lis, ale też myszy, szczury, a może nawet jakiś borsuk. Wygląda na to, że dobrały się do niej dość niedawno. Dlatego udało nam się zebrać więcej niż trzysta kości i ich fragmentów.

– Plus kilka zębów i trochę włosów – dodał Bäckström.

– Zgadza się – odparł Niemi. – Najmniejszy fragment kości, jaki znaleźliśmy, ma kilka milimetrów i waży mniej niż jeden gram. Największa kość to lewa kość udowa. Wydaje się w niezłym stanie, ma około czterdziestu centymetrów i waży prawie kilogram. Wyślemy ją do Linköping, żeby zobaczyć, czy ze szpiku będzie można pobrać próbkę do zbadania DNA.

– Pewnie chcecie się upewnić, że kość pochodzi z tego samego ciała co czaszka, czy tak? – zapytał Oleszkiewicz.

– Zgadza się – odpowiedział Niemi i skinął głową.

– Tak, bardzo dobrze – odrzekł Bäckström.

No to teraz Nadia będzie miała nad czym główkować, pomyślał. Jeszcze jedno DNA z tego samego trupa.

– Ale znaleźliście coś więcej niż tylko części ciała – powiedziała Annika. – Pamiętam, że wspomniałeś o jakiejś reklamówce z Lidla.

– Tak, leżała razem ze szczątkami. Tyle że Lidl otworzył się w Szwecji w dwa tysiące trzecim roku, więc musiała się tam znaleźć najwcześniej w tym samym roku.

- Czyli półtora roku przed tsunami – dodała Nadia.
- Czy to ma coś wspólnego z ofiarą? – zapytała Kristin.
- Wydaje mi się, że tak – powiedział Niemi. – A nawet jestem tego pewien.
- Jak to?
- Owinął jej torbę dookoła głowy, żeby krew się nie rozpryskiwała, kiedy do niej strzelał. Przy strzale w głowę często powstaje silne krwawienie, nawet po upływie kilku sekund. Pewnie nie chciał też patrzeć na jej twarz. Sprawca może ukryć twarz ofiary na wiele sposobów.
- Skąd pewność, że tak to wyglądało? – zapytała Annika.
- Dobre pytanie, Annika – pochwalił Niemi i pokazał zdjęcie reklamówki. – Mniej więcej dziesięć centymetrów od otworu znaleźliśmy ślady sznurka. Najpierw musiał założyć jej torbę na głowę, a potem obwiązał sznurkiem, zapewne na wysokości szyi. Sznurek owinął kilka razy i zacisnął. Jeśli się przyjrzeć, można zobaczyć ślady sznurka, choć na zdjęciu nie widać ich tak wyraźnie.
- Znaleźliście też sznurek – rzekła Annika.
- Jakies resztki – odpowiedział Niemi i pokazał następne zdjęcie z sześcioma małymi kawałkami sznurka, z których najdłuższy, co widać było na ułożonej przy nich miarce, mógł mieć około trzech centymetrów długości.
- Co to za sznurek? – spytała Nadia.
- Z tych grubszych. Nylon, plastik. Gdyby był z konopi czy z bawełny albo czegoś w tym rodzaju, to nie sądzę, żeby przetrwał. Ten kawałek też wysłaliśmy do Linköping i nie zdziwię się, jeśli będą w stanie określić, jakiej jest firmy.
- Mają tam specjalny dział od badania sznurków – zachichotał Bäckström.

– Na pewno. – Niemi też się roześmiał. – Taak, co my tu jeszcze mamy...

– Ktoś powiedział, że znalazłeś puszkę z kiełbaskami – rzekł Bäckström.  
– Zdaje się, że leżała w jakiejś torbie.

– Mam tu nawet jej zdjęcie – odparł Niemi. – I puszki, i torby.

– To przecież kiełbaski Buły – oznajmił Bäckström, który nie posiadał się wprost z zachwytu. – Kiełbaski piwne Buły. Nasz morderca musi być prawdziwym smakoszem.

– Ryzykując, że cię zawiodę, wyznam, że smak nie ma tu nic do rzeczy – powiedział Niemi.

– A dlaczegoż by nie? – zapytał Bäckström.

Muszę kupić parę puszek do domu, pomyślał. Ostatni raz jadłem je chyba, jak byłem smarkaczem.

– Puszka jest z początku lat osiemdziesiątych – wyjaśnił Niemi. – Myślę, że znalazła się w ziemiance jakieś dwadzieścia lat przed ciałem. Zostawił ją pewnie ktoś, kto był na wyspie. Może biwakował czy coś w tym rodzaju. Schował jedzenie w ziemiance, która wtedy nie była jeszcze tak zarośnięta i wejście było widoczne. Wątpię, żeby ktoś chciał schować jedzenie przy trupie.

– Jeśli jadasz kiełbaski piwne Buły, to takie rzeczy gównie cię obchodzą – zauważyła Annika. – Ale żarty na bok, Peter. Zgadzam się z tobą.

– Pewnie je także zamierzasz wysłać do Linköping – upewnił się Bäckström.

– Oczywiście – odpowiedział Niemi. – Już są w drodze: zarówno puszka, jak i torba. Wysłałem je, jak tylko się dowiedziałem, że mają tam specjalny dział do badania kiełbasek. Mieści się po sąsiedzku z działem do badania torebek plastikowych. W tym samym korytarzu, w którym urzędują eksperci od sznurków.

– Jeśli to kielbaski piwne Buły, to na pewno jeszcze można je zjeść – wtrącił Bäckström.

– I co teraz robimy? – zapytała Annika. – Oczywiście oprócz tego, że zadbamy, by Bäckström dostał swoje kielbaski.

– Zwyczajne śledztwo w sprawie o morderstwo – oznajmił Bäckström.

– W takim razie powinniśmy porozmawiać z Toivonenem, żeby włączyć prokuratora – powiedziała Annika.

– Tak. Niestety – westchnął Bäckström. – Zrób, co w twojej mocy, Annika. Spróbuj załatwić kogoś, kto będzie na tyle kumaty, by przynajmniej umiał zawiązać sznurowadła. A teraz – kontynuował – najwyższy czas na podsumowanie. Co o tym sądzicie?

Zaczynamy pojedynek mędrców, pomyślał Bäckström. W sam raz na pobudzenie apetytu przed lunchem.

– Ta niepewność, jeśli chodzi o tożsamość, trochę nam tu bruździ – stwierdziła Annika. – W każdym razie mnie to przeszkadza.

– Zapomnij o tym, przynajmniej na razie – poradziła Nadia.

– Czyli jest tak, jak to zwykle bywa – oceniła Annika. – Że zrobił to jej facet. Zwykle to faceci chowają ciało, by zyskać na czasie.

– Jeśli na razie to pominiemy – stwierdził Niemi i skinął z aprobatą na Nadie – skłaniam się ku tej samej opinii co Annika, choć całkowitej pewności mieć nie można. Jeżeli chodzi o tego typu morderstwa, statystyki mówią same za siebie. Jeśli mamy ofiarę płci żeńskiej, to na ogół sprawcą jest jej facet. Nawet na żaglówce na Mälaren, dziesięć lat temu.

– Po tsunami – dodał Bäckström, który najwyraźniej nie mógł się powstrzymać.

– Zdaniem lekarza sądowego, który był z nami na wyspie – informował dalej Niemi – zresztą kobiety znającej się na swoim fachu, mogło się to zdarzyć dużo później. Biorąc pod uwagę stan szczątków ofiary, od pięciu

do dziesięciu lat temu. Doszła do takich wniosków na podstawie miejsca, gdzie leżało ciało, i stanu kości. Bardziej może pięć lat temu niż dziesięć.

– Ale nie później – upewnił się Bäckström.

– Nie, w każdym razie według jej opinii. Urlop na żaglówce na Mälaren, kobieta i mężczyzna, którzy są razem, zaczynają się kłócić, kłótnia przeradza się w porządną awanturę i kończy tym, że facet zabija kobietę kulą w głowę ze starej strzelby, którą trzyma na łodzi. Mniej więcej tak – podsumował Niemi.

– Dlaczego zabiera ze sobą broń, skoro jadą na wakacje? – zapytała Kristin. – Rozumiem wędki czy inne tego typu rzeczy, ale strzelbę? Dziwne.

– Może żeby odstraszać mewy, które obsrywają łódkę – powiedział Niemi i uśmiechnął się życzliwie.

– Dlaczego mam poczucie, że nie ruszamy z miejsca? – rzekł Bäckström i się podniósł.

– Możliwe, że to z powodu twojego lunchu – odparła Nadia i też wstała.

## 41.

Po drodze do restauracji, która już na niego czekała, Bäckström zajrzał do Anniki.

Zamienię z nią jeszcze kilka słów, pomyślał, wkroczył do jej gabinetu i usiadł na krześle naprzeciw jej biurka.

– Ciekawe, dlaczego Nadia jest tak w gorącej wodzie kąpana – powiedział, przyglądając się swoim wypielęgnowanym paznokciom.

Żadnej żałoby za paznokciami. Nie tak dawno miał u siebie małą Syryjkę, która zajęła się tą częścią jego ciała. Oczywiście w przerwie między owijaniem go w ciepłe ręczniki a wyciskaniem wągrów.

– Nic dziwnego. Te problemy z identyfikacją mnie też przeszkadzają. I to bardzo, szczerze mówiąc.

– Nie do końca rozumiem dlaczego – rzekł Bäckström. – Jest tak, jak powiedziałaś. Ktoś tu musiał nabruździć. Ale takie rzeczy ciągle się zdarzają. Damy sobie z tym radę.

– Nie jestem tego taka pewna – odpowiedziała Annika i pokręciła głową.  
– Nie po tym, jak przejrzałam dokumentację. Wierzę raczej w to, co jest w papierach. Że Jaidee Kunchai zginęła w tsunami.

– Oczywiście – odparł Bäckström – a potem pojechała do Szwecji, została zastrzelona i schowana w starej ziemiance na wyspie na Mälaren. To

wyjatkowo interesująca hipoteza. A może wezwiemy arcybiskupa jako eksperta w tych sprawach, co ty na to?

– Tego nie powiedziałam. Natomiast myślę, że osoba, którą znaleźliśmy, to zupełnie inna kobieta. Możliwe, że pochodzi z Tajlandii.

– Która przypadkowo ma to samo DNA co Jaidee Kunchai – powiedział Bäckström i zachichotał. – Jeszcze jeden pasjonujący pomysł. Niezwykle pasjonujący.

– W takim razie jakie jest twoje zdanie, Bäckström?

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale myślę, że to się jakoś rozwiąże. Jest jednak inna rzecz, która mnie niepokoi. I to bardzo, muszę przyznać.

– Co takiego?

– Że Niemi tak lekceważy tę puszkę. Nie pojmuję tego. Jak może ją tak ignorować?

– Taak, rozumiem, o co ci chodzi – rzekła Annika. – Po prostu uwielbiasz kielbaski Buły. Mimo że to sama wieprzowina i jeśli ktoś tu powinien uważać z jedzeniem takich rzeczy, to właśnie ty, Bäckström. Mówię to z troski.

– Nie o kielbasie myślałem – wyjaśnił.

– Nie? W takim razie o czym?

– O samej puszcze. Coś mi mówi, że może być kluczem do rozwiązania tej sprawy.

– Puszka z kielbaskami Buły? Ona ma być rozwiązaniem naszej sprawy?

– Właśnie tak – potwierdził Bäckström i wstał z krzesła.

– A może byś tak spisał te swoje teorie i włożył do jakiejś tajemnej koperty, którą potem zakleisz liźnięciem, co? Tak jak to robi ten tłusty profesorek w tym swoim programie *Zbrodnia tygodnia*. A potem, kiedy ją wszyscy otworzymy, zobaczymy, czy miałeś rację.

– Nawet o tym nie marzę – powiedział Bäckström i pokręcił głową. – Ten facet jest zupełnie szalony. Nigdy nie przyszło ci do głowy, dlaczego nie otwiera tych swoich tajemnych kopert? Skoro ma w nich odpowiedź.

– Jakoś nie.

Faktycznie nie, kiedy teraz sobie to uświadomiła.

– No właśnie – rzekł Bäckström. – Bo to zupełny szarlatan, jeśli chcesz znać moje zdanie. I mówię ci to dlatego, że wiem. Nie pytaj skąd, ale nawet teraz to przed sobą widzę.

– Czy ty się, przypadkiem, nie czujesz źle? – zapytała Annika. – Albo może wypięś o jeden kieliszek za dużo do tego swojego śmiernionego śniadania, którym się co rano opychasz?

– Absolutnie nie – powiedział Bäckström. – Czuję się świetnie. Chcę się tylko upewnić, że nie zapomnisz o puszcze Buły.

– To miło z twojej strony – odparła Annika. – Coś mi się wydaje, że musiałeś mieć chyba jakiś wylew, udar... Ale oczywiście nic się nie martw. Obiecuję, że nie zapomnę o tej twojej ukochanej puszcze z kiełbasą.

I znów jest sobą, pomyślała Annika i spojrzała, jak Bäckström wychodzi z jej pokoju. Czasami wręcz obrzydliwym sobą. Tyle razy to, co mówił, wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, a potem okazywało się, że miał jednak rację.



## 42.

W restauracji Opera Bäckström zjadł na lunch peklowany mostek wołowy. Spędził tam więcej czasu niż zwykle, bo nagle wróciły wszystkie wspomnienia z dzieciństwa. Podniosłe myśli krążyły wokół tych przyjemnych obrazów z przeszłości. Żeby dotrzymać im towarzystwa, popijał do kawy kolejny kieliszek koniaku. Wspomnienia obudziła w nim puszka kiełbasek Buły.

Nie tamta mała, znaleziona przez Niemiego, w której było zaledwie osiem krótkich kiełbasek, ale duża, z czterdziestoma kiełbaskami normalnego rozmiaru. Poza tym, a wiedział to każdy smakosz i znawca kiełbasek Buły, kiełbaski z dużej puszki były dużo smaczniejsze. Miały bardziej zbalansowaną słoność, mocniejszy wywar, bardziej sprężystą skórkę. Oprócz tego, jak już wspomniano, kiełbaski z dużej puszki były znacznie dłuższe, a ponieważ ich rozmiar nie wpływał na cenę, to za niewielkie pieniądze dostawało się po prostu więcej smaczniejszych kiełbasek.

Podobnie jak Niemiemu, Bäckströmowi nie chodziło ani o kiełbaski jako takie, ani o doznania smakowe, choć te zawsze sprawiały mu dużą przyjemność. Wspomnienia obudzone do życia za pomocą rzeczy znalezionej podczas zwykłego śledztwa miały jeszcze inny, dużo wyższy i głębszy wymiar. Dotyczyły bowiem pewnego obiadu, który Bäckström

jadł ze swoim ojcem, Johannesem Bäckströmem, zalkoholizowanym posterunkowym i zarządcą aresztu na posterunku w Marii na Söder w Sztokholmie.

Zresztą było to jedyne dobre wspomnienie, jakie miał o ojcu. To właśnie wtedy jedli razem kielbaski piwne Buły. Domowej roboty piure z ziemniaków i kielbaski z dużej puszki. Zupełnie niezły posiłek, pomyślał Bäckström i popił odrobinę koniaku. Kielbaski piwne Buły były mostem łączącym generacje, nawet między nim, a miał wtedy prawie trzynaście lat, a jego ojcem, który jesienią tamtego roku skończyłby pięćdziesiąt pięć lat, gdyby nie umarł po jakiejś pijatyce miesiąc przed swoimi urodzinami.

Tamtego dnia tata wrócił z pracy z kielbaskami piwnymi Buły i wódką w litrowej butelce. Zwariowanej matki Bäckströma jak zwykle nie było w domu, więc sami sobie przygotowali obiad. Podczas gdy tata Bäckström poluzował krawat, przeczytał gazetę, nakrył do stołu, nalał sobie czegoś mocniejszego na tak zwane pobudzenie apetytu i w końcu zagrzeł puszkę z kielbaskami bezpośrednio na palniku kuchennym, jego syn ugotował kartofle i zrobił z nich piure. Swój wysiłek ukoronował, dolewając całą tłustą śmietaną, która stała w lodówce, i dodając żółtek z czterech jaj, które znalazł w spizarni. Nie wspominając o dodaniu soli, pieprzu i gałki muszkatołowej. Wszystko smakowało jak trzeba, i co do tego zarówno ojciec, jak i syn byli zgodni.

Ojciec zaserwował sobie jeszcze jeden kieliszek na pobudzenie apetytu i założył pod szyję starą ścierkę kuchenną, żeby nie ubrudzić służbowej koszuli. Potem nalał sobie kolejny kieliszek, pierwszy do głównego posiłku, i posmakował piure z ziemniaków przyrządzonego przez syna.

– Sprężyste i dobrze doprawione – powiedział tata Bäckström, skinął głową z aprobatą i prosto z puszki nałożył sobie sześć kielbasek. – Uważaj, chłopaku, żebyś nie został kucharzem. Dużo pedałów w tym zawodzie.

Prawie tyle samo co w marynarce – stwierdził stary Bäckström, były komendant straży w Svea, a obecnie zwykły posterunkowy. – To nie przypadek, że ten Kaczor Donald gania bez gaci. Chyba wiesz, o czym mówię – dodał.

– Dziękuję, tato. Kielbaski też były dobre – odparł Evert Bäckström.

– Tego by jeszcze brakowało – odchrząknął ojciec. – Przecież to kielbaski Buły. Nie ma lepszych.

– Czy tata je kupił u handlarza na Gögatan? Nie wiedziałem, że ma duże puszeki.

Jak taką można zwędzić ze sklepu, nie robiąc z siebie cygana, pomyślał.

– Konfiskata – powiedział ojciec i skinął ciężko głową. – Jakiś pijus. Z Kramfors w Norrlandii. Pod koniec dyżuru zgarnęli go na Centralen i przywieźli na posterunek. Z litrem wódki i dużą puszką kiełbasek.

I drugą flaszką gorzały, którą wypił jeszcze w pociągu.

– A po co tu przyjechał? – zapytał Bäckström. – Skoro był pijany, zanim jeszcze wysiadł z pociągu.

– Ci cholerni Lapońcy – westchnął tata Bäckström i pokręcił głową. – Są niemożliwi. Coś gadał, że jedzie do jakiejś starej ciotki, która ma dziewięćdziesiąt lat. Z puszką kiełbasek i litrem gorzały. Sam widzisz, co to za głupoty. W ogóle nieprawdopodobne. Poza tym nawet nie szło zrozumieć, co on bredzi.

– Na pewno kłamał – dodał Evert.

– Niech mnie szlag trafi, ale babina mieszka w Lulei – powiedział stary Bäckström. – Skurczybyk pomylił pociągi, prosta sprawa. Jak sam już będziesz policjantem, pamiętaj, że cokolwiek zrobisz, zawsze znajdzie się jakiś paragraf. Przecież to grzech śmiertelny wylewać zarekwirowaną gorzałę. Schowaj ją w szafie. No i pamiętaj, żeby zawsze mieć porządną

teczkę, jak idziesz rano do roboty, żeby potem mieć w czym przynieść flaszkę do domu.

– Ma się rozumieć – odrzekł Bäckström. – Ale z tym paragrafem to do końca nie wiem, o co ojcu chodzi. Wytłumaczy mi tata?

– No pomyśl, chłopaku, jak można do dziewięćdziesięcioletniej babiny jechać z puszką kiełbasek i litrem gorzały. Czy da się w to uwierzyć? To typowa konfiskata, jeśli chcesz wiedzieć. Poza tym istnieje jasny związek między wódką a kiełbasą. W tym przypadku, ma się rozumieć.

– Nie wiedziałem, że kiełbasę też można zabrać do domu – powiedział Bäckström. – Że wódkę to tak. Ale kiełbasę?

– Jasne, że można – odpowiedział stary Bäckström. – Jeśli mają tak ścisły związek jak tutaj. Przecież kiełbasa to tylko zagrycha, rozumiesz? Nie skonfiskować jej to jakby popierać pijaństwo.

– No tak. To jasne.

– Jasne jak kiełbasiany wywar Buły – powiedział tata Bäckström, skinął głową i beknął. – A ty, zdaje się, niedługo będziesz miał piętnastkę na karku, tak?

– Tak – odparł Evert.

Trzynaście, jeśli już być drobiazgowym, pomyślał.

– W takim razie przynieś kieliszek – polecił tata Bäckström i machnął ręką w kierunku kredensu. – Najwyższy czas, żebyś też się napił.

Napełnił oba kieliszki. Spojrzał poważnie na syna i uniósł swój na wysokość guzika przy kołnierzu.

– To ważne, żeby nauczyć się pić, jak należy, żeby potem nie mieć problemów z pijaństwem – tłumaczył. – A teraz popatrz mi w oczy i powiedz szczerze, Evert. To twój pierwszy kieliszek?

– Tak – skłamał Bäckström i skinął głową. – Zupełnie szczerze, tato. Słowo honoru. Jeszcze nigdy nie wypilem ani kropli.

– Niech mnie szlag trafi – odrzekł ojciec z uczuciem. – Twoja matka to sobie lubi popić. Podbiera z butelek własnego męża. A przecież dostała ode mnie likier bananowy na urodziny i porto na Boże Narodzenie.

– Tak, mama popija całkiem niemało, niestety – potwierdził i zmarszczył czoło w zatroskaniu. – Ale jestem ciekaw jednej rzeczy.

– No, słucham?

– Dlaczego zakłada gumkę na butelkę? W miejscu, do którego upiła. Przecież jak ktoś podkradnie jej likieru, to i tak obniży gumkę do miejsca, do którego sam wypił.

– Tak, jakimś wielkim myślicielem to ona nigdy nie była – westchnął tata Bäckström. – Ja rysuję kreskę na etykiecie i prosta sprawa. No, to przy okazji czegoś się nauczyłeś.

– Dzięki, tato – odrzekł Evert i podniósł swój kieliszek. – Duże dzięki, że mi tata zaufał.

– Na zdrowie, synu! – Stary Bäckström wzniósł toast i wypił do dna.

Jego syn był bardziej przebiegły. Najpierw napił się trochę, i żeby być bardziej wiarygodnym, skrzywił się z obrzydzeniem.

– Przywykniesz, Evert, przywykniesz – powiedział do syna i poklepał go po ramieniu.

Już nigdy potem tak bardzo się nie zbliżyli, pomyślał Bäckström i westchnął głęboko, siedząc w swoim skórzanym fotelu, w którym siedział też prawie pół wieku wcześniej. To jedyny obiad zjedzony razem, który się liczył. Kielbaski piwne Buły i jego własne, domowej roboty piure ziemniaczane. Jedyny kieliszek wódki w jego życiu, jaki zaproponował mu ojciec, a cały obiad żywo przywodził na myśl cudowne rozmnożenie chleba i ryb. Te wszystkie kreski, które rysował na butelkach tego starego pijusa. Smarkacz, który ledwo umiał liczyć, podglądał jednym okiem, gdzie ojciec chowa ostatnią butelkę. I ta jego szalona matka z tymi swoimi gumkami.

I te wszystkie razy, kiedy na jej butelkę zakładał dodatkową gumkę, żeby jeszcze bardziej namieszać jej w głowie.

Stare dobre wspomnienia, wspomnienia z dzieciństwa, pomyślał Bäckström i westchnął po raz kolejny. To wszystko, co naopowiadał Ance – o puszcze z kiełbaskami i jej decydującym znaczeniu dla rozwikłania śledztwa – to czyste brednie. Powiedział to jedynie po to, żeby miała nad czym pogłówkować. W jakichś pojedynczych przypadkach to, co mówił, mogło być bliskie prawdy, a wtedy, w zależności od usposobienia obserwatora, albo go obwoływano geniuszem, albo uważano za jasnowidza. Najczęściej jednak to, co mówił, nie sprawdzało się, lecz wówczas i tak już nikt tego nie pamiętał.

Nawet ten Finol Niemi musi mieć kiedyś rację, pomyślał Bäckström, nie mając jeszcze zielonego pojęcia, jak bardzo się myli.

## 43.

Ktoś musiał popełnić błąd – albo w Tajlandii, albo tu, w Szwecji, i dopóki Nadia się tego nie dowie, Annika i jej trzech współpracownicy jakby nigdy nic będą musieli pracować nad tym, co mają. Muszą zebrać wszystkie możliwe informacje o Jaidee Kunchai i jej mężu Danielu Johnsonie, żeby przynajmniej wykluczyć to, że popełnili błąd w związku ze znaleziskiem na Przeklętej Wyspie.

– Mądrze – powiedział Bäckström, który właśnie tego dnia postanowił zrobić krótki briefing w gabinecie Anniki. – Sprawcami są zawsze mężowie. Pieprzcie inne możliwości, rozwiążemy to jakoś.

– Nie byłabym taka pewna – odparła Annika. – Jakoś tym razem tego nie czuję.

– A co, może uważasz, że akurat ten egzemplarz pogrążonego w smutku wdowca był za bardzo zrozpaczony? – zachichotał Bäckström.

– To też, ale i wszystko inne – powiedziała i znacząco wzruszyła ramionami.

– A jaki miał wybór? – rzekł Bäckström. – Gdyby nie zaryzykował, to ten stary piernik z Komendy Głównej by się domyślił.

– Masz na myśli Stiga Anderssona, tego, który go przesłuchiwał w Tajlandii?

– Tego samego – potwierdził Bäckström. – Jego i wszystkich innych idiotów, którzy tam byli. Wy tłumacz mi, w jaki sposób mogła się znaleźć na wyspie? Nie wiadomo kiedy, ale z pewnością wiele lat po tym, jak zginęła w tsunami...

– A może to nie ona – podsunęła Annika. – Nigdy ci to nie przyszło do głowy?

– Oczywiście, że to ona. Poza tym jest na to dużo prostsze wytłumaczenie.

– Zapisz to na kartce i włóż do koperty. Obiecuję, że nie będę podglądać.

– Może po prostu sama pomyśl – odpowiedział Bäckström. – A teraz coś zupełnie innego.

– Tak?

– Prokurator. Co słyhać na tej linii?

W porządku, zdaniem Anniki. Rozmawiała z Toivonenem, który z kolei rozmawiał z prokuraturą, która przydzieliła im prokuratora już w poniedziałek, zaraz po spotkaniu z grupą śledczą.

– Kto to jest?

– Nie znam – powiedziała Annika i pokręciła głową. – Nazywa się Hanna Hwass. Przez h i w. Oskarżyciel posiłkowy, pracowała w Wydziale do Walki z Przestępczością Gospodarczą. Rozmawiałam z nią przez telefon. Chyba w porządku.

– Co wie o naszym wydziale? – zapytał Bäckström.

– Prawdopodobnie nic, jak się domyślam.

– To dobrze, naprawdę – stwierdził Bäckström. – Przy odrobinie szczęścia może przydzielili nam zwykłego przeciętniaka, który nie będzie się wtrącał.

– Miejmy nadzieję. Dałam jej potrzebne dokumenty. Poza tym Nadia z nią rozmawiała o naszym problemie z identyfikacją ofiary.



- Kiedy chce się z nami spotkać?
- Jutro po południu, o drugiej.
- A dlaczego nie przed południem? – westchnął Bäckström.  
Żeby człowiek nawet nie miał czasu porządnie zjeść, pomyślał.
- Nie może wcześniej. Przed południem jest w sądzie. Próbowałam, więc nie myśl, że chcę ci zrobić na złość.
- Jak nie urok, to sraczka – Bäckström ponownie westchnął i się podniósł.
- Jeszcze jedno, zanim znikniesz – powiedziała Annika. – Myślałam o tym jej mężu...
- I co z nim?
- Wydaje się, że to bardzo zły człowiek, jeśli wierzyć w to, co mówisz. Jego pomysłowość nie zna granic. Według ciebie tsunami też zaplanował?
- Nigdy tego nie powiedziałem.
- Miło słyszeć – odparła i się uśmiechnęła.
- Przemyśl to, Annika – zasugerował Bäckström i zatrzymał się w drzwiach. – I nie kombinuj za dużo.
- Mądre słowa z ust mędrca – zawyrokowała Annika. – Czy mogę je zapisać?
- Nie bądź dziecinna – odrzekł Bäckström, potrząsnął głową i skierował się do wyjścia. – Po prostu przemyśl to.

## 44.

Hanna Hwass była niską, korpulentną kobietą w nieokreślonym wieku. Miała krótko ostrzyżone popielatoblond włosy. Niebieską marynarkę, białą bluzkę, niebieskie spodnie, niebieskie czółenka na niewysokich obcasach. Marynarka niepokojąco opinała jej ciało, bluzka rozchyłała się między guzikami, kiedy tylko usiadła, a spodnie marszczyły się na kantach.

Nosiła okulary w metalowych oprawkach i przyklejony uprzejmy uśmiech. Mówiła wolno i wyraźnie, ważąc każde słowo, zanim to wyszło z jej wąskich ust. Pierwsze wrażenie, jakie zrobiła na grupie dochodzeniowej na spotkaniu w środę po południu, 3 sierpnia, można najprościej opisać jako piorunujące. Miało się ono nijak do ich wyobrażenia o tym, jaki powinien być prokurator, i niewiele było trzeba, żeby ich bliska i pozbawiona zakłóceń współpraca zamieniła się w walkę na śmierć i życie. Jeden prokurator przeciwko siedmiu policjantom i analitykom to walka, która powinna się rozstrzygnąć już na samym początku. Ale nie tym razem, jak się wkrótce miało okazać.

Dobry prokurator to taki, który robi to, co mu powie policja. Który nie wtrąca się w pracę, o której nie ma zielonego pojęcia, tylko organizuje środki przymusu potrzebne do złapania przestępcy. Niezależnie od tego, czy dotyczy to kontroli rozmów telefonicznych, ukrytych podsłuchów, rewizji,

konfiskaty, czy doprowadzenia na przesłuchanie bez uprzedniego wezwania. Tak Bäckström i pozostali policjanci wyobrażali sobie dobrego prokuratora, tymczasem jeśli chodziło o Hannę Hwass, to zawiodła ona ich nadzieje na zwykłego przeciętniaka.

I oskarżyciel posiłkowy Hwass nie potrzebowała więcej niż pięć minut wprowadzenia na swoim pierwszym spotkaniu z grupą dochodzeniową, żeby ich w tym utwierdzić. Prokurator Hwass nadzorowała postępowanie śledcze nie tylko formalnie, ale także w praktycznym tego słowa znaczeniu. „Zarówno z nazwy, jak i z działania”, uściśliła i uśmiechnęła się uprzejmie w kierunku siedmiorga policjantów i analityków cywilnych, którzy razem z nią siedzieli w pokoju. Tak postrzegała swoją rolę, zresztą zgodnie z przepisami, a w swojej piętnastoletniej karierze prokuratora zawsze się nimi kierowała.

Poza tym była gorącą zwolenniczką ustalonych reguł pracy i sprawnego przepływu informacji. A także ustalonych według grafiku spotkań z zespołem dochodzeniowym w każdy poniedziałek i piątek po południu, by dyskutować o bieżących sprawach i planować nowe działania. Wszelkie informacje chciała dostawać drogą mailową, „do dokumentacji”, co nie przeszkadzało, aby natychmiast ustnie ją informować w sprawach „bardzo pilnych albo”, jak to określiła, „kiedy leżało to w naturze rzeczy”.

– Miło cię poznać, Hanna – powiedział Bäckström, uśmiechnął się jowialnie i skinął głową w jej kierunku. – Jesteś nowa wśród nas, ale czekaliśmy na ciebie niecierpliwie. Słyszeliśmy o tobie dużo dobrego.

Co za wyjątkowo tłusta, stara i złośliwa baba, pomyślał Bäckström, zapominając, że on sam waży dwa razy więcej i jest przynajmniej dziesięć lat od niej starszy. Nie dość, że chciała zniszczyć mu życie tylko dlatego, że jego mały sąsiad znalazł czaszkę na wyspie, to jeszcze była tak brzydka, iż

zaburzało to zarówno jego spokój ducha, jak i jego trawienie. I tak oto zaczęła kopać swój własny grób, pomyślał.

– Dziękuję, Bäckström. To miłe – odpowiedziała Hanna Hwass i zrobiła taką minę, jakby to była prawda. – Z Nadią i Anniką już rozmawiałam przez telefon i o ile dobrze zrozumiałam, mamy problem, który musimy rozwiązać, zanim ruszymy do przodu. Mam tu, oczywiście, na myśli trudności z identyfikacją naszej ofiary.

– Tak, nas też to zbiło z tropu – odparł Bäckström, po czym jednocześnie westchnął i potrząsnął głową, żeby jeszcze bardziej podkreślić swoje słowa. – Ciekawie byłoby usłyszeć, co ty sądzisz o tym całym bałaganie – dodał i na wszelki wypadek jeszcze raz westchnął.

Prokurator Hwass zaczęła ogólne rozważania. Problemy są po to, żeby je rozwiązywać, a w swoim świecie ona zawsze traktowała je jako ekscytujące wyzwania. Zapoznawszy się z informacjami, które dostała, zaczęła budować sobie własne wyobrażenie o sprawie.

Fakt, że natychmiast zidentyfikowano Jaidee Kunchai, świadczył o tym, że to właśnie ona zginęła. Została znaleziona w domku, który wynajęli razem z mężem, ubranie i biżuteria, które miała na sobie, zgadzały się, krewni i personel hotelowy ją rozpoznali, do niej należało też DNA zabezpieczone w Tajlandii, gdzie zginęła.

W związku z tym, że już pięć dni później została skremowana w swoim rodzinnym mieście, Bangkoku – co było udokumentowane aktem zgonu, fakturą oraz protokołem wydanym przez firmę pogrzebową, która zajęła się zarówno transportem ciała, jak i ceremonią pogrzebową – wniosek ten był całkiem logiczny. Ciało, znalezione na Przeklętej Wyspie, nie mogło należeć do Jaidee Kunchai. To musiała być jakaś inna kobieta. Prawdopodobnie również pochodzenia azjatyckiego, jak wskazywała ekspertyza osteologiczna.

– Miło, że to mówisz – powiedział Bäckström, odchylił się do tyłu, skierował wzrok w sufit, ułożył palce w łuk i pokiwał głową w zamyśleniu.  
– Najwyższy czas zagrać kartą religijną – kontynuował i znów pokiwał głową. – Dla mnie, jako osoby wierzącej, trudno sobie wyobrazić jakieś inne wytłumaczenie.

– Nie rozumiem – powiedziała Hwass, której trudno było ukryć zdziwienie.

– Przecież nikt, na zdrowy rozum, nie może umrzeć dwa razy – wyjaśnił Bäckström. – W każdym razie nie według mojej wiary.

Ta diablica wciąż się uśmiecha, chociaż już znacznie mniej pewnie, pomyślał.

– Z całym szacunkiem dla twojej wiary, Bäckström – zaczęła Hwass – wydaje mi się, że w tym wypadku wystarczy zdrowy rozsądek.

– Więc jak to rozwiążemy? – zapytał Bäckström. – Jaką drogą mamy iść? Może ty nam ją wskażesz?

– Po pierwsze, musimy na nowo pobrać DNA – odpowiedziała Hwass. – To absolutnie konieczne. Szczerze mówiąc, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że przysłali nam błędne DNA.

– Już wysłaliśmy do zbadania – poinformował Niemi bez wchodzenia w zbędne szczegóły.

Z tej Hwass nie jest żadna żyłeta, pomyślał Niemi. Takie samo wrażenie odniosła Nadia, sądząc po jej wyrazie twarzy.

– To wspaniale – odparł Bäckström. – Musimy teraz ich tylko trochę pogonić w tym Linköping.

– Rozumiem, że to musi zająć trochę czasu – powiedziała Hwass.

– Miesiące... – westchnął Bäckström. – Mimo że chodzi tu o morderstwo. W dodatku morderstwo młodej kobiety.

Hwass była oczywiście świadoma powagi sytuacji i jeśli tylko będą potrzebować jej pomocy, żeby sprawę przyśpieszyć, wystarczy powiedzieć. Czekając na odpowiedź z Linköping, należało niezwłocznie zająć się innymi rzeczami.

– A dokładnie? – zapytał Bäckström.

Jeszcze bardziej sztywny uśmiezek, pomyślał.

– A więc... gdzieś podczas sporządzania rejestrów musiała zajść jakaś pomyłka. Takie rzeczy się zdarzają, to nie pierwszy raz. Mnie samej też to się zdarzyło kilkakrotnie. Mylono albo zamieniano odciski palców, DNA, a nawet zwykłe badanie krwi. Musimy po prostu porozmawiać z osobami, które były odpowiedzialne za listę ofiar, i to zarówno w Centralnym Laboratorium Kryminalistyki, jak i w Urzędzie Imigracyjnym. No i oczywiście z ludźmi z Komendy Głównej. Do starych papierów, które latami leżą w archiwach, nigdy nie miałam słabości.

– To też jest w trakcie załatwiania – wtrąciła Nadia.

Ciekawe, co z nią jest nie tak, pomyślała. To musi być coś więcej niż tylko to, że jest głupia.

– Ach, to wspaniale – stwierdziła Hanna Hwass. – A więc „gaz do dechy”, jak to wy, policjanci, lubicie mawiać. Aha, jeszcze jedno, zanim zapomnę. Następne spotkanie dopiero w poniedziałek. W piątek jestem zajęta. Mamy pożegnanie mojego szefa, odchodzi na emeryturę.

– To przykre – powiedział Bäckström. – Oczywiście nie dlatego, że będziesz miała przyjęcie pożegnalne, tylko że się nie zobaczymy.

Czasami trzeba się zadowolić tym, co się ma, pomyślał.

– Zrozumiałam, ale nie martw się, Bäckström. Czy są jakieś pytania, zanim się pożegnamy?

Nikt nie miał pytań. Cała ósemka, która siedziała w pokoju, potrząsnęła tylko głowami.

Szeregi już zwarte, pomyślał Bäckström z zadowoleniem, odprowadzając ich nową prokurator do samej windy, by upewnić się, że opuściła budynek.

– Okej – powiedział Bäckström dwie minuty później, kiedy wrócił do pokoju zebrań i zamknął za sobą drzwi. – A więc mamy na karku prokurator, która najwyraźniej ma nie po kolei w głowie. I co z tym zrobimy, Niemi?

– Wcześniej czy później musiało się to zdarzyć – odparł Niemi. – Teraz padło na nas. Przecież to wszystko, o czym mówiła, już dawno jest w trakcie załatwiania. Do poniedziałku mamy ją z głowy. Poza tym będę się widział z Toivonenem w innej sprawie, więc z nim pogadam. W cztery oczy.

– Dzięki – rzekł Bäckström.

Nawet ten Finol się przyłączył, pomyślał.

– Jeśli chcecie posłuchać, to mam pewne przemyślenia na jej temat – oznajmił Niemi.

– Nie miałem pojęcia, że jesteś też psychiatrą – skwitował Bäckström.

To musi być coś, czego nauczyli go na tym uniwersytecie w Haparandze, pomyślał.

– W Wydziale do Walki z Przestępczością Gospodarczą, w którym pracowała, prokurator, ekonomiści i księgowi zawsze się szarogęsili – powiedział Niemi. – Wychodzili z założenia, że tacy prości policjanci jak my mają robić to, co im się powie.

– Zupełnie inna kultura pracy – odpowiedział Stigson i zachichotał.

– Coś w tym rodzaju – zgodził się Niemi.

– Wracam do siebie – odparła Nadia, podniosła się i zabrała swoje papiery.

– Żeby znaleźć ukojenie na rosyjską modłę – wtrącił Bäckström.

– Żebyś wiedział – przytaknęła. – Wyobrazić sobie lasy brzozowe w mojej starej ojczyźnie. Ogromne, ciągnące się bez końca.

– Wiesz co, Nadia – rzekła Annika. – Mamy zwariowaną prokurator na karku, ale to jeszcze nie koniec świata... I jeśli nie da się inaczej, to obiecuję, że osobiście wytargam ją za uszy. A tak z ciekawości, nigdy o niej nie słyszałam. Czy ktoś z was spotkał ją wcześniej?

– Ja – powiedział Oleszkiewicz. – Była moją nauczycielką, kiedy studiowałem prawo.

– I jaka była? – zapytała Kristin.

– Zupełnie w porządku, tak przynajmniej wtedy uważali. Miała podejście, była rzeczowa, pragmatyczna.

– To ty studiowałeś prawo... Ole...?

– Przez dwa z, szefie – powiedział Oleszkiewicz i uśmiechnął się szeroko. – Przez dwa z.

– No to co ty tu robisz, skoro studiowałeś prawo? – zapytał Bäckström.

Mój własny Judasz Iskariota, mimo że mam tylko siedmiu uczniów, pomyślał.

– Zawsze chciałem być policjantem – pochwalił się Oleszkiewicz. – A jeśli Hwass jako nasza szefowa chciałaby wiedzieć, to nie byłem nią tak zachwycony jak inni, którzy studiowali ze mną na roku.

– Dlaczego?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, uważałem, że jest zbyt zadufana w sobie. Po prostu brakowało jej pokory i szacunku dla innych. Pewnym ludziom brakuje czegoś w rodzaju antenek, czułek, radarów. I ona do nich należała. Po drugie, uważam, że unikała problemów. Są rzeczy trudne, których nie możesz rozwiązać, upraszczając je tak, by stały się dla ciebie zrozumiałe. Traci się wtedy ich prawdziwe znaczenie.

Bäckström pokiwał głową.



Może nie jest taki beznadziejny, pomyślał.

## 45.

Nadia nie szukała pocieszenia ani w rosyjskich lasach brzozowych, ani w narodowym trunku. Kiedy tylko wróciła do swojego gabinetu, chwyciła za telefon i zadzwoniła do znajomego z Komendy Głównej, żeby poprosić o pomoc w kilku praktycznych sprawach, które trzeba było wyjaśnić w Tajlandii. Nie mogła tego zrobić tu, na miejscu, i to niezależnie od tego, ile dokumentacji zebrała.

– No wiesz, zwykła dyskretna przysługa, jak to między kolegami – wyjaśniła. – Jeśli miałabym to zrobić drogą oficjalną, zabrałoby to całą wieczność, i z doświadczenia wiem, że w takich przypadkach gra niewarta jest świeczki. Jeśli chodzi o Tajlandię, to niestety nie mam tam żadnych kontaktów, które mogłabym teraz uruchomić.

– Ale ja mam – powiedział jej znajomy. – Więc się nie martw. I zgadzam się z tobą. Cholernie uciążliwy jest ten system.

– Mam straszne wyrzuty sumienia, że cię tak wykorzystuję.

– Nie musisz. Po to ma się przyjaciół – zapewnił.

Zdaniem kolegi Nadii istnieją dwie możliwości znalezienia w Tajlandii kogoś, kto by sprawdził dla niej kilka rzeczy. Kilka lat temu w ambasadzie szwedzkiej w Bangkoku pracował szwedzki policjant, który był łącznikiem zarówno z policją z Tajlandii, jak i z policją z sąsiednich krajów. Znajomy

Nadii przez sześć lat też tam pracował jako łącznik, aż do powrotu do Szwecji dwa lata temu. Jego następcą został świetny gliniarz, którego znajomy Nadii dobrze zna i za którego może ręczyć. Jednak pojawił się pewien problem.

– Jaki tym razem? – zapytała Nadia.

Ciągle jakieś kłopoty, pomyślała.

– Rozmawiałem z nim wczoraj i okazało się, że przyjechał z żoną do Szwecji na urlop. Pochodzi z Norrlandii, więc wrześniowe polowanie na łosie to dla niego świętość. Będzie w Szwecji jakiś miesiąc. A jeśli dobrze zrozumiałem, to zależy ci na tym, żeby załatwić to jak najszybciej.

– No właśnie – powiedziała Nadia. – Szczególnie ze względu na prokurator, jaką nam przydzielili.

– Coś tam słyszałem – odparł znajomy policjant i zachichotał wesoło. – Hanna Hwass nie jest orłem. Gdybyś wiedziała, co o niej mówili w Wydziale do Walki z Przemocnością Gospodarczą... Wielu z nich jest wypożyczonych od nas, więc słyszało się to i owo. Kiedy już się uwolnili od tej Maselnicy, bo takie miała przezwisko, no wiesz, jak pojemnik do masła, ulubiony prezent dla cioci na urodziny, mieli z niej używanie przez cały tydzień.

– Mogę sobie wyobrazić – odparła Nadia.

Ale to nie rozwiąże mojej sprawy, pomyślała.

– Mam dla ciebie inną propozycję – zaproponował znajomy Nadii.

– Jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz. Jak się pewnie domyślasz.

– Akkarat Bunyasarn. Nikt ci lepiej nie pomoże.

– Akkarat – powtórzyła Nadia. – Wybacz, ale mój tajski nie jest najlepszy. Co to takiego?

Może „powodzenia” po tajsku, pomyślała Nadia.

– Tak się nazywa – odparł. – Akkarat Bunyasarn. To mój dobry kolega, a nawet przyjaciel, który pracuje dla Policji Królewskiej w Bangkoku. Spotykaliśmy się przy różnych okazjach, kiedy tam pracowałem. Akkarat pracuje jako nadinspektor w tamtejszym wydziale kryminalnym. Mimo że ma nie więcej niż metr sześćdziesiąt i wygląda jak chłopaczek, to nie można o nim powiedzieć, że wypadł sroce spod ogona.

– Ile ma lat? – zapytała Nadia.

Od czegoś trzeba zacząć, pomyślała.

– Pięćdziesiąt parę, jak ja. Umów się z nim na rozmowę na Skypie, to będziesz miała okazję go zobaczyć. Jestem pewien, że się ze mną zgodzisz. Wygląda, jakby miał dwadzieścia parę lat. Najwyżej. Poza tym mówi świetnie po angielsku.

– A więc to twój bliski kolega... – powiedziała Nadia.

– Lepszego niż on nie znajdziesz. Po pierwsze, to nie byle kto. Jest mniej więcej odpowiednikiem naszego nadkomisarza. A ponieważ pracuje w odpowiedniku naszej Komendy Głównej, tylko że w Bangkoku, to ma wejścia w całym kraju.

– Brzmi wspaniale. Tylko żeby zechciał mi pomóc – zastanowiła się Nadia.

– Na pewno zechce. Jeśli go poproszę. Poza tym to honorowy gość, co tam nie jest znów takie częste. Niestety, korupcja kwitnie w policji tajlandzkiej. Szczególnie lokalne komórki na prowincji mają z tym duży problem. Dobrze, żebyś o tym wiedziała.

– Możesz mi wysłać kontakt do niego? – poprosiła Nadia.

– Proponuję, żebyśmy zrobili tak. Teraz w Bangkoku jest już późny wieczór, więc zadzwonię do niego jutro rano. Powiem mu, o co chodzi, i spytam, czy nie będzie to dla niego problem, w co wątpię. Dopiero wtedy wyślę ci jego kontakt.

– Bardzo miło z twojej strony – powiedziała Nadia. – Akkarat Bunyasarn, tak się nazywa, prawda?

– Akkarat Bunyasarn to nazwisko, które warto zapamiętać. Jestem tego pewien.

I co teraz, pomyślała Nadia po odłożeniu słuchawki. Pojadę do domu i poszukam wsparcia na rosyjską modłę. Upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu – i las brzozowy, i coś mocniejszego. Czyli wódka Bjerezowyj ljes. A kiedy już zasnę, będę śnić o Akkaracie Bunyasarnie, prawdziwym mężczyźnie, na którym można polegać, na dobre i na złe, mimo że ma tylko metr sześćdziesiąt wzrostu i wygląda jak chłopaczek.

## 46.

W czwartek, już na ósmą rano, Evert Bäckström zwołał w swoim gabinecie tajne zebranie ze swoimi pracownikami. I to za zamkniętymi drzwiami. Gdyby mógł, wybrałby oczywiście bardziej ludzką godzinę, ale była to sytuacja awaryjna, poza tym prokurator Hanna Hwass nie dała mu wyboru.

Najwyższy czas opuścić przyłbicę, naładować małego siggego i, jak to się mówi w żargonie policyjnym, być w stanie najwyższej gotowości, pomyślał Bäckström, kiedy wczesnym rankiem wsiadał do taksówki, która miała go zawieźć do komendy w Solnej.

– Niemi i Hernandez nie mogli przyjść – powiedziała Annika, kiedy wraz z innymi kolegami rozsiała się wygodnie, a drzwi się zamknęły.

– Szkoda – odparł Bäckström.

– Ale rozmawiałam z nimi i są całkowicie po naszej stronie. Peter powiedział, że pomoże nam nawet ukatrupić babsztyla i zatrzeć wszystkie ślady, jeśli będzie trzeba – oznajmiła Carlsson.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne – odpowiedział Bäckström. – Proponuję, żebyśmy zrobili, co następuje.

Cała siedząca w pokoju piątka skinęła głowami. Natychmiast, jednogłośnie i bez chwili wahania.

– Ty, Nadia – zaczął Bäckström i zwrócił się do swojego jedyne­go współpracownika godnego tej nazwy. – Przykro mi, ale musisz to wszystko jakoś uporządkować. Dopilnuj, by babsztyl wreszcie zrozumiał, że na wyspie znaleźliśmy ciało Jaidee Kunchai.

– Czyli jesteś tego zupełnie pewien – chciała wiedzieć Annika.

– Najzupełniej – odrzekł Bäckström. – I będę szczęśliwy, jeśli ty też to sobie uświadomisz.

– W zupełności się z panem zgadzam, szefie – odezwał się Oleszkiewicz, mimo że nikt go o to nie pytał.

– Gównu mnie obchodzi jak – powiedział Bäckström na swój uprzejmy sposób – ale musisz się dowiedzieć, Nadia, jak w Tajlandii doszli do tego, że zidentyfikowali ją jako Jaidee Kunchai. I dla świętego spokoju dopilnuj, żeby ta arcyidiotka, nasza prokurator, też to zrozumiała.

– Jeśli chodzi o to pierwsze, to nie ma żadnego problemu, o ile oczywiście jest tak, jak mówisz – odparła Nadia. – Natomiast jeśli chodzi o to drugie, nie mogę nic obiecać...

– A co my mamy robić? – zapytała Kristin.

– Ciało znalezione na wyspie to Jaidee Kunchai – powtórzył Bäckström. – A ponieważ w takich przypadkach zazwyczaj winny jest mąż, to chcę wiedzieć wszystko, dosłownie wszystko, o niej i o tym jej ukochanym, który poczęstował ją kulką w łeb. Oczywiście innych też weź pod lupę, jeśli mają z tym coś wspólnego.

– Nie poddajesz się – podsumowała Carlsson z uśmiechem.

– Nie – przyznał Bäckström. – Dopóki Nadia nie udowodni, że się mylę. Nienawidzę się mylić, zwłaszcza gdy oznaczałoby to, że nasza głupiutka prokurator, pani Hwass, ma rację. Bo wtedy strzelę sobie w łeb. Ale nie przejmujcie się, to ten babsztyl się myli. Musimy jednak poczekać, aż

będziemy mieli więcej konkretów, żeby jej nimi rzucić w twarz. Wtedy diablina się zamknie i będzie robić, co jej powiemy.

– Nic się nie martw – powiedziała Nadia. – Tak czysto emocjonalnie to jesteśmy w tym zgodni, ty i ja.

– Jaki więc problem? – zapytał Bäckström. – Czym w takim razie mam się nie martwić?

– Na przykład tym, że okazałoby się, że to ona ma rację, a ty się mylisz – oznajmiła Nadia.

– Co powiemy naszej prokurator? – spytał Stigson. – No jeśli zapyta, czym, do diabła, się teraz zajmujemy – uściślił.

– Że robimy dokładnie to, o co nas prosiła – powiedział Bäckström. – I o tym, co naprawdę robimy, nie puścimy pary z ust.

Że Stigson nie grzeszy rozumem, to wiadomo od dawna, pomyślał Bäckström. Jedyna jego zaleta jest taka, że zawsze robi dokładnie to, co mu się każe.

– Świetnie – odparł Stigson, który nagle był tak zachwycony jak jego szef.

– Dobrze wiedzieć, że chociaż ty się ze mną zgadzasz.



## 47.

Po wyjściu z gabinetu Bäckströma Annika przejęła dowodzenie i rozdzieliła zadania. Stigson, Olsson i Oleszkiewicz zajmą się zbieraniem informacji o Jaidee Kunchai, a ona sama zacznie szukać czegoś o Danielu Johnsonie. Jeśli ktoś chciałby wiedzieć, dlaczego właśnie tak podzieliła pracę, odpowiedziałyby, że to kwestia intuicji – czuła, że dużo trudniej będzie znaleźć cokolwiek o Jaidee Kunchai niż o Danielu Johnsonie.

– Rozumiem, że potrzebujesz informacji o życiu Jaidee Kunchai? – zapytała Kristin.

– Tak, i o wszystkim, co powie nam cokolwiek o tym, jaka była. Jako człowiek. Przecież nikt z nas jej nigdy nie spotkał. A musimy mieć o niej jakieś wyobrażenie. Kiedyś to się nazywało dużą i małą biografią – tłumaczyła Carlsson. – Zaczniście od tej małej, a jeśli uda wam się znaleźć coś więcej, to będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

– Wszystko jasne – odpowiedziała Kristin. – Do tego wszystko to, co ma związek z naszym przestępstwem... Żaglówka, broń...

– I reklamówka z Lidla, i puszka z tym grubasem na etykiecie, o której wspominał Bäckström – dodał Stigson.

– Zgadza się – potwierdziła Annika. – Oczywiście nie muszę wam przypominać, że bez mojej zgody nie wolno wam rozmawiać z nikim, kto

znał Jaidee Kunchai – upewniała się. – Ale to wszystko Stigson wie równie dobrze jak ja.

– Lepiej nie wywoływać wilka z lasu – dodał Stigson.

– A co mamy mówić, jeśli prokurator będzie chciała wiedzieć, nad czym teraz pracujemy? – zapytał Oleszkiewicz.

– Musicie znaleźć jakieś wytłumaczenie, żeby podtrzymywać jej dobry humor. I to jest też jeden z powodów, dla którego chcę, żebyście to wy się zajęli Jaidee Kunchai. Jeśli was spyta, powiecie, że prawdopodobnie zaszła pomyłka podczas identyfikacji i dlatego musicie to jeszcze raz zbadać. Nie zapomnijcie też skontaktować się z Urzędem Imigracyjnym. W najlepszym wypadku mogą mieć całą masę dokumentów, które przydadzą się przy sporządzaniu jej charakterystyki. A jeśli prokurator będzie drążyła temat, to po prostu powiedzcie, że próbujecie się dowiedzieć, kto namieszał z identyfikacją, ewentualnie czy nie zamienili DNA albo coś w tym rodzaju. Rozumiecie, o czym mówię?

– A ty, Annika? Nad czym ty pracujesz? Co, jeśli będzie pytać, dlaczego zbierasz informacje o jej mężu? Co wtedy? – zapytała Kristin.

– A skąd miałyby się dowiedzieć? – odpowiedziała pytaniem Annika i wzruszyła ramionami.

– Założmy jednak, że się dowie – nalegał Oleszkiewicz. – Przecież nie jest aż tak głupia.

– Wtedy powiem jej, że robię to, co do mnie należy, a reszta nie powinna jej obchodzić – odparła Annika.

Annika miała zupełną rację. Zebranie informacji o Jaidee Kunchai wcale nie było łatwym zadaniem. Ludzie z Urzędu Imigracyjnego, z którymi nawiązali kontakt, nie mieli nic do zaoferowania. Ci, którzy ewentualnie mogliby jakoś pomóc, byli albo na urloпах, albo w podróży służbowej, albo na konferencji czy po prostu nieosiągalni z innych powodów. Jedyna

nadzieja w archiwistce, która miała wrócić z urlopu w piątek w następnym tygodniu.

– Dziwne. – Stigson pokręcił głową. – Kto, do cholery, wraca z urlopu w piątek? Najpierw bierzesz miesięczny urlop, a potem wracasz do roboty w piątek. Przecież można poczekać kilka dni i wrócić w poniedziałek.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł Oleszkiewicz. – Zapytasz ją za tydzień, jak wróci.

– Pół strony to informacje pochodzące ze spisu ludności plus to, co zwykle można znaleźć w internecie – powiedział Stigson, jakby w ogóle nie słuchał. – Trzech zupełnie zdrowych policjantów. Dwa dni roboty. I zaledwie pół strony. Anka się wścieknie.

– Nie mów tak – zaprotestowała Kristin. – Przecież mamy mnóstwo informacji o jej starszym bracie.

– I po co nam ta wiedza – westchnął Stigson. – Jaki normalny facet umieszcza na swojej stronie peany na własną cześć? Skąd wiemy, że to, co pisze, jest prawdą? A jeśli nawet, i tak nie ma to nic wspólnego z naszą sprawą. Przecież nawet go nie było na pogrzebie. Czy ja mam jej to powiedzieć, czy wy to zrobicie?

– Jest teraz na treningu – powiedziała Kristin. – Mogę z nią później pogadać.

– Albo lepiej wyślij jej to gówno – zaproponował Stigson i podniósł się gwałtownie. – Ja zaczynam weekend. Dołącz link do strony tego jej brata. Przynajmniej będzie miała co czytać.

– Zrobione – zakomunikował Oleszkiewicz i wyłączył komputer.

## 48.

Kiedy Annika wróciła z treningu, oprócz niej nie było już nikogo. Nawet Nadia już wyszła, a ich szef ulotnił się, jak zwykle, jeszcze przed lunchem. Przed wyjściem do domu Annika sprawdziła skrzynkę mailową, ale jedyna wiadomość, jaką dostała, zawierała informacje, które udało się znaleźć jej współpracownikom na temat Jaidee Kunchai, ich ofiary, ich „ewentualnej” ofiary, pomyślała i otworzyła mail od Oleszkiewicza.

Wszystko, co było w wiadomości, Annika już wiedziała. Różnica polegała na tym, że teraz informacje o Jaidee Kunchai zebrane były w jednym miejscu i pod wspólną sygnaturą. Plus informacja o tym, że Jaidee Kunchai zrobiła prawo jazdy w 1999 roku. Właściwie to w Urzędzie Imigracyjnym powinno być więcej o niej, pomyślała. Kiedy Jaidee przyjechała do Szwecji i starała się o pobyt stały, żeby wyjść za mąż za obywatela szwedzkiego, pewnie dokładnie sprawdzili jej życiorys. Jeśli oczywiście nie zniszczyli całej dokumentacji w związku z jej śmiercią, pomyślała Annika.

Jaidee Kunchai urodziła się w Tajlandii, w Bangkoku, 2 maja 1973 roku. Jej rodzice byli Tajami, a i ona miała obywatelstwo tajlandzkie. Do Szwecji przyjechała jesienią 1998 roku z wizą wydaną przez konsulat generalny w Nowym Jorku. Wynikało to prawdopodobnie z tego, że to tam składała

wniosek o wizę. Przed przyjazdem do Szwecji przez mniej więcej trzy lata mieszkała w Stanach, gdzie studiowała ekonomię na Northwestern University pod Chicago. W Stanach Jaidee miała pozwolenie zarówno na pobyt stały, jak i na pracę, i prawdopodobnie dlatego bardzo szybko dostała wizę do Szwecji.

Po kilku miesiącach od przyjazdu, w styczniu 1999 roku, złożyła wniosek o pozwolenie na pobyt stały i na pracę, gdyż chciała wyjść za mąż za obywatela szwedzkiego. Ślub odbył się jeszcze tego samego roku, w sierpniu, w ambasadzie szwedzkiej w Bangkoku, a w styczniu 2000 roku Jaidee razem z mężem przyjechała do Szwecji.

Następnie złożyła wniosek o obywatelstwo szwedzkie. A ponieważ miała męża Szweda, wszystko poszło szybciej, niż to zwykle bywa, i już wiosną 2004 roku Jaidee Kunchai została obywatelką Szwecji. Była na dobrej drodze, żeby zapaść korzenie w swojej nowej ojczyźnie, już trzy lata wcześniej bowiem wspólnie z mężem założyli firmę konsultingową ukierunkowaną na kraje Azji Południowo-Wschodniej – Johnson & Kunchai South East Asian Trading and Business Management AB.

Po kilku miesiącach od uzyskania obywatelstwa Jaidee wraz z mężem wróciła do Tajlandii. Jej mąż dostał pracę jako attaché handlowy przy ambasadzie szwedzkiej, brak jednak informacji, czym w tym czasie zajmowała się Jaidee. Najprawdopodobniej swoją nową firmą, pomyślała Annika, i to aż do momentu, kiedy zginęła w tsunami, firma bowiem najwyraźniej działała aż do wiosny 2006 roku. Wtedy to owdowiały mąż Daniel Johnson sprzedał ją większemu przedsiębiorstwu, które również zajmowało się interesami w Azji Południowo-Wschodniej. Po śmierci Jaidee Daniel Johnson był jedynym właścicielem firmy, w maju 2005 roku jego żona została bowiem uznana za zmarłą.

To było wszystko, jeśli chodzi o oficjalne dane zebrane z kilku szwedzkich rejestrów. I, niestety, prawdopodobnie wszystko się zgadzało, pomyślała Annika, westchnęła i odłożyła papiery na bok. Na przekór wszystkim nowoczesnym technikom kryminalistycznym i przeświadczeniu Bäckströma, że było wręcz przeciwnie.

## 49.

Peter Niemi wraz ze swoimi współpracownikami znalazł czaszkę i ponad trzysta kości oraz ich fragmentów – kilka luźnych zębów dolnej szczęki, część włosów z głowy i pojedynczych kosmyków.

Natomiast nie znaleźli żadnego ubrania ani innych rzeczy należących do ofiary. Często rzeczy osobiste mogą powiedzieć o ofierze więcej niż samo ciało. Przecież coś musiała z sobą mieć, zastanawiał się Niemi. W najgorszym wypadku jakieś ubrania i chociaż torebkę. W najlepszym razie, jeśli była z daleka, musiała mieć ze sobą więcej przedmiotów.

Wiele wskazywało na to, że przestępca był człowiekiem pragmatycznym, zdolnym do działania, a poza tym świetnie obeznanym z miejscem, w którym ukrył ciało. To był ktoś, kto znał zarówno Przekłętą Wyspę, jak i wody, które ją otaczały.

Zazwyczaj przestępca najpierw pozbywa się ciała, potem ubrań i pozostałych rzeczy, pomyślał Niemi. Ciało ukrywa na lądzie, co wydaje się całkiem rozsądne, gdyż zwłoki wrzucone do wody mają tę wyjątkową zdolność, że jak tylko zaczynają się rozkładać i gromadzą się w nich gazy, wypływają na powierzchnię, niezależnie od tego, iloma kamieniami są obciążone. Zresztą, musi być jakaś granica tego, jak duży ciężar człowiek jest w stanie przenieść, by zatopić ciało.

Z ubraniami i innymi rzeczami osobistymi nie ma tego problemu, dlatego też wiele wskazywało na to, że wszystko zostało zatopione w Mälaren. Najpierw pozbył się ciała, a potem rzeczy. Za jednym zamachem, jedno po drugim.

Taki jest racjonalny tok myślenia przestępców. I często to właśnie ich gubi. Są na ogół przewidywalni. Przemyślane działania, jeśli przestępca nie ma żadnych odchyłeń psychicznych, są łatwe do przewidzenia dla takich osób jak Niemi. Z czystymi szaleńcami jest dużo trudniej.

Problem tkwi w czym innym, pomyślał Niemi. I to nie jest błahy problem.

Mälaren to trzecie co do wielkości jezioro w Szwecji. Ponad tysiąc kilometrów kwadratowych wody, która rozciąga się od Sztokholmu na wschodzie aż do Örebro na zachodzie. Jezioro pokryte jest ponad ośmioma tysiącami wysp i wysepek, a linia brzegowa jest tak długa jak linia brzegowa Vänern, największego szwedzkiego jeziora, którego powierzchnia jest pięć razy większa od Mälaren. Jedyna pocięcha w tym, że Mälaren było stosunkowo płytkie, ze średnią głębokością około dziesięciu metrów. Najgłębiej było w dolinie morenowej w Lambarfjärden, niedaleko Hässelby, kilkanaście kilometrów na zachód od Sztokholmu – siedemdziesiąt metrów. Dziesięć czy siedemdziesiąt metrów to żadna różnica, jeśli chodzi o widoczność, pomyślał Niemi, ale żeby wysłać tam nurków i nie zostać wyśmianym, musiałyby wiedzieć nieco więcej.

Powiedział o tym w pracy i nikt, nawet Bäckström, nie miał nic przeciwko. Jedyne Annika miała pytanie, a ponieważ świetnie rozumiał jej tok myślenia, nie powinien mieć problemu z odpowiedzią.

– Zastanawiałam się nad naszym przestępcą – powiedziała Carlsson. – Wydaje mi się, że musi dobrze znać Przekłętą Wyspę.

– Też tak sądzę – odpowiedział Niemi.



– Wtedy pomyślałam o małym Edvinie. Sąsiedzie Bäckströma.  
– Mam nadzieję, że nie jako o przestępcy – zażartował Niemi.  
– Oczywiście, że nie. Edvin to bardzo słodki chłopiec i bardzo drobny. Chudy jak nitka, w dodatku ma odstające uszy i grube okulary. Ale przecież przed nim musieli być tam inni skauci. Ten obóz w Ekerö istnieje już ponad pięćdziesiąt lat.

– Też mi to przyszło do głowy – oznajmił Niemi. – Nie wierzę, żeby to był jakiś zwykły właściciel łódki. I na pewno nikt z okolicznych mieszkańców. Przeklęta Wyspa to nie jest ich ulubione miejsce.

– Ciekawe, gdzie on trzyma swoją łódkę – zastanowiła się Annika. – Mam na myśli naszego przestępcę.

– Prawdopodobnie w samym jeziorze – odparł Niemi. – Jeśli się tego dowiesz, będę uszczęśliwiony. Wtedy się zastanowię nad wysłaniem nurków.

– Opowiadaj dalej – poprosiła Annika.

– Kiedy już to robi, to znaczy zamorduje człowieka, a potem ukryje ciało, przestępca chce jak najszybciej wrócić – oznajmił Niemi. – Niezależnie od tego, ile czasu mu zajmie ukrycie ciała, każda minuta ciągnie się w nieskończoność. I potem chce już tylko jak najszybciej znaleźć się w domu. Bez zbędnego kręcenia się tam i z powrotem. Pozostałych rzeczy ofiary, na przykład ubrań, pozbywa się po drodze.

– Dlatego na mapie zaznacza prostą linią drogę od Przekłętej Wyspy do miejsca, gdzie zwykle cumuje łódkę.

– Zgadza się. I tam wysłamy naszych nurków. Na szlak jego drogi powrotnej aż do przystani, gdzie zostawia łódkę. Tam, gdzie jest najgłębiej i najłatwiej coś zatopić. Na przykład rzeczy ofiary. No i nie ma wirów, które by przeszkadzały. To jest właśnie zaleta takich przestępców... Że zadowolają ich tylko najlepsze miejsca i że wiedzą, gdzie one są.

– Ale pięć, a nawet dziesięć lat to mnóstwo czasu – dodała Annika. – Rzeczywiście myślisz, że coś tam jeszcze zostało?

– O ile jest dobrze zapakowane... Weźmy na przykład Vasę, no wiesz, ten okręt. Wyłowiono z niego mnóstwo rzeczy, mimo że przeleżał na dnie prawie trzysta pięćdziesiąt lat. Były tam nawet ubrania.

– Tak, w końcu się okaże, że znajdziemy jakąś starą łajbę – powiedziała Annika. – Ja sama na łodzi zwykle nie stawiam nawet stopy.

– Nie musisz – stwierdził Niemi. – Wystarczy, że jesteś policjantką.

## 50.

W sobotę Annika pojechała do komisariatu w Solnej, mimo że miała wolny dzień. Kilka godzin spędziła w sali treningowej. Po treningu nie zeszła jednak do garażu, nie wsiadła do samochodu i nie pojechała do domu, żeby odpocząć albo zająć się czymś zupełnie innym niż praca.

Z braku lepszego pomysłu, a może dlatego, że nie mogła przestać myśleć o Jaidee i wszystkich pytaniach z nią związanych, pojechała windą na górę do swojego gabinetu, usiadła za biurkiem, włączyła komputer i otworzyła link, który wysłali jej Olsson i Oleszkiewicz. Niewykluczone, że dziesięć lat starszy brat Jaidee wiedział coś, co mogłoby rozjaśnić mrok wokół jego siostry. Miał stronę internetową, która być może nie jest wcale bez znaczenia dla śledztwa.

Ned Kunchai urodził się w Bangkoku w 1963 roku. Jawił się jako zdolny i pracowity młody człowiek. Po ukończeniu liceum i odbyciu służby wojskowej w Tajlandii otrzymał stypendium dobrego amerykańskiego uniwersytetu, Northwestern University w Evanston w stanie Illinois, kilkanaście kilometrów na północ od Chicago. Annika nieszczęśliwie dużo wiedziała o amerykańskich uniwersytetach, ale o ile dobrze rozumiała to, co między wierszami wyczytała ze strony Neda, nie był to byle uniwersytet. Może nie taki jak Harvard, Princeton czy Yale, ale ich wydział ekonomiczny cieszył się bardzo dobrą opinią.

Najpierw starszy brat, a potem w tym samym miejscu młodsza siostra, pomyślała Annika.

Ned Kunchai obronił magisterium z księgowości i rachunkowości. I to z najwyższą notą. Zaraz potem otrzymał pracę w jednej z najlepszych firm rachunkowych na świecie. Po sześciu latach pracy został partnerem i współwłaścicielem firmy z siedzibą w Nowym Jorku. Tego samego roku przyznano mu obywatelstwo amerykańskie. Był rok 1995, Ned Kunchai miał więc wtedy nie więcej niż trzydzieści dwa lata.

Wyglądało na to, że Nedowi dobrze się wiedzie. Sądząc po zdjęciach jego i jego rodziny, które wrzucił na swoją stronę, był potwierdzeniem amerykańskiego mitu, że w Stanach każdy może być kowalem własnego losu, nawet jeśli urodził się w Tajlandii. Amerykańska żona, która na część etatu pracowała jako dziennikarka w jednej z największych stacji radiowych w Nowym Jorku, i ich pięcioro dzieci.

Najstarszy syn studiował ekonomię na Harvardzie, prawdopodobnie czworo młodszych wybierze tę samą drogę. Własny dom w jednej z lepszych części Brooklynu, dom letni w Montauk na Long Island, stanowiska w zarządzie kilku spółek, siedmiocyfrowa pensja w dolarach, nadzieja na doktorat honoris causa i stanowisko w zarządzie fundacji dobroczynnej Rockefellera, która kilka lat wcześniej wybrała go na swojego biegłego rewidenta.

Nedowi Kunchai dobrze się wiodło i wcale nie zamierzał się z tym kryć. Największe nieszczęście, jakie mu się przydarzyło, to śmierć w tsunami „jego ukochanej siostry” w 2004 roku. Coś, z czym niełatwo było się pogodzić, zwłaszcza że nie mógł uczestniczyć w jej pogrzebie. I to z najbanalniejszej przyczyny. Był na konferencji w Boulder w Kolorado. Matka nie mogła się z nim skontaktować na czas, tak by zdążył na ceremonię pogrzebową.

Ale kiedy tydzień później, zgodnie z buddyjskim rytuałem, prochy Jaidee miały zostać rozsypane nad parkiem narodowym na północ od Bangkoku, przyjechał. Teraz był jedynym żyjącym członkiem rodziny. Jego tata, wyższy oficer armii tajlandzkiej, zmarł jeszcze w 1983 roku, kiedy Ned został powołany do wojska, potem zginęła Jaidee, aż w końcu matka, która zmarła siedem lat później, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, wczesnym latem 2011 roku.

Jednak ani słowa o rzekomej siostrze bliźniaczce Jaidee, którą zaraz po urodzeniu oddano obcej rodzinie. O szwedzkim szwagrze Neda też nic. Może warto się nad tym zastanowić, pomyślała Annika. Tak na wszelki wypadek.

Annika wyłączyła komputer i zaczęła się zastanawiać, co by tu teraz zrobić. Było sobotnie popołudnie i chyba najwyższy czas pomyśleć o życiu prywatnym. Natychmiast przypomniała sobie o Edvinie i niespełnionej dotąd obietnicy, że wkrótce znów pójdą do Gröna Lund. Jednak Edvin nie odbierał telefonu. Jego poczta głosowa też milczała.

## 51.

W niedzielę przed południem Annice w dalszym ciągu nie udało się skontaktować z małym Edvinem. Z braku lepszego pomysłu pojechała więc do pracy, żeby dokończyć kompletowanie dokumentów o Danielu Johnsonie, które rozpoczęła kilka dni wcześniej.

Tak jak przewidywała, rozmawiając ze swoimi współpracownikami, nie brakowało informacji na jego temat, i to zarówno tych oficjalnych, jak i tych, które można znaleźć w internecie. Aż czterysta trafień w Google.

Z czystej ciekawości zaczęła od informacji najbardziej interesujących, jednak niczego nowego się nie dowiedziała. Daniel Johnson nie był karany. Nie widniał ani w rejestrze posiadaczy broni, ani w rejestrze właścicieli łodzi. Nie było również żadnej wzmianki o jego związku z żeglarstwem, a zatem trudno go było połączyć z kiełbaskami piwnymi Buły i reklamówką z Lidla. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko bazować na oficjalnych informacjach, pomyślała Annika z westchnieniem. Robiła tak wiele razy, mimo że – szczerze mówiąc – nigdy nie przynosiło to zamierzonego skutku.

Daniel Johnson urodził się 10 września 1970 roku. Jego ojciec, Sven-Erik Johnson, urodzony w 1935 roku, był nauczycielem w liceum, obecnie na emeryturze. Matka, również nauczycielka, zmarła jesienią 1980 roku. Poza

tym Daniel Johnson miał dwie siostry, siedem i pięć lat starsze od siebie. I w tej chwili wszyscy oni znaleźli się w jednym rejestrze, który sporządziła Annika.

Wychował się w Brommie, maturę zrobił w tamtejszym liceum w 1989 roku. Następnie studiował ekonomię w Wyższej Szkole Handlowej w Sztokholmie i prawo na uniwersytecie. Magisterium z ekonomii obronił w 1993 roku, jednak studiów prawniczych nie skończył.

Jakie to ma znaczenie, pomyślała Annika. I tak w porównaniu z nią Daniel Johnson był pracowity jak całe gniazdo pszczół robotnic.

Następnie, zanim jesienią 1994 roku został przyjęty do szkoły dyplomacji, przez rok był stażystą w dużej szwedzkiej firmie w Stanach Zjednoczonych. W ciągu następnych trzech lat pracował w ambasadzie szwedzkiej – w Afryce, na Środkowym Wschodzie i w Azji Południowo-Wschodniej.

Jesienią 1998 roku dostał tymczasowe zatrudnienie w konsulacie generalnym w Chicago i to właśnie tam poznał Jaidee Kunchai. Dwa lata później wziął urlop bezpłatny, gdyż z przyszłą żoną zamierzał założyć firmę konsultingową.

Minęły trzy lata, zanim wrócił do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zaczął pracować jako attaché handlowy w ambasadzie szwedzkiej w Bangkoku – dodatkowym atutem była jego płynna znajomość języka tajskiego. Po kilku miesiącach wynajął z żoną bungalow na plaży w Khao Lak, by tam spędzić święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Przez ostatnie dwa lata jeździli na święta do brata Jaidee do Nowego Jorku i na Long Island, i zawsze byli tam mile widzianymi gośćmi.

Prawdopodobnie znów by tam pojechali, gdyby nie tamtejsza okropna grudniowa pogoda, zacinający deszcz i mokry śnieg. Annika wyczytała to w notatkach łącznika policji szwedzkiej przy ambasadzie w Bangkoku,

zrobionych miesiąc po tsunami. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rzeczy, a właściwie cały bagaż Daniela Johnsona i jego żony, znalezione w wynajętym bungalowie, którego resztki rozbierano po katastrofie, zostały zwrócone stronie szwedzkiej. Daniel Johnson był wtedy na urlopie zdrowotnym i męczyły go wyrzuty sumienia, gdyż to on wpadł na pomysł, żeby spędzili święta i Nowy Rok w Khao Lak. Policjant, który dostarczył rzeczy, rozmawiał z bezpośrednim przełożonym Johnsona w ambasadzie, a oprócz tego wysłał kopię notatki służbowej na ten temat do swoich kolegów po fachu z Policji Kryminalnej w Szwecji.

No, teraz to już się musisz poddać, pomyślała Annika o Bäckströmie, który nie przepuścił żadnej okazji, żeby wyrazić swoje wątpliwości co do wdowca opłakującego śmierć żony.

Dwa i pół roku później Daniel Johnson zakończył żałobę. Wrócił do Szwecji i zaczął pracę w Departamencie Handlu Zagranicznego. Tam też spotkał kobietę, z którą wziął ślub. Nazywała się Sophie Danielsson i była piętnaście lat od niego młodsza. A jednak szczęście trwało krótko, bo zaledwie rok później się rozwiedli.

Na miejscu Bäckströma zaczęłabym od tego, że Johnson był z tą Sophie, jeszcze zanim jego żona zmarła, pomyślała Annika. Ale ponieważ nim nie jestem, uważam, że Johnson próbował się pocieszyć po pierwszej żonie. Może w nie najlepszy sposób, zresztą jak większość facetów.

Ostatnim krokiem Anniki, zanim – przynajmniej chwilowo – odłożyła sporządzanie życiorysu Daniela Johnsona, było obejrzenie jego zdjęć. Nie tylko z prawa jazdy i paszportu, ale i tych w mediach społecznościowych. I to właśnie wtedy Annika znów nabrała wątpliwości. Największe podejrzenia wzbudziły w niej zdjęcia i opisy, które Daniel Johnson umieścił na dwóch różnych portalach. Znalazła je Kristin Olsson.



Najprościej będzie porozmawiać z tą Sophie, pomyślała Annika, zjeżdżając windą w dół, żeby przespacerować się do domu i oczyścić umysł, a po drodze zrobić jeszcze zakupy. Dlaczego to wszystko chociaż raz nie może być trochę prostsze, rozmyślała.

## 52.

W piątek 5 sierpnia Bäckström zrobił odstępstwo od codziennego rytuału i zjadł lunch w Grand Veranda, razem ze swoim starym przyjacielem GeGurą. Odstępstwo wprawdzie nieduże, jednak zważywszy na fakt, że może to być jego ostatni wolny piątek na długi czas, aż do momentu, kiedy uda mu się pozbyć prokurator Hanny Hwass, trzeba korzystać z okazji, jeżeli taka się nadarza.

Poza tym mieli do omówienia kilka ważnych, a zarazem przyjemnych spraw, do tego niecierpiących zwłoki.

Sprawy dotyczyły obchodów i związanych z nimi uroczystości, przewidzianych na koniec grudnia w Sankt Petersburgu w związku z dwudziestą piątą rocznicą powstania nowej Rosji, podczas których szwedzki komisarz kryminalny Evert Bäckström miał odegrać znaczącą rolę. Jeszcze przed obchodami – które potrwać miały od świąt Bożego Narodzenia aż do Nowego Roku, a więc całe siedem dni zamiast trzech, jak każe tradycja – prezydent Rosji Władimir Putin w bardzo podniosłym nastroju obwieści całemu narodowi, że Rosja odzyskała dzieło sztuki o bezcennej wartości historycznej.

Musiało minąć ponad sto lat, zanim dzieło skradzione z Rosji dziesięć lat przed rewolucją wróciło w ręce Matuszki Rossiji i całego narodu rosyjskiego. Komisarz Bäckström oddał narodowi rosyjskiemu tak

bezcenną przysługę, że jako pierwszy w historii miał z rąk prezydenta otrzymać najwyższe odznaczenie państwowe dla obywatela obcego kraju, a mianowicie order Aleksandra Puszkina. I jak zawsze przy takich okazjach było wiele spraw natury czysto praktycznej, które wymagały omówienia.

Podczas lunchu przy suto zastawionym letnim bufecie Bäckström i GeGurra, pod przewodnictwem tego drugiego, omawiali życzenia i propozycje przekazane GeGurze przez jego rosyjski kontakt. Jednak GeGurra nie byłby sobą, gdyby najlepszej informacji nie zostawił na koniec.

Rosyjska Telewizja Państwowa chciałaby przez kilka dni towarzyszyć Bäckströmowi na miejscu, w Sztokholmie – zarówno prywatnie, jak i w pracy – w związku z przygotowywanym godzinnym programem dokumentalnym. Inne rosyjskie media, w tym i gazety, i kanały radiowe, i telewizja internetowa, również chciałyby przeprowadzić z nim wywiad.

Ambasador rosyjski w Sztokholmie zaprosił Bäckströma na obiad w ambasadzie, aby przedyskutować program jego pobytu w Rosji, poza tym słynny rosyjski mistrz rzemiosł artystycznych, który odpowiadał za przygotowanie opakowania osobistego prezydenckiego podarunku, chciał poznać opinię Bäckströma na temat szkatuły, w której będzie przechowywana butelka.

– Znasz mnie, Bäckström, i wiesz, że najlepsze zawsze zostawiam na koniec – powiedział GeGurra i rozłożył na stole rysunek mistrza rzemiosł artystycznych.

Szkatuła miała być wykonana ze starannie wybranej wolno rosnącej rosyjskiej brzozy, którą ścięto gdzieś w niekończących się lasach o białych pniach i bladozielonych liściach sięgających wysoko ku niebu, symbolizujących duszę Dobrej Rosji. Wieko miała zdobić intarsja z czarnego onyksu, przedstawiająca narodowy symbol Rosji jeszcze

z czasów cara: starego rosyjskiego dwugłowego orła, który zastąpił historyczny nawias, jakim był sierp i młot. Brzegi szkatuły miały być wzmocnione ramą z czystego złota, natomiast zawias, dziurka od klucza oraz sam kluczyk – wykonane z tego samego materiału. Wnętrze szkatuły, z idealnie dopasowanym miejscem na butelkę, wyściełać miał niebieski aksamit. Poniżej dwugłowego orła na wieku mistrz umieścił złotą płytkę z wyrytym tekstem, opisującym w skrócie historię powstania szkatuły.

– To po rosyjsku, Bäckström, więc jeśli pozwolisz, to ci przetłumaczę – powiedział GeGurra, odchrząknął i zaczął czytać: – „Od narodu rosyjskiego dla komisarza kryminalnego Everta Bäckströma. W podziękowaniu za zasługi dla narodu rosyjskiego. Na zawsze zostanie w naszej pamięci”. I jeszcze miejsce, data i rok przekazania: „Sankt Petersburg, dwudziesty piąty grudnia dwa tysiące szesnastego roku, prezydent Rosji Władimir Putin”.

– Nie wygląda to na zwykłe pudełko z monopolowego – skonstatował Bäckström i wykończył zawartość ostatniego ze swoich licznych kieliszków.

Sam już zapomniał, ile ich wypił.

– Rosyjskie rzemiosło artystyczne w swoim najlepszym wydaniu. W dodatku z podpisem autora na spodzie, wielkiego mistrza Giennadija Renko – powiedział GeGurra, westchnął z samozadowoleniem i pokazał swoimi długimi palcami na leżący przed nim na stole rysunek.

– Ile takie dzieło może kosztować? – zapytał Bäckström i lewą ręką skinął na kelnera, żeby uzupełnił mu kieliszek.

– Kosztować? – parsknął GeGurra, pokręcił głową i uniósł wzrok ku niebu. – To bezcenne dzieło sztuki, drogi bracie. Nie ma ceny.

– Jeśli mi wolno... – przerwał Bäckström. – A ile to może być, licząc w pieniądzech?

– No więc... – odpowiedział mu GeGurra – jeśli chciałbyś to sprzedać, jestem pierwszy w kolejce.

– I?

– Tyle, ile przyzwoita willa w przyzwoitej okolicy – odparł GeGurra i wzruszył dobrze zbudowanymi ramionami.

Teraz to zaczyna być do czegoś podobne, pomyślał Bäckström i spojrzał na swój złoty rolex, który zakładał tylko na specjalne okazje.

– Brzmi nieźle – odpowiedział i skinął głową. – Teraz jednak muszę cię przeprosić. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

Na przykład pani Piątek, pomyślał. Przecież życie – mimo wszystko – nie polega tylko na pieniądzach. Supersalami też musi mieć jakieś przyjemności.

Prawdopodobnie doczesne przyjemności pod postacią jedzenia i picia spowodowały, że dwie normalne, w miarę przytomne osoby, jak Bäckström i GeGurra, zupełnie straciły czujność. Podczas całego lunchu, który trwał ponad dwie godziny, nie poświęcili ani jednej myśli zakochanej parze, która siedziała przy sąsiednim stoliku.

Tych dwoje szeptało sobie coś do ucha, splatało się palcami, flirtowało przy użyciu zarówno palców u nóg, jak i całych stóp, a i dużo więcej... Nawet nie ruszyli szampana z kieliszków, które stały przed nimi, mimo że po raz pierwszy spotkali się dopiero tego ranka, w pracy, i mimo że to ich szef zamówił dla nich stolik i wysłał ich do restauracji. I mimo że nawet nie znali swoich imion. Oczywiście tych prawdziwych.

## 53.

Stolik w restauracji obok Bäckströma i GeGurry zamówił szef kontrwywiadu. Podczas gdy jego dwóch szpiegów jadło lunch zaledwie kilka metrów od obiektu, który śledzili, w odległości około siedmiu kilometrów w linii prostej od letniego tarasu Grand Hotelu ich szef siedział na spotkaniu z dyrektorem generalnym i najwyższym rangą szefem, na Ingentingsgatan w Solnej, w ogromnym i owianym tajemnicą budynku będącym siedzibą główną Szwedzkich Służb Bezpieczeństwa.

Szefem Służb Bezpieczeństwa była Lisa Mattei. Wkrótce miała odejść, jednak ani szef kontrwywiadu, ani inni pracownicy nic jeszcze o tym nie wiedzieli. Gdyby szef kontrwywiadu o tym wiedział, prawdopodobnie nie spotkałby się z Lisą Mattei, tylko z jej następcą.

– Chciałeś się ze mną spotkać – powiedziała Lisa Mattei i uśmiechnęła się uprzejmie do swojego rozmówcy.

– Nie wiem, od czego zacząć, pani dyrektor – odparł szef kontrwywiadu i otworzył czerwoną teczkę, którą położył przed sobą na ogromnym biurku Lisy Mattei.

– Zaczynaj więc od początku – zaproponowała Mattei. – Najpierw ogólnie, o co chodzi. Potem konkrety. Następnie, co z tym możemy zrobić. Szczegóły mogą poczekać.

To pierwsze było dość proste. Dotyczyło stosunków szwedzko-rosyjskich, które jeszcze nigdy nie były tak złe od pamiętnego lata 1952 roku, kiedy to 13 czerwca Sowieci zestrzelili szwedzki śmigłowiec wojskowy DC-3 wracający z misji rozpoznawczej nad Bałtykiem, a trzy dni później zrobili to samo ze szwedzkim samolotem Catalina, który prowadził poszukiwania zaginionej załogi.

I teraz stosunki były tak samo złe jak wtedy. Codzienne naruszenia szwedzkiej strefy powietrznej i szwedzkich wód terytorialnych. Ostatni incydent miał miejsce miesiąc wcześniej, kiedy to odkryto obecność rosyjskiego miniokrętu podwodnego zaledwie kilkaset metrów od pałacu Drottningholm, siedziby Jego Królewskiej Mości.

A więc zostaliśmy sami, pomyślała Lisa Mattei, która wkrótce miała zakończyć swoją pracę, nie będzie więc musiała już sobie tym zawracać głowy. Nasz własny premier socjaldemokrata dwa tygodnie temu poinformował w mediach wszystkich, którzy mieli cierpliwość go słuchać, że szwedzkie członkostwo w NATO to obecnie polityczna konieczność. Pozostaje tylko głosowanie w parlamencie, które jest zwykłą formalnością.

Przecież nikt poza komunistami się nie sprzeciwi, pomyślała Mattei.

To oczywistość dla każdego myślącego człowieka, ale Mattei mimo wszystko postanowiła odpowiedzieć w nieco inny sposób.

– Zaletą ludzi myślących racjonalnie jest to, że postępują zgodnie z tym, co myślą – odpowiedziała. – Ty i twoi koledzy o Putinie i jego ludziach możecie sobie myśleć, co chcecie, ale musisz przyznać, że działają racjonalnie w zależności od sytuacji.

– Podzielam tę opinię – odrzekł szef kontrwywiadu. – W takim razie ciekawe, dlaczego przychodzą im do głowy tak absurdalne myśli jak to, że my i NATO ich zaatakujemy...

– Biorąc pod uwagę punkt wyjścia, który jest przedmiotem ich analizy, w tym wypadku ich historię na przełomie ostatnich sześciuset lat, nie ma znów w tym nic aż tak dziwnego – odparła Mattei. – Wszyscy wokół, wliczając w to też nas, cały czas próbują ich zniszczyć. Po prostu. Niezależnie od tego, czy ktoś ma rację, czy nie, działamy według różnych przesłanek. A teraz chciałabym się dowiedzieć, czemu zawdzięczam to spotkanie. Konkrety, proszę.

Konkretnie to chodziło o komisarza kryminalnego Everta Bäckströma. Niestety, jest policjantem znanym w kraju również z tego, że jako ekspert występuje w programie telewizyjnym *Miejsce zbrodni: Szwecja*, poza tym ciągle go pełno w mediach. Jest bezsprzecznie najbardziej znanym i najpopularniejszym policjantem w kraju.

– Jestem przekonany, że pani dyrektor musiała się gdzieś z nim zetknąć – zakończył szef kontrwywiadu.

– Tak – potwierdziła Mattei. – Z nim i z innymi jego pokroju, a ponieważ Bäckström nie należy do osób, które się zapomina, to oczywiście go zapamiętałam. Co tym razem kombinuje?

W największym skrócie to, czego policjant nie powinien robić. Wyłączając oczywiście zwykłe kradzieże, oszustwa i przestępstwa z użyciem przemocy. Zaczynając od początku i ograniczając się jedynie do tego, co szef kontrwywiadu jest w stanie udowodnić, chodzi o to, że komisarz Bäckström notorycznie kupuje usługi seksualne i jest łapówkarzem. Jest stałym klientem wielu prostytutek. Poza tym sprzedaje tajne informacje zarówno mediom, jak i osobom, których informacje te dotyczą. A obecnie nielegalnie zainstalował kamerę przed drzwiami wejściowymi do swojego mieszkania.

Dochody Bäckströma jako policjanta sięgają ponad trzydziestu tysięcy miesięcznie, po odliczeniu podatku. Według bardzo ostrożnych wyliczeń



odpowiada to mniej więcej jednej czwartej tego, co każdego miesiąca wydaje.

W ciągu ostatniego roku odkupił od sąsiada mieszkanie za pięć milionów koron. Wybił ścianę i zrobił remont za następne parę milionów. Poza tym pożyczył milion koleżance, z którą pracuje w tym samym wydziale policji w Solnej.

– Nazywa się Annika Carlsson – dodał szef kontrwywiadu. – Poza tym wydaje mi się, że mają romans.

– Gdyby porównać to z tym, co wielu innych naszych policjantów wyczynia, nie jest to znów coś, co powinno mi spędzać sen z powiek – oznajmiła Mattei. – Mówisz o milionach koron, ale ani „Aftonbladet”, ani „Expressen” nie mogły mu nic udowodnić, bo zasłonił się prawem do ochrony danych, które mu przysługuje. Jeśli mamy już być tacy drobiazgowi.

– Właśnie miałem do tego dojść – powiedział szef kontrwywiadu.

– Świetnie – odpowiedziała Mattei. – To, co mówisz, wygląda jak historia zwykłego skorumpowanego gliny, którego możemy oddać w ręce komisji dyscyplinarnej. To nie jest sprawa dla nas.

– Właśnie miałem do tego dojść – powtórzył szef kontrwywiadu. – Dlaczego kolega Bäckström jest przypadkiem dla nas.

– Słucham zatem – odrzekła Mattei. – Dlaczego?

– Jest rosyjskim agentem – powiedział szef kontrwywiadu. – Zwerbowali go rok temu.

– W jaki sposób?

– W związku z pewnym śledztwem. Prawdopodobnie położył łapę na dziele sztuki o ogromnej ekonomicznej i historycznej wartości dla Rosjan. To pozytywka, którą ostatni car Rosji zamówił jako prezent dla swojego syna. Z pomocą jednego ze swoich najlepszych przyjaciół, znanego

handlarza sztuką Gustafa Gustafssona Henninga, Bäckström doprowadził do odsprzedania pozytywki Rosjanom za dwieście pięćdziesiąt milionów koron, za co otrzymał prowizję w kwocie około pięćdziesięciu milionów koron.

– Tak, znam tę historię, i to w kilku różnych wersjach. O ile dobrze rozumiem, chodzi tu o zwykłą konfiskatę w związku ze śledztwem. Pozytywka została zwrócona szwedzkiemu właścicielowi, który z kolei odsprzedał ją Rosjanom. Pośrednikiem w transakcji był, zdaje się, ten handlarz sztuką, o którym wspomniałeś – powiedziała Mattei.

Prawdziwa historia o nosie Pinokia, pomyślała.

– Pięćdziesiąt milionów koron. Pieniądze zarobione na czarno. Przystępstwo ekonomiczne na szeroką skalę, w dodatku popełnione na służbie przez szwedzkiego policjanta.

– To raczej przypadek dla Wydziału do Walki z Przystępnością Gospodarczą – powiedziała Mattei. – Tę historię znam już na pamięć. Jednak nie sądzę, żeby dostał pięćdziesiąt milionów. Być może połowę tego, co i tak jest ogromną sumą, ale w dalszym ciągu nie rozumiem, co to ma wspólnego z nami.

– Przystępstwo gospodarcze na szeroką skalę – powtórzył szef kontrwywiadu. – W dodatku ten, kto pomaga mu w praniu brudnych pieniędzy, mieszka w tym samym domu co Bäckström.

– Jak się nazywa?

– Slobodan Milošević. Zdaje się Chorwat czy Serb, uchodźca, który przyjechał tu z rodziną podczas wojny na Bałkanach.

– O nim też słyszałam – odparła Mattei. – Miał dziesięć lat czy coś koło tego, kiedy przyjechał do Szwecji.

– Obecnie ważna osoba w mafii jugosłowiańskiej. Prowadzi liczne interesy. Zakłady bukmacherskie, knajpy, wynajem samochodów, sklepy

spożywcze. Wszystko, mydło i powidło. Jednak chodzi mi głównie o pranie brudnych pieniędzy i prostsza działalność, napady na transporty, narkotyki i inne kradzieże.

– Bäckström – powiedziała Lisa Mattei. – W jaki sposób Milosević zmienia kolor jego pieniędzy?

– Między innymi poprzez działalność bukmacherską. Bäckström zarabia duże pieniądze na wszystkim, począwszy od gry w pokera internetowego, a na wyścigach konnych kończąc... Jeśli pani dyrektor chciałaby znać moje zdanie, to uważam, że on nawet nie odróżnia, gdzie koń ma przód, a gdzie tył.

– Słyszę – powiedziała Mattei. – Ale pomijając szczegóły i popadanie w przesadę, wciąż nie jest dla mnie jasne, dlaczego mielibyśmy się nim zainteresować. Zwykły skorumpowany policjant. Proponuję, żebyście przekazali go komisji dyscyplinarnej.

– Oczywiście, chętnie byśmy to zrobili, gdyby nie był rosyjskim agentem.

– Z tego, co mówisz, wynika, że go nie znasz – stwierdziła Mattei. – Komisarz Evert Bäckström jest mały, gruby i sprytny. Ma trzy pasje w życiu. Alkohol i kobiety, żeby przyjemnie przeżyć życie, oraz pomnażanie majątku bez zbędnego wysiłku. Poza tym to polityczny idiota, szwedzki patriota, ksenofob, homofob i gorący zwolennik wszelkich innych fobii. Dlaczego, na litość boską, Rosjanie mieliby rekrutować takich jak on? Czy możesz mi to wytłumaczyć?

– W takim razie dlaczego dali mu pięćdziesiąt milionów koron? Oprócz tego ma od nich dostać jakieś rosyjskie odznaczenie, teraz w grudniu, z okazji ich dwudziestego piątego jubileuszu. Jest na to tylko jedno wytłumaczenie. Że chcą użyć go jako szpiega. Zapłacili tyle za jego ogólną popularność. Tego właśnie potrzebują.

– Albo może chcą go po prostu nagrodzić za to, że pomógł im odzyskać zabytkową pozytywkę, która najwyraźniej ma dla nich duże znaczenie.

– To zupełnie oczywiste, że ma ona duże znaczenie również dla Bäckströma – powiedział szef kontrwywiadu. – Obecnie jest chyba najbogatszym policjantem w kraju. Wszystko, oczywiście, dzięki własnej pracy... Chcę tylko powiedzieć...

– Tak z ciekawości... – przerwała mu Mattei. – Wydaje mi się, że go szpiegujesz.

– To chyba oczywiste – stwierdził szef kontrwywiadu. – Właśnie skończył lunch w Grand Veranda razem ze swoim dobrym przyjacielem, handlarzem sztuką, i jeśli postąpi zgodnie z piątkowym zwyczajem, to prosto stamtąd pojedzie do polskiej prostytutki na Norr Mälarstrand na tak zwany masaż relaksacyjny.

– Świetnie – powiedziała Mattei. – Mam więc propozycję. Zadzwoń do Wydziału Walki z Prostytycją i dopilnuj, żeby go złapali z gołym tyłkiem. Wtedy natychmiast będzie musiał odejść ze służby.

– Czy mam rozumieć, że pani dyrektor chce, żebyśmy przestali go obserwować?

– Nie – odparła Mattei. – Nie, po prostu potraktuj to jako rekomendację z mojej strony. I przekaz go tym, którzy zajmują się takimi jak on. Nie zamierzam cię instruować. Poradzisz sobie sam. Jeśli więc chodzi o Bäckströma, jesteśmy zgodni. Taki typ jak on nie powinien pracować jako policjant.

– Obiecuję, że jeszcze raz to przemyślę – powiedział szef kontrwywiadu. – Oczywiście odnośnie do dalszej taktyki – dodał.

– Chociaż w jednym nie masz racji – dodała Mattei.

– Co pani dyrektor ma na myśli?

– To, że jest najbogatszym policjantem w Szwecji. Nieprawda.

– Więc kto taki?

– Właśnie rozmawiasz z tą osobą – powiedziała Mattei i uśmiechnęła się. – Pewnie gdzieś słyszałeś tę historię. O córce niemieckiego aptekarza. To właśnie ja.

# III

Lisia nora ma wiele wyjść

## 54.

W poniedziałek po południu, 8 sierpnia, podczas drugiego spotkania grupy dochodzeniowej z nową prokuratorką, już na samym początku doszło do kłótni. Hanna Hwass nie była zadowolona z ich pracy, a jej największe niezadowolenie wzbudził technik kryminalistyki, komisarz Peter Niemi.

Aby przyspieszyć śledztwo, już po pierwszym spotkaniu Hanna Hwass sama zadzwoniła do Centralnego Laboratorium Kryminalistyki. I to, czego się tam dowiedziała, wzbudziło jej najwyższe zdumienie.

Po tym, jak spotkała się z Niemim w poprzednim tygodniu i zażądała nowego badania DNA czaszki, by się upewnić, że nie zaszła jakaś najprostsza z możliwych pomyłka – ktoś im przysłał złe dane albo coś zamieniono – była przekonana, że sprawa jest w toku.

– Wyobraź sobie moje zdziwienie – powiedziała Hanna Hwass, jeszcze cały czas się uśmiechając – kiedy ich o to zapytałam, a oni zupełnie nie wiedzieli, o co chodzi. Najpierw, najprawdopodobniej na potrzeby śledztwa, zabezpieczyli próbki DNA czaszki i przesłali wam wyniki. Jak z tego wynika, nic nie udało nam się znaleźć ani w ich rejestrach, ani w policyjnej bazie danych, ani w rejestrach Urzędu Imigracyjnego. Tyle zrozumiałam do tej pory.

– Tak, zgadza się – potwierdził Niemi bez uśmiechu.

– Wyobraź sobie moje zdziwienie – powtórzyła Hwass – gdy dowiedziałam się, że w laboratorium po raz pierwszy słyszeli, by ktoś z dochodzeniówki w jakiejś starej bazie danych, która w Komendzie Głównej gromadzi tylko kurz, znalazł wyniki analizy odpowiadające ich profilowi. Z tego, co zrozumiałam, w laboratorium nic takiego nie miało miejsca. Po prostu nie robili żadnego porównania. W ogóle nie wiedzieli, o czym mówię.

– To ja dostałam te analizy od mojego kontaktu z Komendy Głównej i przekazałam je Peterowi, żeby rzucił na nie okiem – powiedziała Nadia. – W tej sprawie jest bardziej kompetentny niż ja.

– Dziękuję, Nadia, jesteś bardzo miła – odpowiedział Niemi i uśmiechnął się do niej. Następnie skinął głową w kierunku Hwass, znów bez uśmiechu, i kontynuował: – Prawda jest taka, że istnieje pełna zgodność. Plus cztery, jak mówią w Linköping. Więcej już nie może być.

– Ach tak – odrzekła Hwass. – A więc to ty twierdzisz, że to czaszka Jaidee Kunchai, która zginęła w tsunami w dwa tysiące czwartym, nie Laboratorium Kryminalistyki...

– Tak jak powiedziałem. To są moje wnioski.

– Ale przecież nie pracujesz w Laboratorium Kryminalistyki, prawda?

– Nie – odparł Niemi. – Uchowaj Boże. Wprawdzie kilka razy proponowali mi stanowisko, ale zawsze odmawiałem. Mieszkam w Spåndze i musiałbym daleko dojeżdżać. Ale ty, Hwass, nie musisz się o to martwić. To pewny wynik i nie trzeba być żadnym fizykiem jądrowym, żeby to obliczyć. Powiedz, jeśli będziesz chciała wiedzieć, jak to się robi.

Oskarżyciel posiłkowy Hanna Hwass przełknęła propozycję Niemiego w ciszy, zagłębiając się w swoje papiery.

Babsztyl ładuje akumulatory, pomyślał Bäckström. Teraz niech się Finol ma na baczności. Albo Hwass. Bo Niemi wyciągnie nóż zza cholewy



i zakończy dyskusję zgodnie ze starym tornedalskim zwyczajem.

Jednak Hanna Hwass jeszcze nie skończyła. To był dopiero początek.

Kiedy podczas pierwszego spotkania mówiła o wykonaniu ponownej analizy DNA czaszki, żeby wykluczyć pomyłkę, nie była to prośba, tylko polecenie nadzorującej śledztwo wydane śledczemu, to znaczy Peterowi Niemiemu. Poza tym było dla niej oczywiste, że wszyscy doskonale zrozumieli, iż oczekiwała jeszcze jednego badania czaszki.

– O ile dobrze pamiętam, powiedziałeś, że próbka jest w trakcie badania, prawda?

– Całkowita racja – odparł Niemi. – Próbki do badania razem z dokumentacją wysłałem im ponad tydzień temu.

– Tyle że w laboratorium twierdzą, że mają pobrać DNA z kości udowej, nie z czaszki.

– Ze szpiku kości udowej, w najgorszym wypadku z samej kości – sprostował Niemi.

– Tak, ja jednak nie powiedziałam, że chcę ze szpiku kości udowej – drażzyła Hwass. – Chcę mieć nowe badanie DNA z czaszki, ponieważ nie mogę wykluczyć pomyłki w pierwszym badaniu.

– Badanie z kości udowej to proste, rutynowe działanie – odpowiedział Niemi. – Chcemy, rzecz jasna, się upewnić, że kości, które znaleźliśmy w ziemiance, pochodzą od tej samej ofiary co czaszka znaleziona sto metrów dalej.

– A ja chcę mieć nowe badanie czaszki – powtórzyła Hwass, pochyliła się i oparła łokciami o biurko. Już bez cienia uśmiechu.

– Ależ to oczywiste, jak najbardziej – powiedział Bäckström i pokręcił głową z zatroskaniem. – Doskonale rozumiem, o co ci chodzi, Hanna. Podejrzewasz, że tam mogą być resztki innych ciał. Czaszka jednej osoby, kości drugiej. Dwa trupy, a nie jeden, jak dotąd przypuszczaliśmy.

W najgorszym razie nawet więcej. Mamy przecież dziesiątki odłamków kości, dokładnie rzecz biorąc.

– Nie – zaprotestowała Hwass. – Wiem, o czym mówisz, i trzeba to oczywiście sprawdzić, ale najpierw chcę mieć pewność co do samej czaszki.

– Sama posłuchaj, co ty mówisz, Hwass – powiedział Niemi i spojrzał na nią nagle zwięzonymi oczami. – Myślałem, żeby poczekać, aż dostaniemy jakieś informacje o kości udowej. I jeśli okazałoby się, a jestem o tym całkowicie przekonany, że to jest to samo DNA co z czaszki, to według mnie sprawa jest załatwiona. Jeśli natomiast DNA z kości udowej nie zgadzałoby się z DNA czaszki, to wtedy pobralibyśmy z czaszki nową próbkę.

– Ale mnie to nie wystarczy – odpowiedziała Hwass. – Chcę, żebyś natychmiast wysłał im nową próbkę do zbadania.

– Nie – oznajmił Niemi, podniósł się, wziął swoje papiery i włożył teczkę pod pachę. – Jeśli chcesz nową próbkę, to sama im wyślij. Ja muszę dbać o swoją reputację i dobre imię. Nie zamierzam więc zawracać im głowy głupotami. A teraz wybaczenie – dodał Niemi i uprzejmie skinął wszystkim głową. – Mam inne, ważniejsze sprawy, którymi muszę się zająć.

I opuścił pokój.

Tymczasem Hanna Hwass najpierw spojrzała na zegarek, a następnie zaczęła coś notować.

Wszystko skończyło się tak samo, jak się zaczęło. Ponad dwie godziny kiepskiej atmosfery. Jeden policjant, który bez zbędnych ceregieli po prostu wyszedł. Pozostali siedzieli w milczeniu i otwierali usta tylko wtedy, kiedy Hwass zadawała im pytanie. Natomiast Bäckström to promieniał jak słońce, to wzdychał z niepokojem i kiwał głową. A pozbawiona radarów prokurator

głównie skupiała się na tym, żeby wyrazić swoje zdziwienie i rozczarowanie tym, „w jaki sposób prowadzi się jej śledztwo”. Jeśli chodziło o Niemiego, było już tak źle – dał jej przecież niepełną albo wręcz wprowadzającą w błąd informację – że nie zamierzała mu tego darować. Natomiast jeśli chodziło o inne sprawy, brak było konkretnych rezultatów.

– Nawet nie warto tego komentować – skonstatowała Hanna Hwass.

– Zrobiliśmy dokładnie to, czego od nas oczekiwałaś – powiedziała Nadia. – Jesteśmy w kontakcie i z laboratorium, i z naszymi ludźmi, i z Urzędem Imigracyjnym. Dostali od nas pytania i obiecali odezwać się, jak tylko będą mieli coś konkretnego. Co chcesz, żebyśmy jeszcze zrobili?

– Może trochę więcej, do jasnej cholery, że się tak wyrażę w policyjnym żargonie – rzuciła Hwass. A sądząc po mowie ciała, było to jej ostatnie słowo w tym temacie. Na jej twarzy znów zagościł uśmiech. – Widzimy się w piątek. I mam nadzieję, że będziemy mieć już coś więcej.

– Na pewno – powiedział Bäckström i uśmiechnął się z miną niewiniątka. – Wszyscy mamy głęboką nadzieję.

Annika też już wstała, stanęła w drzwiach, podczas gdy prokurator wciąż jeszcze pakowała swoje papiery. Carlsson wzruszyła ramionami, splotła palce, luźno oparła dłonie w pasie i patrzyła wyczekująco na swojego szefa.

– Czy mnie jeszcze potrzebujesz, Bäckström? – zapytała i skinęła głową w kierunku prokurator, która wciąż była zajęta swoimi papierami.

– Poczekajmy chwilę – odpowiedział Bäckström. – Jak się czeka na coś dobrego, to nigdy nie jest zbyt długo – dodał i westchnął z zadowoleniem.

## 55.

Nadii nie udało się skontaktować ze swoim tajlandzkim kolegą po fachu, Akkaratem Bunyasarnem. W poniedziałek zadzwonił jej kolega z Komendy Głównej i powiedział, że Akkarat jest w podróży służbowej w Birmie albo w Kambodży, a jego sekretarka nie ma pojęcia, kiedy pojawi się w biurze, ale Nadia jako pierwsza się dowie, że już jest w pracy.

Ani we wtorek, ani w środę żadnego telefonu. W czwartek rano już prawie straciła nadzieję i zaczęła w myślach formułować podanie o pomoc do łącznika ambasady szwedzkiej w Bangkoku. Tego samego, który obecnie przebywał w Szwecji na urlopie i miał wrócić do Tajlandii dopiero we wrześniu, po zakończeniu polowania na łosie w Norrlandii. Najprawdopodobniej ktoś go teraz zastępuje, pomyślała Nadia i westchnęła. Jeśli była dobrze poinformowana, to w Tajlandii powinni być policjanci z Danii, Norwegii i Finlandii, o ile oni też nie wyjechali do domu na jakieś polowanie.

Kilka godzin później odezwał się w końcu jej szwedzki kolega. Jego stary przyjaciel Akkarat już wrócił. Był w najlepszym zdrowiu, zawsze chętny do pomocy, a ponieważ musi zostać w biurze do późnego wieczoru, Nadia może do niego śmiało dzwonić.

Zrobiła to na Skypie niemal natychmiast i ku swojemu zadowoleniu stwierdziła, że Akkarat zgadzał się dokładnie z opisem, jaki dostała. Gdyby

nie siwizna na skroniach, przy jego czarnej puszystej czuprynie mógłby równie dobrze uchodzić za trzydziestolatka. I naprawdę mówił świetnie po angielsku.

Nadia wyjaśniła, w jakiej sprawie dzwoni. Poza tym obiecała, że wyśle mu mailem wszystkie informacje. Na początek potrzebowałyby pomocy z czterema rzeczami, a jeśli jemu przyjdzie do głowy coś, o czym ona zapomniała, to będzie mu bardzo wdzięczna.

Po pierwsze, potrzebuje dokumentacji z pogrzebu Jaidee Kunchai. Szczególnie chciałyby wiedzieć, w jaki sposób została skremowana.

Po drugie, interesuje ją, czy jest możliwe, że miała jakąś nieznaną siostrę bliźniaczkę, koniecznie jednojajową, którą oddano do adopcji zaraz po urodzeniu. Prawdopodobnie w Szwecji.

Po trzecie, interesują ją Tajlandki, które zaginęły w tsunami w Khao Lak, w Phuket i okolicznych miejscowościach. Kobiety odpowiadające rysopisem rysopisowi Jaidee Kunchai, który mu zaraz wyśle mailem.

Po czwarte, i ostatnie, chciałyby go prosić, by zdobył więcej informacji o ciele Jaidee – w jaki sposób je znaleziono w Khao Lak i jak przebiegała jego identyfikacja w Phuket kilka dni później.

– Yes – zakończyła Nadia. – To by było na tyle. Przynajmniej na początek – dodała, tak na wszelki wypadek.

– Rozumiem wasz tok myślenia – powiedział Akkarat Bunyasarn, skinął głową i delikatnie się uśmiechnął.

– Mamy problem z jej identyfikacją – odrzekła Nadia.

Ktoś od nas myśli dokładnie tak, jak ci się wydaje.

– Mamy tu wciąż setki zaginionych kobiet po tsunami, więc na pewno wśród nich są też takie, których rysopis odpowiadałby rysopisowi Jaidee Kunchai – powiedział Bunyasarn.

– Nie jest to najlepsza wiadomość – oznajmiła Nadia.

– Tajlandia to nie Szwecja – stwierdził Bunyasarn i pokręcił głową. – W takich sprawach żyjemy w dwóch różnych światach. Jeśli chodzi o adopcję, to też nie będzie łatwo – dodał. – Jak pewnie się orientujesz, nielegalny handel tajlandzkimi dziećmi kwitnie.

– Myślałam raczej o świadectwie urodzenia czy o karcie porodowej ze szpitala – sprostowała Nadia.

To była kolejna przeszkoda, zdaniem Bunyasarna. W Tajlandii wiele dzieci rodziło się w domu. I dotyczyło to rodzin zarówno bogatych, jak i biednych.

Ale, oczywiście, przy odrobinie szczęścia może mu się uda coś zdobyć.

– Byłabym ci bardzo wdzięczna – powiedziała Nadia. – Jeśli jest coś, co mogę dla ciebie zrobić, wystarczy telefon.

– *What are friends for* – stwierdził Akkarat Bunyasarn z uśmiechem i pochylił głowę, żeby pokazać swój szacunek dla niej.

Akkarat obiecał się odezwać, gdy tylko będzie coś wiedział. Jedne rzeczy mogą zająć więcej czasu, inne mniej, ale tego oboje byli świadomi. Tak czy owak, on i jego współpracownicy podążą tropami, jakie im dała.

Nareszcie ktoś, kto ma głowę na karku, pomyślała Nadia. I w dodatku miły, w przeciwieństwie do całej reszty.

## 56.

Po poniedziałkowym spotkaniu grupy śledczej dramatycznie wzrosła potrzeba kontaktów zewnętrznych. Bäckström nie miał problemu ze swoim kontaktem. Po zebraniu, jeszcze tego samego przedpołudnia, zadzwonił do znajomej z Laboratorium Kryminalistyki. Poznali się na konferencji, pół roku wcześniej, kiedy to Bäckström miał okazję zabrać ją w podróż do miejsc, o których wcześniej nawet jej się nie śniło. Jeszcze jedna z tych kobiet, na których najskrytsze marzenia potrafił odpowiedzieć.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Bäckström? – zapytała.

– Zadzwoniłem, żeby zapytać, jak się masz – skłamał. – Poza tym minęło już trochę czasu, odkąd ostatnio się widzieliśmy, więc jeśli będziesz przejazdem w Sztokholmie, odezwij się. Pamiętaj.

– Na pewno. A czego oczekujesz ode mnie tym razem?

– Właściwie dwóch rzeczy – powiedział Bäckström. – To nic takiego.

Słaba siódemka, pomyślał. Niewarta, by się do niej fatygować, Linköping leży przecież w połowie drogi na południe Europy, ale jeśli ona będzie przypadkiem w Sztokholmie, to oczywiście chętnie się z nią zobaczy.

Jeszcze jedna, nigdy nie będą miały dość, pomyślał pięć minut później, kiedy zakończył rozmowę.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Bäckström rozmawiał ze swoją znajomą, technikiem kryminalnym z Linköping, oskarżyciel posiłkowy Hanna Hwass zadzwoniła do bezpośredniego przełożonego Bäckströma, szefa policji w Solnej, Carla Borgströma. Chciała się z nim spotkać, i to jak najszybciej, żeby porozmawiać o ważnych sprawach związanych z jej śledztwem.

Carl Borgström, który domyślał się, o co chodzi, starał się być bardzo dyplomatyczny. Jego drzwi, oczywiście, zawsze stoją otworem, a jedzenie w zakładowej stołówce też jest niczego sobie.

Oskarżyciel posiłkowy Hanna Hwass nie dawała za wygraną. Problem z drzwiami zawsze stojącymi otworem był taki, że znajdowały się w złym budynku. Komenda Główna Policji w Solnej była obecnie siedzibą jej wroga. Do czasu, aż wszystko wróci do normy, chce się trzymać od niej z daleka, oczywiście z wyjątkiem sytuacji, kiedy śledztwo będzie wymagało jej obecności jako osoby odpowiedzialnej. Dlatego też ma inną propozycję. Wciąż jeszcze ma biuro w Wydziale do Walki z Przestępczością Gospodarczą, gdyż jej nowy pracodawca, Prokuratura Rejonowa w Sztokholmie, nie zdążył jeszcze zorganizować jej własnego gabinetu. A ponieważ, jak zrozumiała ze słów jego sekretarki, Borgström będzie jutro na konferencji w Komendzie Głównej Policji, a więc niedaleko jej miejsca pracy, proponuje małą restauracyjkę na Kungsholmen, gdzie mogą zjeść lunch, mniej więcej w połowie drogi między Komendą Główną a Wydziałem do Walki z Przestępczością Gospodarczą.

– Co byś powiedział na godzinę dwunastą? – zapytała Hanna Hwass.

– Świetnie – odparł szef policji Borgström. – Bardzo się cieszę – dodał.

A jakie mam wyjście, pomyślał po odłożeniu słuchawki. Wtedy też wpadł na wspaniały pomysł, by przed spotkaniem z Hanną Hwass spotkać się z Bäckströmem. Musi się dowiedzieć, o co chodzi.



– Jak dobrze, że się wreszcie do ciebie dodzwoniłem, Bäckström – powiedział Borgström, gdy tylko usłyszał jego pochrząkiwanie do słuchawki. – Chyba jakoś niezbyt często można cię spotkać w pracy, co?

– Zawsze mnie można spotkać w pracy. Pracuję na okrągło – odparł Bäckström. – Jeśli nie ma mnie tu, na miejscu, to znaczy, że pracuję gdzie indziej.

– Tak, oczywiście – rzekł Borgström. – Spotkamy się? Chciałem o czymś z tobą porozmawiać.

– Niestety, teraz nie mogę – odparł Bäckström i brzmiał, jakby pokręcił głową. – Już na mnie czeka samochód. Realizacja projektu, sam wiesz. Zbliżamy się do fazy końcowej.

– W takim razie może jutro? – zapytał Borgström. – Jutro przed południem.

Najwyżej przeniesie swoje spotkanie. Najpierw Bäckström, bo przezorny zawsze ubezpieczony, potem prokurator Hwass. Tak będzie idealnie, pomyślał.

– Niestety, niewykonalne, zupełnie niemożliwe – westchnął Bäckström. – Jutro jestem cały dzień zajęty.

– Nie masz najmniejszego okienka? Potrzebuję tylko jakichś piętnastu minut.

– Pierwsze okienko, jakie mam, to czwartek przed południem. O dziesiątej – odpowiedział Bäckström, któremu ani w głowie było ryzykować dla Borgströma swój lunch i popołudniową drzemkę.

– Świetnie – odrzekł Borgström. – A zatem, do zobaczenia.

– Proszę bardzo – powiedział Bäckström.

Kiedy Borgström odłożył słuchawkę, uświadomił sobie, że to on podziękował Bäckströmowi za spotkanie, a nie odwrotnie, jak nakazywałaby relacja podwładny–przełożony.

Co za okropny dzień, pomyślał Borgström i westchnął głęboko, gdy do jego gabinetu przez otwarte drzwi wkroczył Toivonen, skinął głową na krzesło i usiadł.

– Masz dwie minuty? – zapytał.

– Jasne – skłamał Borgström. – Zawsze miło widzieć brata. Co cię dzisiaj sprowadza?

– Musisz się pozbyć tej Hanny Hwass. Ta kobieta jest zupełnie szalona.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – powiedział Borgström. – O co chodzi?

– Ona postradała zmysły – stwierdził Toivonen. – Na razie to mały problem, ale jeśli nie pomożesz mi się jej stąd pozbyć, i to już, natychmiast, to obawiam się, że obaj możemy mieć duże problemy.

– Obiło mi się coś o uszy, że miała jakąś scysję z Peterem Niemim.

– Scysję?! – parsknął Toivonen. – To, że ten babsztyl zupełnie postradał zmysły, można jakoś wytrzymać, nie ona jedna. Najgorsze jest to, że próbuje wszystkim rządzić, a nie ma o tym zielonego pojęcia. Rozmawiałem z Niemim. Normalnie to rozsądny facet, ale jeśli mu się nadejnie na odcisk, to lepiej trzymać się od niego z daleka. Niedawno zadzwonił do mnie nasz kontakt z laboratorium z pytaniem, czy policja w Solnej podlega teraz prokuraturze w Sztokholmie. Ta baba cały czas wisi u nich na kłance. Jedno jej żądanie dziwniejsze od drugiego.

– Porozmawiam z nią – powiedział Borgström. – I to natychmiast.

Zważywszy na kontekst, to chyba małe kłamstewko, pomyślał.

– Świetnie – odparł Toivonen i wstał tak samo szybko, jak usiadł.

– Coś się musiało stać – powiedział szef policji. – Zasięgnąłem opinii o niej, kiedy przechodziła z gospodarczego do prokuratury. Jeszcze nigdy o nikim nie słyszałem tylu dobrych opinii.

- W środowisku to się nazywa opinia transferowa – parsknął Toivonen.
- Może dobrze, żebyś o tym wiedział.
- Opinia transferowa?
- Jeśli masz pracownika, który przekracza wszelkie ludzkie granice, to co robisz? Napiszesz o nim cokolwiek, byleby się cholerstwa jak najszybciej pozbyć.
- Chyba rozumiem... – odrzekł Borgström
- To dobrze – odpowiedział Toivonen.

Szef policji Carl Borgström spotkał się z prokuratorem Hwass o umówionej porze. A nawet pojawił się minutę przed dwunastą. Ale Hanna Hwass już tam była. Skinęła tylko głową i spojrzała na zegarek.

– Proponuję, żebyśmy dzielili rachunek – powiedziała. – Ze względu na okoliczności naszego spotkania.

– Nie ma sprawy, mogę zapłacić – zgodził się Borgström.

– Możesz zapłacić za swój – potwierdziła Hwass i natychmiast zamówiła spaghetti i szklanę wody.

„Zwykłej ze względu na środowisko”, jak powiedziała i skinęła w kierunku kelnerki. Carl Borgström zamówił śledzia i gotowane ziemniaki, i też wodę, mimo że zazwyczaj pija mineralną gazowaną.

– Ze względu na środowisko – powiedział i uśmiechnął się do kelnerki.

Czekając na jedzenie, Hanna Hwass przeszła do rzeczy. O tym, że śledztwo, któremu przewodzi, dotyczy morderstwa, jest całkowicie przekonana. Kula w czaszce ofiary oraz okoliczności, w jakich znaleziono szczątki, mocno za tym przemawiają, i w tej kwestii zgadza się ze swoimi współpracownikami. To, o czym chce porozmawiać, dotyczy czegoś zupełnie innego, i dużo poważniejszego.

– Co się stało? – zapytał Borgström, który nie wiedział więcej niż to, co się mówi na korytarzach czy w stołówce.

– Chodzi o tożsamość ofiary – powiedziała. – Niestety, moi śledczy uparli się co do pewnej osoby, opierając się na teście DNA, a ja jestem całkowicie przekonana, że chodzi o kogoś innego.

– No tak, bardzo dziwne – zgodził się Borgström. – Zwłaszcza jeśli chodzi o test DNA.

– Takie rzeczy ciągle się zdarzają, niestety – odparła Hanna Hwass i znacząco wzruszyła ramionami. – Ktoś po prostu nabałaganił. Pewnie miał nieporządek w papierach, jeśli chcesz wiedzieć. Jednak moi ludzie zaprzeczają temu, bo to by oznaczało, że ktoś z nich popełnił bardzo poważny błąd. Udawanie, że nic się nie stało, i dalsze prowadzenie śledztwa, mimo że chodzi o zupełnie inną osobę, której tożsamości nie udało im się ustalić, może mieć bardzo poważne konsekwencje.

– Ale...

– Pewnie chcesz zapytać, skąd u mnie taka pewność, że ja mam rację, a oni nie – przerwała mu Hanna Hwass.

– No właśnie...

– Kobieta, o której twierdzą, że jest ofiarą morderstwa, nie żyje już od ponad jedenastu lat. Zginęła podczas tsunami, kiedy razem z mężem spędzała święta w Khao Lak. Prawie od razu została odnaleziona pod gruzami domku, który wynajmowali. Kiedy ją znaleźli, miała na sobie własne ubranie i własną biżuterię. Została zidentyfikowana zarówno przez personel hotelowy, jak i przez swojego męża oraz matkę. A po dwóch dniach także przez szwedzką policję, która przyleciała do Phuket i zajmowała się identyfikacją szwedzkich obywateli. Na pewno pobrali od niej DNA i dopiero na podstawie testów potwierdzili, że to ona. A jak zapewne wiesz, policjanci, których sami tam wysłaliśmy, to elita wśród

techników kryminalnych i śledczych. Więc dla mnie nie ma tu żadnego problemu.

– Masz rację, wygląda to bardzo sensownie. Więc jak taki Bäckström mógł tego nie zrozumieć? Przecież to śledczy, który ma bezwzględnie najwyższą wykrywalność przestępstw w kraju, jak sama pewnie wiesz. Prawie stuprocentową, przynajmniej jeśli chodzi o morderstwa.

– Nie miałam o tym pojęcia – powiedziała Hwass i pokiwała głową. – Ale jeśli mam być szczerą, to wydaje mi się, że coś z nim jest nie tak.

– A mianowicie?

– Zdaje się, że popiera zielonoświątkowców czy ten ruch odnowy Światło–Życie. Kto wie, może nawet jest członkiem sekty z Knytby, sądząc po tym, co wygaduje. Że nikt nie może umrzeć dwa razy i inne bzdury. Że nawet Jezus nie wrócił na Ziemię po tym, jak zmartwychwstał, tylko trzeciego dnia... wstąpił do nieba... bla, bla, bla. I wyobraź sobie, że wygaduje takie rzeczy na zebraniu. W Szwecji, w dzisiejszych czasach. Przecież to przechodzi ludzkie pojęcie...

– Rzeczywiście – zgodził się Borgström i pokiwał głową. – Nie wiedziałem, że jest wierzący.

– Potrzebuję twojego wsparcia – oznajmiła Hanna Hwass. – Nie godzę się na poniżanie mnie przez komisarza Niemiego. Ma robić to, co mu powiem. Koniec i kropka. A jeśli jeszcze raz zrobi to co poprzednio, zamelduję o tym komisji dyscyplinarnej. Tymczasem, jeśli chodzi o to, co się stało wczoraj, wybaczam mu.

Borgström pokiwał jedynie głową. Czasami trzeba się cieszyć tym, co się ma, pomyślał. Nawet teraz, mimo że nie było tu nic, z czego można by się cieszyć.

Dzień później szef policji Borgström miał się spotkać z komisarzem Bäckströmem. Jednak i tym razem się nie udało, choć błąd leżał całkowicie

po jego stronie. Dziesięć minut przed spotkaniem Borgström postanowił, że najwyższy czas przejąć dowództwo i nie bać się pokazać, kto tu rządzi. Więc zamiast spotkać się z Bäckströmem w jego gabinecie, postanowił zaprosić go do swojego. Wcześniej czy później Bäckström musi zrozumieć, o co chodzi, i przyjdzie do niego albo przynajmniej zadzwoni i zapyta, czy nie zaszło jakieś nieporozumienie.

Po dziesięciu minutach samotności i ciszy Borgström uświadomił sobie, że Bäckström niczego się nie domyślił. Zadzwonił więc do niego, ale odpowiedziała mu tylko automatyczna sekretarka. Bäckström jest na spotkaniu, jeśli masz pilną sprawę, zadzwoń później. Kiedy Borgström wpadł do biura Bäckströma, było już dwadzieścia po dwunastej. Po Bäckströmie nie było ani śladu, za to ze swojego pokoju wyjrzała Annika, jego najbliższy człowiek.

– Ach, to ty – powiedziała i uśmiechnęła się wesoło. – Już się zaczęliśmy niepokoić, że nie przyszedłeś na spotkanie z szefem. Poprosił mnie, żebym do ciebie zajrzała, czy przypadkiem coś się nie stało.

– A więc go nie ma?

– Nie. Miał spotkanie i musiał jechać – usprawiedliwiła go Carlsson.

– I nie mógł poczekać? – zapytał Borgström.

– Czekał. Prawie dwadzieścia minut – wyjaśniła Annika i spojrzała na zegarek.

– Zakładam, że to coś ważnego.

– Tak, miał się spotkać z komendantem głównym policji na Polhemsgatan – oznajmiła i znacząco wzruszyła ramionami. – Mam nadzieję, że zdążył. Nasz wielbny szef nie jest zachwycony, kiedy ludzie się spóźniają.

– A więc to tak – skwitował Borgström.

Jeszcze tylko tego brakowało, pomyślał. Nagle jest zdany na łaskę i niełaskę własnego podwładnego. Na łaskę Bäckströma albo na własną niełaskę.

– Wszystko w porządku, tak poza tym? – zapytała Annika.

– Dziękuję za troskę – odpowiedział Borgström. – Wszystko w najlepszym porządku.

Co się tutaj dzieje, pomyślał.

## 57.

Dla współpracowników Bäckströma był to tydzień pełen pracy, jednak co on sam robił, było niejasne. To, co z całą pewnością było wiadomo, to to, że przed piątkowym spotkaniem z prokuratorem i grupą śledczą przyniósł kawę i niezwykle pyszny tort, który kupił w eleganckiej cukierni w Solnej.

To, że poprzedniego dnia spotkał się z komendantem głównym komendy na Kungsholmen, było raczej nieprawdopodobne. Według artykułu w „Dagens Nyheter” komendant przebywał wtedy w Malmö, żeby na miejscu przyjrzeć się dwóm dzielnicom zamieszkanym głównie przez cudzoziemców, w których notuje się najwyższy stopień przestępczości. A ponieważ Bäckström nigdy nie czytał tej gazety, nic o tym nie wiedział.

To, że grupa śledcza zmniejszyła się z ośmiu osób do czterech, też mu niespecjalnie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, był w świetnym humorze, jowialny i pełen dobrych chęci. Prokurator natomiast odnotowała ten ubytek personelu, i to było jej pierwsze pytanie na spotkaniu.

– Gdzie się podziała nasza młodzież? – zapytała Hanna Hwass.

– Rozumiem twoje zdziwienie – powiedział Bäckström, częstując ją jednocześnie sporym kawałkiem tortu. – To ja jestem temu winien. Wysłałem ich do Urzędu Imigracyjnego do Norrköping pod dowództwem naszego kolegi Stigsona, żeby na miejscu przejrzyli dokumenty. I chyba nie muszę ci przypominać, kto mi to kazał zrobić.



– To wspaniale, że tego dopilnowałeś – odrzekła Hwass.

Mimo wszystko, robi, co mu każe, pomyślała.

– No właśnie – odpowiedział Bäckström i nalał jej kawy do kubka. – W tym punkcie jestem tak samo zaniepokojony jak ty. Kilka godzin temu dostaliśmy wyniki testu DNA, o który prosiliśmy, i chyba musimy ci za to podziękować. Normalnie trwałoby to miesiącami.

– Tak, dzwoniłam do nich – potwierdziła Hwass. – Ale jako że znalezienie tam kogoś, z kim można sensownie porozmawiać...

– Wytrwałość popłaca, wytrwałość popłaca – przerwał jej Bäckström i rozpromienił się jak słońce. – Liczy się rezultat i dlatego czuję się w obowiązku poczęstować cię tym oto kawałkiem tortu. Jeszcze kubek – dodał i uniósł w górę własny.

Prokurator Hwass skinęła głową i wzięła do ust okazały kawałek tortu.

Kubek, pomyślała. Pewnie tak się częstują po tych swoich zebraniach modlitewnych.

– Radosna nowina – powiedział Bäckström i westchnął z zadowoleniem. – Bardzo radosna.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedziała Hwass.

– Po pierwsze, dostaliśmy wyniki DNA z kości udowej, które nasz szanowny kolega Niemi chciał tak bardzo mieć.

– I jaki jest wynik?

– To samo DNA co z czaszki, więc już nie musimy się martwić, czy to było podwójne morderstwo, czy jeszcze coś gorszego.

– Jednak nie to mnie najbardziej niepokoi.

– Wiem, wiem – rzekł Bäckström. – To też się wyjaśniło. Pobraliśmy nową próbkę. Tym razem z lewego kła, bo przecież biedaczka wkrótce już nie będzie miała ani jednego.

– I co?

– To samo – odrzekł Bäckström.

– To samo?

– Dokładnie to samo – powtórzył. – To samo DNA we wszystkich trzech próbkach. Z tkanki zębowej prawego kła, ze szpiku lewej kości udowej i z tkanki lewego kła.

– Co powiedzieli w laboratorium? Zakładam, że to oni porównywali zgodność naszych testów z testami, które dostali z Urzędu Imigracyjnego.

– Cztery plus. Najwyższy możliwy wynik w ich dziewięciostopniowej skali, o czym pewnie wiesz równie dobrze jak ja – poinformował Bäckström. – A ponieważ żaden urodzony człowiek nie może umrzeć dwa razy, postanowiłem wysłać naszą młodzież do Urzędu Imigracyjnego, żeby tam, na miejscu, przejrzyli ich bazę danych DNA i sprawdzili, gdzie popełniono błąd.

– To wspaniale – powiedziała Hwass. – A co ty uważasz?

– Uważam, że wszystko się wyjaśni – odparł Bäckström i spojrzał na nią ze zdziwieniem. – Na pewno. Wcześniej czy później – dodał, unosząc wzrok ku sufitowi i jednocześnie splatając dłonie na brzuchu. – Wcześniej czy później Nasz Pan ześle nam radę i poprowadzi nas drogą, której tak teraz potrzebujemy, aby odnaleźć prawdę i światło.

Po tak rozbudzonych nadziejach zebranie trwało już bardzo krótko. Kiedy został zjedzony ostatni kawałek tortu – oskarżyciel posiłkowy Hanna Hwass przyśpieszyła tempa, nakładając sobie jeszcze jeden kawałek – prokurator podziękowała wszystkim za przybycie, życzyła miłego weekendu i wyszła.

– I co o tym sądzicie? – zapytał Bäckström, kiedy zostali sami.

– Że nasza prokurator musi być niespełna rozumu – powiedział Hernandez i zachichotał. – Dzięki za tort, tak na marginesie. Na ogół nie jadam tortów, ale ten był naprawdę dobry.

– Nie ma za co – odpowiedział Bäckström i spojrzął na zegarek.

Najwyższy czas na panią Piątek, pomyślał.

– Racja – rzekła Annika. – To, że jest niespełna rozumu, to jedno, ale jest coś dużo gorszego...

– Co takiego? – zapytała Nadia.

– Nigdy nie kupi tego, że to Jaidee Kunchai znaleźliśmy na Przeklętej Wyspie – odparła Annika. – W jej bajce Jaidee Kunchai zginęła w Tajlandii podczas tsunami. Ma słowo naszych szanownych kolegów. Przecież dostali nawet te cholerne medale za swoją robotę. To my, tutaj, coś sknociliśmy. To, że nie wierzymy w jej wersję, to tylko nasz problem.

– Nie wierzysz w cuda? Że nawet pani Hwass dojrzy prawdę i światło – powiedział Bäckström.

– Ja też nie wierzę w cuda – odpowiedziała Nadia. – Chyba że nagle złapiemy byłego męża Jaidee Kunchai i oskarżymy go o to, że wiele lat wcześniej zamordował własną żonę. Ale Hwass i tak to odrzuci. Bo jakie mamy dowody? Żadnych, jeśliby ktoś pytał.

– Uważam tak samo jak ty, Nadia – rzekła Annika. – Dla naszej prokurator to teraz sprawa honoru. Nigdy nie przyzna się, że popełniła błąd, a jacyś tępi gliniarze jak my mieli rację. Nigdy nie wystąpi w sądzie przeciwko takiemu adwokatowi jak Johan Eriksson, a czytałam w gazecie, że trzeci rok z rzędu został wybrany na najlepszego obrońcę w kraju. Obrońcę, który zgodziłby się na to, by policjanci, identyfikujący ofiary tsunami zeznawali pod przysięgą i udowadniali, że Jaidee właśnie wtedy zginęła. Nigdy. Zapomnij.

– Słyszę, co mówisz – powiedział Bäckström. – I zgadzam się z tobą.

– Więc co z tym robimy? – zapytał Hernandez.

– Problemy są po to, żeby je rozwiązywać – stwierdził Bäckström i wzruszył ramionami. – Czy nie to nam cały czas wbija do głowy ta

żałosna mała osóbką, która została nam zesłana za nasze grzechy?

Kiedy Bäckström wszedł do swojego gabinetu, żeby zabrać najpotrzebniejsze rzeczy, zamówić taksówkę i pojechać do pani Piątek, czekał na niego raczej niezbyt mile widziany gość.

– Jak dobrze, że cię wreszcie spotkałem – powiedział Borgström, który po lekturze porannej „Dagens Nyheter” postanowił, że już najwyższy czas pokazać, kto tu rządzi.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Bäckström

– Tylko kilka pytań – oznajmił Borgström. – Tak à propos, widziałem w dzisiejszej „Dagens Nyheter”, że komendant był wczoraj w Malmö. Byłeś tam razem z nim?

– Nie – odpowiedział Bäckström. – Pewnie pojechał prosto po naszym spotkaniu. Nie miałem pojęcia, że będzie musiał jechać do Malmö. Poza tym był wściekły jak osa, że się spóźniłem.

– Mam nadzieję, że...

– Mówię, jak było – powiedział Bäckström. – Dlaczego miałbym kłamać? A tak na marginesie, to miałeś do mnie kilka pytań.

– Tak, rozmawiałem z naszą prokurator. Jest zaniepokojona przebiegiem śledztwa.

Dlaczego zawsze jest coś nie tak, pomyślał Borgström. Niezależnie od tego, co powiem czy zrobię, to zawsze jest coś nie tak...

– A to dziwne. Bo jak się widzieliśmy piętnaście minut temu, to była w wyśmienitym humorze.

– A więc nie widzisz żadnego problemu? Mam na myśli śledztwo.

– Najmniejszego – odparł Bäckström. – Jeśli jesteś ciekaw, to idzie jak po maśle. Coś więcej chciałbyś jeszcze wiedzieć?

– Nie – odrzekł Borgström i pokręcił głową. – A tak z ciekawości...

– Co takiego?

– Z tego, co mówiła, zrozumiałem między wierszami, że jesteś wierzący.  
– Wierzący, tak. Jak każdy z nas. O ile mi wiadomo, to wszyscy w coś wierzymy.

– Chodzi mi o to, że jesteś wierzący po chrześcijańsku.

– Naturalnie – potwierdził Bäckström. – A to jakiś problem?

– Nie, zupełnie nie. Byłem tylko ciekaw. To przecież nie takie częste, jeśli wolno mi się tak wyrazić.

– Niestety – powiedział Bäckström ze smutkiem w głosie. – Ale w tym punkcie żywię dużą nadzieję, a wręcz przekonanie, że wkrótce nadejdą czasy, iż więcej z nas doświadczy łaski Bożej. Ten czas nadejdzie. Wystarczy, że poczytasz Biblię.

– Nie miałbyś ochoty mi o tym opowiedzieć...

– Naturalnie – przerwał mu Bäckström. – Na początku to była zwykła, dziecięca wiara, ale parę lat temu doznałem objawienia i wszystko się zmieniło.

– Objawienia?

– Tak – potwierdził Bäckström, westchnął głęboko i spuścił wzrok. – Objawił mi się. Widziałem go na własne oczy.

– Objawił ci się.

Przecież on jest zupełnie szalony, pomyślał Borgström.

– Tak, właśnie tak – powtórzył Bäckström z przekonaniem, jakie może mieć tylko człowiek, który doświadczył łaski. – Więc jeśli jesteś ciekaw, jak to się stało, że jestem najlepszym komisarzem śledczym w historii szwedzkiej kryminalistyki, to masz proste wytłumaczenie. Że kiedy mi się objawił, uczynił mnie swoim narzędziem tu, na Ziemi.

– Rozumiem, że z tego, co mówisz, wynika, iż rozwikłamy naszą zagadkę.

Jezu Chryste, pomyślał Borgström.

– Nasz Pan już tego dopilnuje.

Ciekawe, ile jeszcze zniesie, pomyślał Bäckström i pochylił się w kierunku szefa.

– Jeśli obiecasz, że to zostanie między nami, to mogę ci powiedzieć – wyszeptał Bäckström – skąd to wiem.

– Obiecuję, ma się rozumieć – przytaknął Borgström.

Facet jest zupełnie szalony. Ciekawe, czy nie jest niebezpieczny dla otoczenia, pomyślał i dla pewności odsunął do tyłu krzesło, na którym siedział.

– Więc ci powiem. Dał znak już dwa razy. Z tamtej strony.

– I co ci powiedział?

– Tego nie mogę zdradzić – oznajmił Bäckström. – Jak sam rozumiesz, to tajemnica. Ale nie żyw żadnego niepokoju, bracie. Wkrótce wszystko będzie jasne. Wtedy nawet ta głupia panna, którą przydzielono nam do nadzorowania naszego śledztwa, zda sobie z tego sprawę. Niezbadane są wyroki Jego i nie do wyśledzenia Jego drogi, pisze apostoł Paweł w liście do Rzymian, jedenaście trzydzieści trzy.

I po co ja tu przyszedłem, pomyślał Borgström, wracając pięć minut później do swojego gabinetu. Co ja takiego zrobiłem, że muszę mieć na karku jakiegoś szalonego fundamentalistę? Kiedy tylko wszedł do swojego pokoju, uderzyła go jednak pewna myśl. A co, jeśli się okaże, że będzie tak, jak mówi. Wtedy jestem zupełnie stracony.

## 58.

Już w poniedziałek Akkarat Bunyasarn wysłał Nadii odpowiedzi na dwa pytania, które mu zadała. Odpowiedź na pierwsze przyszła mailem już dzień później. Akkarat opisał jej pokrótce tajlandzkie ceremonie pogrzebowe, dość szczegółowo zrelacjonował też tę ceremonię w przypadku Jaidee Kunchai. Było to bardzo proste, gdyż firma pogrzebowa, którą wynajęła rodzina, nagrała pogrzeb na wideo. Proponują to wszystkim swoim klientom, a w przypadku Kunchai były to nawet dwa filmy. Pierwszy pokazywał samą ceremonię pogrzebową, drugi – rozsypywanie prochów tydzień później, w parku narodowym niedaleko Bangkoku. Z firmą pogrzebową kontaktowała się matka Jaidee. Przedtem robiła to dwadzieścia lat wcześniej, w związku ze śmiercią męża.

Rodzina Kunchai była rodziną buddyjską, lecz niepraktykującą swojej wiary. Zresztą tak jak większość społeczeństwa. Według opisu Bunyasarna ceremonia pogrzebowa nie odbywała się ściśle według buddyjskiego ceremoniału. Dawała przestrzeń na indywidualne życzenia i pod tym względem była podobna do ceremonii w Kościele protestanckim czy reformowanym.

Obrazki Buddy, kadzidełka, czytanie i śpiewanie pieśni buddyjskich. Ani w tradycji buddyjskiej, ani w jej tajlandzkim wariacie nie było też żadnych

ściślejszych reguł, jeśli chodzi o kremację czy pochówek w trumnie. To samo dotyczyło postępowania z ciałem zaraz po śmierci oraz pożegnania przed pogrzebem. To chwila skupienia z recytacją tekstów buddyjskich, czytanych przez przedstawiciela buddyjskiego, mnicha, mniszkę lub kogoś bliskiego. W przypadku Jaidee był to mnich z klasztoru w Bangkoku, który prowadził całą ceremonię. Uczestniczyło w niej kilkanaście osób. Mąż, matka, inni krewni oraz kolega jej męża z ambasady. Jednak brata nie było. Był natomiast obecny przy rozsypaniu prochów.

Kremacja to najczęstszy zwyczaj, nawet jeśli zdarzają się pochówki w ziemi, które w żaden sposób nie pozostają w sprzeczności z tradycją buddyjską. Następnie prochy zakopuje się lub rozsypuje w parku zmarłych albo w innym miejscu, zgodnie z indywidualnym życzeniem.

Mąż Jaidee był obecny na obu ceremoniach. Na jego temat Akkarat Bunyasarn miał kilka refleksji, które mu się nasunęły po obejrzeniu filmów. Jeśli to Johnson zamordował swoją żonę, to według Bunyasarna zasługiwał na Oscara, albo i dwa, za rolę rozpaczającego męża. „Nieobecny, niemogący ustać na nogach z rozpacz”. Kiedy Nadia obejrzała oba filmy, odniosła podobne wrażenie.

Żegnaj, hipotezo o szalonych satanistach czy zwykłych hienach cmentarnych, pomyślała. Ale nie tylko to. W związku z tym, co teraz wiedziała, zrozumiała, w jaki sposób kompetentny obrońca mógłby go bronić, jeśli udałoby im się wnieść oskarżenie przeciwko niemu, za punkt wyjścia mając to, co znaleźli na Przeklętej Wyspie ponad jedenaście lat po tsunami.

Obrońca prawdopodobnie zażądałby filmów jako materiału dowodowego do pokazania w sądzie. Fragment rozrzucania prochów na pewno byłby pokazywany kilka razy. Jak zrozpaczony mąż Jaidee zapada się w sobie, jak siada na ziemi, kołysze głowę w dłoniach, łka



bezgranicznie wstrząsany konwulsjami. Jak kolega z ambasady obejmuje go i próbuje pocieszyć.

Ten sam obrońca wezwałby również wszystkich tych legendarnych policjantów, którzy byli w Tajlandii podczas tej tragedii. Pozwoliłby im zeznawać pod przysięgą i zaręczając własnym honorem, próbowałby przekonać sąd, że Daniel Johnson nie mógł zamordować swojej żony, ponieważ ona już zginęła w tsunami. Nikt nie może umrzeć dwa razy, wtedy *adieu* z oskarżeniem, pomyślała Nadia.

Akkarat Bunyasarn był z pewnością dobrym wyborem. Myślał tak jak ona, widział te same problemy, te same wyjścia i furtki co ona.

Kiedy już wyłączała komputer, żeby iść na zebranie grupy śledczej, do pokoju wszedł Bäckström i oznajmił, że przed chwilą rozmawiał z prokuratorem, która odwołała spotkanie. Nagle okazało się, że ma ważniejsze rzeczy do zrobienia.

– Mianowicie?

– Nie powiedziała. W to, że posłuchała głosu rozsądku, nie bardzo wierzę. Ale miała propozycję.

– Ach tak?

– Widząc, na jakim etapie jest śledztwo, proponuje, żebyśmy na razie spotykali się tylko raz w tygodniu.

– I zaproponowałaś jej, żebyśmy się spotykali tylko w poniedziałki, tak?

– Czytasz w moich myślach, Nadia – powiedział Bäckström i się uśmiechnął. – Mądra z ciebie kobieta.

Przed taką, a są po temu wystarczające powody, trzeba się bardzo pilnować, pomyślał.

– Jak myślisz, co ona chce osiągnąć?

– Myślę, że szuka okazji, żeby zamknąć dochodzenie – odpowiedział Bäckström. – Nie mam nic przeciwko temu. Wtedy podciągniemy je pod

zwykle śledztwo i być może przydzielą nam kogoś na tyle rozsądnego, by podpisał się pod naszymi papierami.

W rzeczywistości było odwrotnie. Hanna Hwass nie miała najmniejszego zamiaru zamknąć śledztwa. Z dwugodzinnym wyprzedzeniem została wezwana do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i kiedy weszła do ogromnego budynku na Ingentingsgatan, czekało już na nią dwóch śledczych i jeden prokurator.

Powodem jej wezwania było zdanie raportu ze śledztwa pod przewodnictwem Bäckströma, które ona nadzorowała. Obszernego raportu. Jej rozmówców nie dotyczyła tajemnica śledztwa. Wszystko, co wiedziała, bez żadnych poprawek, zmian czy przemilczeń.

Dość szybko zrozumiała, że bardziej byli zainteresowani Bäckströmem niż samym śledztwem, a już najmniej nią samą. Natomiast oczekiwali, że na bieżąco będzie ich informować o postępach dochodzenia.

– Najprościej będzie, jak wszystko wam wyślę mailem – powiedziała Hwass, gdy tylko skończyła sprawozdanie ustne.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o którą chcemy cię prosić – oznajmił jeden ze śledczych.

– Dostaniesz od nas nowy adres mailowy – rzekł drugi.

– Czy to coś, o czym powinnam wiedzieć? – zapytała Hwass. – Nietrudno się domyślić, że chodzi o Bäckströma.

– Bez komentarza – odpowiedział drugi, próbując jednocześnie złagodzić swoje słowa przyjaznym skinieniem głowy i uśmiechem. – Bäckström nie jest tym, za kogo się podaje. To nie wesoły, jowialny grubas, który je i pije za dużo, a w wolnych chwilach ugania się za babkami. Niewielu jest tak sprytnych jak on. W jego obecności zachowuj się jak zwykle, żeby nic nie zaczął podejrzewać.

– Ale nie muszę się chyba obawiać o własne życie – rzuciła Hwass i też się uśmiechnęła.

– Nie – odparł prokurator i pokręcił głową. – Ale jeśli będziesz miała choć cień wątpliwości, zawsze możesz odmówić. Zrozumiemy.

– Nie ma problemu – powiedziała Hwass.

– Miło, że chcesz nam pomóc – rzekł prokurator. – Dziękujemy.

Zanim ich opuściła, musiała jeszcze podpisać zobowiązanie o tajemnicy służbowej, które ona, jako prokurator, też wiele razy sporządzała, a które zawierało ogólne rekomendacje.

I jeszcze na koniec spotkania przyjazne poklepanie po ramieniu.

Tajne służby, pomyślała Hanna Hwass, kiedy wsiadała do taksówki w drodze do biura. Ciekawe, o co chodzi, pomyślała. Może o to, co ci fanatycy religijni wyprawiają? Wysadzają w powietrze wszystko, co im się nie podoba. Począwszy od zwyczajnych klinik aborcyjnych, a skończywszy na urzędach podatkowych i meczetach.

Nadia kończyła już pracę i kiedy zaczęła się zbierać do domu, ponownie zadzwonił Bunyasarn, mimo że u niego było już po jedenastej wieczorem. Przesłał jej mailem informacje i kilka załączników dotyczących narodzin Jaidee. Dopisało mu szczęście. Okazało się bowiem, że Jaidee urodziła się w jednej z najlepszych klinik ginekologicznych w Bangkoku. W tej samej, w której dziesięć lat wcześniej urodził się jej brat.

Kiedy urodził się brat Jaidee, matka była już po trzydziestce – dość późno jak na tajlandzką pierworódkę. Swoje drugie dziecko, Jaidee, urodziła w tym samym roku, w którym skończyła czterdzieści lat. Z dokumentacji medycznej, którą dostał Bunyasarn, można było wywnioskować, jaki był tego powód. Małżeństwo Kunchai bardzo długo starało się o dziecko. Przez kilka lat konsultowali się z wieloma

specjalistami. W dokumentacji medycznej nie było natomiast nic, co by wskazywało, że mieli dzieci, które by oddali do adopcji. Wnosząc po rodzicach, Bunyasarn uważał, że to raczej niemożliwe. Ojciec był wysokim rangą oficerem w armii tajlandzkiej. Ponad rok pracował też jako adiutant króla Tajlandii. Kiedy urodziła się Jaidee, był pułkownikiem sztabu generalnego. Z uwagi na to, kim byli jej rodzice i jak długo starali się o dziecko, Bunyasarn uznał, że należy wykluczyć oddanie do adopcji siostry bliźniaczki Jaidee, gdyby takową w ogóle miała.

Ja też w to nie wierzę, pomyślała Nadia, mimo że sama nie miała dzieci.

A więc *adieu*, hipotezo o nieznannej siostrze bliźniaczce oddanej do adopcji, pomyślała, opuszczając gabinet. Jaką to mogło odgrywać rolę w ewentualnym oskarżeniu? I jaki oskarżyciel chciałby się tego podjąć?

## 59.

Annika czuła narastającą niechęć – dzień za dniem musiała siedzieć za biurkiem i stukać w klawisze komputera, szczególnie teraz, gdy ta zwariowana prokurator wisiała jej nad głową jak topór. Annika chciała rozmawiać z ludźmi, przesłuchiwać ich, śledzić, a jeśli trzeba, to i aresztować. Po prostu chciała działać, wyjść z budynku, dopilnować, żeby coś się wreszcie w ich śledztwie ruszyło, a jeśli okazałoby się, że się pomylili, to umorzyć dochodzenie i iść dalej. Najwyższy czas porozmawiać z drugą żoną Johnsona, pomyślała. Ale zanim to zrobi, musi pogadać z Bäckströmem.

– Nie boisz się, że za wcześnie wywołamy wilka z lasu? – zapytał Bäckström.

– Nie – odpowiedziała. – Minęło już osiem lat, odkąd się rozwiedli. Wydaje się, że od tamtej pory nie mają ze sobą kontaktu. Ona mieszka ze swoim nowym facetem, z którym ma dwoje dzieci. Dziewczynkę, pięć lat, i chłopca, który urodził się parę miesięcy temu.

– Więc pogadaj z nią. Może wreszcie będziemy mogli ruszyć tyłki z miejsca – odrzekł Bäckström.

Sophie Danielsson miała trzydzieści jeden lat. Kiedy poznała Daniela Johnsona, miała dwadzieścia dwa lata, piętnaście lat mniej niż on. Poznali

się wiosną 2007 roku, zamieszkali razem i latem tego samego roku wzięli ślub. Rok później się rozwiedli.

Kiedy Annika zadzwoniła do Sophie Danielsson, przedstawiła się i zapytała, czy mogłyby się spotkać, żeby porozmawiać, Sophie zareagowała tak jak wszyscy, kiedy dzwoni do nich ktoś taki jak Annika. Dlaczego policja chce z nią rozmawiać? Przecież nic nie zrobiła.

– Chciałabym porozmawiać o pani byłym mężu – tłumaczyła Annika.

– Aha, no dobrze. Co tym razem wymyślił?

– Porozmawiamy, jak się spotkamy – zaproponowała Annika.

Już godzinę później siedziała w kuchni u Sophie, w mieszkaniu w Hägersten, które zajmowali razem ze swoim partnerem i ich dwójką dzieci. Partner Sophie był w pracy. Córka w przedszkolu. Młodsze dziecko spało. Ona sama wyglądała na przemęczoną.

– Gösta nie śpi po nocach – powiedziała Sophie z uśmiechem, podając kawę swojemu gościowi. – Teraz zasnął, ale jeśli ja sama spróbowałabym się przespać, natychmiast by się obudził, żeby się pobawić z mamą.

– Gösta, jakie słodkie imię. Ja nie mam dzieci – odparła Annika.

Miła dziewczyna, pomyślała. I ładna. Daniel Johnson to najwyraźniej mężczyzna, który ma dobry gust. Najpierw Jaidee, którą, sądząc po zdjęciach, można opisać jako klasyczną orientalną piękność, a potem Sophie, rudowłosa, piegowata, o żywych oczach, pięknych rysach twarzy i wysportowanej sylwetce, mimo że niedawno urodziła dziecko.

– Daj znać, jak będziesz chciała popracować jako babysitter – zażartowała Sophie. – Mogę ci też pożyczyć Göstę na noc, jak będziesz chciała.

– Kiedy zadzwoniłam do ciebie i powiedziałam, że chcę porozmawiać o Danielu, dziwnie zareagowałaś – stwierdziła Annika.

– Chodzi o to, że zapytałam, co tym razem wymyślił? – przypomniała Sophie.

– No właśnie – odpowiedziała Annika. – Jeśli miałabyś zgadywać, jak myślisz, co by to było?

– Seks – odrzekła Sophie i skinęła głową. – Bo co innego? Jeśli to o Danielu mamy rozmawiać.

Niektóre przesłuchania są łatwiejsze niż inne. To takie, które stają się zwykłą, niewymuszoną i szczerą rozmową, o której się w ogóle nie myśli. Przesłuchanie Sophie właśnie do takich należało. Siedziały z Anniką w kuchni i piły kawę, a Sophie opowiadała o swoim pierwszym mężu. Annika nawet nie musiała za wiele pytać, żeby dowiedzieć się tego, co ją interesowało.

Sophie spotkała Daniela w pracy. Był piętnaście lat starszy od niej, owdowiały po tsunami i należał do tych typów, co to „podrywają wszystko i wszystkich”. Sophie uświadomiła sobie to dopiero po ślubie. Wtedy go opuściła.

– Zakładam, że wiesz, jak on wygląda – niby zapytała Sophie.

– Widziałam jego zdjęcia – przyznała Annika. – Ale nigdy go nie spotkałam.

– No to dokładnie tak wygląda – skwitowała Sophie z naciskiem. – Przystojny, wysportowany, czarujący, do szaleństwa się w nim zakochałam. Tak to się zaczęło.

– Kiedy się zorientowałaś, że ma inne na boku? – spytała Annika.

– Kiedy mi to powiedział – odparła Sophie. – Zaczął od razu po ślubie.

– Niewierny i szczery – stwierdziła Annika.

– Nic z tych rzeczy – powiedziała Sophie. – To go kręciło. Daniel chciał mieć wiele dziewczyn. Najchętniej jednocześnie. No właśnie, żeby raz z jedną, raz z drugą.

– Ale ty tak nie chciałaś – skostatowała Annika.

– Jeden raz się zgodziłam – wyznała Sophie. – Z moją koleżanką. Potem przez parę miesięcy okropnie się z tym czułam. To kręciło jego, nie mnie, ale jeślibym w to nie weszła, on i tak by robił swoje. Przy czym nie był agresywny, nic z tych rzeczy. Choć miał bzika na punkcie kontroli, to fakt. Włamał się do mojego komputera, a kiedy go zostawiłam, prześladował mnie.

– Zgłosiłaś to? – zapytała Annika.

– Nie – odparła Sophie i się uśmiechnęła. – Dlaczego miałabym to zrobić? Po co? Wystarczy przecież włączyć telewizor albo poczytać gazetę i od razu wiadomo, co się dalej dzieje. Opowiedziałam o tym mojemu starszemu bratu... I podziałało.

– Co zrobił twój brat? – spytała Annika.

– Mój brat to dawny kibic – wyjaśniła Sophie. – Jest jak Fantom. Miły dla miłych, twardy dla twardzieli.

– Pewnie odbył rozmowę z Danielem – zgadywała Annika.

– Właśnie – przyznała Sophie. – A ponieważ wiem, jaki może być mój brat, kiedy jest w swoim nastroju, to byłam pewna, że to załatwi. Nie żeby go od razu pobił... Mój brat jest bardzo miłym facetem, ale jeśli wiedziałabyś, jak on wtedy wyglądał, to od razu byś zrozumiała, że takiego jak Daniel nie musiał nawet tknąć.

– Chyba zrozumiałam – przyznała Annika. – Teraz coś zupełnie innego. Czy Daniel często opowiadał o swojej pierwszej żonie?

– Która zginęła w tsunami?

– Tak.

– Nie, nigdy – odpowiedziała Sophie. – Nawet jeśli go o to pytałam. Wspominał o niej tylko wtedy, kiedy się kłóciliśmy.

– Co wtedy mówił?



– Że było cholernie łatwiej z nią żyć – odrzekła Sophie. – I co mu wtedy możesz odpowiedzieć? Przecież nie powiesz mu, że może sobie do niej wrócić.

Pół godziny później Annika zrobiła pierwsze podsumowanie. Daniel Johnson był czarującym, przystojnym, uzdolnionym podrywaczem wszystkich i wszystkiego, nie był agresywny, ale miał bzika na punkcie kontroli i był stalkerem, a o swojej pierwszej żonie mówił tylko wtedy, kiedy podawał ją jako antyprzykład Sophie. Jeśli był takim zrozpaczonym wdowcem, za jakiego się podawał, świetnie to ukrywał. Czy jeszcze coś więcej o nim?

– Pewnie jesteś ciekawa, czy był godny zaufania – podsunęła Sophie i się uśmiechnęła.

– No właśnie.

– Oczywiście – odpowiedziała Sophie. – Ale kiedy już mnie miał, przestał się tym przejmować. Wtedy już był sobą. A ponieważ był tak ujmujący i towarzyski, nikt go o nic nie podejrzewał. Mam na myśli jego szefów i innych pracowników.

– Moim zdaniem wygląda na takiego czarującego psychopatę – skwitowała Annika.

– Chyba żartujesz – powiedziała Sophie i przewróciła oczami. – To tylko początek, jeśli mówimy o Danielu.

– Nazywasz go Daniel, nie Danne czy Dan – zauważyła Annika.

– Zależało mu na tym – przyznała Sophie. – Daniel Johnson. Wizytówki i takie tam, gdy poznawaliśmy nowych ludzi. Uwielbiał opowiadać o swojej pracy dyplomaty. Nawet jeśli tylko siedział w departamencie handlowym jako zwykły sekretarz i sortował papiery. Tym się właśnie zajmował, kiedy się poznaliśmy. A, i jeszcze jedno...

– Co takiego?

– Daniel był rozrzutnikiem – powiedziała Sophie. – Uwielbiał chodzić po knajpach. Na początku naszej znajomości wychodziliśmy nawet pięć razy w tygodniu. Zaraz po ślubie dostałam od niego samochód w prezencie. I to nie był tani samochód.

– Bardzo szczodry – rzekła Annika.

– Tak chciał być postrzegany. Ale wcale nie był szczodry. Po prostu we wszystkim, co robił, zawsze miał jakiś cel. Samochód odebrał mi tego samego dnia, kiedy go zostawiłam. Było to bardzo emocjonalne. Spakowałam walizki, a kiedy zeszłam do garażu w tej budzie w Gärdet, gdzie mieszkaliśmy, samochodu nie było. Potem, kiedy go miałam odzyskać, okazało się, że jest w leasingu. Firma, która go wyleasingowała, zabrała samochód. Nie stać mnie było na wypożyczenie samochodu za kilka tysięcy miesięcznie. Wtedy zaczynałam studia dzienne. Dwadzieścia dwa lata. Byłam głupia. Jakie to było zabawne... Uciekać od męża. Drałowałam do metra, dźwigając dwie walizki, do mamy i taty do Farsty, żeby znowu zamieszkać w swoim starym pokoju. Nie powiem, to jego mieszkanie było niczego sobie. Trzy pokoje, świeże i ładne.

– Skąd miał pieniądze? – zapytała Annika. – Miał może jakieś ubezpieczenie na swoją pierwszą żonę?

– Nie – powiedziała Sophie. – Nie sędzę. W każdym razie nic o tym nie wiem. Wprawdzie mieli wspólną firmę, którą sprzedał po jej śmierci. Twierdził, że dostał za nią dobre kilka milionów.

– Ach tak – odparła Annika. – Wiem, o czym mówisz. Nazywała się Johnson & Kunchai. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, która zajmowała się zarządzaniem. Cokolwiek by to miało znaczyć.

– No właśnie – potwierdziła Sophie. – Daniel jest przecież ekonomistą z wykształcenia i zdaje się, że jego pierwsza żona też była. Byli

udziałowcami po połowie. Pomagali biznesmenom w robieniu interesów w Azji.

– Muszę sprawdzić, ile dostał i jak ją sprzedał – powiedziała Annika.

Czyżby to było takie proste? – pomyślała.

– Czy chciałabyś coś jeszcze wiedzieć? – zapytała Sophie i spojrzała pytająco na Annikę.

– Myślę, że to już wszystko. Czy mogę się z tobą skontaktować, jeśli coś mi przyjdzie do głowy? – spytała Annika.

– Oczywiście, w porządku. Ale powiedz... powiedz, co on zrobił.

– To dość skomplikowane – odpowiedziała Annika z uśmiechem.

– Powiedz, jak jest. To coś związanego z seksem, tak? Na pewno chodzi o seks.

– Nie – odrzekła Annika. – Nie o seks.

– W takim razie o co?

– Dokładnie nie wiem. Może być nawet tak, że nic nie zrobił. A ja próbuję się czegoś dogrzebać...

– Przestań – powiedziała Sophie. – Nie Daniel. To oczywiste, że musiał coś zmalować.

Kiedy Annika wróciła na komendę, najpierw poszła do Nadii.

– Ta firma, którą Johnson miał wspólnie z żoną, wiesz...

– Johnson & Kunchai, South East Asian Trading and Business Management AB – sprecyzowała Nadia.

– Właśnie – powiedziała Annika.

Kobieta, która nadaje temu wszystkiemu ludzką twarz, pomyślała.

– Dlaczego pytasz?

– Rozmawiałam z jego drugą żoną. Powiedziała, że musiał dostać wiele milionów, kiedy sprzedał firmę.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparła Nadia. – Ale oczywiście umieszczę to na liście rzeczy do sprawdzenia.

– Świetnie, że nie będę musiała już tego robić – ucieszyła się Annika. – Cyfry to nie moja najmocniejsza strona.

– Nie sądzę, żeby to było takie proste – rzekła Nadia i pokręciła głową.

– Jak zaplanować tsunami, żeby zabić żonę, a potem wziąć jej pieniądze... To masz na myśli? – zapytała Annika.

– Coś w tym rodzaju – zgodziła się Nadia.

Kiedy Annika wróciła do swojego gabinetu, wyszukała kilka zdjęć starszego brata Sophie, Axela Danielssona, trzydzieści sześć lat. Najlepsze zdjęcie znalazła na stronie Hammarby Supporterklubb. Axel Danielsson w całej okazałości – były trener drużyny chłopców, obecnie pomocnik, sto kilo mięśni i kości rozłożonych na dwóch metrach długości.

Dokładnie rozumiem, co miałaś na myśli, Sophie, pomyślała Annika.

## 60.

Kiedy Annika zbierała się już do domu, do jej gabinetu przyszła Nadia. Dotarła do ważnych dokumentów o spółce Johnson & Kunchai i jej interesach.

– Jeśli chodzi o te miliony, które miał zarobić na sprzedaży firmy, to myślę, że możemy o tym zapomnieć – powiedziała Nadia.

– A ile dostał?

– Koronę. Kupujący wziął na siebie długi firmy na kilkaset tysięcy koron i opłacił koszty likwidacji. We wrześniu dwa tysiące szóstego roku. Zrobił to tylko po to, żeby przejąć klientów firmy. Jeśli chcesz, mogę ci przesłać mailem wszystkie dane. Bilanse roczne, umowę sprzedaży i dokumenty o likwidacji firmy.

– Na litość boską, nie! – wykrzyknęła Annika. – Wierzę ci na słowo. Nienawidzę tej całej księgowości. Więc jeśli Johnson dostał za firmę tylko koronę, to nie rozumiem, jak go było stać na taką rozrzutność. Według słów jego drugiej żony szastał pieniędzmi bez opamiętania. Powietrze wokół knajp na Stureplan to jedyne, czym oddychał.

– Ubezpieczenie żony na życie tylko częściowo wyjaśnia sprawę. Jego pracodawca opłacał mu ubezpieczenie, które obejmowało również Jaidee, bo kiedy pracował w ambasadzie, była jego żoną.

– Ile to było?

- Dwa miliony – powiedziała Nadia.
- No tak, to tłumaczyłoby sprawę – odparła Annika.
- Nic z tych rzeczy – zaprzeczyła Nadia. – Bo kiedy latem przyjechał do Szwecji, a wtedy już od ponad pół roku był na zwolnieniu lekarskim, kupił mieszkanie w Gärdet, trzy pokoje na Öregrundsgatan za ponad cztery miliony. Milion wyłożył z własnych pieniędzy, a resztę pożyczył w banku.
- Może świetnie zarabiał? Dyplomaci zarabiają cholernie dużo pieniędzy.
- Jeśli są na placówkach za granicą. W kraju nieszczególnie. Zresztą w dwa tysiące piątym był na zwolnieniu lekarskim prawie cały rok. Potem zaczął pracę w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, tu, w Sztokholmie. Jako zwykły urzędnik.
- Ile taki może zarabiać?
- Nieznacznie więcej niż ktoś taki jak ty – odpowiedziała Nadia i się uśmiechnęła.
- W takim razie nie mogło mu się tak dobrze powodzić.
- Absolutnie nie – odparła Nadia. – Choć powinno mu wystarczyć na normalne wydatki.
- Z tego, co mówiła ta Sophie, miałam nieodparte wrażenie, że szastał pieniędzmi na prawo i lewo. Skąd je miał?
- Nie mam pojęcia – powiedziała Nadia i potrząsnęła głową. – Szukałam ich. I do tej pory nic nie znalazłam.
- Bo może ich nie miał – zastanawiała się głośno Annika.
- Na pewno jakieś miał. Dwa lata później, kiedy ożenił się drugi raz, z Sophie, spłacił do końca mieszkanie. Ponad cztery miliony.
- Może były jakieś inne ubezpieczenia na żonę – rozważała Annika.
- Ja w każdym razie ich nie znalazłam – powiedziała Nadia.

## 61.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Annika rozmawiała z Sophie Danielsson, dwóch tajlandzkich policjantów leciało z Bangkoku do Phuket. Inspektor Surat Kongpaisarn i jego młodszy kolega, inspektor Chuan Jetjirawat z Narodowego Centrum Kryminalistyki Policji Królewskiej. Wysłał ich tam szef, nadinspektor Akkarat Bunyasarn, aby przesłuchali kobietę o imieniu Amporn Meesang, która obecnie pracuje jako szef recepcjonistów w jednym z większych hoteli w Khao Lak. Już na miejscu okazało się, że będą zmuszeni przesłuchać jeszcze jedną osobę, a mianowicie jej kolegę z pracy. Byłego szefa ochrony hotelowej, Winai Paowsonga.

Kiedy prawie dwanaście lat wcześniej zdarzyła się katastrofa, Amporn była recepcjonistką w kompleksie hotelowym, w którym Jaidee z mężem wynajęli bungalow. Zameldowali się w hotelu w środę 22 grudnia i zamierzali zostać do Nowego Roku. Tsunami pokrzyżowało ich plany i 27 grudnia Amporn Meesang i jej młodszy kolega, szef ochrony Winai Paowsong, który też tam pracował, pomagali Danielowi Johnsonowi wyciągnąć ciało Jaidee Kunchai z gruzów tego, co jeszcze niedawno było ich bungalowem. Te obrazy będzie nosiła w pamięci do końca swoich dni, mimo iż chciałyby je wymazać. Przesłuchanie, które prowadził Kongpaisarn i Jetjirawat we wtorek 16 sierpnia, trwało prawie dwie

godziny. Surat Kongpaisarn był głównym przesłuchującym, Chuan Jetjirawat pomocnikiem. Dwa razy przerywali przesłuchanie, gdyż Amporn Meesang ogarniały takie emocje, że musiała zrobić przerwę, by się uspokoić. Przesłuchanie, które najpierw nagrano na magnetofon, a potem przetłumaczono na angielski i wydrukowano, prowadzone było w formie dialogu. Trzy dni później czekało w skrzynce mailowej Nadii razem z linkiem do oryginału, mimo że Bunyasarn miał pełną świadomość, że Nadia – z wiadomych powodów – nie zna ani słowa po tajsku. Dołączył także link do nagrania z przesłuchania, a to „z tych prostych prawniczych powodów, które samych adwokatów wprawiają w dobry humor”. Poza tym dobrze wiedział, że w szwedzkiej policji kryminalnej jest wielu świetnych tłumaczy z tajskiego. Część przesłuchania o tym, jak wszyscy troje wyciągali ciało Jaidee z gruzów bungalowu, Bunyasarn oznaczył jako szczególnie ważną. Sam przetłumaczył przesłuchanie na angielski, które Nadia przełożyła potem na szwedzki.

– Czy dobrze zrozumiałem, że nie weszłaś do środka, kiedy Johnson i Winai szukali pani Kunchai, tylko czekałaś na zewnątrz?

– Tak, jej mąż, to znaczy pan Johnson, poprosił, żebym poczekała na zewnątrz. Dom wyglądał tak, jakby miał w każdej chwili runąć. Byłam zadowolona, że nie muszę tam wchodzić. To wyglądało okropnie. Miałam wtedy dopiero dwadzieścia lat.

– Czy pamiętasz, jak długo pan Johnson i Winai byli w środku?

– Nie bardzo, może dziesięć, piętnaście minut, ale wydawało się, że to cała wieczność.

– Widziałaś ich, jak byli w środku?

– Nie. Ale ich słyszałam. Jak próbowali przesuwać meble i jakieś inne rzeczy. Potem usłyszałam, jak pan Johnson zaczął krzyczeć. Był zupełnie zrozpaczony. Winai opowiadał potem, że to było w momencie, kiedy



znalazł swoją żonę. Leżała przyciśnięta pod łóżkiem. Krzyczał jej imię, Jaidee, Jaidee. Zobaczyli jej stopę wystającą spod łóżka.

– Ale ty tego nie widziałaś? Jak zaczął krzyczeć, gdy ją zobaczył leżącą pod łóżkiem.

– Nie. Winai mi to opowiadał.

– Co było potem?

– Później Winai wyszedł na zewnątrz i powiedział, żebym pobiegła do hotelu i przyniosła nosze i prześcieradło. Pamiętam, że wtedy wydawało mi się, że ona żyje.

– Ile czasu to zajęło? Pięć minut? Dziesięć?

– Nie, najwyżej pięć. Albo nawet mniej. Kiedy wróciłam, wciąż jeszcze byli w środku. Ich bungalow leżał tylko pięćdziesiąt metrów od budynku hotelu.

– Przyniesienie noszy i prześcieradła zajęło ci mniej niż pięć minut?

– Dwie, może trzy. Najwyżej. Aż nie chce mi się wierzyć, że tak szybko biegłam. Ale myślałam wtedy, że ona jeszcze żyje.

– Co się działo później?

– Potem z bungalowu wyszedł pan Johnson i niósł swoją żonę na rękach. Winai wyszedł za nim. Dobrze pamiętam. Najpierw pan Johnson. Niósł swoją żonę, tak jak się niesie dziecko. Pamiętam, że był zupełnie zrozpaczony... Przepraszam, ale... (*szloch*)

– Przerwywamy przesłuchanie. Jest godzina jedenasta dwadzieścia trzy.

Pierwsza przerwa trwała pięć minut, a kiedy Kongpaisarn wznowił śledztwo, zaczął bardzo delikatnie.

– Dasz radę opowiedzieć, co widziałaś?

– Tak... mi się wydaje... (*szloch*)

– Nie śpieszy nam się, Amporn. Mamy czas.

– Najpierw pomogliśmy ją położyć na noszach. I wtedy zobaczyłam, że jednak nie żyje. I poczułam. Jej ciało było zupełnie sztywne. Jej jedna ręka sterczała sztywno i była cała zakrwawiona. To znaczy krwawiła jej głowa. Winai opowiadał potem, że sufit w sypialni runął na ziemię i musiała dostać belkę w głowę. Belką, która spadła z sufitu.

– Ale mimo wszystko ją poznałaś? To była żona pana Johnsona?

– Tak, to była ona. Spotykałam ją codziennie, prawie przez cały tydzień. Nawet kilka razy dziennie. Pamiętam, że miała na szyi złoty łańcuszek z jadeitem. Zawsze go nosiła. Był bardzo piękny. Musiał kosztować mnóstwo pieniędzy. Ubrana była w koszulę nocną. Też ją poznałam. Była bardzo ładna, jedwabna. Niebieska.

– Skąd wiedziałaś, że to jej koszula? Widziałaś ją wcześniej w tej koszuli?

– Tak, rano w Wigilię. Jej mąż, pan Johnson, dostał długi mail przysłany do recepcji. Z ambasady szwedzkiej w Bangkoku, ale był po szwedzku, więc nic nie rozumiałam. Mój szef kazał mi go zanieść, na wypadek gdyby to było coś ważnego. Przecież pan Johnson pracował w ambasadzie. Był dyplomatą. Kiedy zapukałam do drzwi, to ona mi otworzyła. Miała na sobie tę samą koszulę nocną. Była... była... (*szloch*)

– Wiesz co, Amporn, zrobimy teraz przerwę. Chciałabyś coś do picia?  
(*szloch*)

Druga przerwa trwała piętnaście minut i kiedy Kongpaisarn wznowił przesłuchanie, próbował złagodzić cierpienie Amporn, zaczynając od trochę innego pytania.

– Jestem ciekawy, Amporn... Jeśli chodzi o tę wiadomość, którą im zaniosałaś. Czy to było coś ważnego, tak jak myślał twój szef?

– Nie, nawet zapytałam, bo pani Johnson, to znaczy Jaidee Kunchai, zaczęła się śmiać, jak ją czytała. Mówiła przecież płynnie po szwedzku.

I w tym języku rozmawiała ze swoim mężem. To znaczy po szwedzku. To były życzenia świąteczne od ambasadora. Wszystkim pracownikom ambasady życzył miłych świąt. Pamiętam, jak powiedziała, że to nie aż tak ważne, by budzić męża. Nie to że miał ka... to znaczy wieczór wcześniej byli w barze i...

– Rozumiem. Wróćmy może do tego, co mówiłaś na początku. Kiedy położyliście panią Johnson na noszach... Co zrobiliście potem?

– A więc pomogliśmy zawinąć ją w prześcieradło. Potem zanieśliśmy ciało do hotelu. Do piwnicy. Tam było najchłodniej. Dlatego to tam kładliśmy wszystkie ciała.

Po piętnastu minutach przesłuchanie się skończyło i z tego, co zostało powiedziane w ostatniej części, między słowami można było wyczytać, że inspektor Surat Kongpaisarn postanowił poszerzyć swoje pierwotne zadanie.

– Wspomniałaś o swoim koledze Winaiu. Wiesz, gdzie go możemy znaleźć?

– Tak, mogę do niego zadzwonić.

– Możesz do niego zadzwonić?

– Tak, po tsunami przestał pracować w hotelu. Kiedy to się stało, miał dopiero szesnaście lat, więc rozumiem go, naprawdę. Teraz jest taksówkarzem. Ma własną firmę, razem z kuzynem, trzy samochody. Zatrudniają ludzi. Często tu mają kursy.

– To się dobrze składa. Więc dasz nam jego numer?

– Myślę, że będzie lepiej, jak ja sama do niego zadzwonię. Znamy się.

– Zróbmy tak.

Najwyraźniej powiodło się, gdyż przesłuchanie Winaia Paowsonga odbyło się zaledwie godzinę później.

## 62.

W piątek, tydzień wcześniej, Stigson, Olsson i Oleszkiewicz odwiedzili Urząd Imigracyjny w Norrköping, żeby wreszcie spotkać się z archiwistką, która zdaniem jej koleżanki z pracy była właściwą osobą, żeby ewentualnie pomóc im w śledztwie. W samochodzie Stigson zastanawiał się, czy na początku nie zacząć nieco lżej, stworzyć nieformalną atmosferę, która zawsze ułatwia współpracę. Może zażartować, jak to jest wrócić do pracy w piątek. Jednak jak tylko ją zobaczył, schował swoje plany do kieszeni, a i ona nie miała nic szczególnego do powiedzenia.

Kiedy Jaidee przyjechała do Szwecji i zaczęła starania o pobyt stały, pozwolenie na pracę i obywatelstwo – zamierzała wyjść za mąż za obywatela szwedzkiego – w bazie danych było mnóstwo informacji o niej i jej życiu w Tajlandii. Zresztą nie tylko. Również to, jak widziała swoją przyszłość w nowej ojczyźnie.

Dwadzieścia lat wcześniej uzyskanie informacji z Urzędu Imigracyjnego nie było żadną sztuką. Jednak dzisiaj sytuacja była zgoła odwrotna. Jako że Jaidee uzyskała wszystko, co chciała, zniszczono informacje o niej, a kiedy zmarła, Urząd pozbył się resztek dokumentów, które zachowały się jeszcze w archiwum. To oczywisty i potrzebny proces, żeby nie utonąć w papierach, skostatowała archiwistka i spojrzała na swoich gości groźnym wzrokiem.

Jedyne, w czym mogła im pomóc, to parę ogólnych rad i wskazówek o innych drogach poszukiwania informacji. Czasami zdarza się, że dokumenty z Urzędu Imigracyjnego lądują w Archiwum Narodowym, a nawet w jakimś lokalnym archiwum. Więc może warto spróbować w takich miejscach.

Jeśli chodzi o próbki DNA, to oczywiście sami tego nie robili. Zlecali to policji, a wyniki badań były przesyłane do Urzędu Imigracyjnego. Policja ich nie potrzebowała, gdyż nie były robione w związku z przestępstwem, a jedynie dla potwierdzenia tożsamości osoby starającej się o pobyt w Szwecji.

Na koniec archiwistka coś im podpowiedziała. Może badania naukowe mogłyby im w czymś pomóc? Badania robione dla Urzędu Imigracyjnego obejmowały wiele dziedzin, a ona ma znajomą, która zbierała materiały potrzebne do pracy naukowej właśnie na temat kobiet z Tajlandii, które przyjechały do Szwecji z zamiarem wyjścia za mąż, i to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przyjechała Jaidee Kunchai.

– Czy pamiętasz może tytuł tej pracy naukowej? – zapytał Oleszkiewicz, który z nich wszystkich miał największe doświadczenie akademickie.

Z tą kobietą nie ma żartów, pomyślał.

– Oczywiście – odpowiedziała archiwistka, która z jakiegoś powodu wbiła wzrok w Stigsona. – Praca jest po angielsku – wyjaśniła i spojrzała na niego.

– A więc słucham – odparł Oleszkiewicz i wziął do ręki długopis.

– *A New Life, a New Country, and a New Husband*. Praca ma też podtytuł, ale zapomniałam jaki. Coś o tym, jak zdobywa się władzę nad kobietą.

– Pamiętasz nazwisko autorki – przypomniał jej Oleszkiewicz.

– Tak, Åsa Lejonborg. Na pewno o niej słyszeliście. Znana socjolog i badaczka gender. Jest profesorem na uniwersytecie w Linköping. Pozdrówcie ją ode mnie. Poznałyśmy się, kiedy zbierała u nas materiały do swojej pracy.

– To miło – powiedział Stigson.

A co innego, do licha, miałbym powiedzieć, pomyślał.

– Tak naprawdę to okropna historia – stwierdziła archiwistka.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Olsson.

– Jak szwedzcy mężczyźni zachowują się wobec tych nieszczęsnych kobiet, które tu przywożą. Czyste niewolnictwo. A co wy, policjanci, z tym robicie? Oczywiście nic.

– Poprosić Bäckströma, żeby pogadał z tą Lejonborg? Co uważacie? – zapytała Kristin, kiedy siedzieli w samochodzie w drodze powrotnej do Sztokholmu.

– Możesz go zapytać – powiedział Stigson. – Ja nie zamierzam tego robić. Mam na utrzymaniu żonę i dzieci.

W poniedziałek pojechali do Linköping, żeby spotkać się z profesorem od badań nad gender, Åsą Lejonborg. Tym razem w zredukowanej grupie, ponieważ Stigson był zmuszony zostać w Sztokholmie, bo miał coś ważniejszego do zrobienia. To, że ich prokurator przełożyła poniedziałkowe zebranie, to jeszcze nie koniec świata.

Praca Lejonborg zawierała wywiady z dziewięćdziesięcioma tajlandzkimi kobietami, które przyjechały do Szwecji, żeby wyjść za mąż za Szwedów. Jaidee Kunchai była jedną z nich. Przekazanie informacji o niej nie oznaczało złamania tajemnicy służbowej.

– Jaidee to ta kobieta, która zginęła w tsunami – powiedziała Lejonborg i zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie faktu niż pytanie.

– Zgadza się – potwierdziła Kristin i skinęła głową.

Ciekawe, czy ona i ta archiwistka to rodzina, pomyślała.

– W porównaniu z tym, jak ciężko było jej siostronom, jej sytuacja nie wyglądała jeszcze tak źle – westchnęła Lejonborg i zmierzyła wzrokiem Oleszkiewicza.

– Masz o niej jakieś informacje? – zapytała Kristin Olsson.

Lejonborg miała mnóstwo informacji o Jaidee Kunchai. Częściowo te, które wcześniej znajdowały się w Urzędzie Imigracyjnym, częściowo obszerny materiał z wywiadów, który sama zebrała.

– Czy moglibyśmy przejrzeć ten materiał? – zapytała Kristin. – Prowadzimy śledztwo, więc może nam to pomóc.

– Nie – odpowiedziała Lejonborg. – Nie mogę wam tego udostępnić. Zapomnijcie. Jeśli tylko po to przyjechaliście, to na próżno – podsumowała i spojrzała na zegarek.

– Czy w takim razie możemy zadać ci parę pytań? – spróbowała jeszcze raz Kristin.

– Absolutnie nie – odparła Lejonborg.

– Nie wiem, czy jesteś świadoma, ale w związku z tym, że potrzebujemy informacji do śledztwa, alternatywą może być nakaz. I tak zdobędziemy te materiały – powiedział Oleszkiewicz.

Weź się w garść, facet, przecież jesteś prawnikiem, pomyślał.

– Powodzenia – odparła Lejonborg i uśmiechnęła się szeroko, pokazując wszystkie swoje białe, ostre zęby i bardzo wąskie oczy. – Mam coś ważnego do zrobienia, więc nasze spotkanie uważam za zakończone.

– I co o tym sądzisz? – spytała Kristin w drodze do Sztokholmu. – Myślisz, że uda nam się coś z niej wydobyć?

– Nie – odrzekł Oleszkiewicz. – A ty sądzisz inaczej?

– Nie – odpowiedziała Olsson.

– Powinniśmy byli wysłać Bäckströma – skitował Oleszkiewicz.



## 63.

Przesłuchanie szefa ochroniarzy hotelu w Khao Lak, który pomagał Danielowi Johnsonowi wynieść ciało jego martwej żony, zasadniczo potwierdziło zeznania Amporn Meesang. To, co oboje widzieli i przeżyli, pozostawiło w ich pamięci te same obrazy. Teraz trzeba się było jedynie dowiedzieć, co wydarzyło się w środku, w bungalowie, do którego Meesang nie weszła.

Sypialnia leżała w najdalszej części domu, patrząc od drzwi wejściowych, i to Daniel Johnson szedł przed Winaiem Paowsongiem. Wszędzie było pełno gruzu z sufitu i ze ścian, odłamki szyb ze zniszczonych okien, porozrzucane meble i żyrandole. Pierwszym, co zobaczyli, kiedy udało im się dostać do sypialni, było duże łóżko przewrócone do góry nogami i wystająca spod niego noga. To wtedy Johnson zaczął wołać swoją żonę po imieniu i wczołgał się pod łóżko, żeby ją wyciągnąć.

– Co ty wtedy robiłeś? – zapytał Kongpaisarn.

– Próbowałem podnieść łóżko, żeby mógł ją wydostać – odpowiedział Winai Paowsong. – Jak już mówiłem, leżała przyciśnięta na podłodze.

Wspólnym wysiłkiem udało się im. Twarz Jaidee była zupełnie zakrwawiona. Drewniana belka spadła z sufitu i trafiła ją w twarz. Miała na sobie niebieską koszulę nocną i nic więcej.

- Żadnych majtek, stanika, nic na nogach?
- Nie – odpowiedział Winai. – Pamiętam, że jej mąż opuścił jej koszulę.
- Dlaczego to zrobił? – spytał Kongpaisarn.
- Nic w tym dziwnego – odparł Winai. – Nie tylko Amporn tam była. Wszędzie dookoła było pełno ludzi. Chciał zasłonić jej ciało.
- Brzmi sensownie – zgodził się Kongpaisarn. – Pamiętasz może, czy na koszuli nocnej była krew?
- Niestety nie. Ale nie sądzę. Pamiętam tylko, że miała zakrwawioną twarz. Tak, i włosy.
- A łańcuszek...
- Miała go na sobie. To znaczy kiedy pomagałem panu Johnsonowi ją wyciągnąć. Zawsze go nosiła. Kiedy jadła, kiedy pływała. Zawsze ją w nim widziałem.
- I jesteś pewien, że to była Jaidee Kunchai?
- No tak, na pewno – powiedział Winai. – No bo kto inny?
- Czy coś jeszcze zapamiętałeś?
- Że to było okropne. Miałem wtedy szesnaście lat. Pamiętam, jak pan Johnson cały czas płakał, szlochał. Mówił coś do siebie. To musiało być po szwedzku, bo nie rozumiałem ani słowa.

Jaidee Kunchai i jej mąż nie musieli płacić za pobyt w Khao Lak. Zrobiła to firma ubezpieczeniowa hotelu. Mąż Jaidee dostał nawet zwrot zaliczki, którą zapłacił swoją kartą kredytową, kiedy rezerwował hotel. Papiery z ich pobytu wciąż jeszcze były w hotelu – między innymi rachunek – dzięki temu, że wszystkie rachunki i faktury przetrzymywane były znacznie dłużej, niż wymaga tego prawo, na wypadek gdyby były potrzebne na przykład policji czy firmie ubezpieczeniowej do odszkodowań. To, co jest w dokumentach, najchętniej wyrzuca się z pamięci.

Zanim Kongpaisarn i Jetjirawat wsiedli do ostatniego samolotu z Phuket do Bangkoku, pojechali do hotelu, w którym mieszkali Jaidee Kuchai i jej mąż Daniel Johnson. Obeszli hotel, który teraz wyglądał tak samo jak przed tsunami. Bungalowy wciąż stały, przodem do morza, i jedyne, co wydawało się nowe, to ustawione wzdłuż brzegu syreny, by ostrzec mieszkających tam ludzi, zanim coś takiego jeszcze raz się wydarzy.

Opuszczając ośrodek, zabrali ze sobą całą dostępną dokumentację dotyczącą pobytu Jaidee Kunchai i Daniela Johnsona. Rachunek hotelowy opłacony przez firmę ubezpieczeniową oraz kopie innych rachunków. Za jedzenie i picie w hotelowej restauracji, zakupy w sklepikach hotelowych i wszystkie inne rachunki, których nie zdążyli opłacić. Wśród nich była też kopia karty kredytowej, której używał Daniel Johnson. Karta platynowa American Express. Zapis dwóch ostatnich przesłuchań obsługi hotelowej, zapiski z firmy taksówkarskiej: ktoś zamówił taksówkę, która najwyraźniej nie dojechała.

Jest wszystko, co potrzebne do złapania mordercy, pomyślał Akkarat Bunyasarn, kiedy dzień później analizował całą dokumentację ze swoimi dwoma współpracownikami, którzy przywieźli ją z Phuket. Najwyraźniej tak było. Nie ma co komplikować bez potrzeby, pomyślał.

## 64.

Szef szwedzkiego kontrwywiadu poprosił o ponowne spotkanie ze swoim najwyższym przełożonym, Lisą Mattei. Jak najszybciej, najchętniej już, teraz, gdyż działalność agenta Everta Bäckströma na rzecz Rosjan przybrała nieoczekiwany i niebezpieczny obrót.

Mattei spotkała się z szefem kontrwywiadu już kilka godzin później i kiedy ten rozsiadł się wygodnie w jej gabinecie, zauważył, że jest jeszcze jeden uczestnik spotkania, mianowicie wiceminister spraw zagranicznych, który był zarazem osobą kontaktową i łącznikiem z Säpo.

– Opowiadaj, co teraz wymyślił? – zapytała Mattei, wzięła swój kubek z kawą i pokazała głową na termos, który stał na stole.

– Próbuje wsadzić za kraty szwedzkiego dyplomatę, że niby zamordował własną żonę – powiedział szef kontrwywiadu.

– Słyszałem – przytaknął wiceminister. – Osobę, którą za miesiąc chcemy mianować ambasadorem szwedzkim w Wilnie. Wątpię, żeby to był przypadek, biorąc pod uwagę sytuację polityczną.

– A zrobił to? – zapytała Mattei i spojrzała pytającym wzrokiem na swojego gościa z ministerstwa.

– Słucham?

– No, ten przyszedł ambasador – doprecyzowała Mattei. – Zamordował żonę?

– Oczywiście, że nie – zaproponował wiceminister.

– Skąd ta pewność? Można myśleć, co się chce, o Bäckströmie, ale to przecież świetny śledczy.

– To bardzo tragiczna historia – powiedział wysłannik ministerstwa. – Kobieta, o której mowa, zginęła podczas tsunami w Tajlandii prawie dwanaście lat temu. Jej mąż pracował wtedy w naszej placówce w Bangkoku. Spędzali święta w Khao Lak, kiedy to się stało. Jego żona została zidentyfikowana przez szwedzkiego policjanta. To pewna identyfikacja. Nie ma żadnej możliwości, żeby jej mąż zabił ją kilka lat później. I to w dodatku tutaj, w Szwecji.

– No nie, to brzmi dziwacznie. Przecież nikt nie umiera dwa razy – powiedziała Mattei. – Rozmawialiście z ludźmi z Komendy Głównej?

– Tak – potwierdził szef kontrwywiadu. – Są pewni swego. Kobieta, o której mowa, zginęła w tsunami w dwa tysiące czwartym roku.

– Jak tłumaczą zachowanie Bäckströma?

– Uważają, że jest skończonym wariatem – odrzekł szef kontrwywiadu – czego, biorąc pod uwagę jego tryb życia, nie można wykluczyć, ale...

– Jednocześnie uważamy, że jest inne, znacznie bardziej racjonalne wytłumaczenie – dodał wiceminister.

– Rozumiem wasz tok myślenia – powiedziała Mattei. – Szwecja mianowała mordercę swojej żony na swojego przedstawiciela na Litwie. Co wiele mówi o naszym kraju.

– No właśnie, propaganda rosyjska będzie miała używanie – zgodził się szef kontrwywiadu. – Zwłaszcza jeśli będą się powoływać na szwedzkie media jako swoje źródło. Przecież wszyscy wiemy, jak Bäckström prowadzi swoje dochodzenia. Wystarczy śledzić tytuły gazet.

Po chwili szef kontrwywiadu kontynuował:

– Nawiązaliśmy kontakt z prokuratorem, która nadzoruje dochodzenie Bäckströma. Wyraziła swoje zdziwienie tym, w jakim kierunku idzie śledztwo, poza tym ma wrażenie, że śledczy nie wykonują jej poleceń.

– Ale przecież to nie pierwszy raz, kiedy iskrzy między prokuratorem a prowadzącymi dochodzenie.

– To prawda. Jednak całościowy obraz, jaki mamy, jest niepokojący. Niestety.

– Rozumiem – powiedziała Mattei. – Musicie jednak dać mi przynajmniej kilka dni. To, co usłyszałam, jest dla mnie zupełnie nowe. Jeśli mam podjąć jakiegokolwiek kroki, muszę się nad tym dobrze zastanowić.

Prawda czy fałsz, zastanawiała się Mattei. Niezależnie od tego, najwyższy czas, żeby coś z tym zrobić.

Dlatego poszła do swojej sekretarki do pokoju obok.

– Nieszczęśliwie mieli miny ci dwaj, co wyszli – skonstatowała sekretarka z uprzejmym uśmiechem.

– Nie – potwierdziła Mattei. – Jeśli jest tak, jak mówią, to ich rozumiem.

– W czym ci mogę pomóc?

– Martinez i Motoele – odparła Mattei. – W moim pokoju. Natychmiast.

– Mam do was dwa pytania – zaczęła Mattei. – Pierwsze dotyczy naszego własnego jedenastego września. Zamach terrorystyczny w Harpsund, gdzie bomber Abdo Khalid i jego kobieta Helena Palmgren, nasz kret, zabili dwadzieścia osób, z czego kilka to pracownicy państwowi, a jeden z nich był moim poprzednikiem na tym stanowisku. Ile Evert Bäckström wie o sprawie?

– Pomagał – powiedział Motoele. – To przecież on dał nam zdjęcia, z których wynikało, że nasz poprzedni szef miał romans z Palmgren. Tak na

marginesie, to ja dostałem od niego te zdjęcia.

– On ma oryginały?

– Tak – powiedziała Martinez. – Podnieśliśmy ten temat, kiedy to było aktualne, ale zważywszy na to, z kim mamy do czynienia, próby ich odzyskania czy nałożenia na niego tajemnicy służbowej byłyby zupełnie bezsensowne. Jeśli próbowalibyśmy to zrobić, na pewno w mediach nie zostawiłby na poprzednim dyrektorze suchej nitki. Chociażby tylko po to, żeby sobie z nami poigrać. Taki już jest. Jak duże dziecko.

– I druga kwestia – zapytała Mattei. – Że ta cała Palmgren dobrała się naszemu byłemu szefowi nie tylko do rozporka. A on, oczywiście, niczego nawet nie podejrzewał. Dlaczego tego Bäckström nie sprzedał prasie?

– Bo jest szwedzkim patriotą – odparł Motoele. – Ze względu na sytuację polityczną nigdy by tego nie zrobił. Rosjanie użyliby tego przeciwko nam.

– Wkrótce Bäckström otrzyma bardzo ważne odznaczenie rosyjskie za pomoc Rosjanom – powiedziała Mattei. – Zresztą, to nie ma żadnego związku z zamachem w Harpsund, ale kiedy nadejdzie odpowiednia pora... Czy można sobie wyobrazić taką sytuację, że jako podziękowanie da im swoje zdjęcia?

– Nigdy – zawyrokował Motoele i pokręcił głową. – Nie Rosjanom.

– Też nie sądzę – stwierdziła Martinez i zachichotała wesoło. – Ten facet ma szwedzką flagę w głowie, tam, gdzie my mamy tylko mózg, i nie straci okazji, żeby ją rozwinąć. Ciekawe, czy Rosjanie to pojęli. W przeciwnym razie może być wesoło...

– Nie – powiedziała Mattei. – Choć większość pewnie by się śmiała. A gdybyśmy tak trochę się z nim podrażnili? Ale tak, żeby to poczuł. Jak on by zareagował?

– Dlaczego mielibyśmy to robić? – zdziwił się Motoele. – Lepszego policjanta od Bäckströma nie ma.

Znalazł się oddany przyjaciel, Frank Motoele, pomyślała Mattei.

– Nie sądzę, żeby czekał z założonymi rękami, kiedy swoi wbijają mu nóż w plecy. Kto by tak zrobił?

– Teraz następne pytanie – powiedziała Mattei.

– Jakie? – spytała Martinez.

– Bäckström najwyraźniej prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa, w którym, o czym jest pewnie przekonany, mąż zabił żonę. A powód, dla którego o tym rozmawiamy, jest taki, że rzekomym mordercą jest szwedzki dyplomata. Przyszły ambasador w jednym z sąsiednich krajów.

– Jeśli Bäckström w to wierzy, to tak jest – stwierdził Motoele.

– Nawet słońce ma plamy, Frank. Chcę być tego pewna, zanim podejmę odpowiednie kroki. Dowiedz się, jak sprawa wygląda. Przez nasz kontakt w komendzie w Solnej. To zaufana osoba.

– Na kiedy? – zapytała Martinez.

– Na wczoraj – odparła Mattei.

– Lisa, spokojnie. – Martinez potrząsnęła głową. – Rzeczywistość wygląda trochę inaczej. Tobie się wydaje, że to jak w serialu telewizyjnym.

– Okej – powiedziała Mattei. – W takim razie na jutro. Albo na pojutrze. Bo to jesteś ty i Frank.



## 65.

Kristin Olsson uważała, że nie należy wywoływać wilka z lasu. Poza tym była zdania, że w śledztwie za mało się ruszyło. Dlatego postanowiła porozmawiać z Anniką Carlsson zamiast z Janem Stigsonem.

– Pamiętasz przesłuchanie z tą koleżanką z pracy Jaidee, która powiedziała, że Jaidee miała perfekcyjne zęby?

– Caroline Holmgren – przypomniała Annika. – Myślałaś, żeby porozmawiać z nią o Jaidee i jej mężu.

– No właśnie – powiedziała Kristin. – Nie wydaje mi się, żeby miała z nim jakiś kontakt. Pracuje w firmie, która skupuje faktury i zajmuje się pożyczkami. Bada zdolność kredytową potencjalnych klientów czy coś w tym rodzaju. Wydaje się, że jest w związku z jednym z naszych z Södertälje. Znalazłam tę informację w internecie. Rozumiem, że myślisz podobnie jak ja.

– Tak, oczywiście. Przesłuchaj ją. Chętnie bym poszła z tobą, ale mam coś innego do roboty.

– Myślisz, żeby wziąć Stigsona?

– Nie – odparła Annika. – Dlaczego miałybyś go zabierać?

Caroline Holmgren nie zareagowała, jak to zwykle robią ludzie, kiedy dzwoni do nich policja i chce z nimi rozmawiać. Nie była ani ciekawa, ani

zdziwiona. Pytała, ile czasu to zajmie, czy to takie pilne oraz gdzie miałyby się spotkać. Najwyżej na godzinę, najchętniej jak najszybciej, no i bez żadnego problemu Kristin może przyjechać do niej do pracy.

– W takim razie widzimy się u mnie o pierwszej – powiedziała Caroline Holmgren. – Proszę powiedzieć w recepcji, to zejdę i cię wprowadzę. Załatwię dla nas pokój, żebyśmy mogły spokojnie porozmawiać.

Spotkanie było udane i nawet kula, którą Kristin miała ze sobą, wniosła co nieco do ich rozmowy.

– Mój chłopak jest policjantem – powiedziała Caroline. – Więc dobrze wiem, że czasami chodzicie na rzesach. Dużo też u was bezsensownego gadania, ale ty wydajesz mi się sensowna.

– Futbol – odparła Kristin. – Z mojej winy, zware z wślizgiem.

– Aha – odpowiedziała Caroline i uśmiechnęła się uprzejmie. – Zdarza się. O którym z naszych klientów policja chciałaby porozmawiać tym razem?

– Nic z tych rzeczy – rzekła Kristin. Chciałabym z tobą porozmawiać o twojej koleżance z pracy, Jaidee Kunchai, i jej mężu, Danielu Johnsonie. Jeśli dobrze rozumiem, byłaś księgową w ich firmie.

– Tak – potwierdziła Caroline. – A więc chcesz rozmawiać o Jaidee i Danielu. Umieram z ciekawości.

– Tak, o nich i firmie, którą razem prowadzili – doprecyzowała Olsson.

– Okej – odparła Caroline z wyrazem twarzy, jakby już coś postanowiła.

– Nie mam z tym żadnego problemu. O ile się orientuję, firma została sprzedana, a potem zlikwidowana.

– W dwa tysiące szóstym roku – potwierdziła Kristin.

– Nie było żadnych problemów, kiedy tam pracowałam. Zaczęłam, gdy firma wystartowała. Od samego początku wszystko świetnie szło. To było wiosną dwa tysiące drugiego roku. Pracowałam przez prawie dwa lata,

dopóki nie przenieśli się do Tajlandii w dwa tysiące czwartym. Daniel dostał pracę w ambasadzie w Bangkoku i dlatego zamknęli biuro w Sztokholmie. Ale pewnie już to wiesz.

– Tak, wiem. Jak znalazłaś tę pracę? Jak to się stało, że zaczęłaś dla nich pracować?

– Przez wspólną znajomą – odpowiedziała Caroline. – Chodziły z Jaidee na fitness. Studiowałyśmy razem ekonomię na uniwersytecie. Jaidee ją zapytała, ale ponieważ moja koleżanka już miała jakąś pracę, to poleciła mnie.

– A więc pracowałaś tam od samego początku?

– Tak. Mieliśmy małe biuro na Söder. Razem z Jaidee je odnawialiśmy. Malowałyśmy, kładłyśmy tapety i całą resztę. To nie była jakaś wielka firma. Najwyżej sześć osób.

– Musiała z niej być praktyczna dziewczyna, z tej Jaidee.

– Nie tylko praktyczna – powiedziała Caroline. – To była bizneswoman całą gębą. Poza tym miała mnóstwo kontaktów, nie tylko w Tajlandii, ale w całym regionie. W Wietnamie, Birmie, Laosie, Kambodży.

– W jaki sposób? Przecież była taka młoda...

– Dzięki swojemu ojcu. Wprawdzie już nie żył od dawna, ale za życia był tam naprawdę kimś. Był wojskowym. Chyba nawet generałem. Jaidee już od dzieciństwa znała wszystkich jego kolegów. Pokazywała mi mnóstwo zdjęć, na przykład jak siedzi na kolanach u jakiegoś dowódcy i tym podobne. A jak pewnie się orientujesz, w Tajlandii rządzą wojskowi. Ich król to tylko farsa, do pokazywania tu i tam. Tajlandia to dyktatura wojskowa.

– A więc Jaidee znała ich wszystkich dzięki ojcu?

– Oczywiście. Poznałam kilku z nich i mogę sobie wyobrazić, że to wielkie szychy. Jaidee była naprawdę ładna. Typowa orientalna piękność.

Poznałam też jej matkę, Rajini. Były do siebie podobne. Mama miała wtedy prawie siedemdziesiąt lat, ale nigdy byś nie zgadła, gdybyś ją zobaczyła. Wyglądała najwyżej na czterdzieści. Nie wiem, czy jeszcze żyje. Ale może ty coś wiesz?

– Zmarła kilka lat temu – powiedziała Olsson. – Bodajże w dwa tysiące jedenastym roku.

– Interesująca kobieta. Prawdziwa dama, wdowa po bardzo ważnym oficerze. Nie byle kto. I świadoma tego.

– Rozumiem, że jeździłaś tam. To znaczy do Tajlandii.

– Pewnie, dwadzieścia razy w ciągu tych dwóch lat pracy. Ale tylko służbowo. Nie dla przyjemności.

– A Daniel. Też tam jeździł?

– Kilka razy. Zazwyczaj zostawał w domu.

– Co z nim?

– Właściwie to nie wiem. Nie widziałam go, odkąd przestałam u nich pracować. Dwanaście lat temu. Kiedy Jaidee zginęła, oczywiście próbowałam się z nim skontaktować. Pisałam, mailowałam, dzwoniłam. Nawet rozmawiałam z ludźmi w ambasadzie. Najwyraźniej kiepsko się miał. Nic zresztą dziwnego, zważywszy na to, co się stało.

– Jaki był, kiedy z nim pracowałaś?

– Daniel... – zaczęła Caroline i obojętnie wzruszyła ramionami. – Przystojny, czarujący i tym podobne. Ale prawdziwy niechluj. To Jaidee wszystkim zarządzała, Daniel nie miał o tym zielonego pojęcia. Kiedy zginęła, zupełnie się rozsypał. Możliwe, że dopiero wtedy sobie uświadomił, ile dla niego znaczyła.

– A interesy szły dobrze? Mimo że był niechlujem?

Interesy szły świetnie, zdaniem Caroline, oczywiście dzięki Jaidee i jej kontaktom. Praca polegała na pośredniczeniu w interesach, a w Tajlandii

chodzi głównie o to, żeby mieć właściwe znajomości. I Jaidee je miała. Starzy przyjaciele jej ojca wciąż żyli, a w Tajlandii to oni rządzą.

– Pośredniczyliśmy w interesach i w nawiązywaniu kontaktów. Wszystko za odpowiednią prowizję. W obu kierunkach, ale głównie Szwedom, Skandynawom. Robiliśmy dużo interesów w branży turystycznej. Powiedzmy, że szwedzki inwestor chciał zbudować hotel w Tajlandii, potrzebował więc pomocy we wszystkim, począwszy od zakupu ziemi, podpisania umowy z kontrahentem, załatwienia prawników i ludzi, którzy będą dla niego pracować. Potrzebni byli też tłumacze, kiedy na przykład dziesięciu szwedzkich akcjonariuszy zamierzało pojechać do Tajlandii, żeby sprawdzić, co się dzieje z ich pieniędzmi.

– A dziewczyny? – zapytała Kristin. – Nie prosili was, żebyście załatwiali im też dziewczyny?

– Widzę, że nigdy nie byłeś w Tajlandii – powiedziała Caroline i wcale nie wyglądała na urażoną.

– Rzeczywiście, nie – odparła Kristin. – Przyjaciółka ciągle mnie namawia, ale jeszcze jakoś się nie złożyło.

– Seks to najlepszy rynek zbytu w tym kraju. Żeby coś takiego załatwić, nie potrzeba kontaktów. My zajmowaliśmy się prawdziwymi interesami i zaczynaliśmy dopinać naprawdę duże transakcje.

– Na przykład?

– Pewnemu Norwegowi pomogliśmy kupić ziemię, na której zamierzał wybudować duży ośrodek wypoczynkowy. Dostaliśmy dwadzieścia milionów prowizji, od ręki. Przed podatkiem, oczywiście, ale i tak świetnie.

Kristin skinęła tylko głową. Coś się tu nie zgadza, pomyślała. Dwadzieścia milionów od ręki. Kiedy cztery lata wcześniej Daniel Johnson sprzedawał firmę, której został jedynym właścicielem po śmierci żony,

według Nadii zarobił jedynie koronę. Musiał być niezłym niechlujem, pomyślała Kristin.

Przesłuchanie skończyło się w wyznaczonym czasie. Zważywszy na to, co opowiedziała Caroline Holmgren, było to bezsprzecznie najlepsze przesłuchanie w całym dochodzeniu. Muszę pogadać z Anniką, pomyślała Kristin, kiedy wracała metrem do pracy.

Annika siedziała przy biurku z górą papierów i włączonym komputerem. Nie wyglądała na szczególnie zadowoloną.

– Masz czas, żeby posłuchać, co powiedziała Caroline Holmgren?

– Żartujesz? Zrobię wszystko, żeby tego uniknąć – odparła Annika i zgasiła komputer. – Ale okej. Widzę, że jesteś bojowo nastawiona, więc pewnie miała dużo ciekawych rzeczy do opowiedzenia.

– Tylko posłuchaj – powiedziała Kristin i położyła na biurku Anniki mały magnetofon. – To tylko czterdzieści minut, ale zupełnie niezłe, sama zobaczysz.

– Nie możesz mi opowiedzieć tego co najważniejsze? – zaprotestowała Annika i skinęła głową na górę papierów piętrzących się na jej biurku.

– Jeśli obiecasz, że tego posłuchasz, to potem zapraszam cię na lunch.

– Dobrze, obiecuję – odparła Annika. – Jeśli zdradzisz puente.

– Okej – zgodziła się Kristin. – Jaidee Kunchai była bardzo zdolną bizneswoman. Zarobiła dla siebie i męża mnóstwo pieniędzy. Miała wszystkie kontakty, jakie tylko możesz sobie wymarzyć. Jej mąż to niechluj, choć przystojny i czarujący. Jeśli się nie czepiał o to, że ktoś zrobił lub powiedział coś nie po jego myśli. Zachowywał się tak, jakby tylko on miał rację. Co i tak na niewiele się zdało, bo to Jaidee o wszystkim decydowała, a on nie miał o niczym zielonego pojęcia.

– Wierzę ci – zapewniła Annika. – Ale według jego drugiej żony był strasznym podrywaczem. A to już powinno przeszkadzać Jaidee?

– Nie – odpowiedziała Kristin i pokręciła głową. – Nic z tych rzeczy. A właściwie to wręcz odwrotnie.

Godzinę później Annika odsłuchiwała przesłuchanie, które Kristin przeprowadziła z Caroline Holmgren.

– Chyba wiem, co miałaś na myśli – powiedziała Annika. – Jaidee była nie tylko bizneswoman. Była też kobietą wyzwoloną.

– No właśnie. Caroline się domyśliła. Poza tym Jaidee nigdy nie robiła z tego jakiejś wielkiej sprawy.

– Nie próbowała podrywać Caroline?

– Nie – odpowiedziała Kristin. – Nawet ją o to zapytałam. Jeśli nie ma tego na nagraniu, to pewnie coś się skasowało.

– Nie ma – odparła Annika. – Mnie też się to zdarzyło. Dlaczego nie próbowała podrywać Caroline?

– Zdaniem Caroline dlatego, że po prostu nie była w jej typie – rzekła Kristin. – A i Caroline nie była tym zainteresowana. Więc jej się nie narzucała, że się tak wyrażę.

– Zrozumiałe. A inne rzeczy. Co z tym zrobimy?

– Jeśli myślisz o pieniądzach, które Jaidee zarobiła, to jest to raczej sprawa dla Nadii – zaznaczyła Kristin.

– Lubię cię, Olsson – skwitowała Annika. – Pogadam z Nadią, tak będzie najlepiej. Ostatnio jest trochę nerwowa.

– To świetnie – ucieszyła się Kristin. – Czy coś jeszcze chciałabyś wiedzieć?

– Daj znać, jak będziesz chciała zostać policjantką – powiedziała Annika. – Prawdziwą policjantką. Chętnie będę z tobą dzieliła gabinet.

## 66.

Po kilku dniach Lisa Mattei ponownie spotkała się z Lindą Martinez i Frankiem Motoelem. Dość szybko, ale taka była potrzeba. Powodem było również to, że nie potrafili udzielić Mattei konkretnej odpowiedzi na pytanie, czy przyszły ambasador rzeczywiście zabił swoją żonę.

– Ktoś tu po prostu nawalił – podsumowała Martinez. – Albo podczas identyfikacji w Tajlandii, albo tutaj, kiedy znaleźli ciało na wyspie na Mälaren.

– Poczekajcie – powiedziała Mattei. – Poprawcie mnie, jeśli się mylę. W takim razie mamy dwa ciała dwóch różnych kobiet, które mają to samo DNA.

– Zgadza się – odparł Motoele. – Przynajmniej na to wygląda. Ta, która zginęła podczas tsunami, czyli Jaidee Kunchai, została skremowana w Tajlandii zaraz potem. Mimo to na wyspie na Mälaren pojawia się ciało, a właściwie szczątki w postaci kości, zębów, włosów, które nie zostały skremowane. W dodatku pochodziły od osoby, która, według wszelkiego prawdopodobieństwa, została zamordowana kilka lat później niż Jaidee Kunchai, ale która ma takie samo jak ona DNA.

– I niezależnie od tego, jak nieprawdopodobnie to wygląda, możemy wykluczyć, że mówimy tu o bliźniaczkach jednojajowych.



– Wszystko na to wskazuje. Rozmawiałam z naszym ekspertem i według niej prawdopodobieństwo, że kobieta urodzi bliźniaki jednojajowe, wynosi mniej więcej jeden do dwustu pięćdziesięciu. A jeśli chodzi o dziewczynki, to jest jeszcze rzadsze, mniej więcej jeden na dwieście pięćdziesiąt i pół.

– Nie brzmi optymistycznie – podsumowała Mattei.

– No nie – przyznała Martinez. – Ale to jeszcze nie koniec, wszystko wskazuje bowiem na to, że Jaidee urodziła się jako jedyne dziecko. Czy można być pewnym na sto procent? Tak, jeśli byśmy tam byli i widzieli na własne oczy, w przeciwnym razie nie. Mimo iż urodziła się w najlepszym szpitalu w Bangkoku i mimo że z dokumentacji szpitalnej wynika, że przysłała na świat jako jedyne dziecko.

– A więc tę ewentualność możemy na razie odłożyć na bok.

– Też bym tak zrobiła. Poza tym słyszałam co nieco od naszej koleżanki po fachu, która się tym zajmuje. Zresztą jest fenomenalna... Sprawia, że ci wariaci z serialu *Teoria wielkiego podrywu* jawią się jako zupełnie normalni ludzie.

– Ani nie poznałam twojej koleżanki, ani nie widziałam serialu – stwierdziła Mattei.

– Może powinnaś – odparła Martinez. – Przynajmniej zobaczyć serial. A i ona jest nie do pobicia.

– Ale co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Rzeczywiście nic – odpowiedziała Martinez i wzruszyła ramionami – tyle że kiedy jej o tym opowiedziałam, o mało nie... o mało nie posikała się z wrażenia, oględnie mówiąc. Powiedziała mi wtedy, że ostatnie badania wskazują na to, że nawet bliźniaki jednojajowe mogą mieć różne DNA. Dotychczas naukowcy znaleźli dwie różnice. Jedną, o której wiedzieli już od dawna, i drugą, którą odkryli dopiero w tym roku.

– A jak to wpływa na nasze poszukiwania? – zapytała Mattei.

– W żaden sposób, jej zdaniem. Te różnice są niewidoczne w profilach DNA, których my używamy.

– To chyba dobrze.

– Tak więc zostają dwie możliwości – kontynuowała Martinez. – I jeśli jesteś ciekawa, to nie ja na nie wpadłam, tylko nasza Geniuszka. Dasz radę posłuchać?

– Oczywiście. Nawet uważam, że robi się coraz ciekawiej.

– A więc jej zdaniem pierwsze wytłumaczenie jest takie, że ciało Jaidee nigdy nie zostało skremowane, tylko ukryte na wyspie na Mälaren – oznajmiła Martinez. – W związku z tym, co już wiemy, wytłumaczenie to nie jest szczególnie wiarygodne. Moim zdaniem, oczywiście. Ale na wszelki wypadek zapytałam naszą Geniuszkę i zgodziła się ze mną.

Po chwili Martinez kontynuowała:

– Pozostaje nam zatem tylko jedno wytłumaczenie, a mianowicie że ciało, które zostało skremowane w Bangkoku, nie było ciałem Jaidee Kunchai. Wszystkie dane ze śledztwa przemawiają wprawdzie za tym, że ktoś został skremowany, ale nie była to Jaidee Kunchai. Mimo że profil DNA tej osoby był taki sam jak profil Jaidee. Poza tym tożsamość Jaidee potwierdzili między innymi jej krewni.

– Więc jaki wniosek wysunął nasz genialny ekspert?

– Że podczas identyfikacji w Tajlandii popełniono błąd. To nie było ciało Jaidee Kunchai, tylko ciało innej kobiety. I to jedyne proste wytłumaczenie na to, że po pewnym czasie Jaidee pojawia się w Szwecji, gdzie zostaje zamordowana. W tę drugą wersję wierzę. Jaidee została zamordowana. To nie żadne samobójstwo ani inne dziwactwa.

– Też mi się tak wydaje – zgodziła się Mattei. – W takim razie problem rozwiązany.

– Może dla ciebie – odpowiedziała Martinez. – I dlatego trochę się o ciebie niepokoję...

– Miło z twojej strony – odparła Mattei – że się o mnie martwisz.

– To jasne, że się niepokoję – powiedziała Martinez – o ludzi, którzy myślą, że problem jest rozwiązany, kiedy rozwiążą go intelektualnie. A co z nami? Zwykłymi, rozsądnymi, normalnymi ludźmi, którzy wprawdzie podejrzewają, że musiała zająć pomyłka, ale nie mają pojęcia jaka? Ktoś to po prostu spieprzył. *That's it.*

– A co uważa Bäckström? – zapytała Mattei.

– To samo co ty – odpowiedziała Martinez. – Ale on ani przez moment nie miał żadnych wątpliwości. Jaidee Kunchai nigdy nie zginęła w tsunami. Została zamordowana tu, w Szwecji, i oczywiście zrobił to jej mąż, ten zrozpaczony wdowiec. Nie był to żaden problem dla kogoś takiego jak Bäckström. Frank, mimo że tak bardzo lubisz tego małego grubasa, chyba zgodzisz się ze mną, że bynajmniej nie doszedł do tego dzięki swojemu zaawansowanemu intelektowi.

– No ja uważam tak samo jak on – oznajmiła Mattei i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Ja też – powiedział Frank Motoele. – Bäckström ma dar, którego nam wszystkim brakuje.

– A ty, Linda, co ty sądzisz?

– To samo co wy – potwierdziła Martinez. – Mam natomiast problem natury praktycznej, który jest tak ogromny, że przesłania wszystko inne. Począwszy od intelektualnych analiz Lisy, a skończywszy na zwierzęcych instynktach Bäckströma. Twój dawny szef, twoja gwiazda, która cię prowadziła przez życie, Lars Martin Johansson, mężczyzna, który widział wszystko na wskroś. Jak myślisz, co on by na to powiedział?

– Przyjdzie czas, będzie rada – rzekła Mattei.

Bo to by właśnie powiedział, pomyślała.

Kiedy Martinez i Motoele wyszli, Mattei poprosiła swoją sekretarkę, żeby zadzwoniła do szefa kontrwywiadu. Chce się z nim zobaczyć, i to jak najszybciej. Jednak nie w tej chwili, ponieważ ma jeszcze jedną rozmowę, którą musi odbyć, zanim się zobaczą.

– Rozumiem, że szanowna pani dyrektor już podjęła decyzję – powiedział szef kontrwywiadu, kiedy godzinę później siedział przed ogromnym biurkiem Lisy Mattei.

– Właściwie to kilka – odparła.

– Zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze, wewnętrzne dochodzenie, które prowadzimy przeciwko Evertowi Bäckströmowi, musi być natychmiast przerwane, a jeśli jesteś ciekawy dlaczego, to, niestety, nie mogę ci powiedzieć.

– Szkoda. Człowiek zawsze się lepiej czuje, kiedy wie dlaczego.

– Zaufaj mi – powiedziała Lisa Mattei. – Nie tym razem.

– Czy mam przez to rozumieć, że sprawę przekazujemy wydziałowi dyscyplinarnemu? – zapytał szef kontrwywiadu.

– Nie – odpowiedziała Mattei. – Jeśli ktoś od nich nas o to zapyta, powiemy, że nie mamy pojęcia, o czym mówią. Nasze śledztwo w sprawie Bäckströma nigdy nie istniało.

– Co w takim razie mam powiedzieć w Ministerstwie Spraw Zagranicznych?

– Że radzimy im, by na razie się wstrzymali z nominacją tego całego Daniela Johnsona. Nie żeby od razu wyrzucać do kosza jego kandydaturę, ale niech poczekają do czasu, aż wszystko się wyjaśni.

– Przepraszam za głupie pytanie, ale w jaki sposób damy im potwierdzone informacje, jeśli mamy przerwać śledztwo?

– To wcale nie głupie pytanie. Też bym je zadała – odparła Mattei. – Powiem tak: myślę, że to się mimo wszystko rozwiąże.

– To brzmi uspokajająco.

– Wcale nie – zaprzeczyła Mattei. – Ale nie oznacza, że wszystko musi się źle skończyć. Mam jednak nadzieję, że sprawa się wyjaśni. Przynajmniej u nas, tutaj.

– No dobrze – rzekł szef kontrwywiadu i wstał. – W takim razie...

– Jest jeszcze jedna rzecz – powiedziała Mattei – o której powinieneś wiedzieć. Jutro rząd oficjalnie poinformuje, że od poniedziałku kończę pracę. Mój następca już został wybrany, ale nie wiem, kiedy informacja zostanie podana do publicznej wiadomości. Myślę, że wkrótce.

– Przykro mi – odparł szef kontrwywiadu – że szanowna pani dyrektor kończy. I na pewno nie jestem w tym odosobniony...

– I już ostatnia rzecz – przerwała mu Mattei. – Rozmawiałam o tym z moim następcą i w obecnej sytuacji podziela on moje zdanie. Dobrze, żebyś to wiedział. Jeśli na nowo chciałbyś podjąć temat.

– Jestem wdzięczny za wiadomość. Kroki, które pani dyrektor podjęła, niezwłocznie wcielimy w życie. Tylko jedno pytanie, tak z ciekawości.

– Tak?

– Co pani dyrektor zamierza teraz robić?

– Zamierzam spędzać czas z córką – oznajmiła Mattei. – Wkrótce zaczyna szkołę, tak więc najwyższy czas. Poza tym nie mam innych planów.

## 67.

Niedziela. Dzień siódmy. Dzień odpoczynku. Dzień, w którym mamy się wyrzec codziennych zajęć i kłopotów. Nawet ta garstka nas, którzy ścigamy mordercę. Jednak w tej opowieści jest jeden wyjątek: Nadia Högberg. Na jej obronę trzeba powiedzieć, że powodem, dla którego dnia świętego nie święci, jest to, że po prostu nic innego nie ma do roboty. Jest to prawdopodobnie najprostsze wytłumaczenie dla czasów, w których i jej, i nam przyszło żyć.

Natomiast jej szef, komisarz kryminalny Evert Bäckström, dzień święty święci. Nie z mocy swojej wiary, ale dlatego, że wydarzenia sobotniej nocy po prostu nie zostawiły mu żadnego wyboru. Bäckström zwlókł się z łóżka dopiero o dwunastej w południe. Miał porządnego kaca, co było zupełnie niezrozumiałe, bo w żaden sposób nie zaniedbał swoich rytuałów. Najpierw niespieszny lunch w swojej ulubionej knajpie, w której kiedyś poznał swoje Białe Tornado, czyli sprzątaczkę, która za bardzo solidne uposażenie dba o jego twierdzę, utrzymując zarazem czystość w jego domu. Aż trudno zliczyć, ile razy cwałowała na jego Supersalami, choć musi już być sporo po czterdziestce.

Właśnie wróciła z miesięcznego urlopu w Hiszpanii, gdzie była ze swoim mężem. A teraz z powrotem pracowała w knajpie, ale, oczywiście, jeśli Bäckström będzie potrzebował sprzątnięcia, to wystarczy szepnąć

słówko. Albo jeśli będzie miał jakieś inne życzenia, które ona mogłaby spełnić.

One wszystkie mają bzika na moim punkcie, pomyślał Bäckström. Wieczór chyba nie mógł zacząć się lepiej. Bäckström wziął taksówkę na objazd knajp na Stureplan. Przyglądał się tym wieśniakom, którzy w Sturehof chlali na umór, a potem kończyli rundę w Jaskini Rozwodników w Richiem. Bäckström miał tam takie powodzenie, że musiał odmówić wielu kolejek, bo nie nadążał z piciem. Tuż przed zamknięciem zadzwoniła do niego pewna kobieta, którą poznał w Jaskini miesiąc wcześniej.

Niestety, jest przeziębiona. Leży w domu i się kuruje. Ale jeśli Bäckström nie ma nic innego do roboty, może wpaść.

Być może to nie taki głupi pomysł, zastanowił się Bäckström. Przecież jest ósemką w jego dziesięciostopniowej skali – i to mocną ósemką – a ponieważ mieszka na Söder Mälarstrand, to bez problemu może do niej zajrzeć w drodze do domu. Jeśli chodzi o przeziębienie, to specjalnie się tym nie martwił. To problem gejów, alergików i tych, którzy się migają od roboty.

A jednak musiał się zarazić jakimś świństwem, pomyślał. Mimo podwójnego fernetu i tabletek przeciwbólowych cały czas bolała go i głowa, i żołądek. Z braku lepszego wyjścia otworzył swoją domową apteczkę. Sytuacja nie zostawiła mu wyboru. Wziął niebieską i czerwoną pastylkę i wrócił do łóżka.

Osiem godzin później znów otworzył oczy. Czuł się już zupełnie dobrze, tak jak zwykle. I był głodny jak wilk. Najwyższy czas, żeby zadbać o swój żołądek, pomyślał, wchodząc pod prysznic, żeby spłukać z siebie wspomnienia i trudy poprzedniej nocy.

Kristin była na koncercie rockowym z przyjaciółką, która w zespole gra na basie. Potem poszły na imprezę do wspólnej znajomej. Oleszkiewicz razem

z trzema kumplami z dzieciństwa oglądał mecz. Zresztą wszyscy to policjanci. Po meczu odwiedzili pub i włączyli w siebie tyle samo piwa co zwykle. Jeśli chodzi o Stigsona, to było tak jak zawsze. Pojechał do Dalarny razem z żoną i dwójką dzieci. Tam spotkali się z rodzicami i teściami. Zbierali grzyby i jagody, chodzili na długie spacery do lasu, czyli spędzali czas tak, jak się go zwykle spędza z najbliższymi. Tacy Dalarczycy z dziada pradziada jak Stigson i jego żona wiedzą, co to życie.

Annika i Edvin pojechali do Gröna Lund. W sobotę nareszcie się do niego dodzwoniła. Edvin był z rodzicami u swojej „licznej rodziny” między Luleą na północy a Helsingborgiem na południu. Nie odbierał telefonu, bo przez większość czasu miał go wyłączonego, żeby kuzyni ciągle do niego nie wydzwaniali. Ale już wrócił do domu. W poniedziałek zaczyna szkołę.

– Przyjemnie spędziłeś czas? – zapytała Annika.

– Tak sobie – odparł Edvin. – Fajnie będzie znów zacząć szkołę. Już się nie mogę doczekać. Mamy w klasie klub detektywa.

– To świetnie – powiedziała Annika. – Jak się nazywa?

– Mistrz Detektywów Kalle Blomqvist Spółka z o.o.

– To spółka z ograniczoną odpowiedzialnością?

– Tata mi tak doradził – oznajmił Edvin. – To ważne, tak na wszelki wypadek, gdyby coś się stało.

– Twój tata to mądry człowiek – stwierdziła Annika.

– Tak – zgodził się Edvin. – Jest bardzo dobry w robieniu interesów.

– A jak twój obóz skautów? – zapytała. – Dostałeś jakieś świadectwo na koniec?

Tak, Edvin dostał świadectwo. Może nie najwyższą notę, jeśli chodzi o żeglowanie, ale z pozostałych umiejętności poszło mu całkiem nieźle, a z teorii był najlepszy w tym roku. Edvin bardzo się cieszył, bo należał do



tak zwanego Patrołu Odkrywców, a nie zwykłego patrolu, jak na przykład Łobuzy Morskie czy Piraci z Mälaren.

– Właściwie to jestem zadowolony – podsumował.

– Mam nadzieję, że mama i tata nie mają nic przeciwko temu, że chcę cię zabrać do Gröna Lund.

– Nie – odpowiedział Edvin. – Idą dzisiaj do chińskiej restauracji na Hantverkargatan. Potem pewnie wrócą do domu i będą siedzieć przed telewizorem.

– To świetnie – odparła Annika. – No to jak myślisz, od czego zaczniemy?

– Od kolejki górskiej – zdecydował Edvin. – Jest całkiem niezła.

– Proponuję, żebyśmy pojechali nią później – podsunęła myśl Annika, która najchętniej by z niej w ogóle zrezygnowała, gdyby tylko mogła. – Najlepsze zachowajmy na koniec.

– Komisarz też tak zawsze mówi – odparł Edvin. – Że najlepsze zawsze warto zachować na koniec.

– A więc tak zrobimy – zdecydowała. – W końcu to on jest szefem.

– No właśnie – przytaknął Edvin.

O dziewiątej wieczorem Annika zwróciła Edvina jego rodzicom. Edvin zasnął w samochodzie w drodze do domu, więc przełożyła go przez ramię i wniosła na trzecie piętro.

– Synek tatusia – powiedział Slobodan i wziął go na ręce, a sposób, w jaki to zrobił, mówił sam za siebie.

– I oczko w głowie mamusi – dodała Annika.

– Racja – przyznał Slobodan. – Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, daj znać.

– Obiecuję – odparła Annika.

– Może wejdiesz na chwilę?

– Nie – odpowiedziała. – Dziękuję, ale muszę jechać do domu i się położyć. Jutro od rana pracuję.

Poza tym mam gułę w gardle, z którą muszę sobie poradzić, pomyślała.

Hanna Hwass umówiła się na lunch ze swoją przyjaciółką, która pracowała jako reporterka w TV4. Spotkały się w Djurgården tego późnego lata, które wprawdzie chyliło się ku końcowi, ale nie powiedziało jeszcze ostatniego słowa. Na początku wypily trochę za dużo wina, a potem zaczęły zwierzenia. Hwass powiedziała zdecydowanie za wiele, a wszystko zaczęło się bardzo niewinnie, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach.

– I jak ci się podoba w nowej pracy? – zapytała przyjaciółka.

– Interesujące doświadczenie – odparła Hwass. – Kiedy jeszcze pracowałam w przestępczości gospodarczej, wysłali mnie na kurs, jak sobie radzić z podwładnymi. Trochę inaczej się to nazywało, ale o tym właśnie było.

– Wiem, o czym mówisz.

– Cóż mogę powiedzieć o moich nowych współpracownikach?

– Wyzwanie zawodowe – dokończyła przyjaciółka i zachichotała.

– Można i tak to nazwać.

– Słyszałam od Lotty, że nadzorujesz jakieś śledztwo w sprawie morderstwa – wyznała przyjaciółka, uniosła kieliszek, pochyliła się do przodu i ściszyła głos.

– Tak – przyznała Hwass. – Ale nie miałam pojęcia, że śledczy od morderstw to takie okropne tępaki. Gliny, które pracują w przestępczości gospodarczej, też nie są jakimiś geniuszami, ale przynajmniej robią, co im się powie.

– Coś tam słyszałam... Lotta mówiła, że ten cały komisarz Evert Bäckström, ten grubas, który występuje jako ekspert w tym programie *Miejsce zbrodni: Szwecja* w naszym kanale, jest twoim podwładnym.

- Zgadza się – odparła Hwass.
- Jaki on jest? – spytała przyjaciółka.
- No więc tak... – zaczęła Hwass. – Ale to jest *off the record*, i wcale nie żartuję.
- Czy kiedykolwiek cię zawiodłam...
- Wiem, że nie – potwierdziła. – Ufam ci. Na sto procent.
- No więc jaki on jest? – powtórzyła przyjaciółka.
- Bäckström? Jaki jest? Ten facet jest niespełna rozumu, jeśli chcesz wiedzieć.

I zaczęła opowiadać o Bäckströmie i śledztwie, które prowadzi. Całość zakończyła stwierdzeniem, że to nie tylko jakiś szalony zielonoświątkowiec, ale i ktoś znacznie gorszy.

– To może być jeszcze coś gorszego? Opowiadaj. Choć śledczy, który wierzy, że Bóg mu we wszystkim pomoże, już właściwie wystarcza...

– No dobrze, powiem ci, ale to, co teraz usłyszysz, zatrzymaj tylko dla siebie. Bo inaczej wsadzą mnie za kratki. Wszystko jest *off the record*.

– Obiecuję, na sto procent – potwierdziła przyjaciółka.

– Ale najpierw pójdę do toalety i przy okazji przypudruję nos – oznajmiła Hwass. – Inaczej nie dam rady. Istnieje ryzyko, że się w trakcie posikam.

– To ja zamówię więcej wina. Chcesz to samo?

– Tak, dla mnie to samo – powiedziała Hwass.

– No to dla mnie też – zawtórowała jej przyjaciółka i kiedy tylko Hanna zniknęła w toalecie, włączyła nagrywanie w swojej komórce, którą miała w torebce.

Gdy Hwass wróciła pięć minut później, na stole stała jeszcze jedna butelka wina.

– Okej – powiedziała przyjaciółka. – Opowiadaj, bo zaraz pęknę z ciekawości.

– Bäckström to jakiś okropny fanatyk religijny – wyszeptała Hanna i na wszelki wypadek pochyliła się do przodu.

– Fanatyk religijny?

– Tak, z tych co to wysadzają kliniki aborcyjne i meczety.

– Nie do wiary.

– Prawda? Poza tym jest agentem rosyjskim. Pracuje dla Rosjan. Wywnioskowałam to z pytań, jakie mi zadawali.

– A kto cię pytał?

– Säpo – wyszeptała Hwass. – Możesz wierzyć albo nie, ale to prawda. Dostałam z Säpo poufne polecenie, żeby mieć oko na komisarza Bäckströma. I wyobraź sobie, że on kieruje śledztwem, które ja nadzoruję. Muszę raportować wszystko, co robi.

– Nie wiesz przypadkiem, z jakiego oddziału z Säpo ci to zlecili?

– Z kontrwywiadu – odparła Hwass.

Każdy by się tego domyślił na podstawie pytań, jakie jej zadawali, pomyślała.

– Co to za cholerna historia – skwitowała jej przyjaciółka.

Co, do cholery, teraz z tym zrobić, zaczęła się zastanawiać. Muszę pogadać o tym z kimś z zarządu.

Jeśli ta historia ukazałaby się w jej programie, byłaby to niesamowita sensacja. Nie mówiąc już o tym, co by powiedział wydawca. To przecież on prowadzi razem z Bäckströmem ten program kryminalny.

I tak oto dwie najlepsze przyjaciółki spędziły w restauracji w Djurgården ponad godzinę, podczas której Hanna Hwass skręcała sobie pętlę, której inni nie zawahaliby się użyć, zaciskając jej na szyi.

Na odchodne przyjaciółka dała Hannie dobrą radę. Małe ostrzeżenie, oczywiście w dobrych intencjach, choć nie uspokoiło ono pani prokurator.

– Na twoim miejscu bardzo bym uważała na tego Bäckströma – usłyszała od przyjaciółki.

– Co masz na myśli? Że jest niebezpieczny? Rzeczywiście jest szalony. Gdybyś tylko go słyszała, jak wygłasza te swoje teksty, ale chyba nie jest niebezpieczny... Właściwie to sama już nie wiem... Wystarczy na niego popatrzeć. Mały grubas... Poza tym ma chyba już z sześćdziesiątkę na karku.

– Bäckström uchodzi za śmiertelnie niebezpiecznego – poinformowała ją przyjaciółka. – Pewnie nic nie wiesz o tym, co się stało kilka lat temu?

– Nie, co takiego?

– Nic dziwnego. Gliny zamiotły wszystko pod dywan. Zresztą, my w redakcji też. Zarząd. Nikt nie puścił pary z ust.

– Co się stało?

– A więc tak: Bäckström miał jakieś podejrzane kontakty z największymi zbrojami w całym Sztokholmie. Pewnego wieczoru doszło do kłótni, kiedy u niego w domu robili jakiś szwindel, i wszystko skończyło się tak, że jednego zabił gołymi rękami, a drugiego postrzelił. Mniej więcej. Ten postrzelony zmarł w szpitalu kilka dni później.

– Gołymi rękami?

– Tak, a był to jeden z najgroźniejszych przestępców w mieście. Bäckström rozwalił mu łeb. Po prostu pif-paf. Drugiego postrzelił z premedytacją.

– To straszne.

– Tak, to okropna historia. Zupełnie nie rozumiem, jak udało im się ją wyciszyć. Tak więc na twoim miejscu, kochana, byłabym cholernie ostrożna z tym facetem.

Nadia spędziła niedzielę na przygotowywaniu śledzi po rosyjsku, gotowaniu buraków i robieniu pierogów. Z powodu braku gości, ci bowiem mieli dopiero przyjść pod koniec tygodnia, wszystko wylądowało w lodówce. Poza tym tego typu potrawy były najlepsze po kilku dniach. Nadia spróbowała trochę śledzia na lunch, a potem wybrała się na długi spacer i do pracy, żeby sprawdzić maile i dokumenty, które w piątek zostawiła na biurku.

W pracy czekała też na nią teczka z papierami i kartka od Anki. Dziwna koleżanka z tej Anki, pomyślała Nadia. Silniejsza i sprawniejsza fizycznie niż niejeden facet, ale kiedy trzeba coś policzyć... no tu z pewnością nie jest już tak dobrze wyposażona. To może poczekać, pomyślała. Nie wiadomo, o co chodzi, ale miejmy nadzieję, że da się to rozwiązać, kiedy z nią porozmawia.

W mailu był też list od Akkarata Bunyasarna. Równie jasny i rzeczowy jak wszystko, co jej dotychczas przysłał, mimo że nie był do końca pewien, czy właśnie ta informacja miała jakąkolwiek wartość. A ponieważ jego współpracownik czegoś nowego się dowiedział, więc jej to wysyła. Od czego ma się współpracowników.

Na połowie strony A4 Bunyasarn opisał, jak mama Rajini Kunchai spędziła resztę życia: od pogrzebu córki w Nowy Rok 2005 roku aż do swojej śmierci w czerwcu 2011 roku. Zmarła w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat.

Mama zatrzymała willę położoną w jednej z lepszych dzielnic Bangkoku, dobrze chronionej, zamieszkałej przez wysokich rangą wojskowych i urzędników państwowych.

Latem, po śmierci córki, Rajini Kunchai zatrzymała się w Stanach Zjednoczonych, u syna i jego rodziny w Nowym Jorku. Jednak nie czuła się tam najlepiej i już zimą następnego roku wróciła do Tajlandii. Według jej

sprzątaczką, z którą rozmawiała policja, nie odpowiadał jej tamtejszy klimat.

Przez następne lata mieszkała w willi w Bangkoku. Syn z rodziną odwiedzali ją kilka razy w roku. Mimo żałoby po córce wyglądało na to, że pogodziła się z losem. Była w stosunkowo dobrym zdrowiu, biorąc pod uwagę wiek. Aż do czerwca 2011 roku, kiedy to dostała wylewu i po kilku dniach zmarła w szpitalu.

Wszystkimi formalnościami po jej śmierci zajął się syn. Najpierw pogrzebem, potem sprzedażą domu. Pogrzeb dał Bunyasarnowi sporo do myślenia. Ciało Rajini zostało skremowane. Urnę z prochami umieszczono w rodzinnym grobowcu na cmentarzu wojskowym w Bangkoku, dokładnie tak jak zrobiono z prochami jej męża dwadzieścia osiem lat wcześniej. Wszystko zgodnie z tradycją buddyjską, bez żadnych odstępstw.

Natomiast zrobiono wyjątek od tradycji rodzinnej, kiedy to rozrzuciono na wietrze prochy jej córki. Jeden ze współpracowników Bunyasarna zapytał o to pracownika firmy pogrzebowej, która zajmowała się pogrzebem. Według nich wszystko odbyło się tak, jak chciała matka Rajini. Takie było życzenie jej córki i nawet jeśli oznaczało to odstępstwo od tradycji rodzinnej, nie zamierzała się temu sprzeciwić.

„Co uważasz, Nadia?”, zapytał Bunyasarn na koniec listu. „Czy to ja mam jakieś skrzywienie zawodowe, czy chodzi tu o coś zupełnie innego?”

Testament, który zostawiła Jaidee Kunchai, nie dał żadnej odpowiedzi na to pytanie. Był bardzo zwięzły i został sporządzony przez nią i jej męża Daniela Johnsona w związku z rozpoczęciem przez niego pracy w ambasadzie w Bangkoku. W razie gdyby któreś z nich zmarło, osoba pozostająca przy życiu dziedziczy wszystko. Jeśli oboje zmarliby w tym samym czasie, majątkiem po połowie podzieliłyby się ich rodziny. Natomiast ani słowa o tym, jak by chciała być pochowana.

Myślę podobnie jak ty, zdecydowała Nadia, która już rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Choć jeszcze nie wiedziała dlaczego.



## 68.

W poniedziałek rano Hannie Hwass w końcu – a na pewno dzwoniła kilkanaście razy – udało się złapać prokuratora z Säpo, który ewidentnie jej unikał, odkąd podjęła się szpiegowania Bäckströma.

– Rozumiem, Hanna, że jesteś zdenerwowana – powiedział. – Ale to nie jest rozmowa na telefon, więc proponuję, żebyśmy się spotkali i spokojnie porozmawiali.

– W takim razie u mnie – zawyrokowała Hwass. – W moim biurze.

– Oczywiście – zgodził się prokurator. – Za godzinę? Myślę, że oboje chcemy już to mieć z głowy.

Tak też się stało. I ten niezwykle ugody prokurator z Säpo zaczął rozmowę od poinformowania jej, że już nie potrzebują jej pomocy.

– Chyba nie zamierzacie umorzyć postępowania w sprawie tego szaleńca?

– Powiedzmy, że jesteśmy w trakcie podejmowania decyzji – odparł prokurator. – Jeśli nie będziesz już chciała kontynuować pracy w Solnej, to oczywiście pomożemy ci w tym. Znajdziemy kogoś na twoje miejsce i w żadnym stopniu nie zaważy to na twojej reputacji.

– Zapomnij – odpowiedziała Hwass. – Nie pozwolę, żeby ten szaleniec Bäckström i jego kolesie skrzywdzili niewinnych ludzi. Nie trzeba być

geniuszem, by zgadnąć, że teraz próbują dorwać tego nieszczęsnego Daniela Johnsona.

– Jak chcesz. Nie mogę ci tego zabronić. Jakżebym mógł?

– Natomiast oczekuję, że załatwicie mi ochronę. Ten Bäckström jest bardzo niebezpieczny. Jestem przekonana, że zanim dostałam od was to zlecenie, świadomie to przede mną ukryliście.

– Dlaczego Bäckström jest niebezpieczny?

– Między innymi dlatego, że zamordował dwie osoby.

– Chyba wiem, o co ci chodzi... Myślę, że mogę cię uspokoić, bo było zupełnie inaczej, niż mówią plotki.

– W takim razie jak?

– Dwie nieznane mu osoby, poważni przestępcy, wtargnęli do jego mieszkania. Oczywiście z zamiarem wyrządzenia mu krzywdy, a nawet zabicia go. Bäckström użył swojego prawa do obrony. Jednego udało mu się obezwładnić siłą własnych mięśni, drugiego postrzelił w nogę, kiedy tamten próbował go zaatakować nożem. Ten postrzelony bandzior zmarł dlatego, że kilka dni później próbował uciec ze szpitala, wyskakując przez okno. Ten obezwładniony, kiedy Bäckström założył mu kajdanki, poślizgnął się i upadł tak nieszczęśliwie, że uderzył głową o stolik. Dostał wylewu krwi do mózgu i też zmarł w szpitalu.

– Kto by pomyślał... To zupełnie inna historia niż ta, którą słyszałam.

– Prowadzono w tej sprawie bardzo szczegółowe dochodzenie. Bäckström został oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Chciałbym również wspomnieć, że poprzedni komendant nawet mu osobiście podziękował. Wydaje mi się, że dostał nawet jakąś pochwałę.

– Nie obchodzi mnie to. Żądam ochrony!

– Chcesz osobistego ochroniarza? – zapytał prokurator z Säpo.

– Tak, przynajmniej dopóki nie skończę z tym typem.

– Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy – odpowiedział prokurator. – Ale to może zająć co najmniej jeden dzień.

– Spotykam się z nim za kilka godzin – oznajmiła Hwass. – Mam zebranie z moją grupą dochodzeniową w Solnej.

– No ale to jest na terenie komisariatu – zaprotestował prokurator Säpo.  
– Przecież tam nic ci nie grozi.

– Po nim można się wszystkiego spodziewać – stwierdziła Hwass.

– A więc w razie czego użyj swojego numeru alarmowego – powiedział prokurator. – A ja obiecuję, że jak tylko będę coś wiedział, zaraz się do ciebie odezwę.

Kiedy tylko prokurator znalazł się w bezpiecznej odległości od Hwass, natychmiast zadzwonił do swojego starego przyjaciela, szefa kontrwywiadu.

– Jak dobrze, że cię złapałem – powiedział. – Obawiam się, że mamy poważny problem. Wszystko wskazuje na to, że Hanna Hwass jest bliska załamania nerwowego.

– Dobrze, że dzwonicz – odpowiedział szef kontrwywiadu. – Obawiam się, że jest jeszcze gorzej, niż myślisz. Kiedy możesz tu być?

– Daj mi kwadrans – odrzekł prokurator.

Jest gorzej, niż przypuszczałem, pomyślał, kiedy wsiadał do taksówki w drodze na Ingentingsgatan. Co ona jeszcze wymyśliła?

Dojazd zajął mu nie kwadrans, tylko dwadzieścia minut, co i tak było niezłym wynikiem, zważywszy na korek na Klarastrandsleden.

– Moim zdaniem to załamanie nerwowe. A ty uważasz, że to coś poważniejszego?

– Niestety. Nasz kontakt w TV4 dzwonił już dzisiaj rano. Wczoraj Hanna Hwass była na lunchu z jedną ze swoich dobrych przyjaciółek,

reporterką wiadomości. Całkiem niezły lunch, sądząc po kopii rachunku, którą dostałem.

– Czyżby było aż tak tragicznie? Postanowiła sobie ulżyć i zwierzyła się swojej przyjaciółce?

– Niestety.

– Głupio zrobiła – powiedział prokurator. – Zważywszy na wszystkie dokumenty, pod jakimi się podpisała.

– Obawiam się, że jest jeszcze gorzej – wyznał szef kontrwywiadu. – Jej zwierzenia zostały nagrane.

– W takim razie natychmiast mogę ją zatrzymać i umieścić w miejscu, gdzie nie będzie już miała komu się zwierzać.

– Mnie też ta myśl zaczęła krążyć po głowie – stwierdził szef kontrwywiadu.

– Zachciało jej się ochrony... – powiedział prokurator.

– Świetnie – odparł szef kontrwywiadu. – To samo pomyślałem. Wyślemy jej kilku ludzi, godnych zaufania, którzy będą ją mieli na oku. W najlepszym wypadku uspokoi się, a w najgorszym umieścimy ją w psychiatryku i dopilnujemy, żeby miała wszystkie stemple, jakich potrzebuje prawdziwy wariat. Wtedy TV4 wyrzuci nagrania do kosza.

– Niegłupi pomysł. A co sądzisz o tym, żeby dać jej też tajny adres? Żeby nie można było jej znaleźć?

– Doskonały pomysł – zgodził się szef kontrwywiadu. – W trosce o jej dobre samopoczucie sporządziliśmy szybką analizę zagrożenia, która wskazuje, że jest absolutnie konieczne, byśmy znaleźli jej bezpieczny adres.

– Właściwie to pozostaje tylko jeden problem – powiedział prokurator.

– Myślisz o naszej szanownej pani dyrektor, która właśnie kończy pracę u nas w piątek?

- Zgadza się – odpowiedział prokurator. – Co jej powiemy?
- W trosce o jej spokój ducha nic. Dokładnie to samo ona lubi mówić, kiedy nie chce nam czegoś powiedzieć. Że powinniśmy się cieszyć, że o czymś nie wiemy.
- Bracie – zaczął prokurator i podniósł do góry prawą rękę, tym razem bez kieliszka. – To nie przypadek, że jesteśmy dobrymi kumplami, ty i ja.
- Powinowactwo duchowe – skwitował szef kontrwywiadu. – Podstawowa sprawa w prawdziwej męskiej przyjaźni.
- Zwłaszcza jeśli się pracuje w takim miejscu – zgodził się prokurator. – I człowiek chce pozostać przy zdrowych zmysłach.

## 69.

W poniedziałek rano Annika wpadła na wspaniały pomysł, kiedy jeszcze leżała w łóżku i trochę się rozciągała przed wstaniem i pójściem pod prysznic. Dwie okoliczności spowodowały, że kiedy spała, pomysł zakiełkował, a w pełni się rozwinął, gdy się obudziła i otworzyła swoje niebieskie oczy.

Najpierw rozmowa z Edvinem i to, co jej opowiadał o obozie skautów. Potem to, co tydzień wcześniej powiedział jej Peter Niemi, kiedy zastanawiali się, gdzie przestępca może ukryć człowieka, którego zamordował. Zdaniem Petera w miejscu, o którym wie tylko on albo które zna jeszcze z dzieciństwa, pomyślała Annika.

Obóz w Ekerö istnieje od pięćdziesięciu lat. Na pewno wszyscy skauci znają Przekłętą Wyspę, która jest popularnym celem ich wycieczek. Przez te wszystkie lata przynajmniej kilkoro z nich musiało widzieć zarośniętą ziemiankę.

A po latach były skaut zabrał swoją kobietę na wycieczkę po Mälaren. Chociażby po to, żeby jej pokazać miejsce, które tak wiele dla niego znaczyło, kiedy był dzieckiem. Potem się pokłócili, żadne z nich nie chciało ustąpić i koniec był taki, jaki można sobie wyobrazić w najgorszym scenariuszu. Jedynym pocieszeniem w sytuacji, w jakiej się znalazł, było to, że znał dobre miejsce, gdzie mógł ukryć ciało.

To oczywiste, że tak to musiało wyglądać. Na pewno był to jeden z tych posłusznych chłopców, zawsze gotowych do wykonania rozkazu, pomyślała Annika. Wygodne w jej położeniu było to, że przynajmniej ten jeden raz miała tak wspaniałego informatora, który miał tyle do powiedzenia i który na dodatek nie był w to wszystko zamieszany. Podpowiadała jej to intuicja. Gustav Haqvin Furuhjelm to ktoś poza wszelkim podejrzeniem, myślała Annika.

Tym razem spotkali się w jego biurze na Storegatan na Östermalmie, zaledwie kilka przecznic od jego domu.

Biedy to Haqvin nie cierpi, pomyślała, kiedy znalazła się w korytarzu eleganckiego mieszkania, które najwyraźniej zostało przerobione na biuro.

– Miło cię widzieć, Annika – powiedział Haqvin. – Przejdźmy do mojego gabinetu, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– Cieszę się, że mogliśmy się tak szybko spotkać. Byłam przekonana, że unosisz się gdzieś na błękitnych falach.

– W tym tygodniu oddaję się pracy. Ale tylko do weekendu. Potem znów obieram kurs. Siadaj, proszę – odparł i wskazał na krzesło z oparciem, które stało przy biurku. – W czym ci mogę pomóc?

– Widzę, że twoje krzesło jest wyższe niż moje – zauważyła Annika i skinęła głową z uśmiechem.

– To przez ojca – odpowiedział. – Zwracał na to uwagę. Przy czym ważne było, żeby różnica nie rzucała się w oczy. By nie peszyć gości.

– Jest kilka rzeczy, o które chciałabym zapytać – zaczęła Annika. – Ale żeby to zrobić, muszę ci najpierw zdradzić parę tajemnic.

– I chcesz, żebym je zatrzymał dla siebie.

– Tak.

– Możesz być spokojna – przyrzekł Haqvin. – Wydaje mi się, że już ci to mówiłem. Nie jestem plotkarzem.

Oczywiście, że nie, pomyślała Annika. A potem opowiedziała mu, że na Przekłętej Wyspie znaleźli szczątki martwej kobiety. I że wszystko wskazuje na to, że została zamordowana, choć nie może mu powiedzieć w jaki sposób. Nie wiadomo, czy została zamordowana na Przekłętej Wyspie, ale tam morderca ukrył ciało. Nie wiadomo też, kiedy to się stało, jednak wszystko wskazuje na to, że musiał to zrobić w ciągu ostatnich pięciu–dziesięciu lat.

– W tym czasie byłem tam tylko jeden raz – powiedział Haqvin. – Miesiąc temu, kiedy zabierałem stamtąd Edvina.

– We wtorek dziewiętnastego lipca – uzupełniła Annika.

– Zgadza się.

– A przedtem?

– W wakacje, kiedy byłem jeszcze chłopakiem i jeździłem na obóz w Ekerö, pływaliśmy tam ciągle z kumplami.

– A potem? Kiedy już byłeś dorosły?

– Może raz, na pewno kiedy byłem już komendantem. Później może też raz. Ale nie w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– Żadnego grilla, kąpieli?

– Nie – odpowiedział Haqvin. – Do tego jest wiele lepszych miejsc.

– A gdybyś miał ukryć ciało?

– Na to nie ma lepszego miejsca – powiedział Haqvin. – Przekłęta Wyspa to najlepsza kryjówka na całym Mälaren. Poza tym od piętnastu, dwudziestu lat na wyspie żyją dziki. I jak pewnie wiesz, nie mają żadnego problemu ze zjadaniem padliny.

Po chwili Haqvin kontynuował:

– Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz. Ten, kto ukrył ciało na Przekłętej Wyspie, musiał tam wcześniej bywać. To był ktoś, kto znał to miejsce.



– Ile jest takich osób?

– No to na początek ci, którzy mieszkają w pobliżu: na pewno kilkaset osób. Potem ludzie, którzy żeglują po Mälaren i z jakiegoś powodu muszą zejść na ląd: następnych kilkaset osób. Choć nie jest to najlepsze miejsce do cumowania.

– A jeśli weźmiemy pod uwagę takich jak ty? Dawnych skautów. Nie za starych. Mniej więcej w twoim wieku?

– No to się zaczyna... – powiedział Haqvin, uśmiechnął się i pokręcił głową. – Kolejne kilkaset osób. A może nawet tysiąc, jeśli cofniemy się o trzydzieści, czterdzieści lat. A tak na marginesie, to mam pytanie. Jeśli mogę...

– To się okaże – odparła Annika.

– Uważam, że to cud, że ją znaleźliście – stwierdził Haqvin – skoro leżała tam przez dziesięć lat, tak jak mówisz, wśród tych wszystkich dzików i lisów. Przecież teraz to prawdziwa dżungla. Już nią była, kiedy ja byłem chłopakiem, ale wtedy nie rozpleniły się tam jeszcze dziki. Były lisy, borsuki i mnóstwo ptaków żywiących się padliną. Na przykład orły, kruki, wrony, sroki i mewy, które też uwielbiają truchło.

– Z ciebie to prawdziwy przyrodnik, Haqvin.

– Nie bardzo, ale kiedyś pomagałem w holowaniu ciała. To było w Östersjön. Niedaleko Trosy. Ciało pływało dokładnie na linii wody i zobaczyliśmy je tylko dlatego, że siedziało na nim mnóstwo mew, które je po prostu skubały.

– Niezbyt przyjemny widok – zauważyła Annika.

– Niezbyt – zgodził się Haqvin. – Ale czasami nie masz wyjścia.

No tak, taki pewnie jesteś, pomyślała Annika. Miły, dobrze wychowany, dotrzymujesz słowa, obowiązkowy, nie plotkujesz. Jednym słowem, zawsze zwarty i gotowy.

– A wracając do naszej Przeklętej Wyspy... – powiedziała Annika, wyjmując mapę i kładąc ją na biurku.

Haqvin pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć.

– Jeśli zacumujemy tutaj. – Annika pokazała punkt na mapie.

– Tak.

– Jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu, tu, na tym wzniesieniu, na prawo, stoi drewniany szałas.

– Zgadza się – przytaknął Haqvin z uśmiechem. – Zbudowaliśmy go razem z kumplami. To była nasza wieża kontrolna. Postawiliśmy jeszcze jeden, po drugiej stronie zatoczki, kilkaset metrów dalej.

– Wiem – odpowiedziała Annika. – Znaleźliśmy obydwu.

– Porządna robota – odparł Haqvin i się uśmiechnął. – Tata był architektem. Jak widać, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów od szałasu, w kierunku przystani, tuż przy wzniesieniu, leży stara ziemianka – powiedziała Annika i narysowała krzyżyk na mapie.

– Nic mi nie wiadomo o żadnej ziemiance – zdziwił się Haqvin. – Dalej, w głębi wyspy, są stare fundamenty. Możliwe że tam jest jakaś ziemianka, ale nie przy przystani.

– Musi tu być. Dokładnie w tym miejscu, gdzie postawiłam krzyżyk – upierała się Annika.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparł Haqvin i pokręcił głową. – Byliśmy tu z kumplami setki razy. Wiele razy tu nocowaliśmy. Jeśli tu by była jakaś ziemianka, to na pewno byśmy ją znaleźli.

– Zaraz ci pokażę zdjęcia – powiedziała Annika i zerknęła na teczkę, która leżała na biurku. – Musiała być zbudowana mniej więcej w dziewiętnastym wieku. Kiedy ją znaleźliśmy, była zarośnięta krzakami.

– Niech no zgadnę – rzekł Haqvin. – To tam było ciało tej kobiety.

– Tak, znaleźli ją moi koledzy z pomocą psa.  
– Powiedziałaś, że była zupełnie zarośnięta...  
– I co o tym myślisz? – zapytała Annika i podała mu zdjęcie ziemianki jeszcze przed odkopaniem. – A tak – dodała i pokazała mu kolejne zdjęcie – wygląda po odkopaniu.

– Dziwne – odrzekł Haqvin, kiwając głową i wędrując wzrokiem od zdjęcia do zdjęcia. – Często tam grillowaliśmy, kąpaliśmy się, organizowaliśmy bitwy morskie, cumowaliśmy łódki. Rozbijaliśmy tam nawet namioty. No i ta lina, o której opowiadałem. Z której skakaliśmy do wody. Musiała być przymocowana przy tej sośnie, na górze. Więc zupełnie nie rozumiem, dlaczego wtedy nie widzieliśmy tej ziemianki.

– Zdaniem naszych techników szczątki się zachowały tylko dzięki temu, że ciało leżało w ziemiance. To głównie części szkieletu... Było po prostu dobrze ukryte. I dlatego nie znalazły jej żadne dziki ani orły.

– Więc możesz mnie już wykreślić z listy podejrzanych – powiedział Haqvin z uśmiechem. – Nie miałem zielonego pojęcia, że była tam jakaś ziemianka.

– Twoi koledzy też nie?

– Nie, oczywiście, że nie. Jeśli któryś z nas by to odkrył, na pewno wszyscy byśmy się dowiedzieli. Więc możesz nas wykreślić z listy potencjalnych przestępców.

– Już to zrobiłam – odparła Annika. – Inaczej bym tu nie siedziała.

– Moich kumpli też możesz skreślić – powtórzył Haqvin. – Jeśli wiedział jeden, wiedzieli wszyscy.

– Mówiłeś, że kiedy płynęliście na wyspę, zawsze zabieraliście ze sobą mnóstwo jedzenia?

– Tak, były z nas straszne głodomory. Jedzenie i picie, węgiel do grilla, no i same grille, aż dwa. Namiot i materace, jeśli planowaliśmy nocleg.

– Jakie jedzenie ze sobą zabieraliście?

– Pewnie wszystko to, co się je, jak się jest w tym wieku: kiełbasę do grillowania, mrożone hamburgery, chleb, no i oczywiście pastę kawiorową. Ser w tubce. Żadnego zdrowego zarcia, jednym słowem to, co jest łatwe do przyrządzenia.

– A to? – zapytała Annika i wyjęła zdjęcie przedstawiające zardzewiałą puszkę z kiełbaskami piwnymi Buły.

– Kiełbaski piwne Buły – rzekł Haqvin i się uśmiechnął, rozradowany i zdziwiony jednocześnie.

– Poznajesz? – spytała Annika

– Oczywiście. Przecież to klasyka. Nie potrafię nawet zliczyć, ile razy je podgrzewałem bezpośrednio w puszcze. Wystarczyło ją postawić w ognisku. Żadnych garnków. A kiedy już się podgrzały, wyławialiśmy je z puszek zwykłym patykiem. Na wierzch trochę musztardy, ketchupu i kiełbasa gotowa do jedzenia.

– A więc to był wasz faworyt?

– O tak – wyznał Haqvin. – Ryzykując, że założysz mi kajdanki, przyznaję, że mogło być tak, że to mały Haqvin buchnął tę puszkę mamie ze spiżarki. Bo to w taki sposób gromadziliśmy prowiant, kiedy wypływaliśmy ze Stallarholmen, rodzinnej posiadłości. Najpierw mama zapraszała na bułeczki i sok. A zanim odpłynęliśmy do Ekerö, robiliśmy napad na spiżarnię...

– Właśnie ta puszka leżała w ziemiance, gdzie znaleźliśmy szczątki ofiary – oznajmiła Annika.

– Jak to możliwe... – zdziwił się Haqvin. – Jak się tam znalazła?

– Nie wiem – odpowiedziała Annika. – Miałam nadzieję, że ty mi pomożesz.

– Kompletnie nic z tego nie rozumiem – odparł Haqvin.

– Wiemy, że puszka musiała tam się znaleźć dużo wcześniej niż ciało. Mniej więcej w latach osiemdziesiątych. Prawdopodobnie w osiemdziesiątym drugim lub trzecim roku. Nie wcześniej.

– To mniej więcej wtedy, kiedy tam pływaliśmy z kumplami.

– Więc nie możemy wykluczyć, że puszka pochodzi ze spiżarni twojej mamy.

– Nie, oczywiście, że nie, ale wciąż nie rozumiem, jak się mogła znaleźć w tej ziemiance.

– Leżała zawinięta w tę torebkę plastikową – wyjaśniła Annika i podała mu następne zdjęcie. – To najzwyklejsza torba, dziesięciolitrowa, jeśli cię to interesuje.

– No tak, jasne! – Haqvin niemal krzyknął i prawą dłonią uderzył się w czoło.

– Coś ci zaświtało? – spytała Annika i się uśmiechnęła.

– Oczywiście – odrzekł Haqvin, westchnął i znów potrząsnął głową. – Słyszałaś kliknięcie w mojej głowie? Ponad trzydzieści lat później... Dzięki tobie, Annika.

– Miło to słyszeć. Ale teraz mów.

– Policjanci i złodzieje – powiedział Haqvin.

– Słucham?

– Z powodzeniem mogło to być w osiemdziesiątym drugim albo trzecim roku. Ponad trzydzieści lat temu. I dopiero teraz rozumiem, dlaczego się tak zachowywałem...

– Kto? – zapytała Annika. – O czym ty mówisz?

– Lis – odparł Haqvin najwyraźniej zadowolony z siebie.

## 70.

W poniedziałek rano Nadia znalazła dwa dodatkowe miliony. Nie musiała się nawet specjalnie wysilać. Kiedy już skompletowała informacje o Jaidee Kunchai i Danielu Johnsonie, napisała do wszystkich szwedzkich firm ubezpieczeniowych z pytaniem, czy Jaidee Kunchai była ubezpieczona w którejś z nich. W materiale śledczym mieli już informacje o ubezpieczeniu, które dla Daniela Johnsona i jego żony wykupił jego pracodawca. Teraz pojawiło się jeszcze jedno ubezpieczenie grupowe, które Jaidee podpisała przez swój związek zawodowy, gdzie wstąpiła sześć miesięcy przed założeniem firmy, w 2002 roku. Kwota opiewała na dwa miliony koron. Świadczeniobiorcą był jej mąż. Pieniądze zostały wypłacone latem 2005 roku, kilka miesięcy po tym, jak Jaidee Kunchai uznano za zmarłą.

Razem to cztery miliony, starczyło ci to przynajmniej na mieszkanie, które kupiłeś w Gärdet, pomyślała Nadia.

Oleszkiewicz też znalazł coś, co mogło pomóc w śledztwie, a przynajmniej poprawić nastroje w grupie. Dlatego poprosił swojego szefa, Everta Bäckströma, o krótką rozmowę.

- Ile nam to zajmie? – zapytał Bäckström.
- Dwie minuty – odpowiedział Oleszkiewicz.

– W takim razie słucham – odrzekł Bäckström.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – zaczął Oleszkiewicz. – Dlaczego Hanna Hwass staje okoniem, kiedy tylko zaczynamy mówić o Danielu Johnsonie. Przecież to rutyna w takich sytuacjach. Że się sprawdza męża. Tak mnie przynajmniej uczyli w szkole.

– I przyszło ci do głowy, że Hwass może mieć jakiś motyw – powiedział Bäckström. – Że się znają. A może nawet mają romans.

Facet nie jest tak całkiem głupi, pomyślał Bäckström.

– No właśnie – przytaknął Oleszkiewicz. – Są w tym samym wieku, mieszkają w tym samym mieście.

– Więc sugerujesz, że mogą się znać? – spytał Bäckström.

– Nie można tego wykluczyć – odpowiedział Oleszkiewicz. – Razem studiowali prawo. Tu, w Sztokholmie, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku. Ale Johnson nigdy nie skończył studiów. Może miał za dużo rzeczy na głowie. Studiował też równolegle ekonomię w Wyższej Szkole Handlowej, którą skończył. Jest magistrem ekonomii.

– Co ty powiesz? – zdziwił się Bäckström. – Studiowali razem prawo...

– Mnóstwo osób razem studiuje. Wtedy, kiedy ja studiowałem, było nas ponad sto osób. Ale na seminariach byliśmy podzieleni na mniejsze grupy. Może dwadzieścia, najwyżej trzydzieści osób.

– W takim razie zbadaj sprawę – zarządził Bäckström. – Przy odrobinie szczęścia może nam się uda baby pozbyć.

Tego ranka Bäckström miał ważniejsze rzeczy na głowie. Postanowił, że zleci zrekonstruowanie twarzy ofiary, aby na podstawie czaszki spróbować odtworzyć jej twarz. Już nawet zadzwonił do Niemiego w tej sprawie.

– Nie wierzę, że się uda – zwątpił Niemi. – Po pierwsze, nie wydaje mi się, żeby to było możliwe, bo nie mamy pełnej czaszki, na której można się wzorować. Po drugie, to zajmuje miesiące i kosztuje krocie. Już raz

próbowaliśmy i nie dowiedzieliśmy się nic, czego byśmy wcześniej nie wiedzieli.

– Niemi – zaczął Bäckström – nie jestem głupi. Pomyślałem, że możemy to zrobić trochę inną metodą. Znasz tę rudą dziewczynę, która czasami robi dla nas podobizny fantomowe. Ta...

– Znam – przerwał mu Niemi. – Nora Wiström.

– Zgadza się – odpowiedział Bäckström. – Ona i rysuje, i rzeźbi, prawda?

– Tak – przytaknął Niemi. – I maluje. Jest bardzo zdolną artystką. Wykorzystuje wiele technik komputerowych, kiedy robi dla nas podobizny.

– Załóżmy, że damy jej kilka dobrych zdjęć twarzy Jaidee Kunchai. A tych nam przecież nie brakuje. Plus zdjęcia czaszki. I prosimy ją o zrobienie rzeźby, oczywiście biorąc za punkt wyjścia zdjęcia i czaszkę.

– To przecież zafałszowanie materiału dowodowego, widać to jak na dłoni – powiedział Niemi. – Jeśli Nora widziałaby Jaidee, wtedy moglibyśmy to potraktować jako zwykłą podobiznę: Nora jest świadkiem, widziała osobę, którą rysuje...

– Oczywiście, że jej nie widziała – odparł Bäckström. – Przecież to jasne. Ale dobrze by było trochę nastraszyć tę Hwass. Przecież nie ma pojęcia, jak to się robi. Myśli, że to można zrobić na komputerze w ciągu godziny. Potem zaproponuję, żebyśmy pokazali podobiznę w programie telewizyjnym, i zobaczymy, czy będzie jakiś odzew.

– Po co mi to wszystko mówisz – westchnął Niemi.

– Żebyś się nie wygadał, kiedy pokażę to małe dzieło sztuki naszej kochanej pani prokurator.

– Rozumiem – powiedział Niemi.

– To dobrze – odparł Bäckström.

– Co dobrze? – spytał Niemi. – Wciąż jestem sceptyczny.



– Dobrze, że mimo wszystko jesteśmy zgodni – wytłumaczył Bäckström.

Wprawdzie to Finol, ale nie zawsze mamy wybór, pomyślał po odłożeniu słuchawki.

## 71.

Dzięki swoim kontaktom w policji w Phuket Akkarat Bunyasarn spróbował odtworzyć prace nad identyfikacją zwłok Jaidee Kunchai. Już po południu 26 grudnia policja w Tajlandii i policja w Szwecji wiedziały, że Jaidee Kunchai figuruje wśród zaginionych. Policja w Szwecji natychmiast zaczęła kompletować informacje o poszkodowanych obywatelach szwedzkich, a policja w Tajlandii umieściła Jaidee na swoich listach zaginionych osób.

Kroki, jakie powzięto, w celu ustalenia tożsamości Jaidee Kunchai, odbiegały od rutynowych działań dotyczących wszystkich pozostałych obywateli szwedzkich, którzy zginęli podczas tsunami. Zwłoki znalezione w Khao Lak zostały umieszczone w pobliskim klasztorze buddyjskim. Jedynie nieliczne ciała przewieziono do Phuket, do utworzonego tam centrum identyfikacji.

Prawdopodobne wytłumaczenie, zdaniem Bunyasarna, było takie, że Jaidee potraktowano jako obywatelkę Tajlandii, a nie obywatelkę Szwecji. Częściowo dlatego, że jej mąż był obecny przy przenoszeniu zwłok z hotelu w Khao Lak i sam załatwił transport do centrum identyfikacji w Phuket. Ciało Jaidee i jej mąż jechali jednym samochodem, skonstatował Bunyasarn. Na miejsce przybyli 29 grudnia. Od kilku godzin czekała tam już mama Jaidee. Następnego dnia, po wstępnej identyfikacji, ciało zostało

przekazane firmie pogrzebowej i późnym wieczorem przewiezione do Bangkoku, a w Nowy Rok skremowane.

Istnieje na to pełna dokumentacja. W policji w Phuket, w ogólnokrajowej policji w Bangkoku i w archiwach policyjnych w Szwecji. Jak to często bywa, kiedy jedną sprawą zajmuje się kilka instytucji, powstały pewne niejasności, kto i za co odpowiadał. Bunyasarn próbował uporządkować wszystkie te częściowo wzajemnie wykluczające się informacje.

Pierwsi szwedzcy policjanci, technicy kryminalistyki i śledczy przybyli do Tajlandii dzień przed Nowym Rokiem, ale oględziny – w dwóch klasztorach, na wschód od Khao Lak i w centrum identyfikacji w Phuket – zaczęli dopiero w Nowy Rok po południu. Mniej więcej w tym samym czasie ciało Jaidee zostało już skremowane. A zatem jedyny logiczny wniosek jest taki, że policja szwedzka po prostu nie mogła uczestniczyć w jej identyfikacji.

Są na to odpowiednie dokumenty. Raport policyjny sporządzony przez policję w Phuket mówił, gdzie i kiedy Jaidee została znaleziona oraz że została zidentyfikowana przez pracowników hotelu, przez swojego męża i przez swoją matkę. Raport zawierał również krótki opis, w jaki sposób wszystko się odbyło. W dokumentacji był też formularz, sporządzony 2 stycznia 2005 roku przez policję w Phuket, który zaświadczał, iż biżuterię i kosmetyczkę należące do Jaidee Kunchai oraz jej *DNA evidence material*, „odpowiednio zabezpieczony”, zostały przekazane policji szwedzkiej, która znajdowała się wówczas na miejscu.

Biżuteria i kosmetyczka zostały potem odesłane mężowi Jaidee Kunchai do jego miejsca pracy, to jest ambasady w Bangkoku. Przekazaniem zajęł się szwedzki oficer łącznikowy już dwa tygodnie po tsunami. Daniel

Johnson musiał, oczywiście, pokwitować odbiór biżuterii oraz kosmetyczki wraz z jej zawartością.

Ogólnie mówiąc, było w niej wszystko to, co potrzebne kobiecie: tusz do rzęs, szminka, cienie do oczu, lakier do paznokci, a nawet pasta do zębów.

Brakowało natomiast szczoteczki do zębów, szczotki do włosów i grzebienia. Akkaratowi Bunyasarnowi i Nadii Högberg nie dawało to spokoju.

– *DNA evidence material* – powiedział Bunyasarn z nad wyraz znaczącym wzruszeniem ramion, kiedy rozmawiał z Nadią na Skypie z drugiego końca kuli ziemskiej. – W takim razie co wzięli do badania: jej krew, tkanki czy szpik? A może jeszcze coś innego? Albo i to, i to?

– Rozmawiałeś z policjantem z Phuket, który był na miejscu? – zapytała Nadia.

– Tak – odparł Bunyasarn. – To mój dobry kolega, więc nie było z tym problemu.

– I co powiedział? – chciała wiedzieć Nadia.

– Że nie bardzo pamięta. I pewnie nie ma w tym nic dziwnego, bo w ciągu miesiąca musiał zidentyfikować setki ciał swoich rodaków. Jaidee była tylko jedną z wielu.

– Zobaczę, czego mi się uda dowiedzieć tutaj, na miejscu – oznajmiła Nadia. – W każdym razie wiemy już, że materiał DNA, który nam przekazaliście, był badany tutaj, w Szwecji. Zresztą w naszym laboratorium. Sporządzono jej profil DNA i porównano z profilem z naszej bazy danych.

– Powodzenia, Nadia – powiedział Bunyasarn i się uśmiechnął. – Miejmy nadzieję, że użyli do tego zwykłej szczoteczki do zębów.

## 72.

Czwarte spotkanie z grupą śledczą rozpoczęło się o godzinie pierwszej po południu w poniedziałek, 22 sierpnia. Grupa Hanny Hwass zmniejszyła się do czterech policjantów i jednego pracownika służby cywilnej. Byli to: Bäckström, Stigson, Olsson i Oleszkiewicz oraz Nadia Högberg.

Hwass przyszła dziesięć minut spóźniona i wyglądała na bardzo zestresowaną. Z niewiadomego powodu wybrała miejsce na drugim końcu stołu, jak najdalej od Bäckströma. Nie podała również powodu swojego spóźnienia. Natomiast zauważyła nieobecność Anniki.

– Brakuje komisarz Carlsson – powiedziała. – Dlaczego jej nie ma?

– Miała przesłuchiwać kogoś w związku z tym znaleziskiem na Mälaren. Wydaje mi się, że jakąś ważną figurę z kierownictwa skautów. I pewnie się przeciągnęło – tłumaczył Bäckström.

– Poproszę o więcej konkretów. Dlaczego ma o tym rozmawiać z kierownictwem skautów?

– Nie wiem – odpowiedział Bäckström i westchnął. – Najprościej będzie, jeśli sama ją o to zapytasz, jak tylko się pojawi.

– Mamy coś nowego? – spytała Hwass.

Niestety, niewiele, zdaniem Bäckströma. Wizyta w Urzędzie Imigracyjnym nic nie dała. Jeśli kiedykolwiek były tam jakieś papiery o Jaidee Kunchai,

to na pewno nie ma ich teraz. Natomiast sporo informacji można by znaleźć w pracy naukowej, w której została opisana. Jednak jest jeden problem, a mianowicie autor pracy nie chce udostępnić żadnych informacji.

– A więc odmówił udostępnienia materiałów – powiedziała Hwass. – Jakie miał argumenty, jeśli mogę zapytać?

– To ona – sprostowała Kristin. – Profesor Åsa Lejonborg zajmuje się badaniem płci na uniwersytecie w Linköping. Bada tajlandzkie kobiety, które wyszły za mąż za Szwedów. To jej praca naukowa. Mam jeden egzemplarz, mogę ci pożyczyć, jeśli będziesz chciała. Jest po angielsku.

– Dziękuję, nie trzeba – odparła Hwass i ściągnęła usta. – Dlaczego w takim razie odmówiła?

– Wiesz, ta cała ochrona prywatności... – zabrał głos Stigson i zrobił tak samo ogólnikową minę jak to, co przed chwilą powiedział.

– A rozmawialiście z władzami uniwersytetu? – zapytała Hwass.

– Nie – odpowiedział Stigson.

Olsson i Oleszkiewicz pokiwali tylko głowami.

– Więc to zróbcie – rzekła Hwass. – Jeśli odmówią, napiszę pismo i załatwimy to drogą oficjalną.

– Czyli chcesz to zrobić – odezwał się Bäckström z uśmiechem.

Robi się coraz ciekawiej, pomyślał.

– Zaczynaj od rozmowy z władzami uniwersytetu – powtórzyła Hwass. – Uświadom im, że tu chodzi o morderstwo. Coś jeszcze?

Niestety, nic, powiedział Bäckström. Przejrzenie ich własnej bazy danych nie przyniosło żadnych rezultatów. Najmniejszego śladu, który dałby odpowiedź na pytanie, jak to się stało, że Jaidee Kunchai umarła dwa razy. Z Centralnego Laboratorium Kryminalistyki w Linköping też nic. Żadnych informacji. Poza tym trudno było złapać osobę, która się tym zajmuje.

– Kursy, konferencje, dokształcanie – westchnął Bäckström. – Zresztą sama wiesz najlepiej – dodał i skinął głową. – Mówiłaś, że przechodziłaś prawdziwe katorgi, kiedy z nimi rozmawiałaś.

– Nawet nie chcę o tym pamiętać – skwitowała Hwass. – Przecież w związku z tsunami w Tajlandii musiało tam być mnóstwo szwedzkich policjantów. Próbowaliście rozmawiać z którymś z nich?

– Tak, chociaż wielu jest już na emeryturze, a kilku nie żyje. Jeden, niestety, trochę zramolał, więc na razie nie będziemy go brać pod uwagę.

– I pewnie też jest na emeryturze, tak? – zapytała Hwass, choć raczej zabrzmiało to jak stwierdzenie.

– Nie – odpowiedział Bäckström. – Jeszcze pracuje. Na pół etatu. Siedzi w mieniu utraconym w Sztokholmie.

– Masz na myśli Biuro Rzeczy Znalezionych? – spytała Hwass.

– Tak, my policjanci nazywamy to „mieniem utraconym”. Nazywa się Wijnblad, technik kryminalistyki. Prawdziwy fachowiec. Znamy się jeszcze z lat osiemdziesiątych.

– I co, ma sklerozę?

– Obawiam się, że tak – potwierdził Bäckström i znowu westchnął.

– Ale przecież musi być jeszcze ktoś, kto był w Tajlandii i z kim możemy porozmawiać – rzuciła Hwass, która nawet nie próbowała ukryć swojej irytacji.

– Z pewnością – odparł Bäckström. – Poprosiłem Stigsona o zrobienie listy osób, które tam były, więc na pewno kogoś znajdziemy.

– Miejmy nadzieję – powiedziała Hwass i spojrzała na zegarek. – Na następne spotkanie chcę, żebyście się stawili w komplecie, może wtedy uda nam się przynajmniej ustalić, na czym stoimy. Jeśli nikt nie ma nic do dodania, to kończymy spotkanie.

– Jest jedna rzecz, o którą chciałbym cię zapytać, ale w cztery oczy – powiedział Bäckström.

– Nie przepadam za tego typu tajemnicami. Skoro jednak nie możesz tego powiedzieć tu i teraz, to dobrze.

– To tylko z troski – odparł Bäckström z westchnieniem.

– Z troski – prychnęła Hwass, podniosła się i schowała papiery do teczki. – Czegoś tak nedorzecznego jeszcze nie słyszałam. Nawet tutaj.

Bäckström ledwie zdążył wrócić do swojego gabinetu, a już zadzwonił telefon, a ponieważ wiedział, kto to, natychmiast odebrał.

– Bäckström, słucham – odpowiedział miękkiem głosem, zupełnie jak nie on.

– Dobrze, że cię złapałem, Bäckström – powiedział jego nowy szef. – Wybacz, ale trochę się niepokoję.

– Jeśli jest coś, w czym ci mogę pomóc, to jestem oczywiście do dyspozycji – odparł Bäckström. – Albowiem kimże bym był, jeśli nie pomógłbym bratu w potrzebie.

– Dziękuję, Bäckström, dziękuję – powiedział Carl Borgström. – Ale mam wrażenie, że w powietrzu wisi wojna między tobą, twoimi śledczymi a naszą prokurator.

– Nie rozumiem – odpowiedział Bäckström. – Właśnie skończyliśmy spotkanie, ustaliliśmy, co robimy, i nie było najmniejszych problemów. Wszystko posuwa się do przodu, a jeśli chodzi o naszą prokurator, to wydaje mi się, że zachowywała się jak zwykle. Poprawna i zainteresowana.

– Nie była agresywna ani nic takiego?

– Nie, była taka jak zwykle.

– Dobrze słyszeć. Niedawno się z nią widziałem, jak się pewnie domyślasz, i to nawet kilka razy, a teraz, zanim zadzwoniłem do ciebie, zacząłem się o nią nawet trochę martwić.



– Nie widzę żadnego powodu do niepokoju. No bo czemu walczyć ludziom wbrew, czemu ma się polać krew, czemu inny cierpieć musi, gdy go pycha innych kusi. To słowa godne zastanowienia, Borgström.

– Rzeczywiście – odpowiedział Borgström. – Zanim do mnie przyszła, a musisz wiedzieć, że wyglądała, jakby postradała zmysły, zadzwonił z recepcji nasz szef i powiedział, że Hwass ma kilku ochroniarzu z Säpo, którzy czekają na nią na dole.

– No to już wszystko jasne – odrzekł Bäckström. – Pewnie coś innego ją niepokoi. Jakieś groźby na horyzoncie... Może jakiś szalony dyrektor banku, z którym weszła w konflikt, kiedy pracowała w Wydziale do Walki z Przestępczością Gospodarczą.

– Tak uważasz?

– A co innego? – uspokajał Bäckström. – Przecież u nas wszystko w porządku. Cisza i spokój.

No to teraz będziesz miał nad czym pogłówkować, pomyślał Bäckström, kiedy tylko skończył rozmowę.

Jeszcze jeden, pomyślał Carl Borgström. Z jednej strony krzyczące, przestraszone baby, z drugiej – współpracownik, którego ogarnął fanatyzm religijny.

## 73.

W tamte wakacje na Przeklętej Wyspie, ponad trzydzieści lat temu, Haqvin i jego kumple bawili się w policjantów i złodziei. Żeby zwiększyć emocje, wymyślili nowy wariant zabawy. Na kilka godzin przed obiadem jeden z nich uciekał z ich wspólną wałówką. Jeśli tak się schował, że w ciągu dwóch godzin go nie znaleźli, jedzenie było jego. Jeśli któryś z chłopaków chciał coś zjeść, musiał mu zapłacić za jedzenie. A ponieważ kryjówek na Przeklętej Wyspie było mnóstwo, ograniczyli teren do miejsca wokół ich wieży widokowej. Zbieg nie mógł się ukryć poza wyznaczonym terenem, miał tylko pięć minut na schowanie się i nie mógł się ruszyć z miejsca, dopóki nie został znaleziony. Po dwóch godzinach poszukiwania przerywano. Ci, którzy szukali zbiega, wracali do szałasów i tam na niego czekali. Tak, żeby zbieg nie musiał wyjawiać swojej kryjówki.

Pewnego razu Haqvin nawet położył się w wodzie na dnie zatoczki i próbował oddychać przez trzcinę.

– Chyba zupełnie wtedy zwariowałem – skonstatował trzydzieści lat później.

– I co, złapali cię? – zapytała Annika.

– Tak. Już prawie zaczynałem się dusić i kiedy wystawiłem głowę, żeby nabrać powietrza, zauważyli mnie.

– Więc zbieg zawsze zostawał złapany?

- Prawie zawsze.
- Nikt nie próbował oszukiwać?
- Nie – odpowiedział Haqvin. – Honor skauta. Oszustwo nigdy nie uszłoby mu na sucho.
- Czyli wcześniej czy później wszystkich znajdowaliście?
- Tak, oprócz jednego – powiedział Haqvin. – Nigdy go nie znaleźliśmy.
- I nie oszukiwał?
- Nie – odparł Haqvin. – Przynajmniej wtedy tak mi się wydawało. Teraz domyślam się, gdzie mógł się ukrywać. To był przebiegły typ. Zresztą wołaliśmy na niego Lis, a jak wiesz, lisy są chytre i przebiegłe.
- Pamiętasz jak się nazywał? – zapytała Annika.
- Używaliśmy ksywek – powiedział Haqvin. – Na mnie wołali Hacke albo Hacke Dziecioł. Na niego mówiliśmy Lis albo Lis Jerka.
- Jerka?
- No tak, Eryk. W slangu to Jerka. Na mnie oprócz rodziców nikt nie mówił Haqvin. Byłem po prostu Hacke.
- Miał jakieś nazwisko, ten Eryk? – zapytała Annika.
- Niech pomyślę... – rzekł Haqvin i na wszelki wypadek podrapał się po swojej blond czuprynie. – Właściwie to nie miał na imię Eryk...
- Eryk nie miał na imię Eryk... – powtórzyła Annika.
- Nie jest z ciebie żaden geniusz, pomyślała.
- Na przykład ja nazywam się Gustav Haqvin Furuhjelm. Haqvin to moje drugie imię i tak na mnie mówią na co dzień.
- A ten Eryk jak się nazywał?
- Daniel – odpowiedział Haqvin. – Eryk Daniel Johnson, o ile dobrze pamiętam.
- Eryk Daniel Johnson, na co dzień Daniel – powiedziała Annika.
- Jaki ten świat jest mały, pomyślała.

– Zgadza się – potwierdził Haqvin. – Nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy mówili na niego Lis. Kiedy mówiliśmy Danne, złościł się.

– Ten Eryk Daniel Johnson... czy miałaś z nim potem jakiś kontakt?

– Żadnego. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek spotkał go poza obozem. Trzy obozy, w osiemdziesiątym pierwszym, osiemdziesiątym drugim i osiemdziesiątym trzecim. Ale mogę to sprawdzić, jeśli chcesz.

– Potem go już nigdy więcej nie spotkałeś?

– Nie.

– Właściwie to dlaczego? – zapytała Annika. – Przecież obaj byliście skautami, w tym samym wieku, interesowaliście się żeglarstwem. Czy przypadkiem się nie pokłóciliście?

– Nie – odpowiedział Haqvin. – Po prostu żyliśmy w dwóch różnych światach.

– A w jakim świecie on żył?

– Zdaje się, że jego ojciec był nauczycielem – odpowiedział Haqvin. – Perfekcjonista, o ile dobrze pamiętam.

– Poznałeś go? – spytała.

– Tak – odparł Haqvin. – Przyjechał na obóz któregoś lata. Właściwie to przyplłynął żaglówką. Zwiedziłem ją nawet.

– Ojciec Daniela miał żaglówkę?

– Tak, to była vega. Nic szczególnego, ale też nie była to jakaś tam łajba. Szwedzka łódka, ponad osiem metrów, wydaje mi się, że wtedy zupełnie nowa.

– Wiesz co, Haqvin?

– Tak?

– Wielkie dzięki – powiedziała Annika. – Właściwie to zasłużyłeś na medal. Niestety, nie mam go przy sobie, więc załatwimy to przy okazji.

– W porządku – odparł Haqvin. – I pomyśl o żeglowaniu, pamiętaj!

## 74.

Kiedy Annika wróciła do komendy, skierowała się prosto do Bäckströma.

– I jak się udało spotkanie z naszą prokuratorką? – zapytała.

– Wspaniale – odpowiedział Bäckström. – Babsztyl już ma pętlę na szyi, ale pozwolę jej pożyć jeszcze z tydzień. Co mogę dla ciebie zrobić?

– To Daniel Johnson ją zabił – oznajmiła Annika.

– Oczywiście, a któż by inny – powiedział Bäckström i wzruszył ramionami. – Przecież wszyscy o tym wiedzieli.

– Ja nie – odparła Annika. – Ale teraz już wiem.

– A co spowodowało, że zmieniłaś zdanie?

– To, że mogę go powiązać z miejscem naszego znaleziska – wyznała Annika.

– Jak ci się to udało?

– Dzięki tobie i puszcze kiełbasek, o której mówiłeś.

– No proszę, proszę, kto by pomyślał – podsumował Bäckström.

– Jaki świat jest mały – skonstatował, kiedy tylko Annika opowiedziała mu o rozmowie z Furuhjelmem.

– Jest jeszcze mniejszy. Pod koniec rozmowy, kiedy już się zbierałam do wyjścia, Furuhjelm wyjął stary album ze zdjęciami z tych obozów letnich.

– I masz go na tych zdjęciach? – zapytał Bäckström.

– Na co najmniej dziesięciu. W krótkich spodenkach i w mundurku. Był zresztą, wtedy, prawdziwym słodziakiem. Ale mam w głowie inne jego zdjęcie. Mianowicie to – powiedziała Annika i podała fotografię Bäckströmowi.

– Trzech małych skautów – rzekł Bäckström – z których jeden ma złamaną nogę. Oddają honory.

Dokładnie tak samo jak ja, kiedy byłem skautem, pomyślał Bäckström. Wprawdzie krótko, ale z paroma honorami mi się udało.

– Jak myślisz, którzy to? – zapytała Annika.

– Ten chłopak z blond włosami, po prawej stronie zdjęcia, to prawdopodobnie Furuhjelm. Ten po lewej, z ciemnymi włosami, to musi być Daniel Johnson. A ten w środku, z nogą w gipsie... nie mam pojęcia.

– Podpowiem ci – powiedziała Annika. – Wszyscy ci chłopcy mieli jakieś przezwiska. Haqvina Furuhjelma nazywali Hacke albo Hacke Dzieciół, na Johnsona mówili Lis, bo był chytry i przebiegły, a ten, który stoi w środku, to Karl-Bertil Jonsson, bo był zawsze taki miły.

– Karl-Bertil Jonsson?

– No wiesz, z tej kreskówki na podstawie opowiadania Tage Danielssona. O chłopcu o imieniu Karl-Bertil, który w święta Bożego Narodzenia dorabiał sobie na pocztce, a miał tak dobre serce, że podkradał prezenty świąteczne i rozdawał biednym.

– Nie znam – wyznał Bäckström.

Musiał być prawdziwym wariatem, pomyślał. Po co biednym prezenty?

– Tak naprawdę to nazywał się Carl Bertil. Carl przez c i bez myślnika między Carl a Bertil.

– A jakie miał nazwisko?

– Borgström. Carl Bertil Borgström.

– Jak nasz szef – powiedział Bäckström.

– We własnej osobie – potwierdziła Annika.

– Przecież to prawdziwa cholerna papla – stwierdził Bäckström. –

Myślisz, że mógł się skontaktować z Danielem Johnsonem?

– Nie wiem – odparła Annika. – Ale mam zamiar to sprawdzić.

– Dlaczego ma nogę w gipsie? Ktoś go złał czy co?

– Spadł z drzewa, kiedy budowali koję.

– W takim razie to na pewno nasz Borgström – skwitował Bäckström. –

Tylko tacy jak on spadają z drzewa.

## 75.

Następnym dniem po czwartym spotkaniu z grupą dochodzeniową był wtorek. W przypadku Nadii był to dobry dzień, gdyż dużo udało jej się zrobić. Znalazła wreszcie wiarygodny motyw tego, co się wydarzyło. Drugi z dwóch najczęstszych motywów.

Od samego rana zajęła się prośbą Anniki, aby dalej prześledzić wspólne interesy Jaidee Kunchai i Daniela Johnsona. Z przesłuchania, które Carlsson przeprowadziła z księgową, wynikało, że firma miała duże aktywa, o których nie było ani słowa w dokumentach z jej likwidacji. Nadia zażądała bardziej szczegółowej dokumentacji, w której znalazła zabezpieczenie kapitałowe podpisane przez firmę w pierwszym roku swojej działalności, w 2002.

Była to interesująca konstrukcja, która częściowo dawała właścicielom możliwość ulokowania opodatkowanego zysku firmy w zabezpieczeniu kapitałowym, a częściowo zawierała ubezpieczenie na życie chroniące właścicieli firmy, Daniela Johnsona i Jaidee Kunchai, na wypadek gdyby im się coś stało. Beneficjentem był żyjący współwłaściciel, dlatego też ta część aktywów została odjęta z bilansu rocznego już rok przed sprzedażą firmy. Z podatkowego punktu widzenia wszystko było w porządku i Daniel Johnson mógł wyjąć z firmy opodatkowane pieniądze. Potem nie zostało



już nic poza długiem na kilkaset tysięcy koron, który można było przerzucić na majątek ruchomy firmy i klientów przejętych przez nowego właściciela.

Zgodnie z umową sprzedaży Daniel Johnson otrzymał jedną koronę i ze względu na ubezpieczenie nieistotne było, czy ją przyjął, czy też nie, pomyślała Nadia, wykręcając numer do Bäckströma, żeby poinformować go o swoim odkryciu.

– Pieniądze, pieniądze – powiedział i zabrzmiał, jakby smakował te słowa. – Zawsze chodzi o pieniądze. Po prostu razem ze swoją ukochaną żoną skwapliwie skorzystali z okazji.

– Właśnie – zgodziła się. – Choć trudno mi sobie wyobrazić, jak można zaplanować tsunami...

– A potem stało się to, co się stało. Zaczęli się o te pieniądze kłócić. Wsadził jej kulkę w łeb i zakopał na wyspie na Mälaren, gdzie bywał jako dziecko. I ten skurczybyk był skautem...

– Zawsze w gotowości – dodała Nadia.

– O jakich pieniądzach mówimy?

– Łącznie z dwoma ubezpieczeniami, które zrealizował już w dwa tysiące czwartym, chodzi o dwadzieścia pięć milionów, a nawet trochę więcej – oznajmiła Nadia.

– Dwadzieścia pięć milionów – powtórzył Bäckström. – Niezły pieniądź.

– Powinno wystarczyć dla nich dwojga.

– Dużo zawsze chce jeszcze więcej – odpowiedział Bäckström i brzmiał, jakby dokładnie wiedział, o czym mówi.

Po rozmowie z Bäckströmem Nadia zjadła lunch. Nie w jednej z dwóch stołówek u nich na komendzie, tylko w pokoju wypoczynkowym. W mikrofalówce podgrzała własnej roboty barszcz czerwony i domowe pierogi z mięsem wieprzowym i cebulą.

Jeśli byłby tu Bäckström, to pewnie wypilibyśmy sobie po jednym, pomyślała Nadia. Dokładnie tak, jak to robią we wszystkich komisariatach policji w jej dawnej ojczyźnie.

Po lunchu Nadia ponownie spróbowała poznać odpowiedź na pytanie, jakich danych użyto w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym, odpowiedniku dawnego Narodowego Centrum Kryminalistyki, w którym sporządzono profil DNA Jaidee Kunchai. Było to wprawdzie prawie dwanaście lat temu, ale sądząc po wszystkich rejestrach, jakie prowadzą tacy jak ona, mimo wszystko powinna być jakaś adnotacja. A może nawet tak się szczęśliwie złoży, że mają tam kogoś tak dobrego jak ona.

Tak też było, mimo że wszystko zaczęło się jak zwykle. Najpierw łączyli ją z różnymi osobami, które twierdziły, że nic nie wiedzą o sprawie, ale mogą połączyć z kimś, kto mógłby jej pomóc. Po kilkunastu próbach udało jej się porozmawiać z ekspertką od profilowania DNA, która z dużą życzliwością poinformowała ją, że dodzwoniła się nie do tej osoby.

– Wydaje mi się, że to sprawa do kogoś z archiwum. Ja jestem biologiem. Całe dni siedzę w piwnicy wśród moich próbek.

– Domyślam się – powiedziała Nadia. – Ja też pracuję podobnie, z tą różnicą, że u mnie to głównie kartka i długopis. Matematyka i fizyka.

– Jestem przekonana, że twoi współpracownicy kochają cię za to – odparła pani biolog i zadowolona z siebie zachichotała.

– No pewnie – przyznała Nadia. – Bo sami nie muszą liczyć.

Na szczęście, pomyślała.

– A więc dwanaście lat temu. Uznana za zmarłą w dwa tysiące czwartym roku. Nienotowana.

– Zgadza się – potwierdziła Nadia.

– Zdaje się, że podczas tsunami w Tajlandii – skonstatowała pani biolog.

– Mieliśmy wtedy trochę roboty.

– Zginęła w tsunami – potwierdziła Nadia. – Pochodziła z Tajlandii. Ale wyszła za mąż za Szweda i mieszkała tu ładnych parę lat, dlatego miała też szwedzkie obywatelstwo. Trzydzieści jeden lat, kiedy zmarła.

– Poczekaj – powiedziała pani biolog. – Czy ona przypadkiem nie nazywała się Jaidee Kunchai? Wyszła za mąż za niejakiego Johnsona? Wydaje mi się, że on przeżył.

– Zgadza się – przyznała Nadia.

Wiek cudów jeszcze nie minął, pomyślała.

– O niej wiem wszystko. To ja sporządzałam jej profil. Był kompletny, o ile dobrze pamiętam. Lepszy trudno sobie wyobrazić. Nie musisz jej szukać w naszej bazie danych. Jestem prawie pewna, że została usunięta, kiedy uznano ją za zmarłą. Gdyby tego nie zrobili, byłoby to przestępstwo. Osoba, która wtedy sporządzała naszą bazę danych, była bardzo rygorystyczna. Prawnik.

– Więc wszystkie papiery o niej są zniszczone?

Typowe, pomyślała Nadia. Kto by liczył na cud w tych czasach.

– Jestem o tym święcie przekonana – odpowiedziała pani biolog. – Jediną osobą, która coś o niej wie, jestem ja, bo umieściłam ją w mojej pracy doktorskiej, a pamiętam to dlatego, że była jedyną Tajlandką, o jakiej pisałam. Wydawało mi się, że powinno być ich więcej, bo przecież w Szwecji w tym czasie było ponad tysiąc kobiet z Tajlandii, które miały mężów Szwedów.

– Ale pewnie nie pojechały do Khao Lak – zauważyła Nadia.

– Możliwe – odpowiedziała pani biolog.

– Czyli wszystkie dokumenty o Jaidee Kunchai są zniszczone?

– Przynajmniej te, które były w archiwum. Przechodzą przez niszcarkę i są usuwane z bazy danych. Ale moje papiery oczywiście mam. To materiał

do badań, a tego się nie wyrzuca. Mamy tu zresztą zasadę, że nie wyrzucamy materiału badawczego.

– Czy mogłabym na to spojrzeć?

– Oczywiście – odparła. – Co takie jak my by bez siebie zrobiły... Daj mi pół godziny, to spróbuję się dogrzebać do właściwego pudła.

– Zostawię ci mój numer telefonu – powiedziała jeszcze Nadia.

Co takie jak my by bez siebie zrobiły, pomyślała.

Pokrewna dusza Nadii odezwała się już po dwudziestu minutach, więc Nadia siedziała za biurkiem z kompletną dokumentacją Jaidee Kunchai. W czasie tsunami ekspertka od DNA pracowała w Narodowym Centrum Kryminalistyki na pół etatu i jednocześnie pisała pracę doktorską ukierunkowaną na problemy występujące przy sporządzaniu profilu DNA niestandardowymi sposobami. A więc przy użyciu ogryzków jabłka, plwociny, ubrania, chustki do nosa z wydzieliną, niedopałka, kolczyka, szczoteczki do zębów, grzebienia czy szczotki do włosów...

– To bardzo ciekawe – stwierdziła pani biolog. – Wiesz, czym się teraz zajmuję?

– Nie – odpowiedziała Nadia. – Ale chętnie posłucham.

– Powietrzem, które wydychasz. Jeśli znajdzie się na odpowiedniej powierzchni, to dość szybko sobie z nim poradzimy. Problemem jest czas. Wydychane powietrze to materiał ulotny, nietrwały. Zależy częściowo od temperatury.

– Brzmi fantastycznie – odparła Nadia, i naprawdę tak myślała.

– W przypadku Jaidee Kunchai miałam trzy rodzaje materiału do badania. Szczotkę do włosów, grzebień i szczoteczkę do zębów. Mam to wszystko w papierach i teraz, kiedy w nie zaglądam, pamiętam nawet, jak wyglądała jej szczotka do włosów i grzebień.

– Naprawdę?

– Szczotka była bardzo efektowna. Z czarnego drewna, prawdopodobnie hebanu, ze srebrną obwódką, natomiast grzebień był z kości słoniowej. To teraz zabronione, jak wiesz. Typowe orientalne przedmioty. I na pewno stare. Nie pamiętam jednak szczoteczki do zębów, ale w sumie nic dziwnego. To pewnie była zwykła plastikowa szczoteczka, czerwona albo różowa, kolorem dopasowana do płci. Szczotkę do włosów i grzebień odesłaliśmy zaraz po badaniu do zamawiającego, czyli policji kryminalnej. Oni z kolei odesłali to do jej męża. Jako że nie chodziło tu o żadne przestępstwo ani o drogocenny przedmiot, pewnie taką drogą się to odbyło.

– A szczoteczka do zębów? Też ją odesłaliście?

– Jeśli to była najzwyklejsza szczoteczka, to nie. O takie przedmioty krewni nie pytają. Komu potrzebna jest używana szczoteczka do zębów. Natomiast szczotkę i grzebień na pewno odesłaliśmy.

– Tak właśnie sądziłam – stwierdziła Nadia.

Nic się nie stanie, jeśli sama przekopię się przez te ich stare teczki i pudła, pomyślała.

– Z moich notatek wynika, że ze szczotki i grzebienia zabezpieczyłam też kilka kosmyków włosów, z cebulkami i bez cebulek. Poza tym komórki ciała, z głowy i jamy ustnej, również z grzebienia i szczoteczki do zębów. Po analizie mój profil porównałam z profilem, który przesłała nam Komenda Główna Policji, ci z kolei dostali go z Urzędu Imigracyjnego.

– I wyszło ci cztery plus – skwitowała Nadia.

– Inaczej nie mogło – odpowiedziała pani biolog z zaangażowaniem. – Cokolwiek innego byłoby okropnym wstydem, zważywszy na materiał, jaki dostałam. Kosmyki włosów, komórki ciała z głowy i podniebienia pochodziły od Jaidee Kunchai. Prawdopodobieństwo, że mogły pochodzić od innej osoby, było minimalne. Jak jeden do kilkuset milionów.

– Pewnie jesteś ciekawa, dlaczego tak mnie to interesuje? – zapytała Nadia.

– Rozumiem cię. Pewnie najchętniej chciałabyś dostać wyniki z wymazu z jamy ustnej, z krwi, ze szpiku kostnego, z zęba, z tkanki czy z wnętrzości. Dokładnie wiem, dlaczego ci to nie daje spokoju.

– Właściwie to się tego spodziewałam – przyznała Nadia.

– Ale mogło być tak, że któryś z moich kolegów dostał próbki z ciała Jaidee Kunchai. W to, że została odnaleziona, nie wątpię. Zwłoki były wystawione na wysokie temperatury, silne światło i słońca wodę, a to jest bardzo niekorzystne, kiedy się chce pobrać materiał do badania. Technicy tam pracujący byli oczywiście tego świadomi i dlatego pobrali wszystko, co się dało.

– Niefortunnie się złożyło...

– Niefortunne było też to, że któryś z moich kolegów też był w trakcie pisania pracy, kiedy Jaidee Kunchai się tu pojawiła. Tak więc można zapomnieć, że mamy jeszcze jakieś dane o jej materiale genetycznym. Ale może policja ma. To przecież oni zamówili badania i przysłali nam próbki.

– Miejmy nadzieję – dodała Nadia, mimo że specjalnie w to nie wierzyła. – Jeszcze jedna rzecz...

– Tak?

– Czy masz ochotę spróbować rosyjskiej kuchni? – zapytała. – Pierogów, barszczu, gotowanego jesiotra, kiszonych ogórków z kwaśną śmietaną?

– Chętnie – odpowiedziała pani biolog. – Poza tym uwielbiam prawdziwą rosyjską wódkę. W czasie urlopu, miesiąc temu, byłam w Sankt Petersburgu. Fantastyczne miasto.

– To świetnie – stwierdziła Nadia. – Dam ci mój numer telefonu. Zadzwoń, kiedy będziesz w Sztokholmie.

– Chętnie. Nie masz też przypadkiem bałałajki?

- Pewnie, że mam. A nawet dwie. Umiesz grać?
- Niestety nie. Ale może ty mnie nauczysz. I razem zaśpiewamy *Kalinkę*... i wzniesiemy toast.
- Obiecuję, że się postaram – powiedziała Nadia.
- Och ta nieśmiertelna *Kalinka*, pomyślała.

Zanim Nadia wyszła z pracy, zadzwonił jej kolega z Komendy Głównej. Uporał się już z tym, o co go prosiła w mailu. Jesienią 2005 roku szczotka do włosów i grzebień zostały zwrócone Danielowi Johnsonowi. Ale nie szczoteczka do zębów. Johnson osobiście odebrał je z komisariatu w Sztokholmie.

– Zeskanuję pokwitowanie i ci prześlę – obiecał. – Jeśli chodzi o szczoteczkę do zębów, to nie ma w tym nic dziwnego. Kto chciałby ją z powrotem. Myślę, że została w laboratorium i kiedy tylko pobrali próbki, zniszczyli ją.

– A więc nie masz żadnych informacji, że mogliście wysłać jakiś inny materiał do badań? Coś, co zabezpieczyli z jej ciała?

– Niestety – potwierdził znajomy. – Ale mogę ci za to powiedzieć, którzy policjanci się tym zajmowali. Może ktoś coś pamięta.

– Świetnie – odparła Nadia. – Chętnie z nimi porozmawiam.

## 76.

Tego samego dnia, który dla Nadii na komisariacie w Solnej był tak udany, dwaj współpracownicy Bunyasarna, Surat Kongpaisarn i Chuan Jetjirawat, polecili z Bangkoku do Phuket, ponad dziesięć tysięcy kilometrów na południowy wschód od Solnej, w celu dokładniejszego wyjaśnienia nieścisłości, które znaleźli w hotelu w Khao Lak podczas swojej pierwszej wizyty. Jeśli się czegoś lub kogoś szuka, najlepiej robić to na miejscu. To wie każdy prawdziwy policjant.

Z rachunków hotelowych wynikało, że w wieczór przed tsunami małżeństwo Johnson i Kunchai jadło kolację w restauracji hotelowej. Następnie Daniel i Jaidee zamówili limuzynę z kierowcą z hotelowej wypożyczalni, która zawiozła ich do klubu nocnego Złoty Flaming w Phuket, jednego z lepszych klubów w mieście, położonego w samym centrum rozrywkowej dzielnicy.

Według dziennika jazdy kierowca zabrał ich spod hotelu około wpół do jedenastej wieczorem i zostawił pod klubem pół godziny później.

Po kilku godzinach, zaraz po trzeciej nad ranem, ten sam szofer zabrał ich spod klubu i zawiózł z powrotem do hotelu. Kurs zamówił Daniel Johnson, prawdopodobnie ze swojej komórki. W samochodzie było siedem osób. Jednak nie wiadomo, co to za osoby, ponieważ kurs został dopisany



do rachunku hotelowego Johnsona. Jednym z pasażerów była na pewno jego żona, o innych osobach nic nie wiadomo.

Odpowiedzi na to pytanie mógłby prawdopodobnie udzielić sam kierowca. Jednak on także zginął w tsunami. To był jego wolny dzień, więc rano poszedł na plażę w pobliżu miejsca, gdzie mieszkał personel hotelowy, żeby się wykąpać. Tsunami go porwało i rzuciło pięćdziesiąt metrów w głąb lądu. Pozostał tylko samochód i dziennik, w którym zapisywał swoje kursy.

– I co o tym sądzisz? – zapytał Jetjirawat. – O Danielu Johnsonie i sześciorgu pozostałych, którzy wrócili do hotelu. Kto to był?

– Na pewno jego żona – orzekł Kongpaisarn. – Przecież widziałeś jej zdjęcie. Ja takiej kobiety nie zostawiłbym w takim miejscu jak Złoty Flaming.

– Ja też nie – zgodził się Jetjirawat. – A pozostałe pięć osób?

– Inni goście, którzy mieszkali w tym samym hotelu – odparł Kongpaisarn. – Co mieli tam robić o czwartej nad ranem. Oba bary hotelowe były już zamknięte. Wrócili i poszli spać.

– No dobrze, zgoda – powiedział Jetjirawat. – A jednak nie daje mi to spokoju. Wydaje mi się, że było o jedną osobę za dużo.

– Faktycznie. Goście hotelowi to w większości pary. Wiele z nich z dziećmi, i to małymi. Przecież nie pojechali z dziećmiakami w takie miejsce jak Złoty Flaming. Nawet by ich tam nie wpuścili.

– Kilka rodzin miało dzieci w wieku nastoletnim – dodał Jetjirawat. – Ale to nic nie zmienia. Najbardziej prawdopodobne jest to, że poderwali kogoś w klubie i przywieźli ze sobą do hotelu.

– Na swinger party – zachichotał Kongpaisarn.

– Przecież do tego im jesteśmy potrzebni – powiedział Jetjirawat.

W samym Khao Lak i okolicy tsunami zabiło ponad pięć tysięcy osób. Większość ofiar to Tajlandczycy. Setki osób uznano za zaginione,

a ponieważ wszyscy wiedzieli, że zabrało ich morze, więc już dawno przestano ich szukać. Jedyne, co po nich pozostało, to informacje o ich zaginięciu sporządzone przez miejscową policję. Jednak w Phuket jedna osoba zainteresowała Bunyasarna i jego kolegów szczególnie.

Osobą, która obudziła w nich policyjny instynkt, była ich szwedzka koleżanka po fachu, Nadia Högberg, z domu Iwanowna, z odległego o tysiące kilometrów komisariatu w Solnej. Konkretnie chodziło o młodą kobietę, mniej więcej w tym samym wieku co Jaidee Kunchai i jak wynikało z rysopisu sporządzonego przez tajską policję, bardzo do niej podobną. Zaginięcie zgłosił jej pracodawca kilka dni po tsunami, kiedy nie pojawiła się w pracy. Informacje na jej temat, które zdobyła policja, twardo przemawiały za tym, że nie zniknęła dobrowolnie. Wszystkie rzeczy osobiste zostawiła w małym wynajętym mieszkanku w Phuket. Telefonu komórkowego ostatni raz użyła dziesięć godzin przed uderzeniem fali.

Poza tym nic więcej nie było o niej wiadomo. Dlatego też Kongpaisarn i Jetjirawat wrócili do Phuket, żeby porozmawiać z jej pracodawcą, który zgłosił zaginięcie i który, być może, będzie wiedział coś więcej. Obecnie był na emeryturze i ze swoimi starymi przyjaciółmi, którzy prowadzili taki sam styl życia jak on, głównie wędkował w morzu na obrzeżach Phuket. W czasie tsunami był menedżerem Złotego Flaminga, a kobieta, której zaginięcie zgłosił, pracowała jako hostessa w jego klubie. Sądząc po zdjęciach, które Kongpaisarn i Jetjirawat otrzymali od policji w Phuket, równie dobrze mogła być siostrą Jaidee Kunchai.

– Yada Ying Song – powiedział Kongpaisarn i uśmiechnął się ironicznie do byłego menedżera klubu. – Typowo tajskie nazwisko, co? Tak wynika z twojego zgłoszenia. Czy możesz mi powiedzieć, jak się naprawdę nazywała?

– To był jej pseudonim artystyczny – wyjaśnił szef Złotego Flaminga. – Yada albo Ying, Ying Song, Yada Song. Dla mnie okej. Dla niej też. Mniejsze ryzyko, że dostanie się w łapy takich jak ty i twój koleżka. Dyskrecja to podstawa w tej branży. Dotyczy to zarówno gości, jak i pracowników.

– Więc nie wiesz, jak się naprawdę nazywała – powtórzył Kongpaisarn.

– Przecież już mówiłem, kiedy zgłaszałem jej zaginięcie – odparł szef Złotego Flaminga. – Ja ją nazywałem Yada. To była zachwycająca młoda kobieta. Piękna, miła, nasi goście bardzo ją lubili. Żadnych problemów z narkotykami, nic z tych rzeczy. Brakuje mi jej.

– Z pewnością – przyznał Kongpaisarn. – Przecież pracowała dla ciebie jako prostytutka, więc ty nie musiałeś jej płacić za usługi. I co, nie wydusisz z siebie jej prawdziwego nazwiska?

– Jak już powiedziałam, pracowała w moim klubie jako hostessa. Dbała o to, żeby goście byli zadowoleni, w razie potrzeby podawała do stołu i opiekowała się gośćmi, którzy byli dla nas szczególnie ważni. A w to, co robiła po pracy, nie wnikałem.

– No pewnie, przecież szła z twoimi gośćmi do ich hotelu?

– W takim razie wiecie więcej ode mnie – westchnął były szef klubu. – Pewnie jesteś ciekawy, czy z nią sypiałem? A więc nie, nie sypiałem z nią. Czy ona spała z innymi? Nie wiem. Czy poszłaby do hotelu z którymś z was, gdybyście byli gośćmi Flaminga? Nie sądzę. Poza tym nigdy nie wpuszczaliśmy do klubu takich typów jak wy. Jedyni z waszych, którzy mieli wstęp, to ci, którzy przychodzili po swoje łapówki.

– Poznajesz go? – zapytał Jetjirawat i podał byłemu szefowi klubu powiększone zdjęcie paszportowe Daniela Johnsona.

– Nie – odpowiedział i pokręcił głową. – Miły młody facet. Dlaczego miałbym go pamiętać?

– Mamy powód przypuszczać, że odwiedził twój klub noc przed tsunami  
– powiedział Kongpaisarn.

– On i tysiące innych – odparł szef klubu z uśmiechem. – Zaczynam się o was trochę niepokoić...

– Najlepiej będzie, jeśli tam pojedziemy i sprawdzimy wszystkie rachunki, które goście płacili kartą kredytową – wtrącił Jetjirawat.

– To powodzenia – rzucił szef klubu. – U nas płaciło się tylko gotówką. Dlatego zadbałem o to, żeby za rogiem były dwa bankomaty.

– Nie jesteś szczególnie pomocny – stwierdził Kongpaisarn. – Co byś powiedział, gdybyśmy cię teraz zabrali do ciupy, żebyś miał czas na zastanowienie się?

– Tak się składa, że jutro planuję wyprawę na ryby z jednym z moich najlepszych kumpli, z którym najczęściej wędkuję. Jest szefem policji kryminalnej w Phuket. I nie, nie sądzę, żeby to mi odświeżyło pamięć. Myślę natomiast, że istnieje większe ryzyko, że to wy spędzicie noc za kratkami, nie ja. Jeśli oczywiście przyjdzie wam do głowy mnie tam wsadzić.

– Okej – powiedział Kongpaisarn. – Przyjąłem do wiadomości. Ale powodem, dla którego tu z tobą siedzimy, jest to, że próbujemy znaleźć twoją hostesę. Yadę, Yadę Ying, jakkolwiek się nazywała.

– To świetnie. Jeśli ją znajdziecie, obiecuję, że zabiorę was na wędkowanie.

– A co ty uważasz? – zapytał Jetjirawat.

– Że morze ją zabrało – powiedział szef klubu. – I jakoś trudno mi uwierzyć, że wy dwaj, nic nieznaczący policjanci z Bangkoku, możecie tu cokolwiek zmienić.

Zaledwie pół godziny przedtem, nim fale tsunami wdarły się na plażę nieopodal hotelu, w którym mieszkał Daniel Johnson i Jaidee Kunchai,

pracownik hotelowy zamówił taksówkę na nazwisko Daniela Johnsona. I to był jedyny ślad, jaki dotychczas mieli. Jednak Kongpaisarn i jego towarzysz, Jetjirawat, nie znaleźli ani pracownika hotelu, który zamawiał taksówkę, ani kierowcy. Ani nawet samochodu. Pozostało więc tylko porozmawiać z samym Johnsonem.

– Co o tym myślisz, Surat? – zapytał Chuan Jetjirawat, kiedy siedzieli w samolocie w drodze powrotnej do Bangkoku. – Może poprosimy szefa o pozwolenie na wyjazd do Szwecji i tam go przesłuchamy? Poza tym słyszałem, że szwedzkie dziewczyny są bardzo ładne.

– Nie takie ładne jak nasze – stwierdził Kongpaisarn. – Poza tym tam jest teraz chyba zima, więc lepiej niech to za nas zrobi nasza koleżanka ze Szwecji. Zresztą jest nam winna przysługę.

Przecież to mogła być siostra Jaidee, pomyślała Nadia, kiedy dzień później oglądała zdjęcia Yady Ying Song, które przysłał jej Bunyasarn. Miejmy nadzieję, że jednak nie. W każdym razie nie jakaś nieznana siostra bliźniaczka, pomyślała.

## 77.

Bäckström właśnie się obudził ze swojej popołudniowej drzemki, tej wspaniałej odtrutki, z której powinno korzystać więcej mądrych osób, zamiast ciągle za czymś gonić.

Wciąż jeszcze leżał w łóżku i się rozciągał – nigdy nie zapominał o odpowiedniej ilości ruchu – jednocześnie zastanawiając się, czy pozostałą część dnia rozpocząć zimnym piwem, czy może dżinem z tonikiem z dużą ilością lodu i małym plasterkiem cytryny.

Te ciągłe decyzje, pomyślał, wkładając szlafrok. I wtedy usłyszał dzwonek do drzwi. Był to delikatny, choć jednocześnie stanowczy dźwięk, a ponieważ wiedział, że mały Edvin zaczął szkołę i wrócił do miasta, nie sprawdził tożsamości gościa na monitorze swojej kamery. Otworzył po prostu drzwi i zobaczył swojego kochanego chłopaka. Stał w progu, czujny, uważny, a jednocześnie trochę niespokojny.

– Jak miło cię znów widzieć, Edvin – powiedział Bäckström. – Co cię do mnie sprowadza?

– Trudna sprawa, panie komisarzu – odpowiedział Edvin i skinął głową na potwierdzenie swoich słów. – Czy mogę wejść?

– Oczywiście – odparł Bäckström. – Mistrzu detektywów, Edvinie Miloseviciu, wchodź.

Pięć minut później siedzieli na sofie. Bäckström nalał sobie zimnego pilznera, a małego Edvina poczęstował jednym z tych napojów gazowanych, których zabraniała mu pić mama. Tym razem była to fanta. Najlepsza z lodem i odrobiną wódki, ale trzeba będzie poczekać jeszcze kilka lat, zanim mu to zaproponuje.

– W czym ci mogę pomóc, Edvin? – zapytał Bäckström, napełniając jednocześnie swój kieliszek.

– Chodzi o tego Mordercę od Czaszki – powiedział Edvin. – Wydaje mi się, że chce mnie zabić.

– Wiesz co, Edvin. W takiej sytuacji ważne jest, żeby nie dać się ponieść wyobraźni. Szczególnie prawdziwym detektywom, takim jak ty czy ja. Dlatego wytłumacz mi dokładnie, dlaczego uważasz, że Morderca od Czaszki chce cię zabić.

– A od czego mam zacząć, panie komisarzu? – zapytał Edvin.

– Od początku – odpowiedział Bäckström. – Najpierw powiedz mi, skąd te twoje podejrzenia.

– To było dzisiaj rano, kiedy szedłem do szkoły – odparł Edvin.

– Słucham cię uważnie – zapewnił Bäckström.

Lekcje zaczynają się o wpół do dziewiątej. Szkoła leży na Pipersgatan, sto metrów od ratusza, w którym swoje lokale ma również sąd rejonowy. Od domu Edvina do szkoły jest zaledwie kilometr, jeśli wybierze się najkrótszą drogę. Edwinowi zajmuje to od dziesięciu do piętnastu minut, w zależności od tego, czy coś ciekawego wydarzy się po drodze. Poza tym Edvin lubi przychodzić do szkoły wcześniej, żeby mieć czas pogadać z kolegami, zanim nauczyciele wezmą ich w obroty.

Edvin opuścił mieszkanie minutę po ósmej. Zanim wyszedł na ulicę, zrobił mały rekonesans, tak jak uczył go Bäckström. Jacy ludzie i pojazdy znajdują się w pobliżu i czy nic nie odbiega od normy.

Jedynym, co zauważył, to samochód, którego nigdy przedtem tu nie widział. Małe czerwone audi. Za kierownicą siedział mężczyzna. Żadnych innych obserwacji Edvin nie dokonał, gdyż samochód miał przyciemnione szyby. Edvin założył, że samochód pewnie czeka na kogoś, kto tu mieszka. Jednak kiedy doszedł do skrzyżowania z Flemingatan, na wszelki wypadek znów się rozejrzył, tak jak uczył go Bäckström. Przystanął, wyjął komórkę i udając, że z kimś rozmawia, próbował zobaczyć, co robi kierowca audi.

Samochód opuścił parking. Oprócz kierowcy w środku nikogo nie było, on zaś rozmawiał przez komórkę i jednocześnie wolno jechał w górę ulicy. Edvin schował telefon, skręcił w lewo we Flemingatan, potem w prawo w Polhemsgatan, minął posterunek policji i okrężną drogą doszedł do szkoły. Zajął mu to dodatkowe dziesięć minut, a czerwone audi wciąż za nim jechało. Kiedy wchodził do szkoły, było dwadzieścia po ósmej, kilkanaście sekund później samochód minął budynek. Potem Edvin już go nie widział ani podczas lekcji, ani kiedy wracał do domu.

Według szybkiej oceny Edvina kierowca czerwonego audi śledził go w drodze do szkoły.

– Świetnie, Edvin – powiedział Bäckström i z akceptacją pokiwał głową.  
– Zrobiłeś to podręcznikowo. Podałeś dokładny czas, doceniam zwłaszcza mały szczegół, a mianowicie to, że pozwoliłeś mu przejechać obok kamer przy budynku policji.

– Dziękuję, panie komisarzu – odparł Edvin i skinął głową.

Był bardzo z siebie zadowolony.

– Kiedy nasz podejrzany mijał budynek policji, była ósma zero osiem. Wszystko zanotowałem – oznajmił Edvin i pokazał na swój czarny notatnik, który w ubiegłym roku dostał od Bäckströma na gwiazdkę.



– Nie udało ci się przypadkiem zrobić zdjęcia temu skurczybykowi? – zapytał Bäckström.

– Niestety nie – powiedział Edvin i pokręcił głową. – Nie chciałem niepotrzebnie budzić podejrzeń.

– Mądrze – zgodził się Bäckström.

– Ale mam, oczywiście, jego numer rejestracyjny. Zapamiętałem, kiedy wchodziłem do szkoły. XPW 302, czerwone Audi RS Q3. To ich najmniejszy model sportowy. Całkiem sporo kosztuje. Mniej więcej sześćset tysięcy. Niemało.

– Świetnie, Edvin – powtórzył Bäckström. – Rozumiem, że go sprawdziłeś.

– Tak – odpowiedział Edvin. – Wygooglowałem go w rejestrze samochodów.

– I co znalazłeś? – zapytał Bäckström.

– Niewiele. Mieszka w Sztokholmie. Na Öregrundsgatan, w Gärdet. Urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, nie ma żony ani dzieci. Pracuje w kancelarii rządowej. Tata powiedział, że to musi być śmierdząca sprawa.

– Ach tak. A dlaczego?

– Bo wszyscy, którzy tam pracują, to dranie, żyjący na koszt innych i okradają ich z pieniędzy.

– Twój tata to mądry człowiek – zgodził się Bäckström. – A ten, do kogo należy samochód, jak się nazywa?

– Daniel Johnson – odpowiedział Edvin.

Zabiję tego skurwysyna, pomyślał Bäckström. Skinął głową i się uśmiechnął.

– Co o nim sądzisz? – zapytał.

– Że to on jest tym Mordercą od Czaszki – oznajmił Edvin, nie kryjąc zdziwienia. – W przeciwnym razie dlaczego by mnie śledził? No i pracuje w takim miejscu...

Piętnaście minut później, na odchodnym, Bäckström dał Edvinowi parę dobrych rad. Ma nic nie mówić мамie ani tacie. Natomiast do niego niech zadzwoni następnego dnia rano przed wyjściem do szkoły. Jeśli będą mieli szczęście, to może uda im się złapać tego Mordercę od Czaszki na gorącym uczynku. A jeśli Edvin poczuje się czymś zaniepokojony, musi obiecać, że natychmiast zadzwoni do Bäckströma.

Zaraz potem Bäckström zadzwonił do Anki Carlsson.

– Słucham, szefie – powiedziała. – Co mogę dla szefa zrobić?

Tym razem nie to, co ci się wydaje, pomyślał Bäckström.

– Weź ze sobą tych dwoje Olssonów przez s i przez z i tego cholernego Stigsona i przyjedźcie do mnie. Natychmiast – odparł Bäckström.

– Czy coś się w końcu ruszyło? – zapytała Annika.

Cholera, pomyślała.

– Pogadamy o tym później – uciął Bäckström.

## 78.

Bäckström zamienił szlafrok na bermudy i koszulę hawajską, żeby nie zawstydzić swoich gości bez potrzeby. Według swojej automatycznej sekretarki pracuje w domu, więc nie powinno nikogo dziwić, że nie robi tego w mundurze. Zresztą nie ma to żadnego znaczenia, bo i tak to on tu decyduje.

Ponieważ potrzebował jeszcze jednego piwa, żeby jasno myśleć, niestety musiał też poczęstować swoich gości, którzy okazali się tak niewychowani, że nie odmówili. Nawet Anka, mimo że prowadziła samochód.

– Wydaje mi się, że mam kilka w lodówce. Weź też jedno dla mnie – powiedział Bäckström. – Czy ty przypadkiem nie prowadzisz? – dodał i skinął głową w kierunku Anki.

– Jeden browar nie robi różnicy – odparła i wzruszyła ramionami. – Jeśli zaproponujesz więcej, to najwyżej zostawię tu samochód na noc.

Anka przyniosła pilznery. Pięć butelek i szklankę dla Bäckströma, ale przynajmniej była na tyle dobrze wychowana, żeby trzymać ręce z daleka od wszystkich jego aperitifów na pobudzenie apetytu.

Bäckström w zwięzły i oszczędny sposób zreferował to, co mu opowiedział Edvin. Oczy Anki zwięzły się niepokojąco.

– Zabiję tego skurwysyna – powiedziała, kiedy Bäckström skończył.

– Z tym możemy poczekać – odparł Bäckström. – Daniel Johnson nie ucieknie. Jakież inne propozycje? – zapytał.

– Nie uważasz, że chłopak bez potrzeby wpada w panikę? – spytał Stigson. – Albo że to po prostu przypadek. Poza tym, jeśli dobrze zrozumiałem, nie jesteśmy na sto procent pewni, że to był Daniel Johnson. Może na przykład pożyczył komuś swój samochód...

– Który tak po prostu jeździ sobie po mieście i śledzi małych chłopców – zadrwiła Kristin. – Jasne. Jak duże jest prawdopodobieństwo?

– Ja też nie sądzę, żeby to był przypadek – powiedział Bäckström i pokręcił głową.

– Ja też nie – oznajmiła Carlsson.

Olsson i Oleszkiewicz pokiwali potakująco głowami.

– Poza tym jestem przekonana, że Daniel Johnson to typowy *control freak* – kontynuowała. – Nie odpuści. Nawet jeśli w głębi duszy czuje, że powinien się usunąć w cień.

– Też tak myślę – zgodziła się z Anniką Kristin. – W każdym razie odniosłam takie wrażenie, kiedy przesłuchiwałam tę Caroline, która u niego pracowała. Że był prawdziwym niechlujem, jeśli chodziło o niego samego, a jednocześnie potrafił czepiać się najmniejszych szczegółów, jeśli chodziło o innych. Nie odpuszczał.

– Swoją drugą żonę – wtrąciła Annika – tę, z którą rozmawiałam, też śledził. Do tego stopnia, że była zmuszona nasłać na niego swojego brata, który mu to skutecznie wybił ze łba.

– Dobra – powiedział Bäckström. – Więc pozostaje nam interesująca kwestia, a mianowicie kto z nas nie mógł utrzymać języka za zębami. Jak to możliwe, że Daniel Johnson w ogóle domyślił się, czym się teraz zajmujemy? Przecież nie było o tym ani słowa w gazecie czy w internecie. Sprawdziałem to ostatnio. A mimo to wie, w czym teraz siedzimy.

– W dodatku najwyraźniej wie, kim jest Edvin – dodała Annika. – W naszych papierach nie ma o nim ani słowa. Jest przecież nieletni, więc jako świadek jest objęty tajemnicą. Zadbaliśmy o to, spokojnie.

– Okej – powiedział Bäckström. – Kto się wygadał?

– Nikt z nas tu obecnych – powiedziała Annika. – Nadię, Niemiego i Hernandezę też możesz skreślić. Patrol wodny, opiekun psa tropiącego? Oczywiście coś wiedzieli, ale nie to, jak się nazywa i gdzie mieszka. No i nie mają pojęcia o istnieniu Daniela Johnsona.

– W takim razie zaproponuj mi jakieś dobre rozwiązanie – rzucił Bäckström.

– Sprawdziłem to, o czym szefowi mówiłem – odezwał się Oleszkiewicz. – Że Hwass i Johnson studiowali razem prawo w Sztokholmie. W dziewięćdziesiątym drugim roku. Niewiele, ale jednak coś jeszcze mi się udało ustalić.

– Co takiego? – zapytał Bäckström.

– Po pierwsze tego samego dnia zdawali egzamin. To też niezbyt dużo, choć po egzaminie często robi się imprezę, a wtedy może się wiele zdarzyć. Jedni świętują, inni topią smutki...

– Jakie dostali oceny? – spytał Bäckström.

– Hwass zdała na dobry, to nie najlepiej na tym kursie, natomiast Johnson dostał bardzo dobry. Najwyższą ocenę.

Ciekawostka, pomyślał Bäckström.

– Masz coś więcej? – zapytał.

– Tak – odparł Oleszkiewicz. – Na tym kursie często pisze się drobne prace, analizuje przypadki sądowe i tym podobne. Potem na seminarium omawia się swoją pracę, a ktoś z grupy jest oponentem.

– I Hwass była na seminarium w tej samej grupie co Johnson – zgadywał Bäckström.

– Tak, ale najbardziej interesujące jest to, że to ona była jego oponentem.

– Naprawdę? – zdziwił się Bäckström. – A czy mógłbyś zdobyć kopię tej jego pracy?

– Już czeka na szefa w mailu – powiedział Oleszkiewicz. – To orzeczenie Sądu Najwyższego. O dawnym morderstwie, z lat trzydziestych, w Hälsingland, gdzie oskarżony został w końcu uniewinniony przez Sąd Najwyższy, ponieważ prokurator nie mógł w sposób zadowalający potwierdzić tożsamości ofiary. Mąż zabił żonę i zarówno sąd pierwszej instancji, jak i sąd apelacyjny uznały oskarżenie, chociaż w sądzie apelacyjnym tylko przewagą jednego głosu. Jakimś dziwnym trafem oskarżenie znalazło się w Sądzie Najwyższym, mimo że nie brakowało dowodów. I mąż jednogłośnie został uniewinniony przez Sąd Najwyższy, uznano bowiem, że kobieta, którą odkryto, niekoniecznie musiała być jego żoną. Ciało zostało znalezione dopiero po roku, a wtedy nie było jeszcze badań DNA ani innych podobnych sztuczek.

– Coś takiego – odparł Bäckström. – Coś takiego – powtórzył.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – powiedział Stigson – ale jeśli ta baba Hwass zna Johnsona albo, jeszcze gorzej, jeśli mieli romans, to już nie jest bezstronna i powinna być wyłączona ze śledztwa albo sama się wycofać, i to już na początku.

– Jeśli wie, że chodzi o Johnsona – dodał Oleszkiewicz. – Po pierwsze, wygląda na to, że nie wie, iż to o niego chodzi. Przecież jego pierwsza żona, Jaidee Kunchai, zginęła podczas tsunami, *so what?* Nie mogła więc zostać zamordowana i ukryta gdzieś na Mälaren wiele lat później.

– A po drugie? – zapytał Stigson.

– Po drugie, może go po prostu nie pamięta. Przecież minęło już ponad dwadzieścia lat, odkąd razem studiowali.

– Teraz proste pytanie – powiedział Bäckström. – Co nasza kochana pani prokurator wie o małym Edvinie?

– Wie tyle, że czaszkę znalazł jakiś skaut z obozu w Ekerö, który na Przeklętej Wyspie zbierał grzyby – podsumowała Annika.

– Ale nie wie, jak się nazywa, i nie ma zielonego pojęcia, że go znam?

– Zgadza się – odparła Annika i pokręciła głową. – Choć trudno mi w to uwierzyć. Nie próbowała nawet się dowiedzieć, jak się nazywa nasz świadek ani gdzie mieszka. Gdyby zapytała, to oczywiście musielibyśmy jej powiedzieć. Przecież nie można jej tego odmówić.

– W takim razie istnieje jeszcze jedna możliwość – powiedział Bäckström.

– Myślisz o naszym nowym szefie – zgadywała Annika. – Sama się nad tym zastanawiam, jeśli jesteś ciekaw.

– Poczekaj – wtrącił się Stigson. – Przecież należeli razem do skautów trzydzieści lat temu. Z iloma kolegami z tamtych czasów utrzymujesz wciąż kontakt? Poza tym, co Borgström wie o sprawie? Że znaleźliśmy czaszkę na Mälaren. Gdyby wiedział, że to był skaut i że czaszkę znaleziono na tej samej wyspie, na której złamał sobie nogę, kiedy spadł z drzewa, to na pewno cały komisariat w Solnej już by o tym wiedział.

– Zgadzam się z tobą – przyznał Bäckström i pokiwał głową. – Borgström ma wprawdzie długi jęzor, a w tej jego małej główce pewnie tylko jęzor się mieści, ale przecież nie wie zbyt dużo.

Ile osób po trzydziestu latach utrzymuje kontakt z kolegami z dzieciństwa, pomyślał Bäckström. On sam nigdy nie miał kolegów – ani wtedy, ani później. To nie mógł być on.

Pozostałe, już czysto praktyczne problemy przedyskutowali każdy z jeszcze jednym pilznerem w rękę, które Bäckström zmuszony był im zaproponować.

Stigson podjął się przejrzeć zdjęcia samochodu Johnsona z monitoringu przy budynku policji na Polhemsgatan. Jeśli czas, jaki podał mały Edvin, będzie się zgadzał, to nie powinno być problemu, poza tym Stigson ma dawnego kolegę ze szkoły policyjnej, który obecnie pracuje w tamtym komisariacie.

– Co robimy z Edvinem? – zapytała Annika. – Porozmawiamy z jego rodzicami? Załatwimy mu ochronę? Jeśli będzie trzeba, mogę go podwozić do szkoły.

– Na razie nie będziemy bez potrzeby straszyć i jego, i rodziców – zdecydował Bäckström. – I nie sądzę, żeby Johnsonowi chodziło o Edvina...

– Kupuję to – odparła Annika. – A co myślisz o tym, żeby pojechać do naszego Johnsona i tak z nim pogadać, że narobi w gacie? Na przykład zapytać go, co on i jego samochód robili dzisiaj rano, poza śledzeniem małego chłopca w drodze do szkoły. Można to podciągnąć pod pedofilię, a o to dzisiaj nietrudno. Zobaczysz, ze strachu będzie łąził po ścianach. Zwłaszcza kiedy się dowie, że jego alibi muszą potwierdzić współpracownicy.

– Wiem, o co chodzi – powiedział Bäckström. – W gruncie rzeczy nie mam z tym żadnego problemu.

– A więc o co chodzi? – zapytała Annika.

– Jeśli coś takiego wymyślisz, to pewnie będziesz chciała zobaczyć, jak zareaguje. Nie mamy takiej szansy, bo na razie nic na niego nie mamy. Jeśli dostaniemy normalnego prokuratora, to sprawa się rozwiąże. Wtedy możemy nawet w jego kiblu zainstalować kamerę, żeby sprawdzić, jak sra.

– Mam pewien pomysł – odezwała się Kristin.

– Słucham – zachęcił ją Bäckström i napełnił swoją pustą szklanę trzecim pilznerem, którego tym razem sam sobie przyniósł, nie zamierzając



częstować pozostałych.

– Nie miałam zielonego pojęcia, kim jest Edvin – powiedziała Kristin. – Oprócz tego, że czaszkę znalazł skaut, który mieszka w tym samym budynku co ty.

– I? – zapytał Bäckström.

– Znalezienie go zabrało mi pięć minut – oznajmiła Kristin. – Prawdopodobnie Edvin jest jedynym dzieciakiem, który mieszka w tym domu. Jego imię, rodziców, kolegów, do jakiej szkoły chodzi. Jego zdjęcia. Wszystko to znajdziesz w internecie.

– I dlatego pomyślałaś, że Johnson zrobił to samo – stwierdził Bäckström.

– Tak. I mogę to nawet sprawdzić. Nie pytając o zgodę prokurator.

– Wiecie co – powiedział Bäckström. – Widzimy się jutro w pracy. Wcześniej. O ósmej w moim gabinecie zrobimy sobie małą naradę wojenną.

– Czy może być o dziesiątej? – zaproponowała Annika. – Wcześniej jestem zajęta, aż do samej dziesiątej.

– W takim razie dobrze – zgodził się Bäckström. – Ale teraz muszę już was przeprosić. Mam ważne spotkanie.

I odprowadził ich do drzwi. Annika wyszła jako ostatnia. Tuż przed wyjściem pochyliła się i włożyła swój wilgotny język do jego ucha.

– Zadzwon, jeśli zmienisz zdanie, Bäckström.

Na szczęście udało mu się ją wypchnąć tak, żeby pozostali nie zauważyli, co zrobiła. Następnie zamknął drzwi na podwójny zamek i nalał sobie porządną porcję koniaku, żeby uspokoić kołatanie serca.

## 79.

Annika nie mogła pozwolić na to, żeby Edvin sam chodził do szkoły. To, że Bäckström będzie go odprowadzał codziennie o ósmej rano, też było raczej nieprawdopodobne. Poza tym musiała pojechać po samochód, który zostawiła poprzedniego wieczoru. Zaparkowała wzdłuż ulicy, sto metrów od domu, w którym mieszkali Bäckström i Edvin.

Minutę przed ósmą Bäckström wyjrzał na ulicę. Ubrany w długą bonzurkę z czerwonego jedwabiu i czarne kapcie stanął na chodniku i jak dowódca na polu walki skontrolował teren. Po chwili Edvin wyszedł z budynku. Bäckström pogłaskał go po głowie, powiedział mu coś i znikł za drzwiami.

Edvin, czujny jak mały Indianin, był zupełnie pochłonięty rozglądaniem się dookoła, więc Annika, żeby go nie przestraszyć, otworzyła szybę i go zawołała.

– Witaj, Edvin. Idziesz do szkoły? – zawołała i mu pomachała.

To jeszcze mały chłopiec, pomyślała i gdyby nie to, że poczuła, jak ją ściska w gardle, przytuliłaby go.

Edvin bardzo się ucieszył, kiedy ją zobaczył. I poczuł ulgę.

– Annika! – zawołał – Co ty tu robisz?

– Musiałam przyjechać po samochód – powiedziała, bo nie chciała go zawstydząć bez powodu. – Podwieźć cię?

– Jasne – odpowiedział. – Pokażę ci, którą drogą szedłem, kiedy śledził mnie ten Morderca od Czaszek.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Annika podwoziła Edvina, Jan Stigson i jego dawny znajomy ze szkoły policyjnej przeglądali nagrania z monitoringu – łącznie osiem kamer, które monitorowały wejście do budynku policji na Polhemsgatan.

Edvin był na nagraniach wszystkich kamer. Dziesięć sekund później pojawiała się czerwone audi. Jechało tak wolno, jakby kierowca szukał miejsca do zaparkowania. Mimo przyciemnionych szyb i okularów słonecznych, które kierowca miał na sobie, kamerom udało się uchwycić kilka dobrych zdjęć mężczyzny za kierownicą.

– Powiedz, jak będziecie potrzebować pomocy przy analizie nagrań – powiedział kolega Stigsona.

– Zadzwoń tak czy owak – odpowiedział Stigson. – Wielkie dzięki za pomoc.

– Nie ma za co. I pozdrówcie tego skurwysyna ode mnie, jak go już złapiecie.

Kiedy Annika zostawiła Edvina przed wejściem do szkoły, skierowała się prosto do komisariatu w Solnej. Była całkowicie przekonana, że ten czerwony samochód śledził Edvina. I że za kierownicą siedział Daniel Johnson. Pozostał tylko jeden problem, a mianowicie skąd Johnson znał Edvina. Przecież ani prokurator, ani ich nowy szef nie wiedzieli o chłopcu. I nie miało to nic wspólnego z tym, czy utrzymywali kontakt z Johnsonem, czy też nie.

Ktoś musiał rozmawiać z niewłaściwą osobą i coś chlapanąć. Któryś z setek policjantów przewijających się codziennie przez posterunek w Solnej, pomyślała Annika. Najwyższy czas porozmawiać z Toivonenem,

głównym szefem kryminalnych w Solnej, który wie najwięcej, co siedzi w głowach jego kolegów policjantów.

– I co o tym sądzisz? – spytała pół godziny później, kiedy siedziała w gabinecie Toivonena i opowiadała, co jej leży na sercu.

– Obawiam się, że ta osoba siedzi przed tobą – powiedział Toivonen i wzdychając, pokiwał głową.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Annika.

Co on mówi, pomyślała. Przecież on ledwo rozmawia sam z sobą.

– Pamiętasz, kiedy dostaliśmy tę sprawę? – przypomniał jej Toivonen. – Jeszcze tego samego wieczoru napisałaś do mnie mail.

– Dziewiętnastego lipca, we wtorek – doprecyzowała Annika.

– No właśnie. Następnego dnia, tak, to musiało być wtedy, Borgström wypytywał mnie, co się dzieje. Wspomniałem mu, że dzień wcześniej znaleźliśmy czaszkę z kulą w środku. Na wyspie na Mälaren. Zdaje się, że to też mu powiedziałem.

– I wtedy pozapalały mu się wszystkie światełka – odparła Annika.

– Najwyraźniej. Chciał nam wepchnąć prokuratora, ale wybiłem mu to z głowy zwykłymi argumentami.

– Szkoda, że nie do końca ci się to udało – zachichotała Annika.

– Wiem, co masz na myśli – powiedział Toivonen i westchnął raz jeszcze. – Jakiś dzień później, pod koniec tygodnia, natknąłem się na niego w centrum handlowym w Solnej. Zaprosił mnie na szybką kawę i znów zaczął się dopytywać, co z czaszką i czy to my ją znaleźliśmy, i tak dalej. Powiedziałem mu, że znalazł ją mały chłopiec. A sprawa trafiła do nas, ponieważ chłopak mieszka w tym samym domu co Bäckström.

– Nie zapytał cię, jak się nazywa? – dociekała Annika.

– Nie, ale powiedziałem mu już tyle, że nietrudno było się dowiedzieć. Mały chłopiec, który mieszka w tym samym domu co Bäckström. Nie

sądzę, żeby się tam roilo od małych chłopców.

– Co w takim razie robimy? – zapytała Annika.

– Najprościej będzie zapytać Borgströma, czy wciąż ma kontakt z Johnsonem – zaproponował Toivonen.

– Kiedy?

– Teraz – odpowiedział. – I tak mam się z nim spotkać, żeby pogadać o zupełnie innej sprawie. Masz jakieś dobre zdjęcie Johnsona?

– Nawet kilka – stwierdziła Annika. – Pożycz mi swój komputer.

– Miło was widzieć – powiedział ich nowy szef pięć minut później, kiedy Annika i Toivonen rozsiedli się w jego gabinecie. – W czym wam mogę pomóc?

– Poznajesz go? – zapytał Toivonen i podał mu zdjęcie uśmiechniętego Johnsona.

– Oczywiście – odparł Borgström z rozradowaniem. – To mój dawny przyjaciel z dzieciństwa. Pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Zrobił chłopak karierę. Chodzą pogłoski, że ma zostać ambasadorem w którymś z sąsiednich krajów.

– A więc wciąż macie kontakt? – spytała Annika.

– Nie codziennie, ale widzujemy się od czasu do czasu. Ostatnio chyba jakiś miesiąc temu, tak, byliśmy na kolacji w Towarzystwie. Tak, to było w naszej kochanej Towarzystwie. Jesteśmy tam członkami, zaprosił nas wspólny znajomy, który właśnie wrócił po wielu latach pracy za granicą. Ale dlaczego was to tak interesuje?

– Czy przypadkiem nie wygadałeś się, że na wyspie na Mälaren znaleźliśmy czaszkę? – zapytał Toivonen.

– Rozmawialiśmy o tym, o czym się zwykle rozmawia w takich sytuacjach. Co słyhać w pracy i tym podobne rzeczy. Tak, jestem nawet pewny, że mu coś wspomniałem. A dlaczego? Dlatego, że obaj spędzaliśmy

tam wakacje. Nie wiem, czy wiecie, ale obaj z Danielem byliśmy skautami. Jeździliśmy na obozy w Ekerö.

– Co jeszcze mogłeś mu powiedzieć? – Chciał wiedzieć Toivonen.

– Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi... – odparł Borgström, tym razem już bez uśmiechu.

– Czy przypadkiem nie powiedziałeś mu, że czaszkę znalazł chłopak, który mieszka w tym samym domu co Bäckström? – zapytał Toivonen.

– Pytał, więc mu powiedziałem. Że znalazła się u nas, w komisariacie, bo przyniósł ją sąsiad najsłynniejszego policjanta w kraju.

– Głupio zrobiłeś, oj głupio – powiedział Toivonen.

– Słucham?

– Cholernie głupio zrobiłeś – powtórzył.

– To, co mu powiedziałem, było zupełnie niewinne i nieszkodliwe.

– To powiem ci, dlaczego jesteś w błędzie. To nie było ani niewinne, ani tym bardziej nieszkodliwe – oznajmił Toivonen.

– Chryste Panie – zawołał Borgström pięć minut później. – Co ja narobiłem? Przecież to okropne. I co my teraz z tym zrobimy?

– Zacznę od tego, że byłoby dobrze, gdyby wszyscy trzymali język za zębami – pouczył Toivonen.

– Ale przecież musimy to zgłosić – stwierdził Borgström. – Przecież to jest złamanie tajemnicy służbowej.

No i Carl Bertil Borgström poczuł się fatalnie, pomyślała Annika i pokiwała głową. Ale przecież nie jest złym człowiekiem...

– Jak już powiedziałem, jeśli będziemy trzymać gębę na kłódkę, to miejmy nadzieję, wszystko się jakoś rozwiąże. Widziałem już gorsze rzeczy – skwitował Toivonen.

– Jesteście dla mnie za dobrzy – powiedział Borgström. – Narobiłem takiego bigosu!

O dziesiątej wszyscy spotkali się na nardzie wojennej w gabinecie Bäckströma. Annika poinformowała, że znalazła przeciek.

– Zwykle pogaduszki, bez złych zamiarów – stwierdziła. – Jeśli mogę coś powiedzieć na jego obronę, to był naprawdę zrozpaczony, kiedy się o tym wszystkim dowiedział.

– Czy to oznacza, że damy spokój tej Hwass? – zapytał Oleszkiewicz.

– Nie, dlaczego? – odpowiedział pytaniem Bäckström. – Jeśli ona też coś chlapnie językiem, nie puszcę jej tego płazem. Zadam jej proste pytanie.

– Więc mam propozycję – wtrąciła Annika.

– Co takiego?

– To Toivonen ją zapyta. Wtedy zrozumie, że nie tylko my się tym interesujemy.

– Dlaczego nie – odparł Bäckström i się rozpromienił.

Ta sprośna kreatura wcale nie jest taka głupia, pomyślał.

– Jeśli jesteś ciekaw, co z nagraniem Johnsona i jego samochodu, to dałem je Niememu – powiedział Stigson. – Obiecał, że od razu je przejrzy.

– Świetnie – ucieszył się Bäckström.

– Co teraz? – zapytała Kristin.

– Teraz to usiądziemy – powiedział Bäckström. – I zbierzemy do kupy wszystko, co mamy, żeby wiedzieć, na czym stoimy.

– A co z naszą panią prokurator? – spytała Nadia.

– To oczywiste, że będzie dalej to prowadzić. Sam z nią porozmawiam. Widzimy się o pierwszej.

Kiedy Bäckström został sam w swoim gabinecie, zadzwonił do Hwass i powiedział, że niestety są zmuszeni zwołać ekstraspotkanie grupy dochodzeniowej.

– Nie informując mnie o tym wcześniej? – zdziwiła się Hwass. – To niedopuszczalne, Bäckström. Nie zapominaj, że to ja nadzoruję to śledztwo.

– Dlatego do ciebie dzwonię – odparował Bäckström. – Musimy się spotkać. O pierwszej, tam gdzie zwykle.

– Niestety, po południu jestem zajęta. Będę mogła w poniedziałek. Dlatego...

– Coś się wydarzyło – przerwał jej Bäckström. – I nie możemy z tym czekać do poniedziałku. Wielka szkoda, że nie możesz przyjść. W takim razie spotkamy się bez ciebie.

– A co to takiego ważnego, że nie może poczekać? – zdziwiła się Hwass.

– Nic, o czym chcę mówić przez telefon – oznajmił Bäckström.

– W takim razie odezwę się – obiecała Hwass i odłożyła słuchawkę.

– A więc babsztyl odmawia przyjścia – powiedziała Annika.

– Oczywiście, że przyjdzie – zapewnił Bäckström. – Nie dlatego, że chce, ale dlatego, że się boi, co się może stać, jeśli nie przyjdzie. Jest tak samo *control freak* jak ten niedoszły ambasador od siedmiu boleści.

– No to punkt dla ciebie – odparła Annika i skinęła głową.

– Chciałem cię jeszcze prosić o jedną rzecz – powiedział Bäckström.

– Nareszcie – rzekła Annika i szeroko się uśmiechnęła. – Ale najpierw zamknij drzwi, żeby nam nikt nie przeszkadzał.



## 80.

Dokładnie tak jak przewidział Bäckström, Hanna Hwass pojawiła się na zebraniu. I to nawet pięć minut przed czasem. Toivonen zadzwonił do niej z informacją, że również zamierza wziąć udział w spotkaniu, żeby się dowiedzieć, jak przebiega śledztwo. Poza tym jest jeszcze jedna rzecz, o której chciałby z nią porozmawiać. W cztery oczy.

– O czym? – zapytała Hwass.

– Chodzą plotki, że znacie się z Danielem Johnsonem – powiedział. – Że studiowaliście razem prawo i że byłaś oponentką jego pracy dyplomowej.

Hwass niespecjalnie dziwiły oszczercze plotki, jednak ta przebijała już wszystkie inne, których się nasłuchiwała od swoich śledczych. To oczywiste, że nie znała żadnego Johnsona. Gdyby tak było, nie podjęłaby się prowadzenia tej sprawy. Nie miała nawet pojęcia, kto to jest. To, że była oponentką jego pracy dwadzieścia pięć lat temu, kiedy razem studiowali prawo, to już inna sprawa. Była oponentką wielu prac, co nie znaczy, że musi pamiętać wszystkich autorów.

– Możesz im to powiedzieć – odparła Hwass.

– Najlepiej będzie, jak sama im to powiesz – zaproponował Toivonen i znacząco wzruszył ramionami.

– Najlepiej by było, gdyby robili to, co im każę – rzekła Hwass – zamiast zajmować się szpiegowaniem swojej przełożonej.

– Nikt cię nie szpieguje – odpowiedział Toivonen. – Informację o twoich ewentualnych związkach z Johnsonem po prostu dostali.

– No popatrz, popatrz – odparła Hwass i z jakiegoś powodu spojrzała na zegarek.

– O ile dobrze zrozumiałem, to jest jakiś problem z samym dochodzeniem – zauważył Toivonen.

– Ja żadnego problemu nie widzę. Poza tym, że nie robią tego, o co ich proszę.

– Twierdzą, że wtrącasz się w sprawy, o których nie masz pojęcia.

– W takim razie będziecie musieli zmienić prawo tak, żebyście sami mogli nadzorować swoje śledztwa. A tymczasem będę wykonywała, co do mnie należy. Od poniedziałku mam nową szefową. Więc, niestety, będę musiała z nią porozmawiać o tych wszystkich plotkach, jakie roznoszą twoi ludzie.

– Oczywiście – zgodził się Toivonen. – A tak na marginesie, to już rozmawiałem z naszym komendantem.

– Świetnie – odpowiedziała Hwass i szybko wstała. – W takim razie rozmowę uważam za zakończoną.

No to zaczyna się zabawa, pomyślał Bäckström.

Wszyscy byli obecni. Niemi i Hernandez. Plus Toivonen. No i Hanna Hwass, główna postać dramatu, z czego sobie jeszcze nie zdawała sprawy, choć na wszelki wypadek usiadła jak najdalej od Bäckströma. Sądząc po wyrazie twarzy, nie miała zamiaru poddawać się bez walki.

– Zaspokój moją ciekawość, Bäckström – powiedziała Hwass. – Co tak doniosłego się wydarzyło, że musiałam rzucić wszystkie sprawy i tu przyjść?

– Wspaniale, że ci się udało – odparł Bäckström. – Będziemy mieli okazję opowiedzieć ci, co się ostatnio wydarzyło w naszym śledztwie.

– W takim razie słucham.

– Mamy już pewność, że nasza ofiara z Przeklętej Wyspy to Jaidee Kunchai – zaczął Bäckström.

– Bardzo interesujące – odparła Hwass z odrobiną ironii w głosie. – O ile mi wiadomo, to Jaidee Kunchai zginęła w Tajlandii podczas tsunami, dwanaście lat temu. I jak na razie nie mam żadnych przesłanek, żeby zmienić zdanie.

– Jeśli chodzi o DNA, które zabezpieczyli w Tajlandii, to prawdopodobnie zrobili poważny błąd. Pobrali DNA z rzeczy Jaidee Kunchai, na przykład ze szczoteczki do zębów, a nie z jej ciała.

– Chcesz powiedzieć, że zidentyfikowano obcą kobietę, która używała jej szczoteczki do zębów?

– Nie sędzę – odpowiedział Bäckström. – Przecież już nie żyła, więc nie musiała myć zębów. Tym bardziej szczoteczką obcej osoby. To jej mąż musiał coś nakłamać policji w Phuket, kiedy zaniósł im kosmetyczkę Jaidee, twierdząc, że należy do ciała, które tam leżało. Ale to nie była jego żona.

– Ach tak. A więc i on, i personel hotelowy pomylili Jaidee Kunchai z zupełnie obcą kobietą, na dodatek znaną w domku, w którym mieszkał z Jaidee.

– Nie Johnson – oznajmił Bäckström. – On wiedział, że to nie jego żona. Natomiast tych dwoje z obsługi hotelowej działało w dobrej wierze. Ciało tej kobiety, a szczególnie jej twarz były bardzo pokiereszowane, więc nie sędzę, żeby się jej jakoś szczególnie przyglądali. Poza tym miała na sobie koszulę nocną i biżuterię Jaidee Kunchai.

– A ta kobieta... skąd tam się wzięła?

– Przywieźli ją z klubu nocnego w Phuket, noc przed tsunami. prostytutka. Zabrali ją do siebie, do hotelu.

– Zabrali do siebie, do hotelu – powtórzyła Hwass. – Użyłeś liczby mnogiej... A więc Jaidee Kunchai też była w to zamieszana?

– To oczywiste – odezwała się Nadia. – Daniel Johnson i jego żona razem dokonali oszustwa ubezpieczeniowego. Na kwotę ponad dwudziestu pięciu milionów koron.

– Przynajmniej jedno jest pocieszające, a mianowicie, że nie musieli mordować tej nieznannej kobiety. Bo tę część roboty wykonało za nich tsunami. A tak na marginesie, to jak zaplanowali nadejście tsunami?

– To już nie jest w kręgu moich badań – powiedziała Nadia. – Więc oszczędź tego mnie i pozostałym, którzy tu siedzą. Po prostu skorzystali z okazji. Kobieta, którą wzięli ze sobą do hotelu, zginęła w tsunami. Daniel Johnson i Jaidee Kunchai przeżyli. Któreś z nich, a może obydwoje, wpadło na pomysł, żeby skorzystać z okazji i dokonać oszustwa.

– A ta nieznaną kobietą? – zapytała Hwass. – Wiemy, kim była?

– Nasi koledzy z Tajlandii wciąż nad tym pracują – odpowiedziała Nadia. – Na pewno niedługo się dowiemy. Czy ktoś z hotelu ją widział? Nikt, z kim rozmawialiśmy. Kierowca, który wiozł do hotelu Johnsona, jego żonę, tę kobietę i kilka innych osób, zginął w tsunami. Ale mam nadzieję, że to też się wyjaśni.

– W każdym razie Jaidee Kunchai żyje?

– Żyła. Dopóki jej mąż jej nie zastrzelił – uściślił Bäckström. – Pewnego dnia, jakieś pięć, dziesięć lat temu. W każdym razie kilka lat po tsunami.

– Dlaczego to zrobił? – zapytała Hwass.

– Z prostego powodu – odparł Bäckström i wzruszył ramionami. – Bo się pokłócili o pieniądze.

– To jakaś niewiarygodna historia – zdziwiła się Hwass. – Macie coś więcej? Coś bardziej konkretnego, że się tak wyrażę?

– Dwie ważne rzeczy – odparł Bäckström i włączył swój komputer. – Spróbowaliśmy zrekonstruować wygląd naszej ofiary z Przeklętej Wyspy, kiedy jeszcze żyła. Mamy specjalistkę od takich spraw. Do rekonstrukcji użyła czaszki, którą znaleźliśmy na wyspie. Popatrz na to zdjęcie... – powiedział Bäckström, nacisnął klawisz komputera i pokazał zdjęcie zrekonstruowanej twarzy z przodu, z wykorzystaniem czaszki i części dolnej szczęki.

– I jak mam to interpretować? – zapytała Hwass i potrząsnęła głową.

– Poczekaj, to się dowiesz – uspokoił ją Bäckström i wyświetlił następne zdjęcie Jaidee Kunchai, *en face*, tego samego rozmiaru.

– Jednak wciąż tu czegoś nie rozumiem – powiedziała Hwass.

– Za chwilę zrozumiesz, cierpliwości – odparł Bäckström i położył zdjęcie Jaidee Kunchai na zdjęciu zrekonstruowanej twarzy.

– Widzę zdjęcie Jaidee Kunchai – odparła Hwass.

– My widzimy trochę więcej – stwierdził Bäckström. – Idealną zgodność zdjęcia z czaszką. Raczej wykluczone, żeby to była czaszka kogoś innego niż Jaidee Kunchai. Nasza specjalistka dokonała wielu porównań z innymi Tajlandkami. Żadna z nich nawet jej nie przypomina.

– To są czyste spekulacje, oparte tylko i wyłącznie na technice komputerowej. Coś jeszcze? – dopytywała Hwass, kręcąc przecząco głową.

– Tak – odpowiedziała Annika. – Przepraszam, ale będę jadła. Nie miałam nic w ustach od samego rana.

– Oczywiście, oczywiście – zgodziła się Hwass. – Do jakich to decydujących wniosków doszłaś?

– Daniel Johnson nęka chłopaka, który znalazł czaszkę – powiedziała Annika. – Bäckström, możesz pokazać nagranie z monitoringu?

– Jasne – odparł Bäckström i nacisnął klawisz komputera, podczas gdy Annika, za pomocą drewnianego noża do masła, zaczęła rozsmarowywać

na kromce ciemnego chleba grubą warstwę serka Keso. – Oto nasz mały świadek – oznajmił Bäckström i pokazał kadr z nagrania, na którym Edwin mija komisariat policji.

Jednak prokurator Hwass była bardziej zainteresowana zmaganiem Anniki z kanapką niż zdjęciami Edvina.

– Boże, jakie to dobre – powiedziała Annika i zjadła ze smakiem porządną kęs. – Przepraszam bardzo... A to, jak myślicie, kto to jedzie za naszym małym świadkiem?

– O tutaj, to czerwone audi – rzekł Bäckström. – To samochód Johnsona.

– Zgadza się – dodał Stigson. – Samochód i osoba, która siedzi za kierownicą, są na nagraniach ośmiu kamer zamontowanych na budynku policji na Polhemsgatan. Nagranie pochodzi z wczoraj rana, osiem po ósmej. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to samochód Daniela Johnsona. Mamy jego numer rejestracyjny. Jest na nagraniach wszystkich kamer. Mamy nadzieję, że będzie też nagrany na innych kamerach zainstalowanych w tej części dzielnicy.

– A osoba, która siedzi za kierownicą? Co o niej wiemy? – zapytał Bäckström z niewinną miną.

– To Daniel Johnson – odparł Stigson. – Jesteśmy tego prawie pewni. Wkrótce będziemy mieli trochę lepsze zdjęcia.

– Na litość boską! – krzyknęła Hwass. – Przecież to czysty zbieg okoliczności!

– Ani na moment w to nie uwierzę – stwierdziła Annika i spojrzała na Hwass zwięzionymi oczami. – Kiedy chłopak wychodzi z domu, Johnson już stoi i czeka na niego. Następnie jedzie za nim przez całą drogę do szkoły. Dwa kilometry. Chłopak widzi go cały czas. I co to za cholerny zbieg okoliczności? – dopytywała Annika, biorąc z pudełka dużą porcję keso.

– To musi być czysty zbieg...

– Oj! – krzyknęła nagle Annika, trzymając w dłoni złamany na pół nożyk do smarowania masła. – Dostałam go od bratanka, zrobił go w szkole na zajęciach technicznych. Nic to, poproszę, żeby mi zrobił nowy. – Annika położyła obie części nożyka na stole. – Przepraszam, ale chyba ci przerwałam.

– Chciałam jedynie powiedzieć, że mimo wszystko sędzę, że to zbieg okoliczności. Przecież w tej części miasta rano zawsze jest bardzo duży ruch.

– Zgadza się – odparła Annika, wkładając jednocześnie resztki jedzenia do torebki plastikowej. – Jednak uważam, że Johnson śledził naszego świadka, żeby go nastraszyć. Dlaczego Daniel Johnson robi to teraz? Przecież nie wie, ani nad czym konkretnie pracujemy, ani kim jest nasz świadek. Jego żona zginęła w tsunami. Więc czego miałyby się bać? I co ty na to?

– Przepraszam – powiedziała Hwass, potrząsnęła przecząco głową i przyłożyła dłoń do ust. Następnie wstała, schowała dokumenty do teczki i szybko wyszła z pokoju.

## 81.

– Okej – powiedziała Annika pół godziny później, wchodząc do pokoju Bäckströma. – Jestem policjantką, nie aktorką. Ten nożyk, który mi dałeś, żebym go złamała... Co to miało być?

– Żeby się babsztyl opamiętał – odparł Bäckström. – Wielkie dzięki. Przynajmniej nie musiałem przykładać jej do skroni mojego pistoletu służbowego.

– Kumam, o co chodzi. To chyba nie był najostrzejszy nóż – stwierdziła Annika i skinęła głową.

– Nie – odrzekł Bäckström. – Drewniane noże do masła nie są ostre. Nie twoja wina, że ma taką ksywkę. Przecież nie miałaś o tym pojęcia.

– Ale ona miała – powiedziała Annika.

– Przynajmniej takie odniosłem wrażenie – zadrwił Bäckström z zadowoleniem.

– Wiesz co, Bäckström?

– Słucham?

– Po pierwsze, nie lubię być wykorzystywana – oznajmiła Annika. – A po drugie, czasami mam wrażenie, że jesteś cholernie złym człowiekiem.

– Dzięki za błyskotliwą uwagę – rzucił Bäckström. – Wybacz, ale mam coś do roboty.



– Nie musisz mnie nawet prosić, żebym wyszła. Jestem już tobą cholernie zmęczona.

Pięć minut później w drzwiach Bäckströma stanęła Nadia. Nie weszła i nie usiadła, mimo że Bäckström skinął głową w kierunku krzesła.

– Żałuję, że ci powiedziałam, jaką ksywkę ma nasza prokurator – wyznała Nadia. – Rozmawiałam z Anniką. Wykorzystałeś ją.

– No proszę, proszę – westchnął Bäckström. – Już zdążyłyście się sobie zwierzyć. Osobiście uważam, że to było świetne.

– Czasami poważnie się o ciebie niepokoję – powiedziała Nadia i wyszła.

Po zebraniu Hanna Hwass pognęła do recepcji. Jej dwaj ochroniarze zrozumieli, że musiało się wydarzyć coś poważnego. I tak też było, przynajmniej zdaniem Hwass. Grożono jej śmiercią na zebraniu z grupą dochodzeniową.

– Na zebraniu? W jaki sposób? – zapytał jeden z nich.

– Złamała nóż do masła – odparła Hwass. – Na moich oczach. Ta okropna kobieta, która wygląda jak jakiś kulturysta.

– Annika Carlsson?

– Tak. Jest śmiertelnie niebezpieczna. Chcę, żebyście ją zatrzymali za groźby i zastraszanie. I to już, teraz. To rozkaz!

– Poczekaj, Hanna. Porozmawiajmy spokojnie. Janne pójdzie po samochód, a ty wszystko spokojnie mi opowiesz – odpowiedział jeden z ochroniarzy i wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze swoim kolegą.

Kiedy tylko inspektor kryminalny Jan Persson z pionu ochrony osobistej Säpo wyszedł na ulicę, zadzwonił do swojego szefa.

– Obawiam się, że Hwass oszalała – oznajmił Persson.

- Jak to oszalała?
- Po prostu oszalała.
- Mów, o co chodzi.
- Twierdzi, że Anka Carlsson, wiesz, ta, która... że Anka jej groziła.
- To prawda, Anki można się czasami przestraszyć – odpowiedział szef Perssona.
- Racja – odparł Persson. – Ale jest też cholernie atrakcyjna.
- Wiem. Co tym razem wymyśliła?
- Prawdopodobnie, kiedy smarowała kanapkę, najwyraźniej niechcący złamała nóż do smarowania.
- Interesujące – powiedział szef. – Co w takim razie nasz obiekt chroniony chce, żebyśmy zrobili?
- Po pierwsze, żebyśmy natychmiast zatrzymali Ankę Carlsson. I przyznam, że chętnie to z Gustavem zostawimy naszym kolegom z oddziału specjalnego. Następnie żąda, żebyśmy ją odwieźli do domu. Nie chce wracać do miejsca, które jej załatwiliśmy. Wymyśliła sobie, że jest tam trzymana jak jakiś więzień. Jeśli tego nie zrobimy, grozi, że zadzwoni do jakiejś znajomej z TV4 i wszystko jej opowie.
- To Gustav i ty... Gustav Åkerman... to ten, który teraz z nią jest?
- Tak.
- Co on na to?
- W zupełności się ze mną zgadza. Hwass po prostu zwariowała. Tak jak się obawialiśmy kilka dni temu.
- Okej – odparł szef. – Wieźcie ją do szpitala w Huddinge. W wiadome miejsce. A ja zadzwonię do prokuratora, żeby załatwił potrzebne formalności.

## 82.

– I co, zadowolony teraz jesteś, Bäckström? – zapytała Annika, kiedy Bäckström w piątek rano przyszedł do biura.

– To zależy – odparł. – Ale oczywiście bywało gorzej. Opowiadaj.

– Nasza kochana pani prokurator jest na zwolnieniu. Zdaje się, że miała załamanie nerwowe. Jest w psychiatryku w Huddinge.

– Niedobrze – powiedział Bäckström, który znał to z własnego doświadczenia. – To niezbyt ciekawe miejsce.

– Też tak mi się wydaje – odpowiedziała Annika.

– Pewnie chcesz, żebyśmy zrobili zbiórkę i wysłali jej kwiaty i czekoladki – zgadywał Bäckström.

– Nie – odrzekła Annika. – Natomiast dzwoniła nowa szefowa Hwass i powiedziała, że osobiście obejmie nadzór nad śledztwem i zarządza spotkanie już w poniedziałek o dziewiątej rano.

– Kto to jest? – zapytał Bäckström.

– Jedna z twoich ulubienic – oznajmiła Carlsson. – Ta, co zajmowała się tym oszustem, adwokatem, który zmarł na serce, kiedy został napadnięty przez naszego starego znajomego, Rollego Stålhammara.

– Lisa Lamm – powiedział Bäckström.

– Lisa Lamm – potwierdziła Annika.

– Lepiej być nie może – ucieszył się Bäckström.

Nareszcie ktoś, kto będzie robił to, co mu się powie, pomyślał.

– Coś jeszcze? – dodał.

– Jedna rzecz – odpowiedziała. – Jeśli nie pójdziesz po rozum do głowy i nie zaczniesz się zachowywać jak normalny człowiek, to źle skończysz. To tylko kwestia czasu.

– Dziękuję za troskę – odparł Bäckström. – Miło mieć kogoś, kto się tak o człowieka martwi.

Wspaniałe czasy, cudowne czasy, pomyślał Bäckström, kiedy wsiadał do taksówki, która jak co piątek miała go zawieźć do jego ulubionej knajpy.

Bäckström zjadł lunch, następnie odwiedził swoją fizjoterapeutkę, a kiedy wreszcie wszedł do domu, żeby uciąć sobie popołudniową drzemkę – zanim nadejdzie czas, aby oddać się swoim wieczornym czynnościom – zadzwonił telefon.

Był to lekarz ze szpitala z Huddinge, który opiekuje się prokurator Hwass, a powodem, dla którego zadzwonił, było to, że, jak dobrze rozumiał, Bäckström najbliższej współpracował z prokurator Hwass, zanim dopadła ją „ta nagła niedyspozycja psychiczna”.

– Tak, słyszałem – potwierdził Bäckström. – To straszna historia. Proszę ją od nas koniecznie pozdrowić i życzyć szybkiego powrotu do zdrowia.

– Obiecuję, że to zrobię – zapewnił doktor. – Na pewno się ucieszy. Ale dzwonię, żeby zapytać, czy ostatnio może ktoś coś zauważył w jej zachowaniu. Czy na przykład jakoś się zmieniła.

– Właściwie to przez ostatnie dni wydawała się jakaś nieobecna. Przez krótkie chwile wprawdzie. Po prostu to się pojawiała i zniknęło...

– Proszę mi to bliżej wyjaśnić – poprosił lekarz.

– Na przykład nagle tak jakby jej z nami nie było. Poza tym wszystko było w porządku.

– Czy jest coś więcej, o czym chciałby pan opowiedzieć – zapytał lekarz, który nagle wydawał się bardzo zainteresowany.

– Właściwie to nie wiem – odparł Bäckström. – To rzeczy, o których się niechętnie mówi.

– Proszę się nie martwić. Obowiązuje mnie tajemnica lekarska, a poza tym to w jej interesie, abyśmy poznali historię jej choroby.

– W takim razie dobrze – zgodził się Bäckström. – Kilka dni temu zdarzyło się coś, co mnie trochę zaniepokoiło.

– Mianowicie?

– Kiedy czekałem na windę w komisariacie, nagle podeszła do mnie, złapała mnie za marynarkę i coś mi wysyczała do ucha. Wyglądała, jakby zupełnie postradała zmysły. Prawdę mówiąc, było to nieco szokujące.

– Czy pamięta pan, co powiedziała? – zapytał doktor.

– Tak, że doskonale wie, że obgaduję ją za plecami.

– Co się wydarzyło później?

– Było to bardzo dziwne... W następnej chwili była znów jakby nieobecna. Puściła moją kurtkę i po prostu odeszła.

– To musiało być nieprzyjemne przeżycie.

– O tak – potwierdził Bäckström. – Ale mam nadzieję, że to nic poważnego. Że to tylko zwyczajne wypalenie zawodowe.

– Miejmy nadzieję – westchnął doktor. – Bardzo dziękuję za pomoc. To dla mnie ważne informacje.

– Proszę ją serdecznie pozdrowić – przypomniał Bäckström.

No to teraz ten wyciskacz zwierzeń będzie miał co z niej wyciskać.

## IV

Lisia nora może mieć wiele wyjść, ale kilka zawsze  
można zasypać

## 83.

W poniedziałek 29 sierpnia nowo mianowana prokurator okręgowa Lisa Lamm miała pierwsze spotkanie ze swoją grupą dochodzeniową. Poświęciła weekend na to, żeby zapoznać się z materiałem dowodowym, a nawet rozmawiała z Anniką i Nadią. Ze względu na smutną przeszłość wokół śledztwa postanowiła objąć je swoim nadzorem pomimo awansu na prokuratora i ciężaru administracyjnego, jaki on ze sobą niesie. Ponadto uważała, że miło będzie znów ich spotkać, gdyż poza kilkoma nowymi twarzami już się znali.

– A więc tak – powiedziała Lisa Lamm, uśmiechnęła się i z jakiegoś powodu spojrzała na Bäckströma. – Uważam to samo co wy. Że to oszustwo ubezpieczeniowe, które Jaidee Kunchai i Daniel Johnson razem zaplanowali i przeprowadzili. Skorzystali po prostu z okazji. Potem nie mogli dojść do porozumienia, prawdopodobnie chodziło o podział pieniędzy. Daniel Johnson zastrzelił żonę i ukrył ciało na Przeklętej Wyspie. Teraz trzeba tylko to wzmocnić dowodami. I obawiam się, że tym razem będziemy musieli to zrobić, nie pomijając nawet najmniejszego szczegółu.

Bäckström twierdząco pokiwał głową.

Wali prosto z mostu, pomyślał. Wreszcie ktoś sensowny, mimo że baba. Jeśli chodzi o wygląd, to też jej niczego nie brakuje, chociaż trochę za koścista.

Tym, co w końcu przekonało Lisę Lamm, był fakt, że Daniel Johnson najwyraźniej śledził ich małego świadka. Jedynym możliwym powodem było to, że Johnson nie tylko był zamieszany w wydarzenia na Przeklętej Wyspie, ale również, ze względu na nowe okoliczności, był ich sprawcą. Innego logicznego wyjaśnienia nie ma. Poza tym istniały praktyczne i prawne powody przemawiające za tym, że zastraszanie świadka, czego bez wątpienia dopuścił się wobec Edvina, może posłużyć im jako pewnego rodzaju łom, który pomoże w przełamaniu śledztwa.

– Jedyne problem był taki, że kiedy będę chciała go oskarżyć z tego paragrafu, powinnam już mieć gotowy akt oskarżenia o morderstwo – powiedziała Lisa Lamm. – Jak zapewne wiecie, za zastraszanie świadka można dostać nawet do ośmiu lat więzienia. O ile mi wiadomo, jeszcze nikt tyle nie dostał, jednak ze względu na to, że częściowo chodzi o morderstwo, a częściowo o to, że nasz świadek jest dziesięcioletnim chłopcem, postanowiłam spróbować.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – przyznała Annika. – Stigson dostał ten aspekt sprawy jako zadanie specjalne. Poza tym już jutro rano będzie miał wsparcie Felicii Pettersson, która pracuje w pionie przestępczości zorganizowanej. Właśnie wraca z urlopu.

– A ty, Nadia? – zapytała Lisa Lamm.

– Ja wciąż męczę się z pytaniem, czy naprawdę można umrzeć dwa razy – odparła Nadia.

– I jak chcesz to rozwiązać? – dopytywała Lisa Lamm.

– Ustalając tożsamość kobiety, która faktycznie zginęła w Khao Lak. Na razie mam tylko jej pseudonim artystyczny. No i oczywiście przekonanie, że to była ona.

– Mamy też jeszcze trochę dziur do załatania tu, na miejscu – powiedziała Lisa Lamm. – Brakuje mi, na przykład, przesłuchania



policjantów, którzy pracowali przy identyfikacji zwłok w Tajlandii.

– Mnie też – odparła Nadia. – Ale jesteśmy w trakcie załatwiania tego. Toivonen obiecał, że pomoże nam jeszcze jeden specjalista od przesłuchań. A jeśli będziemy potrzebować dodatkowego wsparcia, też je dostaniemy.

– To wspaniale, naprawdę – ucieszyła się Lisa Lamm.

Co one kombinują, do cholery, pomyślał Bäckström. Najwyższy czas pokazać, kto tu rządzi. Przecież to on jest tu chyba szefem.

– Spójrzmy na sprawę całościowo – przerwał Bäckström. – Mamy sześć pytań, na które musimy odpowiedzieć. Po pierwsze, kim jest nasza ofiara. Normalnie nie ma z tym żadnego problemu, jednak tym razem jest inaczej. Że jest to Jaidee Kunchai, rozumiemy oczywiście wszyscy, jak tu siedzimy. Pozostaje jednak przekonać do tego innych. Następnie mamy stary wytarty klasyk w stylu: gdzie, kiedy, jak i dlaczego została zamordowana. Jeśli sobie to uporządkujemy, to odpowiedź na pytanie szóste przyjdzie sama, a mianowicie, że zrobił to jej facet.

– Nie martw się, Bäckström. Obiecuję ci, że zajmiemy się tym w najlepszy możliwy sposób – zapewniła Annika.

– Nie przeszkodzi nam to w zbieraniu wszystkich możliwych faktów obciążających Daniela Johnsona. Od najważniejszych zaczynając. I oczywiście nie budząc niedźwiedzia bez potrzeby.

– Przyjęłam to do wiadomości – powiedziała Annika.

– Czy potrzebne wam będą jakieś środki przymusu? – zapytała Lisa Lamm.

– Pozwolenie na przejrzenie komputera Johnsona – odpowiedział Bäckström. – Zobaczymy, jak znalazł mnie i naszego świadka.

– Myślę, że mogę to załatwić – odparła Lisa Lamm. – Ale tylko w sprawie zastraszania świadka.

– Dobrze – powiedział Bäckström. – Więc na co jeszcze czekacie. Do roboty. Chcę, żeby najpóźniej w piątek nasz Johnson siedział za kratkami. Zdecydowanie za długo grasuje na wolności.

## 84.

Nie należy budzić śpiącego niedźwiedzia. Osobą, która na pewno by tego nie zrobiła, była Sara, najstarsza siostra Daniela Johnsona, siedem lat starsza od niego, urodzona w 1963 roku.

Tak się przynajmniej wydawało Kristin, kiedy przeglądała historię rodziny, zanim jeszcze Annika podjęła decyzję o przesłuchaniu Sary.

– Wszystko masz w mailu – powiedziała Kristin.

– A gdybyś mi to krótko streściła... – westchnęła Annika i zmęczona wskazała głową na swój komputer, który już zdążyła zamknąć.

– Okej – odparła Kristin. – Wiem, o co chodzi.

– Więc zaczynaj. – Annika z uśmiechem przechyliła się z krzesłem do tyłu.

Ojciec Sary Johnson, Sven-Erik Johnson, urodził się w 1935 roku i pracował jako nauczyciel przedmiotów ścisłych w liceum w Brommie. Jej mama, Margarita, urodziła się w 1936 roku. Rodzice pobrali się w 1962. Rok później urodziła się Sara, a po dwóch latach jej młodsza siostra, Ewa. Mama zmarła na raka w 1970 roku, kiedy Sara miała siedem lat, a Ewa pięć. Po kilku latach ojciec związał się z nową kobietą, koleżanką z pracy, Marią Swedin, urodzoną w 1940 roku, która miała syna z poprzedniego związku z „ojcem nieznanym”, Daniela Swedina, urodzonego w 1970 roku.

Sven-Erik ożenił się z Marią Swedin w 1975 roku i zaadoptował pięcioletniego Daniela. Po ślubie Maria Swedin i jej syn przyjęli nazwisko Johnson. Rodzina Johnsonów – tata Sven-Erik, nowa mama Maria, siostry Sara i Ewa oraz ich przybrany brat Daniel – zamieszkała w nowym domu w Ålsten.

Pięć lat później, w 1980 roku, druga żona Svena-Erika zmarła, podobnie jak pierwsza na raka. Sara miała wtedy siedemnaście lat, jej siostra Ewa piętnaście, a ich młodszy brat Daniel skończył właśnie dziesięć.

– Nadążasz? – zapytała Kristin.

– Wszystko jest dla mnie jasne jak słońce – odparła Annika. – Wzorowe streszczenie. Co było potem?

– Cały czas mieszkali w tym samym domu – kontynuowała Kristin. – Tata Sven-Erik nie ożenił się po raz trzeci. Ewa jako pierwsza wykorzystała nadarzącą się okazję i zaraz po ukończeniu liceum, w osiemdziesiątym trzecim roku, wyprowadziła się z domu. Miała wtedy osiemnaście lat.

– Co się z nią działo?

– Wyjechała do Londynu. Została terapeutką i od wielu lat pracuje jako nauczycielka jogi. Ma brytyjskie obywatelstwo. Wyszła za mąż za Brytyjczyka, z którym ma dwóch dorosłych synów. Potem się rozwiodła. Wygląda na to, że dobrze jej się tam wiedzie. W internecie można znaleźć o niej mnóstwo informacji. Ma własny instytut jogi, pisze książki o jodze, prowadzi kursy i wykłady. Obecnie jest w Indiach. Jeździ tam kilka razy do roku.

– I co tam robi? – zapytała Annika.

– Nie wiem – odpowiedziała Kristin. – To nie moja działka. Pewnie szuka spokoju ducha.

– Czy ma jakiś kontakt z młodszym bratem?

– W internecie nic na ten temat nie znalazłam – odrzekła Kristin.

– A starsza siostra, Sara? Co o niej wiemy?

– To ciekawa sprawa – odpowiedziała Kristin. – Kiedy zmarła druga żona ojca, Sara miała siedemnaście lat. Z ojcem mieszkała jeszcze przez jakieś dziesięć. Aż do dziewięćdziesiątego roku. Wtedy z domu wyprowadził się Daniel. Zaczął studia w Szkole Handlowej i przeniósł się do akademika na Söder. Wygląda na to, że Sara mieszkała z nimi, dopóki Daniel się nie wyprowadził z domu.

– Jako rodzaj matki zastępczej?

– Coś w tym rodzaju. Albo żeby pomóc ojcu. Taka córeczka tatusia.

– Ale pewnie nic z tych rzeczy – odparła Annika i zgięła prawą rękę.

– Masz rację – odrzekła Kristin i potrząsnęła głową. – Choć myślę, że go podziwia. I naprawdę lubi. Sven-Erik to człowiek honoru. W internecie czytałam, co piszą o nim jego uczniowie. Musiał być bardzo dobrym nauczycielem.

– A to, że córka go lubi i podziwia, też znalazłaś w internecie?

– Nie, we wstępie do jej pracy doktorskiej.

– A to coś nowego. Czym się zajmuje?

– Jest specjalistką od raka. Profesorem, pracuje jako naukowiec w Karolinskiej. Singielka, nie ma dzieci, dobrze stoi finansowo, nienotowana. Pracowita jak mrówka. Napisała mnóstwo artykułów.

– Nieźle – skwitowała Annika i pokiwała głową. – Jej żadna przygód młodsza siostra wykorzystuje okazję i wynosi się z domu, a starsza córeczka zostaje z ojcem, żeby mu pomóc w opiece nad młodszym bratem.

– Tak to mniej więcej wygląda. Jeśli chodzi o kontakt z bratem, to nic na ten temat nie znalazłam.

– A tata Sven-Erik? Jeszcze żyje?

– Tak, ale już ledwo się trzyma na nogach. Od pół roku mieszka w domu opieki. Wiesz, to takie miejsce, gdzie lądujesz przed śmiercią. Dom w Ålsta

został sprzedany niespełna rok temu. Tata cały czas był tam zameldowany.

– Ile ma lat? Mówiłaś, że się urodził...

– W trzydziestym piątym. Za kilka miesięcy skończy osiemdziesiąt jeden lat.

– Co robimy z Sarą? Córeczką tatusia?

– Myślę, że musimy z nią porozmawiać. Coś mi mówi, że to będzie dobra rozmowa. Widziałam jej zdjęcia. Wygląda na sensowną osobę. Ma mądre spojrzenie.

– I fartuch lekarski – dodała z uśmiechem Annika.

– Żebyś wiedziała. Znalazłam w gazecie wywiad z nią. Córeczka tatusia, na pewno jest z niej dumny.

– Okej. – Annika skinęła głową. – Porozmawiamy z nią.

– My, czyli kto? – zapytała Kristin.

– Ty i ja – odpowiedziała Annika z uśmiechem. – A co myślałaś? Że poproszę Bäckströma?

– Mogę do niej zadzwonić. U niej? Czy u nas?

– Niech sama zdecyduje – podsunęła Annika. – Jest w końcu profesorem. Poza tym do Karolinskiej od nas to rzut beretem.

## 85.

Dzień później Annika i Kristin przesłuchiwały Sarę Johnson w jej miejscu pracy, w Instytucie Karolinska. Sara Johnson miała i biały fartuch, i mądre spojrzenie. Rozmowę zaczęła od podziękowań.

– Rozumiem, że chcecie rozmawiać o moim młodszym bracie, Danielu.

– Tak – odparła Annika i skinęła głową.

– Doceniam, że postanowiłyście porozmawiać ze mną, a nie z ojcem – powiedziała Johnson.

– O ile dobrze zrozumiałam, jest chory i mieszka w domu opieki w Brommie – odrzekła Annika.

– Tak, jest umierający, niestety. Na tę samą chorobę, która zabiła moją mamę. Ale poza tym jest taki jak zawsze. Ma jasny umysł. Co, bynajmniej, nie ułatwia mu sprawy.

– Bardzo nam przykro – odparła Annika.

– Jest jak jest – skonstatowała Johnson. – Mój tata należy do gatunku ludzi, którzy już są na wyginięciu. Honorowy, przyzwoity, zawsze starał się być w porządku wobec siebie i innych. Poza tym jest bardzo zdolny. Będzie mi go brakowało. Ale nie o nim mamy rozmawiać, tylko o Danielu.

– Zgadza się – potwierdziła Annika.

– O co chodzi tym razem?

– Ma to związek z prowadzonym przez nas śledztwem – wyjaśniła Annika. – Jednak na obecnym etapie nie możemy wykluczyć, że się mylimy i że będziemy musieli je umorzyć.

– Może coś więcej?

– Niestety – odpowiedziała Annika. – Nie wolno nam, a poza tym jest jeszcze za wcześnie, by wyrokować. Za mało wiemy.

– Przyjmijmy jednak, że się nie mylicie – powiedziała Sara Johnson.

– W takim wypadku obawiam się, że to dość poważna sprawa – oznajmiła Annika.

– Mój przybrany brat, niestety, nie jest podobny do mojego ojca – wyznała Sara Johnson i skinęła głową. – Dziwne w tym wszystkim jest to, że nie jest też podobny do swojej mamy, Marii. Była czarującą i radosną osobą, która pojawiła się w moim życiu, kiedy miałam zaledwie dziesięć, jedenaście lat. To nie była tak zwana zła macocha. Maria była inna niż moja mama, ale kiedy zmarła, ojciec tak samo ciężko to przeżył. Tak myślę. Nie miał łatwego życia. Ale nigdy nas tym nie obciążał. Taki już jest.

– A Daniel? – zapytała Kristin. – Co mogłabyś o nim powiedzieć?

– Daniel zawsze był lekkoduchem. Jako dziecko był jeszcze słodkim lekkoduchem. A kiedy wyprowadził się z domu i zaczął studia w Szkole Handlowej, był czarującym lekkoduchem.

– Ale masz z nim kontakt, prawda? – spytała Annika.

– Miałam, do śmierci jego żony. Zginęła w tsunami. Ale pewnie już to wiecie.

– Tak – potwierdziła krótko Annika i skinęła głową.

– Od tamtego momentu rozmawiałam z nim może z dziesięć razy. Oprócz tego wymieniliśmy kilka maili. Ostatni raz się widzieliśmy jakieś pięć, sześć lat temu. Dzień przed Midsommar. Przyjechał po klucze do



żagłówki taty. Tata leżał wtedy w szpitalu. Miał pierwszą operację. Tak na marginesie to tutaj, w Karolinskiej. Dość kiepsko się wtedy czuł.

– A twój ojciec, czy ma jakiś kontakt z Danielem?

– Nie – odpowiedziała Sara. – Z tego prostego powodu, że Daniel nie ma ochoty na kontakt z tatą. Bardzo mnie to martwi. Szczególnie że tata tyle dla niego zrobił. Były z nim ciągle problemy. Może nic wielkiego, wagary, dziewczyny, alkohol, kilka razy trawka, ale ojciec nie był z tego zadowolony. Danielowi zawsze to jakoś uchodziło na sucho, choć nikt nie wiedział jak.

– Rozumiem, co masz na myśli – przerwała jej Annika.

– Daniel martwi się tylko i wyłącznie o siebie. I o swoją pierwszą żonę, Jaidee. Kochali się, jestem o tym przekonana. Niestety, chyba dlatego, że byli do siebie bardzo podobni.

– Znałaś ją?

– Spotkałyśmy się kilka razy. Między innymi wtedy, kiedy prowadzili tę swoją firmę. Spotkałam się z nią, bo potrzebowała pomocy z jakimś projektem medycznym, który chciała realizować w Tajlandii. Służyłam jej bezpłatnymi konsultacjami. Ale na ślub nas nie zaprosili. Ani Ewy, ani mnie, ani ojca. Daniel i jego żona nie byli ludźmi, którzy chcieliby dawać, raczej brali od innych.

– Czy utrzymujesz jakiś kontakt z siostrą?

– Tak, lubimy się. Ewa jest bardzo specyficzna, ale to dobra osoba. Ma dwóch dorosłych synów. Są już żonaci i mają własne dzieci. Obydwu dobrze się powodzi. Tak więc, jak widzicie, jestem dumną cicią.

– A czy Ewa i twoi siostrzeńcy spotykają się z ojcem?

– Kiedy tylko mają okazję. Ewa ostatni raz widziała się z ojcem jeszcze w starym domu, w Brommie, kilka miesięcy temu. Zanim wyjechała do tych swoich Indii.

– Jesteś lekarzem, prawda? – wtrąciła Kristin. – To, co mówisz o swoim przybranym bracie, nie brzmi dobrze. Czy zastanawiałaś się może, dlaczego taki jest?

– Jestem onkologiem, nie psychologiem – odparła Sara. – Terapeutką jest moja młodsza siostra. W dodatku bardzo kompetentną. Nie jest tak powściągliwa jak ja, jeśli chodzi o mówienie o innych, włączając w to naszego brata.

– W takim razie, co mówi o Danielu? – zapytała Annika.

– Że to prawdziwy psychopata – powiedziała Sara. – Jej zdaniem niektórzy ludzie są po prostu psychopatami i nie ma na to jakiegoś jednego prostego wytłumaczenia. I nie jest to wina ani taty, ani jej, ani moja. Jego mama, Maria, też nie jest temu winna.

– A Jaidee? Czy twoja siostra ją spotkała?

– Tak. Może nie tak wiele razy, ale wystarczająco, żeby wyrobić sobie o niej zdanie. Związek Daniela i Jaidee określała jako *a match made in hell*. Może nie brzmi miło, ale chodziło jej o to, że obchodził ich tylko własny czubek nosa. Niestety, myślę, że miała rację, mimo że o zmarłych nie wypada mówić źle.

– Wspomniałaś coś o żagłowie, którą ma twój tata. Rozumiem, że lubił żeglować.

– Tak, lecz odkąd zachorował, robił to coraz rzadziej. Ale przed chorobą miał parę naprawdę dobrych lat. Odkąd przeszedł na emeryturę aż do czasu choroby liczyło się właściwie tylko żeglowanie. Wydaje mi się, że to były najpiękniejsze jego lata. Mimo że zawsze był gotowy do pomocy innym i naprawdę lubił ludzi, polubił też być sam. Rozmawialiśmy nawet o tym.

– I co ci powiedział?

– Że w samotności łatwiej mu myśleć. Że może dokończyć myśl i nikt mu nie przerywa. Ja chyba też taka jestem.

– Też lubisz żeglować? – spytała Kristin.

– Nawet nie wyobrażasz sobie jak – odpowiedziała Sara i uśmiechnęła się, po raz pierwszy od początku rozmowy. – Żeglujemy z siostrą od dziecka. Byłyśmy tak małe, że nie było jeszcze kapoków naszego rozmiaru. Teraz to moja łódź. Dostałam ją od taty, kiedy sprzedał dom w Ålsten.

– A twój brat? On też jest żeglarzem?

– O tak, żeglować to on potrafi. Kiedy był małym chłopcem, jeździł latem na obozy skautów. Ale później też żeglował. W liceum, a nawet potem, na studiach. Dla niego to był sposób na poznanie kolegów, no i oczywiście dziewczyn. Tym drugim zawsze się interesował.

– Te pięć, sześć lat temu – powiedziała Annika – kiedy przyszedł do ciebie po klucze do łódki... z kim miał wtedy pływać?

– Właściwie to nie wiem – odparła Sara. – Nawet nie pytałam. Pewnie wyszłam z założenia, że to jakaś kolejna kobieta w jego życiu. Poza tym wtedy miałam głowę zajętą tylko tatą.

– Bo był tuż po operacji, leżał w szpitalu i źle się czuł – dodała Annika.

– Tak, nawet pamiętam, że zapytałam Daniela, kiedy odwiedzi ojca w szpitalu.

– I co powiedział?

– Że zobaczy się z nim po weekendzie.

– I co, spotkał się z ojcem?

– Nie – odpowiedziała Sara i potrząsnęła głową. – Klucze od łódki zostawił w mojej skrzyneczce, tu, w pracy.

– Twój przybrany brat nie wydaje się szczególnie miłym człowiekiem – stwierdziła Kristin.

– Niestety – potwierdziła Sara. – I dlatego tu jesteście, prawda?

– Jeśli chodzi o tę łódź... – wtrąciła Annika. – Czy moglibyśmy ją obejrzeć?

– Nic mnie bardziej nie ucieszy – powiedziała Sara. – Kilka tygodni temu ktoś się do niej włamał. Zauważył to jeden z członków klubu żeglarskiego. Oczywiście pojechałam tam i ją obejrzałam. Drzwi do kajuty były wyłamane, poza tym nic nie zginęło.

– Zgłosiłaś to na policji?

– Tak, i na policji, i u ubezpieczyciela. Z firmy ubezpieczeniowej jeszcze się nie odezwali, ale wasi koledzy już odpowiedzieli. Zajęło im to tylko tydzień. Szybko poszło.

– I co stwierdzili? – zapytała Annika.

– Śledztwo zostało umorzone. Brak dowodów, tak chyba napisali.

– Tak, czasami idzie bardzo szybko – skonstatowała Annika.

– Rozumiem – przytaknęła Sara i znów się uśmiechnęła. – Ale oczywiście możecie obejrzeć łódź. Dam wam klucze.

– Świetnie – rzekła Annika. – Jako podziękowanie obiecuję, że zrobimy, co w naszej mocy. Odciski palców i takie tam, sama wiesz...

– To stara vega, to znaczy łódź. Tata kupił ją pod koniec lat siedemdziesiątych, ale wciąż jest jak nowa.

– Ma jakąś nazwę?

– Oczywiście – powiedziała Sara. – Nazywa się „Anniara”, przez dwa n. To stary zwyczaj, że łódź ma kobiece imię, najlepiej jak zaczyna się na a i ma siedem liter. Tata zawsze zwracał na to uwagę.

– Gdzie łódź jest zacumowana? – zapytała Kristin.

– Prześlę wam opis drogi – zaoferowała Sara i pokazała głową na komputer stojący na biurku. – Jest tam, gdzie zawsze. W klubie żeglarskim w Hässelby. Przy Lambarfjärden. To część Mälaren, jak pewnie wiecie.

– Teraz z innej beczki. – zmieniła temat Annika – Czy zdarzało się, że ty albo twój tata robiliście zakupy w Lidlu przed wypłynięciem?

– Tak – odrzekła Sara. – Mają duży sklep w Brommie. Dlaczego pytasz?

- Znaleźliśmy właśnie stamtąd reklamówkę – powiedziała Annika.
  - No tak, bardzo możliwe, że to z naszej łódki – potwierdziła Sara.
  - Miło, że starasz się nam pomóc – zauważyła Kristin.
  - Robię, co w mojej mocy – odparła Sara. – Ale mam do was jedną prośbę.
  - Żebyśmy nie rozmawiali z twoim tatą bez twojej wiedzy, czy tak? – zgadywała Annika.
  - Zgadza się – powiedziała Sara. – Właśnie o to chciałam was poprosić.
  - Obiecuję – odparła Annika. – Jeśli będziemy musieli z nim porozmawiać, pierwsza się o tym dowiesz.
  - W takim razie zgoda – odpowiedziała Sara i skinęła głową. – Dam wam moją wizytówkę ze wszystkimi namiarami. Ze względu na charakter mojej pracy należę do osób, które zawsze można zastać w biurze. Niezależnie od pory dnia czy nocy.
- Nie zapytałaś, czy mieli broń małokalibrową – zauważyła Kristin, kiedy siedziały w samochodzie w drodze powrotnej na posterunek w Solnej.
- Nie dlatego, że zapomniałam – odpowiedziała Annika. – Po prostu jeszcze trochę powinniśmy z tym poczekać.
  - Kiedy powiedziała ci o tym włamaniu, postanowiłaś, że na razie się z tym wstrzymasz, tak?
  - Mniej więcej – odparła Annika. – Na razie.
  - Midsommar, pięć, sześć lat temu... kiedy jej ojciec miał pierwszą operację... Musimy się dowiedzieć, w którym dokładnie to było roku.
  - Właśnie miałam cię o to poprosić – odrzekła Annika. – Ale najlepiej najpierw porozmawiaj z Lisą, żeby mogła załatwić wszystkie formalności. Szpitale na ogół tego wymagają.
  - Załatwię to – powiedziała Kristin. – Cholera, jakie to wszystko ekscytujące. Oczywiście dla mnie. Moje pierwsze dochodzenie w sprawie

o morderstwo i, jak na razie, nieźle mi idzie. A jakie są twoje wrażenia?

– Chyba się domyśliła, o co chodzi – stwierdziła Annika.

– Bo Daniel się wygadał?

– Nie, nie dlatego – zaprzeczyła Annika i pokręciła głową. – Na pewno nie.

– I mimo to się domyśliła?

– Myślę, że tak. Zrozumiałam to, kiedy poprosiła, żebyśmy bez jej wiedzy nie rozmawiały z jej ojcem.

– Chyba masz rację – przyznała Kristin.

## 86.

„Anniara” była zacumowana tam, gdzie zwykle, jeśli nie pływała po jeziorze. Przy pomoście należącym do klubu żeglarskiego w Hässelby, kilka kilometrów na zachód od Sztokholmu. Niemi i Hernandez pojechali tam wcześniej rano. Mieli ze sobą wszystko, co potrzeba: klucze do wejścia na pomost i do kajuty, które dzień wcześniej dostali od Anniki.

Niemi wyrobił sobie pierwsze wrażenie, jeszcze zanim weszli na pomost. W sumie cumowało tam osiemnaście łodzi, z tego dziesięć motorówek i osiem żaglówek. Najdalej stała vega. Dobrze utrzymana, ale starsza i mniejsza niż pozostałe łodzie.

– Jeśli przyjechałbym tutaj, żeby coś ukraść, to „Anniara” byłaby moim ostatnim wyborem.

– Masz rację – zgodził się Hernandez. – Gołym okiem widać, że na innych jest więcej do wzięcia.

– No właśnie – odparł Niemi. – Chyba że przyjechałbym tutaj po coś konkretnego.

– Jak na przykład stary pistolet – rzekł Hernandez.

– Albo żeby sprawdzić, czy czegoś nie zapomniałeś.

– Kiedy ktoś odkrył, że do łodzi Johnsona było włamanie?

– Według raportu w poniedziałek rano, dwudziestego piątego lipca. Ten, kto zadzwonił na policję, najwyraźniej ma łódkę obok. Razem z żoną

pływali przez weekend po jeziorze i kiedy rano zacumowali, zauważyli włamanie. Gdy tu przyjechali w piątek po południu, niczego nie zauważyli. A więc włamanie dokonano w czasie weekendu.

– Poczekaj – powiedział Hernandez. – Ta kolacja, o której mówił Toivonen, kiedy nasz nowy szef spotkał się ze swoim starym kumplem Johnsonem i się wygadał...

– To było w piątek dwudziestego drugiego lipca – sprecyzował Niemi.

– Monitoring? Czy widziałeś tam jakieś kamery?

– Ani jednej. Pytałem nawet tego człowieka, który zadzwonił na policję.

– I co o tym myślisz?

– Że z tego Johnsona musi być niezły *control freak* – oznajmił Niemi. – Lubię takich. Co to sprzątają po sobie.

Wizyta na „Anniarze” zajęła Niemiemu i Hernandezowi cały dzień. Ładna i dobrze utrzymana łódź. Sprawdzili wszystko, od rufy aż po dziób, nawet odkręcili podłogę od belek podtrzymujących. Dokładnie przeszukali miejsce kuchenne, każdą szufladę i szafkę. Na pokładzie było wszystko to, co powinno być na łodzi. Butla z gazem pod piecykiem, kamizelki ratunkowe, boje, lina, dwie rakiety dymne, bosak, skrzynia z narzędziami, rolka szpagatu. W malutkiej toalecie była apteczka i kilka rolek papieru toaletowego. Trochę jedzenia, nieotwarta butelka whisky, zgrzewka sześciu butelek wody mineralnej i dwie puszki piwa w małej lodówce.

W garderobie znaleźli ubranie żeglarskie, płaszcz przeciwdeszczowy i dwie pary kaloszy. Była tam też wędka i pudełko plastikowe z haczykami na ryby, kij od wędki i sito. Nie znaleźli natomiast ani pistoletu, ani amunicji.

Ale trafili na stos starych gazet, legitymację żeglarską i album ze zdjęciami w brązowej plastikowej oprawie. Były to głównie zdjęcia Svena-



Erika Johnsona i jego dwóch córek z różnych lat i tylko kilka zdjęć jego przybranego syna, Daniela.

Zebrali dziesiątki odcisków palców, zostawionych wszędzie tam, gdzie ktoś, podobnie jak Niemi i Hernandez, szukał tego samego co oni. Kiedy odkręcili podłogę w kajucie, znaleźli ślady krwi, która płynęła wzdłuż lewej burty. Były to ślady, które mogli znaleźć tylko ludzie tacy jak Niemi i Hernandez, i to niezależnie od tego, jak dokładnie próbowano je usunąć.

– Przyjmijmy, że ktoś spał tu na sofie. To miejsce, które sam bym wybrał, jeśli miałbym tu nocować. Z głową na podwyższeniu, w kierunku, w którym płynęła krew – rzekł Hernandez.

– Po lewej stronie, z głową na podwyższeniu, w kierunku dziobu – stwierdził Niemi. – Tak jak ty i twoja dziewczyna śpicie w domu.

– Tak, tylko że my mamy podwójne łóżko, więc krew spłynęłaby na materac. Co oczywiście byłoby lepsze i dla ciebie, i dla mnie.

– No tak – odparł Niemi i skinął głową. – Pewnie na jakieś DNA nie mamy co liczyć.

Kiedy wieczorem Niemi i Hernandez wrócili na posterunek, przywieźli sporo zdjęć jako dokumentację z oględzin „Anniary”. Do tego album z dziesiątkami fotografii zrobionych przez Svena-Erika Johnsona i inne osoby, które były na pokładzie. Poza tym rolkę szpagatu oraz opakowania, na których były odciski palców i ślady krwi.

– Żadnego pistoletu – westchnął Hernandez, kiedy wjeżdżali do garażu.

– Nie można mieć wszystkiego – odpowiedział Niemi. – Teraz tęsknię jedynie za mocną kawą.

## 87.

Sporządzenie mocnego aktu oskarżenia to z policyjnego punktu widzenia nic innego jak opisanie czynu tak, aby ów opis nie zawierał dziur, które by przepuściły wyrok uniewinniający. Odkąd Lisa Lamm przejęła nadzór nad śledztwem, grupa dochodzeniowa bardzo się wzmocniła. Już w pierwszym tygodniu września zwiększyła się do piętnastu osób. O inspektor kryminalną Felicię Pettersson z pionu przestępczości zorganizowanej, która wróciła z miesięcznego urlopu, oraz pół tuzina innych śledczych, których Toivonen wypożyczył. Obecnie wszyscy pracowali nad tym samym: sporządzeniem mocnego aktu oskarżenia przeciwko Danielowi Johnsonowi. Natomiast nad czym pracował ich przełożony, komisarz kryminalny Evert Bäckström, nikt nie wiedział. Jeśli zapytać jego samego, zapewne odpowiedziałby, że nad podziałem zadań i dopilnowaniem, żeby były wykonane we właściwy sposób.

Felicia Pettersson i Jan Stigson sprawdzali nagrania z monitoringu, kiedy to Daniel Johnson śledził małego Edvina, od jego wyjścia z domu aż do samej szkoły. Znaleźli zdjęcia samochodu i kierowcy, zrobione z trzech kamer zamontowanych wzdłuż ulicy. Stigson był zadowolony. Droga Johnsona, przynajmniej w większości, została zarejestrowana. Jednak Felicii Pettersson to nie satysfakcjonowało.

- Poczekaj – powiedziała. – A co on robił później?
- Pewnie pojechał do pracy – odparł Stigson z miną, jaką się robi, kiedy nie rozumie się pytania.
- Pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, przy placu Gustawa Adolfa, prawda?
- Zgadza się.
- Więc powinien był pojawić się w pracy mniej więcej o wpół do dziewiątej.
- Tak by wypadło – zgodził się Stigson.
- W takim razie co zrobił z samochodem? – spytała Felicia. – Przecież tam, gdzie pracuje, trudno o miejsca parkingowe. A przecież nie wziął samochodu ze sobą do biura.
- Brawo, Felicia – pochwalił ją Stigson. – Brawo. Wiem, wiem, o co ci chodzi.

Już następnego dnia znaleźli najlepsze zdjęcia Daniela Johnsona i jego samochodu. Zrobione były na parkingu na Malmskillnadsgatan, w pobliżu pracy Johnsona. Dwa lata wcześniej Johnson wynajął tam miejsce parkingowe. Piętnaście minut po tym, jak przejechał koło szkoły Edvina na Pipersgatan na Kungsholmen, zaparkował samochód, wysiadł i znikł w wyjściu z parkingu. Zdjęcia zrobione były między godziną ósmą trzydzieści sześć a ósmą trzydzieści siedem rano. Lepszych zdjęć Daniela Johnsona i jego samochodu nie było.

Annika nie znalazła starej broni małokalibrowej. Ani Sven-Erik, ani żadna z jego córek, ani jego przybrany syn nie posiadali licencji na broń. Oczywiście, najprostsze wytłumaczenie było takie, że Daniel Johnson, pomimo iż nie miał pozwolenia, zabrał ze sobą broń, kiedy tego popołudnia

w Midsommar wypływał z żoną łódką. Sytuację rozwiązywałoby zatrzymanie go i osadzenie w areszcie w komisariacie w Solnej.

Inna możliwość była taka, że chodziło o starą broń, która od lat pozostawała w posiadaniu rodziny, aż w końcu wylądowała na łodzi Svena-Erika Johnsona. Może służyła mu do odstraszenia mew, które paskudziły na pokład, jak sugerował Niemi. Jeśli to broń, której Daniel Johnson użył w tamten weekend pięć lat temu, był to wystarczający powód, aby miesiąc temu włamać się do łodzi ojczyma i pozbyć się jej.

Annika kontynuowała swoje poszukiwania, przeglądając albumy, które Niemi i Hernandez zarekwirowali na łodzi. Sami mieli ważniejsze rzeczy do roboty, poza tym stare zdjęcia z wakacji to nie praca dla techników kryminalnych. Przejrzawszy mniej więcej połowę albumu, Annika znalazła broń... W rękach na oko piętnastoletniej, opalonej i uśmiechniętej młodszej siostry, Ewy. W coś celowała, jednak nie było widać w co. Zdjęcie zrobił prawdopodobnie tata, Sven-Erik, pomyślała Annika. Na pewno był ojcem, który przestrzegał dzieci, aby nigdy nie celowały w innego człowieka, pomyślała, wykręcając jednocześnie numer do starszej siostry Ewy, Sary.

– Mam pytanie – powiedziała Annika.

– O co chodzi?

– Otóż twój tata przechowywał na łodzi starą broń – zaczęła Annika.

– Tak – potwierdziła Sara. – Pewnie przeglądałaś ten stary album, który był na łodzi.

– Tak, zgadza się – odparła Annika. – Ale kiedy moi koledzy byli tam wczoraj wieczorem, nie znaleźli żadnej broni. Czy może wiesz, co się z nią stało?

– Owszem – odparła Sara. – Zabrałam ją. I była to pierwsza rzecz, jaką zrobiłam, kiedy w zeszłym roku tata naprawdę źle się poczuł. Zabrałam zarówno broń, którą tata chyba dostał od swojego ojca, a więc mojego

dziadka, jak i kilka pudełek z amunicją. Nie można było tego zostawić, żeby rdzewiało, skoro łódź i tak nie była używana.

– Czy może się orientujesz, gdzie ona teraz jest? – zapytała Annika.

– Daj mi pomyśleć – rzekła Sara. – Ostatnio widziałam ją w mojej szafie w przedpokoju. Jestem jeszcze w domu i leżę w łóżku, dopiero za godzinę wychodzę do pracy, więc może byś wpadła i ją zabrała. Wiesz, gdzie mieszkam, prawda?

– Oczywiście – odpowiedziała Annika. – W takim razie do zobaczenia za jakieś pół godziny.

Kiedy Jaidee Kunchai została uznana za zmarłą, Daniel Johnson dostał dwadzieścia pięć milionów koron. Cztery miliony wydał na mieszkanie. Ponad sześćset tysięcy na nowy samochód, a ponieważ jego wydatki były wyższe niż pensja po odjęciu podatku, w ciągu tych dwunastu lat musiał sięgać do pozostałych milionów, pomyślała Nadia Högberg.

Zostało jeszcze prawie dwadzieścia milionów, więc gdzieś te pieniądze muszą być. Nadia miała swoją teorię na ten temat, ale żeby to potwierdzić, potrzebowała pomocy Lisy Lamm. Musiała sprawdzić finanse Daniela Johnsona.

Kristin Olsson zdobyła informacje ze szpitala Karolinska o tym, kiedy Sven-Erik był po raz pierwszy operowany. Było to w środę, 22 czerwca 2011 roku, dwa dni przed Midsommar. Dzień później Daniel Johnson przyszedł do siostry po klucze do łodzi. Po weekendzie zostawił klucze w jej skrzyneczce w pracy. Najwcześniej w poniedziałek, 27 czerwca, pomyślała Kristin.

Ciekawe, kiedy umarła, zastanawiała się. „Prawdopodobnie między piątkiem 24 czerwca a niedzielą 26 czerwca w nocy”, napisała w mailu, który wysłała do swojej szefowej.

Annika natychmiast przeczytała mail od Kristin. Nurtowała ją jedna rzecz. Ani Daniel Johnson, ani Jaidee Kunchai nie należeli do osób, które chciałyby spędzać Midsommar na starej łodzi, gdzie musieliby sami sobie gotować i spać na wąskich kojach w ciasnej, dusznej kajucie. Szczególnie że pogoda w Sztokholmie w Midsommar 2011 roku była niespecjalna. Tę okoliczność też Kristin opisała w mailu. W czwartek było po prostu okropnie. Padało praktycznie cały dzień, aż do wieczora. Dzień przed Midsommar, rano, trochę się roz pogodziło i kiedy nadeszła pora na tradycyjne tańce wokół umajonego słupa, śpiewanie piosenek i skakanie w worku z łyżką z ziemniakiem w ustach, było już zupełnie przyzwoicie. Jednak wieczorem znów się zachmurzyło. W sobotę pogoda była zmienna, raz słońce, raz deszcz, i tak na zmianę, cały dzień. Dopiero w niedzielę na bezchmurnym niebie pojawiło się słońce i słupek rtęci pokazał dwadzieścia pięć stopni.

Nie była to raczej pogoda na spędzenie weekendu na łódce, pomyślała Annika.

Zwłaszcza jeśli wcześniej sprawdziło się pogodę na weekend. Para Johnson i Kunchai miała większe wymagania. Dyskretny i romantyczny hotelik gdzieś poza miastem. Smaczny obiad, przygotowany i podany przez innych. Dobre wina do wyboru, szerokie łóżko z wymaglowaną pościelą. I wszystko to w miejscu, gdzie ryzyko, że ktoś rozpozna Daniela Johnsona i jego nieżyjącą od sześciu lat żonę, było tak małe, że prawie zerowe.

Kto mi może w tym pomóc? – zastanawiała się Annika.

Haqvin! A któż by inny.

– I co, kiedy odcumujemy? – zapytał Haqvin, gdy tylko usłyszał w telefonie, z kim rozmawia. – „Cio-Cio San” stoi w porcie w Djurgården, więc możemy się spotkać za godzinę. Jeśli chcesz.

– Dzwonię, żeby cię zapytać o kilka rzeczy odnośnie do śledztwa. Czasami jesteś bardzo dziecinny, Haqvin. Mam nadzieję, że jesteś tego świadom.

Po co ja to powiedziałam, do diabła, pomyślała Annika po chwili.

– Przepraszam – odparł Haqvin. – Co chciałabyś wiedzieć?

– Załóżmy, że z osobą, którą lubisz, pływacie w Midsommar po Mälaren. Jest kiepska pogoda. Deszcz i zimno. Postanawiacie więc zejść na ląd, żeby znaleźć jakieś miejsce, gdzie można zjeść dobry obiad i napić się wina.

– O jakim pułapie cenowym mówimy? – zapytał Haqvin.

– Tylko tym najwyższym – odpowiedziała Annika. – Pieniądze nie są tu problemem. I oboje, i ty, i osoba ci towarzysząca, jesteście przyzwyczajeni do wystawnego życia. Jednak nie chcecie, żeby was widziano. Więc musi to być jakieś dyskretne miejsce.

– Mówimy więc o jakimś małym romansiku – spekulował Haqvin.

– Załóżmy, że tak – odparła Annika.

Romansiku z trupem, pomyślała.

– Skąd przypłynęliśmy? – dopytywał Haqvin.

– Ze Sztokholmu – uściśliła Annika.

– To wiem, ale gdzie się znajdowała łódź? Gdzie odcumowaliśmy?

– W Hässelby, przy Lambarfjärden. Wypływacie rano, dzień przed Midsommar, i liczycie, że około południa zjecie lunch w miejscu, o którym mowa.

– Kiedy? – zapytał Haqvin. – To znaczy w którym roku?

– W Midsommar dwa tysiące jedenastego, pięć lat temu – odpowiedziała Annika.

– Już wiem, jakie miejsce bym wybrał, gdybym to nie był ja. Choć można powiedzieć, że tam, gdzie moja rodzina ma posiadłość,

w Stallarholmen, jestem celebrytą...

– Więc jakie miejsce byś wybrał?

– Absolutnie najlepsze nad całym Mälaren, w tamtych czasach. To jedyne miejsce, jeśli rano wypływasz z Hässelby i chcesz zdążyć na lunch. A mianowicie Gripsholms Vårdshus. Hotelik. Pięciogwiazdkowy. W Mariefred. Najlepszy w tamtym czasie dla ludzi ze Sztokholmu z grubymi portfelami, którzy chcieliby w spokoju spędzić Midsommar.

– Dzięki, Haqvin – powiedziała Annika.

„Cio-Cio San”, pomyślała Annika, kiedy tylko odłożyła słuchawkę. To pewnie nazwa jego łodzi. Brzmi trochę z tajlandzka, rozważała, wchodząc w Google.

„Cio-Cio San”, przeczytała. „Po japońsku dosłownie mały motyl, w przenośni Panna Motyl, kobieca bohaterka opery Pucciniego *Madame Butterfly*”.

To przecież jasne, pomyślała Annika. Jak można być tak głupim. Haqvin jest dokładnie taki sam jak mały Edvin. Miłośnik żeglowania i Kalle Blomqvista, niezależnie od zewnętrznych różnic między nimi. To dwaj mali romantycy i obaj cię lubią, pomyślała.

Annika zadzwoniła do hoteliku w Mariefred. Połączyła się z sympatyczną recepcjonistką, której się przedstawiła i wyjaśniła, że chodzi o śledztwo, a gdyby chciała to potwierdzić, może zadzwonić na policję.

– Oczywiście, tak też zrobię – odparła recepcjonistka. – Czasami zdarza się, że ludzie nie są tymi, za których się podają...

Minutę później zadzwoniła do Anniki przez policyjną centralę telefoniczną.

– Dobrze, że dzwonisz – powiedziała Annika.

– W czym ci mogę pomóc? – spytała recepcjonistka.



– Szukam mężczyzny, który mógł mieszkać u was w hotelu w Midsommar w dwa tysiące jedenastym roku. Prawdopodobnie zameldował się dzień przed Midsommar, natomiast nie wiem, kiedy się wyprowadził. Nazywa się Daniel Johnson. Obywatel szwedzki, urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku.

– Nie powinno być z tym problemu – odpowiedziała recepcjonistka. – Jesteśmy tutaj trochę staroświeccy i oprócz zwykłego blankietu, który trzeba wypełnić, prowadzimy też dziennik hotelowy. Od otwarcia hotelu, czyli od ponad trzydziestu lat.

– Ooo, to świetnie – ucieszyła się Annika. – Jak więc zrobimy?

– Jak tylko zjem lunch, wyciągnę dziennik i wszystko sprawdzę. Chcesz, żebym ci napisała mail, czy wolisz, żebym zadzwoniła?

– Zrób tak, jak ci będzie wygodnie – zaproponowała Annika.

– A więc wyślę ci mail – odpowiedziała recepcjonistka.

Godzinę później na pocztę Anniki przysłała odpowiedź. Daniel Johnson zarezerwował pokój dla dwóch osób. To było dzień przed Midsommar i pobyt trwał aż do niedzieli dwa dni później. On i osoba towarzysząca jedli lunch i kolację w hotelu. Dzień później zamówili śniadanie do pokoju. Następnego dnia, czyli w niedzielę, po śniadaniu, które zjedli w restauracji hotelowej, Daniel Johnson zapłacił rachunek kartą kredytową. Faktura opiewała na dziesięć tysięcy koron, główną część tej sumy stanowił szampan i drogie wina. Kopia faktury, jego karty kredytowej, kwestionariusz, który wypełnił, kiedy się meldował, oraz jego podpis, dołączone były do dziennika. Daniel Johnson nie był osobą publicznie znaną, więc żadnych innych informacji nie posiadała. Jeśli Annika miałaby więcej pytań, może jeszcze zadzwonić.

Cholera, Annika, ty jesteś jak czołg. To idzie stanowczo za szybko. Gdzieś popełniasz błąd, pomyślała.

## 88.

Podczas pierwszego tygodnia z Lisą Lamm jako prokurator nadzorującą śledztwo przesłuchano trzech policjantów, którzy w Tajlandii pomagali przy identyfikacji szwedzkich ofiar tsunami. Jeden z nich był szefem, drugi śledczym, trzeci technikiem kryminalnym. Wszyscy trzej byli obecnie na emeryturze, ale sercem i duszą wciąż jeszcze pozostawali funkcjonariuszami i przesłuchanie ich, jeśli oczywiście byli w nastroju, dla każdego było nie lada wyzwaniem.

Jednego z nich trzeba było przesłuchać dwa razy, a oprócz tego uzupełnić informacje przez telefon. Drugi zażądał, żeby przyjechać do niego, do Värmlandii. Na emeryturze wrócił w swoje rodzinne strony, do Filipstad, i ani myślał przyjeżdżać do Sztokholmu. Jeśli chcą z nim rozmawiać, to albo przez telefon, albo w Filipstad. Trzeci, technik kryminalny, był stosunkowo przychylnie nastawiony, co i tak nie miało specjalnego znaczenia, gdyż na wszystkie pytania odpowiadał rozczulająco podobnie do swoich kolegów.

Praca, jaką szwedzcy policjanci wykonali w Tajlandii, to wyjątkowy przykład identyfikacji ofiar katastrof. To wzór do naśladowania, i to bez precedensu. Mimo wielu praktycznych trudności – upał, mocne światło, słona woda i w wielu przypadkach znacznie zmasakrowane zwłoki – udało

się zidentyfikować pięćset czterdzieści trzy szwedzkie ofiary, których ciała odnaleziono.

Duże znaczenie miała tu również współpraca z kolegami policjantami z innych krajów. W kilku przypadkach szwedzcy policjanci pomagali przy identyfikacji obywateli innych narodowości. Więc fakt, że policjant z Tajlandii pomógł swoim szwedzkim kolegom przy identyfikacji ich szwedzkiej ofiary, był rzeczą naturalną, a wręcz konieczną, biorąc pod uwagę okoliczności, w tym podwójne obywatelstwo Jaidee Kunchai. Tajlandzcy technicy kryminalni mieli wysokie kwalifikacje i świadomość problemów, z jakimi trzeba się było zmierzyć. Dlatego też wszyscy, niezależnie od tego, skąd byli, zadbali o to, żeby pobrać tak różnorodny materiał genetyczny potrzebny do identyfikacji, jak to tylko możliwe.

Dotyczyło to również Jaidee Kunchai. Pobranie materiału genetycznego z jej ciała traktowano jako oczywistość. Fakt, że po pobraniu i przebadaniu cały materiał zniszczono, świadczył o tym, że ściśle trzymano się procedur i przepisów. Wszystkie informacje zostały następnie wyczyszczone z policyjnych rejestrów, gdyż były to materiały tajne. Jaidee Kunchai została uznana za zmarłą prawie dwanaście lat temu. Nigdy nie była podejrzana o żadne przestępstwo, więc to, że jej DNA znalazło się w szwedzkiej bazie danych, wynikało tylko i wyłącznie z przepisów Urzędu Imigracyjnego. Dlatego też nie było jej już w policyjnej bazie danych.

– Nic dziwnego, że jej nie pamiętam – stwierdził jeden z przesłuchiwanym policjantów, który był szefem pozostałych. – Przecież tam było tyle ciał... Znaleźliśmy prawie pięćset pięćdziesiąt, choć piętnastu wciąż brakuje. Miewałem łatwiejsze zadania w mojej policyjnej karierze.

– Doskonale cię rozumiem – powiedział przesłuchujący.

Przesłuchania przeprowadzało dwóch starych wyjadaczy wypożyczonych przez Toivonena. Byli to inspektorzy kryminalni Peter Bladh i Johan Ek.

Peter Bladh był doświadczonym urzędnikiem, który nigdy nie podniecał się bez potrzeby. Johan Ek znany był ze swojej niezawodnej pamięci i podzielności uwagi. Słuchał osoby, którą przesłuchiwał, a jednocześnie czytał jej mowę ciała. Ta dwójka stanowiła godnych szacunku przeciwników, nawet dla najtrudniejszych przypadków. Jak chociażby ich trzech kolegów po fachu, którzy kiedyś zajmowali się tym samym co oni.

Przesłuchanie całej trójki zabrało im okrągły tydzień. Kiedy w piątek po południu wszystko już było gotowe i udokumentowane, poszli w swoje stare miejsce, żeby razem napić się piwa.

– I co o tym sądzisz? – zapytał Bladh.

– Wydaje mi się, że równie dobrze mogło być tak, jak powiedzieli – stwierdził Ek.

– Nie wyglądali na niezadowolonych ze swojej pracy tam, w Tajlandii.

– Nawet jeśli to oznacza, że ktoś musiał umrzeć dwa razy – powiedział Ek z uśmiechem.

– Chyba jednak nie – odparł Bladh, westchnął i potrząsnął głową. – Albo gdzieś popełniono błąd, albo jest jakieś wytłumaczenie, którego nie znamy. O nic więcej mnie nie pytaj, bo nie mam zielonego pojęcia.

– Na zdrowie – rzekł Ek i podniósł swoją szklankę. – Co powiesz na jeszcze jednego pilznera?

– W piątek wieczór zawsze – zgodził się Bladh. – Co innego mamy do roboty?

## 89.

W środku tygodnia odezwała się bratnia dusza Nadii z Narodowego Centrum Kryminalistyki. Nie dlatego, że była akurat w Sztokholmie i korzystając z okazji, chciała rozkoszować się rosyjskim jedzeniem i nauczyć się grać na bałajce. Zadzwoiła, żeby powiedzieć, jaka z niej idiotka.

– Zapomniałam o jednej rzeczy – westchnęła. – Nie po to, żeby przemilczeć sprawę. Po prostu zupełnie mi to umknęło. Ale tak bywa w tej pracy. Jak tylko się rozwiąże problem, natychmiast się go wyrzuca z pamięci.

– Mam to samo – odpowiedziała Nadia. – Zdarza się.

– No więc posłuchaj – zaczęła bratnia dusza z Narodowego Centrum Kryminalistyki.

Kiedy zabezpieczała materiał genetyczny do zbadania DNA Jaidee Kunchai, na jej szczotce znalazła też DNA innej kobiety, w postaci trzech włosów. Sądząc po profilu genetycznym tej kobiety, pochodziła ona z Tajlandii, podobnie jak Jaidee, jednak nic nie wskazywało na to, by były spokrewnione. Wnioskując po materiale genetycznym, nie było to nic nadzwyczajnego. Czasami była to wręcz reguła, nie wyjątek. Ludzie pożyczają sobie ubranie, palą jednego papierosa czy noszą te same

kolczyki. Zdarzało jej się, w najgorszych przypadkach, że oddzielała zmieszane DNA pochodzące od dwóch lub więcej osób. W tym wypadku nie musiała tego robić. Z wyjątkiem tych trzech włosów ze szczotki Jaidee wszystko inne zawierało tylko materiał genetyczny Jaidee. Inna kobieta, przy jakiejś pojedynczej okazji, nie częściej, musiała użyć szczotki do włosów Jaidee. Najprostsze wytłumaczenie było takie, że zrobiła to dziewczyna, która sprzątała ich pokój w hotelu w Khao Lak. Albo jakaś znajoma Jaidee, korzystając z łazienki, uczesała się jej szczotką.

Oczywiście, profil DNA tej kobiety jest zachowany. Potrzebny był do wyselekcjonowania materiału genetycznego Jaidee Kunchai. Jako że wszystkie trzy włosy miały cebulki – ta, która używała jej szczotki, musiała się nieźle pociągnąć za włosy – udało się wyodrębnić cały profil. Nadia, oczywiście, może dostać jego kopię.

Nadia bardzo podziękowała. To niezmiernie interesujące, będzie musiała to przemyśleć. Propozycja rosyjskiego obiadu i gry na bałajce była wciąż aktualna. Kiedy tylko nadarzy się okazja.

Dzień później Nadia napisała notatkę służbową z tego, co się wydarzyło. Najważniejsze informacje przetłumaczyła na angielski i kopię przesłała mailem do Bunyasarna. Dołączyła również profil DNA kobiety, która musiała użyć szczotki Jaidee Kunchai.

„To może być tylko ślepek. Ale kto wie? Może ją znajdziesz w waszej bazie danych”, napisała Nadia.

Akkarat Bunyasarn odezwał się już dzień później, by poinformować Nadię, że profil DNA, który mu wysłała, jest w bazie danych tajlandzkiej policji. Nie dlatego, że kobieta była karana, tylko dlatego, że zadawała się z mężczyznami, którymi interesowała się tajlandzka policja. DNA, które od niej dostał, pochodziło od Tajlandki, urodzonej w Bangkoku w 1974 roku.

Nazywała się Yada Songprawati i wszystko wskazywało na to, że tuż przed tsunami pracowała jako hostessa w Złotym Flamingu i faktycznie była poszukiwaną kobietą, znaną pod pseudonimem artystycznym Yada Ying Song.

Najdziwniejsze jednak było to, że ona jakoby wciąż żyła... Na przykład wiosną 2006 roku wyrobiła sobie nowy paszport i w ciągu następnych pięciu lat kilka razy starała się o wizę turystyczną do Szwecji i Stanów Zjednoczonych. Sprawę trzeba będzie jeszcze zbadać, dlatego też Akkarat Bunyasarn obiecał, że odezwie się natychmiast, jak wypłynie coś nowego.

Ciekawe, co się stało z paszportem Jaidee, pomyślała Nadia. A ponieważ w takich wypadkach była to zwykła formalność i Nadii wydawało się, że już kiedyś widziała notatkę o jej paszporcie, nie musiała długo szukać w materiałach ze śledztwa, aby znaleźć odpowiedź. Jaidee Kunchai posiadała dwa paszporty. Tajlandzki i szwedzki. Kiedy wyjeżdżali z mężem do Khao Lak na święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok, oba paszporty zostawiła w domu, w Bangkoku.

Już pod koniec stycznia, kiedy było wiadomo, że Jaidee nie żyje, jej mąż zostawił paszporty w ambasadzie szwedzkiej, gdzie pracował. Następnie oba paszporty zostały zniszczone. Jaidee Kunchai już ich nie potrzebowała.

No tak, nie były już jej potrzebne, pomyślała Nadia. Nikt nie chce przecież ryzykować i podróżować z paszportem należącym do martwej osoby. A tym bardziej zostawiać go przy okazji starania się o wizę. Jaidee potrzebowała nowego paszportu osoby podobnej do siebie, która wciąż funkcjonowała jako żyjąca. Mimo że tym razem było odwrotnie.

## 90.

W związku z ostatnimi wydarzeniami Lisa Lamm uznała, że potrzebne będzie nowe spotkanie z jej grupą śledczą. Kiedy na policyjnym korytarzu natknęła się na Bäckströma, podjęła z nim tę kwestię.

– Może jutro? – zapytał. – Jutro rano – dodał na wszelki wypadek.

– Zgoda – powiedziała Lisa. – Komu by się chciało siedzieć w pracy w piątek po południu?

– Może o dziesiątej – zaproponował. – Wcześniej mam coś do zrobienia. Najlepiej korzystać z okazji, pomyślał.

– Świetnie – odparła Lisa. – Przynajmniej nie będę musiała się zrywać w środku nocy.

Tym razem siedzieli w większym pokoju, gdyż było ich dwa razy więcej.

– Okej – zaczął Bäckström. – Robimy krótki przegląd tego, co mamy. Bez niepotrzebnego gadania – dodał na wszelki wypadek i wyświetlił na rzutniku sześć zagadnień.

– Nasza ofiara znaleziona na Przeklętej Wyspie. Czy wciąż jesteśmy zgodni, że to Jaidee Kunchai?

Wszyscy skinęli głowami. Nadia, przy okazji, opowiedziała o kobiecie, która w Phuket mylnie została zidentyfikowana jako Jaidee Kunchai.



– Funkcjonowała pod pseudonimem Yada Ying Song. To hostessa z klubu nocnego, której zaginięcie zgłoszono po tsunami.

– Jak się naprawdę nazywała? – zapytał Peter Bladh.

– Przychylamy się do tego, że to Yada Songprawati, urodzona w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym w Bangkoku – odpowiedziała Nadia, nie wdając się w szczegóły. – Nasi tajlandzcy koledzy obiecali, że odezwą się, jak tylko będą mieli coś nowego.

– Jak na razie nieźle – rzekł Johan Ek i z jakiegoś powodu wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Peterem Bladhem. – W takim razie zadzwonię do policjantów, których przesłuchiwaaliśmy, i powiem, że, niestety, znaleźliśmy nieściskości w ich protokole.

– Pozdrów ich ode mnie – powiedział Bäckström. – Następne pytania to: jak, gdzie, kiedy i dlaczego.

– Jaidee Kunchai została zastrzelona – odparł Niemi. – Strzał w prawą skroń z broni małokalibrowej, którą z Hernandezem prawdopodobnie znaleźliśmy. Należy do ojczyma Daniela Johnsona, który miał zwyczaj trzymać ją na swojej łodzi. Znaleźliśmy broń i kilka pudełek starej amunicji, Remington Long Rifle, kaliber dwadzieścia dwa. Wszystko już wysłaliśmy do Linköping. Obiecali, że zajmą się tym w pierwszej kolejności. Tak więc, jak na razie, nieźle to wygląda.

– Próbowaliście z niej wystrzelić, zanim ją wysłaliście? – zapytał Bäckström.

– Tego by jeszcze brakowało – odparł Hernandez, i to bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Miejsce zbrodni? – zapytał Bäckström.

– Wszystko wskazuje na to, że łódź, którą Johnson pożyczył od ojca – odpowiedział Niemi. – Znaleźliśmy tam ślady krwi. To krew ludzka, jednak

nie liczyłbym na DNA. Krew rozprysła się na pokładzie i wymieszała z wodą. Na wszelki wypadek to też wysłaliśmy do laboratorium.

– Znaleźliście też odciski palców – rzekł Bäckström, który najwyraźniej był dobrze przygotowany.

– Zgadza się – odpowiedział Niemi. – Ale wciąż nie mamy odcisków Daniela Johnsona, żebyśmy mogli je porównać.

– To się da załatwić – oznajmił Bäckström i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Jeśli chodzi o czas... – wtrąciła się Annika – Z hotelu wymeldował się w niedzielę przed południem, dwudziestego szóstego czerwca, a klucze od łódki zwrócił dzień później. A więc czas zbrodni to najpewniej między niedzielnym przedpołudniem a nocą z niedzieli na poniedziałek, czyli między dwudziestym szóstym a dwudziestym siódmym czerwca dwa tysiące jedenastego.

– Mała rozpiętość czasu – zauważył Niemi.

– Tak, też mi to przeszkadza – zgodziła się Annika. – Jednak jeszcze bardziej przeszkadza mi to, że mógł ją zabić już w Midsommar, zanim jeszcze zameldował się w hotelu w Mariefred.

– Wszystko razem przemawia za tym, że nie była to planowana zbrodnia – podsumowała Lisa Lamm.

– Podczas kłótni można łatwo stracić kontrolę – powiedział Bäckström. – Powód? – zapytał.

– Oszustwo finansowe, a dokładniej mówiąc trzy oszustwa na łączną kwotę dwudziestu pięciu milionów – dodała Nadia. – I dwoje przestępców. Daniel Johnson i Jaidee Kunchai.

– Niestety, wszystkie przestępstwa uległy już przedawnieniu – stwierdziła Lisa Lamm. – Jeśli siedzielibyśmy tu przynajmniej miesiąc

wcześniej, pewnie udałoby mi się oskarżyć go o to ostatnie oszustwo, kiedy to dostał dwadzieścia milionów z firmy ubezpieczeniowej.

– Tak, Johnson powinien wysłać bukiet kwiatów twojej poprzedniczce – stwierdził Bäckström. – A co z nią, tak na marginesie?

– Bez zmian – odpowiedziała Lamm. – Wczoraj rozmawiałam z jej lekarzem.

– Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze – odparł Bäckström bez wdawania się w szczegóły, co by to miało znaczyć.

– Czy wiemy, co Johnson teraz robi? – spytała Lisa.

– Co masz na myśli? – odpowiedział pytaniem Bäckström.

Chyba nie zamierza go zamknąć już dzisiaj, pomyślał. Wtedy cały jego piątek szlag trafi.

– Pojechał do Brukseli – wtrąciła się Felicia Pettersson. – Razem ze swoim głównym szefem, sekretarzem gabinetu rady ministrów, na jakieś spotkanie unijne dotyczące Bałtyku.

– Ach tak, a kiedy możemy się go spodziewać z powrotem? – dopytywał Bäckström.

Dzięki Bogu, pomyślał.

– W poniedziałek – odpowiedziała Pettersson.

– Okej – rzekła Lamm i skinęła głową. – Jeśli się okaże, że znaleźliśmy właściwą broń, natychmiast go zgarniemy.

– Czyli zatrzymanie bez uprzedzenia – powiedział Bäckström.

Brzmi jak najlepsza muzyka, pomyślał.

– Niezupełnie – sprostowała Lisa. – Chcę go zatrzymać jako podejrzanego o dokonanie morderstwa, bezprawne wpływanie na świadka oraz kradzież. To ostatnie dotyczy włamania na łódź, jeśli ktoś byłby ciekaw. Niestety, nie mogę go oskarżyć o oszustwo i jeszcze raz przepraszam za problemy, jakie mieliście z powodu mojej poprzedniczki.

Lisa Lamm naprawdę nie jest głupia, pomyślał Bäckström. Mimo że baba i trochę zbyt koścista jak na jego gust.

## 91.

Już w poniedziałek Peter Niemi dostał odpowiedź z Laboratorium Kryminalistyki. Wprawdzie tylko ustną, przez telefon, ale ponieważ pisemną odpowiedź obiecali przysłać w ciągu tygodnia, na razie to wystarczało. Zadzwoił do Lisy Lamm.

– Jeśli chodzi o ślady krwi, które znaleźliśmy na łodzi, to jest tak, jak się obawiałem – powiedział Niemi. – Wiadomo tylko tyle, że to krew ludzka. Wydawało mi się, że musi tu chodzić o dużą ilość krwi, jednak w laboratorium tego nie potwierdzili.

– Poradzimy sobie – odparła Lisa. – Mieli coś więcej do powiedzenia?

– Rolka niebieskiego szpagatu, którego kawałki znaleźliśmy na wyspie, pamiętasz? To ten sam typ sznurka, który był na łodzi ojca Johnsona. Dość rzadki rodzaj. Niemieckiej produkcji, nie do kupienia w Szwecji.

– I te kawałki sznurka pochodzą z tej samej rolki, którą znaleźliście na łodzi?

– Nie wiadomo – odpowiedział Niemi. – Na razie wiemy tylko tyle, że to ten sam typ szpagatu i że jest dość rzadki.

– Wystarczy – przerwała Lamm. – Coś więcej?

– Potem jest już tylko lepiej. Amunicja, którą dostaliśmy od córki Johnsona, również jest bardzo rzadka. Remington zaprzestał jej produkcji już na początku lat pięćdziesiątych. Nabój znaleziony w czaszce zgadza się

z nabojami, które od niej dostaliśmy. Już wysłaliśmy je do Linköping. Coś w rodzaju metalurgicznego hokus-pokus.

– Ile amunicji dała wam córka Johnsona?

– Dwa opakowania, w sumie pięćdziesiąt nabojów. Dwadzieścia w jednym, trzydzieści w drugim.

– Z tego wynika, że resztę musieli wystrzelać – wnioskuje Lamm.

– Tak by wynikało ze zdjęć, które znaleźliśmy na łodzi. Wydaje się, że celowali głównie do tarczy. Do puszek, talerzyków papierowych i tym podobnych. Nie do ludzi.

– Miło słyszeć – odparła Lisa.

– No tak. Ale wszystko wskazuje też na to, że jednak ktoś to musiał zrobić.

– Kula z czaszki pasuje do broni?

– Tak mi się wydaje. Dwa plus zdaniem laboratorium. Chyba nie chcą dać więcej, bo kula była bez łuski i mocno spłaszczona, kiedy przebiła czaszkę. Dwa plus to i tak niezły wynik.

– Tak, wiem – przyznała Lamm. – Jeśli dobrze cię rozumiem, to mamy już tego sporo. Broń, amunicję, rolkę szpagatu, no i ślady ludzkiej krwi na łodzi.

– Zgadza się, nie można narzekać – powiedział Niemi. – Ja jestem zadowolony.

– Ja też – przytaknęła Lisa. – W takim razie jutro rano go zatrzymamy. Z tego co mówiła Annika, od jutra będzie w pracy, więc zgarniemy go z domu. Tak będzie najlepiej.

– Pewnie będziesz chciała, żebyśmy przeszukali mieszkanie – powiedział Niemi.

– Koniecznie – odparła Lamm. – Macie wystarczająco dużo ludzi?

– Damy sobie radę – zapewnił Niemi. – Jeszcze jakieś życzenia?

– Tak. Jego komputer i telefon, jeśli ma. Wszystko inne pozostawiam tobie. Znasz się na tym lepiej niż ja.

– Jeszcze jedno – dodał Niemi. – Dobrze by było przypomnieć osobie, która go będzie przesłuchiwała, o jednej rzeczy. Pamiętasz, kobieta, którą znaleźli w bungalowie, miała na sobie niebieską koszulę nocną. To była koszula Jaidee Kunchai, ale najwyraźniej nie jej ciało.

– Pamiętam. I w czym problem?

– Nie wiemy, co się z nią stało. Trzeba będzie zapytać Johnsona.

– Wiem, do czego zmierzasz – powiedziała Lamm. – Jeśli w takim upale śpi się w koszuli nocnej, to powinno być na niej mnóstwo DNA.

– No właśnie. A jeśli jeszcze naciągasz ją na zakrwawione ciało, to również powinno tam być DNA drugiej osoby. Dwa różne DNA na jednej koszuli. W dodatku coś mi mówi, że będziemy znali oba profile.

– Profil Jaidee Kunchai i Yady Songprawati – powiedziała Lisa.

– Podobnie jak na szczotce do włosów – odparł Niemi.

– Dopilnuję, żeby Johnsonowi zadano to pytanie.

Niemi jest dobry, pomyślała Lamm, kiedy odłożyła słuchawkę. Dlaczego nikt inny nie wspomniał o koszuli nocnej? Pewnie zapomnieli.

Miła osoba z tej Lamm, pomyślał Niemi, kiedy skończył rozmowę. W dodatku zgrabna, wysportowana. Wygląda na taką, co to potrafi zadbać i o siebie, i o innych.

## 92.

Annika Carlsson i jej kolega po fachu Jan Stigson zatrzymali Daniela Johnsona w jego mieszkaniu w Gärdet tuż przed godziną ósmą rano. Kiedy Annika zadzwoniła do drzwi, otworzył z pytającym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Annika przedstawiła się i wylegitymowała. Odpowiedział jej tym samym uśmiechem.

– Czemu zawdzięczam tę poranną wizytę?

– Mamy do ciebie kilka pytań – odparła Annika. – Dlatego pojedziesz z nami do komisariatu w Solnej.

– Na jaki temat te pytania? – chciał wiedzieć Johnson z życzliwym zainteresowaniem w głosie.

– Niestety, nie mogę teraz powiedzieć – odparła Carlsson – ale jestem pewna, że prokurator wszystko ci wyjaśni.

Już na ciebie czeka.

– Oj – powiedział Daniel Johnson. – Ale chcę rozmawiać w obecności mojego adwokata.

– Oczywiście – odparła. – Jak się nazywa?

– Johan Eriksson – odpowiedział Johnson. – Nie znam go, ale słyszałem, że jest najlepszy.



Kiedy tylko pojechali na komisariat, do mieszkania wkroczyli Niemi i Hernandez. Jednak ani rewizja, ani zarekwirowanie komputera i telefonu komórkowego nie przyniosły nic szczególnego.

Daniel Johnson mieszkał sam w trzypokojowym mieszkaniu, które było jego własnością. Nie było tam żadnych śladów stałej obecności innych osób. Mieszkanie było urządzone ze smakiem, raczej konwencjonalnie. Było czysto i sądząc po znalezionych rachunkach, zatrudniał do tego firmę sprzątającą. Komputer był nowy, kupiony miesiąc wcześniej, a kiedy został o to zapytany, odpowiedział, że stary miał ponad pięć lat, więc postanowił kupić nowy. Planował to już dużo wcześniej, ale nie miał czasu. Do zakupu zatrudnił tę samą firmę, która pomagała mu w zakupie starego komputera. Jednak nie miał pojęcia, co zrobili ze starym komputerem, i podejrzewał, że go wyrzucili. Najprościej będzie ich o to zapytać. Paragony zakupu wciąż jeszcze miał. Trzymał je w teczce przeznaczony do tego typu rzeczy.

Właściwie nic interesującego nie znaleźli. Może z jednym wyjątkiem. Na szafce nocnej stała oprawiona w ramkę fotografia pierwszej żony Johnsona, Jaidee Kunchai.

Niemi i Hernandez zaczęli się nad tym zastanawiać. Jeśli zamordował ją pięć lat wcześniej, to było to dość dziwne przypomnienie tego, o czym powinien chcieć jak najszybciej zapomnieć. Być może było tak, że podejrzewał, iż wcześniej czy później tacy jak Niemi i Hernandez pojawią się u niego w domu, i właśnie z tego powodu postawił zdjęcie na szafce. Na przykład zanim poszedł i otworzył drzwi, kiedy rozległ się dzwonek.

– Albo może obaj mamy jakieś skrzywienie zawodowe – powiedział Hernandez i wzruszył ramionami.

– Ale musisz przyznać, że to wszystko jest trochę dziwne – odparł Niemi.

Kiedy Johnson został o to zapytany, wyglądał, jakby nie zrozumiał pytania. Ma przecież mnóstwo zdjęć swojej zmarłej żony. To, które stoi na szafce nocnej, zrobił w czasie ich pierwszych wspólnych wakacji. Co w tym dziwnego? Była najważniejszą osobą w jego życiu i znaczyła dla niego więcej niż wszyscy ludzie razem wzięci. Myśli o niej codziennie i bardzo za nią tęskni.

Łącznie policja przesłuchiwała Johnsona cztery razy. Po czwartym przesłuchaniu przestał odpowiadać na pytania. Powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. I nie ma nic więcej do dodania, zresztą mówił to już osobie, która go przesłuchiwała, a był nią inspektor kryminalny Johan Ek. Jednak dla pewności został przesłuchany piąty raz, wtedy milczał, a odpowiadał za niego jego adwokat. Jego klient powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Rozmawiał o tym ze swoim klientem. I, obiektywnie rzecz biorąc, byli w tym zgodni. Przesłuchanie było bardzo krótkie. Trwało mniej niż pięć minut.

Od samego początku stosunek Johnsona do tego, co się działo, był jasny i wyrazisty. Po prostu nie rozumiał, o czym mówi policja. Jego żona Jaidee zginęła w tsunami. Był tam z nią. I widział to na własne oczy. Od momentu kiedy wszystko się zaczęło, aż do chwili gdy jej prochy zostały rozrzucone w górach, na północ od Bangkoku.

Johnson miał odpowiedź na każde pytanie postawione przez policjantów w związku z tragedią, jaka dotknęła jego żonę. Protokoły z przesłuchań liczyły ponad dwieście stron. Połowa tego to jego odpowiedzi, wszystkie opierające się na tym samym schemacie. Jego żona Jaidee Kunchai zginęła w tsunami prawie dwanaście lat temu. To wszystko.

Dla wyjaśnienia wystarczy przytoczyć mały przykład. Dopiero po ponad dobie udało mu się z pomocą dwóch osób personelu hotelowego wynieść ciało żony z bungalowu, który wynajmowali, a powodem tego był ogólnie

panujący chaos wokół hotelu. Kiedy najpierw sam próbował jej szukać, policja i ochrona hotelowa zabroniły mu, istniało bowiem duże ryzyko, że bungalow może się zawalić. Dopiero następnego dnia dostał pozwolenie na szukanie żony pod gruzami.

Pierwsze przesłuchanie prowadził komisarz kryminalny Evert Bäckström. Następne trzy czy cztery prowadzili inspektorzy Johan Ek i Peter Bladh. Ek jako główny przesłuchujący, Bladh jako jego pomocnik. Adwokat Eriksson uczestniczył we wszystkich przesłuchaniach, w pierwszym brała udział nawet prokurator Lisa Lamm.

W porównaniu z pozostałymi przesłuchaniami pierwsze miało charakter dość chaotyczny. Przesłuchujący przeskakiwał z tematu na temat, uderzał w przesłuchiwanego pojedynczymi, bliżej niesprecyzowanymi oskarżeniami, przerywanymi komentarzami natury socjologicznej i pytaniami o charakterze bardzo ogólnym.

– Jest jedna rzecz, którą musimy sobie wyjaśnić, zanim zaczniemy – westchnął Bäckström i jednocześnie podrapał się po głowie. – Jak wolisz, żeby się do ciebie zwracać? Czy mam cię nazywać Johnson, czy panie ministrze, czy może wystarczy po prostu Daniel?

– A jak pan woli?

– Daniel. Jeśli to ci nie przeszkadza. Przynajmniej zaoszczędzimy czas.

– Może być.

– Świetnie – powiedział Bäckström. – A więc tak, Daniel, jestem ciekaw jednej rzeczy, a mianowicie czy kiedy wynosiłeś żonę z bungalowu, miała na sobie niebieską koszulę nocną.

– Tak.

– I co się z nią stało?

– Słucham?

– Z protokołu sporządzonego przez naszych kolegów z Tajlandii po przesłuchaniu personelu hotelowego, który ci pomagał, wynika, że twoja żona miała na sobie koszulę nocną. Jednak potem nikt już jej nie widział. Nie mamy jej też na liście przedmiotów, które do niej należały.

– Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego – odpowiedział Daniel.

– Możesz mi o tym opowiedzieć? – zapytał Bäckström.

– Postaram się – odparł Johnson. – Zanim przetransportowaliśmy Jaidee do Phuket, to znaczy w miejsce, gdzie robili identyfikację, owinęliśmy ją w prześcieradło hotelowe. Pomogli mi w tym pracownicy hotelu. Wtedy zdjąłem z niej koszulę. Była zupełnie zakrwawiona.

– Rozumiem – odrzekł Bäckström.

– Oddałem ją personelowi hotelowemu.

– Czy może wiesz, co z nią zrobili?

– Przypuszczam, że ją wyrzucili. Nikt by jej przecież nie trzymał.

– No tak – odparł Bäckström. – Rozumiem.

– Świetnie – odpowiedział Johnson. – Nie ma pan zielonego pojęcia, jak się wtedy czułem.

– Nie – przyznał Bäckström. – Trudno mi sobie to wyobrazić. Ale teraz zupełnie inna rzecz, o którą chcę cię zapytać.

– Słucham.

– Po śmierci żony dostałeś mnóstwo pieniędzy. Razem dwadzieścia pięć milionów z trzech różnych firm ubezpieczeniowych, jeśli się nie mylę.

– Zgadza się.

– Za część pieniędzy kupiłeś mieszkanie.

– To też się zgadza. To, do którego wtargnęli pana koledzy dzisiaj rano.

– Ile za nie zapłaciłeś?

– Cztery miliony. Gdyby nie to, co się stało, mieszkalibyśmy w Bangkoku jeszcze rok. Ale byłem na zwolnieniu i zostałem odesłany do

Sztokholmu. Nasze stare mieszkanie sprzedaliśmy, kiedy wyjeżdżaliśmy do Tajlandii. Przecież musiałem gdzieś mieszkać.

– Oczywiście, to jasne – zgodził się Bäckström. – Wszyscy musimy gdzieś mieszkać, więc nie ma w tym nic dziwnego.

– A więc dlaczego tak to pana dziwi?

– Ciekaw jestem, co zrobiłeś z resztą pieniędzy – powiedział Bäckström.

– Gdzie się podziały?

– Dałem je rodzinie Jaidee. Jej mamie i bratu. Przesłałem do Tajlandii, kiedy tylko mi je wypłacili. Nie miałem siły o nich myśleć.

– Doskonale to rozumiem – odpowiedział Bäckström. – Ale, tak czysto praktycznie, kto się tym wszystkim zajmował?

– Pomógł mi brat Jaidee – powiedział Johnson. – Jest amerykańskim księgowym. Firma, w której pracuje, należy do jednej z największych na świecie. Mają nawet swoje biuro w Sztokholmie. I to oni mi pomogli. Tak, no i oczywiście bank. Na wszystko mam papiery, na każdą koronę. Dokumenty trzymam w specjalnej teczce w swoim gabinecie.

– Wierzę – odparł Bäckström. – Zrobiłbym podobnie. Kto myśli o pieniądzach w obliczu takiej tragedii...

Pierwsze przesłuchanie Bäckströma trwało ponad godzinę. Następnie przejęła je Lisa Lamm i wyjaśniła, że Daniel Johnson jest podejrzany o cztery różne przestępstwa. O zamordowanie żony Jaidee, o zbezczeszczenie zwłok poprzez ukrycie ciała, o kradzież czy też próbę kradzieży poprzez zatajenie dowodów oraz o próbę zastraszania świadka. Kiedy go zapytała, czy się przyznaje do zarzucanych mu czynów, pokręcił tylko głową i wymienił spojrzenie ze swoim adwokatem.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Johnson. – Miałbym zamordować żonę, która zginęła w tsunami dwanaście lat temu? A jeśli chodzi o pozostałe zarzuty, to nie mam pojęcia, o czym mówicie.

– Interpretuję to jako nieprzyznawanie się do postawionych ci zarzutów  
– odpowiedziała Lamm.

– Nie wiem, o czym mówicie. Czego pani ode mnie oczekuje?

– Mimo wszystko podjęłam decyzję o aresztowaniu – odrzekła Lisa.

– Dlaczego mnie to nie dziwi – oznajmił Johnson. – A teraz chcę porozmawiać z moim adwokatem. W cztery oczy.

– Oczywiście – odparła Lamm. – Może on ci wyjaśni powody naszych podejrzeń. Wyłoży ci wszystko od podstaw, że tak się wyrażę.

– Świetnie – powiedział Johnson. – Bo ani pani, ani temu drugiemu jakoś się to nie udało.

– I co o tym sądzisz? – zapytała Lisa, kiedy zostali z Bäckströmem sami w pokoju.

– Johnson jest nie w ciemną bitą – odrzekł Bäckström. – Pomoże nam we wszystkim, co mu podrzucimy. W pozostałych rzeczach zaprzeczy. I nie myślę tu tylko o jego byłej żonie. Jak miałby ją zamordować? Skoro zginęła w tsunami. Poza tym ma na to papiery, podpisane przez naszych kolegów po fachu.

– Proszę o następny przykład.

– Jest ich do wyboru, do koloru – stwierdził Bäckström. – Weźmy choćby ten weekend w Midsommar, który spędził w hotelu w Mariefred. Oczywiście był tam sam.

– Wynajął pokój dwuosobowy.

– Pewnie lubi dużo miejsca do spania – odparł Bäckström. – Albo zapasowe miejsce, gdyby mu się udało kogoś poderwać.

– I lunch, i obiad jadł w hotelowej restauracji – powiedziała Lisa.

– Zgadza się, widziałem rachunek – odrzekł Bäckström. – Takie jedzenie sam bym dał radę zjeść. Czy możemy znaleźć kelnerkę, która obsługiwała jego i jego ewentualną osobę towarzyszącą? W Midsommar pięć lat temu?

Zapomnij. Jeślibym znalazł taką, która zgodziłaby się zaświadczyć, uznałbym, że kłamie.

– No tak – zgodziła się Lisa. – Ja też zauważyłam nieobecność Jaidee we wszystkich papierach hotelowych.

– Oprócz tego pływał po Mälaren. Oczywiście sam, bo o to właśnie chodzi, kiedy jest się prawdziwym żeglarzem.

– Więc co robimy?

– To co zwykle w takich przypadkach – odpowiedział Bäckström. – Czy on to zrobił? Oczywiście, że tak. Wcześniej czy później rozwiąże mu się język. Zawsze się tak dzieje z tymi, którzy posiadają trochę za kratkami.

## 93.

Dobę po zatrzymaniu Daniela Johnsona Lisa Lamm zażądała dla niego aresztu. Sąd przychylił się do jej wniosku. Daniel Johnson został aresztowany między innymi jako podejrzany o popełnienie morderstwa. Następne rozpatrzenie wniosku zaplanowano na za dwa tygodnie.

Laboratorium Kryminalistyczne teraz już dysponowało zarówno jego odciskami palców, jak i jego DNA, z tego też powodu już dzień po aresztowaniu Johnsona zadzwonili do Niemiego. Jego odciski palców zostały zdjęte w trzech różnych miejscach na łodzi należącej obecnie do jego starszej siostry, w tym tam, gdzie raczej nie powinno ich być, a mianowicie pod podłogą w kajucie.

Następnego dnia Sara Johnson zadzwoniła do Anniki. Rozmawiała z ojcem, który wyraził życzenie spotkania się z którymś z policjantów prowadzących śledztwo w sprawie jego syna podejrzanego o tak poważne przestępstwa.

– Po prostu dowiedział się o tym z gazety – poinformowała Sara Johnson. – A ponieważ jest, jaki jest, postanowił dowiedzieć się wszystkiego u źródła, czyli bezpośrednio od was.

– Czy domyślasz się, o czym chce z nami rozmawiać? – zapytała Annika.



– Prawdopodobnie o tej starej broni – odparła Sara. – Ale nie jestem pewna. Po prostu bardzo się tym wszystkim niepokoi.

– Chętnie z nim porozmawiam – wyraziła gotowość Annika. – Kiedy mogę się z nim spotkać?

– Jak najszybciej – odparła Sara. – Nie czuje się dobrze, więc obawiam się, że nie ma czasu do stracenia.

– Mogę to zrobić jeszcze dzisiaj po południu.

– Fantastycznie. Przed chwilą z nim rozmawiałam i wydaje się, że dzisiaj ma lepszy dzień. Czy mogę być obecna przy tej rozmowie? Nie będę przeszkadzać?

– Oczywiście, że możesz – odparła Annika. – Mogę nawet po ciebie podjechać. Jesteś w pracy?

– Tak.

– Pasuje ci za godzinę?

– Absolutnie – potwierdziła Sara. – Zadzwoń, to zejść.

Rozmowa ze Svenem-Erikiem odbyła się w jego pokoju w szpitalu w Brommie. Wysoki, szczupły mężczyzna, ubrany w koszulę, świeżo uprasowane spodnie i czarne kapcie. Miał takie same mądre niebieskie oczy jak jego starsza córka. Był naznaczony śmiercią, która już na niego czekała na brzegu łóżka, gdzie ostatnio spędzał większość czasu.

– To miło, że pani komisarz znalazła chwilę, żeby tu przyjść – powiedział Sven-Erik i skinął głową w kierunku Anniki.

– Proszę mówić do mnie Annika – odparła z uśmiechem.

– Jeśli pani będzie do mnie mówić Sven-Erik – odpowiedział.

– Z największą przyjemnością – zgodziła się Annika. – Jeszcze jedna rzecz. Gdybym tylko mogła, zaoszczędziłabym ci tego wszystkiego.

– Nie mam do was o to najmniejszego żalu, najmniejszego – odrzekł Sven-Erik. – Czasami są rzeczy, które trzeba załatwić, i to niezależnie od

tego, jak trudne by były. Jeśli kogoś tu można winić, to tylko mojego syna.

– Masz rację – zgodziła się Annika. – Z kolei gdyby nie on, nigdy byśmy się spotkali. Ja i Sara również.

– Czy Daniel zabił swoją żonę?

– Tak. Mamy mocne dowody, żeby tak sądzić. Ja osobiście jestem o tym przekonana.

– A więc Jaidee nie zginęła w tsunami?

– Nie – odparła Annika. – Co do tego wszyscy jesteśmy zgodni. Ta, która zginęła w tsunami i błędnie została zidentyfikowana jako Jaidee, to była inna kobieta, którą Daniel i jego żona spotkali wieczór wcześniej i zabrali do swojego hotelu.

– Czyli razem to ukartowali?

– Na to wygląda.

– Dlaczego to zrobili?

– Oszustwo ubezpieczeniowe. Daniel dostał dwadzieścia pięć milionów koron po śmierci Jaidee.

– A kilka lat później pokłócili się o pieniądze i on ją zabił, tak?

– Zgadza się. Niestety. Uważamy, że tak właśnie było.

– Jaidee i Daniel nigdy nie byli dla siebie dobrzy. Byli za bardzo do siebie podobni. Wywoływali w sobie nawzajem to, co było w nich najgorsze.

– Są przesłanki, aby tak sądzić – stwierdziła Annika.

– Z tego, co wiem, znaleźliście ją na Przeklętej Wyspie – powiedział Sven-Erik. – Wcale mnie to nie dziwi. Daniel wiedział o tej wyspie wszystko, jeździł tam na obozy od małego. To wygląda na przemyślaną sprawę.

– To nie był przypadek.

– I to wszystko stało się w Midsommar, kiedy pożyczył ode mnie łódkę?  
– dopytywał Sven-Erik.

– Jeśli będzie to dla ciebie jakąś pociechą, to tego akurat nie zaplanował z góry. To znaczy kiedy pożyczył łódkę.

– Tak uważacie?

– Jestem wręcz przekonana, że nie planował tego zrobić – powiedziała Annika i potrząsnęła głową. – Po prostu się pokłócili i ją zabił.

– Może to zabrzmie dziwnie, ale faktycznie jest to jakieś pocieszenie – odrzekł Sven-Erik.

– To nie twoja wina – zapewniła Annika.

– Wiem – odparł i pokręcił głową. – Ale broń mogłem schować. A tak na marginesie to nie miałem pojęcia, że teraz trzeba mieć pozwolenie nawet na tego typu broń. Dostałem ją od ojca zaraz po wojnie. Wtedy żadne pozwolenia nie były potrzebne...

– Tak, wiem – przyznała Annika.

– Moje córki używały jej do strzelania do tarczy – tłumaczył Sven-Erik i uśmiechnął się do Sary. – Może nie tyle Sara, ale pamiętam, że Ewa to lubiła. Raz chciała nawet strzelać do mew. Nakrzyczałem na nią wtedy i schowałem broń, aż w końcu mi obiecała, że już tego nie zrobi. Ale Daniel... nawet nie przypominam sobie, żeby ją kiedykolwiek trzymał w ręku.

– Nic dziwnego – stwierdziła Sara. – Ile miał lat, kiedy kupiłeś vegę? Dziewięć, może dziesięć, o ile dobrze pamiętam. W tym wieku nie daje się dzieciom broni do ręki. A poza tym nigdy z nami nie pływał. Wolał spędzać czas z kolegami.

– To prawda – zgodził się Sven-Erik. – Uważasz, że powinienem z nim porozmawiać? Właściwie to w ciągu minionych dziesięciu lat prawie z nim

nie rozmawiałem, ostatnio widziałem go jakieś sześć, siedem lat temu. Mimo wszystko to przecież mój syn.

– Jeśli będziesz chciał się z nim zobaczyć, spróbuję to załatwić – powiedziała Annika. – Jednak nie sądzę, żeby udało ci się przemówić mu do rozsądku.

– Może jestem trochę staroświecki – odrzekł – ale zawsze uważałem, że należy brać odpowiedzialność za swoje czyny.

– Obawiam się, że Daniel jest zupełnie innego zdania – odpowiedziała Annika.

– Syn marnotrawny – skwitował Sven-Erik. – Jak to się mogło stać?

– To nie twoja wina – zapewniła Annika. – Takie rzeczy się zdarzają.

– Też mi się tak wydaje – odparł Sven-Erik. – Ale gdybym miał jakiś wybór, to...

– Jeśli w dalszym ciągu chciałbyś się z nim spotkać, spróbuję ci pomóc – obiecała Annika.

– Nie – rzekł Sven-Erik i pokręcił przecząco głową. – Obawiam się, że jest już trochę za późno. Jest mi przykro, że nie chce się ze mną spotkać, ale nic nie możemy na to poradzić.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Na łodzi znaleźliśmy szpulkę niebieskiego szpagatu. Pamiętasz może, gdzie go kupiłeś?

– Tak, to było podczas mojej samotnej wyprawy do Kielu. Jakiś rok przed tym, nim zachorowałem, czyli... w dwa tysiące dziesiątym. Jeśli jesteś ciekawa, dlaczego tak dobrze to pamiętam, to był to jeden jedyny raz, kiedy tam popłynąłem.

– Jeśli jest coś, w czym ci mogę pomóc, daj znać – powiedziała Carlsson.

– To ty mi pomogłaś, Annika – odparł. – Należą ci się podziękowania. Jeśli chcesz znać moją opinię, a pewnie wiesz, że jestem starym

nauczycielem...

– Z przyjemnością poznam twoje zdanie – zapewniła Annika z uśmiechem.

– To świetnie – odparł Sven-Erik i też się uśmiechnął. – Wyglądasz na równie dobrą osobę jak moje córki. Tego, co się stało z Danielem, nigdy nie zrozumie.

– Dziękuję – odrzekła Annika. – Za twoją opinię. Jednak w szkole nie zawsze mieli o mnie tak dobre zdanie.

– Mogę sobie wyobrazić – powiedział Sven-Erik. – Pewnie z gimnastyką nie miałaś nigdy problemu, a to, że nie zawsze zgadzałaś się z nauczycielami, to jeszcze nie koniec świata... Ale skoro już tu jesteś, to poproszę cię, żebyś zapytała o coś Daniela.

– O co?

– O mój worek marynarski – powiedział Sven-Erik. – Co z nim zrobił?

– Zginął, kiedy pożyczył od ciebie łódź?

– Tak, ale kiedy w końcu udało mi się go złapać przez telefon, obiecał, że go zwróci. Powiedział, że go tylko pożyczył. Był mu po prostu potrzebny.

– I co, zwrócił?

– Nie – odparł Sven-Erik.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytała Sara. – Czy to chodzi o ten worek, który dostałaś ode mnie i od Ewy na gwiazdkę?

– Tak – potwierdził. – Nawet jeśli mi już nie będzie potrzebny, to przynajmniej ty będziesz miała z niego pożytek. Łódź już masz.

– O co chodzi z tym workiem marynarskim? – przypomniała sobie Annika, kiedy pół godziny później siedziały w samochodzie.

– To prezent gwiazdkowy ode mnie i od Ewy, to było rok przed jego chorobą, czyli sześć lat temu.

– Jak wyglądał? – zapytała Annika.

– Mam nawet jego zdjęcie w jakimś albumie, w domu. Kupiła go moja siostra, w Londynie. Jak wiesz, mieszka tam na stałe. Z tym workiem to ciekawa historia. Uszyty był ze starego impregnowanego płótna żeglarskiego, ze skórzanym wykończeniem i skórzanymi uchwyty. Nie był tani. Wszyłam na nim inicjały taty, właśnie tym niebieskim szpagatem. Dużymi literami, SEJ, Sven-Erik Johnson, plus stary łaciński cytat. NNE. *Navigare Necessse Est*.

– Co to znaczy?

– „Żeglowanie jest koniecznością” – przetłumaczyła Sara z lekkim uśmiechem. – Ulubiona sentencja taty. *Navigare necesse est. Vivere non est necesse*.

– A to ostatnie co znaczy?

– I to jest najsmutniejsze... Szczególnie w sytuacji taty. „Żeglowanie jest koniecznością. Życie nie jest koniecznością”.

– Wydaje mi się, że dla twojego ojca to nawet pewnego rodzaju pocieszenie – powiedziała Annika.

– Bardzo, ale to bardzo chciałabym odzyskać ten worek – wyznała Sara. – Więc jeśli go znajdziecie u Daniela, to pamiętaj o mnie.

– Obiecuję, że pogadam z kolegami – odparła Annika.

– Wiesz co – zaproponowała Sara. – Skręćmy do domu, to ci pokażę zdjęcie tego worka.

Pół godziny później Annika weszła do gabinetu Petera Niemiego.

– Masz pięć minut? – zapytała.

– Oczywiście – odpowiedział Niemi i zamknął teczkę z papierami, nad którymi śleczął.

– Co to jest? – spytała Annika i pokazała mu zdjęcie, które dała jej Sara.

– Sądząc po choince w tle i wesołych minach tych pięciu osób, przypuszczam, że chodzi o Boże Narodzenie. A na potwierdzenie moich słów jest ten ręcznie napisany tekst na odwrocie: „Boże Narodzenie w Ålsta, dwa tysiące dziesiąty”. W czym jeszcze mogę pomóc drogiej pani komisarz?

– Nie zgrywaj się, wariacie – powiedziała Annika. – Czy podczas rewizji u Johnsona znaleźliście tę dużą szarą torbę, którą widzisz na zdjęciu?

– Nie – odparł Peter i pokręcił głową. – Wygląda na stary angielski worek marynarski z płótna, wykończony skórą i ze skórzanymi rączkami.

– To prezent gwiazdkowy dla ojca Daniela Johnsona od córek, Sary i Ewy.

– Niestety, nic takiego u niego nie znaleźliśmy.

– Więc co się z nim stało?

– Jeśli był na łodzi Svena-Erika, kiedy Daniel ją od niego pożyczał, to teraz z pewnością leży gdzieś na dnie Mälaren.

– A gdyby tak go poszukać?

– Nie sędzę, żeby to był najlepszy pomysł. Przecież to ogromne jezioro – zasugerował Niemi. – Jeśli zwrócę się o pieniądze na coś takiego, to na pewno mi odmówią. I nawet specjalnie mnie to nie zdziwi.

– To tylko luźna sugestia.

– Obiecuję, że pomyślę o sprawie – odpowiedział Niemi z westchnieniem. – Ale nie rób sobie wielkich nadziei.

## 94.

W mediach pojawiła się jedynie lakoniczna informacja, że „wysoki rangą urzędnik państwowy został aresztowany jako podejrzany o zamordowanie żony”. Żadnej wzmianki o tsunami, żadnych szczegółów ani motywu. Natomiast sporo o tym, że ciało ukrył na wyspie na Mälaren.

Co się dzieje z Bäckströmem? – rozmyślała Annika. Czyżby się nie odezwał do swojego ulubionego dziennikarza? Przecież nigdy nie przepuszcza okazji, żeby sobie dorobić...

Tym razem jednak Bäckström natknął się na nieoczekiwany problem, mimo że od początku wszystko zapowiadało się równie obiecująco jak zwykle, kiedy zadzwonił do swojego dziennikarza, informując go, że szykuje się coś dużego.

Spotkali się na obiedzie tam, gdzie zawsze, lecz w odróżnieniu od wcześniejszych sytuacji tym razem jego kontakt wydawał się jakoś dziwnie niezainteresowany sprawą. Zaczął coś mówić, że ma inne źródła, które nie dzielają opinii Bäckströma, i że chciałby mieć coś więcej, zanim zrobi z tego jakąś porządną historię.

– Co znaczy porządną historię? – zapytał Bäckström z goryczą w głosie.  
– Jeśli nie jesteście tym zainteresowani, to inni na pewno będą.

Kiedy tylko wrócił do domu, zadzwonił do swojego drugiego ulubionego dziennikarza, który pracował w jednej z większych popołudniówek.



Wprawdzie nie dysponował takimi funduszami jak ten pierwszy, ale brał to, co mu się proponowało. Jednak tym razem nawet on w bezwstydnym sposobie odprawił Bäckströma z kwitkiem. Z tego co on i jego koledzy po fachu się dowiedzieli, i to z pewnego źródła, konkurencja właśnie siedzi nad tą samą historią, więc postanowił jeszcze poczekać. Sprawa dotyczy osoby publicznej, a zatem z pewnością wszystko śmierdzi polityką.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Bäckström.

– Wysoko postawiony szwedzki dyplomata, który za moment ma być powołany na ambasadora na Litwie. Gdyby zamordował żonę, Rosja by skakała z radości. Dlatego postanowiliśmy się z tym wstrzymać.

– Nie miałem o tym zielonego pojęcia – odparł Bäckström.

– No popatrz, popatrz – zdziwił się dziennikarz. – Więc nic nie słyszałeś od swoich rosyjskich informatorów?

– Jakich znowu rosyjskich informatorów? – chciał wiedzieć Bäckström.

– Nie mam żadnych rosyjskich informatorów.

– To świetnie – powtórzył dziennikarz. – Ale my w redakcji nie jesteśmy tym zainteresowani.

Co się dzieje, do cholery, zastanawiał się Bäckström. Zazwyczaj w takich przypadkach wracał do domu z pięciocyfrową sumką. I nie musiał wysłuchiwać całej masy tych durnych teorii spiskowych.

## 95.

Tym razem wszystko poszło znacznie szybciej niż zwykle i rozprawa przeciwko Danielowi Johnsonowi rozpoczęła się już w połowie października w sądzie rejonowym w Sztokholmie. Lisa Lamm oskarżyła go o zabójstwo, zbezczeszczenie zwłok, próbę kradzieży oraz zastraszanie świadka.

W kancelarii sądu uznano, że sprawa może być skomplikowana, więc proces zaplanowano na pięć dni. Plus dwa dni rezerwowe, tak na wszelki wypadek. Ponadto skład sędziowski wzmocniono dwoma biegłymi i czterema ławnikami. Tymczasem sama rozprawa przebiegała sprawniej, niż się spodziewano. Dodatkowe dwa dni okazały się niepotrzebne i już ostatniego dnia, jeszcze przed lunchem, wygłoszono mowy końcowe.

Daniel Johnson twardo trzymał się swojej wersji. Jego żona zginęła podczas tsunami dwanaście lat temu. I to była dla niego niesłychana tragedia, najgorsza rzecz, jaka się może przydarzyć człowiekowi. A teraz jego wystawiano na coś tak absurdalnego, „zupełnie jak z powieści Franza Kafki” – że niby siedem lat temu zamordował swoją nieżyjącą już żonę i ukrył ciało na jakiejś wyspie na Mälaren. I niezależnie od tego, jak to się skończy, nic gorszego nie może go już spotkać, ponieważ stracił osobę, która znaczyła dla niego więcej niż wszyscy inni razem wzięci.

Tymczasem jego obrońca zrobił więcej, niż od niego wymagano. Fakt, że jego klient zostawił odciski palców w kajucie na łodzi ojca, wytłumaczył tym, że równie dobrze mogło się to zdarzyć przy innej okazji, wcześniej. Dlatego też Daniel nie próbował zatrzeć śladów. Jak wszystkim wiadomo, odciski palców nie mają daty ważności, poza tym włamywacze na ogół noszą rękawiczki.

To samo dotyczy zastraszania świadka. Nagrania z monitoringu przy posterunku policji doskonale zgadzają się z wyjaśnieniem jego klienta. Przed rozpoczęciem pracy chciał odwiedzić znajomego, który mieszka w pobliżu, i po prostu szukał miejsca do zaparkowania, aż w końcu zrezygnował i pojechał do pracy.

Jeśli chodzi o sprawę zasadniczą, a więc o oskarżenie o morderstwo i przestępstwo zbezczeszczenia zwłok, to adwokat Eriksson zrobił dokładnie to, co parę miesięcy wcześniej przewidziała Nadia Högberg. Powołał na świadków dwóch policjantów, którzy byli w Tajlandii tuż po tsunami. Obaj jednogłośnie zeznali, że Jaidee Kunchai zginęła podczas tsunami. Jej ciało zostało znalezione w bungalowie, który wynajmowała z mężem. Została zidentyfikowana przez męża, własną matkę i dwie osoby z obsługi hotelowej, które znały ją z widzenia. Ofiara miała na sobie biżuterię Jaidee i jej koszulę nocną. Ponadto, w centrum identyfikacji zwłok w Phuket, pobrano jej materiał genetyczny, który ponad wszelką wątpliwość wykazał, że martwą kobietą była Jaidee Kunchai.

Następnie adwokat Eriksson pokazał filmy z ceremonii pogrzebowej i ceremonii rozsypania prochów Jaidee. Natomiast nie wyraził zgody na powtórne pokazanie fragmentu, w którym zrozpaczony Johnson siada na ziemi i rękami kołysze głowę. Sądząc po reakcji sądu na pokazaną scenę, nie było to potrzebne, dwoje członków składu sędziowskiego przyłożyło bowiem dłonie do czoła i spuściło wzrok.

Pozostały materiał dowodowy, zdaniem adwokata Erikssona, był niewystarczająco przekonujący. Stuletnia broń pospolitego modelu, która wciąż jeszcze jest w użyciu. I naboje. Dwa plus według skali Laboratorium Kryminalistyki, jeśli chodzi o zgodność z bronią. Nie żadne cztery plus ani nawet trzy plus. Co jest wystarczającą podstawą do tego, aby żywić uzasadnione wątpliwości.

Na zakończenie obrońca podał w wątpliwość motyw, który wysunęła prokurator, aby wskazać powody tej, delikatnie mówiąc, dziwnej historii. Jeśli chodzi o oszustwo ubezpieczeniowe, które Daniel Johnson i jego żona jakoby popełnili, to zastanawiające jest to, że prawie wszystkie pieniądze z ubezpieczenia – około dwudziestu milionów koron – jego klient przelał na konto rodziny swojej zmarłej żony.

I gdzie tu motyw? Czy naprawdę zaistniał powód, aby siedem lat później pokłócić się o pieniądze? Nie wspominając już o niewyobrażalnym wyrachowaniu, jakie musiałby mieć jego klient, żeby podczas katastrofy o tak niebotycznych rozmiarach „skorzystać z nadarzającej się okazji”. Niezgoda między obrońcą a prokuratorem dotyczyła tego, że obrońca twierdził, iż Jaidee Kunchai zginęła, natomiast prokurator utrzymywała, że Jaidee przeżyła katastrofę.

Lisa Lamm wyszła daleko poza to, co jest normalnie praktykowane. Miała dużo trudniejszą sytuację. Mimo to, krok po kroku, przeprowadziła rozumowanie, zaczynając od pytania, kim właściwie była kobieta, która zginęła podczas tsunami w Tajlandii.

Jej zdaniem nie była to Jaidee Kunchai, tylko kobieta o imieniu Yada Songprawati. Pracowała jako hostessa w klubie nocnym w Phuket, który małżeństwo Johnsonów odwiedziło w wieczór przed tsunami. Po zamknięciu lokalu Yada pojechała z nimi do ich bungalowu na plaży. I to ona straciła życie w tsunami.

Potwierdził to nadinspektor Akkarat Bunyasarn z Bangkoku. Rozmowę przeprowadzono na Skypie, dlatego też sąd mógł go widzieć. Dla prokurator był to bardzo mocny świadek. Punkt po punkcie, szczegółowo, w dodatku w perfekcyjnym angielskim, opowiedział, dlaczego Yadę Songprawati dopiero teraz można było wykreślić z policyjnego rejestru osób zaginionych w tsunami. Yada Songprawati początkowo przez pomyłkę została zidentyfikowana jako Jaidee Kunchai. Dwie osoby z obsługi hotelowej zrobiły to w dobrej wierze, natomiast jeśli chodzi o testy DNA, to były one przeprowadzone przy użyciu rzeczy osobistych Jaidee Kunchai, jej szczoteczki do zębów, szczotki do włosów i grzebienia. Wszystko to zostało dokładnie opisane w dokumentacji.

Następnie Lamm zajęła się pozostałym materiałem dowodowym. Zaczęła od tajemniczej kryjówki Daniela Johnsona, w której znaleziono ciało Jaidee Kunchai, i doszła do innych wniosków niż obrona. Na koniec wyjaśniła, dlaczego jej zdaniem Daniel Johnson podarował rodzinie Jaidee taki prezent. Jaidee bowiem wciąż żyła. Byli cały czas w kontakcie. Aż do Midsommar 2011 roku, kiedy to Daniel ją zamordował. Przesłanie pieniędzy do Tajlandii to łatwy sposób na ich ukrycie. I nijak nie utrudniło to Johnsonowi korzystania z nich. Do zabicia żony kilka lat później popchnęły go inne okoliczności.

Sąd rejonowy w Sztokholmie potrzebował czternastu dni na podjęcie decyzji i ogłoszenie wyroku. W następstwie Daniel Johnson został skazany na osiemnaście lat więzienia za morderstwo, zbezczeszczenie zwłok, próbę oszustwa oraz próbę zastraszania świadka. Jeden z ławników miał odmienne zdanie i wnioskował o oczyszczenie go ze wszystkich zarzutów. Nie dopatrywał się żadnego błędu w identyfikacji Jaidee Kunchai w Tajlandii, a wręcz przeciwnie, było to dla niego bardzo przekonujące. Nie był w stanie ocenić, jakie błędy popełniono. Dokumentacja zdjęciowa

zarówno z pogrzebu, jak i z rozsypania prochów Jaidee Kunchai jeszcze go w tym umocniła. Według jego opinii zachowanie Daniela Johnsona mocno przemawiało za jego niewinnością.

Kiedy doszło do szczegółowej analizy, okazało się, że jeszcze jedna ławniczka miała odmienne zdanie od reszty. Z braku wystarczających dowodów wnioskowała, aby Daniel Johnson był sądzony za zabójstwo, a nie za morderstwo oraz oczyszczony z zarzutu kradzieży i zastraszania świadka.

Bäckström był zadowolony. Wprawdzie wołałby, żeby Johnson dostał dożywocie, ale wyrok zawsze można zaskarżyć, miał więc nadzieję, że sąd apelacyjny uwzględni ten szczegół. Częstotliwość występowania dyletantów bez odrobiny prawniczego poczucia rzeczywistości mimo wszystko jest mniejsza w sądzie apelacyjnym niż w sądzie rejonowym.

Pozostali członkowie grupy dochodzeniowej w większości podzielali pogląd Bäckströma.

Lisa Lamm była bardziej zaniepokojona, niż to okazywała. Jednocześnie dała wyraz przekonaniu, że sąd apelacyjny jest z pewnością bardziej kompetentny w ocenie niż sąd rejonowy.

Obrona zaskarżyła wyrok skazujący i domagała się uniewinnienia Johnsona. Lisa Lamm przyłączyła się do zaskarżenia z takim samym żądaniem, jakie wysunęła w sądzie rejonowym. Daniel Johnson zmienił obrońcę. I, jak wynikało z oświadczenia adwokata Erikssona, rozstali się w pełnej zgodzie.

– Kogo będzie miał teraz? – zapytał Bäckström Lisę Lamm, kiedy mu o tym powiedziała.

– Innego Erikssona – odparła Lisa Lamm i uśmiechnęła się. – To Tore „Obrońca Totalny” Eriksson.

– Tore „Obrońca Totalny” Eriksson – powtórzył Bäckström z nieukrywanym zdziwieniem. – W takim razie Johnson jest jeszcze bardziej szalony, niż mi się wydawało.

– Dlaczego? – spytała Lisa Lamm. – Przecież nie ma nic do stracenia.

V

Nareszcie! Właściwa wiadomość z drugiej strony



## 96.

Kiedy w końcu nadeszła właściwa wiadomość z tej drugiej strony, nie był to przypadkowy zbieg okoliczności, jak wtedy, kiedy pastor Fredrik Lindström czy aktor „Buła” Berglund przyczynili się do rozwiązania śledztwa. Wówczas był to owoc przypadku i zwykłe dzieło człowieka. Jednak tym razem chodziło o prawdziwy dar niebios. Ten, który przemówił pierwszy, jak wiadomo, już nie żył. Przyjmijmy, że z tym, co miał do powiedzenia, ujawnił się już wcześniej, lecz dopiero teraz, dzięki nowoczesnym narzędziom ludzkiej techniki, jego przesłanie dotarło.

Kilka dni po tym, jak sąd ogłosił wyrok w sprawie Daniela Johnsona, jego siostra zadzwoniła do Anniki Carlsson i poinformowała, że ojciec zmarł dwa dni po ogłoszeniu wyroku. Kiedy przeglądała jego rzeczy, znalazła film, który na życzenie ojca miał być przekazany Annice i jej kolegom po fachu.

– Czy wiesz, co to za film? – zapytała Annika.

– Tak, obejrzałam go. Nagrał się na komórkę, a nagranie przesłał na komputer jako załącznik do maila, który miałam ci wysłać. Ojciec nieźle sobie radził z komputerem. Nic dziwnego, przecież przez wiele lat był nauczycielem.

– A więc co to za film?

– Ojciec zwraca się w nim bezpośrednio do ciebie, więc najprościej będzie, jak ci go wyślę i sama sobie obejrzysz. Chodzi o ten worek marynarski. Domyślał się, gdzie może być.

– Obawiam się, że na dnie Mälaren – odparła Annika.

– Tak, razem z rzeczami Jaidee – dodała Sara.

– Też tak nam się wydawało – powiedziała Annika. – Problem w tym, że to ogromne jezioro.

– To prawda – odrzekła Sara. – Ale zdaniem mojego kochanego ojca jest jedno miejsce, na które powinniście zwrócić szczególną uwagę ze względu na to, gdzie Daniel ukrył samo ciało. W niektórych sprawach mój przybrany braciszek jest niemal obsesyjny.

– Co to za miejsce?

– Lambarfjärden. Za ledwie kilka minut od portu, gdzie trzymam łódkę. Zdaniem taty to najgłębsze miejsce w całym Mälaren.

– Okej – powiedziała Annika. – Więc wyślij mi ten filmik jak najszybciej. Masz moją wizytówkę z adresem mailowym.

– Będziesz go miała za kilka minut – zapewniła Sara. – Teraz, kiedy już jest po procesie, to i tak nie ma żadnego znaczenia, ale taka była wola taty.

Sven-Erik Johnson nagrał się na telefon komórkowy. Tak jak powiedziała jego córka, w nagraniu zwracał się bezpośrednio do Anniki Carlsson.

– Witaj, Anniko – przemówił Sven-Erik. – Miło cię było poznać. Wydajesz się dobrą i porządną dziewczyną. Bardzo żałuję, że tylko raz dane nam było się spotkać.

– Wzajemnie – odpowiedziała Annika i skinęła głową.

– Powodem, dla którego teraz z tobą rozmawiam, jest ten stary worek marynarski, który dostałem od córek na gwiazdkę, kilka lat temu, i na którym mój syn położył łapę, kiedy w ten pamiętny Midsommar pożyczył ode mnie łódź. Czytałem w gazecie o wyroku, który dostał, i jeśli mam być

szczerzy, to nie wiem, czy teraz ma to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Ale dla siebie samego chciałbym zamknąć tę smutną historię i postawić kropkę.

Sven-Erik wziął szklanekę i napił się wody.

– Przepraszam – powiedział i wytarł sobie usta. – A więc jeśli chodzi o ten worek... Wiele lat temu, Daniel miał wtedy może trzynaście, czternaście lat, szliśmy do przystani w Hässelby, gdzie cumowaliśmy łódkę, i to wtedy pokazałem mu najgłębsze miejsce Mälaren. Znajduje się w Lambarfjärden, kilka minut od przystani. Łatwo było je znaleźć, nawet jeśli wtedy nie istniały jeszcze żadne GPS-y czy sonary. Trzy punkty orientacyjne pomogły mi zlokalizować to miejsce. Kilka lat później, jeśli się nie mylę w roku dwutysięcznym, byłem z przyjacielem na znacznie droższej łodzi, wyposażonej w GPS i sonar. Kiedy mu o tym powiedziałem, stwierdził, że się mylę. Miejsce, które pokazałem Danielowi, miało tylko trzydzieści metrów głębokości i było o połowę płytsze niż to położone kilkaset metrów dalej. Przepraszam...

Sven-Erik znów wyciągnął rękę po szklanekę z wodą.

– Więc kiedy tam popłynęliśmy i sprawdziliśmy głębokość przy użyciu sonaru, okazało się, że mój przyjaciel ma rację. To ja się myliłem. W miejscu, które uważałem za najgłębsze w całym Mälaren, miało dokładnie trzydzieści metrów głębokości – stwierdził Sven-Erik Johnson, odstawiając szklanekę. – A ponieważ zawsze staram się uczyć na własnych błędach, więc zanotowałem współrzędne z GPS-u. Pamiętam, że nawet sobie gratulowaliśmy. Jednak nigdy już nie miałem okazji, żeby powiedzieć o tym Danielowi. Było to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczęliśmy się od siebie oddalać i straciliśmy kontakt. Ale te współrzędne wciąż mam w moim notatniku. Znajdziesz je w tym mailu. Byłoby dobrze, gdyby wreszcie udało nam się zakończyć tę historię – powiedział Sven-Erik

i uśmiechnął się do kamery. – Niezależnie od wszystkiego cieszę się, że miałem okazję cię poznać.

Kiedy Annika już ochłonęła i przestało ją ścisnąć w gardle, zadzwoniła do Petera Niemiego na jego prywatny numer.

– Czym ci mogę służyć tym razem, Annika? – zapytał Niemi.

– Źle sformułowane pytanie – odparła. – Jesteś w pobliżu komputera?

– Właśnie przy nim siedzę.

– Więc zaraz ci coś wyślę. A kiedy już to przeczytasz, możesz do mnie zadzwonić i podziękować mi za pomoc.

Peter Niemi zadzwonił mniej więcej po godzinie.

– Przepraszam, że musiałaś czekać – powiedział. – Zajęło mi to trochę czasu. Ale teraz już wszystko jasne, więc jutro, skoro świt, razem z naszymi nurkami zaczniemy szukać tego worka.

– Świetnie – ucieszyła się Annika. – Ale czy przypadkiem o czymś nie zapomniałaś?

– Masz rację, przepraszam. Należą ci się słowa podziękowania.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Annika.

## 97.

Już pierwszego dnia po południu jeden z trzech nurków znalazł worek marynarski. Leżał na głębokości dwudziestu ośmiu metrów, tylko kilkanaście metrów od miejsca, które wskazywały współrzędne Svena-Erika Johnsona. Był to zupełnie naturalny dryft, zważywszy na odległość od powierzchni wody oraz na fakt, że worek leżał tam już ponad pięć lat. Dno było kamieniste, z piaskiem i żwirem, więc worek do połowy przykryty był piaskiem. Zachował się w doskonałym stanie. Po wyjęciu i dokładnym zaznaczeniu miejsca został umieszczony w plastikowym pojemniku.

Worek był bardzo wypakowany. Zawierał prawie trzydzieści kilogramów kamieni, których użyto jako obciążników – takich samych jak te, które można znaleźć na Przeklętej Wyspie, w miejscu, gdzie się cumuje łodzie – oraz rzeczy osobiste Jaidee Kunchai. Najprawdopodobniej były to rzeczy, które Jaidee miała przy sobie, kiedy wylądowała na Arlandzie w środę rano, 22 czerwca 2011 roku, wczesnym lotem z Nowego Jorku. Między innymi bilet zapakowany w plastikową torebkę, jej paszport wydany na Yadę Songprawati, ale ze zdjęciem Jaidee, telefon komórkowy, kilka kart kredytowych wydanych również na Yadę Songprawati oraz pieniądze, łącznie sześć tysięcy koron w dolarach amerykańskich,

tajlandzkich bathach oraz koronach szwedzkich. Oprócz tego czeka podróżne American Express o wartości dwóch tysięcy dolarów.

W worku znaleźli również ubrania, kilka par butów, kostium kąpielowy i torbę podróżną. Brakowało walizki, którą musiała mieć ze sobą, kiedy wsiadała do samolotu w Nowym Jorku.

Żadnych śladów jakiegokolwiek rezerwacji hotelu w Sztokholmie, pomyślał Peter Niemi, który doskonale wiedział, co powinni znaleźć, a czego brakowało. Prawdopodobne wytłumaczenie jest takie, zastanawiał się, że zamieszkała u Daniela Johnsona, a więc to u niego powinni szukać reszty.

Wszystko, co Niemi i jego koledzy znaleźli w worku, dla technika kryminalnego było jak kopalnia złota, która dała odpowiedź na pytanie, co Jaidee Kunchai miała na sobie podczas swojej ostatniej wizyty w Szwecji, ale również co robiła między tsunami a dniem, kiedy faktycznie zmarła, czyli najprawdopodobniej niedzielą 26 czerwca 2011 roku.

Już tydzień później Lisa Lamm zarządziła spotkanie kryzysowe ze swoją grupą śledczą: Evertem Bäckströmem, Anniką Carlsson, Peterem Niemim i, oczywiście, ich analitykiem, Nadią Högberg.

– Tak ze zwykłej ciekawości... – zaczęła Annika. – Czy wiemy cokolwiek o tym, gdzie mieszkała przez te wszystkie lata, to znaczy między styczniem dwa tysiące piątego a Midsommar dwa tysiące jedenastego?

– Z tego, co wiemy od naszych kolegów, wydaje się, że w Tajlandii. Albo u mamy w Bangkoku, albo w ich domku letnim, na północy kraju. Wyjeżdżała też w trzymiesięczne podróże do Stanów i Szwecji.

– Jak się pewnie domyślacie, będę musiała poinformować adwokata Johnsona o nowym materiale dowodowym – oznajmiła Lisa Lamm.

– I wtedy może wreszcie skończy się ta bzdurna paplanina, że można umrzeć dwa razy – skwitował Bäckström. – Najwyższy czas.

## VI

Kłopot z lisami jest taki, że wciąż kopią nowe wyjścia

## 98.

Adwokat Tore „Obrońca Totalny” Eriksson był o pół metra wyższy i dwa razy grubszy niż komisarz kryminalny Evert Bäckström. Był silny jak kafar, wytrzymały jak maratończyk i bardzo niebezpieczny jako przeciwnik, i to we wszystkich możliwych sytuacjach prawnych dotyczących przestępstw. Mówił z silnym norrlandzkim akcentem i nie przepuścił okazji, żeby podkreślić swój szacunek i podziw dla „najlepszego policjanta w Szwecji”, Everta Bäckströma, który z kolei tak bardzo i z całego serca go nienawidził, że korzystał z każdej okazji, żeby mu dogryźć.

Kiedy Lisa Lamm zaprezentowała Erikssonowi nowy materiał dowodowy, podziękował jej serdecznie. Najwyższy czas poskładać całą tę historię, zarezerwował więc sobie dzień, żeby przejrzeć wszystko, co pojawiło się w związku ze sprawą.

Tego samego dnia nauczył Daniela Johnsona manewru, który w żargonie prawniczym określa się jako „zrobić obrót o dziewięćdziesiąt stopni”. Zasady są bardzo proste. W tym konkretnym przypadku nie kwestionować tego, co mówi prokurator i jej policjanci, dopóki ci mają dowody. Jeśli chodzi o resztę – to co niepewne albo trudne do udowodnienia – zrzucić winę na innych. Zwłaszcza na tych, którzy już nie mogą się bronić. Jak na



przykład Jaidee Kunchai i jej mama Rajini, które nie żyły już od ponad pięciu lat.

– Więc na czym teraz stoimy? – zapytała Lisa Lamm podczas rozmowy telefonicznej z Torem Erikssonem.

– Jeśli chodzi o próbę włamania do łodzi, to mój klient zdecydowanie zaprzecza. Myślę też, że będzie miał alibi, jeśli nam w tym pomożesz. Mianowicie, chcemy przesłuchać część członków klubu żeglarskiego. Poza tym w ostatnim czasie mój klient dużo podróżował. Więc myślę, że to wyjaśnia sprawę.

– Coś więcej? – spytała Lamm.

Westchnął, pomyślała.

– Tak. Mój klient stanowczo zaprzecza także, jakoby śledził tego małego chłopca. Zastraszanie świadka? Absolutnie nie – powiedział Tore „Obrońca Totalny” Eriksson i potrząsnął swoją wielką głową, mimo że jego rozmówczyni siedziała przy zupełnie innym telefonie w zupełnie innym miejscu.

– A te trzy próby oszustwa ubezpieczeniowego?

– Chodzi ci o te, które już uległy przedawnieniu?

– Tak – odparła Lisa.

– Do tego się przyzna, oczywiście.

– Cóż za uczciwość z jego strony. Czy się mylę, jeśli wydaje mi się, że to jego żona była tutaj głównym motorem?

– Masz absolutną rację, Lisa – powiedział „Obrońca Totalny”. – Warto zaznaczyć w tym kontekście, że wszystkie pieniądze przekazał żonie i teściowej.

– A czy jest jeszcze coś, do czego się przyznaje?

– Jak najbardziej – potwierdził „Obrońca Totalny”. – Do zbezczeszczenia zwłok przyznaje się bez zastrzeżeń, jednak wątpię, aby to

było poważne przestępstwo.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz, jeśli mogę zapytać?

– To oczywiste. Mój klient wpadł po prostu w panikę – oznajmił i westchnął. – To się zdarza. Był zupełnie oszołomiony.

– Masz na myśli moment, gdy strzelał w głowę swojej żony... To wtedy wpadł w panikę i nie wiedział, co robi.

– Jeśli o tym mowa, to był to nieszczęśliwy wypadek. Jego żona była na porządnym haju tego wieczoru, kiedy zacumowali przy Przeklętej Wyspie. Wzięła to i owo. Przeżywała z nim prawdziwe piekło. Nagle chwyciła za ten stary pistolet i zagroziła mu, że go zastrzeli, jeśli nie sprzeda mieszkania i nie wyjedzie z nią do Tajlandii.

– I co się stało potem?

– Kiedy odmówił, przystawiła sobie lufę do czoła. A gdy mój klient próbował jej odebrać pistolet, przekręciła głowę i nacisnęła spust. To dlatego kula trafiła w skroń. Zresztą zleciłem jeszcze raz dokładną analizę.

– Kto by pomyślał... – odparła Lamm. – Już nie mogę się doczekać, jakie będą wyniki. Naprawdę.

– Doskonale cię rozumiem. Mam też dla ciebie pewną propozycję.

– Słucham uważnie.

– Pomyślałem, żeby dać ci listę tego wszystkiego, co ja i Daniel uważamy za relewantne w całym tym procesie. Począwszy od tsunami i tego, jak wyniósł ciało Yady z bungalowu w Khao Lak. Tak na marginesie, koszula nocna, którą miała na sobie, należała do niej. Miała ten sam kolor co koszula jego żony.

– W takim razie, co się z nią stało? Z koszulą żony.

– Zostawiła ją w pralni hotelowej dzień przed tsunami. Według Johnsona wszystkie rzeczy zwrócono im kilka tygodni później. Kurier zostawił je w ambasadzie.

– A biżuteria? Ten drogi łańcuszek? Czy Jaidee podarowała go Yadzcie Songprawati?

– Absolutnie nie – powiedział Eriksson. – Ale rozumiem twój tok myślenia. Daniel przyznał się, że Jaidee dała mu łańcuszek, żeby założył Yadzcie na szyi, kiedy ją wyciągał spod łóżka.

– Jednym słowem, próbował żonie jedynie przeszkodzić w zastrzeleniu się, czy tak?

– Właśnie tak – odparł Tore. – A jeśli chodzi o identyfikację w Phuket, to tą działką kierowała już jego teściowa. Zdaje się, że kiedy miejscowy glina miał pobrać próbki do badania DNA, teściowa Johnsona wcisnęła mu do ręki kosmetyczkę Jaidee. Człowiek z policji militarnej, który tam dowodził, wziął tego glinę na stronę i przemówił mu do rozsądku.

Bardzo możliwe, że tak było, pomyślała Lisa.

– Nie mogę się już doczekać tej twojej listy – powiedziała.

– Może się okazać, że będą potrzebni nowi świadkowie i nowe ekspertyzy, więc byłoby dobrze, gdybyśmy od początku byli zgodni.

– Daniel Johnson wykonał zwrot o dziewięćdziesiąt stopni – skonstatował Bäckström dzień później, kiedy spotkał się z Lisą Lamm na podsumowaniu.

– I co z tym zrobimy?

– Będziemy mówić to samo co w sądzie rejonowym. Jeśli ma ci się udać z tymi ich dziewięćdziesięcioma stopniami, to uda ci się, zanim jeszcze wejdiesz do sali sądowej – stwierdził Bäckström.

– Może. Zważywszy na jego wiarygodność i to, co powiedział w sądzie rejonowym – odparła Lisa.

– Daniel Johnson to kuty na cztery nogi psychopata – przyznał Bäckström. – Musimy liczyć się z tym, że zrobi wszystko, co w jego mocy.

## 99.

W sądzie apelacyjnym Daniel Johnson naprawdę zrobił wszystko, co w jego mocy, a nawet od czasu do czasu był nad wyraz przekonujący, jak choćby na filmie, który pokazano w sądzie pierwszej instancji i na którym podczas ceremonii rozrzucania prochów Yady Songprawati usiadł na ziemi i kołysał głowę w dłoniach.

Tego ranka, kiedy wszystko się wydarzyło, Daniel spędził noc na sofie w pokoju gościnnym, a jego żona i ich gość w sypialni. Poprzedniego wieczoru za dużo wypił i bynajmniej nie był to eufemizm na coś, czego by moralnie nie akceptował. Życie, jakie z Jaidee prowadzili, opierało się bowiem na wyborze, którego już wcześniej oboje dokonali. Dlatego też odkładali decyzję o dziecku. Zresztą Yadę poznali już rok wcześniej, kiedy odwiedzili klub Złoty Flaming w Phuket.

Gdy Daniel obudził się rano, zaledwie godzinę przed katastrofą, przemknął do łazienki, żeby nie obudzić Jaidee i ich gościa. Wziął prysznic, umył zęby, włożył spodnie, sandały i koszulę i poszedł do głównego budynku, żeby kupić pierwsze poświęteczne gazety i napić się kawy. Ponieważ w hotelu nie było prasy, poszedł plażą do kawiarni kilometr dalej. Tam kupił i gazetę, i kawę. Piętnaście minut przed tsunami, które miało zmienić ich życie, do kawiarni, w której siedział Daniel i czytał, przybiegła

Jaidee. Nie znalazła go w recepcji hotelu, więc domyśliła się, że jest w tej samej kawiarni, w której wiele razy bywali podczas pobytu w Khao Lak.

Kawiarnia leżała trzydzieści metrów wyżej niż plaża, więc kiedy przyszły fale, nie mieli nawet mokrych stóp... Johnson wciąż miał w pamięci chaos, jaki wokół panował, obrazy przed oczami, huk w uszach, całkowity brak sensownych myśli w głowie. Jednym słowem życie sprowadzone do pewnej liczby odruchów fizjologicznych, niezbędnych, by przeżyć.

Kiedy godzinę później byli już bezpieczni, w głowie żony Daniela zrodził się pomysł. Prosta myśl, w jaki sposób uniezależnić się finansowo, nie zmieniając jednocześnie dotychczasowego stylu życia.

To, co się działo potem, było dla Daniela nie do ogarnięcia, więc kiedy jego żona i teściowa zajęły się wszystkim od strony praktycznej, on nie musiał już o tym myśleć. Zgadza się, to on wyniósł ciało Yady, a potem założył jej na szyję łańcuszek żony, ten sam, który dzień wcześniej dała mu Jaidee, kiedy uświadomili sobie, jaka okazja im się nadarza. Nosił go w kieszeni spodni, zanim powiesił go na szyi Yady Songprawati. Jednak czas zaraz po tym odebrał mu zdolność jasnego myślenia, dlatego wszystkim zajęła się żona i teściowa.

Kiedy prochy Yady Songprawati zostały rozsypane, to nie smutek rzucił go na ziemię. Bo niby dlaczego? Przecież zaledwie godzinę wcześniej rozmawiał z Jaidee przez komórkę. Zadzwoiła, by dodać mu siły, żeby się nie rozsypał, by mu przypomnieć, że już wkrótce wszystko co najgorsze będzie za nimi i zaczną nowe życie. Na ziemię rzuciło go to, co się działo wokół i co zawładnęło jego umysłem.

Sześć i pół roku później Daniel i Jaidee żyli już innym życiem. Jednak gdyby wiedział, jak się ono potoczy, zrezygnowałby z niego. To wtedy skończyło się ich wspólne życie. W niedzielę, dzień po Midsommar, kiedy

pływali po wodach Mälaren, a na noc zacumowali na wysepce, która była wspomnieniem jego dzieciństwa, pokłócili się i stracili nad sobą kontrolę. Dokładnie tak jak w tamto przedpołudnie w Khao Lak, siedem lat wcześniej. Kiedy Daniel próbował odebrać żonie broń, rozległ się strzał. I nagle Daniel znów był w szoku, próbując zrozumieć niezrozumiałe. A żeby przeżyć, żył tak jak po katastrofie.

Jego adwokat powołał trzech nowych świadków. Jeden z nich był członkiem klubu żeglarskiego w Hässelby, który zeznał to samo, co Daniel Johnson zapisał w swoim kalendarzu. W ten sposób wzmocnił jego alibi na czas włamania na łódź ojca. Zakładając oczywiście, że świadek nie działał w złej wierze i że się nie pomylił, i że notatki, które robił Daniel w swoim kalendarzu, zgadzały się z rzeczywistością...

Nowy świadek z Tajlandii został przesłuchany telefonicznie, a rozmowa oglądana była na Skypie. Świadek oraz Jaidee Kunchai – którą znał pod imieniem Yada Songprawati – były bliskimi przyjaciółkami przez kilka lat po tsunami i świadek doskonale wiedziała o problemach Jaidee z amfetaminą i kokainą, z jej biseksualnością i jej labilnością psychiczną. Według szwedzkiego prawa było to morderstwo na tle charakterologicznym. Według Torego Erikssona, który w swojej mowie końcowej podkreślił rolę świadka, konieczne było właściwe zrozumienie relacji Daniela Johnsona i Jaidee Kunchai oraz destruktywnego wpływu, jaki Jaidee miała na swojego męża.

Najważniejszym świadkiem był jednak ekspert od postrzałów, którego Tore Eriksson sprowadził z Niemiec. Był on zarówno lekarzem, jak i technikiem kryminalnym. Przez wiele lat pracował jako biegły sądowy w policji kryminalnej w Wiesbaden. Po przejściu na emeryturę założył własną działalność i występował jako ekspert w wielu rozprawach sądowych nie tylko na terenie Niemiec, ale także w całej Europie.

Miał jednak odmienne zdanie od swoich szwedzkich kolegów po fachu, jeśli chodzi o sposób, w jaki Jaidee Kunchai została zastrzelona. Natomiast znalazł wiele rzeczy, które mocno przemawiały za tym, co powiedział Daniel Johnson w części uzupełniającej śledztwa, w sądzie apelacyjnym.

– Jakie jest nasze zdanie odnośnie do tego strzału? – zapytała Lisa Lamm ostatniego dnia procesu i na wszelki wypadek swoje pytanie skierowała nie do Bäckströma, tylko do Niemiego.

– A więc tak – zaczął Niemi. – Jeśli Johnson chciał się z tego wywinąć już na początku śledztwa, to nie wykluczam, że mógłbym się z nim zgodzić.

– A teraz? Co teraz sądzisz?

– Zdolny uczeń – powiedział Niemi. – I ma fenomenalnego nauczyciela. Zresztą, Eriksson urodził się w Haparandzie, tak jak ja. Ale pewnie to już wiesz. Tore „Obrońca Totalny” Eriksson jest żywą legendą w Tornedalen.

– Nie wiedziałam – odparła Lamm. – Choć tego, że obaj jesteście z Norrlandii, oczywiście nie sposób nie zauważyć.

– Tacy nigdy nie kłamią – stwierdził Niemi z uśmiechem.

– Nie. Oczywiście, że nie – rzekła Lisa.

## 100.

Proces w sądzie apelacyjnym rozpoczął się już w pierwszym tygodniu grudnia, ze wzmocnionym składem sędziowskim. Czterech doświadczonych sędziów i dwóch ławników, a nie tak jak zwykle – trzy plus dwa. Ponieważ wszystkie pytania natury egzystencjalnej zostały usunięte z porządku dziennego, proces zaplanowano na trzy dni plus jeden dzień dodatkowy, który jednak okazał się niepotrzebny, gdyż wyrok ogłoszono już w piątek, 17 grudnia o godzinie jedenastej. Tymczasem w Szwecji tyle się działo w tamtym czasie, że wyrok przeszedł w zasadzie bez echa, z wyjątkiem kilku wzmianek w prasie codziennej i jednego krótkiego artykułu w „Dagens Nyheter”, w części dotyczącej Sztokholmu. Sam wyrok też był dość skrótowy. Razem z załącznikami liczył zaledwie pięćdziesiąt stron, co było dość dziwne, zważywszy na fakt, że podczas samej rozprawy panowała głęboka niejednomysłność.

Jeden z czterech sędziów oraz obaj ławnicy oczyścili Daniela Johnsona z trzech zarzutów na cztery, powołując się na tę samą argumentację. Według nich materiał dowodowy zebrany przez prokurator nie był wystarczająco mocny, aby nie budzić wątpliwości. Dlatego też Daniel został oczyszczony z zarzutu popełnienia morderstwa, zastraszania świadka



i próby oszustwa. Skazano go natomiast za zbezczeszczenie zwłok, do czego i tak sam się przyznał.

Trzech pozostałych sędziów całkowicie przyjęło argumentację oskarżenia i skazało go za popełnienie morderstwa, zbezczeszczenie zwłok, zastraszanie świadka i próbę oszustwa. Kiedy zgodnie z literą prawa podsumowano głosy, nietrudno było wydać wyrok. Sąd apelacyjny skazał Daniela Johnsona na dwa lata pozbawienia wolności za zbezczeszczenie zwłok, natomiast oczyścił go z pozostałych zarzutów.

Lisa Lamm i pozostali policjanci z jej grupy dochodzeniowej pokiwali tylko głowami. Lamm zastanawiała się, czy nie wystąpić o zezwolenie na wniesienie skargi do Sądu Najwyższego. Wprawdzie nie wierzyła, że Sąd Najwyższy przychyli się do jej wniosku, jednak nie mieli nic do stracenia.

Kiedy wyrok uniewinniający został podany do publicznej wiadomości, Annika Carlsson wzięła trzy głębokie wdechy i zadzwoniła do Haqvina Furuhjelma. Zdarzyło jej się to pierwszy raz w życiu. Na ogół to inni dzwoniли do niej, nie odwrotnie.

– Witaj, Haqvin – powiedziała. – Pewnie jesteś ciekawy, dlaczego dzwonię?

– Właściwie to nie – odparł Haqvin. – Przemyślałaś sprawę i chcesz ze mną popływać. Ale będzie z tym mały problem.

– Jaki? – zapytała Annika.

– Łódź jest w stoczni – odpowiedział Haqvin. – Odpoczywa przed sezonem letnim.

– Więc co zrobimy? – spytała Annika.

– Dobrze pytanie. Masz jakąś propozycję?

– Chyba tak – odparła. – Zadzwoniłam, żeby ci podziękować za pomoc i powiedzieć, że w tym, jak się wszystko skończyło, nie było twojej winy.

– Jest jak jest – skwitował Haqvin. – Ale to on to zrobił, prawda?

– To oczywiste – powiedziała Annika.

– W takim razie jest nas dwoje, którzy tak myślą – zgodził się Haqvin. – Wprawdzie minęło trzydzieści lat, odkąd go ostatni raz widziałem, ale zgadzam się z tobą. Już wtedy był trochę za sprytny jak na mój gust.

– Ale przecież ty nie jesteś taki jak on, Haqvin – stwierdziła Annika i na wszelki wypadek wzięła jeszcze jeden głęboki wdech.

– Nie rozumiem?

– Właściwie to planowałam zaprosić cię do Gröna Lund. Tam byśmy sobie zrobili mały pięciobój i wycisnęłabym z ciebie ostatnie poty, a potem zjedlibyśmy po hamburgerze i wzięli coś do picia. Oczywiście ja płacę. Problem w tym, że już od trzech miesięcy jest nieczynne.

– A widzisz... – powiedział Haqvin. – „Cio-Cio San” też od kilku miesięcy jest w stoczni.

– W takim razie – rzekła Annika – proponuję, żebyśmy spotkali się wieczorem i poszli na dobrą kolację. Znam fajne miejsce na Söder. Mają tam dobre mięso i świetne wina dla takich jak ty.

– Jeszcze mi się to nie zdarzyło – wyznał Haqvin Furuhjelm. – Po raz pierwszy kobieta zaprasza mnie do restauracji.

– Przeżyjesz to? – zapytała Annika.

– Postaram się – odparł Haqvin.

Osiem godzin później, po jednej butelce wina, pięciu piwach, koniaku i calvadosie oraz dwóch wspaniałych stekach z grilla, Annika zadała decydujące pytanie:

– Zastanawiam się nad jedną rzeczą. Zazwyczaj tego nie robię, ale tym razem zaryzykuję.

– Słucham cię?

– Czy to nasza pierwsza czy trzecia randka? – zapytała.

– Jestem święcie przekonany, że trzecia – odpowiedział Haqvin.

– To świetnie – ucieszyła się Annika. – W takim razie zapraszam cię do mnie. Zobaczysz, jak mieszkają policjantki.

– A może do mnie – zaproponował Haqvin. – Zobaczysz, jak ja mieszkam. Poza tym mamy bliżej.

– Wiem, jak mieszkasz. Już to sprawdziłam. Jestem przecież policjantką. Zapomniałeś?

– Absolutnie nie – powiedział Haqvin.

– W takim razie ty zamów taksówkę, a ja zapłacę rachunek.

Kilka dni po tym, jak Annika spotkała swojego dawnego świadka, Haqvina Furuhjelma, jej szef Evert Bäckström miał spotkanie ze swoim zaufanym przyjacielem i współpracownikiem, Slobodanem Miloseviciem. Najpierw porozmawiali o wspólnych interesach, a po chwili przeszli do ważniejszych rzeczy.

– Czytałem w gazecie, że ten typek, który śledził mojego syna, wymigał się od więzienia i dostał tylko dwa lata – powiedział Slobodan. – Kiedy wychodzi z kicia?

– Nie przed wakacjami – odparł Bäckström. – Jesienią. Z aresztu przenieśli go do zakładu półotwartego. Ale chyba możemy zapomnieć o wniesieniu odwołania. Sąd Najwyższy się nie zgodzi.

– Mój syn nie czuje się dobrze z tego powodu – oznajmił Slobodan. – Pytałem go i on oczywiście twierdzi, że wszystko jest okej. I że z kolegami z biura detektywistycznego, którego jest prezesem zarządu, mają pełną kontrolę nad tym Mordercą od Czaszek.

– Pewnie jesteś ciekaw, jak się miewa Johnson – zapytał Bäckström.

– To oczywiste – odrzekł Slobodan. – Zważywszy na to, jak się czuje mój chłopak.

– Trzy rodzaje wędlin na śniadanie, trzy razy dziennie gotowane jedzenie, własny pokój z telewizorem – odpowiedział Bäckström.

– Żyć, nie umierać. Nic, tylko się tam przeprowadzić na stałe. No bo gdzie będzie lepiej?

– Oddział numer dwa, Österåker – wyrecytował Bäckström. – Blisko Åkersbergi. O ile dobrze wiem, to ma pracować w pralni, żeby mieć kontakt z innymi niewinnie skazanymi.

– To raczej nie miejsce, gdzie lądują moi starzy przyjaciele – stwierdził Slobodan.

– Ale coś mi się wydaje, że to można załatwić.

– Też tak myślę – odparł Slobodan i podniósł kieliszek. – Na zdrowie, Bäckström.

– Na zdrowie. Jeśli będę mógł w czymś pomóc Edwinowi, to mów.

## Epilog

Dwa dni przed Świętą Łucją, przy Hårsfjärden, na południe od Sztokholmu, marynarka wojenna rozpoczęła kolejne polowanie na okręt podwodny. Jednak tym razem istniały „całkowicie pewne poszlaki”, że mały okręt podwodny o nieznanym pochodzeniu znalazł się na wodach terytorialnych Szwecji. Nikt nawet nie liczył, który to już raz. Jednak teraz wszystko zakończyło się pełnym sukcesem już po jednym dniu. A pomogło w tym wypożyczenie od amerykańskiego partnera wojskowego dwóch helikopterów zwiadowczych wraz z załogą oraz nigdy wcześniej nietestowanego robota, The Ghostfinder, przeznaczonego do poszukiwania okrętów podwodnych.

Wczesnie rano dwie boje sonarowe, od dawna spoczywające na dnie w okolicach Hårsfjärden, wysłały wyraźne sygnały ostrzegawcze. Kiedy już było jasne, że coś dużego porusza się wzdłuż dna, dowódca wydał rozkaz i strzelec znajdujący się na pokładzie helikoptera nacisnął odpowiedni guzik. Torpeda zrobiła resztę, a nurkowie, którzy następnie zostali wysłani na dno, natychmiast mogli potwierdzić, że znajdująca się na dnie Hårsfjärden mniejsza łódź podwodna o długości ośmiu metrów jest prawie nietknięta, wyłączając dziesięciocentymetrową dziurę w kadłubie, po lewej stronie burty. Już w dzień Świętej Łucji łódź została odholowana do bazy marynarki wojennej w Muskö i poddana badaniu technicznemu. W środku

znajdowało się trzech członków załogi, wszyscy martwi. Jednak w na tyle dobrym stanie, aby medycyna sądowa i technicy kryminalistyki mogli zrobić odpowiednie badania.

Ci myśliwi, którzy z takim powodzeniem przeprowadzili całą operację, podzielili się łupem, tak jak to się robi w drużynie łowieckiej. Łódź, w największej tajemnicy, została wysłana do Stanów Zjednoczonych, do Centrum Wywiadowczego w Arlington w stanie Wirginia, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Waszyngtonu. Natomiast członkowie załogi wraz z ich rzeczami osobistymi zostali przetransportowani do Centralnego Laboratorium Kryminalistyki w Linköping.

Wszyscy, którzy brali udział w pościgu, a więc zarówno myśliwi, jak i naganiacze, w osobie samego gospodarza, czyli Szwecji, dostali absolutny rozkaz milczenia. Mimo że rząd szwedzki i sztab generalny milczeli jak zakłeci, już po kilku godzinach o incydencie wiedziały właściwie wszystkie media i wszyscy obywatele świata zachodniego. Krótko mówiąc, wszystko odbyło się tak, jak to zwykle bywa, kiedy się upoluje wielkiego zwierza.

To, że okręt podwodny nie zawierał żadnych znaków przynależności państwowej, a załoga nie miała kart identyfikacyjnych, niespecjalnie dziwiło, biorąc pod uwagę charakter wypraw. Zresztą ci, którzy wysłali okręt, zrobili w tej kwestii wszystko co w ich mocy. Ani jednej cyfry czy litery, choćby najmniejszego symbolu, który powiedziałby cokolwiek o pochodzeniu okrętu. Również żadnych znaków produkcyjnych czy nazwy fabryki, która zbudowała statek. To samo dotyczyło załogi. Żadnych plomb na zębach, tatuaży czy metek na ubraniach.

Stare powiedzenie w kręgach wywiadowczych mówi, że wszystko, co człowiek potrafi ukryć, potrafi też odsłonić. Tym razem musiał minąć tydzień, zanim teza ta znalazła potwierdzenie. Amerykańska agencja wywiadowcza poznała nie tylko producenta części okrętowych i ich

dostawcę, ale także stocznię, która je skręcała, oraz hutę, która dostarczyła główną część kadłuba. Wywiad amerykański wiedział nawet, z jakiej kopalni pochodziła ruda żelaza użyta do budowy okrętu.

Centralne Laboratorium Kryminalistyki nie było gorsze. Tamtejsi lekarze i technicy kryminalni zabezpieczyli mnóstwo informacji, które dały odpowiedź na wszystkie pytania dotyczące załogi. A więc na przykład niedokładnie zlikwidowany tatuaż, wykryty dzięki nowoczesnej tomografii komputerowej, który wskazał, że jego właściciel należał do tak zwanego Specnazu.

Najwyższy czas, żeby to upublicznić, aby świat zachodni i jego wszyscy przywódcy wstali i zgodnie, jak jeden mąż, wskazali palcem na Rosję. Na samym przedzie stał szwedzki premier i wskazywał nie tylko palcem, ale i całą dłonią.

Sami Rosjanie wszystkiemu zaprzeczyli i wyrazili głębokie ubolewanie, że ich najbliższy sąsiad żyje w tak błędnym przekonaniu. Zasugerowali nawet rzeczywistego sprawcę incydentu – jeden z sąsiednich krajów bałtyckich. Członka NATO i Unii Europejskiej, sojusznika Stanów Zjednoczonych, który ten błędny trop przygotował po to, aby świat wywieść w pole.

Sądząc po możliwościach przemysłu zbrojeniowego zachodniego świata, nie wykluczono także prywatnej inicjatywy. Reasumując, wyrażono nadzieję, że oszczercy odzyskają zdrowy rozsądek i stosunki polityczne znów się unormują.

Konsekwencją opisanych zdarzeń, o których w mediach nie puszczono ani pary z ust, było to, że szwedzki komisarz kryminalny Evert Bäckström nie odebrał z rąk prezydenta Rosji orderu Aleksandra Puszkina. Ten punkt uroczystości wykreślono z programu. A godzinny reportaż w rosyjskiej telewizji państwowej, która tak fetowała Bäckströma za jego niezwykły

wkład, został zdjęty z ramówki i zastąpiony programem przyrodniczym o roli lasów brzozowych dla prawdziwej rosyjskiej duszy i rosyjskiego temperamentu.

Osobisty emisariusz Bäckströma, GeGurra, otrzymał tę informację od swojego rosyjskiego kontaktu na trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Punkt uroczystości o zasługach Bäckströma został wykreślony, ale jubileusz dwudziestopięciolecia Federacji Rosyjskiej miał być świętowany zgodnie z planem. Natomiast Bäckström musi poczekać, aż stosunki między Rosją a Szwecją się unormują.

Bäckström przyjął tę informację jak prawdziwy mężczyzna. To niedoszące odznaczenie specjalnie go nie zmartwiło. Zwłaszcza kiedy z internetu dowiedział się, że order, który miał dostać, został zrobiony jedynie z dziewięciokaratowego złota... Kto by więc chciał biegać z takim kawałkiem miedzianej blaszki na szyi? Jednocześnie nie rozumiał, co stało na przeszkodzie, żeby wysłali mu tę obiecaną wódkę w butelce ze szczerego złota w szkatule z wolno rosnącej brzozy. Jednak najbardziej zawiódł się na tym, że prezydent Rosji, Władimir Putin, nie jest mężczyzną, na którym można polegać.

– Prawdziwy mężczyzna dotrzymuje słowa – powiedział Bäckström, kiedy rozmawiał przez telefon z GeGurra. – Możesz mu to przekazać – dodał.

GeGurra odpowiedział milczeniem, gdyż pochłonęła go myśl, że wszystko z czasem na pewno się ułoży. Rosja to nie taki znów zły kraj, a Rosjanie to dobrzy ludzie.

– A więc tak, drogi bracie – odparł GeGurra. – Jestem przekonany, że z czasem wszystko się ułoży. Nie pora załamywać rąk.

Bäckström rzucił słuchawką. Co, do diabła, się dzieje, pomyślał. No i co z moją wódką w butelce ze szczerego złota w szkatule z wolno rosnącej



brzozy? Co dostał w zamian? Obiecanki i nadzieje od tego fałszywego handlarza sztuką i koniotrzepca GeGurry, który kiedyś mienił się jego przyjacielem.

Dokąd, do cholery, zmierza ten świat, myślał Bäckström i w ciszy, w samotności, w swoim domu na Kungsholmen, pokręcił tylko swoją okrągłą głową.

Dopiero w Wigilię nadeszły trochę lepsze wiadomości. Razem ze swoim sąsiadem i przyjacielem zarazem, Slobodanem, siedzieli u Bäckströma w mieszkaniu i rozgrzewali się przed czekającym ich lunchem, który Duszanka własnoręcznie przygotowywała w swojej kuchni dwa piętra wyżej. Oczywiście, z pomocą małego Edvina, swojego ukochanego syna, jak też nieocenionego pomocnika Bäckströma.

Podczas gdy Bäckström i Slobodan wymieniali się przemyśleniami o czasach, w jakich przyszło im żyć, i o tym, że niezależnie od wszystkiego trzeba iść dalej, zadzwonił telefon Bäckströma. Był to oficer dowodzący z policji w Norrort. Zadzwonił z kilkoma informacjami. Na początku Bäckström zrozumiał jedynie, że chodzi o tę starą sprawę z Danielem Johnsonem – na wypadek gdyby prasa domagała się od niego jakiegoś komentarza.

– A co, chcecie go już wypuścić? – zapytał Bäckström, który nie wykluczał i takiej możliwości.

– Jesteś zabawny, Bäckström – odparł oficer. – Jak to sobie, do cholery, wyobrażasz? Wasi ludzie z technicznego byli tutaj w nocy i go zabrali. Do Sztokholmu. A co myślałeś? Że my mu wyprawimy pogrzeb?

– Co ty mówisz? – zdziwił się Bäckström.

No, wreszcie to zaczyna być do czegoś podobne, pomyślał.

Dzień wcześniej ciało Daniela Johnsona zostało znalezione w pralni więziennej. Johnson, najprawdopodobniej, wślizgnął się niefortunnie do

bębna suszarki i, tak się jakoś złożyło, przypadkiem nacisnął guzik na zewnątrz suszarki, choć nikt nie wie, w jaki sposób. Tak to właśnie było... Bęben zaczął się kręcić, a on w nim, i trwałoby to pewnie przez jakiś czas, gdyby któryś ze współwięźniów nie zauważył go i nie wyłączył suszarki. Bäckström złożył oficerowi życzenia świąteczne, zakończył rozmowę, wrócił na swój ulubiony fotel i pokrótce opowiedział Slobodanowi o ostatniej drodze Daniela Johnsona.

Slobodan milczał. Kiwał jedynie głową. Nie był nawet szczególnie zdziwiony.

– I co ty na to, Bäckström? – zapytał. – To samobójstwo czy nieszczęśliwy wypadek?

– Skłaniam się ku temu pierwszemu – odpowiedział Bäckström. – Tacy samopsujcy mogą być niewyobrażalnie pomysłowi, jak przyjdzie co do czego. Miłych świąt, tak na marginesie – dodał i uniósł kieliszek.

Akkarat Bunyasarn zadzwonił do Nadii w Nowy Rok. Nie dlatego, żeby jej złożyć spóźnione życzenia, ale dlatego, że miał dla niej nowe informacje. Potwierdzenie tego, co przypuszczali.

Brat Jaidee, poprzez swojego szwedzkiego adwokata, zażądał zwrotu szczątków swojej siostry zaraz po tym, jak Daniel Johnson został skazany za popełnienie morderstwa. Kiedy sąd apelacyjny zmienił wyrok, prokurator uznała, że wydanie szczątków to zbyt pochopna decyzja. Brat Jaidee ponownie wystąpił z żądaniem, aby szczątki jego siostry zostały sprowadzone do jej ojczystego kraju. Daniel Johnson nie miał nic przeciwko temu, więc prokurator wyszła naprzeciw żądaniu jego szwagra i w Nowy Rok Ned Kunchai wyprawił swojej siostrze pogrzeb zgodny z tradycją buddyjską.

Jej szczątki zostały skremowane, a urna z prochami umieszczona w grobowcu rodzinnym na cmentarzu wojskowym w Bangkoku, gdzie

spoczęła między rodzicami. W ceremonii uczestniczyły tylko dwie osoby: brat Jaidee Kunchai, obecnie głowa rodziny, oraz kolega dawno zmarłego ojca Jaidee, wysoko postawiony wojskowy w tajlandzkiej armii.

– No to już wszystkie kawałki tych puzzli poskładane – powiedział Akkarat Bunyasarn podczas rozmowy z Nadią na Skypie.

– Wszystkie na swoim miejscu – zgodziła się Nadia.

Nareszcie, pomyślała.

# Przypisy końcowe

1. *Anka* (szw.) – kaczka, ale również imię żeńskie (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). ↵
2. Mowa o Carlu Hamiltonie, bohaterze powieści szwedzkiego pisarza Jana Guillou.  
↵